

KS. BISKUP BOUGAUD

WIARA I NIEWIARA

WYDANIE DRUGIE



NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

WIARA I NIEWIARA

KS. BISKUP BOUGAUD

CHRYSTJANIZM I CZASY OBECNE

- KSIEGA I: WIARA I NIEWIARA
— „ — II: JEZUS CHRYSTUS
— „ — III: CREDO
— „ — IV: KOŚCIÓŁ
— „ — V: ŻYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

WYDANIE DRUGIE KOMPLETNE

KS. BISKUP BOUGAUD

WIARA I NIEWIARA

Mając obietnicę żywota,
który teraz jest, i przyszłego.
(I Tim., IV, 8.)

WYDANIE DRUGIE



NAKŁADEM KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ - WARSZAWA - WILNO - LUBLIN

Reimprimatur.

Poznań, dnia 29 listopada 1930.

† Bp. Dymek, Wikariusz Generalny.

X. Jedwabski, Kanclerz Kurji Arcyb.

(L. S.) L. D. 15133/30.



15158/
1

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU
NA PAPIERZE Z WŁASNEJ FABRYKI PAPIERU „MALTA”.

K-60/81/130449

Książka ta nie jest wcale dziełem okolicznościowem. Przygotowana była oddawna, a wydanie jej zostało opóźnione wskutek bolesnych wypadków, które nas nawiedziły niedawno. Jużem był kilka jej części wykończył, kiedy wystrzał działowy w Reichshoffen wytrącił mi pióro z ręki, zakrwawiając serce. Potem dopiero, podczas smutnego oblężenia Paryża i pośród okropności komuny, wziąłem się do pisania znowu w tem przekonaniu, że pracując dla Boga i religji, pracuję dla ojczyzny. To też ze łzami tom ten został wykończony. Nie ogłosiłem go zaraz dlatego, abyśmy w świetle krwawej przeszłości poznali drogę właściwą i poszli nią ku jasnemu jutru. Skorzystasz z tej nauki, Francjo. Powściągnij gniew, stary lwie zraniony; niech krew płynie z ran twoich, bo to krew zadosyćuczynienia. Ojczyzno moja! Możesz się wznieść wyżej, niż kiedykolwiek, boś tyle wycierpiała. Nie zapominaj tylko o tem, co najlepsi z twych obywateli ujrzeni wobec grożącej zagłady, i ażeby nadal uniknąć podobnych wstrząśnień, obierz Religję za podstawę odnowionej budowy społecznej.

Orlean, 24 marca 1874 r.

Wiara i niewiara.

WSTĘP.

I.

Zamierzam dać nowy wykład, czym jest chrystjanizm na tle czasów obecnych.

Wykład, nie apologję. Czyż nie najlepszą bowiem obroną Religji będzie przedstawienie jej taką, jaką ją Bóg chciał mieć, w całej czystości i doskonałem pięknie, w całej jej harmonji z naturą ludzką. Takiej właśnie obrony wiek nasz potrzebuje najbardziej. Jego nieświadomość prawdy sięga głębiej, aniżeli jego wrogie przeciw niej wystąpienie. I ci nawet, którzy niekiedy jakby ją zwalczali, w głębi duszy pragną ją znaleźć.

W miarę jak wiek dziewiętnasty zbliża się do końca, przed oczyma naszymi ukazują się coraz lepiej jego rysy znamienne, przy których rozpatrywaniu nie możemy się wstrzymać od współczucia zmieszanego z podziwem. Żadne może stulecie nie otrzymało większych darów i nie zaznało smutniejszych zawodów; żadne nie rozbrzmiewało odgłosem szczytniejszych i niespodzianszych odkryć naukowych i nie ogładało pod swemi stopami straszniejszych przepaści; żadne nie miało więcej pokus do zachwytów i upojen, że tak powiem, własną wielkością i żadne — co mu na wieczną niech będzie chwałę, nie było tak dalekie od zadowolenia z siebie. Na początku olbrzymie zwycięstwa; potem swobody obywatelskie, państwowe i społeczne, zdobyte orężem wymowy, sprawiedliwości i rozumu; koleje żelazne, skracające przestrzeń i prowadzące do ostatecznego owładnięcia światem; szybkie jak myśl telegrafy, łączące ludy w jedno; Alpy przewiercone, Pireneje udostępnione, a w bliskiej przyszłości morza ujarzmione

tunelami, mostami; nauki matematyczne i przyrodnicze, rodzące i odkrywające nieznane naszym ojcom światy; historia, filologia i lingwistyka odnajdujące zaginione pomniki wiedzy; niepodobieństwa przyoblekające nagle szatę rzeczywistości; dziwy, nie wywierające już zdumienia w nikim, a w tym olbrzymim rozroście, gdzieby można oczekiwać rozdzźwięków, wyłaniają się niespodziewane i zachwycające harmonie: oto obraz naszego stulecia!

I czegoż mu niedostawało do pełnego szczęścia? Boga. Dosyć było tego jednego braku, żeby wszystko zatruć! Ani genjusz, ani wymowa, ani chwała, ani nauka nie mogły zapełnić wytworzonej tem próżni. Otwórzcie arcydzieła myśli nowożytnej; na wszystkich wyciśnięte znamię czegoś niezupełnego, niedokończonego, co więcej znamię nietylko ułamkowości, ale i smutku. Wiek ten nosi ranę w sercu. Cierpi. Chcielibyśmy mu powiedzieć tak, jak ów doktor zakonny miotanej niepokojem Synagodze: „Co ci jest i czemu się trwożysz? Czyż już nigdy nie odpoczniesz?”

A jednak, czegoż on nie próbował, by uśmierzyć dręczący go niepokój. Niema chyba teorii socjalnej, którejby w tym celu nie wymyślił, stąd nawet poczęści pochodzi panujący dziś zamęt pojęć. To szczęście, którego mu niedostaje, a które tylko w Bogu można znaleźć, to zaginione źródło złotego wieku, tego Edenu, który wszystkie ludy umieszczają, niestety, za sobą, wiek XIX pochlebiał sobie znaleźć w nauce, grzebiąc coraz głębiej w ziemi. To, czego dziś nie dawała, spodziewał się otrzymać jutro; to, czego odmawiała jednostce, oczekiwał dla całej ludzkości! Próżne usiłowania! Nadaremno grzebano w ziemi: nie wydobyto z niej tego, czego nie ma sama. A pragnienie człowieka, to pragnienie prawdy, cnoty, nadziei i nieskończoności, okazało się zbyt palącym, ażeby je ugasić można było bez Boga.

Od czasu zjawienia się chrystjanizmu na ziemi dusze dosięgły wielkości nieznaney w wiekach starożytnych. Nie okazało się to nigdy dowodniej, jak za dni naszych, kiedy

to dusze, pozbawione obecności Boga, któremu zawdzięczają wielkość, stały się smutne, niespokojne, dręczone cierpieniem, dla którego nie było jeszcze nazwy w mowie ludzkiej. Z jednej strony sumienie coraz drażliwsze, serce coraz goręcej czujące, wyobraźnia coraz żywsza, a z nią wzrastająca potrzeba nieskończonego szczęścia; z drugiej — poziomość życia, niestałość teraźniejszości, niepewność przyszłości. Wszystko to przyczyniło się do zgotowania najpiękniejszym duszom życia, pełnego gorzkości i rozczarowań. Cywilizacja i nauka zwiększyły jeszcze te smutki, zamiast im zaradzić. Uszlachetniły naturę człowieka; wysubtelniły ją i wydelikatniły; a przecież każdy postęp w tym kierunku to jedna więcej zdolność cierpienia. Natury wybrane żywiej czują, a tem samem więcej cierpią. Od lat już wielu badam dusze podniosłe, rozumne, ale pozbawione światła wiary. Zawsze je widywałem smutne, spragnione Boga; przytłoczone tajemnicami sumień lub serc swoich, gdyż pożądały bezwiednie często wyższego pełniejszego i trwalszego życia; a w tym cieniu smutku, z którego niezawsze nawet zdawały sobie sprawę, były jeszcze piękniejsze, żywszą budząc sympatię.

Niechże więc wiek teraźniejszy, tak niespokojny i burzliwy, ale i tak wielki w genialnych przedsięwzięciach, tak szlachetny w nadziejach, podniesie wzrok ku Bogu; niech przestanie podążać za każdym wiatru podmuchem, oczekując wszystkiego od ludzi. Niech zapomni o ziemi, a raczej niech ją i nadal uprawia, upiększa i wydobywa z niej skarby, które odgadł potęgą umysłu; ale niech nie żąda od niej tego, czego ona nie posiada: życia boskiego, którego tak potrzebuje. Niech zabierze z sobą do grobu, tak już bliskiego, tę przynajmniej piękną i podniosłą chwałę, okrytą płaszczem melancholji, że wiele był otrzymał i użył, a niczem się nie zadowolił, ponieważ nic nie mogło ugasić dręczącego go pragnienia; i tę drugą, większą jeszcze chwałę, że u schyłku życia nareszcie uznał i ostatniem tchnieniem uczcił Boga, którego wyznawał swym smutkiem, a którego brak odczuwał tak boleśnie.

Ale nie jest to jedyna przyczyna, wielka a bolesna zarazem, dla której tyle umysłów uczuwa obecnie potrzebę powrotu do religii; znam inną, jeszcze boleśniejszą. Wiek nasz jest ofiarą: płaci za szaleństwa swego poprzednika. Tamten zasiał wiatr, my zbieramy burzę. O potomności, jeżeli cię zadziwi kruchość dzieł naszych, nie zapominaj, na jakim gruncie musieliśmy budować. W zaraniu samem tego wieku zachwiane były najświętsze podwaliny wszechrzeczy. Znaleźli się marzyciele, którzy pod pozorem przebudowy ich podnieśli na nie ręce z lekkomyślnością dzikich, którzy podkopują się pod drzewo, ażeby obejrzeć jego korzenie, albo psują zegarek, by zobaczyć, co się tam rusza w środku. Dziś zachwiane są wszystkie społeczne podstawy. Żadna budowa nie może się na nich utrzymać. Rozpatrzenie je wszystkie i powiedzcie, której z nich nie zagraża upadek. Weźmy podstawy polityczne. Ani władza absolutna, ani państwo konstytucyjne, ani cesarstwo, ani rzeczpospolita, ani zgromadzenie prawodawcze, ani rząd demokratyczny nie są zabezpieczone od zamachu stanu, od rewolweru, sztyletu lub spisku. Wszystko się chwieje, pada, wywraca jak na pokładzie statku, miotanego burzą. Któż z nas może powiedzieć, ile jeszcze w swem życiu ujrzy zmian rządów? Czyż to nie musi zniechęcić do zajmowania się polityką? A właśnie to zniechęcenie, ogarniające w istocie najlepszych ludzi we wszystkich krajach, podkopuje ostatecznie wszelkie rządy.

Spójrzmy z kolei na podstawy społeczne, podwaliny starożytne i szacowne, które są tem dla porządku ogólnego, czem jest ziemia dla gmachów na niej wniesionych; te zasady prawa i wiecznej moralności, które sam Bóg zdawał się uchylać od sporów, podnosząc je do godności aksjomatów, same przez się oczywistych. Cóż widzimy? oto że własność, spadkobranie, rodzina, władze są podawane w wątpliwość, roztrząsane i zaprzeczane. Mianują je nadużyciem. Trzeba więc je obalić. I oto, co dotychczas prawodawstwo, moralność i religia wszystkich ludów piętnowały jako zbrodnię, przedstawia się zbolalym i cier-

piącym tłumom jako postęp. I można się dziwić, że tłumy gotowe są zdeptać albo wydać na pastwę płomieni społeczeństwo, które mu przedstawiają jako macosze i tyrańskie?

Nielepiej jest z podstawami umysłowymi i moralnymi. Gdybyż przynajmniej wierzenia i powinności osobiste były stanowczo uznawane i obowiązujące, byłoby to dla umysłów punktem oparcia przeciw wichrzeń z zewnątrz, a dla serc lekarstwem i siłą. Ale tak nie jest; wszystko jest podawane w wątpliwość, nawet prawdy oczywiste dla umysłu ludzkiego, nawet podstawy filozofji, wszystko, aż do aksjomatów logiki. Wszystkiemu przeczą umysły niedowarzone, lekkie, zuchwałe, goniące za nowością. To też wykolejony rozum ludzki, nie wiedząc już czego się ma trzymać, zapytuje się z niepokojem, czy jest coś pewnego na świecie. A kiedy dosyć byłoby zostawić to podminowane w swych fundamentach społeczeństwo jego losowi, kiedy upadek jego jest już tylko kwestją czasu, tajemnicza logika rzeczy, a raczej mściwa logika zasad wytwarza dzikie stronnictwo, które przysięgło sobie jego zgubę. Walka jest zaledwie rozpoczęta, a już pierwsze w niej ciosy wprawiają w przerażenie, bo społeczeństwo i wrogi mu stronnictwo nierówną walcą bronią. Pierwsze zatarło na swym sztandarze, a przynajmniej ukrywa bojaźliwie w jego zwojach opiekuńcze imię Boga; drugie wypisało na swoim: Nienawiść Boga. Tamto, chwiejne i słabe, nie ma już odwagi dobra; to dyszy zuchwalstwem zła. Jest ono złem, wyznającym jawnie, że jest takie; żeby więc je zaciąć, trzeba by, żeby społeczeństwo równie śmiało opowiedziało się jako dobro, ale ono nie ma nato ani dosyć rozumu, ani dosyć siły. Lęka się takich stanowczych wyznań. Marzy o „niezbędnych swobodach“, kiedy należałoby pomyśleć o niezbędnych prawdach. Wskutek tego właśnie walka między społeczeństwem, nie umiejącem się już bronić, a stronnictwem, nie cofającem się przed niczem dla jego obalenia, jest tak groźna i wstrząsająca.

Oto dokądeśmy doszli. Możliweby zwątpić o przyszłości, gdyby nie ufność w niewzruszoną potęgę religji,

gdyby nie to, że liczne ruiny społeczne odsłaniają pod swemi przerażająco kruchemi podstawami odwieczne podwaliny religji, które wysiłki człowieka i rozruchy państwowe zamiast obalić umocniły tylko, upodobniając do tych dębów na wysokich górach, które stawiają bezkarnie czoło burzy, bo im silniej wichry wstrząsa ich wierzchołkami, tem one głębiej zapuszczają korzenie.

A kiedy tak upływał wiek XIX, starając się obyć bez Boga; kiedy ziemia zaludniała się duszami szlachetnemi, uczuciowemi, a zabezpieczonemi właśnie tą wzniosłością od ugrzęźnięcia w materji, duszami, które szukały Boga i cierpiały, że Go znaleźć nie mogą; kiedy społeczeństwo, przechodząc straszne i wciąż powtarzające się katastrofy, przekonywało się, że Bóg jest niezbędny dla życia zarówno ludów, jak i dusz: powoli wynurzała się religja z mroku, w którym pograżył ją był pozornie wiek XVIII. Usuwały się stopniowo chmury, zasłaniające jej czoło, by ukazać jej wieczną młodość. Rozpraszały się uprzedzenia, zakrywające jej piękność przed oczyma wielu; a odkrycia nowożytnej nauki, potrzeby wzmożonego przemysłu, głuche a groźne chwanie się w posadach społeczeństw wprawiały umysły w zbawienne zdumienie. Każdy krok naprzód stulecia, każdy zachodzący w niem przewrót służył za dowód wielkości religji. Żaden zarzut osiemnastego wieku nie zrobił wyłomu w jej Składzie Wiary; żadne z naukowych odkryć nie rzuciło cienia na jej czoło. Żeby iść z postępem nauki, tej śmiałej a szczęśliwej nowatorki, trzeba było przebudować w nowożytnym społeczeństwie wszystko: historję, wychowanie, administrację, armję: wszystko, oprócz religji. Sami nieprzyjaciele nie mogli się powstrzymać od okrzyku: „Cóż to za jedna, ta, co bezkarnie znosi takie przewroty? Jak i przez kogo mogłaby być zachwiana ta, która z biegiem czasu coraz się staje silniejszą?” —

„Kościół katolicki, mówił sławny protestant Macaulay, widział początek wszystkich rządów i wszystkich dziś istniejących instytucyj, a kto ośmieli się utrzymywać, że nie

zobaczy ich końca? Wielki był i szanowany, zanim Saksjonowie postawili stopę na gruncie Wielkiej Brytanji, zanim Frankowie przeszli Ren; wielki wtedy, kiedy jeszcze wymowa grecka kwitnęła w Antjochji, a w Mecce cześć odbierały bałwany. Może więc być wielki i szanowany jeszcze i wtedy, kiedy przybyły z Nowej Zelandji podróżnik będzie rysował wsparty o zdruzgotaną arkadę londyńskiego mostu, ruiny kościoła św. Pawła”.

Słynny publicysta zapytuje siebie, czy możliwa jest zagłada Kościoła katolickiego. „Powtarzają, powiada on, że postęp oświaty musi okazać się niekorzystnym dla katolicyzmu; pragnęlibyśmy w to uwierzyć, ale wątpimy bardzo, widząc, że dotychczasowe postępy w przyrodoznawstwie, w sztuce rządzenia, w polityce i prawodawstwie bynajmniej mu nie zaszkodziły. Przeciwnie, zdaje nam się, że jeżeli zaszła jaka zmiana, to na korzyść katolicyzmu”¹⁾.

Inny pisarz, Taine, wychodząc z wręcz przeciwnego założenia, dochodzi do tego samego wyniku, a gniew, jaki to w nim budzi, podnosi wartość jego świadectwa.

„Zawsze, powiada on, trudność rządzenia demokracją dostarczy katolicyzmowi stronników; zawsze głuchy niepokój serc smutnych lub czułych werbować mu będzie nowe zastępy; zawsze dawność posiadania zapewniać mu będzie poczet wiernych. Są to trzy jego korzenie, których nie dosięgnie wiedza doświadczalna, bo one czerpią soki nie z wiedzy, ale z uczucia i potrzeby. Mogą one być mniej lub więcej rozgałęzione i w głąb ziemi sięgające, ale nie zdaje mi się, ażeby duch nowożytny mógł im zaszkodzić. Przeciwnie, duch ten powołuje do życia wiele pojęć, wiele instytucyj, które w pewnych duszach i pewnych krajach utrwalał go jeszcze. I dlatego to mógł Macaulay, dawszy się porwać wyobraźni o wymowie, powiedzieć pewnego dnia, że katolicyzm będzie jeszcze mógł istnieć kiedyś w Ameryce Południowej, kiedy podróżnicy australscy będą na zwaliskach Paryża i Londynu szkicowali widoki

¹⁾ *The Edinburgh Review*, r. 1830.

mostu londyńskiego w ruinie lub zburzonych murów Pantheonu¹⁾).

Wybaczymy Taine'owi przytyk pod adresem Macaulaya „dawszy się porwać wyobraźni i wymowie” przez wzgląd na to cenne wyznanie, że tyle jest przyczyn nieprzewidywanych, z naturą ludzką nierozłącznych, a niedostępnych zarówno dla wiedzy, jak i dla ducha nowych czasów, dzięki którym religja katolicka będzie zawsze wśród społeczeństw i wszelkich ich zaburzeń tem, czem była ta wieżyczka Sainte-Chapelle w Paryżu, rysująca się lekko, wdzięcznie i czysto na tle płomieni podpalonej przez rewolucję stolicy.

Nietylko jednak tą niespożytą trwałością działa dziś Kościół na umysły, najmniej nawet usposobione do zrozumienia jego wielkości, ale i swą praktyczną doniosłością. Za każdym nowym przewrotem uwidocznia się coraz lepiej, że tylko on zbawić może społeczeństwo. A jak widziano Kościół, w czasie najazdów barbarzyńców przechodzący nauki i sztuki w fałdach swej szaty i pod sklepieniem swych klasztorów, aby je potem zwrócić odradzającemu się światu; tak się i dziś widzi, a z biegiem czasu coraz lepiej widzieć będziemy, że jeden tylko Kościół posiada zasady, mogące zachować i zbawić społeczeństwo, a mianowicie: poszanowanie władzy, hamulec na zbytnią swobodę, obowiązek posłuszeństwa, wiekuiste prawa rodziny i własności. Zaklinam cię, człowiecze, ktokolwiek jesteś, odpowiedz mi: czy potrzebne są te zasady? czy można żyć bez nich? A któż je dziś wyznaje, kto ich naucza, kto może nakazać szacunek dla nich? Może filozofja? może policja? a może armja? A jednak czy możecie się spodziewać pokoju, wielkości, bogactwa, trwałego porządku w społeczeństwie bez odbudowy tych wielkich podwalin? A jakże myślicie dokonać tej odbudowy, jeżeli nie chcecie już religji? Przyznajcie, że gdyby Kościół nie był od tylu już lat wyszydzany, prześladowany, uważany za wroga i krę-

¹⁾ *Revue des Deux Mondes*, r. 1854.

powany w stosowaniu swej boskiej siły, te tak potrzebne prawdy nie zbladłyby w duszach, a my uniknęlibyśmy klęsk niezmiernych. Tak, w miarę postępu lat przesilenia stają się straszniejsze, a Kościół okazuje się jedyną ostoją społeczeństw, jedyną karmią dusz, jedynym hamulcem dla zbłąkanych lub przewrotnych, jedyną ochroną od burz i upodlenia; jedyna to arka w chwili obecnej, dokąd się ludzkość schronić może.

Kiedy mi smutno, staje mi często na myśli potop oraz arka. Niebo wówczas było tak ciemne, jak teraz; wielkie ołowiane chmury rzucały cień na ziemię. I powiedział Bóg Noemu, drugiemu ojcu rodzaju ludzkiego: „Oto ziemia cała pełna jest nieprawości. Wnijdź do arki i zabierz ze sobą wszystko, co jest potrzebne dla zachowania i odnowienia ludzkości”. *Ut salvetur semen super faciem universae terrae*¹⁾. A im gwałtowniej wiały wichry, im wyżej podnosiły się fale, tem wyżej wznosiła się arka. Pod naporem burzy wzniosła się ona do szczytnych wyżyn. *Multiplicatae sunt aquae et elevaverunt arcam in sublime*²⁾. Wody pienily się u jej ścian, wichry dęły nad jej wierzchołkiem. A ona szła ciągle w górę, spokojna, pogodna, niosąca ludzkość, przyszłości zasiew. *Et salvetur semen super faciem universae terrae*. Ile też czasu trzeba było na zbudowanie tej arki? Czterdzieści lat wiary, wśród szyderstw i naigrawań. Z wiarą do niej wchodzono, z wiarą w niej przebywano. Od czasu do czasu wypuszczano gołębicę, posłanniczkę pokoju. Wracała często, nie mając gdzie spocząć. Podwajano wtedy wiarę. Czasem spoczęła gdzieś chwilkę i przynosiła zieloną gałązkę. Wówczas radość napełniała serca. Bóg więc jest wierny swej obietnicy; a zatem niema nic straconego. Ziemia zakwitła na nowo, ukażą się drzewa, przyjdą żniwa, odbudują się ołtarze i nowa ludzkość wyjdzie z tego kataklizmu lepsza, z sercem młodsze, czystsze i tkliwsze dla Boga.

¹⁾ Rodz. 7, 3. — ²⁾ Rodz. 7, 17.

Oto pod jakim symbolem Bóg ukazał religję, swój Kościół żyjący, oczom zdumionego XIX stulecia. O, jakież dęły wichry, jakie burze! Wichry, wywracające trony, obalające cesarstwa! A cóż przez ten czas czyni Religja? Wznosi się wyżej. *Multiplicatae sunt aquae et elevaverunt arcam in sublime*. A wznosząc się, unosi z sobą i przechowuje dla społeczeństw zasady i cnoty, które jedne dać im mogą życie. Oto gdzie jesteśmy. „Przyszła godzina zrobienia stanowczego kroku. Bliskie już są przepowiedziane czasy. Bóg ostrzegł znowu Noego. Trzeba będzie albo być z ludźmi w potopie, lub z człowiekiem w arce”¹⁾.

Zauważcie tutaj względność Opatrzności. Zdawałoby się, że Bóg chciał, by nic nam nie przeszkadzało znaleźć w religji potrzebną pomoc, bo oto rozpraszają się ostatnie chmury, mogące jeszcze zaćmić jej czoło. Nietylko już wznosi się ona ponad burze; wznosi się i ponad stronnictwa. Uduchownia się, jeżeli można się tak wyrazić. Opuszczając burzliwą sferę spraw politycznych, wznosi się w sferę wyższą, pogodniejszą, stalszą, w sferę spraw boskich.

Tego to postępu życzył jej znamienity Tocqueville. „Gdyby katolicyzm, pisał on, zdołał nakoniec rozbroić, ustrzec nienawiści polityczne, które wzbudził, nie wątpię, że ten sam duch czasu, który mu jest napozór tak przeciwny, obróciłby się na jego korzyść i zapewnił mu nowe zdobycze”²⁾.

Postęp ten już zaczęty, przerywany i kierowany opacznie, dokona się wreszcie. Kapłan zrozumie, że powinien należeć nie do jednego jakiegoś stronnictwa, ale do całej ludzkości; że szaleństwem jest z jego strony poniewierać swą nieśmiertelną szatę w kurzawie lotnej i łączyć swoje wiekuiste kapłaństwo ze znikomemi potęgami, dziś zwyciężkami, jutro zwyciężonemi, które go potrzebują, a odwdzięczają się za poparcie — kompromitując go. Cofnie

¹⁾ List Aleksandra Dumasa syna, 12 czerw. 1871 r. — ²⁾ *De la Démocratie en Amérique*, t. III. str. 48.

się do wnętrza swoich świątyń. I tam odzyska czystość rąk, tklivość serca, pogodę czoła i stawać się będzie coraz bardziej pasterzem dusz.

Nie znaczy to, żeby sprawy doczesne, przyszłość ziemiska jego ojczyzny, miały przestać go interesować. Jakżeby to być mogło? Czyż nie straciłby wtedy na piękności i szlachetności? Będzie więc zawsze kochał czule ziemię rodzinną. Ale wiedząc, że tu, na tej świętej dla niego ziemi winien wszystkim kolebkom udzielać błogosławieństwa, wszystkim grobom łąz i modlitwy, wszystkim boleściom pociechy, wzniesie się ponad przemijające stronnictwa. Stojąc sam na niewzruszonej opoce, będzie wskazywał społeczeństwu cel, do którego powinno zmierzać. Drżąc ze wzruszenia i niepokoju, wskazywać mu będzie niebezpieczeństwa, szkopy, przyczyny wstrząśnień i zamieszek; będzie przynaglał społeczność do podążania naprzód, dopomoże do urzeczywistnienia tu na ziemi wolności, braterstwa, równości i postępu; a wśród tych szlachetnych usiłowań o ugruntowanie w sprawiedliwości królestwa ziemskiego nauczy ją nie tracić z oczu Królestwa niebieskiego.

Oto czem stawać się będzie coraz bardziej religja. Będzie się ona unosiła nad zdziwionemi i wdzięcznemi ludami nietylko jako arka, która w potopie chwili obecnej chroni nasienie przyszłości: ale jako współczujący anioł stróż zagrożonych dusz i społeczeństw.

Choć więc smutne są czasy obecne, obok choroby widzimy i lekarstwo. Z jednej strony społeczeństwo pogrążone w rozstroju, z zachwianemi podwalinami, niespokojne i chore dusze; z drugiej — religja, nabierająca hartu w próbie ogniowej, nosząca aureolę pokoju na czole a nieśmiertelne obietnice i pociechy boskie w dłoniach. Trzeba więc tylko zbliżyć do ust chorego ożywcza i zbawcza czara, aby go zbawić i uleczyć.

Wzdraga się on coprawda. W samej Francji jest obecnie wielu ludzi, łamiących sobie głowę nad tem, jak się wydzwignąć z toni, nie wracając do religji. I wskutek

tego właśnie, że ich marzenia nie dadzą się urzeczywistnić, chwila obecna ma taki groźny majestat. Trzeba zginąć albo powrócić do Boga. „Ta przełomowa chwila, mówi o. Lacordaire, w której wybierać potrzeba między prawdą a fałszem, dobrem a złem, zawyrokuję o losie ogółu. Jeżeli sześćdziesiąt wieków czynnego wdania się Opatrzności zahartowało dostatecznie człowieka, by się mógł oprzeć trawiącej go truciźnie, trzeba oczekiwać najwznioślejszego z cudów, zmartwychwstania. Jeżeli zaś nasza osłabła inteligencja nie pozna pozostających nam jeszcze środków ratunku, albo choć rozum poznał źródło ocalenia, wola nasza nie stanie na wysokości obowiązku, to możemy spodziewać się jedynie ostatniej uciechy pychy zadowolonej z odtrącenia życia”¹⁾).

Ostatniej uciechy lub ostatniej boleści, boć społeczeństwa, jak ludzie, kończą zwykle we łzach!

Wszystko więc zależeć będzie od lat, które mamy przed sobą. Wiek ten mógłby jeszcze skończyć chwalebnie; ale może skończyć haniebnie. Zaczął się on niespodzianym rozkwitem genjuszu, wymowy, poezji, nauki. Wszystkie dary zbiegły się u jego kolebki. Jakiż będzie jego koniec? Czy odnajdzie w ostatnich chwilach dary pierwszych lat swoich? Czy też pograży się w odmęcie bezbożnego materializmu i zginie we wstrząsach wojny domowej? Wszystko zależy od pytania: Czy powróci do Boga? Zważcie, o wieki: *Et nunc, reges, intelligite*. Nadchodzi chwila dania Bogu i religji takiego świadectwa, jakiego nigdy nie dano od początku chrześcijaństwa. Jeżeli będziemy uparcie odtrącali Boga, krwawy ujrzymy koniec. Przeciwnie, jeżeli chore nasze społeczeństwo wyzna błędy i z łoża boleści zwróci ku Bogu błagalne wejrzenie, schylek jego opromieniony zostanie czemś w rodzaju wskrzeszenia Łazarza.

Wyznaję, że nieraz ogarnia mnie smutek na widok chmur, zaciemniających widnokrąg, i na myśl o wielkości zła. Ale czyż ludy, dzięki kropli krwi Chrystusowej, pły-

¹⁾ Lacordaire, *Dzieła*, t. V, str. 308.

nęcej w ich żyłach, nie stały się uleczalnemi? Żaden z nich nie umarł; kilka zmartwychwstało; przywrócił je do życia Chrystus, przypuszczając je do uczestnictwa bolesnej tajemnicy swej męki. Tego oczekuję i teraz. Bóg nas nie opuści; przywiedzie nas do Niego nieszczęście.

Wiek XVIII rozebrał, że tak rzekę, chrystjanizm na części; każdej prawdzie przeciwstawił błąd, będący jej zaprzeczeniem. Oto smutna po nim spuścizna. A oto, co teraz nastąpi: obok każdego z naszych błędów ujrzymy otwierającą się ranę; na każdą ranę będziemy zmuszeni poszukać lekarstwa. Będziemy próbowali wśród omyłek, zanim trafimy na właściwe. Cierpienie nam je wskaże. A kiedy już odnajdziemy wszystkie leki, okaże się, żeśmy sami, nie wiedząc o tem, odbudowali chrystjanizm. Wiek XVIII burzył go śmiejąc się; my go odbudujemy płacząc. Długa to może droga, ale kto wie, kiedy dusze powrócą do prawdy tą krwawą drogą, może nieprędko ją porzucą.

Już teraz mamy ciekawe wskazówki na to, jaki będzie proces powrotu do zdrowia. Nikt nie zaprzeczy, że arystokracja francuska XVIII wieku była bardzo niereligijna, gdy inne stany przechowywały dawne wierzenia wraz z poszanowaniem obyczajów. Każdy też przyzna bez trudności, że w naszych czasach religja odzyskuje wpływ pośród potomków tej samej arystokracji, a tymczasem niewiara szerzy się w średnich i niższych klasach społeczeństwa. I oto rodziny, wówczas najbardziej sceptyczne, stały się teraz najprzykładniejsze.

Otóż nie mogę się oprzeć myśli, że kiedy rewolucja, „która nie dobiegła jeszcze kresu”, wyda wszystkie owoce, analogiczne fakty powtórzą się w mieszczaństwie. Wobec ludu bez steru i hamulca, bo bez religji, mieszczaństwo, widząc zagrożone stanowisko i własność, będącą owocem uczciwej pracy, przejrzy, jak niegdyś szlachta. Oświeci je nieszczęście. Zrozumie, że lud bez Boga jest straszny, ale że lud nie może mieć religji, jeżeli jej nie mają klasy wyższe. Pozbawione spokoju i bezpieczeństwa, nie śmiejące spojrzeć w przyszłość, oczekujące w każde

lat kilkanaście nowych katastrof, zwróci ono oczy ku Niebu. I wnukowie dzisiejszych mieszczan, ludzi żyjących bez Boga i modlitwy, bez ołtarza i obrzędów, staną się szczerymi chrześcijanami. A kiedy niebezpieczeństwa i nieszczęścia, płynące z niewiary, przyprowadzą do Boga klasy rządzące, te pociągną lud za sobą, a wtedy bliskie już będzie ocalenie.

Powiedziałem, że na to długiego potrzeba czasu; tak się przynajmniej zdaje, ale nie trzeba nic zgóry przesądzać. Przebywamy obecnie przesilenie, a chorym dosyć na nie niekiedy kilku godzin. Bo i czegoż potrzeba, żeby nas ocalić? Żywego i potężnego porywu wiary, religijnego i moralnego przebudzenia się klas rządzących. Czyż Bóg nie może nam dać tej łaski? Rzecz szczególna, zarówno intuicja umysłów wyższych, jak instynkt proroczy mas zdają się zapowiadać taki zwrot w dziejach świata.

„Skąd można wiedzieć, powiada de Maistre, czy wielki przewrót moralny już się nie rozpoczął? Niema może w całej Europie człowieka prawdziwie wierzącego, któryby w chwili obecnej nie oczekiwał czegoś nadzwyczajnego. Czyż to ogólne przecucie rzeczy wielkich nie ma znaczenia? Więcej niż kiedykolwiek oczekujemy w gotowości doniosłego wypadku w życiu religijnem, ku któremu zbliżamy się z szybkością, zdumiewającą wszystkich myślicieli”.

I pisarz proroczy spostrzeża jedną z cech tego przyszłego stanu. „Wszystko zapowiada jakąś wielką jedność, ku której zdążamy szybkim krokiem”.

Mówił to wtedy, kiedy nie przypuszczano nawet, że ziemia cała może być połączona prądami elektrycznymi. A jako środek wskazuje odrodzenie religijne. „Zbliżamy się, powiada on, do największej epoki religijnej... Zdaje mi się, że każdy prawdziwy filozof musi wybierać pomiędzy dwiema hipotezami: albo że się utworzy nowa religja, lub też że chrystjanizm zostanie odmłodzony w jakiś nadzwyczajny sposób”¹⁾.

¹⁾ De Maistre, *Soirées de St.-Petersbourg*. Wieczór X.

Wszystkie wielkie umysły, a co dziwniejsze, głosy tajemne ogółu przepowiadają to przebudzenie religijne, ten bliski triumf wiary i religji. „Ujrzymy, mówi uczony historyk, nowy zwrot w dziejach chrystjanizmu, który skupi dokoła niego wszystkich chrześcijan i nawróci nawet niedowiarków”¹⁾. Tego zaś zwycięskiego zwrotu, o którym mówi inny głęboki filozof, dokona Bóg nie ręką ludzką, ale niepokonaną siłą wydarzeń: „Jedni przypisują mu doniosłość polityczną, inni — społeczną; ja spodziewam się po nim bardzo prostego wyniku teologicznego: fakty dowiodą upadku człowieka. Reszta przyjdzie sama.

„Okaze się, że zło jest w naturze ludzkiej. Trzeba będzie zadać sobie pytanie, skąd ono pochodzi... Przewrót ten sprawi to, czego by nie sprawili wszyscy heretycy, filozofowie i prawodawcy wzięci razem: wprowadzi chrystjanizm w życie społeczne. Zbliżamy się do przewrotu w duszach, któremu podobnego nie było od początku chrześcijaństwa”²⁾.

A przewrót ów, „ta jedność w wiedzy i wierze, druga cecha tego przebudzenia, będzie miała donioślejsze wyniki duchowe, mówi pewien historyk-filozof, niż odkrycie drugiej półkuli, albo prawdziwego układu świata, lub jakiegokolwiek inne”³⁾.

„Chrystjanizm, pisze znowu Chateaubriand, wydaje się dziś pogrzebanym, ale jeszcze zmartwychwstanie i stanie się fundamentem, na którym się odbuduje po upływie paru stuleci stare, rozkładające się obecnie społeczeństwo”⁴⁾.

Ze wszystkich przesileni moralnych, umysłowych, religijnych i społecznych to tutaj najbardziej chyba jest przewidziane i przepowiedziane. Ale któż zgadnie, jak się ono dokona? Może nawet cierpień wywoła w ludzkości silniejszy zwrot do wiary? Może tak potrzeba, żeby Kościół i społeczeństwo były objęte w tej samej ofierze całopalnej

¹⁾ Schlegel. — ²⁾ Saint Bonnet, *Des Temps présents*, XXV. — ³⁾ Ranke. — ⁴⁾ Mémoires d'outre-tombe.



i zjednoczyły się pod ciosami tych samych zniewag? Może wtedy dopiero znikną uprzedzenia, kiedy Kościół ucierpi za społeczeństwo, zasłaniając je swem ciałem, a ginące społeczeństwo zmuszone będzie schronić się w objęcia Kościoła? Może Bóg, chcąc uratować społeczeństwo, rozświeci religię nowym blaskiem? Wszakże to On położył kres trzem smutnym i ponurym wiekom katakumb tym rozbrzydkiem światła, który nosi nazwę czwartego stulecia, stulecia Atanazy, Chryzostomów i Augustynów; On zatrzymał Europę na skraju przepaści po krwawych zapasach reformy — soborem trydenckim, dla którego dokonania wzbudził Karolów Boromeuszów, Ignacych i Franciszków Salezych; On, ulitowawszy się szczególnie nad narodem Franków, dał przez nich światu największy wiek religijny i moralny, wiek Bossueta, Pascala, Malebranche'a, Fénelona, Corneille'a, Racine'a, Kondeusza, św. Wincentego à Paulo, te wszystkie znakomitości w jednej połączone wierze. Czemużby nie miał zgotować dziś nadzwyczajnego lekarstwa wobec niezmierzonych klęsk naszych? Czyż genjusz Francji tak już zamarł, że nie może ożyć? Czy jej serce już nie bije? Dlaczegożby Bóg nie umiał jej wskrzesić i wyprowadzić z jej łona ludzi, których potrzebuje społeczeństwo i którzy jedynie uratować je mogą?

Oto, com sobie mówił, będąc obecnym trzeciej sesji soboru powszechnego, który został przerwany, jak i trydencki, ale jak tamten, zakończy się z chwałą. Myślałem o tym wieku niespokojnym, burzliwym, chorym, którego jestem dziecięciem; o tych tumanach fałszywej wiedzy, materializmu i bezbożności, któremi tak niezmordowanie usiłują zaćmić jego szlachetnego ducha; o wypływającej stąd słabości serca i woli; o tych dwóch ludach, walczących w łonie Francji, tej nieszczęśliwej matki; o tych tak szczerych ale i słabych pragnieniach powrotu do Boga, o tylu duszach zbolałych, o tylu rodzinach bez szczęścia, o tylu grobach bez pociechy! A myśląc o tem, widziałem zasiadających w spokoju niewzruszonym, w pogodnej pewności

lat, dawnych biskupów, pasterzy, ojców ludzkości. Przybyli oni tam z Europy, Afryki, Ameryki, z wysp Oceanji. A cóż oni mówili? Mówili, jako wstęp do jeszcze świętszych orzeczeń, że żyje Bóg i dusza, że dla ich złączenia ze sobą istnieją nieśmiertelne spójnie. Mówili, że jest wiara i rozum, nie rozdzielone walką, ale zgodne jak rodzeństwo; że jest wieczność i święte płoną nadzieje na pociechę dusz, którym nie wystarcza ziemia. Oto, co mówili oni. A kiedy ci starzy przedstawiciele mądrości niebieskiej i mądrości Europy, Ameryki, Wschodu, zatem całej ludzkości, wypowiedzieli te uspokajające i ożywcze prawdy, cała bazylika rozbrzmiała radością, i wszyscy wierni chórem złączyli się z głosami biskupów, odpowiadając sobie jakby dwa chóry niebieskie. A kiedy się to działo, miałem nad głową wspaniałe sklepienie Michała Anioła, pod stopami prochy świętych apostołów Piotra i Pawła, a przed sobą Piusa IX i zgrupowaną dokoła niego całą ludzkość w najszanowniejszych i najlepszych przedstawicielach. I wszystkie moje smutki rozwiały się jako cień przelotny. Wielka nadzieja przeniknęła serce moje, i widziałem już w duchu bliskie i nieuniknione połączenie wieku, dążącego do prawdy i cierpiącego nad jej brakiem z Kościołem, strażnikiem prawdy.

II.

Te myśli i nadzieje oderwały nas kilka lat temu od drogich nam studjów hagiograficznych, i budząc ambicję ułatwienia naszemu stuleciu zbliżenia się do Boga, skłoniły do ułożenia tej apologji chrystjanizmu; one też wskazywały nam, poniekąd nawet narzuciły, metodę, której się zamierzamy tu trzymać. Dalecy jesteśmy od tego błędnego mniemania, że jest tylko jeden sposób i jedna forma przedstawienia chrystjanizmu. Święty Piotr, dyktując św. Markowi Ewangelię przeznaczoną dla Rzymian, nie ukazał im Chrystusa poprzedzonego prorocztwami, jak to

był uczynił św. Mateusz, piszący dla Żydów; opuścił nawet piękne sceny Zwiastowania, Narodzenia i Nawiedzenia, któreby nie wzruszyły starych Rzymian, aczkolwiek później odmalowane wykwiłtnym piórem św. Łukasza, zachwyciły Greków. Ludowi, hołdującemu potędze i sile, przedstawił Chrystusa już trzydziestoletniego, poprzedzonego surową postacią Jana Chrzciciela, promieniejącego dostojnym i królewskim majestatem Boga-Człowieka, najwyższego Pana natury, złych duchów i ludzi. I dzięki temu mistrzowskiemu wzięciu się do rzeczy założył Kościół rzymski — dając ten przykład wszystkim apologetom potomnym, jak się powinni starać poznać stan umysłów, by móc im przedstawić prawdę najlepiej przystosowaną do ich usposobienia. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu; trzeba umieć wybrać tę, która odpowiada najlepiej duchowi wieku i którą najłatwiej trafić do umysłów i wskazać im prawdę.

Tymczasem dosyć jest rzucić okiem na wiek XIX, ażeby zobaczyć, jak mało się o to troszczyła metoda apologetyczna, będąca od lat dwustu w użyciu. A oto jaką była. Przedewszystkiem wystawiano słabość umysłu ludzkiego, niedołęstwo rozumu zostawione samemu sobie, jego skazanie przez dumę i występki. Jakaż to zarozumiałość chcieć z tak słabymi siłami samemu dojść prawdy! Jaki ogrom niepewności i błędów! Ile sprzeczności i jaka słabość! W ten sposób usiłowano poskromić i opanować człowieka, żeby go przywieść do stóp prawdy. Więc przeprowadzano go przez labirynt wszystkich nauk filozoficznych i ukazywano stracony trud, sprzeczność i nierozwikłane zagadki; potem przed przedziwne ołtarze wszystkich religij: tam było jeszcze gorzej, tam królowały wszeteczne błędy we wszystkich świątyniach, a wszelkie występki odbierały cześć kadzidlana jako święte. Trzeba wyjść stąd, mówiono; wyjść co prędzej z tej ciemnej otchłani bez powietrza i światła; a ponieważ człowiek nie jest mocen znaleźć prawdy, niechże ją przyjmie z ręki Boga, który mu ją dał jako równoważnik jego słabości a wędzidło żądz jego. Po-

tem przed człowiekiem, znużonym próżnemi temi poszukiwaniami, wyliczano tytuły religii: jej starożytne i stwierdzone Bożą ręką dyplomy; cuda i proroctwa, będące jej fundamentem; natchnione księgi, zawierające słowa samego Boga; i umieszczoną przezeń na niewzruszonej opoce wysoką i nieomylną władzę Kościoła, któremu wykład tych słów jest powierzony. Tam i tylko tam mógł szukać prawdy rozum ludzki. Temu tak upokorzonemu dotychczas człowiekowi pozwalano nareszcie otworzyć oczy, dotknąć ręką podwalin tej budowy i przekonać się o ich mocy. Bo raz uznawszy prawdę chrystjanizmu, przekonawszy się o jego prawach do czci i uznania, nie było już powodu rozprawiać, spierać się, badać. Bóg przemówił, zamilcz więc, marny rozumie ludzki. Trzeba wierzyć i wielbić.

Taka metoda używana jest od dwóch stuleci. Zawiązuje ona początek wiekowi XVI, w XVII została udoskonalona i dziś trzyma się jej wiele jeszcze umysłów. Nie przechodzi nam też przez myśl zaprzeczać jej trafności, ani pomijać jej usług. Niezaprzeczenie wielka jest ta metoda. Tkwi w niej logika, a co rzadsze, wielkość łączy się w niej z prostotą. Harmonizowała ona z genjuszem Pascala, z mistrzowską powagą Bossueta; a ponieważ używali jej oni swojego czasu, pokazuje się, że odpowiadała pojęciu i usposobieniu współczesnych. Ten rodzaj Synaju, u którego stóp można było tylko uklęknąć w uznaniu swej słabości, i ku któremu popychał cię taki Pascal ze szlachetnem oburzeniem i płomienną pięknoscią archanioła, zmuszającego ognistym mieczem do pochodu słabego Adama; ta wspaniała góra, której wolno wprowadzić było badać podnóże, ale której ginący w obłokach szczyt, gdzie przebywa królowa-prawda, pozostawał niedostępnym; ten, słowem, absolutny, królewski chrystjanizm odpowiadał najzupełniej potrzebom społeczeństwa współczesnego Ludwikowi XIV. To też nie myślimy podawać w wątpliwość ani jego surowej a wspaniałej piękności, ani nieprzepartej logiki. Mówimy tylko, że ta metoda nie czyni zadosyć warunkom naszej epoki. Nie uwzględnia jej potężnych prą-

dów naukowych. Nie odpowiada zaciekawieniu, rozbudzonemu ścisłej obserwacji a uwieńczyłemu pięknymi odkryciami. Zanadto jest apriorystyczna dla wieku, słusznie rozmiłowanego w metodzie doświadczalnej, której zawdzięcza tak doniosłe rezultaty. Przytem jest bardzo jednostronna. Nie przeczuwa nawet głębokich harmonij chrześcijaństwa, jego ukrytych piękności. Ugina czoła w posłuszeństwie, nie podnosząc ducha i serca w rozradowaniu światła i w zachwycie miłości.

Innej więc wiekowi naszemu potrzeba metody. Dla zrozumienia, jaką ma być, spróbujmy pojąć, co to jest chrześcijaństwo.

Bóg utworzył wśród nas dzieło, które pod względem piękności z niczem się nie da porównać. A tworząc je dla niezmiiernej różnorodności dusz wszystkich miejsc i wszystkich czasów, przyozdobił je wszelkiego rodzaju powabami. Podnóże jego tkwi mocno w czasie, opierając się na prociwactwach i cudach, szczyt kąpie się w potokach światła. Wymiary ma prawdziwie boskie. Prowadzi doń tysiące dróg. Wspaniałe i bite gościńce i małe cieniste ścieżki. Wszystkimi jednocześnie można doń podążać. A więc: modlitwą, nauką, poezją, miłością, czystością życia, radością nawet, a nadewszystko cierpieniem. Dla dojścia zaś nie potrzeba nawet wysiłku; wszystko nas tam wiedzie, chociaż niema może dwóch dusz, któreby jednakową przybyły tam drogą. Jeden dochodzi drogą szlachetnych zaniepokojenń rozumu, inny — wzruszeń serca lub smutków i rozczerowań życia, niektórzy także dzięki radościom i czystemu szczęściu domowego ogniska. Ale raz tam wszedłszy, żaden nie wychodzi. Wszyscy pozostają w pełnem i doskonałem zadowoleniu najserdeczniejszych pragnień i najwyższych dążeń.

Bo zauważcie, na czem polega cudowność niedorównanej tej świątyni i w czem nieśmiertelny Twórca przeszedł samego siebie. W miarę jak ją wznosił mistrzowską ręką, jak nadawał jej te piękne wymiary, ten doskonały rozkład, tę wysokość połączoną z głębokością, to światło i te pię-

kne, urozmaicone drogi, przystosowywał ją do potrzeb duszy ludzkiej, żeby była nie krępującą ją jarzmą i wędzidłem, ale jej kolebką, jej ochroną, miejscem najczystszych jej radości, najlepszych pociech i wzrastającej piękności. Stwarzał je jedno dla drugiego: duszę dla świątyni, ale bardziej jeszcze świątynię dla duszy, i ażeby tej ostatniej dobrze tam było, ustanowił między niemi najpiękniejszą harmonję.

Ale niedość tego; brał on uczucia, pragnienia, porywy duszy ludzkiej i tworzył z nich żywe kamienie dla swego gmachu. Podnosił je już do godności sakramentów, już do wysokości dogmatów. Tak że chcąc znaleźć wyjaśnienie tych dogmatów, tych tajemnic tak nieraz dziwnych na pozór, trzeba tylko sięgnąć do własnego serca. A ponieważ wzniosła ta świątynia miała być nie tylko ludzką, ale i boską, brał Bóg i własne swe pragnienia, potrzeby swego serca, bo ma serce, dążenia swej duszy, łączył je z ludzkiemi. Jednoczył i mieszał razem. Stapiał je na jeden spiz, tak że stajemy mimowoli wzruszeni i zamyśleni przed temi dogmatami, sakramentami, temi instytucjami, gdzie jest Bóg, jest i człowiek; gdzie się czuje duszę ludzką, ale i więcej niż ludzką. Jakże możecie mówić, że dogmaty chrześcijańskie są dziwne i niezrozumiałe, że pozostaje tylko uchylić czoła i ugiąć kolana przed niemi? A szczególnie jak możecie mówić, że są to rzeczy obce zupełnie naturze naszej i dla upokorzenia człowieka przez Boga wynalezione? Zapewne nie przenikam całkowicie tych dogmatów, ale czynię lepiej, bo je przeczuwam, marzę o nich, noszę ich zaród w najgłębszych tajnikach mej duszy. Nie są one niczem innem, jak najlepszymi porywami mej duszy, memi potrzebami, pragnieniami, aspiracjami, sięganiem do nieskończoności. Oto, co przeczuwam i widzę prawie jak na dłoni.

Nie wynika z tego, biorąc rzeczy bezwzględnie i metafizycznie, ażeby Bóg nie mógł dać nam dogmatów wziętych poza naturą ludzką i nie mających z nią związku, w które jednak wierzyć bylibyśmy obowiązani na mocy

najwyższego słowa, podającego je nam jako prawo. Mówię tu tylko, że Bóg tego nie uczynił: wszystko, co jest ustawą boską i objawioną prawdą, jest też instynktem, potrzebą, porywami i aspiracją naszej duszy. Ale gdybyście nalegali, powiedziałbym otwarcie, że nawet nie mógł tego uczynić. Bo wszak te dogmaty i tajemnice do wierzenia nam podane nie są ani sztuczne ani arbitralne. Wynikają z istoty natury Boga; stanowią Jego jestestwo. A więc i nasze, bo Bóg stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje. Wszystko, co w Nim jest światłem, w nas jest jego odbłaskiem. Wszystkie rysy boskiego wzoru odnajdują się w naszej duszy, jak w kopji, ręką mistrza dokonanej. Tak że dosyć jest wejść w głąb siebie, by odnaleźć te podane nam do wierzenia dogmaty, których dojrzeć w Bogu nie bylibyśmy w możności. Są one w nas w stanie przecucia, a czasem nawet rzeczywistości, skończonej wprawdzie, jak my sami, ale zawsze szczytnej.

Odgadujecie z tych kilku słów cudowny ustrój chrystjanizmu. Bóg go utworzył z natury boskiej i ludzkiej, złączonych ze sobą w sposób niewypowiedziany.

Rorate, coeli, desuper. Oto pierwsza geneza chrystjanizmu. Zstępuje z nieba jako świetlane objawienie serca Bożego.

Aperiatur terra, et germinet Salvatore. Oto druga. Kielkuje z ziemi jako boski rozkwit serca ludzkiego.

Bóg i człowiek harmonizują ze sobą i jednoczą się w religji harmonizującej z obydwoma.

I to jest, mówiąc mimochodem, niespożyta siła chrystjanizmu, tajemnicą nieśmiertelnej jego trwałości. Odbierzcie mu wszystkie zewnętrzne podpory, prorocstwa i cuda; on się nie zachwieje. Usprawiedliwia sam siebie. *Iustificata in semetipsa.* Jeżeli pod niektórymi względami przewyższa naturę ludzką, pod innemi, a nawet i pod temiż samemi, cudownie do niej przystaje. Tkwi korzeniami tak dobrze w nas, jak w Bogu; a najlepiej go określimy, kiedy powiemy, że wykwita jednocześnie z serca Boga i z serca człowieka.

Słyszę już, jak niektórzy oburzać się będą przeciw takiemu pojęciu o ustroju. Ależ, mój Boże, wszak takim jest ustrój przyrody, chrystjanizmu, rodziny, społeczeństwa, wszystkich tych wielkich instytucyj, które Bóg dał nam jako schroniska i ostoje podczas krótkiej naszej pielgrzymki na ziemi.

Weźmy na przykład przyrodę. Stworzona przez Boga, dla nas ma cechy boskie, ale ma i ludzkie. Ten ogrom i pewnego rodzaju wieczna trwałość przyrody, te niezmiernie morza i niewzruszone niebotyczne szczyty, panujące nad spokojnemi dolinami; to życie płynące wiecznie, przepełniające wszystko; i ta dobroć, życzliwość ziemi dla człowieka; ale nade wszystko ten wydzielający się z niej wielki spokój, równie kojący, jak spokój świątyni; czy w tem wszystkim nie widzicie cech Boskich? Z drugiej znów strony, czy te liście, opadające jak nasze marzenia, obłoki pierzchające jak nasze złudzenia, drzewa, obnażające się jak nasze czoła, światła, gasnące jak nasze miłości, nie przypominają nam cech naszych? Natura jest więc podobna w tem do religji. Jest w niej coś z Boga i coś z duszy ludzkiej. Jej tajemnice zdumiewają, jej wielkość przytłacza, ale jej harmonja zachwyca; i są pory, miejscowości, widoki, o których nie umiemy zawyrokować, czy są utworzone na obraz Boga lub duszy, gdyż są obrazem obojga.

To samo można powiedzieć o rodzinie. Ta potrójność w jedności, ta płodność w miłości i przez miłość i wszystkie te prawa niewzruszone, powszechne, tajemnicze, wszystko okazuje obecność Boga i jest Jego obrazem. Ale któż nie wie, że rodzina wytryska naturalnie i samorzutnie ze źródła ludzkiego serca? Prawa jej ciężą tylko sercu zabłąkanemu lub słabemu; serce czyste wskrzesi je zawsze.

Było to wielkim błędem XVIII wieku, że odgadując te cuda w przyrodzie i rodzinie, nie dopatrywał się ich w społeczeństwie i uważał je za instytucję dowolną i sztuczną. A przecież społeczeństwo, równie dobrze jak rodzina, jest zarazem boskie i ludzkie. Człowiek tworzy

je na obraz i podobieństwo swoje. Ale wskroś wszystkie różnice czasu, klimatu i cywilizacji widnieje na niem piętno boskiego wzoru. „Bóg, powiada Bastiat, niemniejszą rozwinął dobroć, prostotę i wspaniałomyślność w mechanizmie społecznym, jak w niebieskim”. Czyli, że wyrzył tyle głównych cech swoich na społeczeństwie, co na przyrodzie.

Tak więc Bóg, dusza, natura, rodzina, społeczeństwo — wszystko to tworzy harmonijny zespół. Nie można wydobyć jednego dźwięku, żeby się nie odezwała cała gama. Jest to olbrzymia i melodyjna klawjatura, w której każdy ton brzmi zgodnie z innymi.

I to właśnie stanowi szczęście oświeconego chrześcijanina, który porusza się w pełnym świetle. Przebiega on całą skalę istot żyjących od atomu do Stwórcy, od nieskończenie małych do nieskończenie wielkich. Wszędzie z zachwytem spostrzega stosunki i podobieństwa. Za każdym krokiem otwierają się przed nim nowe widnokreśli; każdy widnokrąg nowe przynosi światło. A podziw na widok tych cudów, niemożność ogarnięcia ich myślą, wzruszenie, które mu daje śmiałość jego lotu, bezpieczeństwo, odczuwane w łonie tych bezgranicznych przestworów — wszystko to daje mu duchowe zadowolenie, o którym żadna z nauk ludzkich nie może dać pojęcia.

Ale z tych słów niewiele możecie już sądzić o słabości apologetyki, używanej w wieku XVIII, i wytłumaczyć sobie jej jałowość. Już wiek XVII zanadto lekceważył tę głęboką harmonijność wszechświata. Z wyjątkiem miłego marzyciela Malebranche'a, i śmiałego poety Bosueta, którzy rozumieli tę stronę chrystjanizmu, bardziej dzięki wielkości umysłu, aniżeli ścisłości badań, trzymano się jej zewnętrznej metody, o której wspominałem już. Gorzej jeszcze było z nastaniem wieku XVIII. Tym, którzy się śmieli z tajemnic religii i przedstawiali je jako rzeczy dziwne, niedorzeczne, przeciwne naturze ludzkiej, umiano tylko odpowiedzieć: „Rozpatrzcie dowody. Wszystkie te prawdy są gruntownie udowodnione”. A filozofowie na to: „Co nas to obchodzi, że są udowodnione, kie-

dy są niedorzeczne”. Trzeba było wejść śmiało w głębię chrystjanizmu, odsłonić jego najistotniejsze prawa, wykazać ich zgodność z prawami duszy, rodziny, społeczeństwa, natury, porównać ze sobą wszystkie te światy, a z porównania tego wyprowadzić poglądy, któreby może wzruszyły wiek XVIII; bo choć tak płochy, zachował on był żywe poczucie piękności natury, łącząc z niem szlachetną namietność w poszukiwaniu sprawiedliwości społecznej. Były to jakby dwie ratunkowe liny, któreby można było chrześcijaństwu powrócić.

Bóg chciał widocznie, ażeby ta głęboka apologetyka, która była chwałą Ojców Kościoła i wielkich teologów, św. Augustyna i św. Tomasza, tak zaniedbana przez wiek XVII, mimo *Elévations sur les Mystères* i *Conservations chrétiennes*, tak zupełnie i okrutnie obca wiekowi XVIII, była zachowana dla naszego stulecia. Zabłądziła niejako wraz z jego światem. A dowodem, iż ono tej właśnie metody potrzebuje, jest to, że wszyscy nowocześni apologety, przynajmniej z gwiazdą na czole, nią się tylko posługiwali. Pierwszy wskazał jasno drogę de Maistre temi pełnemi doniosłości słowami: „Niema w Kościele katolickim ani jednej prawdy wiary, ani nawet powszechnego zwyczaju w rzeczach karności, któreby nie miały swej racji bytu w najgłębszych tajnikach natury ludzkiej”¹⁾. Powiedziałby wszystko, gdyby był dodał: „I w najgłębszych tajnikach natury boskiej”. W innem miejscu mówi: „Gdyby ktoś napisał wyczerpujący traktat o analogji dogmatów i zwyczajów katolickich z wierzeniami, podaniami i zwyczajami całego świata, byłoby to dzieło nowego rodzaju nie mniej od innych przekonywające. Podkopałoby ono wiele błędów u samej podstawy. Ale nie tu miejsce rozwodzić się w przedmiocie tak obszernym. Dosyć będzie, gdy zauważymy, że Tertuljan, mówiąc, że człowiek już z natury swojej jest chrześcijaninem, powiedział więcej, niż zamierzał”²⁾.

¹⁾ De Maistre, *Du Pape*, str. 316. — ²⁾ Ibid., str. 30.

Znakomity autor ma słuszość. Ale jest w tem nie-tylko przedmiot dzieła; jest metoda, metoda wewnętrzna, zaniedbana od dwóch stuleci, a dla naszej epoki bezwątpienia najstosowniejsza.

Kiedy de Maistre ją przeczuwał i w paru rozdziałach krótką, ale świetną dawał jej próbkę, Chateaubriand zastosowywał ją w całej pełni. Za mało był chrześcijaninem, ażeby dostrzec szczytność dogmatów, ale jako artysta i poeta rozmiłowany w przyrodzie, odczuwający jej piękności, jak nikt w XVIII wieku; przytem młody, smutny, noszący w swej wielkiej a słabej duszy wszystko, całą burzę i boleść ludzką, poświęcił pióro, namiętniejsze, bardziej porywające, niż pióro Bernardina de St. Pierre'a i Roussa, wydobyć na światło piękności chrystjanizmu. Ludzkość zadrżała i podniosła głowę. Ten stary pomnik wieków gotyckich, ten chrystjanizm tak ośmieszony w innem jej się ukazywał świetle.

Pożałowania godne było nie to, że w tej apologii został w cieniu całokształt prawd i tajemnic wiary. Autor nie był zdolny wydobyć ich na światło, a jego epoka nie dorosła jeszcze do ich zrozumienia. Ale jako współczesny tej rewolucji, która wstrząsając światem, karała marzycieli, naruszających podwaliny społeczne, mógł być rzucić niejako światło na harmonję porządku religijnego z porządkiem społecznym. U schyłku życia odczuwał tę wielką lukę, unosząc żal do grobu. „Gdyby, powiedział, *Genjusz chrystjanizmu* nie był jeszcze napisany, wobec dzisiejszych przekonań religijnych napisałbym go całkiem inaczej. Zamiast przypomnieć dobrodziejstwa naszej religii w przeszłości, wykazałbym, że chrystjanizm jest myślą przyszłości; że ta myśl zbawcza i mesjaniczna jest jedyną podstawą społecznej równości, i że ona jedna równość tę może zaprowadzić, bo przeciwstawia jej potrzebę obowiązku, któryby miarkował i regulował instynkt demokratyczny. Legalność nie jest dostatecznym hamulcem, gdyż nie jest trwała. Czerpie siłę w prawie, a prawo jest dziełem ludzi, istot zmiennych i śmiertelnych. Dowiódłbym,

że wszędzie, gdzie chrystjanizm otrzymał przewagę, zmienił panujące przedtem ideje, ustalił pojęcie sprawiedliwości i krzywdy, zastąpił zwątpienie pewnością i uwzględnił w nauce i wskazówkach potrzeby całej ludzkości¹⁾.

Ten piękny program, który widział jasno na łożu śmierci Chateaubriand, podjęty został przez o. Lacordaire'a. Odrzuciwszy bładą i zimną metodę zewnętrzną, przyzwał on na pomoc metodę bezpośredniej obserwacji i wnioskowania w głąb rzeczy, poświęcił całe życie, całą wielką duszę i pióro wymowne zbadaniu chrystjanizmu. Niektóre jego strony wyświecił po mistrzowsku. Szkoda wielka, że krępowany swem audytorjum, które uważał, niesłusznie, według mnie, za zbyt mało chrześcijańskie, nie ośmielił się sięgnąć do głębi i zbadać dogmat w całej jego pełni. Jak wielki orzeł, unoszący swe pisklęta na skrzydłach (lubił to porównanie), krążył przez lat dziesiątek około wzniesłego gmachu, rzucając za każdym ruchem skrzydeł świetlane błyskawice, a czasem prawdziwe gromy. Zawsze zostawiał za sobą smugę świetlaną; ale oświetlił tylko najdostępniejsze części świątyni, a nadewszystko tę stronę społeczną chrystjanizmu, która tyle mu dawała do myślenia w pełnej zwątpień młodości, a potem była mu drogą powrotu do Boga. Części przybytku najtajniejsze i najpiękniejsze pozostały, niestety, w cieniu. Mówią, że i on umierał również z żalem w duszy. „Gdybym miał teraz wygłaszać konferencje, powiedział, innej trzymałbym się metody“. Ale niech spoczywa w pokoju na tej roli, którą uprawiał. Niewszyscy mogą mieć nadzieję usypiać z tak pięknym plonem.

Czy mam wyliczać po nim innych apologetów XIX w., którzy chcąc bronić chrystjanizmu, uznali za najlepszy ku temu środek wydobywanie najaw jego głębokiej harmonji z najlepszymi pierwiastkami tkwiącymi w człowieku. Zalicza się do nich taki August Nicolas, którego piękne *Studja filozoficzne* doczekały się dwudziestu wydań i były jednym z najwspanialszych darów, jakie dobroć

¹⁾ Chateaubriand, *Mémoires d'outre tombe*, t. VI.

Boża mogła uczynić stuleciu¹⁾); byłyby one głębiej przeniknęły do dusz, gdyby był, jak mu to mówił z żalem o. Lacordaire, zgłębił gruntowniejszą wewnętrzną istotę dogmatów. Uczzone prace apologetyczne arcybiskupa z Malines, ks. Dechamps, posunęły tę metodę znacznie naprzód; autor ich streścił całą polemikę religijną w tej przedziwnej formule: fakt zewnętrzny, fakt wewnętrzny i sprawdzenie jednego przez drugi. Biskup Gerbet napisał tylko dwa krótkie, lecz pełne namaszczenia dziełka: jedno o Pokucie, jako o przyjaźni, podniesionej do godności Sakramentu, drugie o świętej Eucharystji, jako o przebóstwionej miłości. Nakoniec Ozanam i ks. Perreyve za przelotnej bytności na ziemi niedokończonymi dziełami pozostawili w Kościele smętne a wzruszające wspomnienia.

Najlepszym dowodem, jak bardzo ta wewnętrzna metoda narzuca się naszej epoce sama, jest to, że wszyscy ci z pomiędzy współczesnych, którzy przedsięwzięli obronę chrystjanizmu, tą a nie inną drogą się posługiwali, przemawiając do stulecia, którego byli synami, gorąco pragnąc jego nawrócenia. Rzeczywiście odpowiada ona temu nastrojowi umysłów, który w czasach naszych wydał w literaturze poezję subiektywną, w filozofji metodę psychologiczną, a w naukach zwłaszcza metodę obserwacyjną, która nie jest wcale nową (zaczyna się bowiem od Sokratesa), którą Bacon upowszechnił, a cudownie posługiwał się Kartezjusz; ona stworzyła psychologję i fizjologję i jest zasadniczym prawem wszystkich nauk i warunkiem ich postępu. Zastosowana tu z odwagą, dobrą wiarą i cierpliwością zaprowadzi nas może do wielu pięknych i wzruszających odkryć.

Nie wynika z tego, ażebyśmy mieli zaniedbywać dowodów zewnętrznych. Czyż się zna katedrę, gdy się widziało tylko jej wieżycę i kolumnadę? Ale czyż można utrzymywać, że się ją zna, gdy się widziało tylko ołtarze? Zewnętrzna i wewnętrzna strona zarówno widzieć potrzeba.

¹⁾ Lacordaire w liście do Augusta Nicolas.

Pomodliwszy się i oddawszy cześć w tajemniczym mroku otaczającym Święte świętych, trzeba wyjść z gmachu, obejść dokoła i zobaczyć go w całej wspaniałości na tej skale, na jakiej go umieściły: wiara i genjusz.

Jakże zresztą mamy zaniedbywać zewnętrznych dowodów w wieku, który im dodał nowego blasku, stwierdziwszy raz na zawsze autentyczność Starego Testamentu w przedziwnie odkrytych starożytnych rękopisach, całych rozdziałach Biblii na kamiennych tablicach, w Niniwie, w Babilonie, które oglądać można teraz w Paryżu i Londynie. Jakże można je pomijać dziś, kiedy postać uwielbiona Jezusa Chrystusa przybiera coraz większy blask w oczach krytyki, niby niebo gwiazdziste, widziane przez teleskop; kiedy zamieszki społeczne dają uczuć coraz więcej potrzebę i niezbędność Kościoła; kiedy historia, nauki ścisłe, lingwistyka i filologja przynoszą codzien na poparcie starej prawdy katolickiej niespodziane i niezbite dowody? Daleka też jest od nas myśl zaniedbywania dowodów zewnętrznych. Ale i tam chcielibyśmy zastosować metodę. Nie wystarcza nam fakt goły. Chcemy go przeniknąć wzrokiem; obok zewnętrznego dowodu chcemy postawić zawarty w nim dowód wewnętrzny. Jak ci średniowieczni artyści, budujący katedrę w Amiens na przykład, którzy zmuszeni używać w wyniosłych budowlach filarów i ścian, zaczęli je wypróżniać niemal do przeźroczystości; tak i Bóg stworzył przejrzyste podwaliny chrystjanizmu, jak filary i łuki jego gmachu; to też trzeba być napół ślepym, ażeby widzieć tylko ich grubą i materjalną stronę zewnętrzną.

Oto jest nasza metoda. Zowiemy ją wewnętrzną, w przeciwstawieniu do metody używanej od dwóch stuleci, którą nazwaliśmy zewnętrzną. Nie dlatego, powtórzmy to raz jeszcze, żebyśmy ją odrzucali, ale że pragnęlibyśmy ją przeistoczyć w zastosowaniu. Nie uważamy też bynajmniej dwóch tych metod za przeciwne sobie: owszem, podtrzymują się one wzajem i od wieków osiemnastu przechodzą świat solidarnie. Są to dwie siostry bliźnie, nierówne co

do piękności, lecz mające to samo zadanie: pokazać nam świątynię. Jedna każe nam podziwiać jej budowę zewnętrzną, mocne podwaliny, ogromem wspaniałości zdumiewający całokształt; druga wiedzie nas prosto do jej wnętrza. Tamta wykazuje tobie starożytność i wiecznotrwałość chrystjanizmu, jego prorocstwa, cuda, wpływ dobroczynny, słowem żywą czarę, zawierającą prawdę, i każe ci na ślepo klękać przed nią w podziwie; ta śmielsza podnosi pokrywę naczyń i daje kosztować boskiego napoju. Może się chrystjanizm zatrzeć w pamięci, jeżeli się go zwiedziło z pierwszą tylko; ale gdy druga zawiodła cię do przybytku i uchyliła jego zasłonę, kiedy ustom twoim pozwoliła dotknąć boskiego owocu, gdyś widział wewnątrz chrystjanizmu, nie zapomnisz go już nigdy!

Naszą ambicją byłoby przeniknąć pod przewodnictwem tej, nie zaniedbując tamtej, w głębie przybytku, bo tam przebywa Bóg w świetle, wobec którego błędnie wszystko.

III.

Ale dosyć już mówić o duchu i metodzie naszej pracy; zakończmy ten wstęp kilku słowami o jej planie. Plan ten staraliśmy się uprościć. W czterech krokach, wypływających logicznie jeden z drugiego, unikając niektórych drażliwych kwestyj, tamujących zazwyczaj drogę, działając wielkimi rzutami i że tak powiem wielką oczywistością, mamy nadzieję doprowadzić duszę dobrej woli do światła prawdy i doskonałej praktyki zasad chrystjanizmu.

Naprzód, w pierwszej księdze, nazwanej *Wiara i Niewiara*, przedstawimy piękności jednej, boleści drugiej; miejsce jej obu w sprawach ludzkich, prywatnych i publicznych. I na samym wstępie tej metody nie będziemy patrzyli na religję z zewnątrz, ale będziemy szukali jej ostatecznej racji bytu w Bogu i w człowieku. Z jednej strony człowiek, najlepszymi pierwiastkami — umysłem, sercem, sumieniem szukający i przyzywający Boga. Jest

to jakby przypływ morza, wciąż przybierający, w którym wszystkie nasze władze idą do Boga coraz wyżej wznoszącymi się falami. Z drugiej strony Bóg, który odpowiada człowiekowi, skłania się ku niemu, zniża. Bóg i człowiek, łączący się wzajem: oto religja. A ponieważ jest ona z istoty swojej zarazem boska i ludzka, nic nie może obniżyć jej wartości; albowiem ani nauka, ani filozofja i historia, ani ruch przemysłowy, polityczny, społeczny nie mogą jej postawić żadnego poważnego zarzutu. Owszem, każdy wiek nowe przynosi świadectwo, że poza tym świętym stosunkiem Boga i człowieka, dla człowieka pozostaje tylko próżnia, niezadowolenie, niepokój umysłu, zwątpienie serca; a dla rodziny, społeczeństwa, ludzkości, tylko nieszczęścia i ruiny. Tyle zaś nasze czasy dostarczają tym dobroczynnym prawdom nowych, niezbitych argumentów, a z drugiej strony tak bardzo jesteśmy zatruci niewiarą, tak nam jest trudno pozbyć się jej zgubnego jadu, a tak tego potrzebujemy, że poświęcimy tej pierwszej księdze tom cały; szczęśliwi, jeżeli ci, co będą mieli cierpliwość przeczytać ją do końca, powiedzą sobie: „Prawda, człowiek potrzebuje religji. Rozum, sumienie, szacunek samego siebie, honor, dbałość o przyszłość nie pozwalają mi żyć dalej bez religji i Boga”.

Oto pierwszy krok, który nazywam pierwszą nieodzowną prawdą.

Po dojściu tam nasuwa się drugie pytanie. Człowiek potrzebuje religji, ale jakiej? Czyż nie wystarcza religja przyrodzona? Pojmuję przez to tę religję, tylko co opisaną, w której człowiek wznosi się do Boga cziłą, prośbą, dziękczynieniem, a Bóg zstępuje niewidzialnie do człowieka pomocą. Czy potrzebna jest religja objawiona, zawarta w formułach danych przez Boga; jakaś zewnętrzna jej architektura, do której Bóg przyłożył rękę widzialną i którą nakazał ludzkości?

Dawna apologetyka kładła szczególny nacisk na nie-dostateczność przyrodzonej religji. Wykazywała niemoż-

ność poprzestania na niej dla jej niedokładności, niejasności i nieusankcjonowania. Dowodziła, że w rzeczywistości nie wystarczała ona nigdy, i starała się widokiem potwornych błędów, jakich nie zdołały uniknąć najogładzeńsze w świecie narody, widokiem strasznych rozprzężeń obyczajów, jako smutku i następstwa tych błędów, przygotowywać umysły do uznania potrzeby religii pozytywnej, której istnienia dowodziła następnie na podstawie ksiąg świętych, a szczególnie prorocत्व i cudów.

Nie myślimy bynajmniej odmawiać tej metodzie gruntowności i ścisłości logicznej. Ale ośmielimy się wypowiedzieć przekonanie, że są to drogi zbyt długie i uciążliwe, wymagające znacznej odwagi; wpoprzek ich stają przed czytelnikiem zagadnienia trudne do rozwikłania. Człowiekowi wahającemu się i wątpiącemu każecie się przedzierać przez trzy mroczne puszcze: prorocत्व, cudów i autentyczności ksiąg świętych: *Ibant obscuri sota sub nocte per umbram*.

Napróżno go uspokajacie, mówiąc mu, że trudności metafizyczne na punkcie cudów i prorocत्व, a historyczne na punkcie ich wiarygodności i pewności oraz skomplikowana kwestja autentyczności i wiarygodności ksiąg świętych są małej wagi, że trzeba nimi gardzić, jak próżnemi strachami. On się przeraża. Zaczyna walkę ze drżeniem: *Corripit hic subita trepidus formidine ferrum*.

A iluż zatrzymuje się w zakłopotaniu przed tyloma zarzutami i pomimo waszych zachęt iść dalej nie chcą.

I pocóż zresztą prowadzić ich drogą tak długą i trudną, kiedy Bóg wszystko uprościł? Osiemnaście wieków temu w Jerozolimie zjawił się pewien człowiek. Żył. Nauczał. Umarł. I od tej chwili ludzkość zdumiona tem, co w nim ujrziała, pada przed nim na kolana. Czy ten człowiek jest Bogiem? Bo jeżeli Nim jest, jeżeli ustanowił religję, to cóż mówić o religji przyrodzonej? Gdyby nawet mogła wystarczać ongi, dziś już nie wystarcza. Jest Bogiem. Pozostaje więc nam tylko słuchać Jego głosu i przyjąć Jego religję.

Należy więc zobaczyć, czy Jezus Chrystus jest Bogiem. Na tem polega wszystko. Trzeba przyjrzeć się Jego obliczu, rozważyć Jego słowa, rozpatrzyć Jego czyny; trzeba być przy Jego pierwszym i ostatnim tchnieniu, zarzeć do Jego kolebki i grobu. Bo od tego zależy nasze życie lub śmierć, nasza wieczność.

To jest drugi krok konieczny. I oto się okazuje, że jest to zadanie najpiękniejsze, a zarazem najprostsze i najłatwiejsze.

Po wielkiej oczywistości religji jest druga, niemniej jasna, a jest nią — Jezus Chrystus. Czujecie, że człowiek musi mieć religję, ale nie wiecie jaką. Usuniecie na bok metafizyczne kwestje cudów i prorocत्व; stańcie wobec Jezusa Chrystusa, wobec nieporównanej Jego postaci, Jego życia, Jego śmierci, Jego cnót, jak się staje przed słońcem, i przypatrzcie się Mu.

A trzeba tu podziwiać świętą nowość rzeczy starych i prąd harmonijny, przynoszący każdemu stuleciu rodzaj dowodów dlań najstosowniejszych. Dawniej w Chrystusie widziano tylko wcielonego Boga. Ludzkie piękności Jego umysłu, serca i charakteru niknęły w blaskach Jego Bóstwa. Dzisiaj usunięto tę aureolę, te obłoki kadzideł. Zachwiana wiara i zuchwała krytyka widzą w Chrystusie jedynie człowieka. Sądzą, że unicestwiły Jezusa? Piękniejszym się jeszcze ukazał. Żaden wiek nie znał ludzkiej piękności Jego tak, jak nasz. Szukajcie u Bossueta — za ledwie ją przeczuwa. Szukajcie u św. Tomasza, św. Augustyna, u dawnych pisarzy — znajdziecie kilka pobożnych wzmianek, kilka mistycznych zachwytów na temat słów: „Był najpiękniejszym z synów człowieczych”. Nasz wiek zabrał się pierwszy do naukowych studjów nad pięknościami umysłu, serca, charakteru Jezusa Chrystusa. Wszyscy się do tego przyłożyli, protestanci z równem niekiedy powodzeniem i równie wymownie, jak katolicy, a nawet niedowiarkowie, i to nieraz w sposób, który zadziwia i wzrusza zarazem. Dzieło jest za ledwie rozpoczęte, a już studja te wywołały rodzaj zapału dla osoby Jezusa Chry-

stusa w sercach tych nawet, którzy już stracili wiarę. Chrystus pięknoscią swą podtrzymuje w tych sercach słabnącą religję. A jeżeli w ostatnich latach występny romans, dziś już zapomniany, mógł na chwilę porwać niektóre dusze, to dlatego że wskroś zniewagi i świętokradzkie policzki przebłykiwał jeszcze jakiś cień tej niezrównanej piękności.

Przedstawieniu tej piękności w całym jej blasku poświęcimy księgę drugą. Pierwsza prowadziła powoli do uznania potrzeby religii i ujrzenia jej cech znamienych. Druga gruntownym uzasadnieniem Bóstwa Jezusa Chrystusa dowiedzie, że tą potrzebną religją nie jest religia przyrodzona lecz religia Chrystusowa, chrystjanizm. Księga ta, zajmująca także cały tom, zatytułowana będzie: *Jezus Chrystus*.

Z rozstrzygnięciem tej drugiej kwestji nowe się przed nami otwierają widnokreśli. Jezus Chrystus jest Bogiem wcielonym. Ale dlaczego i jak? Czy wiadome są tego powody? Jeżeli zadaniu mógł podołać człowiek, pocóż Bóg? Jeżeli zaś Bóg był tam potrzebny, poco człowiek? Dlaczego Bóg-Człowiek? W Jego życiu jest krew, płynąży. Jak to wytłumaczyć? Te i tysiące innych ciśnie się pytań. To cały chrystjanizm. W orzeczeniu „Chrystus jest Bogiem” mieści się Trójca Święta, stworzenie świata, upadek człowieka, odkupienie, Eucharystja, czyli całe Credo, zarówno podstawy, jak i szczyty chrystjanizmu.

Tym wielkim zagadnieniom poświęcimy trzecią księgę. Zajmie ona, równie jak dwie pierwsze, tom cały.

Zapewne, nie jesteśmy ani zdolni, ani godni poruszać tak doniosłych kwestyj. Ośmielamy się jednakże obiecać tym, którzy podążą za nami, najpodniosłejsze rozkosze umysłowe. Dogmaty, widziane z zewnątrz, wydają się dziwne i ciemne; ale kiedy się je bada metodą wyżej wskazaną; kiedy się szuka ich pierwszych zarysów, niedoskonałych jeszcze, ale już tak pięknych w sercu człowieka, ażeby potem odnaleźć ich wzniosłe rzeczywistości w sercu Boga: kiedy się idzie od jednej z tych dwóch natur do drugiej, od kopji do oryginału, i widzi się wszystkie te cu-

downe tajemnice naszkicowane w jednej, wykończone w drugiej, nieprzenikalne tu, przysłonięte tam, jak tryskając z tych dwóch natur, rozświetlają wszystko w naukach, sztukach i w każdym rodzaju spraw ludzkich, wówczas czuje się, że wszelka wątpliwość jest niemożliwa, i z tego bezpośredniego widzenia osiąga się światło, którego nic nigdy nie zdoła zasłonić, zaćmić a tem mniej zagasić. Trzeciej księdze, w której naszą metodę sięgania do jądra kwestji postaramy się doprowadzić do ostatnich granic, damy tytuł: *Dogmaty. Credo*.

Łatwo się domyślić, że nie tu koniec naszego zadania. Być wierzącym, być chrześcijaninem to już wiele, ale nie dosyć. Trzeba być katolikiem. Kościół więc będzie przedmiotem księgi czwartej. Wykażemy, że ze wszystkich społeczności, mieniących się być dziećmi Chrystusa, posiadaczami cennego skarbu Jego nauki, Kościół katolicki odpowiada tym roszczeniom. Przedmiot ten traktować będziemy, unikając spornych kwestyj i walk niepotrzebnych. Czysty i spokojny obraz piękności Kościoła starczy, ażeby uniemożliwić wszelkie porównania. *Incessu patuit Dea*. On tylko jeden ma tę postawę królewską i sposób postępowania świadomy swej prawdziwości. Poprzestaniemy na przedstawieniu ustroju Kościoła, jego ześrodkowania w Rzymie, promieniowania na świat cały i tajemnicy jego żywotności, której żadne przewroty nie mogą stłumić. Będziemy się starali zbadać stosunek jego do tego zbiorowiska pojęć, uczuć i instytucyj, które przyzwyczajono się nazywać nowożytnem społeczeństwem, a może z pomocą Boską uda się nam rzucić kilka jaśniejszych promieni na to trudne zagadnienie, tak dziś zadrażnione a tem samem ciemne. Czwartą tę księgę zatytułujemy: *Kościół*.

Jeżeli się nie mylimy mocno, to czytelnik po przeczytaniu owych czterech tomów, zrozumie, że winien życie Bogu, życie swego rozumu, serca, sumienia; że nie tylko winien je Bogu, ale i swoim: rodzinie, ojczyźnie, ludzkości; że powinien oddać się w służbę prawdzie i dobru, żyć w zapomnieniu o sobie, w poświęceniu, modlitwie, czysto-

ści, żyć użytecznie, nie obawiać się śmierci, iść odważnie na powitanie wieczności. To jest ostatni krok, do którego postaramy się go zachęcić, oraz treść ostatniej księgi, która będzie nosiła tytuł: *Życie chrześcijańskie*.

I otośmy u szczytu rzeczy boskich w czterech krokach, którebyśmy mogli skrócić o wiele; nie leży to wszakże w naszych zamiarach, gdyż mamy wstręt, szczególnie w religii, do małych książeczek. Pragnie ich lenistwo, ażeby przerzuciwszy je w przeciągu paru godzin i nic nie znalazłszy, bo i cóż można znaleźć w tak krótkim czasie? mieć pozór do uspokojenia się i usnięcia na nowo. Zresztą, nie piszemy ani dla ciekawych, ani dla próżniaków; piszemy dla chorych. A wszak żadnej choroby nie można wyleczyć w godzinę. Trzeba na to czasu i odwagi. Ponieważ zaś ci, dla których piszemy, chorzy są w różnym stopniu, chcieliśmy, aby każda część naszego jednolitego dzieła tworzyła odrębną całość i mogła być dowolnie wybrana. Wszystkie jednakże części są z sobą w związku i podtrzymują się wzajem. Są ustosunkowane w ten sposób, ażeby stopniowo przywieść najobojętniejszego nawet dla religii człowieka do doskonałego życia chrześcijańskiego. Tak jest, dajcie mi człowieka o duszy odważnej, umyśle nieuprzedzonym, sumieniu prawem, sercu żywo czującym: a jeżeli się zgodzi iść za nami, choćby zapomniał wiary swego dzieciństwa, doprowadzimy go z pewnością i niezawodnie do pełnego posiadania prawdy. A w miarę odradzania się wiary w jego duszy, przez jakież piękności, w jakimż zachwycie wznosić go będziemy powoli z sobą aż do uwielbienia i miłości dla Tego, który jest niewysłowiony w dziełach swoich!

Nie żebyśmy w tak wielkiem przedsięwzięciu liczyli na siły własne. Otośmy już przygnębieni i zmieszani na samą myśl o jego ogromie, o trudnościach wykonania, o zaletach umysłu, serca i duszy potrzebnych do wykończenia każdej z jego części. Już dla samego odtworzenia tego słodkiego i czystego krążganku, zowiącego się Religją, nie zanadto byłoby genjuszu takiego Fénelona lub Maëbranche'a; nie

zanadto Rafaela lub Fra Angelico dla odmalowania uwielbionej postaci Chrystusa, dla odtworzenia jej idealnej piękności; nie zanadto Michała Anioła lub Bossueta dla wykazania harmonji wymiarów tej przedziwnej świątyni, zowiącej się Kościołem; nie zanadto Franciszka Salezego, ażeby nas prowadził trudnemi lecz tak zawsze miłemi drogami cnoty. A oto my chcemy sami zbudować cały gmach, mimo żeśmy niedorośli do tego podwójnie, bo ani talentem, ani, co straszniejsze — duszą.

Wszystko prawda niestety, ale wesprze nas Prawda najwyższa. Ona, przebywająca chętnie na ustach dziecięcych, posługująca się rzeczami nie istniejącymi dla zawstyżenia, a więcej jeszcze dla zbawienia istniejących; ona która od lat tylu napełnia nasz umysł tak jasnym światłem i w tem już życiu uszczęśliwia nasze serce najwyższym urokiem swej niczem niezmaconej obecności: ona umocni słabość naszą, ona popłynie z serca nie zasługującego, by ją posiadać, ale nią przepelnionego. Da nam szczęście odbicia nazewnątrz jasności, która jest w nas, jak te proste pryzmaty i odłamki szkła spotykane często na polach, w pyle dróg, które oświecone promieniem słonecznym, nabywają własności przesyłania go dalej, a nawet zwiększania jego blasku.

To też zwracamy się naprzód do naszych czytelników z prośbą, ażeby usterki pracy naszej przypisali nam samym, nie zaś Prawdzie; a następnie pośpieszamy zwrócić się do Kościoła katolickiego, którego jesteśmy posłusznym dziecięciem, szczególnie zaś do świętego Kościoła rzymskiego, matki i mistrzyni wszystkich kościołów, prosząc go o wybaczenie naszych błędów i braków, jako też o ostrzeżenie i sprostowanie mimowolnych omyłek, o ileby się nam wymknęły z pod pióra.

A tym aktem synowskiej uległości nietylko spełniamy obowiązki i czynimy zadosyć potrzebie serca, będącej jednocześnie jego radością i zaszczycem, ale spodziewamy się w nim znaleźć spokój i bezpieczeństwo. Sąd ten, któremu naszą skromną pracę poddajemy, nie krępuje nas

bynajmniej. Mamy przeciwnie żywe poczucie, że nam dopomaga.

Rozwiń więc skrzydła, duszo moja. Przeniknij w najtajniejsze głębie przybytku. Dosięgnij najwyższych jego szczytów. Patrz bez trwogi na najgłębsze tajemnice. Odważ się nawet wzbić na niektóre niebezpieczne wyżyny, na które nie wazyli się jeszcze inni. Nie obawiaj się. Czuj nad tobą oko, widzące jasno. Ręka łagodna a silna gotowa jest wesprzeć cię lub podnieść. Twoja to ręka, Ojcze, Nauczycielu nieomylny wszystkich chrześcijan, któremu serce moje poddaje z radością wszystko, co tylko wyszło z pod mego pióra albo kiedykolwiek wyjdzie!

Emil Bougaud,

generalny wikariusz Orleanu.

KSIEGA PIERWSZA.

WIARA I NIEWIARA.

Tuszę sobie, że czyniąc wszystko, co można, aby zostać zacnym człowiekiem w całej pełni tego pojęcia, pojmiesz, że do tego dojść nie można bez oddania Bogu, co Mu jesteśmy winni.

(Z listu Racine'a do syna.)

PROLOG.

W tej pierwszej księdze pokusiłem się o głębsze studjum religji, nie objawionej, nie chrystjanizmu, ale wziętej jak najszerzej. Kolejno zamierzam opowiedzieć o jej dostojnej i najwyższej konieczności, opisać jej żywą i nie-wzruszoną rzeczywistość, piękno przedziwne, z niej tchnące, i wzruszające skutki jej pełnienia. Przede-wszystkiem jednak podać chciałem jej istotną naturę, gdyż od tego zależy wszystko.

Talensol Wiele przesądów zaciemnia duszom czyste pojęcie religji. Ale najzgubniejszy z nich, mojem zdaniem, jest ten, który widzi w niej tylko fakt ludzki, a później ten, który fałszując i zacieśniając religję, uważa ją za instytucję na-zewnątrz człowieka, obcą jego naturze, dowolną, sztuczną, narzuconą nam z woli Boga jako wędzidło i jarzmo.

A tymczasem religja jest rzeczą i wielką i piękną. Ko-rzeniami sięgając aż do otchłani naszej natury, nietylko dla niej została powołana i nietylko na niej żłobi, albo że tak powiem, odlewa swój obraz, gdyż jeno częściowo wy-łania się z duszy ludzkiej. I wskutek tego nie przesadzi-my, mówiąc, że religja pod niektórymi względami prze-wyższa naszą naturę, pod innemi zaś i nawet pod temi sta-nowi urzeczywistnienie największych i najlepszych naszych pierwiastków. I oto powód, dlaczego aby poznać istotną naturę religji, zajmujemy się wpierw zagadnieniem: Jaka jest prawdziwa natura człowieka? Bo wskutek jej pomi-nięcia o religji krążą pojęcia powierzchowne i bezwarto-ściowe.

Z drugiej zaś strony czem byłaby ta religja, tak pię-kna i zbawienna, właśnie dlatego, że jest tak głęboko ludzka, gdyby zarazem nie była boską? I jak można przypuścić, aby Bóg, czyniąc rzecz tak wielką, nie włożył w nią nic ze swego ducha i serca, ze swej prawdziwej na-tury? Najuboższy w uczynki wkłada w nie jeszcze coś ze

swej duszy. A najbogatsi kimże są jak nie tymi, co wkładają w nie całą duszę?

Po zbadaniu więc istotnej natury człowieka będziemy musieli zająć się bliżej prawdziwą naturą Boga. Wówczas w oparciu trwałem na tych dwóch pojęciach ujrzymy religję, wyłaniającą się, jakgdyby z siebie. Będzie ona prawdziwa, powszechna i wieczna. Okaże się nam taką, jak ją Bóg uczynił a ludzkość zawsze pojmowała, t. j. jako obcowanie rzeczywiste Boga i człowieka, ich wzajemny i konieczny związek.

Poznawszy jej prawdziwą naturę, odkryjemy tajemnicę jej piękna moralnego, jej potrzeby i wpływów potężnych i nieprzepartych na życie prywatne i publiczne.

A potem poznamy tajemnicę chrześcijańską. Albowiem chrystjanizm wyrósł na tym trzonie, zarazem boskim i ludzkim, wieczystej, powszechnej i absolutnej religji; rozkwitł na nim kwieciami najpełniejszym, wydał zeń owoce naturalne, oddawna oczekiwane a pożądane gorąco.

Kto sprawił, że religja, ów instynkt naturalny człowieka, owa potrzeba niezmożona serca, popadła w taką wzdargę dzisiaj i podana została w wątpliwość? Kto mógł Francję przywieść do takiego stanu, jakiego nigdy i nigdzie nie oglądały wieki ni ludy, poczynając od pogan i dzikich? Kto mógł sprawić, że dwie trzecie narodu żywotnego nie utrzymują żadnych stosunków z Bogiem? Kto? Powiemy o tem w tej księdze. Zbadamy przyczyny tego, że tak powiem, dramatu bolesnego niewiary w XIX wieku. Opowiemy o jego smutnym przebiegu. A zwłaszcza zbijemy puste preteksty na jego obronę wysuwane. I czytelnik przekona się, że to święte obcowanie człowieka z Bogiem ze stanowiska nauki jest możliwe, w świetle historii jest pewne, dla społeczeństwa zaś jest konieczne. Nigdzie i nigdy nic ani w nauce, ani w filozofji, ani w przemyśle, ani w polityce nie może się sprzeciwić temu, by Bóg i człowiek, pragnąc się nawzajem, przywołując i miłując, nie mieli się zejść i objąć.

A po stwierdzeniu natury religji wykażemy dowodnie jej możliwość ze stanowiska nauki i potrzebę społeczną; oddamy hołd jej wzniosłej rzeczywistości niejako hymnem na jej cześć. I pozostanie nam tylko oglądać w ciszy błogi obraz jej przedziwnych skutków. Jeden z nich rozwinie my zwłaszcza, mianowicie wyjątkowy dar religji łagodzenia, pocieszania i omal że nie powiem, urzekania na-

szych bólów, usypiania nas w objęciach śmierci jak w kołysce z uśmiechem, zwróconym ku nieśmiertelności. I któż dzisiaj nie odczuwa tego potrzeby; któraż małżonka i matka nie opłakuje kogoś z ukochanych, któryż Francuz nie ma łez w oczach?

Oto mniej więcej treść i plan tej książki, poświęconej całkowicie wyjaśnieniu jak najlepszemu, co to jest religja.

Przez czas pewien pisarze szybko załatwiali się z kwestją religji, rozpatrywanej ogólnie, śpieszno bowiem im było omawiać zagadnienie centralne — religję objawioną. Ale teraz czasy są inne. Podwaliny ziemi drżą wstrząsane burzą. Należy ich szukać poprzez zwaliska i spróbować po odnalezieniu utwierdzić na miejscu pierwotnem. Mnóstwo dusz te tylko podstawy posiada, lecz zachwiane, niepewne, ledwo ledwo trzymające się jeszcze.

Podróżnik, błędząc po naszych miastach nowoczesnych, gdzie tyle znaczy się śladów rewolucyj, często napotyka na pomnik zniszczony. Ząb czasu lub też ręka ludzka odstąpiła sklepienie, pochyliła łuki, potłukła witraże, obaliła krzyże. I oto światło nocy, sącząc się wskroś kamienia, okazuje same ruiny. Na ten widok podróżnemu łąza błyska w oku. Zatrzymuje się. Widzi tylko krypte nietkniętą. Schodzi tam. I spostrzega masywne podpory, którym czas niszczytel nie dał rady. Dotyka ich wzruszony. A potem odchodzi z otuchą, przewidując dzień, kiedy na tych podwalinach dźwignie się znowu gmach wspinały i piękny w starodawnej chwale.

Podobnie i autor tej książki uważał, że naprzód musi odszukać i wzmocnić w duszach podstawy wiary religijnej, zanim na jej koniecznych podwalinach odbuduje wzniosły gmach chrystjanizmu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O prawdziwej naturze człowieka.

Jaka jest prawdziwa natura człowieka? Pytanie to zadał sobie Pascal na początku swego wielkiego dzieła i taką dał odpowiedź.

Kiedy człowiek przygląda się uważnie „przyrodzie w pełni i bujności jej majestatu”, błyszczącym milionom gwiazd ponad nami, „temu jaśniejącemu światłu, które jak wiekiusta lampa oświeca wszechświat”, tym burzącym się na nim i ryczącym oceanom; całej tej wreszcie ziemi, z pozoru tak obszernej, a w istocie będącej tylko „rysem ledwie dostrzegalnym w wielkim obrazie przyrody”; a potem od tego wielkiego i wspaniałego widoku zwróci myśl na samego siebie, — może się słusznie czuć przygnębionym. Bo i czemuż jest on w tym ogromie? Zaledwie przemijającym cieniem. *Sicut nubes... quasi fluctus... velut umbra...*

Ale to się tak wydaje tylko na pierwsze wejrzenie. „Bo przecież, — ciągnie dalej z dumą Pascal, — ten świat przedziwny nie zna siebie, a człowiek go zna. Trzcina jest on tylko najśłabszą w przyrodzie, ale ta trzcina myśli”. Z tego małego zakątka świata, gdzie jest prawie niewidocznym, przejrzał i przeliczył gwiazdy; związał dwie deski, a zaprzęgając wichry do nich, przepłynął na nich morze; zawładnął kulą ziemską, wykarczował ją, użyźnił, ozdobił; opasuje ją teraz żelazem, ażeby móc ją przebiegać tem pośpieszniej; a przyjdzie czas, kiedy nawet przebieganie w trzy dni tak ogromnej przestrzeni nie wystarczy już tej istocie, jak cień przemijającej... *Sicut nubes... velut umbra.*

Ale co mówię? nie wystarczała mu ziemia nigdy. Nawet przed niezrównanymi naszymi odkryciami za mała mu była. O jego pierwszym na nią dumnym a smutnym wejrzeniu tak mówi księga Genezy: „Adamowi nie znajdował się pomocnik podobny jemu”¹⁾.

¹⁾ Rodz. 2, 20.

A potem, gdy już Bóg dał mu towarzyszkę, do niego podobną, która miała ożywić jego samotność i pocieszać go, ani w niej, ani w przyrodzie, ani w niczem stworzonym nie znalazł zaspokojenia swych pragnień, pełnego nasycenia duszy. Spójrzcie na tę szlachetną istotę, taką, jaka wyszła z ręki Boga, pełną zapału a niespokojną, czułą i smętną, dumną i wspaniałomyślną, czującą, że jest większa od wszystkich światów, i pożądającą skrzydeł, ażeby gdzie indziej spocząć mogła. Przejrzyjcie wszystkie władze jej umysłu i serca i powiedzcie, czy choć jedna porzuciła na ziemi, czy choć jedna prostą i przyrodzoną swą dążnością nie unosi jej ponad wszystkie rzeczy stworzone, ponad wszystkie firmamenty i gwiazdy, aż do Boga.

Oto jest prawdziwa natura duszy, dążenie, które stanowi jej istotę. Ale rzeczy tak ważnych nie można traktować pobieżnie. Dążenie to trzeba stwierdzić ze stanowiska naukowego, usunąć co do niego wszystkie wątpliwości; bo jeżeliby się okazało, że to tylko marzenie, to cóż po religii? Byłaby ona urojeniem tylko. Jeżeli, przeciwnie, marzenie to okaże się rzeczywistością, prawdą, jeżeli istotą duszy jest dążenie do nieskończoności, to posiadamy już pierwszy składnik religii. Wejźmy w szczególności bliższe, a ujrzymy już coś z prawdziwej jej natury.

I.

Rozpatrzmy naprzód kolejno wszystkie władze człowieka i zbadajmy ich przyrodzoną, prawdziwą dążność. Zaczniemy od rozumu.

Rozum jest to zdolność poznawania. Cechą jego jest niewypowiedziana potrzeba widzieć i wiedzieć; pragnienie niedorzeczne, czy też szczytne, nieskończonego światła. Nie było mnie wczoraj, nie będzie jutro. Rozumu zaledwie isierkę posiadam. Zdawałoby się, że najmniejszy skrawek nieba, gwiazdka, kwiat jeden powinny mi wystarczyć i zaspokoić. Tymczasem nie. Chcę wszystko wiedzieć, wszystko przeniknąć; umysł mój ogarnia wszystkie czasy, miejsca, przestwory, wszystkie stworzone rzeczy. I jak ten poeta, wołający przed zgonem: „Światła, więcej światła!” — po przewertowaniu wszystkich kart jakiejś księgi, po dotarciu do dna wszystkich nauk, mówię chciwy i nienasycony: A dalej co? Oto umysł człowieka! Każcie mu zatrzymać się przed osiągnięciem nieskończoności, —

unicestwicie go. A nawet, jeżeli dojdę kiedykolwiek do nieskończoności, czuję, że się i tam nie zatrzymam, że zawsze będę postępował naprzód, że nigdy nie nastanie chwila, w której powiem: „Dostyc już widziałem; złoż swe skrzydła, duchu mój; odpocznijmy”. Nie, chwila taka nie przyjdzie nigdy. Podobnie, jak te wielkie okręty, które wypływając na pełne morze z rzek, gdzie ciasne brzegi tamowały swobodę ich ruchów, zdają się rozszerzać, rozwijają wszystkie żagle i przyśpieszają biegu, tak duch mój, przechodząc z niepełnego i ciasnego widnokregu do nieskończoności, czuje, że nową rozpocznie drogę. A droga ta będzie mu zarazem odpoczynkiem, radością i chwałą, jedynym środkiem zaspokojenia niezmiernego pragnienia prawdy, dręczącego go na ziemi, które się w niebie powiększy jeszcze, ale go wciąż dręczyć nie będzie, bo będzie jednocześnie ciągle odnawiane i wciąż zaspokajane.

Nieskończoność jest zatem koniecznym celem dążenia ludzkiego umysłu, jakby oceanem, w którym on dopiero w całej pełni rozwinąć może żagle. Ale to nie wszystko. „Jakże wielkim — powiada Fénelon, — jest umysł człowieka! Zasoby jego muszą go samego zadziwiać, przewyższając jego oczekiwania. Pojęcia jego są powszechne, wieczne i niewzruszone”. W istocie, zbierzcie całą uwagę w chwili, gdy się przedmiot jakiś oczom waszym przedstawi, i śledźcie czynność waszego umysłu.

Widzę ten przedmiot, porównywał go z innemi, wydamę o nim sąd. Ku temu mam w sobie pojęcia ogólne, powszechne, niezmiennie stałe, które nazywam zasadami. Skąd wziąłem te zasady? Czy z przedmiotów, które widzę? Bynajmniej, gdyż nietylko są rozleglejsze, aniżeli ten lub ów przedmiot, ale sięgają one poza zakres wszystkich istot i przedmiotów. Są one wieczne, niewzruszone i niezbędne, kiedy cała natura jest skończona i przygodna. Skądże mi więc przyszły, skoro nie od przedmiotów? gdzie są one? gdzie przebywają?... We mnie? Tak zapewne, ale nie ze mnie, albowiem mną samym rządzą. Czuję, że są wyższe ode mnie. Zamiast móc kierować tym sądem, jestem owszem zależny od niego; jemu poddane są wszystkie moje myśli. Gdy się myślę, on nie schodzi za mną z drogi; gdy spostrzegę błąd, nie on potrzebuje wracać do mety; owszem, nie myląc się nigdy, prostuje mnie i nawraca. Tak, iż są we mnie jakby dwa rozумы: jeden jest mną, drugi nade mną. Jeden — mój własny, niedoskonały, omylny, niepewny, zmienny, chwiejny, uparty i ograni-

czony; drugi — doskonały, wieczny, niewzruszony, niewyczerpany i niepodzielny, chociaż się wszystkim udziela. Taki wniosek wyprowadził i Fénelon; wołał więc, zwracając się do tego wyższego rozumu: „Gdzież jest ten doskonały rozum, tak mnie bliski a tak ode mnie różny? Gdzie jest? Musi on być czemś rzeczywistym. Gdzie jest ten rozum nadludzki? I czy nie jest to Bóg, którego szukam?”¹⁾ Zapewne, jest to Bóg, którego szuka ludzkość. Nie mogę zato być umysłowo czynny bez zetknięcia się mego rozumu z Bogiem. A więc mój rozum jest związany z wiecznością i jakby w nią wrosły. To mówi i Platon: „Umysł ludzki korzeniem swym tkwi w nieskończoności”.

Bossuet wyklada tę samą myśl świetniej, z wymową, nadającą przedmiotowi ruch i życie. Bierze kilka najprostszych pewników: że całość jest większą od części, że prosta linja jest drogą najkrótszą między dwoma punktami. Pewniki te widzi zarazem w rzeczach i umysłach. Ale, powiada, przypuśćmy, że zginą wszystkie rzeczy, że unicestwione będą wszystkie umysły, — czy pewniki te zginą? Czyż nie przetrwają zagłady wszystkiego? Gdzież więc są, jeżeli nie w Tym, który nie może przestać istnieć? A skądże ja je mam, jeżeli nie przez rzeczywistość, żywą, nieustanną łączność z wiekuistą Istotą, w której one istnieją?²⁾

Tak więc umysł ludzki, czy to kiedy dręczony żądzą wiedzy przebiega rzeczy stworzone i, nie nasyciwszy się niemi, sięga w nieskończoność, czy też kiedy zatrzymuje się nad jakimś przedmiotem i do osądzenia go potrzebuje zapożyczyć u wiekuistego rozumu jego niewzruszonych pewników — zawsze się porusza w nieskończoności. Nieskończoność jest zarazem dla niego morzem, na którym rozwija żagle, i ziemią, która go nosi. I dlatego dwa są tylko rodzaje wielkich umysłów: jedne skrzydlate jak Platon, które jednym rzutem przebywają rzeczy stworzone i unoszą nas bez względu na jakiekolwiek granice nieskończoności; drugie spokojniejsze i zimniejsze jak Arystoteles, poruszające się zaledwie, które patrzą na przechodzące przed nimi rzeczy stworzone, wydają sąd o nich, orzekają z przedziwną jasnością o ich stosunkach, zgodności, różnicy; bo ich ciasny, ograniczony i zmienny rozum wspomagany jest i ożywiany bezustanku wiekuistą mądrością.

¹⁾ Fénelon, *Traité de l'existence de Dieu*, cz. I, rozdz. LII, LX. — ²⁾ Bossuet, *Traité de la connaissance de Dieu et de soi-même*, r. IV, § 5. Patrz także jego *Logique*, ks. I, r. XXXVI i XXXVII.

A raczej różnica umysłów leży tylko w ich sposobie działania. Jedne i drugie są wielkie dlatego tylko, że potężniej od innych szybują w nieskończoności.

To też uważcie, że nawet w słowie ludzkim jest nieskończoność. Mowa jego jest jak jego rozum dwojaka: jedna dokładna, ale zimna, ograniczona, ciasna; druga niezmierna, wieczna, nieskończona. Ach, znam ja cierpienia pisarza, mówcy! Bierze go nieraz ochota złamać niewierne narzędzie swej myśli i zawołać z poetą:

Niestety! człowiek ma tylko słowa,
Słowa bez życia i skrzydeł,
Znikome echa
Nieśmiertelnej myśli!

Ale niech zbyt pośpiesznie nie złorzeczy tej mowie, którą ma od Boga. Pod jej pozornym ubóstwem, pod tak czasem ciasnemi jej formami — kryje się nieskończoność. W tem właśnie leży niewymowny urok wielkich pisarzy. Kazań myśleć i marzyć. Mówią wiele, więcej jednak dają do myślenia. Coś głębokiego i niemal ciemnego w największej jasności, coś ukrytego i niewidzialnego, a przenikającego mimo to jak ostrze, coś niewyraźnego i niedopowiedzianego, co budzi w nas tysiące oddźwięków; coś nieujętego a jasnego zdradza nam nagle wielkiego pisarza. Czuję się myśl, która nie jest i nie może być zawarta cała w słowach, gdyż nato z za wysoka pochodzi i jest za obszerna; która zapelnia i przepełnia słowa; którą się jeszcze więcej odczuwa niż pojmuje. Mowa to podwójnie godna uwielbienia, pełna jasnych błyskawic i tajemniczych głębi, pogodnego światła i ukrytego żaru; cudownie nadająca się dla dusz, które Bóg ulepił ze skończoności i nieskończoności; one potrzebują jasno widzieć, ale lubią przewidywać, przeczuwać i szczęśliwsze są czasem przewidując, niżli widząc.

Takim więc jest umysł człowieka. Porusza się w nieskończoności. W tej tylko mierze, w jakiej w niej przebywa, posiada światło, piękno, siłę, wielkość, poezję, rozum nawet. Nie wysnuwajmy stąd jeszcze żadnego wniosku i pomówmy o jego sercu.

Serce jest to zdolność kochania, i zdawałoby się, że ze wszystkich władz człowieka ta powinna być najłatwiejszą do zaspokojenia. Skoro mnie, stworzeniu przemijającemu, dano słodką władzę kochania, dla pocieszenia i upiększenia mojego wygnania, zdawałoby się, że dość mi

otworzyć serce, ażeby je zaspokoić. A jednak, rzecz dziwna! nigdy to mi się nie udaje.

Nie wiem, kto me otworzył serce. Ale jakimkolwiek jesteś, uczyniłeś je bardzo dziwnem, o nieznany budowniczy! Jaki miałeś cel, dając mu tę czułość, którą lada drobnotka wzrusza, i tę głębokość, której nic nie może zapełnić? Wszystko widziane zdala pociąga mię, zachwyca; podchodzę szczęśliwy, lecz skoro tylko zbliżę usta, skoro pić zaczę, opuszczam czarę z okrzykiem rozczarowania: „Tylko tyle! nic więcej!...” I tak schodzi mi smutne życie: od kwiatu do kwiatu, od marzenia do marzenia; wszędzie szukam czegoś, czego pragnie dusza moja, coby jej wystarczyło do szczęścia, a czego znaleźć nie mogę nigdzie!

Pewna dama z wielkiego świata, której Bóg dał wszystko, co stanowi urok życia: wielkie imię, piękny majątek, godnego jej męża, prześliczne dziatki, — mówiła: „Jest we mnie coś, co nigdy nie było zadowolone.” Takie to serce ludzkie. Jest to szczególniejszego rodzaju otchłań. Rzucam w nią wszystkie radości. Otchłań drgnie i zamiast się zapełnić, rozszerza się jeszcze.

Młody, pełen wdzięku pisarz wołał niedawno: „Ach! któż wypowie niezmierzone cierpienia serc na ziemi i jak dalece mowa miłości jest wieczną skargą! Słuchajcie wszystkich głosów duszy ludzkiej; jeżeli człowiek wspomina miłość, to nato, żeby skarżyć się i płakać. Im jest czystszy, tem bardziej się skarży; im wyżej wznosi się ponad poziom, tem więcej cierpi. Jeżeli kiedy niekiedy rozbrzmiewa hymnem radości i przerwie na chwilę tę jednostajność, to święci on zachwyt godziny jednej, który wnet ustępuje bezmiarowi pragnień. Nie będę serca człowieka czego potępiał. Żałować go nawet nie będę. Powinno samo znać swoją wartość. Trzeba mu przytem oddać tę sprawiedliwość, że choć płacze, ranę swoją miłuje i ma wstręt do szukania nań lekarstwa w obojętności. Idź więc dalej, męczenniku wiekuisty! Ludzie nic dla ciebie nie mogą. Wołaj, pragnij, oczekuj, płacz i cierp, napędzając świat pieśnią umiłowanej swej boleści! Tylko pod warunkiem, że będziesz cierpiał, wielkim być możesz”¹⁾.

Często człowiek, zrozpaczony ciągle ponawianą a zawsze tak próżną pogonią, zamyka się w sobie. Z serca płynie mu gorzkie słowa Hioba. Ono to wywołuje szyderstwo na jego wargi. Powiada stworzeniom: „Zostawcie mnie,

złudzeniem jesteście tylko! Chcę sam pozostać.” Ale nigdy rozpacz nie jest okrutniejszą, ból dotkliwszy, próżnia głębsza i straszniejsza, niż wówczas. I słusznie. Miałaby znaleźć w egoizmie to, czego mu dać nie może nawet miłość?

Takie są dzieje serca człowieka, gdy szuka szczęścia u stworzeń tylko. Na podobieństwo ptaka, umieszczonego pod dzwonem maszyny pneumatycznej, niepokoi się, miota, pada, cierpi i umiera, chyba że łamiąc zapory potrafi się wzniesić w czystą i głęboką atmosferę nieskończoności.

Nieskończoność! oto więcej jeszcze marzenie naszych serc, aniżeli potrzeba naszych umysłów; jej to szukamy w uczuciach naszych, ona to stanowi ich piękno a zarazem, niestety, ich nietrwałość i znikomość! Jakaż bowiem istota stworzona dać nam może nieskończoność?... Naprawdę Bóg nas obdarował słodką właściwością, że ukochani są w naszych oczach doskonałymi; naprawdę stroimy we wszystkie wymarzone uroki drogą istotę; za wiele wymagamy od stworzenia i za wiele mu przyrzekamy, więcej niżeli ono i my dotrzymać możemy. Stąd to gdy opadnie zasłona boska, a wątle i niedoskonałe stworzenie ukaże się oczom naszym w rzeczywistej swej postaci, przerażeni jesteśmy swem złudzeniem; cierpimy, czasem buntujemy się, aż dopóki, poznawszy lepiej ułomność rzeczy ludzkich, oświeceni i oczyszczeni, nie zwrócimy się do nieskończonej miłości, ażeby w niej znaleźć dopełnienie naszych znikomych uczuć, które łaska Boga w taki sposób dozwala nam rozwinąć i uwiecznić.

Kto wie też, czy nie dla wynagrodzenia za bolesne zawody serca albo raczej czy nie dla wspomnienia umysłu i serca człowieka w dążeniu do nieskończoności dał nam Bóg tę piękną władzę wyobraźni! Rozumiem przez nią ową potężną zdolność, której zawdzięczamy nasze wzruszenie na widok piękna; która, gdy tracimy z oczu to piękno, odtwarza je jeszcze bardziej uroczem w myślach naszych, a kiedy patrzymy na nie, uzupełnia je i idealizuje; która zaciera jego granice, słabości, niedoskonałości i wady, a wznosząc się pomału do piękna duchowego, w innym i wzruszającym świetle przedstawia nam wszystko stworzone. A to uwielbienie piękna bez zmyły, to czyste i gorące uczucie, które stworzyło poezję, malarstwo, rzeźbę, muzykę; ta wiara w ideał czyli coś doskonalszego, niż wszystko istniejące, cóż to jest, jeżeli nie trzecie skrzydło, które Bóg dał barkom naszym, ażeby nas unosiło w nieskończoność! Bo gdzież jest na ziemi to idealne piękno,

¹⁾ Ks. Perreyve, *Une Station à la Sorbonne*, str. 83.

o jakim marzymy? Ani w jednostkach, ani w zbiorowisku. Pokażcie mi piękność: znajdę w każdej wady. Dajcie mi arcydzieło, a wymarzę większe. Wenus z Milo, wychodząc z ziemi, gasi Wenus Medycejską. Piękne eleuzyńskie marmury usuwają na drugi plan Apollona Belwederskiego. Któż nie wie, że największe arcydzieła pendzla lub pióra są tylko cieniem tych świetlanych obrazów, o jakich marzyli ich twórcy? Wirgiljusz chce spalić Eneidę; Apelles z gniewem rzuca pendzle. Tak zawsze bywa z genjuszami. Im który jest większy, im bardziej się zbliża do ideału, tem lepiej widzi oddalenie odeń. Dlaczego? bo kres ideału jest w nieskończoności.

To właśnie uczucie stanowi piękność, wielkość, cierpienia prawdziwego poety, i stąd pochodzi wzruszenie, z jakim nań mimowoli spoglądamy. Widzi on piękności ziemi, na ich widok ogarnia go zapał. Ale wkrótce one bledną; bo oto jakby rozsunięły się i podniosły jakieś zasłony, ukazując mu piękność niecielesną. Spozstrzega ją z zachwytem, chce ją odmalować, stara się cień jej jakiś przynajmniej odtworzyć: nie może; a jego bezowocne wysiłki, rozpacz, łzy jasno pokazują, że piękno które widzi, jest nieuchwytnie dlatego właśnie, że jest nieskończone.

To samo, co mówię o poezji, powiedzieć trzeba o wszystkich sztukach pięknych, o malarstwie, o rzeźbie, nadewszystko zaś o muzyce. Wszystkie porywają duszę i unoszą w nieskończoność. Spójrzcie na piękne Madonny Rafaela lub na jego świętą Cecylję: czy to wejrzenie, ta twarz, ten uśmiech, ta godność, czystość, te draperje, te wdzięczne linje z tej są ziemi? A czyste te i świetlane postacie czyż nie wskazują niewidzialnego źródła piękna? Weźcie muzykę; a nie potrzeba tu nawet Mozarta ani Beethovena! Świeży, młody głos, kilka dobrze odczutyh dźwięków starczy, aby mnie oczarować i unieść w krainy wiekuistej harmonji.

Uczucie to jest tak dalece prawe w zakresie wszystkich sztuk pięknych, że nikt mu się nie oprze. Choćby się kto wychował w otoczeniu najgorszem, bez wiary podniosłej i bez ideału, choćby się oddał na usługi najbrzydszego realizmu, prędzej czy później ukaże mu się piękno nadziemskie i za karę wyrwie okrzyk uwielbienia. „Któż nie pamięta łez wylanych przez Heinego przed posągiem Wenus z Milo, gdy po raz pierwszy spostrzegł, że potrzebuje się wesprzeć na czemś silniejszym i wyższem od siebie; gdy ta dusza artysty, ta natura tak głęboko estetyczna od-

czuła z goryczą niedostateczność sztuki, tej całej jego dotychczasowej religji i tego piękna ludzkiego, które otaczał czcią gorącą i wyłączną¹⁾. Bo piękna ludzkiego niema. „Piękno, powiedział trafnie Kant, jest to przebłysk nieskończoności. To przeczucie Boga”.

Nie trzeba nawet być poetą, malarzem, muzykiem, by odczuwać te rzeczy; dosyć jest na to być człowiekiem. Któż z nas nie poczuł kiedy w czasie samotnej nad morzem przechadzki, jak się dusza jego wznosiła do Boga?

Kto wśród tych niewypowiedzianych dumań nie doznał niekiedy, jak się do uwielbienia przyłączyła melancholja i dusza zasmuciła się bez przyczyny? Dlaczego, duszo moja, sięgasz wzrokiem ponad gór szczyty? Czego szukasz za morzami, za widnokregiem? O co się pytasz przelotnych jesiennych wiatrów, obumierających liści lasów? Dlaczegoś smutna? Czego ci brak?... Brak nam Boga nieskończoności i On to budzi w naszych sercach ów smutek bez przyczyny, ale i nie bez uroku. Doświadczył go ten szlachetny młodzieniec zgasył przedwcześnie, ale już sławny, który skreślił następujące słowa, malujące całą uczuciowość młodzieńczego serca: „Piękność letniego wieczora, spokój okolicy, podmuch ciepłego wiosennego wiatru, boska czystość czoła Madonny, grecka głowa posagu, wiersz, melodja: jakież ból sprawia mi to wszystko! Im jest większe piękno ujrzone przelotnie, tem bardziej pozostawia duszę niezaspokojoną i pełną nieuchwytnego ideału²⁾. — Doświadczył tego również drugi młodzieniec, tak niestety upadły, ale tak wielki, który grzeszną piękność tylu utworów takimi okupił okrzykami:

Pomimo mej woli nieskończoność mnie udręcza.

I jeszcze:

Na dnie próżnych rozkoszy, które wzywam na pomoc,
Znajduję taki niesmak, że czuję śmierć w sobie.

A nakoniec:

Cierpię
Wielka jakaś nadzieja przeniknęła ziemię;
Mimowoli musimy podnieść w niebo oczy.

Nieskończoność jest zatem celem, do którego dąży dusza na skrzydłach zarówno wyobraźni, jak rozumu; zarówno drogą piękną, jak prawdy i dobra. Nie obsta-
je

¹⁾ Alfred Tonnelé, *Fragments sur l'art et la philosophie*, str. 150. — ²⁾ Ibid.

przy tem ostatniem słowie, bo któż nie zna naszej niemo-
cy w osiągnięciu dobra, o którym marzymy? Któż z nas,
stworzonych dla cnoty, spragnionych sprawiedliwości, śmie
świadczyć o sobie, że sprawiedliwy jest istotnie? Nosimy
w sobie wszyscy ideał dobra, ideał wiecznie żywy, którego
nie może nic zmącić, żadna zbrodnia zagłuszyć, którego
głos, przez nas samych tylko słyszany, mówi nam ciągle,
co jest dobre i święte. Ale czy nie jest prawdą, że tego
nieskazitelnego ideału nie urzeczywistnimy nigdy? Za-
wsze jesteśmy od niego dalecy, a podążając ku niemu wi-
dzimy, jak ciągle przed nami uchodzi, jak się oddala co-
raz więcej, sprawiając nam przez to cierpienie, które
świadczy najlepiej o naszej wielkości. De Maistre mówił:
„Nie wiem, czem jest serce zbrodniarza; znam tylko serce
uczciwego człowieka: jest ono okropne!” Cóż rzec o trwo-
liwym sercu dziewic, poświęconych Bogu! O zachwyco-
nem, lecz tak pokornem sercu świętych! Dziwna jest ta
otchłań sumienia! nigdy nie czuje w sobie większej pust-
ki jak wtedy, gdy zgromadzi w sobie wszystkie cnoty.

Na zakończenie zwrócę uwagę na jeden rys szczegó-
l-ny. Właśnie dlatego, że wszystkie nasze władze zmierza-
ją do nieskończoności, wszystkie nasze wielkie uczucia
przechodzą w uwielbienie. Jesteśmy zawsze skłonni czcić
przedmiot naszej miłości i podziwu. Co mówimy wobec
piękna przed Madonną della Sedia, przed Przemienieniem?
„To godne uwielbienia”. A co jeszcze? „Nie można
o nich mówić, nie można wydawać sądu inaczej jak na
kolanach”¹⁾. A kiedy ktoś zyskał sympatię naszego ser-
ca, i mówimy mu: „Kocham cię”, — trzeba czuwać nad
naszemi chrześcijańskimi ustami, by im się nie wymknęło:
„Uwielbiam cię”.

Teraz zapomnijmy o duszy, zwróćmy uwagę na ciało.
Inne formy, inne dziwy, widok ten sam. Ta dusza, która
rozumem, uczuciem, pragnieniem piękna, sumieniem dąży
do nieskończoności, przykuta jest do ciężkiego, z ziemi
ulepionego i po ziemi czołgającego się ciała. Zdawałoby
się więc, że pod tym przynajmniej względem człowiek po-
przestawiaćby winien na skończoności. Tymczasem nic
z tego. Ciało moje umrze, już niszczeje. Mam zaledwie
lat czterdzieści, i jak ten król po dojściu do szczytu, z któ-
rego się już schodzi w dół życia, powiadam smutnie: „W po-
łowicy dni moich pójdę do bram piekielnych”. *In dimidio*

¹⁾ Słowa Cousina przed siedmiu kartonami Rafaela w British
Museum.

dierum meorum vadam ad portas inferi. Cóż mi więc po-
zostaje? Oswoic się z tą myślą, powiedzieć sobie: „Opa-
dają liście, więdną kwiaty, płyną fale; wszystko umiera;
słuszna, abym i ja umarł”. Tymczasem czynię przeciwnie.
Stawiam śmierci czoło. Mówię jej: „Próżne twe usiłowa-
nia, o śmierci! nie będziesz mnie miała całkowicie w swej
mocy. Przejdę tylko poprzez twe ciemności”. I jedną
nogą w grobie marzę o nieśmiertelności.

Stworzenie doczesne pogardza doczesnością; kwiat
jednodniowy chce się uwiecznić nawet tu na ziemi. Jeden
chce uwiecznić swe imię, inny ród; ta swoją piękność, ów
szczęście, wszyscy swoją miłość. Homer ślepy, żyjąc
w nędzy, pociesza się myślą, że potomność powtarzać bę-
dzie jego wiersze. Napoleon wychodzi z synem na rękę
na balkon Luwru i woła: „Przyszłość, przyszłość należy
do mnie!” A któż nie wie, że i w opromienionem miłością
pożyciu małżeńskiem zachwycone serce ma tylko jedno
wołanie: „Zawsze!”

A dziwne jest to, że dla tego uwiecznienia się poświę-
camy teraźniejszość. Czuwamy, wyniszczamy się teraz;
dlaczego? — ażeby żyć w przyszłości. Co mówię! Zno-
simy w teraźniejszości oszczerstwa, pogardę w nadziei, że
potomność oceni nas sprawiedliwie. Potomność! co za
myśl, jeżeli dziś mam umrzeć na zawsze! Wieczność! co
za ironja, jeżeli falą przemijającą jestem tylko! Ale jakież
to dowód, że nawet znikomą i przemijającą częścią mej
istoty garnę się ku nieskończoności!

Za każdym tedy krokiem, za każdym niejako zapusz-
czeniem sondy w duszę zarysowuje się wyraźniej przed
nami jej prawdziwa istota. Wynurza się ona z toni czasu.
Umysłem, sercem, wyobraźnią, sumieniem, całem swoim
życiem kruszy wszystkie powłoki i unosi się w nieskoń-
czoność. Grecy znaleźli dla niej prawdziwe słowo. Na-
zwali ją dążeniem, aspiracją, *ἀσπρά*. Aspiracją do czego...
Do nieskończoności!

Wynika stąd wiele bardzo wniosków, szczególnie zaś
jeden, którego nie mam zamiaru rozwijać obszernie, a po-
minąć wszelako milczeniem nie mogę. Dusza podąża do
wieczności, zatem nie jest z czasu. Wznosi się w nieskoń-
czoność przez swoje smutki, bóle, rozczarowania, przez ra-
dości swe i miłości; każde jej poruszenie ma kres w nie-
skończoności. Zatem nie jest z tego świata; jest czemś
innem, niż podłym prochem ziemi; jest w niej tchnienie
boże, duch, który z góry pochodzi i dlatego tak ku górze

daży. Mówicie, że nie widzieliście nigdy tego ducha, żeście go nie znaleźli pod waszym skalpelem! A ja was zapytam: Czy i nie odczuliście go też nigdy? Nie dostrzeżliście go pod waszym skalpelem? A gdzieżecie to go szukali? Czy w tej ciemnej izbie, w tym rozkładającym się trupie spodziewacie się znaleźć duszę? Niema jej już: odeszła, uleciała. O ślepi! została wam w ręku pusta klatka i dlatego zaprzeczacie istnieniu ptaka, słodkiego słowika, śpiewaka gajów! Ależ to szaleństwo! to coś jak te osoby, co przychodzą do mnie w odwiedzin, kiedy wiedzą, że mnie niema w domu.

Chcecie znaleźć duszę? nie pytajcie umarłych, pytajcie żywych. Połóżcie rękę na sercu wtedy, kiedy bije szlachetną miłością. Spójrzcie na Rafaela w chwili, gdy ma rzucić na płótno swoje Przemienienie: na Mozarta, pochylonego nad swym instrumentem i zatopionego w nieskończonej harmonii: a ujrzyście duszę żyjącą; nie będziecie już widzieli ciała lub będziecie na nie patrzali z oburzeniem, jak na zaporę; i ze wzruszeniem, bez cienia wątpliwości, z zupełną pewnością powitacie w blasku oczu, na ustach, na promiennem czole tę istotę szczytną — duszę! i zrozumiecie, że niema dosyć szerokich przestrzeni dla bezmiernego jej lotu. Nieskończoności jej potrzeba!

II.

Jeżeli słuszne są powyższe uwagi, a każdy to na sobie sprawdzić może, to poznaliśmy już nieco prawdziwą naturę duszy; atoli ażeby ją dobrze zrozumieć, bliżej jeszcze przypatrzeć się jej należy i zapytać, jaki charakter ma dążenie jej do nieskończoności? Czy to jest poryw bezcelowy i mglisty, coś niepewnego i nieokreślonego? Może człowiek jest tylko istotą uczuciową i poetyczną, pożądaną wzlecieć wyobraźnią i miłością ponad świat materialny? Może tem, co go znamionuje, jest jedynie to smutne a chlubne cierpienie istoty większej niż ziemia, obracającej się niespokojnie na zbyt ciasnym dla siebie posłaniu i patrzącej wdół, czy tam czegoś lepszego nie znajduje? Piękneby to już było, zapewne, i zawierałoby w całości wniosek, który tu zaraz wyprowadzimy. Ale dążność, o której mówię, inny ma zupełnie charakter. Jest jasna, wyraźna, praktyczna, jak sama natura człowieka. Człowiek w tej nieskończoności, do której bezustannie dąży,

widzi Istotę żyjącą, odrębną, bardzo wielką i bardzo dobrą zarazem, i pożąda rzeczywistego z Nią obcowania, stałego i wzajemnego stosunku, czynnego związku.

A zwróćcie, proszę, uwagę na dwa akty woli do tego stosunku niezbędne; są one szczególnie, tak jednakże dawne, powszechne, żywotne i duszy ludzkiej właściwe, że stanowią jakgdyby jej wdychanie i wydychanie.

Oto po pierwsze: człowiek pragnie wzniesić się do Boga i czuje się do tego zdolnym. Chociaż jest tylko atomem, niknącym w ogromie wszechświata, wierzy, że Bóg słyszy głos jego, i że bez względu na dzielącą odległość pewne wołania serca ludzkiego muszą dojść do Niego na pewno. Wierzy w to mocno. Wiara ta jest dziwna, śmiesznie zarozumiała, zgoda, ale jest odwieczna, powszechna i niespożyta. Nic nigdy nie mogło wydrzeć jej człowiekowi.

A po drugie: nietylko chce on i sądzi, że zdoła wzniesić się do Boga, ale — co jeszcze może dziwniejsza, pragnie, aby Bóg zstąpił do niego. I to drugie pragnienie uważa za tak samo prawdopodobne, nawet pewne, jak pierwsze.

„Niechaj przyjdzie!” wołał Platon, a z nim cała starożytność pogańska.

„Obyś rozdarł niebiosy i zstąpił”. *Utinam dirumperes coelos et descenderes!* wołał Izajasz¹⁾ i z nim cała starożytność biblijna.

Skrusz to głębokie sklepienie,
Świat stworzony pokrywające,
Boże, unieś zasłony nieba
I ukaż się sprawiedliwy i dobry!

Takie jest ogólne wołanie natury ludzkiej. A ponieważ każda głęboko odczuta potrzeba musi sobie koniecznie stworzyć powszechny i trwały przejaw, cóż widzimy na całej powierzchni kuli ziemskiej, rozglądając się w wieku obecnym i wszystkich poprzedzających? Oto świątynie, ołtarze, modły, wzniesione błagalnie oczy i dziękczynnie złożone dłonie.

Można starać się wytłumaczyć ten fakt złudzeniem i szaleństwem, można przypomnieć jego nadużycia i całą domieszkę fałszu, śmieszności i potworności; ale nie można zaprzeczyć istnieniu tej wiary; ta potrzeba stosunku z Bogiem jest zarazem wrodzona i nieprzeparta i tak da-

¹⁾ Iz. 64, 1.

wna, tak powszechna a wiekuista, że wchodzi w skład natury ludzkiej, stanowiąc rdzeń jej istoty.

Bo i skądże znamy naturę ludzką, prawdziwe jej potrzeby, zasadnicze prawa?

Thiers zadaje to samo pytanie, mówiąc o własności. Słuchajmy jego odpowiedzi; wiele nam ona wyjaśni. „Prawa są to wzajemne stosunki rzeczy”, powiedział Montesquieu. Nie ubliżając wielkiemu temu umysłowi, powiem, że dokładniejby się był wyraził, gdyby powiedział, że prawa to ciągłość stanu rzeczy. Newton przypatruje się ciałom ciężkim. Widzi, że jabłko spada z drzewa, mówiąc językiem mieszkańców naszej planety. Odnosząc zjawisko to do zjawiska przyciągania księżyca do ziemi, a ziemi do słońca, w pojedynczym i nic nieznaczącym wydarzeniu widzi fakt stały, ogólny i powiada: „Przyciąganie ciał stałych jest proporcjonalne do ich masy”, a zjawisku temu daje nazwę prawa ciężenia.

„Przypatruję się człowiekowi, porównywan go ze zwierzęciem; widzę, że nie zamykając się w granicach potrzeb zwierzęcych, jak jedzenie, picie i t. d., przekracza je i oprócz zaspokajania tych potrzeb daleko wyższy posiada zakres działania. Ma umysł przenikliwy i z jego pomocą uprawia ziemię, handluje, prowadzi wojnę, zawiera pokój, wznosi się aż do rządzenia państwem, a potem wyżej jeszcze — aż do poznania Boga. Gdy już uznałem w nim ten wysoki rozum, rozwijający się przez działalność, gdy ujrzałem, że powstrzymując ten rozwój, narażam człowieka na zanik rozumu, że go poniżam i unieszczęśliwiam, czyniąc go niemal tej niedoli godnym, wołam: Człowiek ma prawo do wolności, bo dokładne zbadanie szlachetnej jego natury odkrywa mi to prawo, że istota myśląca wolna być powinna: tak jak upadające jabłko odkryło Newtonowi wzajemne ciał przyciąganie.

„Nie wierzę, żeby można było odkrywać prawa — inaczej, jak drogą zdrowej i głębokiej obserwacji twórców. A gdy już dobrze zbadaliśmy ich stałe zachowanie się, wtedy dopiero możemy wnioskować o prawie niemi rządzącym i prawie im przysługującym”.

Thiers stosując tę zasadę do własności, wykazuje, że własność jest zjawiskiem ogólnym, stałym, powszechnym we wszystkich czasach i krajach, zatem jest potrzebą i prawem. „Naturaliści, mówi on, widząc zwierzę, które, jak np. bóbr i pszczoła, buduje sobie mieszkanie, orzekają bez wahania, że są to zwierzęta budownicze. Czyż filozo-

fowie, przyrodnicy rodzaju ludzkiego, nie mogą powiedzieć na takiej samej zasadzie, że własność jest prawem człowieka, że jest on stworzony do własności, a ona jest prawem jego gatunku?”¹⁾

Piękne są to zaiste i błogie w skutkach zasady. Otóż zaklinam każdego poważnego człowieka, aby zastosował je do religii także i powiedział, czy owo dążenie do Boga, ta potrzeba czynnego z Nim stosunku, istotnego związku, nie jest zjawiskiem stałym, ogólnym, powszechnym, występującym w każdym czasie, miejscu i u wszystkich ludzi? Wszędzie widzę ludzkość, która wierzy w Boga, pokłada w Nim nadzieję, modli się doń, wznosi się ku Niemu na skrzydłach wiary i nadziei, składając Mu dzięki za pomoc.

Zauważcie też, proszę, że powszechne to i wiekuiste zjawisko nie ukrywa się gdzieś w głębi ziemi, w łonie tajemnych stowarzyszeń, gdzieby mogło ująć uwagi i nie podlegać roztrząsaniu. Jest ono jawne. Stanowi część chwały i wielkości narodów. Narzuca się nawet tym, którzy go znać nie chcą, i ludzie, którzy nigdy się nie modlą, rozumieją niekiedy konieczność przybrania publicznie pozorów modlących się.

Powiedziałem „którzy nie modlą się nigdy”; cofam to słowo, bo niema nikogo, ktoby się nie modlił nigdy. Niema młodzieńca, któryby w dniu, kiedy szlachetna miłość podniesie go, a czasem i oczyści, nie wzniosł oczu w niebo z podzięką. Niema starca, któryby, kiedy wiek pochyli mu głowę, nie doznał potrzeby czci i nadziei, jakgdyby dla oswojenia się z widokiem grobu. A ty, który masz się za wyższego nad tę słabość, mozeszże wiedzieć, czy Bóg nie ześle na cię niespodzianie jednej z tych klęsk, od których bieleją przed czasem głowy? Pod wpływem boleści zawołasz wtedy pomimowoli: „O, mój Boże!” To wystarczy, gdyż będzie modlitwą.

Tysiące wniosków ciśnie mi się jeszcze pod pióro. Ale powstrzymuję je, zadowalając się tym jednym: że dusza ludzka dąży do Boga i wznosi się ku Niemu porywem jasnym, określonym i pewnym; że pragnie stałego i rzeczywistego z Nim związku; i że jeżeli, badając naturę ludzką, ze stałego istnienia pewnych czynów dochodzi się do wyprowadzenia rządzącego niemi prawa, i ja mogę także, wychodząc z tego założenia, powiedzieć: dążenie do Boga,

¹⁾ De la propriété, r. II.

poryw ku Niemu, potrzeba wiary, modlitwy, oddawania czci jest prawem ludzkości, i będzie to tak samo słuszne jak sąd, że własność jest prawem.

Jeżeli te zasady dobre są dla dowiedzenia własności, dobre są i dla dowiedzenia religii. Jeżeli odrzucacie je w dziedzinie religii, nie dziwcie się, że inni je odrzucają, kiedy chodzi o własność. Spójrzcie zbliska, a ujrzyicie, iż religia, społeczeństwo, rodzina i własność opierają się na tych samych podstawach. Żadna z tych godnych czci rzeczy nie jest znikoma, bo każda jest potrzebą oraz prawem natury ludzkiej.

Niektórzy filozofowie, a raczej fizjologowie, dalej się jeszcze nawet względem religii posunęli. Zadali sobie pytanie, w czym mianowicie tkwi istotna różnica między człowiekiem a zwierzęciem; co jest tak dalece właściwe rodzajowi ludzkiemu, że się znajduje w każdym człowieku, a nie ma go w żadnym zwierzęciu. Może ustrój ogólny, budowa i funkcje organów? Nie, odpowiedzieli, bo anatomja i fizjologia wykazały oddawna zadziwiającą jednakowość budowy ciała u człowieka i u zwierząt ssących. Czy może władze umysłowe? Ależ zaprzeczyć nie można, że pomimo niezmiernej różnicy umysłowego rozwoju między człowiekiem a zwierzęciem, ono nie tylko ma instynkt, ale i czuje, chce, pamięta, rozważa, i że niekiedy nawet dokładność i pewność jego sądów mają w sobie coś cudownego, czego w wielu razach niepodobna przypisywać jakiejś ślepej sile. Zatem władze serca? Jeszcze mniej; gdyż zwierzę kocha, nienawidzi, mści się, odczuwa wdzięczność, ginie za swego pana i za swoje potomstwo. Gdzież więc jest to *sanctius his* Owidjusza, to coś zupełnie zwierzęciu obcego, co stanowi odrębną cechę człowieka? Uczenni ci odpowiadają: Tem, co stanowi najistotniejszą różnicę między człowiekiem a zwierzęciem jest — *religijność*; innemi słowy: poryw ku Bogu, dążenie do Boga.

To mówią fizjologowie. I musi ta aspiracja ku Bogu i potrzeba stosunku z Bogiem być w naturze ludzkiej bardzo znamienna, skoro znakomici uczeni mimo oświadczenia, że „nie chcą być metafizykami ani filozofami, tylko poprostu przyrodnikami”, posuwają się aż do uznania jej nie tylko za główną, ale za jedyną w oczach nauki cechę naszego królestwa, królestwa człowieka¹⁾.

¹⁾ De Quatrefages, *Mémoire sur l'unité de l'espèce humaine*. Uczony ten pamiętnik jest doskonałe oceniony w pięknej książce Nicolasa: *L'Art de croire*, t. I, r. II.

III.

A oto jeszcze jedna i ostatnia uwaga, która przedstawi nam to wszystko w nowym i niemniej zdumiewającym świetle.

Oto dążenie duszy naszej do Boga ma w nas dwie odrębne cechy: z jednej strony jest ono konieczne, gdyż stanowi jeden ze składowych pierwiastków natury ludzkiej, i to pierwiastek główny; a z drugiej strony jest dowolne. Trudno bardzo wyrwać je z duszy, ale dziwne w niej przechodzi koleje. Wzrasta i zmniejsza się. W pewnych dniach błędnie, w innych rozżarza gasnące zarzewie i zmartwychpowstaje; otóż ciekawe jest wziąć pod ścisły rozbiór, poddać dokładnej obserwacji zjawisko jego przyrostu i jego ubytku.

Wogóle wzrasta ono w cnocie, zmniejsza się w występku. Mówię: wogóle; gdyż jeśli niezawsze zanika w występku, jeśli przeżywa czasem w sumieniu dobro, — a nowo to dowód, że należy do rdzennych podstaw ludzkiej natury — to z cnotą wzrasta niechybnie. Im jesteśmy szlachetniejsi, pokorniejsi, czystszy, tem żywszy poryw unosi nas ku Bogu. Jeżeli nawet w życiu, skażonem błędami, spełnimy czyn cnotliwy, bezinteresowny, jeżeli poświęcimy siebie czyjemuś dobru, uczuwamy się natychmiast lepiej usposobieni względem Boga i zbliżeni do Niego.

Niemniej zaś godne uwagi jest to, że wiara w Boga, rosnąca z cnotą, wzrasta również w cierpieniu. Wszak wiecie, co sprawia boleść: rozwiewa czcze marzenia, gasi fałszywe blaski. Wszystko co sztuczne ustępuje, pierzcha pod jej surowym dotknięciem; prowadzi nas ona ze złudzeń ku rzeczywistości. W takiej to chwili poryw ku Bogu bywa najżywszy. W szczęściu oddalamy się od Boga, powracamy do Niego w doświadczeniu. Załamione oczy same z siebie wznoszą się ku Bogu.

A kiedy wśród cierpień zbliżamy się powoli do grobu, któż nie wie, jak nagle i jak kojąco wzmagą się w nas myśli o Bogu? Czy widziano kiedy, żeby człowiek, który wierzył w ciągłość życia, żałował tego na łożu śmierci i wyrzekał się wiary? Przeciwnie, wielu widzimy takich, którzy zwątpiwszy o wszystkim, odnajdują światło nad grobem; jakgdyby dusza w miarę wyzwalania się z więzów ciała i zbliżania się do wieczności odbierała stamtąd światło, rozpraszając ostatnie cienie; albo jakgdyby Bóg, który jest Ojcem, pochylał się wtedy ku dzieciom z większą jesz-

cze miłością i usilniej jeszcze starał się je zbawić. A reakcja ta jest tak silna w tej ostatniej godzinie, że uległa jej większość filozofów wieku XVIII: Boulanger, Condillac, Montesquieu, Fontenelle, Buffon; aby zaś i z innymi, z Voltairem, Diderotem, tak się nie stało, potrzeba było uciec się do środków ostrożności i bronić ich od ich własnej słabości, strzegąc dostępu do ich łoża. A ponieważ w wieku XIX słabość ta wzrosła jeszcze, i człowiek bardziej Boga spragniony pewniej ku Niemu powraca, zwiększono środki ostrożności, potworzono związki dla strzeżenia łoża śmierci, rodzaj towarzystw ubezpieczających od Boga. W tych opiekuńczych stowarzyszeniach wymaga się od człowieka najstraszniejszych przysięg a przyrzeka się energiczne poparcie w dotrzymaniu zobowiązań, iż nie powróci do wiary. Daremne usiłowania! dusza dręczona brakiem Boga, traci na tem jedynie możność publicznego do Niego powrotu. W tej albowiem chwili więcej jeszcze aniżeli pod wpływem cierpienia pierzchają wszystkie ułudy i mrzonki; wszystko, co sztuczne, fałszywe, ustępuje z duszy; jest to godzina utwierdzenia się i wzrostu wiary. Czyż trzeba większego dowodu jej prawdziwości? Dotykamy wtedy niejako Boga. Nie trzeba już prawie wówczas weni wierzyć, widzimy Go; unosi się nad naszym łożem boleści; jasne światło nadziei pokazuje nam otwarte niebo, gdzie nas czeka miłość.

I nie tylko z cnotą, z cierpieniem, ze zbliżaniem się śmierci wzrasta w nas to dążenie ku Bogu; wzrasta ono także w miarę wielkości duszy. Jest koroną wielkich dusz, jeśli mu są powolne; ich męką, jeśli są odporne; ich zaszczytem zawsze. Wznosi się w nich czasem aż do rodzaju świętego upragnienia, które jest bezspornie szczytem najbardziej wzruszającej piękności człowieka. Patrzcie na wielkie dusze wszystkich czasów, wszystkich krajów, na dusze, które wyższy umysł, potężniejszy rozum, żywsza wyobraźnia, głębsze i tkliwsze serce wyróżniają z szarego tłumu, i powiedzcie, czy choć jedna z nich nie nosiła w sobie potrzeby Boga, głodu, pragnienia Boga i czy nie miała na czole męczeńskiego stygmatu niezaspokojonego pragnienia albo cudownej aureoli pokoju ze znalezionej prawdy i posiadania Boga.

Pod wpływem tych wzruszających myśli marzy mi się niekiedy wielki obraz w rodzaju procesji Flandryna na murach kościoła św. Wincentego à Paulo. Tylko, gdybym był malarzem, szerszy dałbym jej zakres; przedstawiłbym

w niej wszystkie dusze, które na tym smutnym świecie spragnione były Boga.

Wybyście tam byli na czele, poeci wszystkich wieków, wy, wzniosłe i piękne dusze, o tak cudnych porywach ku Bogu! Zgrupowałbym was wokoło boskiego Homera, jako waszego mistrza. Z jednej strony Orfeusz i wszyscy poeci orficzni, tak mało znani, a tak boscy. Z drugiej Pindar i Eschylos, Eurypides i Sofokles, pobożny i tkliwy Wirgiliusz, a i ty także, Horacy, którego lekka lutnia często jednakże rozbrzmiewała dźwiękiem nieskończoności! Uczylibyście świat, że dusze najpiękniejsze są zarazem najreligijniejszymi i że nawet w łonie pogaństwa wyższa poezja była zawsze wołaniem duszy do Boga.

Platon prowadziłby chór drugi. On bowiem powiedział: „Czegoż trzeba, ażeby oglądać Boga? Być niewinnym i umrzeć”. I tę drugą myśl, jeszcze szczytniejszą, jeżeli to być może: „Filozofować — to uczyć się umierać”. Postępowałby na czele, podtrzymując czule swego starego mistrza Sokratesa, wsparty na młodym przyjacielu Arystotelesie, który pojmował Boga jako wielki magnes dusz, magnes miłości. Za nimi widzianoby wszystkich wielkich filozofów: Pitagorasa, który milczeniem i postem przygotowywał się do lepszego zrozumienia harmonji światów; Cyserona, który wśród wątpliwości umysłu zachował tak żywe poczucie Bóstwa i poświęcił mu wspaniałą a piękną wymowę; Senekę, którego życie byłoby wielkie, gdyby odpowiadało jego nauce; — wszyscy porwani jednym uczuciem, uniesieni ponad widome światy, staliby ze wzrokiem utkwionym w nieskończoność. Chciałbym, ażeby w ugrupowaniu tej części można było jakim śmiałym rysem oddać to słowo Platona, streszczające całą jego filozofję: „Człowiek jest stworzony dla prawdy, ale trzeba, żeby Bóg przyszedł go jej nauczyć”.

Nie zapomniałem i o was, w trzecim znalazłbyście się rzedzie, tajemnicze dziewice, znane w starożytności pod nazwą Sybill. Miałybyście na oczach zasłonę, której nauka podnieść jeszcze nie potrafiła, w rękę zaś te tak starannie na Kapitolu przechowywane księgi, pełne Boga i tego, który miał nadejść. Możeście poczerpnęły te boskie przeczucia w swych niewieściach i dziewiczych sercach jedynie, a może spiłyście je z ust ludzkości, będąc w ten sposób najpiękniejszym uosobieniem ludu spragnionego Boga.

Potem szedłby chór inny, piękniejszy jeszcze — chór patriarchów i proroków. Pierwsi wpatrzeni w niebo, oczyszczając daleką, wysyłałiby ku niemu żale i tęsknoty i wyznawali, że są na ziemi przechodniami, wygnańcami zdala od Boga; drudzy dzierżąc święte harfy w rękach, głosiliby cześć i chwałę, dziękczynienie i miłość.

A cóżby było, gdybym do tych wszystkich przedstawicieli geniuszu religijnego starożytności mógł przyłączyć wielkie dusze społeczeństwa chrześcijańskiego: męczenników, którzy ponieśli śmierć dla Boga, dziewic, poświęcających Mu wszelką miłość ludzką, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, wznoszących Mu świątynie wspaniałe, teologów, filozofów, mówców, muzyków i poetów, opiewających Go tak wzniosłe.

Ale nie dosyćby było odmalować taki pochód; trzeba by móc ożywić te postacie, włożyć w ich usta mowę. Jakież to usłyszeliśmy pienia! jakie porywy ku prawdzie! jakie westchnienia do nadziemskiego piękna bez zmaży! Oto umysł ludzki, w najwyższej potędze, serce w najbardziej wzruszającej wielkości, oto wyobrażenia z najpiękniejszymi obrazami, oto nakoniec człowiek ze wszystkim, co ma najlepszego i najpiękniejszego! a ten umysł, ta wyobrażenia, to serce jedno mają tylko wołanie: Bóg! Bóg!

A gdyby wolno mi było, jak artystom XV wieku, umieścić dewizę pod tym obrazem, przedstawiającym boski pochód wielkich dusz spragnionych Boga, nie dałbym innej, jak te słowa: *Beati qui esuriunt et sitiunt iustitiam, quoniam et ipsi saturabuntur*. O tak, błogosławieni, którzy łaknęli i pragnęli prawdy, piękna, sprawiedliwości i miłości nieskończonej, bo jakżeby takie pragnienia zaspokojone być nie miały?

ROZDZIAŁ DRUGI.

O prawdziwej naturze Boga.

A teraz, jakąż jest ta istota, do której wzdycha ludzkość cała? Czy jest to jakiś Bóg głuchy i Bóg niemy? Czy jest pozbawiony serca? Człowiek pragnie wznieść się do Boga, a Bóg czyż się nie skłoni do człowieka? Mniejszą stara się usilnie dosięgnąć większego; czyż ten nie schyli się trochę, ażeby umożliwić zetknięcie?

Oto pytanie. Aby na nie odpowiedzieć, spróbujmy złapać naturę Boga, jakieśmy zbadali prawdziwą naturę człowieka. Ta streszcza się cała w gorącym dążeniu ku Bogu; zobaczmy, azali nie znajdziemy w tamtej pewnego rodzaju tkliwej przychylności do człowieka.

Kiedy człowiek całą słabością podąża ku Bogu, kto wie, czy Bóg całą wielkością nie schodzi do człowieka?

Piękne to jest i ważne studjum, godne wyższych umysłów, a posunie nas ono o krok dalej w znajomości religii.

I.

Najpierw, co za cudowna zgodność, jaka głęboka i dziwna harmonia pomiędzy naturą ludzką a wyobrażeniem mojem o naturze boskiej! Wszystko, czego pragnę, jest w Bogu. Pragnę prawdy — On jest prawdą. Pragnę piękna — On jest nadziemskim pięknem. Pragnę dobra — On jest najwyższym dobrem. Pragnę życia — On jest wiecznym, niewyczerpanym, niekończącym się życiem. On ma wszystko, na czem mi zbywa. W Nim jest wszystko, o czem moje serce marzy, czego oczekuje, spodziewa się, co przeczuwa. Każdemu memu brakowi odpowiada przymiot Jego boskiej istoty w tej samej mierze, w jakiej tego pragnę. Czy to przypadek tylko, że On ma to właśnie, czego ja szukam, a ja, który Go znam tak mało, instynktowo i nieprzeparcie pożadam tego, co On posiada?

Powiedzą mi może, że idea Boga jest czystym wytworem mego umysłu, że złożyły się na nie wszystkie *desiderata* mej duszy. Pożądając prawdy, piękna i życia, a nie znajdując nic z tego tu na ziemi w stopniu, w jakim ich pragnę, gdzie indziej ich poszukałem, łącząc w jedno wszystko, czego mi brakuje: dobro, piękno i prawdę, znosząc granice i dodając nieskończoność, wytworzyłem to, co nazywam Bogiem.

Zapewne, że tak postępuję; ale co temu rozumowaniu zarzucić można? Tak rozumują najfilozoficzniejsze umysły. Idźmyż za jego wątkiem.

Przedewszystkiem powiadam: Jestem, a więc jest Bóg. To już więcej, niż wywód rozumowy: to czysta intuicja. To też pierwszego tego ogniwa nie zdołano nigdy wydrzeć ludzkości. Słucha ona rozpraw, toczonych wokoło niej już to w imię filozofji, już to nauki, a po ich wysłuchaniu w tem samym świetle, w tejże co wpierw pewnością powtarza znowu: Jestem, a więc jest Bóg.

Ale czemuż ja jestem? Istotą niedoskonałą, ograniczoną, która przemija i znika. A więc jest istota nieprzemijająca, nieograniczona i doskonała. „Bo i czemuż — powtarzam za Bossuetem — miałyby istnieć niedoskonałość, a doskonałości byłoby nie miało?” To jest: „Dlaczego istniałoby to, co bliższem jest nicości, a nie istniało to, co nic z nią nie ma wspólnego?”¹⁾

A nakoniec chociaż jestem tak niedoskonały i ograniczony, pragnę czegoś większego i lepszego; większego niż wszelka znana wielkość, lepszego nad wszelką stworzoną dobroć. Jest więc istota nad wszelką wielkość większa, nad wszelką dobroć lepsza, to jest doskonała i nieskończona. Bo czyż nie szaleństwem byłoby przypuszczać, że tej tak pięknej i niezwykłej tęsknocie, tło duszy ludzkiej stanowiącej, nic w rzeczywistości nie odpowiada? Wszakżeby to było przyciąganie bez siły przyciągającej, skutek bez przyczyny, dążności do niczego nie prowadzące? Pragnienie moje miałoby upadać w próżnię? nie miałoby znaleźć upragnionego przedmiotu? Zawiedzione byłoby miało moje pożądanie prawdy, piękna, dobra i miłości? Najczystsze porywy mego umysłu gorzkiemby tylko były sztyderstwem? To być nie może. Umysł, serce, sumienie, modlitwa, poezja, zapal, czystość i cierpienie powiadają nam: dążymy do nieskończoności — jest zatem nieskończoność.

¹⁾ Bossuet, *Elévations sur les mystères*, I.

Wszystko to jest oczywiste, jasne, nie dopuszczające cienia wątpliwości.

Ale Kartezjusz, który złożył pierwsze ogniwa tego łańcucha, za wcześniej się zatrzymał w wspaniałych wywodach. Jeżeli od niedoskonałej istoty, która jest mną, wznoszę się nieomylną intuicją do istoty doskonałej, którą jest Bóg, powinienem też tą samą metodą od mojej natury, moich przymiotów dojść do natury, do nieskończonych doskonałości Boga. Kartezjusz mówił: Jestem, jest zatem Bóg. Idę dalej i mówię: Jestem rozumem, a zatem Bóg jest rozumem. Jestem miłością, a zatem Bóg jest miłością. Jestem siłą, a więc Bóg jest siłą. I tak dalej. Przypisuję Bogu wszystkie doskonałości, jakie są we mnie, po sprawdzeniu uprzedniem, czy są to rzeczywiście doskonałości. Bo jakżeby mogło być we mnie cokolwiek pięknego, dobrego, doskonałego, coby nie było w Bogu?

Idę jeszcze dalej. Odejmuję granicę tym doskonałościom; posuwam je do nieskończoności i mówię: Bóg jest nieskończoną mądrością, miłością, życiem i piękną nieskończoną.

I to jeszcze jest bezsporne, bo skoro się raz wymówiło to wielkie słowo — nieskończoność, trzeba ją przyjąć ze wszelkimi jej doskonałościami. Co jest nieskończone pod jednym względem, pod innym granic mieć nie może. Przyznajecie istocie Bożej nieskończoność, a odmawiacie jej mądrości! W takim razie cóż to jest Bóg? Siła ślepa, fatalna, nieświadoma samej siebie, a więc mniejsza od człowieka, bo człowiek ją zna, ona przeciwnie nie zna człowieka. Przypuszczacie w Bogu nieskończoną mądrość, a odmawiacie Mu swobody, miłości! Ale czyż to możliwe? Czyż myśl, myśl żyjąca, nieskończenie piękna, może istnieć bez swobody? Czyż nie wytwarza miłości? I czyż sama z niej nie wypływa jako jej matka i córka zarazem? Unicestwiacie zatem Boga, gdyż bez miłości, swobody i piękności — stałby On niżej od nas. Od takiej nieokreślonej siły, takiej ślepej sprężyny wyżsi jesteśmy niezaprzeczenie, ponieważ znamy, kochamy i chcemy, a ona ani zna, ani kocha, ani umie chcieć.

Jest więc Bóg, a jest nieskończoną mądrością, nieskończonym pięknem, nieskończoną miłością, życiem nieskończonym; to jest posiada w stopniu nieskończonym to wszystko, na czem mi zbywa. Trawiony tęsknotą patrzę naokoło siebie, na ziemię, na stworzenia i nie znajduję nic z tego, czego się me serce tak stanowczo domaga. Podno-

sze wzrok ku Bogu i znajduję w Nim to wszystko, a znajduję w tym nieograniczonym, niewyczerpanym, nieskończonym stopniu, jakiego pragnęło zuchwalstwo mych marzeń. Raz jeszcze pytam: czy to tylko przypadek? I nie mamże wierzyć, że On posiadając to wszystko, na czym mi ku memu żalowi zbywa, gotów jest mi tego udzielić?

I tutaj właśnie wraca i sama się nam narzuca potężna metoda Kartezjusza. Czyż wielkie serca, przepełnione miłością, nie tęsknią do wylania? Czy wielkie, świetlane genjusze nie usiłują rozsiewać promieni? Czy piękno nie lubi być widziane? Czy wylanie się nazewnątr nie towarzyszy zawsze doskonałości? Jeżeli zaś tak się rzecz ma z temi cieniami ziemskimi, które mianujemy światłem, życiem, miłością, cóż będzie z nieskończonym światłem, nieskończoną pięknnością, wieczną miłością, z życiem nieskończonym? Z tą urną zawsze pełną, wylewającą się przez samo przepełnienie swoje, ale którą wspaniałomyślność pochyła łaskawie dla łatwiejszego wylania udzielającą się przytem bez żalu, gdyż nigdy się nie wyczerpuje? I dlatego to święty Tomasz, ten wielki genjusz filozoficzny, nie wahał się określić Boga jako Istoty, która siebie wylewa. Porzuć swe troski, duszo moja! Jeśli się do Niego wzniesć nie umiesz, może On znajdzie sposób, żeby przyjść do ciebie. Wszystkim twym próżniom, ażeby je napęlić, odpowiadają wszystkie Jego wielkości.

II.

Ale zróbmy krok drugi. Badając naturę Boga, nie tylko widzimy w Nim ocean piękna i dóbr wszelkich, nadmiar życia, pragnący się udzielać. Przypatrując się bliżej, widzimy, że On udzielał się istotnie. Dnia pewnego Bóg wyszedł ze spoczynku i rzucił w przestrzeń światy. A z jaką wspaniałą obfitością, nie wypowiedzą tego nigdy ani poezja, ani nauka. W innym dniu znów, gdy wszystko już było gotowe, stworzył człowieka; umieścił go na tej kuli, jak matka umieszcza dziecko w przygotowanej dlań kolebce.

Tak jest, stworzył mię Ten, który ma to wszystko, na czym mi zbywa, który we wspaniałościach nieskończonej swej natury posiada wszystko, czego ja potrzebuję. Jest On moim Ojcem. I jest to drugi powód jeszcze większy i bardziej stanowczy, ażeby się ku mnie skłonił nie tylko już przez wspaniałomyślność, ale i przez dobroć.

Stworzenie człowieka przez Boga jest rzeczą zupełnie pewną, o której wątpić nie mogę. Bo są tu tylko dwie możliwe hipotezy: albo przypuścić Boga Stworzyciela, co jest zapewne wielką tajemnicą; albo utrzymywać, że świat nie miał początku, że materja jest wieczna, co jest niedorzecznością. To też tego nikt się nie odważy wypowiedzieć otwarcie. Obiera się zwykle drogę wykrętów, i wszystkie pokuszenia o zaprzeczanie stworzenia streszczają się w dwóch podstępnych i obłudnych systemach: *samorodztwa i przemiany gatunków*.

Nazywam je podstępami i obłudami, mając na myśli nie ich twórców, ale je same w sobie. Zaraz się okaże, dlaczego tak je mianuję.

Kto mówi samorodztwo, rozumie przez to istotę, która przychodzi na świat sama, bez ojca i matki, bez rodziców i pierwotnego nasienia. I w rzeczy samej są uczeni, którzy utrzymują, że z danej materji czystej, w której nie ma zarodków ukrytych, zagrzebanych, niewidocznych, przez sam rozwój sił właściwych naturze może powstać szereg istot żyjących. A raz postawiwszy to rzekome założenie, wyprowadzają z niego wniosek, że jeżeli mogły tak bez poprzednich zarodków i pierwotnego nasienia powstać istoty niższego ustroju, nic nie przeszkadza, ażeby w ten sam sposób człowiek powstał.

Dnia pewnego na pochyłości jakiegoś wzgórza, wystawionego w szczególniejszy sposób na działanie silnych promieni słonecznych, przy potężniejszym napięciu światła i ciepła, mogły się rozwinąć siły rodzajne natury i stworzyć człowieka. Człowiek ten urodził się przypuszczalnie w wieku dojrzałym, w pełni swojego wzrostu, siły, inteligencji i wszystkich władz swoich. Bo przypuście, że się urodził dzieckiem, tak jak się rodzą wszyscy, niedołączonym, potrzebującym objęć, któreby je nosiły, piersi, któreby je karmiły: to chociażby ich powstało i tysiąc w takim wieku, tak samo słabych, czyżby nie zginęły z głodu, zimna lub od dzikich zwierząt? Przyszedł więc człowiek na świat w wieku dojrzałym, trzydziestoletni może, bez ojca, bez matki, pod działaniem ciepła słonecznego na ziemię, a ponieważ natura czuła, że ostygnie, że nie będzie mogła długo prowadzić tej chwalebnej czynności, wydając samoradnie człowieka, za jednym razem utworzyła też dla niego towarzyszkę; pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym stworzyła jedno dla drugiego; skłoniła ich ku sobie, ażeby ich wzajemna miłość pozwoliła jej za-

przestać zbyt ryzykownego dzieła samorodztwa. I w istocie, od dnia, w którym mężczyzna i kobieta ujrzeni się i pokochali, ustało samorodztwo¹⁾.

Oto jest ten system, i powiedzcie, czy to nie namiętność obywatela się bez Boga popycha człowieka do podobnych rojeń? Bo nakoniec, jeżeli tajemnicą jest stworzenie człowieka przez Boga, kto zaprzeczy, że większą jeszcze jest stworzenie go przez materję? Ale któż nade wszystko nie widzi, że mniemane to tłumaczenie nic nie tłumaczy? że zostaje zawsze pytanie: kto udzielił materji tej twórczej potęgi? i że całym wynikiem tego systemu jest przypisywanie Bogu stworzenia w drugim stopniu — zamiast w pierwszym?

Tak jest; zamiast przyznać, że Bóg stworzył ziemię, a potem na niej człowieka, mówicie, że stworzył ziemię i nadał jej zdolność wydania go. Ta sama tu trudność, tylko mniej o jedną piękność, a więcej o jedno poniżenie.

Święty Augustyn, święty Jan Chryzostom i inni jeszcze Ojcowie przypuszczali w swoim czasie pewne fakta samorodztwa. Dowodzi to, że nie uważali oni za niemożliwe, aby Bóg, tworząc materję, dał jej siły potrzebne do samorzutnego wytwarzania życia organicznego. Ale ci wielcy ludzie wzdrygali się na myśl, żeby materja mogła sama przez się wydać jakieś żyjątka, a szczególnie żeby z samorodnego powstania wymoczek można było wyciągnąć wniosek samorodnego powstania człowieka. Gdyby więc nawet dowiedziano prawdziwości tej hipotezy, byłoby to szczytem bezbożnego zuchwalstwa u jednych, pobożną, lecz nieuzasadnioną naukowo obawą u drugich wyobrażać sobie, że pociągnęłoby to za sobą upadek wiary w Boga Stworzyciela oraz w przewagę sił duchowych.

Ale zresztą system samorodztwa nie utrzymał się. Błyszczący chwilę, jak błędny ogień, skwapliwie przyjęty przez pół-światek nauki, rozwiął się wobec niezbitych doświadczeń. Wykazały one, że natura żadnej własności twórczej nie posiada i że wszędzie, gdzie tylko zdołano pochwycić i zniszczyć niezliczone zarodki, znajdujące się w powietrzu, w wodzie, we wszelkiej materji, natura oka-

¹⁾ „Co mi się nie podoba w Strausie — pisze Aleksander Humboldt do Varnhagena — to jego lekkomyślność, żeby nie powiedzieć więcej, w historii naturalnej. I tak wyprowadza on bez trudności istoty organiczne z nieorganicznej materji; nawet człowiekowi każe powstawać samowolnie z chaldejskiego mułu”.

zała się zupełnie bezpłodną. Dowiedli tego: Pasteur¹⁾, Flourens²⁾, Longet³⁾, Claude Bernard⁴⁾, Liebig⁵⁾, Ehrenberg⁶⁾, Aleksander Humboldt⁷⁾, wreszcie Quatrefages⁸⁾, który streszcza stan nauki współczesnej w tych słowach: „Uważamy doktrynę samorodztwa za stanowczo odrzuconą w imię nauki.”

Niema więc co dłużej myśleć o niem. Ale gdyby nawet, powtarzam, miało ono jakąkolwiek podstawę, nie stanowiłoby to jeszcze żadnego dowodu przeciw stworzeniu człowieka przez Boga, chyba gdyby chciano utrzymywać, że natura nadała sama sobie tę siłę twórczą.

W tym stanie rzeczy kiedy się już hipoteza samorodztwa rozwiewała jak mrzonka, uczony angielski Darwin wznowił walkę postawieniem nowej hipotezy, bardziej niż tamta rozwiniętej, pełniejszej, szerszej, świetniejszej także, przynajmniej w początkach, zanim utonęła w otchłani najbrzydszego materializmu.

Według Darwina na początku miało być niewiele typów pierwotnych, które obdarzone potężnymi siłami twórczymi, dążyły do rozwoju, do postępu i przechodzenia w stan coraz wyższy. Najpierw więc prosty minerał dąży do wyższego życia, zbliża się do rośliny, przybiera jej kształty, a po milionach wieków przekracza linię graniczną i staje się rośliną. Roślina dąży z kolei do życia zwierzęcego, pragnie ruchu, instynktu i po wielu również wiekach przechodzi w zwierzę. Zwierzę dąży wyżej, ku człowiekowi; zbliża się do niego powolną pracą stuleci; dostaje czasem takich jak on, rąk, nóg stających prosto, grzbietu wyprostowanego, twarzy patrzącej w górę; a bardziej jeszcze dąży do jego inteligencji, i dosięgając jej stopniowo, staje się naprzód małpą, potem z małpy człowiekiem.

Jak się dokonało to przejście? Na to tak odpowiada Darwin: między temi początkującymi gatunkami, temi jednostkami, do życia i to do życia wyższego dążącymi wszczęła się z konieczności zaraz na początku walka. W walce tej musiały ginąć gorzej uorganizowane, a wy-

¹⁾ Pasteur, *Hétérogénéité ou Traité de la génération spontanée sur de nouvelles expériences*. — ²⁾ Flourens, *Ontologie naturelle*, str. 84. *Cours de physiologie*, str. 40—47. — ³⁾ Longet, *Traité complet de physiologie*, str. 206. — ⁴⁾ Claude Bernard, *Rapport sur les progrès de la physiologie générale en France*, str. 114 i 217. — ⁵⁾ Liebig, przytoczony u Hettigera w *Apologie du christianisme*, t. I, str. 203. — ⁶⁾ Ehrenberg, *ibid.* — ⁷⁾ Aleksander Humboldt, *List do Varnhagena*. — ⁸⁾ Quatrefages, *Revue des Deux Mondes*, 1861, str. 157.

chodziły z niej zwycięsko same tylko doskonalsze organizmy. Natura, walcząc w nich z tyłu i takimi trudnościami bytu, robiła rozpaczliwe wysiłki, ażeby zachować życie. Przystosowywała organa do środowiska. Zaostrzała je i udoskonalała wedle potrzeby. A po miliardach lat, po nieskończonych próbach naoslep, odrzucając wszystko nieużyteczne lub szkodliwe, strzegąc i utrwalając z cudowną mądrością wszelkie ulepszenia, postępując od nich do ulepszeń coraz większych, doszła wkońcu do tych niezmiennych rezultatów, które dziś widzimy¹⁾.

Taki jest ten system. Zajął on w historii miejsce pod nazwą *transformizmu* lub przemiany gatunków.

Przedewszystkiem zauważyć muszę, że gdyby nawet prawdziwa była owa hipoteza, również jak pierwsza nie przyniosłaby swoim twórcom tej pociechy, że się bez Boga mogą obyć. Bo, raz jeszcze, któż stworzył materję? któż stworzył te pierwotne typy? kto im dał tę postępową siłę i energję twórczą? Oddajmy sprawiedliwość Darwinowi — pierwsze jego słowo było: Bóg!

Ale trzeba zaraz dodać, że wszyscy jego przyjaciele zaprotestowali: jedni delikatnie dali do zrozumienia, że mówiąc tak, nie był szczery i dlatego tylko położył to słowo na czele swego dzieła, aby zbyt nie odstraszyć publiczności z zamiarem usunięcia go później; drudzy dowodzili mu, że to imię Boga odejmowało jego systemowi całą oryginalność, że było z nim nawet w sprzeczności, bo jeżeli się przypuści, że Stwórca utworzył typ jeden, to mógł równie dobrze utworzyć wszystkie inne. Dosyć, że Darwin uchylił głowy, i krótkie zdanie, opiewające w wydaniu pierwszym, że *typ pierwotny otrzymał życie od Stworzyciela*, zostało wykreślone z drugiego. Ale w takim razie wraca pytanie: skąd się wziął ten typ pierwotny, ta prosta komórka, ta istota najniższa, która się pojawiła na początku, bez żadnej widomej przyczyny i z której wszystko bierze początek?

Dziwni to ludzie, którym tak trudno przypuścić nieskończoną doskonałość, a nieskończoną niedoskonałość przyjąć tak łatwo!

System ów zresztą, do którego obalenia ten jeden wzgląd jużby był wystarczyl, poddany krytyce, większe

¹⁾ Tę powolną pracę natury, wybierającej co pożyteczne, a odrzucającej wszystko inne, nazwał Darwin *doborem naturalnym*.

jeszcze poniósł klęski. Rozbił się o cztery następujące trudności.

1) *Stałość gatunków od najdawniejszych czasów*. Ażeby wymysłony przez Darwina typ pierwotny mógł z biegiem czasu wytworzyć niezliczone i przeróżne gatunki, zapelniające dziś ziemię, trzeba by przypuścić w żyjących istotach nieograniczoną i nieskończoną zmienność. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się przeciwnie. Czyniono najciekawsze poszukiwania w podziemnych pieczarach i świątyniach Egiptu. Znalezione w nich mnóstwo mumij nie tylko ludzi, ale psów, kotów, wołów, ibisów, a te zwierzęta, przed tysiącami lat zabalsamowane, są zupełnie podobne do dzisiejszych. Ten sam wniosek wyprowadzono z najdokładniejszych badań przedpotopowych paproci, mięczaków i płazów. Profesor Van-Beneden naprzykład porównyując nietoperze z epoki mamutów z dzisiejszemi, nie znalazł najmniejszej między nimi różnicy. Wszystko więc dowodzi, że prawem istot żyjących jest całość gatunków, nie zaś ich zmienność bez granic i końca. Jest to pierwszy fakt, zbijający ten system.

2) *Natychmiastowa lub bardzo rychła niepłodność, występująca przy krzyżowaniu ras zbliżonych*. W istocie, niedosyć jest przypuścić nieograniczoną zmienność kilku pierwotnych gatunków, ażeby wytłumaczyć pochodzenie od nich świata dzisiejszego: trzeba, aby były one jeszcze obdarzone nieograniczoną zdolnością krzyżowania się z pokrewnemi gatunkami. Tymczasem niczemu bardziej nie zaprzeczyły doświadczenia naukowe.

Zapewne, zmieniając warunki fizyczne lub organiczne, można zachwiać gatunkiem i sprawić w nim przemiany, wydające się znacznymi narazie. Ale te zboczenia świata roślinnego, a szczególnie zwierzęcego, podobne są do oscylacji igły magnesowej, wracającej zawsze do swego pierwotnego kierunku. Jak tylko gatunek jest zachwiany, przestaje być płodnym. Dotyka go niemoc. Botanik Lindley mówi: „Niepłodność jest zwykłą chorobą uprawnych roślin.” Z pomocą sztuki otrzymujemy kwiaty podwójne lub pełne: róże, anemony, pierwiosnki, kamelje, chryzantemy — kwiaty prawdziwie zbytkowne, bogate, wspaniałe, lecz niepłodne, na podobieństwo owych ogierów, które człowiek wytwarza, forsując naturę, ale których nie może rozpowszechnić. Prawdziwie rodzajami i nie wyczerpującymi się są tylko rasy naturalne.

3) *Nieobecność żyjących lub kopalnych ogniw pośrednich, których wymaga teoria.* Ponieważ, według teorii Darwina, dobór naturalny musi z konieczności działać bardzo powolnie, szeregiem prawie niedostrzeżonych modyfikacji, zatem pomiędzy istotami dzisiejszymi a ich przodkami, ginącymi w pomroce wieków, musiały istnieć *formy przechodnie w bardzo wielkiej ilości.* Gdzie one? Trzeba było przyznać, że dzisiaj nie istnieją. Wtedy zaczęto utrzymywać, że są to gatunki *zaginione*, i niesłychane czyniono starania, ażeby je odnaleźć w wiekach kopalnych. Nie udało się to. Odkrycie kilku wygasłych gatunków jest niczem wobec ogromnych szczerb, które trzeba zapełnić, tak że jeżeli jest dziś jaka dowiedziona prawda w geologii, to ta, iż wymagane przez ów system pośrednie formy nie istnieją.

Darwiniści musieli to przyznać. Aby wyjść z kłopotu, nie znaleźli nic lepszego nad teorię, że świat jest wielkiem dziełem w kilku tomach, z których ostatni tylko posiadamy, a brakujące formy pośrednie znajdują się w innych, dziś zaginionych. Ale to już nie nauka, to fantazja.

4) *Niemożliwość wy tłumaczenia przez dobór naturalny przemian, których dzisiaj żaden sztuczny dobór nie może sprowadzić.* Jakto! od sześciu tysięcy lat panujemy nad naturą i pomimo całego naszego rozumu nie potrafiliśmy ani razu zmusić jej do przeskoku od minerału do rośliny, od rośliny do zwierzęcia, nawet od małpy do człowieka? a natura sama, bez pomocy, miałaby to uczynić tysiące razy? To niedorzeczne! „Spóbuścież, — powiada Vitet — uczynić człowieka. Mówicie, że to kwestja czasu, niech i tak będzie; ale w każdym razie zaczniście, niech was ujrzymy przy robocie; użycie na to milionów wieków, a nigdy z najrozumniejszej nawet małpy nie zrobicie najgłupszego bodaj człowieka!”¹⁾

Hipoteza *przemiany gatunków* nie utrzymuje się zatem.

Z drugiej strony doktryna samorodztwa jest pozbawiona podstaw. Pozostaje więc jedno, że człowiek został stworzony przez Boga. A jeżeli tak jest, to czyż nie czujemy, że taki akt musiał koniecznie zostawić w sercu Boga skłonność do człowieka, uczucie dla niego?

Zresztą nie wszystko w tym systemie jest fałszywe.

¹⁾ Vitet, *De la Science et de la Foi.*

Nigdy fałsz nie mógłby istnieć, gdyby nie miał u podstawy pominiętej jakiejś prawdy. W tym wypadku złudzenie pochodzi stąd, że dwa te systematy to dwa najszczytniejsze prawa stworzenia, ale widziane przez krótkowidzów. Tak, samorodztwo było; tylko że pierwszy człowiek otrzymał życie nie od działania słońca na ziemię, ale od promienia miłości, pochodzącego z serca Boga. Jest także prawo przemiany albo raczej ciągłości gatunków, ale trzeba je rozumieć i nie zwracać przeciwko Wielkiemu Artyście jednej z najcudowniejszych piękności Jego dzieła. Przyjrzymy się temu wszystkiemu zbliska w świetle współczesnej nauki. Ujrzymy w nowym blasku uwielbione Oblicze Boskie.

III.

Piękne było, pełne poezji, wzniosłości i wielkości stworzenie świata, takie, jak nam je opisał Mojżesz. Szczytne było owo *fiat lux!* To przygotowanie ziemi z myślą o człowieku miało w sobie niezrównaną tkliwość. Jakże dobry i wielki jest ten Bóg, który się namysla przed stworzeniem człowieka, ulepił ciało jego boskimi rękoma i z serca wydaje tchnienie miłości, mające go ożywić. Jakże się czuło, że po takim akcie Bóg będzie na wieki człowiekowi przychylnym! — Pominę wszakże owo opowiadanie, tak pełne wspaniałomyślności i dobroci Boga, z którego widzimy, jak dobrowolnie, z jaką miłością zajmuje się Bóg swoim stworzeniem¹⁾, a będę zapytywał współczesnej nauki i to jedynie najdokładniejszej i najbardziej uwierzytelnionej.

Cóż widzi nauka na początku, tak daleko jak tylko może zasięgnąć? Oto ziemię, toczącą się w przestrzeni, jako skała pusta i rozżarzona. Powierzchnia jej znajduje się w stanie nieustannego gorzenia. Nic tam żyć nie może. Atmosfera jej, przepełniona elektrycznością i magnetyzmem, pełna jest świetnych zjawisk i burz potężnych. Otaczają ją gęste pary, które nie dopuszczają do niej przemian dnia i nocy. Oświecona jest tylko własnym płomieniem. Ktoby ją widział krążącą tak w przestrzeni, zaliczyłby ją do gwiazd świecących własnym światłem. Taki jest pierwszy wiek, pierwszy stan naszej kuli. Jak

¹⁾ Powróćmy do tej kwestji w trzecim tomie naszej pracy, gdy będziemy mówili o stworzeniu ze stanowiska wiary.

długo trwał? Nauka nie odważyła się tego wypowiedzieć. Stwierdza tylko rachunkiem, że kula tejże co ziemia objętości, rozgrzana do czerwoności i stygnąca w takich samych warunkach, potrzebowałaby kilku milionów lat, ażeby zejść do temperatury, panującej obecnie na ziemi.

Ogień ten uspokaja się wszakże. Zaczyna się powolne oziębianie. Woda, otaczająca w postaci pary ziemię gęstym obłokiem, spada skroplona na gorącą kulę. W miarę obniżania się temperatury woda ta opada coraz obficiej i otacza ziemię płynną powłoką, o której temperaturze i składzie możemy powziąć wyobrażenie z naszych źródeł gorących. Tu i owdzie z pośród fal ukazują się wyniosłości, pierwsza zapowiedź przyszłych lądów. Od czasu do czasu rozlega się huk straszliwy, i z łona tego oceanu występują łańcuchy górskie, wznoszą się wyspy, zarysowują się zatoki, wreszcie ukazuje się i kształtuje kula ziemiska.

W miarę jak ona stygnie i obsycha na powietrzu, zawieszane nad nią w przestrzeni masy wód opadają, ostatecznie ukazuje się słońce, księżyc, gwiazdy, sąsiednie bratnie ciała niebieskie, siostrzane planety, wszystkie te wreszcie cuda, które prawdopodobnie już istniały, ale których dojrzeć nie pozwalała atmosfera przesycona parą i wodą.

Spojrzyjcie teraz na ustosunkowanie tego wszystkiego, na budowę i układ ziemi. Przypuśćmy, że to wszystko jest dziełem przypadku, sił ukrytych, które tuż podniosły skorupę ziemi, owdzie zarysowały prześliczne zatoki, wyniosły skały, tajemnicze doliny. Co za piękność! ile uroku! jaka różnorodność widoków! a nade wszystko jaka ich zgodność z miotającymi moją duszę uczuciami radości, smutku, tęsknoty lub bólu! Zaprawdę, wielki to mistrz ten przypadek, i błogosławić go trzeba, że choć działa na ślepo, tak dobrze uczynił wszystko, co uczynił.

Ale oto coś, co się nie da wytłumaczyć ani przypadkiem, ani elektrycznością, ani ciepłem lub magnetyzmem. Ziemia była nagą skałą, rozżarzoną bryłą o temperaturze przenoszącej tysiąc stopni. A oto okrywa się liśćmi, kwiatami, owocami. Staje się najpiękniejszym ogrodem. Gdzież były ziarna i nasiona? Spytajcie nauki i spróbujcie mi ten fakt wyjaśnić. Przed chwilą nie było na ziemi ani roślin, ani ziarn, ani nasion żadnego rodzaju. Gdyby i były, uległyby spaleni. O tem nie można wątpić. „Musiało tu koniecznie — powiada Becquerel — zajść wdanie się twórczej potęgi.” Trzeba było, aby ktoś za-

siał te rośliny, i to ktoś nad miarę, bosko potężny! Bo jakież to różnorodność i piękność! jaka świetność i woń! Oto róża, która łączy w sobie wszystko: zapach, kolor, kształt; byłaby ostatnim wyrazem świata roślinnego, gdyby jeszcze miała owoc. Oto lilja wysmukła i czysta, fiołek, szerrzący woń z ukrycia; oto wielki dąb o wspaniałym cieniu. A te dwie rośliny, tak wątłe, delikatne, a tak przedziwne: zboże i winorośl! Stanowią one królewski pokarm człowieka. A jak wszystkie te rośliny są dlań pożyteczne! Jedne go żywią, inne leczą; a jeszcze inne ocieniają, orzeźwiają i cieszą. Są znów takie, które w wątłych kielichach zawierają siłę, mogącą go ożywić, rozweselić, dać mu moc i rozum. I to wszystko wychodzi ze spalonej skały, na której jeszcze wczoraj żadne nasienie ani życie istnieć nie mogło? Raz jeszcze pytam: któż to uczynił? Dla kogo chleb ten i to wino? Poco te tak ożywione krajobrazy, rozległe widoki, szczyty tak wyniosłe, tajemnicze cienie, tyle rzeczy tak pięknych, wzruszających i tak harmonizujących z naszą duszą, że wołamy mimowoli z poetą:

Przedmioty martwe, macież wy duszę,
Duszę, co wiąże się miłośnie z naszą
i zmusza, by je wzajem ukochała?

Ale patrzymy w dalszym ciągu na tę ziemię, do niedawna masę gorącą, rozżarzoną skałę, gdzie postać nie mogła żadna żywa istota, teraz odświeżoną, zroszoną, zacienioną, pełną woni, kwiatów i owoców, które tam wyrosły bez poprzedników, bez żadnego nasienia. Ujrzymy cud nowy. W powietrzu, w łonie wód, na ziemi ukazują się zwierzęta. Przychodzą one po roślinach. Mówi to rozum, potwierdza nauka. Otóż skąd się one wzięły? Jeżeli nasiona musiałyby się spalić w tem ogromnem zarzewiu, jakie nam przedstawia nauka, o ileż prędzej zarody żyjątek, jaja ptaków, słonie, wielbłądy, koń, wół, pies? Skądże więc, raz jeszcze, wzięły się one? Z minerałów? Ależ te były w stanie płynnym. Z roślin? A one same skąd pochodzą? A przeto, jakim to przeskok od rośliny do zwierzęcia! Oto istota poruszająca się, chodząca, latająca, która działa, kocha i nienawidzi. Jakże ją porównać z rośliną? Natura to całkiem nowa, niewspółmierna z tem, co ją poprzedza, oddzielona odeń całą otchłanią, a więc wymagająca ponownego i potężniejszego wdania się twórczej ręki. Przypatrzcie się zwierzętom i powiedzcie, czy świat zwierzęcy nie jest tysiąc razy piękniejszy od roślin-

nego, czy nie jest cudowniej jeszcze przygotowany dla człowieka? Jeżeli niektóre z nich są dla niego niezbędne, to ileż mu służy? Pies strzeże jego ogniska i liże mu rękę. Dumny i ognisty rumak nosi go w walce. Wół ciągnie jego pług, pomagając w uprawie roli. A ileż to ich na ziemi, w powietrzu i w wodzie służy mu za pokarm! A ileż rozwesela go śpiewem i lotem, ożywia naturę i wspólnie z szelestem wiatru w liściach i szmerem wody nada je jej ruch i życie, które dopełniają jej piękności! Ach! zarówno w oczach nauki, jak i rozumu, dla tych, którzy umieją patrzeć, jest to wspaniały wstęp do czegoś, przygotowany pałac, ogród wonny, gdzie słudzy stoją w pogotowiu, mówiąc jakby: „Pan przyjdzie!”

Przyszła nareszcie. Dnia pewnego na ziemi ukazał się człowiek. Który to był dzień, nauka nie wie. Ale to wie, i to powinna, pod groźbą kłamania samej sobie, wyznać głośno, że był dzień i wiele dni, w których człowiek nie istniał i istnieć nie mógł, bo byłby strawiony przez ogień: i inny znów dzień, bardzo stosunkowo niedawny, kiedy po wielu wiekach po ostygnięciu ziemi, ukazał się. A musi też jeszcze, pod zarzutem zdrady, powiedzieć i to, że jakkolwiek wielkie były cuda poprzednie, do tego cudu nic nie przygotowało świata. Między skałą a człowiekiem, między rośliną a człowiekiem, między zwierzęciem a człowiekiem jest przepaść. Istota to nowa, z gruntu i zupełnie od poprzedzających odmienna i bardziej jeszcze niż wszystkie inne nie dająca się wytłumaczyć inaczej, jak przez nowe i jeszcze wyższe wdanie się potęgi twórczej.

Kto był matką, kto karmicielką tej tak wielkiej istoty? Kto ją uczył stać, mówić, chodzić, patrzeć w niebo, uważać ziemię za zbyt małą, kochać prawdę, sprawiedliwość, honor, aż do poświęcenia im życia; wyznawać Boga i wołać do Niego: „Ojcze!” Kto go tego nauczył? Na to jest jedna tylko odpowiedź: Bóg!

Biada temu, kto bez wzruszenia i czci myśli o tej cudownej chwili, jedynej w historii, o tym dniu narodzin rodzaju ludzkiego, i kto nie widzi, że Bóg umieścił człowieka na kuli ziemskiej tak samo zupełnie, jak matka kładzie swe dziecko w kolebkę! Tak jest, biada mu! Jest on już więcej, niż krótkowidzem; należy do tych nieszcześliwych prawie nieuleczalnych, o których powiedziano: „Najgorszym ślepcem ze wszystkich ślepych jest ten, kto widzieć nie chce”.

To jest pierwsze prawo, które pomija Darwin i jego uczniowie, prawo budzenia się wszystkiego do życia pod tchnieniem Bożem. Ale nie to jedno prawo oni lekceważą. W widocznej tej wspaniałej pracy Bożej, ustanawiającej kolejno wszystkie królestwa, niby stopnie stworzenia, jest drugie prawo, na które też są ślepi. Prawo cudowne i głębokie, któreby przeciwnie powinno było ich zachwycić i wyjaśnić ostatecznie dzieło Boże. Jest to prawo, które miał na myśli Linneusz, kiedy mówił, że w miarę wzbogacania się i uzupełniania naszych muzeów będziemy się przekonywali coraz bardziej, że natura nie robi nic nagle, ale łagodnym i nieznacznym stopniowaniem, co już starożytni dostrzegli i określili jak następuje: „Natura nie robi przeskoków”. Nie: zbyt wielką mistrzynią jest na to. Między czarną nocą a świetnością południa stawia jutrzennkę; między jasnością dnia a ciemnościami nocy umieszcza gasnące stopniowo a tak łagodne blaski zmroku. I tak we wszystkim.

Pomiędzy minerałem a rośliną leży przepaść; wiecież, co robi natura? Pomieszcza między niemi mnóstwo istot, mających coś z minerału i coś z rośliny, które stopniowo i nieznacznie prowadzą od jednego do drugiego. To samo zachodzi między królestwem roślinnym a zwierzęcem. Spójrzcie na ogromną rodzinę polipów. Zwierzę-roślina, roślina-zwierzę, polip jest jakby drzewkiem tkwiącem w skale korzeniem, a z głową i żołądkiem zwierzęciem. Tyśiące jest podobnych istot pomiędzy dwoma królestwami, zaliczanych przez jednych do roślin, przez drugich do zwierząt, a stanowiących od jednych do drugich łagodne przejście.

Taki sam widok w świecie zwierzęcym. Jaka przepaść pomiędzy skromnym, po ziemi pełzającym płazem a wspaniałym orłem, szybującym w przestworzach! Ale i tu natura nie uczyniła przeskoku. Wejdźcie do paryskiego muzeum historii naturalnej, najbogatszego na świecie; przepatrzcie cały szereg istot, obdarzonych przez naturę skrzydłami, a zdumieni będziecie. Z początku w danym gatunku jest to tylko zaród, ślad skrzydła; dalej zwiększa się ono, ale nieśmiało i słabo podlatywa ledwie dozwala. Jeszcze dalej już nabiera mocy, sprężystości; unosi ptaka wysoko, długo. Potem natura ośmiela się, daje skrzydłu potężną moc i wymiary. Taki ptak o śmiałości i pewnym skrzydle odbywa podróże nie do uwierzenia, więcej niż sto mil na godzinę, i przebywając wszystkie

strefy w przeciągu godzin kilku, z lodów Syberji przenosi się na gorące wybrzeże Peruwji. Inny znowu wznosi się tak wysoko, że wzrok nie może go dosięgnąć, i kołysany przez burzę, usypia w powietrzu. A inny jeszcze, jak koliber, ptak-mucha, ma tak żywe ruchy skrzydeł, że nie można ich dostrzec, a ten skrzydlaty kwiat, ten żywy klejnot wydaje się nieruchomym w powietrzu.

To samo cudowne stopniowanie pomiędzy rybami pływającymi w wodach, ptakami szybującymi w powietrzu i płazami pełzającymi po ziemi. Któż nie zna olbrzymiego szeregu istot ziemnowodnych, które pływają i latają, latają i pełzają, a są jednocześnie rybą i ptakiem lub ssakiem. Nigdzie natura nie robi przeskoków. Gdzie się nam zdaje, że widzimy przerwę, próżnię, nagle i rażące przejście, obwiniajmy sami siebie: przerwą tą jest tylko nasza nieświadomość.

Nie trzeba się więc dziwić, że to samo prawo istnieje pomiędzy światem zwierzęcym a człowiekiem. Im ogromniejsza jest różnica, z tem większą sztuką dokonał Bóg przejścia. Pomiedzy zwierzęciem, pełzającym po ziemi, a człowiekiem, wznoszącym głowę ku niebu, są zwierzęta, próbujące stać prosto, inne zdradzające ślady mowy, inne znowu pierwsze zarysy ludzkiej twarzy. W taki to sposób natura zapełnia przerwy i przez nieznaczne cieniowanie doprowadza świat zwierzęcy do człowieka. Na nic się nie zdało zaprzeczać temu prawu; ale nie trzeba go również naciągać do swoich celów. Wszystkie rzeczy takimi samymi są od początku i takimi pozostaną aż do końca. Nie mówcie, że ten żywy atom, ten wymoczek, wznosząc się coraz wyżej, stając się polipem, korałem lub perłą, dojdzie może za dziesięć tysięcy lat do godności owadu; za dziesięć, za sto tysięcy lat wymoczek będzie wymoczkiem, polip polipem. A biedny nietoperz ze swoim zarodkiem skrzydła za lat dziesięć tysięcy będzie tym samym nietoperzem; orłem nie stanie się nigdy. Małpa na koniec będzie zawsze małpą, nawet po upływie lat tysięcy, a więc nie przekształci się w człowieka. Prawo świata to nie przemiana gatunków, jak ją pojmuje Darwin; to cztery coraz wyższe królestwa, cztery coraz wyższe stopnie; pomiędzy nimi zaś dla złagodzenia przejść, dla pogodzenia kolorów półtony, łagodne i wdzięczne stopniowanie, całość zachwycająca, ale ustalona od początku, w której najdokładniejsze badanie nie odkryło w ciągu sześciu tysięcy lat innego dążenia, jak posłuszne odwiecznemu prawu życie.

Oto jest stworzenie świata takie, jakiem je dziś widzi nauka. Nie zatrzymuję się dłużej nad niem, zamierzając w przyszłości wrócić do tego wspaniałego tematu i rozpastrzyć go wszechstronnie, a śpieszę wyprowadzić z niego następujący wniosek:

Bóg więc stworzył wszystko: stworzył ziemię i człowieka. Nie pytam jeszcze: dlaczego? — pytam poprostu: Czy mógłby stworzyć człowieka, a nie kochać go, nie zajmować się nim, nie czuć potrzeby rozciągania nad nim opieki, przychodzenia mu z pomocą? Bo pytam was: czyście stworzyli co kiedy? a jeśliście stworzyli rzecz jaką, czy jej nie kochacie? Choćbyście stworzyli tylko mały ogródek z kilku ścieżkami otoczonymi bukszpanem, z kilku goździkami i różami, czyż nie macie sympatji dla tych kwiatów? czy nie lubicie ich polewać, oczyszczając ze szkodliwych owadów? Powiedzcie mi jeszcze, czyście kiedy w dniu zachwyty i męczarni nie napisali książki, kładąc w nią część swego ducha i serca? Czy jej nie kochacie? Czy los jej was nie obchodzi? Czy nie macie tej słabości, że lubicie tych, którzy ją czytają i mówią wam o niej? A nadewszystko powiedzcie mi, wy, którzyście w chwili jeszcze radośniejszej i donioślejszej dali życie dzieciociu, istocie o waszej krwi w żyłach, o waszych rysach twarzy, o waszych przymiotach i wadach w duszy — czy jej nie kochacie? i czy nie czujecie, że ta miłość tak gorąca i silna nie jest w was słabością, ale piękną moralną, wielkością, zadatkiem wszelkiej szlachetności i cnoty? a gdy szukacie jej źródła, czyż nie czujecie, że przychodzi wam ona z wysoka? że nie zrodziła się z namysłów, rozważ, potrzeby, ale zstąpiła na was zupełna, skończona, szczytna? O tak! miłość ta nie od człowieka pochodzi, ale od Boga, który go stworzył, a stwarzając doznał pierwszy jej uroku; który nie mógł być ojcem bez pocucia ojcostwa w sercu i który, umieściwszy swoje dziecko na pełnej niebezpieczeństw ziemi, nie przestał niem się zajmować, opiekować, bronić go, skłaniać się ku niemu, nie tylko już przez wspaniałomyślność, ale przez dobroć, przez miłość!

IV.

Uczyńmy krok trzeci.

Wśród tego tak pięknego świata, którego harmonja świadczy o wielkim artyście, jakimże jest właściwie stanowisko człowieka? Tylko cośmy mówili, że jako władca

przychodzi na ziemię. Ale czy jako władca od nikogo niezależny? Wszystko, co jest pod nim, słuchać go winno, ale czyż ponad nim niema nikogo, komuby on był winien posłuszeństwo? Nauka wykazała nam niedawno stale wznoszące się stopnie stworzenia: od minerału do rośliny, od rośliny do zwierzęcia, od zwierzęcia do człowieka. W takim znaczeniu, jak to pojmuję Darwin, jest to fałsz; ale samo w sobie wszystko to jest prawdziwe i piękne; i wszystko to mówi, że człowiek nie jest ostatnim wyrazem stworzenia, i że od niego musi ono jeszcze wznieść się do Boga, jego początku i Pana. I dlatego to naukowa niewiara tak usilnie przeczy istnieniu Boga Stworzyciela. Bo przypuściwszy Stworzyciela, jakżeby mogła nie uznać Prawodawcy i Pana?

Dosyć zresztą jednego wejrzenia na człowieka, ażeby zrozumieć prawdziwy porządek rzeczy, aby zobaczyć, że Bóg jest panem, a człowiek, pomimo swych zadziwiających odkryć naukowych, stworzeniem pokornym, słabym i zależnym. Teologowie określają Boga: Byt sam przez się — *Ens a se*. Możliwy człowieka określić: byt przez inny — *Ens ab alio*. Bo kiedyż to przychodzi on na świat? kiedy go zawołają. A kiedy go opuszcza? Gdy jest z niego wypędzony. Pomiędzy zaś tą kolebką, dla której nie wybierał miejsca, godziny ani kształtu, i jeszcze niezależniejszym od jego woli grobem jakąż jest ta ziemia, na którą przybywa zapłakać chwilę? Ziemia, która nie do niego należy, która istniała przed nim, istnieć będzie po nim, ziemia tak widocznie należąca do kogo innego, ziemia na koniec, której wszystkie wysiłki naszego geniuszu zdołały zaledwie porysować naskórek i która unosi nas w przestrzeni nie jako rządzącego nią króla, ale jak dziecko, tułone do łona. Człowiek przychodzi, kiedy go Bóg zawoła; odchodzi, gdy go odwoła; zamieszkuje we łzach ziemi nie swoją: tak było wczoraj, tak jest dzisiaj. Nie widzę, coby w tem mógł zmienić nasz postęp naukowy.

Prawda, żeśmy odkryli siły natury, jej tajemniczą a nieobliczalną energję. Są one pokonane i do usług naszych obrócone; posłuszne nam są wszakże tylko pod tym warunkiem, że my pierwsi przystosujemy się do nich. Pięknym jesteś, człowiecze, na swym ognistym parowozie. Podziwiam uległość, zgodną siłę ogromnych twych dźwigni, poruszanych przez parę. Nie waz się jednakże naruszyć któregośkolwiek z zasadniczych praw przyrody: kocioł wyleciałby w powietrze i ty z nim razem. Swoim ko-

sztem dowiedziałbyś się, biedny władco, żeś panem przyrody tylko pod warunkiem, że będziesz posłusznym prawom Tego, który ją stworzył.

A jak się ta zależność uwydatnia coraz wyraźniej, gdy badamy szczegółowo nasze czynności codzienne!

Wszystko zaczynam, nic skończyć nie mogę. Sieję, lecz potrzeba mi słońca, deszczu, rosy. Działam, a kiedy już wszystko obrachowałam naprzód, do powodzenia trzeba mi jeszcze czegoś niezależnego ode mnie. Co to jest to coś? tego ludzie nie wiedzą. Nazywają je przeznaczeniem, przypadkiem, losem szczęścia. Fénelon prawdziwie to określił: „Człowiek zabiega, Bóg go prowadzi”. Przysłowie ludowe wyraża to niemniej dosadnie: „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi”. Cóż tu zmienić postępowanie w naukach?

A cóż powiedzieć o życiu? Dziwna jest słabość człowieka! Żyje, lecz czegoż trzeba, aby mię zabić? Okno niedomknięte, drzwi otworzone, najmniejszy jakiś przeciąg — i otom martwy. Przechodzę przez życie, jak się przechodzi przez podwórze, osłaniając ręką od wiatru drżące i gasnące światełko świecy; ciąglem zajęty ochroną mego biednego życia, a jednak to mi się nie udaje. I nauki najmniej pewne, najbardziej na przypuszczeniach oparte, najmniej mające u ludzi wiary — są właśnie najpotrzebniejsze. Bo i jak też daleko zaszła nauka lecznicza? Jakie postępy uczyniła medycyna? Przez sześć tysięcy lat nauka nie potrafiła przedłużyć nam życia ani o godzinę, dodać choćby cala do naszego wzrostu, lub ująć jednej zmarszczki naszym czołom. Prawda, że rachujemy na przyszłość dla osiągnięcia tego postępu. „Któż wie, — powiadacie, — czy nauka, pani życia, nie zmieni jego warunków? czy wszytkowiedząca biologja nie da nam żywota wiekuiściego?”¹⁾ Oto do jakich rojeń doprowadza was szalona pycha nauki!

Ale ponieważ urzeczywistnienie tego postępu warunkujecie setkami milionów lat rozwoju chemji, ludzkość dziękuje wam za wasze dobre chęci. Umiera i nie ma czasu czekać.

Tak, umiera; przemija jak fala. Gdzie byłem? com czynił wczoraj? Już nie pamiętam. Gdzie byli wczoraj ojciec mój, dziad, pradziad? Szukam ich śladów — zatarłe. Jest jakaś chmura, która w miarę, jak postępuje

¹⁾ Renan, *Revue des Deux Mondes*, 1861.

naprzód, toczy za mną i na mnie zapomnienia fale. Zapominamy wszystkiego, nawet samych siebie. Tracimy się z każdą chwilą. Oto jest życie. A jutro gdzie będę? Szczęśliwym będę czy nędzarzem? wielkim czy małym? Bogatym czy ubogim? Gdzie umrę? Kiedy? Któż może ręczyć za dzień jeden? co mówię! za godzinę? Jasne jest, żeśmy w ręku Innego.

A jeżeli tak, to czyż ten Inny nie powinien kierować nami i rządzić? W gruncie rzeczy dlaczegoż tak staramy się dowieść, że Bóg się nami nie zajmuje? Czyż nie dla zyskania sobie prawa niezajmowania się Nim? I w istocie, dwie te rzeczy idą jedna za drugą. Nic Mu nie jesteśmy winni, jeżeli nie raczy rządzić nami. Jakież mielibyśmy obowiązek postępowania jak poddani, gdyby On nie raczył postępować z nami jako władca?

Ale On tak właśnie postępuje. Czuwa nad ludzkością, kieruje nią. Ludzkość wie to i czuje. Tylko że rządy Boże są arcydziełem łagodności, cierpliwości, dyskrekcji, poszanowania swobody. Człowiek niecierpliwi się i druzgocze. On nigdy. Czeką poza zasłoną. Zadowolając się boskiem skojarzeniem swego prawa z przeznaczeniami ludzkości, a nawet z losem każdej duszy, pozostawia człowiekowi ukaranie samego siebie. Każde przestąpienie jego rozkazów odbija się złowrogim acz niewidzialnym ciosem nawet w fizycznym naszym życiu. Posuńcie bunt dalej: oto rodzina się rozprzega. Nie powstrzymacie się: chwieje się społeczeństwo. Klęski bez nazwy, wojny domowe, niewytłumaczone upadki biorą na się wykazanie społeczeństwu i duszom, że nieposłuszeństwo Bogu nie uchodzi bezkarnie. On rządzi światem, a pierwszym Jego ministrem jest logika.

V.

Widzieliśmy już wiele przymiotów Boga, skłaniających Go ku człowiekowi: wspaniałomyślność, dobroć, miłość ojcowską i wszechmoc. Dotknę tu jeszcze jednego, najszczytniejszego ze wszystkich: świętości.

Bóg jest świętym, Świętym nad świętymi. Wola Jego było też, abyśmy z wolnego wyboru zostali tem, czem On jest z natury swojej. Według tego planu utworzył świat i tem dał dziełu godne siebie uwieńczenie, a z życia człowieka uczynił tak wzruszający dramat.

Wiecie, co to jest dramat? To piękność, sprawiedliwość, odwaga, honor wobec jakiejś przeszkody. To następnie przezwyciężenie przeszkody ofiarą, za czem idzie triumf, spoczynek w szczęściu, świetle i miłości.

Taki też jest plan Boga. Człowiek dąży ku dobru, ku wiecznemu i nieskończonemu dobru, które z natury rzeczy jest zarazem szczęściem. Ale zaledwie zrobi krok naprzód, staje wobec przeszkody. Tu cierpienie — gorzka czara, na której dnie spoczywa wielkość. Tam znów straszna pokusa — sposobność do cnoty. Człowiek waha się, cierpi, walczy. A Bóg tymczasem krzepi go, wspomaga i pociesza; po ukończeniu zaś walki wprowadza do spoczynku, do szczęścia.

Są ludzie, którzy ten plan odrzucają. Woleliby oni, ażeby dramat świata był brzydki, śmieszny i wstrętny. Chcieliby walki bez przyczyny, ofiary bez nagrody, szczytnych wysiłków odwagi, ginących w próżni. Najgorszy artysta jeszczeby zrobił lepiej.

Gdybyż przynajmniej usuwali cierpienie; ale nie, oni tylko odrzucają to, co je łagodzi. W rzeczywistości ludzie cierpią przy każdym systemie. Rodzimy się we łzach, wzrastamy w pracy, dojrzewamy w troskach i odpowiedzialności, starzejemy się w rozczarowaniu, umieramy w boleści. Oto ich i nasze życie!

A przytem na tej smutnej ziemi dla dopomożenia sobie w dźwiganiu ciężaru życia szukamy dusz, naszej duszy pokrewnych. Kochamy, jesteśmy kochani. Zakładamy sobie gniazdko, zaludniamy je istotami z naszej krwi i kości. Tymczasem dnia jednego zrywa się wiatr zimny, jeden z tych wichrów jesiennych, które rozpraszają zeszlę liście, a gdy potem liczymy naszą rodzinę, te jasne główki — dumę naszą i nadzieję, nie doliczamy się ich! A jeżeli drogie te istoty dojdą lat męskich, oddajemy je ojczyźnie, poświęcamy honorowi.

Taki jest los nas wszystkich. A jeżeli widok naszych nieszczęść rozczula bliźniego; jeżeli zwierzęta nawet ze łzami spoglądają na nas; jeżeli drzewa smutnieją, widząc nas błędzących ponuro w ich cieniu — wy chcecie, żeby Bóg pozostał niewzruszony w głębi swojej wieczności! Żeby nie dopomagał nam zwyciężać cierpienia lub się przez nie przeistaczać? Jakiegoż Boga wyobrażacie sobie?

Zresztą w tej ciężkiej walce życiowej nie tylko boleść i ofiara wstrzymują wpół drogi zbolełego człowieka, ale i zło pociągające a straszne i namiętności, które unoszą go

w tym wirze, odwodząc od celu, do którego dążyć powinien.

To też są tacy, którzy upadają w walce ze złem, dając się omamić błyszczącym widziadłom. Takich mi żal. Są znów inni, którzy czynią źle bez żadnego wstydu, urągając wszystkiemu, co święte jest na świecie. Takich nienawidzę; a mojemu wstrętowi ku nim dorównywa jedynie zachwyt mej duszy wobec tych czystych i silnych istot, które ze łzami poświęcają się dla cnoty. Oto, czego doznaję ja, człowiek ułomny! A Bóg, nieskończona świętość, nicby nie odczuwał! Czyż On nie widzi tego co dobre, co złe, tych szkaradnych występków, tych wzniosłych cnót? Gdzież jest w takim razie Jego wszechobecność? A jeżeli widzi je i nie zadrży z oburzenia i miłości, to mniejszy jest ode mnie! Mówicie: I cóż to Boga obchodzi? Na to odpowiadam: A cóż to mnie obchodzi? — a jednak ja jestem wzruszony.

Najsympatyczniejszym rysem piękności danej natury jest właśnie jej czułość. Weźcie artystę-muzyka: najłżejszy ton fałszywy go porusza. Spójrzcie na człowieka uczciwego: unosi się oburzeniem wobec podłości. A któż wypowie łzy serc czystych na widok nawet lekkich zła objawów. Jednemu Bogu tylko odmawiacie tej szlachetności! Jego tylko sądzicie się w prawie pozbawić tej wielkości.

Źródło sprawiedliwości i świętości, Twórco prawa moralnego i dobra, początku tej wzniosłej wolności, która przez ofiarę prowadzi do cnoty! niech sobie człowiek wyobraża świat, jak chce wielkim, nie uczyni go nigdy tak obszernym, byś nie widział, co się na nim dzieje. I nie pojmie Cię nigdy tak obojętnym, pozbawionym czucia i sprawiedliwości, ażebyś na takie widoki spoglądał zimny i niewzruszony! Zawsze Twa szczytna natura skłaniać Cię będzie do wdawania się w wielki dramat ludzkości jako prawodawca, wspomożyciel, sędzia, wymierzający nagrody i kary, niekiedy jako mściciel. A sam spokoj, głębokie zadowolenie, towarzyszące cnocie w tem życiu, wyrzuty sumienia, prześladowające winnego, i przebaczenie, które go podnosi, i siła, płynąca z modlitwy, i pociecha, w ciszy nocnej nawiedzająca serca złamane — czemuż są, jeżeli nie widocznym, nieustannym dowodem czulej miłości Boga dla człowieka?

Streśćmy się i zakończmy.

Widzieliśmy w poprzedzającym rozdziale, że człowiek dąży ku Bogu nieprzeparcie. Wznosi się ku Niemu umy-

słem, sercem, sumieniem; radościami, cierpieniami i słabością swoją; całe jego życie jest nieustannym dążeniem do Boga, jako do jedynej istoty, która odpowiada jego potrzebom i pragnienia jego zadowolić może.

Z drugiej strony ujrzelśmy w tymże rozdziale Boga, skłaniającego ku człowiekowi wszystkie swoje przymioty: wspaniałość, dobroć, ojcostwo, zwierchnictwo, sprawiedliwość, świętość, miłość. Bóg więc i człowiek są to dwie istoty, które szukają się wzajem.

Pytam tedy: dlaczego nie miało nastąpić spotkanie, i kto mógłby przeszkodzić człowiekowi, szukającemu Boga, i Bogu, szukającemu człowieka, spotkać się i zjednoczyć?

ROZDZIAŁ TRZECI.

O prawdziwej istocie religji.

I.

Powiedzieliśmy, że człowiek dąży do Boga a Bóg do człowieka, z powodów różnych wprowadzie jak ich istota, ale głębokich i wzniosłych ze stron obu. Otóż jeśli to prawda, to widoczne jest, że musieli się spotkać, bo któżby im mógł w tem przeszkodzić? Muszą być pomiędzy nimi łączniki, stosunki, pewne czyny, podnoszące człowieka ku Bogu i zbliżające Boga do człowieka, słowem religja — bo religja, jak to nazwa jej wskazuje, nie jest czem innem, jak żywym stosunkiem Boga i człowieka, spotkaniem się ich i zjednoczeniem, całokształtem uczynków prowadzących ich, że się tak poważymy wyrazić, wzajemnie w objęcia.

Tak, Bóg i człowiek w poszukiwaniu wzajemnem, znalezieniu się i łączeniu — oto religja.

Religja nie jest tylko, jak to sobie wiele osób wyobraża i jak mówił Cycero w sztucznym i powierzchownym języku pogaństwa, „czcią i hołdem oddanym Bóstwu” *superioris naturae cultum coeremoniamque*¹⁾. Gdyby była tem tylko, gdyby człowiek ze swojej strony dawał wszystko, a Bóg nic od Siebie, religja byłaby najniepotrzebniejszym ze wszystkich urojeniem. Czemże jest cześć, jeżeli Bóg jej nie odczuwa? Czemże modlitwa, która nie jest słuchaną? Pocóż żal, jeżeli za nim nie idzie przebaczenie? Czemże są nakoniec wszystkie czyny człowieka, usiłującego się dostać do Boga, jeżeli nie prowadzą za sobą odpowiadających im czynów Boga, zniżającego się ku niemu? A mówiąc mimochodem, czuje się nawet, że w tem poszukiwaniu i spotkaniu Boga i człowieka Bóg powinien być zacząć pierwszy, dać jakgdyby hasło, gdyż jest starszym, silniejszym, tkliwszym i pod każdym względem lepszym.

¹⁾ Cicer., *De invent.*, lib. II, LIII.

Oto, powtarzam, religja w najprostszym pojęciu. W czemże pojęcie to może urażać rozum ludzki? Pozostawcie na boku sofizmaty, które zresztą roztrząśniemy później, a wejdźcie w tę najtajniejszą głąb siebie samych, gdzie się już słyszy tylko głosy z góry; one wam powiedzą następujące prawdy: Bóg i człowiek nie mogą być rozdzieleni przepaścią; dążą ku sobie dla przyczyn, wielkich jak oni sami; niepodobna więc, aby się nie spotkali. Człowiek winien się ku Bogu wznosić przez uwielbienie, modlitwę, posłuszeństwo, przez żal i miłość; ale trzeba też, by Bóg zniżył się ku niemu; aby przyszedł do człowieka przez pomoc, przebaczenie, dobrodziejstwo, a zatem także przez miłość. To oczywista.

To też ponieważ w tej teorii prostej i obfitej w skutki zawiera się wiekuista religja, nie szczędzono jej napaści. Nie mogąc przeszkodzić człowiekowi wznosić się do Boga, bo i jak, niestety, zapobiec temu, aby nie zwrócił nigdy wzroku do nieba? — próbowano wszystkiego, ażeby usunąć i wygnać z religji Boga.

Wiek XVIII mówił: „Człowiek podziwia Boga, czci Go i przyzywa, zgoda na to; ale niechże nie wyobraża sobie że może się do Niego dostać. Bóg jest na to za wielki. Przez tę samą wielkość usuwa się przed człowiekiem nieśkończoną ucieczką.” Czy podobna wyobrazić sobie taką religję, a raczej taką mękę Tantala, jak ta, że Bóg uchodzi bez końca od goniącego Go wciąż człowieka? Przecież dziwni byli ci filozofowie!

Ale teraz przewyższono ich jeszcze, bo oto, co powiadają: „Człowiek, czci, uwielbia, wzywa, co? Nic. Bo nic niema. Religja jest rzeczą czysto subiektywną, bezprzedmiotową. Bóg to tylko stworzony przez człowieka ideał, marzenie jego serca, czcze marzenie, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością”. Niemcy wytwarzają te dziwotagi, a Francja wprowadza je u siebie i podziwia. Natura, — mówi Feuerbach, z *uwielbieniem* przez Vacherota cytowany, — nie słyszy skarg człowieka, jest nieczuła na jego cierpienia; to też człowiek odwraca się od niej, od wszystkich wogóle przedmiotów widzialnych; usuwa się w swój świat wewnętrzny, ażeby tam nakoniec zdala od tych obojętnych potęg móc znaleźć kogoś, coby go słuchał i pocieszał. Tam wypowiada dręczące go tajemnice, daje swobodę uciśnionemu sercu. Ta swoboda dana sercu, ta odsłonięta tajemnica, ta wypowiedziana boleść — to Bóg.

Bóg to łaża miłości, zdala od wszystkich oczu uroniona nad nieszczęściem ludzkim. Bóg to nieujęte westchnienie, kryjące się w głębi duszy ludzkiej¹⁾.

Nie ubliżając p. Vacherotowi, wszystko to pomimo jego *uwielbienia* jest poprostu śmieszne. Jaktol! moja łaża — to Bóg! westchnienie mego uciśnionego serca — to Bóg! Bóg byłby modlitwą, która sama siebie wysłuchuje! echem naszych jęków! Oto, co wy mówicie, a ja nie miałbym prawa wymówić tu prawdziwego słowa: bezbożność, a co większa: niedorzeczność? Człowiek uchodzi przed nie pojmującą go naturą. Zamyka się w sobie, aby wysłuchać siebie i pocieszyć. A to westchnienie, które mu się z serca wydobywa, to Bóg! Innego niema wcale! I wy to nazywacie „nieubłaganą logiką”! Powiedzcież raczej: nieubłagane głupstwo!

Nie, jęk człowieka nie jest Bogiem, ale ten jęk Go przyzywa. On widzi tę łażę gorącą, słyszy to rzewne westchnienie. Nie myli się człowiek, kiedy ucieka od nieczułej na jego cierpienia natury i zamyka się w sobie, szukając „kogoś, coby go usłyszał i pocieszył!” Znajdzie tego „kogoś” a jest nim — Bóg. Następuje zjednoczenie, a nie jest ono nigdy głębsze, jak wtedy, kiedy początek z łaż bierze.

Wy, którzy to czytacie, kimkolwiek jesteście, jakiegokolwiek są wasze teorje, odpowiedzcie mi szczerze, czy wierzycie, że Bóg was słyszy? czy wierzycie, iż usłyszawszy może wam odpowiedzieć? Jeżeli wierzycie w to, czyście katolicy, czy protestanci, żydzi, mahometanie, — jesteście religijni. Jeśli nie wierzycie, jesteście niereligijni, jesteście niedowiarkami w praktyce. Macie Boga tylko dla formy, ażeby uniknąć śmieszności lub może wyrzutów sumienia, że w Niego nie wierzycie.

Bóg, który mnie nie słyszy lub mi nie odpowiada, toć nie Bóg — to bożyszcze. Religja, która jest tylko monologiem, to nie religja. Jakżebyście mogli mówić długo do kogoś, któryby wam nigdy nie odpowiadał? Wiekuista czołobitność przed głuchym i niemym nie byłaby godna ani Boga ani człowieka. Nie można określać religji, że jest całokształtem *obowiązków człowieka względem Boga*, bez dodania, że jest jednocześnie *całokształtem obowiązków*

¹⁾ Vacherot, *La Religion*, str. 72.

*Boga względem człowieka*¹⁾. Inaczej byłoby to czemś fałszywym, a co gorsza, szkodliwym; bo widząc w religji tylko człowieka, zapomnielibyśmy wkońcu o Bogu; zatarłby się On i znikł.

Jeżeli zatem religja nie ma być smutnem złudzeniem, potrzeba koniecznie, ażeby między Bogiem i człowiekiem były akty zobopólne, akty Boga względem człowieka, jak są akty człowieka względem Boga; coś, coby *więzało* Boga z człowiekiem, jak jest coś, co człowieka *wiąże* z Bogiem. Potrzeba węzła, punktu zetknięcia, gdzieby te dwa wiązadła stykały się i zacieśniały.

Jest to zresztą właściwe znaczenie, źródełstów wyrazu *religio*, tak też był on zawsze przez najlepsze umysły rozumiany i objaśniany. Pochodzi on od słowa *religare*, które znaczy *wiązać, łączyć, łączyć*. Tak go pojmowali Tertuljan, Laktancjusz, święty Augustyn, Hieronim, a w nowszych czasach Bossuet, Fénelon, Pascal, Leibniz. Zacytujemy tu tylko Bossueta, w którym zawiera się i cała starożytność kościelna i zdrowy rozsądek czasów wszystkich: „Wszystkie uczynki religijne w Bogu cel swój mieć powinny, a właściwością religji jest łączyć nas z tą pierwszą Istotą. Św. Augustyn nas uczy, że z tego to źródła wzięła religja swą nazwę: *Religio dicitur eo, quod nos religant omnipotenti Deo*. „Religja bierze nazwę stąd, że nas łączy z wszechmocnym Bogiem”²⁾. Wiąże nas ona, łączy, jednoczy z Bogiem; to zjednoczenie jest jej definicją.

Przyznam się, że czytając tę teologję, tak piękną i głęboką, a tak mimo to prostą, czuję żal do nowoczesnych teologów, którzy zamiast trzymać się tego wielkiego pojęcia religji, przyjęli prawie wszyscy sztuczne określenie Cyce-rona i zredukowali ją do obowiązków czci, chwały, dziękczynienia, jakie człowiek winien jest Bogu. Określenie, jak powiedziałem, sztuczne; nawet niedokładne, ponieważ nie zawiera istoty religji, a jedna z dwóch jednoczących się stron ma tam nic nie znaczącą rolę; niebezpieczne na koniec z powodu tej ogólnej skłonności nowoczesnych umysłów, ażeby sprowadzić religję do czci oddawanej Bogu z oddali, do teoretycznego uwielbienia niewidzialnego.

¹⁾ Bóg miał zupełną swobodę stworzenia lub niestworzenia człowieka. Ale stworzywszy, nie miał prawa go opuścić. *Winien* był sam sobie przyjść mu z pomocą. W Nim samym było źródło obowiązków, które zaciągnął dobrowolnie względem swego stworzenia. Ale obowiązki te istniały i odpowiadały obowiązkowi człowieka.

²⁾ Bossuet, *Oeuvres complètes*, t. VI, str. 47.

I to nie tylko wielkie umysły pojęły religię w ten wzruszający sposób; rozumiały ją zawsze tak samo całe narody. Zawsze była w ich oczach i boską i ludzką, zespołem aktów łączących człowieka z Bogiem i Boga z człowiekiem, i nie tylko boską i ludzką, ale i najbardziej boską i najbardziej ludzką ze wszystkich instytucji. I w istocie niema też żadnej, gdzieby Bóg i człowiek w tak niezrównanym spotykali się stosunku. Człowiek przynosi tam wszystko, co ma najwznioślejszego, najszczytniejszego i bosko pięknego: swoje święte pragnienie prawdy, sprawiedliwości, doskonałości moralnej, swą namiętność do nieskończoności. Bóg przynosi swą świętość, majestat, tklivość i miłosierdzie. Włożył w religię wszystko, co w Nim jest piękne, słodkie, dobre, święte i wielkie; a ponieważ rzecz tak się ma i z człowiekiem, łatwo pojąć, że nic nie może się z nią równać pod względem żywotności, trwałości, płodności i piękności moralnej. Jak sam Bóg odwieczna, powszechna jak człowiek, jak jeden i drugi niespożyta, przebywa wszystkie czasy, wszystkie miejsca; stawia czoło wszelkim burzom; zawsze czysta w tej nieskazitelnej części, która pochodzi od Boga; piękna i w tej drugiej, którą dotyka ziemi, godna czci, pomimo słabości człowieka, który nie może się jej tknąć bez udzielenia swych niedostatków; zawsze płodna, bo dająca początek każdej cnocie moralności, każdej wiedzy i prawodawstwu, wszelkiej poezji czasów dawnych i obecnych, wznosi ona ponad opary unoszące się z ziemi promienne czoło, na którym jaśnieje piękno zarazem boskie i ludzkie, w niewymownej harmonii ze sobą złączone. Ludzkość, znalazłszy ją u kolebki, nad swoim grobem ujrzy ją jeszcze; słuszne jest bowiem, ażeby w tem spotkaniu Boga i człowieka, gdzie tak wielką rolę gra miłość, Ten, który więcej kocha, miał pierwsze i ostatnie słowo.

II.

Religia jest więc szukaniem się i spotkaniem Boga i człowieka, stosunkiem ich wzajemnym. I w tem leży, nadmienimy mimochodem, wielka różnica między religią a filozofją, różnica tak nieraz nadaremnie szukana i rozumiana opacznie. Zapewne, religja i filozofja ten sam mają przedmiot: Boga. Ale filozofja jest nauką, religja obcowaniem. Filozofja uczy nas rozważać Boga, religja nas ku Niemu prowadzi. Czego brak najwyższej nawet filo-

zofji, to dwóch sił, które religja, skażona nawet, posiada zawsze: siły wznoszącej, która człowieka prowadzi w objęcia Boga, i zniżającej, która ściąga Boga w objęcia człowieka. Usunięcie religji; Bóg już się nie zniża, człowiek się nie wznosi, albo, jeżeli się wznosi, to umysłem, nie duszą. Słowem, Bóg pozostaje Bogiem, człowiek człowiekiem, jeden w niebie, drugi na ziemi. Niezmierzona przepaść, *chaos magnum*, nie przestaje istnieć przy filozofji. Religja zarzuca most nad nią.

Stąd wniosek, że religja i filozofja mogą przebywać w ludzkiej duszy razem; nie różnocześnie i kolejno, jak mówi p. Vacherot, utrzymujący, iż za pojawieniem się filozofji religja uchodzi, ale razem, jak dwie kochające się i pomagające sobie wzajem siostry. Jedna, córka człowieka, ukazuje mu Boga i rzuca nań światło swojego geniuszu. Druga, córka ludzka i boska zarazem, ukazuje też Boga i rzuca światło, ale podwójne, niebieskie i ziemskie, a co większa, daje Go nam. Ani zazdrosne, ani współzawodniczące, a tem mniej sobie wrogie, siostrami są sobie i obie przyczyniają się do uświęcenia związku i umilenia stosunku pomiędzy Bogiem a człowiekiem.

Ale nie ociągajmy się dłużej i przystąpmy do drugiej kwestji.

Religia, jakśmy to już powiedzieli, jest dążeniem ku sobie i spotkaniem się ze sobą Boga i człowieka. Skądże to dążenie? W jakim celu połączenie się? Oczywiście, ażeby u stron obu zadowolić święty pociąg, popychający je ku sobie, a zadowolić w sposób, któryby ich obu był go-dzien.

To też ponieważ dla zjednoczenia się dwóch rozumnych istot potrzeba koniecznie, aby umysł wszedł w grę najpierwszy, człowiek przynosi naprzód swój umysł, ten umysł niespokojny, żądny wiedzy i doświadczenia — ten rozum, który wie tyle rzeczy, ale tyle innych roi i przewiduje; a Bóg zbliża do niego nieskończoną swą inteligencję i umysł wielki a świetlany nie dla przytłumienia jego ludzkiego rozumu, jak utrzymuje bezbożność, ale przeciwnie, ażeby go wzbogacić, ażeby człowiek lepiej zobaczył to, co już dostrzegał, ażeby poznał nawet rzeczy, o których nie mógł mieć wyobrażenia.

Następnie przynosi człowiek swe serce, stworzone do miłości, tak do niej stęsknione na ziemi i tak w niej słabe; a Bóg zbliża do niego swoje serce, nie dlatego zaprawdę, ażeby serce człowieka wyziębic, lecz żeby je rozgrzać; że-

by w tem zbliżeniu poczerpnęło siłę kochania lepiej i zawsze, w jedności, wiekuistości i świętości; kochania zarażem Boga i ludzi: Boga w ludziach, a ludzi w Bogu.

Nakoniec człowiek przynosi życie swoje, to życie, które pragnie szczęścia, a upływa w nieustannych bólach, rozczarowaniu, bliskie wygaśnięcia; Bóg zaś zbliża do niego swe życie nieskończone, ażeby mu dać siłę, pociechę, radość, pokój w oczekiwaniu pełności życia i nieśmiertelności.

To są trzy pierwiastki związku Boga i człowieka, tego szczytnego zjednoczenia, noszącego nazwę religji. I nie mogą one być inne; bo człowiek ma w sobie tylko te trzy składowe pierwiastki: rozum, serce i życie. Bóg również, pomimo szczytnej tajemniczości i bogactwa niepojętej swej natury. To też nie będzie związku pomiędzy Bogiem a człowiekiem, nie będzie zupełnego zjednoczenia, jeżeli nie będzie połączenia rozumów, serc i życia.

To, co tu mówimy, potwierdza historia; a piękna, za ledwie się rozwijająca nauka porównawcza religji, której chcieliby użyć jako broni przeciwko religji, ale która jej niebawem nowego doda blasku, wykazała to już w świetle najpiękniejszym. Wykazuje ona w istocie na całej powierzchni ziemi nietylko tę myśl, że religja jest stosunkiem Boga i człowieka, porywem duszy ku Bogu i Boga ku duszy — to, powtarzam, jest wszędzie i tworzy zasadę wszelkich religji — ale to także, że związek ten wszędzie jest potrójny, i to taki, jak to powyżej wykazałem: związek umysłu, serca i życia.

I w rzeczy samej otwórzcie święte księgi, badajcie wszystkich historyków, opisy podróżników; co znajdziecie na dnie w każdej religji? Oto trzy rzeczy:

1) Dogmat. Ale cóż to jest dogmat? To słowo Boga do człowieka, wymówione *po ojcowsku, po synowsku* przyjęte. To człowiek, który chce wiedzieć, zbliżając się do wiedzącego Boga. To Bóg wszechwiedzący, zbliżający się do człowieka wiedzy pragnącego. To rozmowa Boga i człowieka, wzniosły dialog pomiędzy Ojcem, Bogiem i córą, ludzkością. Oto, czym jest dogmat. Cóż może być prostszego i jaśniejszego?

Muszę jednakże przyznać, że pod tym względem w najlepszych nawet dziełach spotyka się często zapatrywania ciasne i mogące zaćmić prawdziwą ideę, czyste i światłe pojęcie dogmatu. Utrzymuje się w nich, iż Bóg dlatego tylko przemówił do człowieka, ażeby podtrzymać

upadający jego rozum. I oto napada się na ten rozum, poniża go, okrywa wzdrgą, wykazuje jego nieudolność i niemoc, aby wyciągnąć z tego wszystkiego wniosek, iż koniecznem było, żeby Bóg przemówił.

Rozum, słysząc te dowodzenia, podnosi bunt, stroni od religji, będącej dla niego upokorzeniem jedynie, albo, jeżeli się jej ima, to ze wzdryganiem.

Stawia się w ten sposób religję na stanowisku wrogiem względem natury ludzkiej; podkopuje w wielu umysłach podstawy gmachu, który miano umocnić, i dostarcza przeciwnikom zaszczytu obrony najszlachetniejszych władz człowieka i dochodzenia jego praw najnietykalniejszych.

Tymczasem tak nie jest. Bóg przemówił nietylko z konieczności. Przemówił, gdyż jest ojcem, a dla ojca szczęściem jest rozmawiać z dziećmi. Czyż ojciec wtedy tylko do syna się odzywa, kiedy widzi, że ten nie może zrozumieć czegoś bez niego? Postępuje tak czasem, ażeby skłonić go do pracy i przyjść mu z pomocą. Ale poza tem rozmawia z nim ciągle, wymienia z nim myśli; dwie dusze zlewają się w jedno. Pójdźcież i powiedzcie temu ojcu, żeby milczał, bo syn go nie potrzebuje. Zniweczycie rodzinę, społeczeństwo. Z rozmowy uczynicie chłodny i nudny monolog. Tak samo rzecz się ma z religją; Bóg nie dlatego tylko przemawia do człowieka, że ten jest ograniczony. Podwójcie, potrójcie jego genjusz, jeszcze Bóg przemawiać do niego będzie, inaczej bowiem nie byłoby wcale religji. Religja jest związkiem dusz, a przedewszystkiem umysłu z umysłem.

Bezwątpienia Bóg, przemawiając do człowieka, powiedział mu rzeczy, których on sam nie odkryłby, są to rzeczy nieskończone. Nie mogło być inaczej, ponieważ umysł Jego jest nieskończony. Mały umysł mówi rzeczy małe, wielki — wielkie; umysł nieskończony z konieczności mówi rzeczy nieskończone; ale nie dlatego przemówił.

Nie ulega wątpliwości, że ponieważ Bóg, nie poprzestając na osypaniu nas darami przyrodzonemi, postanowił wzniesć nas daleko wyżej, do stanu, który miał przewyższyć nieskończenie wszystkie pragnienia naszej duszy — potrzeba było, ażeby nam to powiedział, bo inaczej nie wiedzielibyśmy o tem nigdy. Ale prawda jest niemniej, że nie w tem jeszcze leży ostatnia słów Jego pobudka. I bez tego cudownego pomysłu swej miłości jeszczeby był przemówił. Dlaczego? Ponieważ jest ojcem i chciał mieć stosunki ze swemi dziećmi; ponieważ religja jest zbiorem tych

stosunków, towarzystwem, obcowaniem, a obcowanie umysłów odbywa się za pośrednictwem słowa. Pierwszą więc zasadą wszelkiej religii jest dogmat czyli słowo wymówione *po ojcowsku*, a *po synowsku* przyjęte.

2) Moralność. A cóż to jest moralność? To reguła postępowania dana *po ojcowsku*, wykonywana *po synowsku*. To miłość, stanowiąca prawa, i miłość, je przyjmująca. To Bóg kierujący, ponieważ kocha, i człowiek dla tej samej przyczyny kierować sobą dający. Oto przewodnia myśl moralności, którą odnajdujemy wszędzie. W szczegółach są tam zapewne błędy, nadużycia. Nie w tem rzecz. We wszystkich religiach Bóg człowiekiem kieruje, a człowiek daje sobą kierować Bogu. Miłość tworzy prawa moralności i miłość je wypełnia. Moralność — to zetknięcie się serca ludzkiego z sercem Boskiem, ażeby pierwsze stało się godniejsze drugiego. Wszystko to jest wszędzie, często w zarodku, ledwie zarysowane, czasem nawet wynaturzone; ale nigdzie niema religii bez moralności ani moralności bez zespołu miłości *ojcowskiej*, która rozkazuje, i miłości *synowskiej*, która słucha.

3) Kult, rytuał, modlitwa. Oto trzeci składowy żywioł religii, a widoczne jest zaraz, co go stanowi. To pomoc wyblagana *po synowsku*, a udzielona *po ojcowsku*. To słabość, wzywająca siły na pomoc; to siła wspomagająca słabość. To życie potężne, bogate, obfite, nieskończone, które jednoczy się z życiem słabnącem, ażeby je zasilic. I to także jest powszechne. We wszystkich religiach człowiek modli się, gdyż czuje się słabym, i wzywa Boga na pomoc. Wszędzie jest modlitwa poufna i modlitwa publiczna. Jest modlitwa uroczysta, uroczystsza, najuroczystsza, której towarzyszą jęki i wołania serdeczne. I wszędzie jest też wiara, że modlitwa będzie wysłuchana. Wszędzie są obrzędy, sprowadzające pomoc Bożą, formuły pełne nadziemskiej siły, akty, przez które ludzie uczestniczą w życiu Boskiem, zapomocą których do swego wyczerpanego i gasnącego życia wnoszą życie nieskończone.

Taka jest w zasadzie wszelka religia. Jest ona nie tylko obcowaniem rzeczywistym, istotnym, skutecznym Boga z człowiekiem; ale obcowaniem potrójnym: obcowaniem umysłu z umysłem, serca z sercem, życia z życiem, czyli zjednoczeniem dusz zupełnem. Czyż was nie zdumiewa zgodność taka? Kto mógł zaprowadzić tak cudowną jedność pomiędzy tylu ludami tak różnemi pochodzeniem, językiem, obyczajami, naturą, cywilizacją? pomiędzy tylu

sprzecznymi z sobą religjami? Usuniecie w myśli błędy, zabobony, będące dziełem człowieka; czyż w głębi wszystkich religij nie widzicie przeblaskującej religii prawdziwej? Bo jedna jest ona tylko, jak jedna jest logika, arytmetyka, moralność, sprawiedliwość; a ta jedyna religia ma tylko jeden cel, jedno zadanie: łączyć człowieka z Bogiem i Boga z człowiekiem.

Jeden to z pierwszych i najpiękniejszych wyników świeżo zapoczątkowanych studjów porównawczych nad religjami, do których wiek XVII nie był zdolny dla braku pomników; wiek XVIII jeszcze mniej, ale z innego już powodu, a mianowicie, że nie chciał widzieć tych pomników, które zaczynały się zjawiać. Przedsięwziął je wiek XIX, a omyła one nadzieje i plany wrogów religii; podczas bowiem gdy oni spodziewają się w tych mnogich religiach znaleźć zaprzeczenie religii, zaczerpnie w nich ona większą jeszcze jasność i piękno, odnajdzie najlepsze swe prawa i najbardziej niezbite dowody.

Im gruntowniej w istocie zbadane będą religje starożytne, tem się dowodniej okaże, że żadnej nie wymyślił człowiek. Wszystkie są wzięte, naśladowane i odwzorowane z najpierwszej, powszechnej i wiecznej religii. Jeden jest tylko typ, a poza nim są tylko jego naśladownictwa. A ponieważ typ ten, acz od Boga dany, niemniej ma swe podstawy w najtajniejszych głębiach duszy ludzkiej, jeden tylko jest i może być porządek prawdziwy w religii, naśladowany w *religjach*. Głębsze badanie ksiąg świętych i podań rodzaju ludzkiego coraz lepiej wskazywać to będzie. Ludzie ujrzą wtedy ze zdumieniem, że w tych różnych formach jest ta sama treść Boska; akty jednakowe wszędzie, które wnoszą ludzi do Boga, i akty również wszędzie jednakowe, które Boga sprowadzają do ludzi. A widząc, że na całej powierzchni globu religia była zawsze skutecznem obcowaniem Boga i człowieka, zrozumieją, że instytucja ta nie ręką ludzką utworzona została. A w miarę dociekań nad rodowodem i skażeniem tych religij, zaczną oni pod temi szpecącemi je osłonami przeczuwać, aż ujrzą jasno i uznają religję jedną, prawdziwą, nie wzruszoną i wiekuistą.

Godne jest bowiem uwagi, że tam nawet, gdzie się wkraśl błęd, nie mógł on naruszyć istoty religii. Istota rzeczy jest poza obrębem i powyżej mocy ludzkiej zarówno w religii, jak i we wszystkim innem. Religia pozostała tem, czem Bóg ją uczynił. Odnajdujemy ją na dnie wszyst-

kich ksiąg świętych, zarówno w Wedach, Zend-Aweście, Koranie, jak w Biblii z tą samą fizjognomją, temi samymi cechami. Wskażcie mi księgę świętą, świątynię, naród, jakiegokolwiek dzikie plemię, gdzieby religja nie była stosunkiem Boga z człowiekiem, potrójnym stosunkiem umysłu, serca, życia całego. Pokażcie religję, gdzieby nie było dogmatu, moralności i kultu. Pokażcie bodaj jedną! Błąd nie naruszył tego granitu. I równie jak fizjognomji ludzkiej nie mogły odmienić ludzkie namiętności ani różne nieba, i na obliczu Kafra i Hotentota zarówno jak Greka i Francuza odnajdujemy zasadnicze rysy ludzkiej twarzy — tak samo w *religjach* nic naruszyć nie mogło głównej treści boskiego dzieła. Dość jednego spojrzenia, ażeby pod szpecącemi je osłonami odnaleźć prawdziwą, powszechną i niewzruszoną religję.

III.

Idźmy wszakże dalej. Trzeba bowiem głębiej jeszcze wniknąć w budowę religji, by zobaczyć, jak ten gmach jest prosty, naturalny i jak doskonale odpowiada on najlepszym u nas pierwiastkom.

Religja jest więc spotkaniem się Boga i człowieka, ich zjednoczeniem. Widzieliśmy, dlaczego się oni łączą: oto idą za skłonnością, która ich wzajem zbliża ku sobie. Obecnie, kiedy już wiemy *dlaczego*, trzeba starać się dowiedzieć *jak*? Otóż jak się łączą? jak się duch łączyć może z duchem? serce z sercem? w jaki sposób siła może połączyć się ze słabością? Bóg jest duszą, człowiek także; jakże jednoczą się dusze? Trudno będzie zbadać bliżej tę kwestję bez rzucenia nowego światła na istotę religji.

Zastanawiając się głęboko nad duchową naturą człowieka, widzimy w niej dwa szeregi odpowiadających sobie aktów. Naprzód akty wyosobnione, osobiste, nie śmiem rzec, egoistyczne, dla ujemnego znaczenia tego słowa, przez które człowiek, skupiając życie w sobie, podnosi je do najwyższej potęgi. Potem akty stosunku, przez które wychodzi z siebie, a czując się osamotnionym i słabym, zawiązuje stosunki z tem, co go otacza, dla zaczerpnięcia nowych zasobów i sił. To przypływ i odpływ duszy ludzkiej, podwójny ruch życia, jego melodia i harmonja.

Przyjawszy to za pewnik, zbadajmy najpierw, jak się to odbywa w jego rozumie.

Człowiek przygląda się swemu otoczeniu, zastanawia się, sądzi, porównywa, wyprowadza wnioski: to jest akt pierwszy, akt rozumu, *akt odosobniony*, którego piękność podnosić jest zbyt wiele po Kartezjuszowem: „Myślę, więc jestem”.

A obok tego pierwszego aktu, mniejsza, czy bezpośrednio po nim, czy może przed nim, wykonywa człowiek drugi, również piękny, równie niezbędny dla pełni życia jego inteligencji. Napotyka drugi umysł, pyta i wierzy mu. I drugim tym aktem wchodzi w stosunek z innym duchem: wzbogaca się jego myślami, przestaje być odosobnionym, jałowym pyłkiem, wchodzi w harmonijną społeczność duchów. Dziecko pyta ojca i wierzy jego słowu, uczeń wierzy mistrzowi, żona mężowi, chory lekarzowi, żołnierz wodzowi, a człowiek swemu Bogu; inaczej nie byłoby ani rodziny, ani przyjaźni, ani miłości, ani społeczeństwa, ani religji.

Ludzie powiadają: „Mam swój rozum, i ten mi wystarczy”. Tak jest w pewnych rzeczach, ale nie we wszystkich. Nacóż naprzykład, przyda ci się twój rozum, gdy jesteś chory? Przyzywasz lekarza i ufasz mu, powierzasz mu swe zdrowie i życie. A w iluż to innych okolicznościach postępujesz nieinaczej! Jednym z najpiękniejszych a najzwyklejszych tego przykładów są ludzie, którzy ufni słowu przyjaciela powierzają mu żonę, dzieci, majątność i odchodzą bez trwogi, mówiąc: „Śpię spokojnie, mam jego słowo”. Oto święta podstawa stosunków między ludźmi. Odrzućcie ją; ufajcie jedynie swemu rozumowi; nie wierzcie nikomu, a niema już dla was ani miłości, ani społeczeństwa ani pewności, ani życia żadnego. Najświętsze rzeczy opierają się poczęści na wierze; a więc i religja, gdyż Bóg jest duchem; a w mnóstwie okoliczności jeden jest tylko sposób wejścia w stosunek z duchem; jest nim: pytać go i wierzyć jego słowu.

Drugim odosobnionym aktem człowieka jest wierzyć w siebie samego, liczyć na swoje siły, na własne życie, a przez to szlachetne zaufanie podnosić te siły do najwyższej potęgi. Lecz wobec tylu nieprzyjaciół człowiek jeden tak mało znaczy. To też drugim jego aktem jest pokładać nadzieję w innych, przyzywać inne siły na pomoc swoim. Nadzieja — to drugi akt stosunku, a jej córą jest prośba. Człowiek prosi człowieka, aby otrzymać od niego pomoc; dziecię prosi rodziców, żona męża, wszystkie słabości proszą sił wszelakich, a prosząc opanowują je. I w tem leży urok rodziny, przyjaźni, społeczeństwa. Co chwila siła

mocuje się ze słabością i jest przez nią pokonana. Rozbraja ją prośba. A jeżeli tak jest na ziemi, jeżeli człowiek prosi człowieka i dzięki tej prośbie wyjednywa dla swej słabości pomoc wyższej siły, coś dziwnego, że człowiek, prosząc Boga, wyjednywa sobie Jego pomoc i wsparcie?

Nakoniec człowiek kocha siebie. I niema też w tem nic złego ani wzbronionego; jest to raczej uczucie nieprzewyciężone. Ale dzięki Bogu, który stworzeniu swemu dał prawdziwą piękność, człowiek kocha nie tylko samego siebie. Akt ten samotny, zwrócony wyłącznie ku samemu sobie, nie wystarcza mu. Wychodzi więc poza siebie, ażeby kochać, jak wychodzi poza siebie, ażeby wierzyć i mieć nadzieję; i tym ostatnim aktem uzupełnia swoje życie stosunków. Ponad wiarą jest nadzieja, ponad nadzieją — miłość; ponad miłością niema już nic więcej: to dar, wszystkie inne w sobie zawierający. Jeżeli więc dla wejścia w stosunek z innymi sercami potrzeba kochać; jeżeli kochamy ojca, matkę, rodzeństwo, dzieci; jeżeli kochamy tak często, z taką łatwością; jeżeli w braku ludzi kochamy zwierzęta: psa, pajaka; jeżeli kochamy kwiaty, drzewa, nieożywione przedmioty; jeśli żyć bez miłości nie możemy — jakże nie mielibyśmy kochać Boga? Któż nie widzi, że tylko przez miłość możemy z Nim zawiązać stosunek, i że akt ten uzupełnia nasz stosunek z Bogiem równie dobrze, jak nasze stosunki z ludźmi?

Pozostań, jeśli chcesz, w osamotnieniu swem, o człowiecze! Duchu samotny, poprzestań na wierze w siebie, na nadziei w sobie, na miłości siebie tylko; żyj samotnie; — ale życie twoje będzie jałowe; nie będzie ci dane stworzyć sobie rodziny, ani nawet dać wytchnąć sercu w przyjaźni. Ażeby stworzyć rodzinę, żeby cieszyć się przyjaźnią, potrzeba wyjść z siebie i oddać się drugiej istocie, trzeba jej dać wiarę, nadzieję i miłość. Jeżeli więc, sięgając wyżej niż rodzina, przyjaźń, społeczeństwo, chcemy mieć stosunki z Bogiem, z tym wielkim, ukrytym, najbardziej ze wszystkich nieprzeniknionym duchem, uczynimy to samo: wyjdźmy z naszego odosobnienia, wierźmy w Boga, miejmy w Nim nadzieję, kochajmy Go. Czemużbyśmy dla zjednoczenia się z Bogiem nie uczynili tego, co czynimy dla zjednoczenia się z najmniejszym z duchów? Dłaczegożbyśmy względem Boga nie mieli doznawać tego potrójnego uderzenia serca, które się zowie wiarą, nadzieją i miłością?

Oto jest religja i oto są *religje*. Niema żadnej, która by nie spoczywała na tej potrójnej podwalinie i nie prowadziła dusz przez te trzy szczeble niebiańskiej drabiny. Raz jeszcze: czyż to wszystko nie jest proste, rozsądne, harmonizujące z naszą duszą, tłumaczące się samo przez się? I czyż nie jest to rzeczą piękną, że religja ma ten sam fundament, co rodzina, przyjaźń, społeczeństwo, i że święty stosunek dusz z Bogiem ma te same i te tylko prawa, co stosunek dusz między sobą?

Nie mówię, żeby nas nic nie miało kosztować takie wejście w stosunek z Bogiem. Ale czyż nie kosztują nic trzy zwrócone wyłącznie ku sobie akty człowieka: wiara w siebie, ufność w siebie, miłość siebie? Bo i iluż to ludzi siebie samych opuszcza, zdradza nikczemnie, mało i źle kocha! A znów czyż tak łatwe są akty stosunku z drugimi? Czyż tak łatwo najmiłszej nawet istocie dochować zawsze wiary, ufności i miłości? To też i z Bogiem wejść w stosunek nie łatwo. Ale zaledwie dusza Mu się odda, Bóg oddaje się jej nawzajem. Napełnia ją urokiem swej obecności. Stąd płynie światło, rozpraszające wszystkie cienie, stąd niewymowny pokój, zstępujący z umysłu do serca, z serca do sumienia; on ogarniając całą duszę, wznosi ją ponad życiowe wypadki, ponad choroby, boleści i śmierć samą.

A taki jest ten spokój z posiadania Boga, to głębokie i wzruszające szczęście, za cenę wiary, nadziei i miłości nabyte, że najwięksi nawet niedowiarkowie odczuwają żal i niepokój w zetknięciu z niemi. „Ach, gdybym mógł wierzyć!” — powiadają. Czują oni, że wiara ożywiłaby zużyte, odarte ze złudzeń życie. Pogoda, jaśniejąca na czole prawdziwie religijnego człowieka, zwykły mu spokój, to coś niewymownie słodkiego i czystego, co się z serca na twarzy wybija — przejmując ich podziwem, wywołując mimowolne westchnienia. A jednak coś oni widzą? Pewne jedynie oznaki zewnętrzne, słabe objawy obecności w duszy Boga. O! czemuż nie mogą przeniknąć aż do przybytku sumienia, odczuć ten pokój rozumu nasyczonego nieskończoną prawdą, tę boską nadzieję, w której gasną wszystkie żądze ziemskie, tę niewymowną miłość, którą się napawa dusza, i tę niewypowiedzianą rozkosz poufnej rozmowy z Bogiem, jak z przyjacielem! Jakież uwieleniem byliby przejęci! A żałując, że nie posiadają tych dóbr szacownych, z jakąż gorliwością oswobodziliby się od krę-

pujących ich więzów, ażeby przez wiarę, nadzieję i miłość dojść do pełnego posiadania Boga!

A to wielkie i wzruszające zjawisko, to wzajemne oddanie się duszy Bogu, a Boga duszy, tłumaczy, dlaczego religja, ciągle zwalczana, odradza się nieustannie. Jest ona ciągle napastowana, ponieważ człowiek nie może się inaczej z umysłem, sercem, życiem Bożem zjednoczyć, jak przez wiarę, nadzieję, miłość, to znaczy przez potrójne oddanie się, potrójną ofiarę, potrójną cnotę. Odradza się zaś ustawicznie, bo związek ten tak jest słodki, że jego braku nie może znieść człowiek: jest to czar, do którego zawsze się powraca.

IV.

Ale trzeba się wznieść jeszcze wyżej: do tego, co jest ostatniem słowem religji, wybitnym i boskim rysem jej piękności, najwyższą przyczyną jej wiekuistej trwałości.

Powiedzieliśmy już, że Bóg i człowiek szukają się wzajemnie i odnajdują w religji. Pokuśmy się o głębsze określenie i powiedzmy: Bóg i człowiek to dwie miłości, szukające się i w religji oddające się sobie nawzajem. Określenie to przygotowuje nas i pomoże nam później do rozpoznania z pomiędzy wszystkich *religij* tej, która jest *Religją*. Jest to jej nieomyślne kryterjum, znamienne cecha jej prawdziwości.

Że wszystko w człowieku sprowadza się do miłości, to nie potrzebuje nawet dowodzenia. Ciałem powoduje duch, duchem wola, wola miłość. Święty Tomasz powiedział: *Voluntas bona, amor bonus; voluntas mala, amor malus*. A więc dźwignią człowieka jest miłość.

Powiedział ktoś: „Człowiek jest inteligencją, rozumem”. Trzeba sięgnąć dalej aż do samego jądra i powiedzieć: „Człowiek jest miłością”.

Z tego źródła wypływa w nim wszystko: wielkie myśli, wymowne słowa, bohaterskie postanowienia, największe piękno umysłu, uczucia, czynów; użyteczne życie, chwalebny zgon, wszystko pochodzi z serca, wszystko płynie z miłości.

Faktem jest, że u dusz wielkich gra serce rolę nadzwyczajną. Sercem one myślą, sercem sądzą, sercem działają. I to im daje piękno szczególne a dziwnie urocze, któremu nic się oprzeć nie może.

Taka jest prawdziwa natura człowieka. Napozór uczynił ją Bóg niejednolitą. Ciało, duch, wyobraźnia, pamięć, wola, sąd — ileż to składników! Ale jakże cudownie przeróżne te władze podporządkował. Wszystkie one zmierzają do serca. Co mówię! wszystkie się w sercu jednoczą. I tam to, w tym centrze, umieścił próżnię, bezmierną otchłań, ażeby serce, dążąc ku Bogu, pociągało za sobą całego człowieka.

Widzieliśmy, że z prawdziwej natury człowieka można wyprowadzić logiczny wniosek o prawdziwej naturze Boga; bo Bóg, który nas stworzył na obraz i podobieństwo swoje, posiada to wszystko, co w nas jest wielkiem, z dodaniem nieskończoności! Zatem, jeżeli człowiek jest miłością, wynika z tego, że Bóg jest także miłością. Miał o tem niejakię pojęcie Platon, przeczuwał Arystoteles, nauczał święty Jan: *Deus caritas est*¹⁾ — mówił: Bóg jest miłością. To jest Jego prawdziwą naturą, Jego jestwem.

A do czego ta miłość dąży? Zapewne, powtarzać tego nie przestaniemy, wystarcza ona sobie; nie potrzebuje nikogo; w sobie samej znajduje szczęście, niespożyty swój pokarm. Ale wiecie, co się dzieje, kiedy kochamy? Pragniemy oto wyjść z siebie, uszczęśliwiać drugih, dzielić się szczęściem. Wielkie serca goręcej od innych potrzebę tę odczuwają. Gdyby więc było serce nieskończone, serce o bezgranicznej tkliwości i miłości, któż powie, czem w niem byłaby ta skłonność, ta niewymowna potrzeba wyjścia z siebie, ażeby swego szczęścia udzielać drugim? Taka jest prawdziwa natura Boga.

Człowiek jest miłością szukającą Boga, ażeby się także nasycić, ażeby zadowolić w sobie potrzebę oddania się; tak więc Bóg i człowiek są to dwie poszukujące się wzajem miłości. I oto już zaczynacie dostrzegać, czem jest prawdziwa religja: jest ona wspaniałą świątynią, gdzie się spotykają te miłości.

Tak jest, Bóg kochający człowieka i człowiek kochający Boga — to jest religja, oto jej ostatni i najwyższy wyraz!

Bóg, pogrążony w swojej chwale i udręczony (jeżeli się ośmielimy użyć takiego wyrażenia) — potrzebą człowieka:

Człowiek, pogrążony w swej nędzy i dręczony — potrzebą Boga.

¹⁾ Jan 4, 8 16.

Bóg, nie wytrzymujący swej samotności, przyzywający człowieka, szukający go, przychodzący do niego, zstępujący ze stopnia na stopień, z nieba na Synaj, z Synaju do Żłobka, ze Żłobka na Krzyż, na ołtarz; zatrzymujący się nie pierwej, aż w sercu człowieka.

Człowiek, nie wytrzymujący również osamotnienia, usuwający przeszkody, wydzierający się stworzeniom, szukający skrzydeł i znajdujący skrzydła wiary, nadziei, miłości; wznoszący się jak po szczeblach z cnoty w cnotę, z ofiary w ofiarę; nie znajdujący spoczynku aż na sercu Boga.

Bóg i człowiek, obaj wyciągający do siebie ramiona, szukający siebie wzajem, jednoczący się ze sobą: oto religia, oto prawdziwa jej natura, jej Boska istota.

I oto zarazem jej niezrównana piękność! Bo jeżeli miłość dla istot nawet ułomnych tak wielkie czyni rzeczy, cóż uczyni miłość Boga dla człowieka i miłość człowieka dla Boga!

I to jest także jej cechą znamionną, boskiem piętnem jej prawdziwości. Miłość jest nienasycona; dając wszystko, cierpi jeszcze, że więcej dać nie może; powiedzcie mi tedy, jaka religia będzie największa? czyliż nie ta, gdzie Bóg i człowiek najwięcej dla siebie wzajem czynią? Tak, oto kryterjum porównawcze, oto Tabor, na który trzeba wezwać dla porównania wszystkie religie.

Too nakoniec wyjaśnia niepożytość religii i wieczną jej trwałość. Dziwi was to czasem, że nie można wykorzenieć religii. Ach, bo na to potrzebaby unicestwić Boga i człowieka. Gdyby bowiem zgładzono tylko człowieka, Bóg nanowu stworzyłby go dla szczęścia kochania go; a gdybyście przez największe z niepodobieństw unicestwili Boga, człowiek tak byłby nieszczęśliwy, tak brakiem Jego udręczony, że, jeśli się tak wyrazić wolno, usiłowałby z kolei Go stworzyć. Nie polityka też to ani strach, ale miłość, miłość zboleła wyrzekła:

Gdyby Boga nie było, trzeba by Go wymyślić.

Homer wskazuje ocean, otaczający świat, jako kolebkę wszystkich bogów. Myli się. Gdyby Bóg mógł być stworzony przez człowieka, wyszedłby On z pewnością z morza łez naszych. Powstałby z niewymownych cierpień ludzkiego serca, szukającego Boga, nie znajdującego Go i nie mogącego się bez Niego obejść.

*Religia to jak gwiazda, im mocniej świat
wielkonoś ten ciębiej wschodzą w drzewo.
Tak i religia - im mocniej w nioz wielkonoś
tem ciębiej wschodzą do drzewa*

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Człowiek bez religii i Boga.

W przeciwstawieniu do tych szerokich, czystych widnokręgów, które religia otwiera przed nami, do tego pokoju w prawdzie, do tej pogody, mającej źródło w cnocie, do tej żywotności i do tych sił boskich trzeba rozpatrzeć bolesny dramat niewiary.

Zamierzam więc tu opowiedzieć, jak on się zaczyna, jaki jest smutny jego wątek i jego rozwiązanie. Nie ogólną wszakże niewiarę mam zamiar malować, tylko naszą, chorobę obecnego stulecia. W moim wieku znam ją już tak, jakgdybym sam jej doświadczył. W tylu już duszach ukochanych a pięknych widziałem jej burzliwy początek, śledziłem z niepokojem jej smutny przebieg; i tyle serc zakrwawionych, tyle inteligencji spustoszonych pozwalało mi dotykać ran swoich! Kilku z mych przyjaciół, z tych niestety, których dziećmi swojemi nazywałem, z ran tych umarło! Ach! tyle cierpiałem nad niewiarą innych, że nie-trudno mi ją będzie odmalować. Trzebaby tylko zrobić to tak delikatnie, piórem tak wzruszonym, sercem tak łez pełnym, w tak tkliwych wyrazach, ażeby to proste przedstawienie rzeczy samo przez się stało za środek zaradczy.

I.

Nieco dawniej, aniżeli przed stu laty, ujrzała Francja zadziwiające zjawisko i widzi je jeszcze bez należytego zdumienia i grozy.

Tem zjawiskiem jest dziecko piętnastoletnie, w nic już nie wierzące! A raczej są niem tysiące piętnastoletnich dzieci i dwudziestoletnich młodzieńców, którzy nie mają żadnej religii!

Tak, w wieku lat piętnastu rozpoczyna się dziś niewiara. I jest to pierwsza z przyczyn, dla których nazywam ją bolesnym dramatem!

Zapewne, trudnoby mi było zrozumieć człowieka lat czterdziestu, dojrzałego wiekiem i umysłem, któryby, zbadawszy chrystjanizm, odrzucił go; ale przynajmniej z pełnem szacunku współczuciem skłoniłbym głowę przed takim nieszczęściem. A tu dzieje się wręcz inaczej.

Wychowałaś oto, matko, dziecko z całą czułością, do jakiej twe serce jest zdolne. Z zazdrosną pieczołowitością czuwałaś nad tem, aby od jego kolebki i dzieciństwa odsunąć wszystko, coby ich blask mogło zaćmić. Z uświęconych przez macierzyńską miłość rąk twoich w wieku lat dziesięciu przeszło ono w inne ręce, kapłaństwem święte, które z poszanowaniem dotykały jego duszy, oczyszczają ją i podnosiły. Potem widziałaś z głębokiem wzruszeniem, jak to dziecko, twoje dziecko, wchodziło do domu Bożego i odbywało tam uroczyste pierwszy publiczny akt swojej religii. Pierwszy to raz, o matko, młoda dusza twojego syna łączy się z Bogiem. Przypatrzyć mu się dobrze; może to i ostatni!

A nie próbuj nań nalegać, choćby tylko łzami. Bo to piętnastoletnie dziecko mogłoby ci odpowiedzieć tak, jak niedawno w mojej obecności odpowiedział syn pewnej zbołałej matce: „Cóż chcesz, matko, żebym robił w kościele? Nie wierzę już w Boga!”

Powiedzą mi może, że to słowo na wiatr rzucone, uniesienie chwilowe. Nie, to początek życia, które potrwa lat dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt. Niejeden umrze nawet po długiej starości w tym stanie, nie zatrzymawszy ani przez chwilę myśli na tym akcie, który o jego życiu postanowił.

Nowe to i niezrozumiałe zjawisko. Bo zwróćcie uwagę, że zadziwia w niem nietylko wiek i wczesność upadku, ale i ogrom klęski. Dawniej, w wieku lat piętnastu, dwudziestu, zdarzało się opuszczać niektóre praktyki religijne; mimo to zachowywało się wiarę. Występek mógł skalać chwilowo serce, głęboko nawet, ale trwała w niem wiara w Boga, ufność w Jezusa Chrystusa, modlitwa i resztki miłości Bożej, które najmniejszy podmuch mógł rozpalić na nowo. Dzisiaj wszystkie tamy przerywają się, wszystkie kotwice łamają się jednocześnie. Znika nietylko wiara katolicka: uchodzi wszelka wiara, gaśnie wszelka re-

ligja. Niema już modlitwy, ołtarzy, Chrystusa; niestety, niema nawet Boga dla piętnastoletnich dzieciaków!

Czy zastanowiliście się kiedy nad tym dziwnym okazem, jakim jest uczeń w nic nie wierzący? Byłby on śmieszny, gdyby nie pobudzał do płaczu. Zaledwie wyszedł z dzieciństwa, nie jest jeszcze w stanie zdobyć się na męską myśl, na poważne badanie, a już odrzuca z pogardą to, w co wierzyli po najgłębszych rozmyślaniach taki Bossuet, Pascal, Fénelon, Descartes, Newton, Leibniz, Euler. Dla niego te sześć tysięcy lat wiary, te osiemnaście stuleci chrystjanizmu i cudowne dzieła z tej wiary powstałe — to tylko kłamstwo, głupstwo, przesąd i ciemnota. Patrzy na chrystjanizm, a raczej i patrzeć nań nie raczy, sądząc go tylko i odrzucając. A z nim razem odrzuca wszelką wiarę, religję, sumienie, nawet wiarę w Boga. Wieki dawniejsze nie widziały nic podobnego, a starożytność pogańska zgrozą byłaby na ten widok przejęta. A jednakże tę młodzież tegoczesny myśliciel nazywa z dumą: „Nasi synowie!” Ładni ci wasi synowie!

Gdybyż jeszcze smutny ten objaw występował tylko u młodzieniaszków mniej lub więcej zespsutych, nie tak dziwnemby to było, zboczenie z drogi obowiązku zawsze rodzi obojętność w rzeczach wiary, i możnaby wytłumaczyć spaczenie ich umysłów skażeniem obyczajów. Ale smutna choroba, o której mówię, ma zupełnie inny charakter, zadaje kłam wszystkim spostrzeżeniom. Zapada na nią nie garstka młodzieży mniej więcej zepsutej, ale tłumy całe. Połowa, dwie trzecie płci męskiej we Francji są dotknięte tą „obrzydliwą chorobą ducha”, jak jeden z nich powiedział, i tracą wiarę, wszelką wiarę w wieku lat piętnastu.

Skąd to pochodzi? Jak wytłumaczyć upadek tak wczesny, tak niezmierną a powszechną katastrofę? Mówią: Nic naturalniejszego. Namiętności są tego przyczyną. Ale ja odpowiem: Czyż od dzisiaj datują się namiętności? A jednak czyż wydały kiedy co podobnego? Czy kiedy w jakimkolwiek czasie widziano obraz podobnie smutny, jak dzisiaj, na sto dzieci osiemdziesiąt bez żadnej wiary? Czyż to zresztą rzecz dowiedziona, że zepsucie serca poprzedza u nich zawsze odstępstwo od religii? Czasem towarzyszy mu tylko, czasem nawet idzie za niem. A iluż ich zostaje dobrymi, zachowuje cnotę, dobre obyczaje, wypełnia wszystkie swoje obowiązki oprócz, niestety, obowią-

zków względem Boga! Nie, wiekuiste namiętności ludzkiego serca, tyle rzeczy tłumaczące, nie wyjaśnia tego stanu tak nowego, nieznanego starożytności, o którym wieki średnie, ani nawet wiek XVII nie miały najmniejszego pojęcia, któryby je przejął oburzenia pełnem zdumieniem, i który, jako właściwość XIX stulecia, pozostanie na zawsze bolesną jego cechą.

Ale co mówię, nawet dzisiaj nie spotyka się nic podobnego ani w Anglii, ani w Ameryce, ani w Prusiech, ani w Rosji, ani w Hiszpanji, ani we Włoszech, ani w Polsce, ani na Wschodzie, ani u mahometan, ani u dzikich. To choroba nietylko nowa, ale lokalna, specjalna choroba Francji; jej przyczyny trzeba więc szukać gdzie indziej, aniżeli w sercu nieszczęśliwej młodzieży, będącej jej ofiarą. Ale gdzież?

Wicie, co we Włoszech nazywają *mala aria*? Udałem się raz do Ostji dla uczczenia pamięci św. Augustyna i św. Moniki. Był to prześliczny ranek sierpniowy. Słońce świeciło jasno; niebo było nadzwyczaj pogodne i przejrzyste! A jednak w miarę jak postępowałem naprzód, ziemia wydawała mi się chorą. Zamiast gęstych traw wonnych, skąd spoglądały na mnie wielkie czarne bawoły, napół w zieloności ukryte, spostrzegałem tylko dzikie chwasty, gdzie nigdzie kępy trawy, ziemię popękaną od upału i chude owce. Za przybyciem do Ostji podwoiło się moje zdziwienie. Ludność uciekła; kościół był zamknięty. Ledwo znalazłem bladego, drżącego febrycznie chłopca, który mnie zaprowadził do ruin. Gdym go zapytał, co mu jest, usłyszałem tylko: *La mala aria*. Z tych ziem niezdrowych podnoszą się w lecie zaraźliwe miazmaty i zatrują powietrze. Nie oddycha się już niem bezkarnie.

To obraz przeżyć moralnych i religijnych we Francji. Piękna jest jej cywilizacja, ale powietrze, którem oddychają dusze, jest zatrute. Zarazki moralne unoszą się w atmosferze umysłowej i wszędzie się przedostają. Pełne ich są: ognisko rodzinne, szkoła; nikt nie może uniknąć ich wpływu. Słabsi giną od nich; silniejsi cierpią. Zupełnie jak w zarazie, odmalowanej tak znakomicie przez wielkiego bajkopisarza:

Nie wszyscy umierali, ale dotknięci byli wszyscy.

Młodzi szczególnie padają masami, nietyle trawieni wewnątrz namiętnościami swego wieku, ile zatruwani i duszeni z zewnątrz powietrzem, którem oddychają w społe-

czeństwie. Przyjrzyjmy się temu zbliska, a ujrzymy przyczynę „szkaradnej choroby moralnej”, której podlega dziś młodzież, i w jaki sposób działa powolna trucizna.

II.

Zatrzymajmy naprzód wzrok na ognisku, w którem dziecko przychodzi na świat, na rodzinie takiej, jaką ją uczyniły nieszczęścia czasów obecnych, albo raczej, ażeby lepiej zbadać otchłań, spójrzmy na rodzinę taką, jaką ją chciał mieć Bóg, aby młodzieniec wychodził z niej czysty i silny, przygotowany zawczasu do grożących mu niebezpieczeństw i zwyciężyć je zdolny. Pod jakim warunkiem udzielił Bóg ojcu i matce zaszczytu ojcostwa? Pod warunkiem jedności najdoskonalszej. Jeden duch, jedno serce, jedno życie, jedno imię, jedno ciało, wedle silnego wyrażenia ksiąg świętych: *Unus spiritus et una caro*. Za tę cenę, i za tę jedynie, będą ojcem, będą matką, staną przed Bogiem z wysokim ojcostwa zaszczytem. Zjednoczą swe życia, ażeby dać dziecku życie ciała; zjednoczą umysły, aby mu dać życie umysłowe; zjednoczą dusze, sumienia, bezgraniczną miłość, aby mu dać życie duszy; a on, syn swego ojca, syn swojej matki, zdrów na ciele, umyśle, sercu, sumieniu, całkowicie poczęty, wejdzie w życie z umysłowym, moralnym i religijnym temperamentem, zdolnym oprzeć się wszelkim namiętnościom, stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom. Oto jest tajemnica ogniska, jak je Bóg uczynił, i wszędzie, gdzie trwa ta doskonała jedność, dzieci są zdolne dziś nawet przetrwać mężnie przesilenie.

Ale, niestety, cóż się stało z tem ogniskiem? Co zrobiliśmy z tem dziełem Bożem, z tą zupełną i doskonałą jednością? Łączą się jeszcze ludzie, ale zewnętrznie, szczególnie zaś łączą się majątności. Bierze się szale, wazy dwa worki złota. W wielu rodzinach jedyna to, o ile wiem, harmonja. Ale kto myśli o jedności dusz? Matka wierzy, ojciec nie wierzy. Matka modli się i cześć oddaje, ojciec ani o tem pomyśli. Nigdy się nie zetknęły wzniosłe strony ich dusz. Dziecko, które z tego fałszywego związku powstanie, będzie mogło być silne ciałem, ale duszą będzie rachityczne, gdyż jest niezupełnie poczęte.

To jest pierwsza przyczyna tego niskiego poziomu religijności, który uderza u tegoczesnych pokoleń. A gdy dziecko zaczyna patrzeć i rozumieć, jakież to widok ma

w najbliższym otoczeniu? Mając lat siedem, spostrzega to i zapytuje matkę w prostocie ducha; gdy ma dziesięć, dziwi się; jako piętnastoletni gorszy i na pierwszy głos namietności broń sobie z tego robi. I nie żartem niesmacznym i zimnym, ale gorzką nauką dla ojców są te słowa wyjęte z ust dziecięcych: „Mamo, kiedyż będę dosyć duży, żeby się nie modlić, jak papa?”

Młodzieniec, niecałkowicie w rodzinie pod religijnym względem poczęty i osłabiony już w wierze przykładem ojca, przechodzi do szkoły; i coś tam często znajduje? Szkoła, ta druga wytwórcza i opiekuńcza dla młodości siła, zarówno jak i ognisko domowe, nie może być płodną, nie może poczynać dusz, ani ich kształcić, jeżeli w niej brak jedności. Szkoła — to wielki głos ludzkości: religijny, moralny i umysłowy. To wielkie prądy wiary, smugi światła, tradycje smaku. Nie stawiajcież przed dzieckiem przeczącego sofisty, równie dobrze jak nieokrzesanego barbarzyńcy i wszystko niszczącego dzikiego; albo jeżeli to czyńcie, czyńcie na sposób Sparty, która dla obrzydzenia dzieciom pijaństwa, pijanych im pokazywała niewolników.

A czy tak jest teraz? Czy zabezpieczyliśmy od niewiary szkołę, to drugie ognisko rodzinne naszych dzieci? Czy zamknęliśmy drzwi jej przed wszystkim, co poniżej dziecko i może je zgorszyć? Czy zalepiliśmy szpary jej okien, by je uchronić od zaraźliwych wyziewów? Niestety! otwieraliśmy je czasem naościę, ale poto, by z niej wygnać Boga. Zwszechstron wtargnęły: zwątpienie, bezbożność, obojętność. I coś się stało z dzieckiem? Już w 1840 roku powiadał Lamartine: „Na podobieństwo tych dzieci barbarzyńców, które zanurzano zaraz po urodzeniu naprzemian w gorącą i lodowatą wodę dla znieczulenia skóry na wpływ powietrza, przerzuca się dziecko od wiary do niewiary i naodwrot. Wychodzi chłopak z domu ojca może wierzącego, a może sceptyka; słyszał, jak matka twierdziła to, czemu przeczył ojciec; wstępuje do zakładu podzielonego duchem i dążnością. Potrzebowałby zatem mieć chyba dwie dusze, a ma jedną tylko. Ciągą ją i szarpia w różne strony. W myślach jego powstaje zamęt i nieład. Strzępy ich pozostają jedne przy wierze, drugie przy wiedzy. Dziecko dziwi się tym sprzecznościom, zaczyna się domyślać, że grają przed nim wielką komedję; że społeczeństwo nie wierzy w nic z tego, czego naucza; że ma dwie wiary i dwie moralności: jedną wiarę i jednego Boga dla dzieci, drugą wiarę i drugiego Boga dla młodzieży; a może

jeszcze inną wiarę i innego Boga dla ludzi dorosłych. Myśli te przygniatają go. Wiara jego gaśnie, rozum w braku zapału zastyga. Dusza staje się oschłą, a zapal przechodzi w obojętność lub zniechęcenie”.

Tak mówił Lamartine już przed laty trzydziestu. Posłuchajmy teraz innego, mniej jeszcze o stronność podejrzanego głosu, posłuchajmy Alfreda de Musset: „Ponieważ młodym jeszcze będąc, byłem dotknięty okropną chorobą moralną, opowiem, co się działo ze mną przez trzy lata. Gdybym był sam jeden chory, milczałbym; ale ponieważ wielu innych cierpi na tę samą chorobę, pisze dla nich... Nie miałem jeszcze lat szesnastu, gdy już w nic nie wierzyłem. Ani dzieckiem, ani będąc w szkołach, nie chodziłem do kościoła; religja moja, jeżeli miał jaką, była bez obrządku i bez symbolu; wierzyłem tylko w jakiegoś nieokreślonego Boga bez kultu, bez objawienia. Zatrutowany od dzieciństwa pismami XVIII wieku, wyssałem z nich wcześniej jad bezbożności. Pycha ludzka, ten bóg egoistów, zamykała mi usta przed modlitwą, a wylekła dusza moja uspokajała się nadzieją nicości”.

I nie sądźcie, aby fakt ten stanowił wyjątek. Był to stan ogólny. „I jak ten żołnierz, który zapytany w kogo wierzy, odpowiedział: — W siebie samego, — młodzież na podobne pytanie miała gotową odpowiedź: — W nic wcale”.

„Któż się ośmieliłby opowiedzieć, co się działo naówczas w szkołach — dodaje wyżej przytoczony autor. — Ludzie o wszystkim wąpili, młodzież przeczyła wszystkiemu. Poeci opiewali rozpacz, młodzieńcy opuszczali szkoły z czołem pogodnym, licem świeżem i zdrowym, a z bluźnierstwem na ustach. Serca wędły, jak kwiaty zwarzone. Zamiast mieć zapal zła, umieliśmy się tylko zdobyć na zaparcie się dobra, zamiast rozpacz ogarniała nas znieczulenie. Piętnastoletnie dzieci prowadziły w kwitnących zarostach rozmowy, zdolne wstrząsnąć grozą nieruchome gaje Wersalu. Komunja Chrystusowa, Hostja, ten wiekuisty symbol niebiańskiej miłości, służyła za pieczętki do listów. Dzieci wypływały chleb Boży. Szczęśliwi, którzy ocaleli naówczas! Szczęśliwi, którzy patrząc w niebo, przechodzili ponad przepaścią! Zapewne, byli tacy, i ci litować się będą nad nami.”

Oto, cośmy uczynili ze szkoły w pierwszej wieku tego połowie. A cóż powiem o drugiej? Bezbożność, wygnana z zakładów średnich, a przynajmniej więcej w nich po-

wściągana i krępowana, rozwieliżmożniła się na wyższych kursach. Tam czyhała na młodzież, aby ją psuć i zatrutować. Widzieliśmy nauczycieli, ludzi dojrzałych wiekiem, którzy przy oklaskach zepsutej i lekkomyślnej młodzieży nauczali, że niema Boga, niema duszy, niema różnicy między dobrem a złem, ani wolnej woli, ani odpowiedzialności; że mózg wydziela myśl tak, jak naprzykład nerki wydzielają moc; że cnota i występki są to przetwory, tak dobre jak cukier lub witrjol; że Boga człowiek sam sobie tworzy, że wysnuwa Go z siebie, jak pająk swą przędzę. Tak owi starcy nauczali młodzieńców lekkomyślnych, zepsutych, miotanych namiętnościami. I mówili im jeszcze, że namiętności wszystkie tkwią w naturze, a wszystko, co jest w naturze, jest dobre; że moralność jest rzeczą instynktu, a sumienie prostą bardzo i podległą psuciu się maszyną.

Ach, nie tę młodzież oskarżam tutaj; więcej jeszcze, aniżeli samych nauczycieli, obwiniam ojców, zezwalających na podobne zatrutowanie swoich synów. Powiadam im: „Ślepi jesteście.” Powstał pomiędzy nami we Francji w ostatnim wieku sofista, który wyrzekł: „Szkoła bez Boga”. I zamiast go wygnać biczami, jak publicznego truciciela, przyklasnęliśmy mu! A z tego retora, wielkiego niekiedy, poczęło się mnóstwo wstrętnych małych sofistów, powtarzających codziennie: „Szkoła bez Boga”. A wy jeszcze klaszacie! A kiedy z tej szkoły wychodzą młodzieńcy zepsuci, rozpustni, wstyd nam przynoszący, dziwicie się jak głupcy! Kiedy zaś ci młodzieńcy na zebraniach publicznych podnoszą bezbożne okrzyki, wzbudzając dokoła oburzenie, powiadacie, że za wiele się robi o to hałasu i że to są wyjątki. Bardzo pięknie! Ale gdyby ludzie więcej się byli zaniepokoiili pierwszym wybuchem lawy z Wezuwju-sza, Herculanium i Pompeja nie zginęłyby w morzu płomieni; a podróżnik, zwiedzający ze wzruszeniem miejsca tych klęsk strasznych, nie czytałby tych późniejszych napisów na ruinach: *Cavete, posteri, vestra res agitur!*

Ale nie mówmy teraz o niebezpieczeństwach, grożących społeczeństwu; zajmijmy się wyłącznie duszami.

Dwudziestoletni młodzieniec, niecałkowicie w rodzinie poczęty, osłabiony i zatruty w szkole, wchodzi w społeczeństwo, i wiecież, co wtedy następuje? Pada miazmatami zduszony. Cóż bowiem spotyka na każdym kroku? Złe dzienniki we wszystkich kawiarniach; złe książki u wszystkich księgarzy; dwadzieścia pięć tysięcy nie-

rzędnic, czatujących wieczorami na rogach paryskich ulic na jego młodość; teatry na wszystkich bulwarach i jakież teatry! tak obrzydliwie nieskromne, że sama publiczność, wcale zresztą niewybredna, oburza się czasem i woła: „Te-go już za wiele”. Tyle o życiu prywatnym. W publicznym — honor w pogardzie, a na jego miejscu honory; ludzie z bogaceni bezecnymi spekulacjami, chodzący z podniesioną głową i dosięgający najwyższych stanowisk; młodoszność zwąca się umiarkowaniem, a cnota głupstwem; wiarołomstwo podszyte zdradą tak pospolite, że nie dziwi już nikogo; obyczajność żadna, a sumienia wszystkie na sprzedaż. W polityce — ani czci, ani wiary, ani prawa; najświętsze sprawy zdradzane najniegodniej, skoro są słabe; najnikczemniejsze cieszą się uznaniem, byle uwienieczone powodzeniem; pomiędzy ludami żadnej spójni sprawiedliwości; cała Europa zmieniona w olbrzymie szranki, gdzie, jak u dzikich, decyduje prawo silniejszego. Royer Collard mówi: „Jest wielka szkoła bezprawia, od lat pięćdziesięciu otwarta, której nauki rozlegają się dziś po całym świecie. Szkołą tą są wypadki, w oczach naszych się wydarzające. Jest to próba zbyt ciężka, by ją ludzkość mogła przetrzymać”.

A jeżeli ludzkość pod nią upada, jakżeby mogła ją wytrzymać młodzież? Bo i cóż ma to piętnasto lub osiemnastoletnie dziecko, aby się jej oprzeć? Słabość umysłu, większą jeszcze słabość serca, sumienie nierozwinięte, uczucia religijne osłabione i chwiejne: to też upada. A gdy się spojrzy na następujące po sobie pokolenia i szuka tych, co w latach dwudziestu wierzą jeszcze w Boga, w duszę swą, w Zbawiciela Jezusa Chrystusa, widzi się, jak w wielkim obrazie rozbicia okrętu, przez Wirgiljusza odmalowanym:

Apparent rari nontes in gurgite vasto!

III.

Ale to za ledwie początek boleści, *initium dolorum haec*. Chociaż bowiem początek tego bolesnego dramatu tak jest dziwny, tak nieusprawiedliwiony w oczach rozumu, następstwa jego są jeszcze gorsze. Tak więc młodzieniec zaprzeczył wszystkiemu, wszystko odrzucił z gorączką, z niedoświadczeniem młodości. Nie poświęcił ani godziny czasu temu, w co Bossuet, Pascal, Fénelon, Kartezjusz, Newton, Leibniz uwierzyli po najściślejszym zbadaniu, co było

przedmiotem ich ciągłych rozważań. Zaprzeczył wszystkiemu, — cóż uczyni teraz? Czy cofnie ten akt nierozsądny? Czy wiara wyrozumowana zastąpi naiwną wiarę dziecięctwa? On, który dawniej wierzył na słowo matki, czy będzie teraz uczył się, badał, zgłębiał kwestję religijną, czy podniesie wiarę swoją do wysokości nauki? Czy, jak Kartezjusz, poto tylko uczynił pustkę, aby odbudowywać? O, za piękneby to było! to też nie tak się dzieje. Nie zbuduje on nic — nie czuje nawet potrzeby budowania. Chwyta ją go i pochłaniają sprawy życiowe, za niemi idą rozrywki i namiętności. Tak przeżyje lat dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści; przez cały ten czas nie będzie nic twierdził, niczemu przeczył, bo ma do roboty co innego, niż rozmyślać o Bogu. Widzieliście, co następuje w pewnych cierpieniach? Po silnej gorączce chory wpada w rodzaj snu letargicznego. Organizm jego już nie działa. Nie widzi on, nie słyszy — śpi. Drugi to akt bolesnego dramatu dzisiejszej niewiary.

Nie pytajcie go już, czy czuje jeszcze w sobie ten wieczny głód umysłu i serca, to święte pragnienie Boga, ten głęboki wstręt do rzeczy przemijających, ten nieprzeparty pociąg do nieskończoności; słuchałby was, nie rozumiejąc; wszelki zapal, wszelki poryw wyższy zagasł w nim; nie obchodzi go nawet straszne i wzniosłe zagadnienie przyszłości; żyje teraźniejszością, z dnia na dzień, jeżeli to życiem nazwać można; śpi.

Nie pytajcie go również, dlaczego przestał się modlić, dlaczego nie spełnia żadnego z obowiązków religijnych. On sam nie wie dlaczego. Nie modli się dzisiaj, ponieważ się nie modlił wczoraj, zawczoraj, w przeszłym roku, ani w latach poprzednich; ponieważ niegdyś, dawno już temu, będąc prawie dzieckiem, modlić się, nie wiedząc dlaczego, zaprzestał. Innego powodu nie ma i dzisiaj. Gdyby jeszcze zaprzeczał istnieniu Boga, łatwiejby to było zrozumieć; ale on wierzy w Boga. Gdyby ulegał namiętnościom, ale nie; najczęściej jest to człowiek uczciwy, prawy, szlachetny. Skądże więc to zapomnienie o Bogu? Pytacie go o to; on nawet nie zadaje sobie podobnego pytania. Po gorączce przyszło odurzenie; po bezzasadnym przeczeniu — sen poniżający. Drugi to akt bolesnego dramatu niewiary w wieku XIX.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy ujrzałem ten objaw w całej rozzdzierającej prawdzie. Było to z rana. Wszedł do mnie pewien młodzieniec, aby otworzyć przede mną su-

mienie w przeddzień ślubu. Miał około trzydziestu lat i stał na czele wielkiego przemysłowego przedsiębiorstwa, prowadząc je jak najrozsądniej i jak najszlachetniej. Tylko od szesnastego roku życia zapomniał o Bogu: ani jednej modlitwy porannej czy wieczornej, ani jednego aktu czci, ani jednego porywu duszy ku Bogu. A ponieważ młody był jeszcze, ponieważ smutki i rozczarowania nie zaćmiły mu dotychczas szczęśliwego życia, zdawał się mnie nie rozumieć, gdy go pytałem, czy nigdy nie czuł potrzeby Boga. Ale oto, co mię w ostateczne wprawiło zdumienie. Wniknąwszy w jego duszę, co mi przyszło łatwo, gdyż był szczery i prawy, znalazłem w niej wprawdzie słabości, ale żadnego wielkiego rozprzężenia; żadnego wykolejenia moralnego, prowadzącego za sobą zaślepienie; żadnego wrogiego usposobienia przeciw religii i rzeczom świętym. Tylko brakowało Boga. Serce jego było jak te puste domy o zamkniętych okiennicach, których właściciele wymarli, albo jak te świątynie, z których wygnano Boga, i wyrzucono ołtarze, zgaszono światła i stłumiono kadzidła. I pamiętałem, że odprowadzając wychodzącego, pożegnałem go takim ściśnięciem ręki, jakim darzymy tych, którzy stracili ojca; a powracając, mówiłem sobie: „Nie, nigdy nie widziano nic podobnego! nigdy dusze nie były tak doszczętnie spustoszone i nigdy nie były tak nieświadome swej nędzy!”

I w istocie w tem właśnie tkwi główna, zasadnicza różnica naszego stulecia z temi, które przed niem ucierpiały od niewiary. Niegdyś ruinę wiary sprowadzały wielkie upadki cnoty; zaledwie wtedy zapomniano o Bogu, gdy zagaszono dobrowolnie w duszy wszystkie niebiańskie światła; i cnota to, uchodząc, gasiła pochodnię; to też bezbożnik, a tem imieniem nazywano tego, który już nie czcił Boga, rzadkim był wyjątkiem i wywoływał zgrozę. Dzisiaj w ten smutny stan wpadają tłumy, a w tych tłumach dusze najszlachetniejsze, najuczciwsze, najlepsze; ludzie szlachetni, którzyby nie tknęli włoska z głowy dziecięcia, a którzy przez lat trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt żyją, nie spełniając żadnych obowiązków względem Boga. Wielki Racine pisał do syna: „Mam nadzieję, że starając się, ile mocy, być doskonale uczciwym człowiekiem, zrozumiesz, że pierwszym do tego warunkiem jest oddanie Bogu, co jest Boskiego.” Oni nie oddają Bogu nic z tego, co Mu są winni, a mają się za doskonale uczciwych. Oto, co jest dziwne.

Bo wszak przeciw podobnemu życiu przemawia rozum, sumienie, rozsądek, głos wieków wszystkich. Zawsze

i wszędzie ludzkość wierzyła w Boga, miała w Nim nadzieję, czciła Go, utrzymywała z Bogiem związek żywy, stosunek ciągły, w Nim czerpała siłę. A wam, którzy nie wierzycie, nie czcicie, nie modlicie się nigdy, żadnego z Bogiem nie macie związku, co mam powiedzieć, jeśli nie to, że się wykluczacie z ludzkości?

Ale ani oczywistość, ani rozum, ani rozsądek, ani głos wieków, ani głos Boga — nie przedostają się do uszu chorych, w tem drugim stadjum przesilenia, które nazwałem odurzeniem. Nie widzą, nie słyszą, pogrążeni w śnie letargicznym.

IV.

Gdy zdumieni tem tak nowem zjawiskiem, szukamy jego przyczyny, spostrzegamy rychło poza tym dziwnym snem, dziwniejsze jeszcze upojenie, które go umozębnia i podtrzymuje. Cóż chcecie! urodziliśmy się w wieku, w którym potęga człowieka olbrzymie przybrała rozmiary. Tylu cudów jesteśmy świadkami! Mamy już koleje żelazne i elektryczne, telegrafy, oczekujemy balonów. Po astronomji i fizyce, które odkryły prawa, rządzące światem, po chemji, która nas nauczyła składać i rozkładać pierwiastki — oto biologja przenika w głąb człowieka i zmieniać ma, jak mówią, wszystkie warunki jego życia. Ogarnia nas upojenie nowe, potworne upojenie, które jest w powietrzu, a my je prawie bezwiednie wdychamy pełną piersią.

Upojenie wiedzy! Nie potrzebujemy już Boga, ażeby wytłumaczyć sobie świat, ani żeby rządził nim i nami. Niech sobie pozostaje w Niebie, jeżeli jest tam istotnie, nauka bowiem nigdy Go nie widziała.

Upojenie rozumu, myśli człowieczej! Cóż nas obchodzi jednozgodnie chociażby uczucia ludzkości?

Ja sam, ja, powiadam, i dosyć na tem!

Upojenie krytyki! Znamy początek wszystkiego; zarówno praw religijnych, jak i wszelkich innych. Poddaliśmy rozbiorowi księgi starożytne i nie znaleźliśmy nigdzie nic boskiego.

Upojenie postępu, cywilizacji, wysokich przeznaczeń nowożytnego społeczeństwa. Nie stawajcież na drodze z waszemi przestarzałymi zasadami i odwiecznymi instytucjami!

Oto jakie myśli unoszą się w powietrzu. Gdyby rozłożono atmosferę moralną tego stulecia, znalazłoby się w niej najmniej cztery piąte pychy.

A dokądże nie sięga to upojenie? Aż do szaleństwa. Widzimy zasady, znamy prawa, pozostaje tylko wysnuć wnioski. Kwestja czasu. Kto wie, — pisano świeżo — czy nauka, opanowawszy życie, nie odmieni jego warunków? czy *nieograniczona wiedza* nie sprowadzi *nieokończonych potęg*? czy jaki wszytkowiedzący biolog nie uderuje nas nieśmiertelnością?¹⁾

Oto co mówią, co jest w powietrzu, co się dziś wdycha bezwiednie, i co tłumaczy dziwne zjawisko nowożytnej niewiary. Jeżeli tylu ludzi żyje dzisiaj bez modlitwy i dziękczynienia, bez ołtarza i Boga, to dlatego, że w głębi duszy wyobrażają sobie, iż tego wszystkiego nie potrzebują wcale; tak głęboko zakorzeniona jest w nich pycha, tak potworne upojenie, tak straszny religijny przełom przechodzi obecnie ludzkość!

V.

Później zobaczymy, co mamy sądzić o tem upojeniu, czy w nauce, w krytyce, w umysłowym i społecznym ruchu jest choćby cień niezgodności z wiekuistymi naszemi względem Boga obowiązками. Tymczasem przypatrzmy się, do czego doprowadza niewiara, koniec albowiem stanowi o dziele:

Wszędzie końca czekać potrzeba.

Jak się kończy ten dramat podwójnie bolesny, bo przez swój początek i przebieg? Do czego doprowadza niewiara? Czy do światła, do cnoty, do godności osobistej lub zdrowia duszy? Czy przynajmniej do spokoju? Zobaczmy. Po owocach osądzmy drzewo.

Byłoby to cudem, gdyby piętnastoletnie dzieci, które odrzuciły wszelką religję i modlitwę, które nie wierzą w nic, nawet w Boga, zachowały czystość obyczajów. To też tak nie jest. Wraz za pierwszym osłabieniem wiary idzie w wieku młodzieńczym pierwsze skażenie serca. Współczesny poeta, dobrze znający nasze stulecie, pokazał nam tych piętnastoletnich młodzieńców, „których rozmowy pro-

¹⁾ *Revue des Deux Mondes*, paźdz. 1863.

wadzone pod kwitnącymi krzewami zgrozą mogły wstrząsnąć nieruchome gaje wersalskie"; łączą oni, jak to bywa zwykle, bezbożność z nieczystością, tak że „Chrystusowa Komunia, Hostja, ten zakład wiekuistej miłości, służy im do pieczętowania listów”. Wszyscy współcześni, bez różnicy religijnych przekonań, mówią nam o takim przedwczesnym zepsuciu, połączonym z taką samą zuchwałą bezbożnością. „W rozmowie młodzieży, którą znam, a która stanowi najlepszą część towarzystwa, — pisał dwudziestoletni Montalembert w poufnym, nieprzeznaczonym dla szerszego ogółu liście — panuje przerażająca bezbożność i bezwstyd”. A dalej: „Zaraźliwe powątpiewanie, zimna i uporczywa bezbożność panują dzisiaj we wszystkich młodych duszach. Niemoralność krzycząca, potworna zapisana jest w rocznikach każdej szkoły, we wspomnieniach każdego dziecka¹⁾”. Chcecie innego świadka, bliższego, mniej o stronność podejrzanego? „Dziwią się — powiada Aleksander Dumas syn — niemoralności, niedowiarstwu, zepsuciu naszych czasów; wejdźcie do pierwszej lepszej szkoły, dotknijcie tej rzekomej młodzieży, wywołajcie na powierzchnię to, co jest w ukryciu, zbadajcie to bagnisko, a przestaniecie się dziwić. Źródło oddawna jest zatrute. A skoro się nie było dzieckiem, nie można stać się człowiekiem²⁾”. Pewien zaś lekarz powiada: „Często się mówi, że poziom poczucia moralnego obniżył się. Sądzę, że tak jest w istocie, a przypisuję ten fakt przedwczesnemu zepsuciu dziecka i młodzieńca”.

Zapewne, niemoralność zgubna jest zawsze; zgubna dla umysłu, dla serca, nawet dla życia fizycznego; straszna to niszczycielka wszystkiego, co w nas jest najdelikatniejszego i najlepszego; ale cóż rzec o niemoralności w wieku lat piętnastu? A cóż powiedzieć o wcześniejszym jeszcze zepsuciu tych przed czasem skażonych istotek, które przez naśladownictwo szukają nieczyszczałych rozkoszy? Czyż mniemacie, że takie nieustanne, uparte podbudzanie może pozostać bezkarne, i że można wyprzedzać w ten sposób naturę bez jej wyczerpania i szkody?

Wirgiljusz, mówiąc o pierwszych dniach świata, powiada: „Czyż delikatne jeszcze stworzenia trud ten wytrzymaćby mogły?”

Nec res hunc tenerae possent perferre laborem!

¹⁾ Montalembert, *Oeuvres*, t. I, str. 14. — ²⁾ *Affaire Clémenceau*.

Cóż powiedzieć o młodocianej istocie i jej delikatnych organach, wydanych na pastwę temu pożerczemu ogniovi?

Szczęśliwy młodzieniec, który w tej pierwszej przełomowej chwili jest pod okiem czujnej matki! Po błędzie jego licu, po zakłopotanej postawie, ukradkowemu wejrzeniu, po podsiniałych oczach pozna ona wnet grożące niebezpieczeństwo i może zdoła jeszcze mu zapobiec.

Wszyscy lekarze zgadzają się na to, że przedwczesne skażenie zmysłów rujnuje całego człowieka w danej chwili, a często i na przyszłość. Najpierwej pada ofiarą inteligencja; przytępia się jej bystrość, słabnie pamięć. „Znałem, — mówił pewien lekarz, — najlepiej udarowane dzieci, których po upływie dwóch lat nie było można poznać. Jedno z nich, zdolne do najszczerzego przywiązania, zepsuło się w mgnieniu oka. W krótkim czasie umysł jego stępiał. Pomimo największego starania nie mogło zająć w klasie miejsca mu przynależnego. Z pewnością żaden z jego współuczniów nie pracował tak sumiennie, ale rezultat tej pracy był żaden, nieszczęśliwe to dziecko wyczerpało zasoby, dane mu przez naturę; występki zniszczył całą inteligencję. Napróżno pracowało usilnie i cierpliwie. Umysł stał się mu opornym. Nadużycia zmysłowe zwiczyły na zawsze tę tak hojnie obdarzoną inteligencję”. „Zepsucie zmysłów — powiada inny lekarz — wywołuje często widoczne osłabienie umysłu, a szczególnie pamięci. Młodzieńcy, objawiający przedtem wybitną żywość umysłu i zdolność do nauki, stają się wskutek oddawania się złym obyczajom jakby ogłupiali i niezdolni do pracy”.

Dziwią się dzisiaj pewnemu zubożeniu francuskiego ducha; mówią, że inteligencja, rozum, bystrość pojęcia obniżają się u nas; szukają przyczyn złego. Leżą one tutaj. Młodzież między piętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia grzeszy przeciw czystości. Jest skażona złem. Stąd pozostaje na zawsze osłabienie¹⁾.

Jeżeli tak jest z inteligencją, rozumem, pamięcią, cóż rzec o sercu! Któż nie wie, że ze wszystkich sił, zmarnowanych wskutek przedwczesnej zmysłowości, miłość, przyjaźń, delikatność uczuć, zapał, odwaga, miłość bliźniego

¹⁾ Patrz prace specjalne d-rów: Tissota, Deslandes, Ricorda, Tardieugo, Bergereta, Bourgeois. Nie podajemy ich tytułów, ale znajdują je ojcowie rodzin, a jeżeli po przeczytaniu ich nie uznają potrzeby czuwania nad niewinnością synów, straszne tylko nieszczęścia oświecą ich, ale za późno.

zanikają najpierw? Wszyscy lekarze zaznaczają tu jeszcze jedno dziwne zjawisko. Pod tchnieniem występku, pod wpływem przedwczesnego zepsucia dusze stają się oschłe, samolubne; niektóre stają się wprost okrutne. „Niejeden, skłonny z natury swej do dobroci, do miłosierdzia i serdecznego dla drugich współczucia, stanie się nieużytym, bezwzględny, nielitościwym. To, co jest najżywniejszem w materji, roztrwonione, źle użyte, nie będące już w nas tą iskrą Bożą, która w nas winna krążyć i przeistaczać nas, ta dusza krwi, o której jest mowa w Piśmie, uchodząc, zmienia człowieka, uszczupla jego moc tajemną, dosięga go w najwyższych i najdalszych jej źródłach¹⁾).

George Sand mówi: „W smutnym naszym tegoczesnym świecie młode pacholę już nie istnieje, chyba że jest wychowane w wyjątkowy sposób. To, które codzien oglądamy, to uczeń źle uczesany, nieokrzesany, dotknięty jakimś grubym występkiem, który zniszczył już w jego istocie świętość pierwotnego ideału. Albo jeżeli biedny dzieciak cudem jakimś uniknął nawet tej zarazy szkolnej, nie-możebna, ażeby zachował czystość wyobraźni i świętą nieświadomość swojego wieku. Jest brzydki, chociażby nawet natura pięknym go utworzyła. Ma minę zawstydzoną i nie patrzy ci w oczy; pochłania potajemnie złe książki, a mimo to przestrasza go widok kobiety. Rumieni się pod pieśczętą matki: rzekłbyś, iż uznaje się jej niegodnym. Najpiękniejsze języki, największe poemata ludzkości budzą w nim tylko nudę, wstręt i niesmak. Ma on już smak zepsuty i lubuje się złem tylko. Lat całych będzie potrzeba, ażeby stracił tę cechę brzydoty i nauczył się patrzeć śmiało i nosić głowę wysoko. Wtedy dopiero będzie kochał swą matkę, ale będzie to już wiek, w którym się budzą namiętności; nigdy więc nie zazna tej anielskiej miłości, o której dopiero co wspomniałem, a która jest dla duszy ludzkiej jakby chwilą wytchnienia w czarownej oazie pomiędzy dzieciństwem a dojrzałością²⁾).

Zwrócić proszę uwagę na te wszystkie wyrażenia, podchwyczone na ustach obserwatorów rozumnych i niepodejrzanych. *Młodzieniec nie istnieje już. Skoro się nie było dzieckiem, nie jest się człowiekiem. Zbliżcie się do tej mniemanej młodzieży, zbadajcie to bagno; źródło jego jest zatrute.* Zważywszy to wszystko, spytacie się: czy można liczyć na Francję w przyszłości, dla odzyskania zachwiane-

¹⁾ Sainte Beuve. — ²⁾ Zdanie przytoczone w wybornem dziełku o. Lescœur: *L'Etat maître de pension*, str. 63.

go honoru i ziemi straconych, bez radykalnej reformy religijnej i moralnej?

Powiecie może, iż wiele natur odzyskuje zdrowie a inne, szczęśliwsze jeszcze, nie ulegają zepsuciu. Nie przeczę temu; ale trąd toczy większość, piętnując ją „na zawsze”. Zmniejszają się: inicjatywa, zapał, odwaga, dobroć, uczucie. Męskość fizyczna i moralna, to, co Rzymianie zwali *virtus*, zatracą się. Chylimy się ku upadkowi.

A zważcie jeszcze, żem nie rzekł nic o ostatnich stopniach złego. Nie mówiłem tu wcale o tych młodzieńcach, aż do szpiku kości zużytych przez występki, błakających się jak blade widma po ulicach, a o których wielki jeden pisarz powiadał, iż gdy widzimy ich, zdaje się nam, że słyszemy kroki grabarzy, przychodzących po te trupy. Nie mówiłem też o tych trędowatych rozpusty, którzy napiętnowani jej sromotnemi ranami, z bezwstydem egoizmu przynoszą je podstępnie w posagu dziewiczym małżonkom, a w niespodzianem dziedzictwie swoim synom. Nie mówiłem o tych strasznych chorobach, których lekarze, a w szczególności Tissot, dali nam dreszczem przejmujące opisy i rozbiory. Nie; zajmuję się tu tylko ogółem młodzieży, nie dochodzącej do tak okropnego zepsucia, ale pozostającej niemniej „na zawsze” osłabioną na umyśle, sercu, woli i charakterze. O ojcowie, pomyślcie o tem, póki czas jeszcze! Nieudolność niektórych ludzi, ich umysłowy idjotyzm, ich dusza zgrzybiała przed czasem, ich ciało w wieku lat czterdziestu całkiem zużyte — wszystko to jest owocem bezbożności i nieczystości w wieku pacholęcym, między dzieciństwem a młodością. A skoro się to powtarza w milionach ludzi, skoro podobny jad wkraść się w żyły całych pokoleń, jakżeby nie miało tego odczuć całe stulecie? Mogłoby ono być wielkie, a będzie tylko mierne.

A na tem ogólnem tle mierności i pospolitości, z dodatkiem jeszcze nieczystości i niewiary, jakżeby się nie miały w przełomowych chwilach wyradzać potwory. Taki Raul Rigault naprzykład, który wyszedłszy zaledwie z liceum, kazał rozstrzelać zakładników, spalić Paryż i chciał „wykreślić imię Boga”. Proces jego sekretarza, a raczej współnika, Dacosty, odkrył w Raulu Rigault całą bezdeń zepsucia podczas jego dorastania i młodocianego wieku¹⁾.

¹⁾ O całej tej ważnej kwestji *niewiary w młodości* zobacz *L'Avertissement aux pères de famille*, przez biskupa orleańskiego. Znajduje się tam cały plan tej przerażającej antychrześcijańskiej i antyfrancuskiej kampanji, poparty wszystkimi dowodami.

VI.

A nie wszystkie to jeszcze skutki niewiary. Są i inne, niemniej warte zbadania. Oprócz skażenia dusz pospolitych jest jeszcze skażenie dusz wielkich. Zobaczmy je; dopełnijmy sądu o drzewie wedle jego owoców.

Podczas gdy pospolite dusze, osłabione, wyjąłowane niewiarą, umierają tak małodusznie, jak małoduszne było ich życie, coś się staje z wielkimi duszami? Dokąd je doprowadza niewiara? Powiem to odrazu, nie obawiając się zaprzeczenia: do tajonych udręczeń, gorzkich smutków, a czasem aż do zropaczeń, które bardziej jeszcze, aniżeli upokarzająca pospolitość jednych, a moralna ruina drugich, wykazują konieczną potrzebę obecności Bożej w duszach.

Spójrzcie na tego młodzieńca. Jak on śmiało wchodził w życie! Ani go to obchodziło, czy jest jaki Bóg, i czy on Mu co jest winien. Ale zaledwie postąpił parę kroków, już nań czyhało zwątpienie; nie to zwątpienie wesołe, lekkie, zuchwałe, którem się w piętnastu latach upajał, ale smutne, bolesne, wciskające się przez wszystkie szczeliny, wskroś wszystkie rany życiowe. W piętnastym, w dwudziestym roku życia wątpił o Bogu; gdy już trochę pożył, wątpi sam o sobie, o słuszności swego poprzedniego zwątpienia; z goryczą dźwiga ciężar pustej duszy, zmarnowanego życia, bezcelowego istnienia, wieczności bez światła. Patrzy w niebo i mówi: „A może”.

Oto jest stan mnóstwa współczesnych umysłów. Czytało się wiele; uczy się ciągle; widziało się wszystko, a każde odkrycie przyniosło ze sobą smutek. Nie można otworzyć książki, ażeby nie natrafić na wiekuiste zagadnienia, takie jak Bóg, Chrystus, dusza. A ponieważ nie wiemy, jak je rozwiązać, coś tedy? Oto nie śmiemy już patrzeć, zamykamy oczy. Umysł opuszcza niedostępne wyżyny, do których nie sięga już wzrokiem, i pograża się cały w badaniu materji. Tam coprawda rozwijamy genjusz podziwu godny, ale o Bogu, o duszy, o życiu coś wiemy? Cośmy odkryli? Co pozostawimy przyszłym pokoleniom? Nic!

Potoki światła o świecie niższym; a ciemności głębokie wobec wyższego, ich skutek — ciężkie smutki i bolesne niepokoje; oto bilans myśli wieku XIX.

Ale to nie wszystko jeszcze. W sercu tych nieszczęśliwych jest drugi sęp jeszcze okrutniejszy i bardziej nieubła-

gany; bo nakoniec można o te rzeczy nie dbać, można powiedzieć: „Ja tam się tem nie zajmuję. Jestem matematykiem, chemikiem, inżynierem, sędzią, przemysłowcem, zajęty jestem obowiązkami swego stanu. Tam widzę jasno”.

Zgoda; ale wszak jesteś człowiekiem! A wiesz, skąd przychodzisz i dokąd dążysz? A jeżeli nie wiesz, jakże możesz żyć spokojnie? „Jakże chcecie — mówił Jouffroy — ażeby człowiek żył w spokoju, skoro jego rozum, który musi kierować życiem, wpada w niepewność, czem jest samo życie, i nie wie nic z tego, co wiedzieć potrzeba, ażeby wypełnić powołanie? Jakże żyć spokojnie, kiedy się nie wie, skąd się przychodzi, dokąd się idzie, ani co się tutaj ma do czynienia? kiedy się nie wie, co znaczy człowiek i cały świat stworzony? kiedy wszystko jest zagadką, tajemnicą, przedmiotem wątpliwości i obaw? żyć spokojnie w tej nieświadomości jest rzeczą sprzeczną z ludzką naturą i niemożliwą¹⁾”.

„Spokoju, spokoju! Kto mi da chwilę spokoju? — wołał Gérard de Nerval. — Trzeba mi potoków spokoju do zatopienia mych smutków! Ale jakże mieć spokój, kiedy się nie ma przewodnika, ani najmniejszej gwiazdki nad głową?”²⁾).

„Skoro się żyje — dodaje Jouffroy — ślepym, pustym, niespokojnym i bez steru”³⁾).

A jeśli spokój jest niemożliwy, jeśli nie dziś, to jutro uczuje się sępa szarpiącego piersi; jeżeli zniechęcenie, nieuleczalna melancholja — jak mówi jeszcze Jouffroy — śpi na tem samem co ty wezglówiu, jakże można mieć siłę, siłę rządzenia swem życiem, noszenia szlachetnie i dostojnie swej ludzkiej godności? „Ach! bądźcie pewni, że niewiara opustosza niebo i odziera z uroku ziemię — pisał Schoerer. — Rzeczy nadprzyrodzone są naturalną sferą człowieka; to rdzeń jego wiary, nadziei i miłości. Wiem dobrze, że krytyka jest zręczna, a jej argumenty wydają się często zwyciężskimi. Ale wiem jeszcze jedno: dusza zatraciła tajemnicę życia Bożego; przepaść ją wzywa teraz, coraz śpieszniejszy pęd oddala ją od Boga; traci pokolei pobożność, prawosć, genjusz; wkrótce będzie leżała na ziemi, a niekiedy i w błocie!”⁴⁾).

A z pokojem traci wszelką radość. Trwałe nadzieje, sny słodkie ulatują z duszy, jak stado spłoszonych pta-

¹⁾ Jouffroy, *Mélanges philosophiques*, str. 338. — ²⁾ *Lettres intimes*, str. 27. — ³⁾ *Mélanges philosophiques*. — ⁴⁾ Schoerer, *Mélanges de critique religieuse*, str. 183.

ków, miejsce ich zajmują nudy i niesmak głęboki. Już tylko uczucie nudy dawało mi znać, że żyję — mówił jeden z tych młodzieńców, dotkniętych w kwiecie wieku żądłem zwątpienia¹⁾. A drugi: „Dlaczego ziemia straciła dla mnie urok? Nie znam zadowolenia, znajduję wszędzie próżnię... Nuda mię pożera, niesmak wszystko mi mierzi”²⁾.

Pytasz, biedny młodzieńcze, dlaczego ci zbrzydła ziemia? Powie ci to jeden z twoich: „Jesteśmy nieszczęsnym pokoleniem, ludem błakającym się w bezmiarze zwątpienia, szukającym jak Izrael miejsca spoczynku, ale opuszczonym, bez proroka, bez wodza, bez gwiazdy, nie wiedzącym nawet, gdzie rozpiąć namiot w ogromie pustyni. Oto dlaczego pożera nas nuda, namiętności prowadzą na bezdroże, a samobójstwo, szatan ciemności, czyha u naszego wezglowia, albo wabi nas wieczorem na wód brzegi. Brak nam już stałego gruntu dla zarzucenia kotwicy naszej woli, a bezużyteczna ta kotwica strzaskała się w naszym ręku. Straciśmy władzę nad sobą, panowanie nad swoimi uczuciami, świadomość sił swoich. Wątpimy nawet o naszym przelotnym istnieniu, o naszym pośpiesznym przejściu przez tę przeklętą ziemię i zatrzymujemy się ciągle przed rozsnuwającym się wątkiem naszego własnego życia, jak człowiek miotający się w gorączce i wołający za przebudzeniem: Co znaczy ten sen?”³⁾.

Oto przepaść, do której prowadzi niewiara; a i to jeszcze nie jest jej ostatnie słowo. Są zwątpienia straszniejsze od zwątpień umysłowych, niepokoje od niepokojów sumienia bolesniejsze. Daremnie się nie wierzy; życie pomimo to mija jak sen bolesny, ucieka jak senne marzenie.

Pracuję i pracuję z powodzeniem, ale wkońcu mam lat pięćdziesiąt, sześćdziesiąt; mam już laskę marszałka; a w perspektywie śmierć tylko. Albo jestem światową kobietą; błyszczałam chwilę, ale już koniec; przede mną już tylko starość. Niewesoła perspektywa.

A przytem umierają wokół mnie. Ten ojciec ma przesłiczną córkę i traci ją, gdy ma lat szesnaście. Dlaczego? Tam znów młodzieniec zaledwie się ożenił, a już go szczęście odbiegło; młoda jego małżonka umiera w kwiecie wieku. Dlaczego? Tego on nie wie. *In umbra mortis sedent*. Przygnębieni, milczący, tłumiący smutek, nie wiedzący, gdzie się znajdują ich ukochani, ani czy się kiedykolwiek z nimi zobaczą: tacy są ludzie dzisiejsi. Staro-

¹⁾ Goethe, *Pamiętniki*. — ²⁾ De Sénancourt, t. I, str. 18. — ³⁾ *Lettres à Marcie*, list IV, str. 194.

żytność wymyśliła była sobie sfinksa, zadającego zagadkę i pożerającego tego, kto jej nie rozwiązał. Od czasu, kiedy wygnano religję, sfinks ukazał się na nowo i pożera ludzi. Lekarze obliczyli, że połowa ich przynajmniej umiera ze smutku, a pewien tegoczesny poeta wyrzekł, że to *beznadziejność* ich zabiła. Widziałem to ze sto razy. Dusze nie wytrzymują już ciosów przeciwności, upadają. Najpiękniejsze inteligencje nagle słabną. W innych życie ustaje odrazu. Jakże chorzy są ludzie tegocześni! Samobójstwo się mnoży; obłąkanie wzrasta; wszędzie smutek; na dnie dusz wszystkich, nawet najmłodszych, nawet najpiękniejszych, nieubлагana nuda, nim przyjdzie rozpacz, zezwierzenie lub samobójstwo.

Mówilem wyżej, że gdybym był malarzem, wymalowałbym obraz na modłę tego, którym Flandrin ozdobił mury kościoła św. Wincentego à Paulo: długą procesję, gdzieby widziano na wieczną cześć Boga i ludzkości przechodzące wszystkie dusze spragnione nieskończoności. Ale gdybym już był malarzem, nietylko ten stworzyłbym obraz, przeciwstawiłbym mu drugi. Wymalowałbym inny chór, korowód wszystkich tych dusz, także wielkich i spragnionych, ale które ponieważ nie chciały pić ze źródła życia, popadły po krótkich gorączkowych zabiegach w odurzenie senne albo samobójstwem położyły kres swemu upodleniu. W środku pomieściłbym tego biednego i wielkiego Alfreda de Musset, jeżeli można nazwać wielkim tego, kto 102-prasza wspaniały talent na drobiazgi, kto spragniony nieskończoności, obdarowany od Boga sercem nienasyconem popada wkońcu dobrowolnie w nałóg pijaństwa, ażeby zabić w sobie duszę lub ją przynajmniej zagłuszyć. Tuż przy nim, ale na drugim planie, postawiłbym nieszczęsnego Jouffroy, który tak kochał prawdę, tak jej szukał; nie znalazł jej, gdyż szukał na drogach pychy, nie znalazłszy, nosił ból w sercu i dał mu wyraz w słowach, pełnych niepoconego smutku. Nieszczęśliwy sądził, że wie „jak się kończą dogmaty”; a potrzeba mu było tylko trochę pokory i wiary w Boga, ażeby zrozumieć, dlaczego one trwają wiecznie! Obaj, poeta i filozof, staliby tam, by pokazać, że ani szczerza bodaj filozofja, ani szczytna nawet poezja nie dadzą bez religji pokoju w światłości. Około nich grupowałibyście się wy, Henryku Heine, Murgerze, Gerardzie de Nerval¹⁾, Hegezy pie Moreau²⁾, Leopoldzie Robert³⁾, dusze

¹⁾ Poeta, powiesił się w r. 1855. — ²⁾ Poeta, zmarł w szpitalu, w 29 roku życia. — ³⁾ Malarz, † 1835 r.

poetów, malarzy, artystów, stworzone dla piękna, dla harmonji, dla ideału, które dałyście słyszeć światu tylko chór bluźnierstw i żalów, szalu i żaloby, upojen i rozpacz, zakończony pijaństwem u jednych, samobójstwem u drugich! To też, kiedy na pierwszym obrazie widzianoby synów światłości, pionierów prawdy, stojących i idących, bo się w światłości postępuje naprzód; was pomimo waszych niepokojów i miotañ się, przedstawiłbym siedzących na ziemi, z przygasłym wzrokiem, ze ściśniętymi pięściami, pogrążonych w ciemności, jak owi ślepi, tak bosko odmalowani przez Danta. A jeżelibym miał i pod tym obrazem tak jak pod pierwszym wypisać jakoweś godło, to tylko, nie bacząc na tyle genjuszu, na tak wielkie wysiłki, tak piękne czasem ich rezultaty, położyłbym słowa: *In umbra mortis sedent.*

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Rodzina bez Boga.

Ale oto inne znowu niebezpieczeństwo. W tej samotności, wytworzonej przez niewiarę, człowiek cierpi, a dla pocieszenia się radby do niej nakłonić i swą towarzyszkę. Zamiast jedności w jednej wierze marzy o zjednoczeniu w tej samej obojętności. Chcą oni kobiety, któraby już nie wierzyła, kobiety, jak oni, bez Boga, bez modlitwy, bez wiary i bez nadziei nieśmiertelności: takie to na chorobę swoją wymyslili lekarstwo! Z całych sił starają się tej, która ma być małżonką, matką, córką człowieka, zaszczepić jad niewiary. A jeżeli im się uda? „Jak sobie wyobrazić kobietę bez religji? Cóż, jeżeli nie wiara, podtrzymuje chwiejność tej trzciny? Kto będzie wspierał ten najsłabszy twór natury, zagrożony wciąż śmiercią lub utratą wdzięków, tę istotę, która się uśmiecha i umiera, jeżeli nie ma innego istnienia poza tem znikomem?”¹⁾ Kto ją nauczy w śmiertelnem łonie nosić nieśmiertelnego człowieka i czynić z niego syna Bożego? Niestety, jakżeby ona mogła być matką? Żoną nawet być nie potrafi.

Będziemy więc mieli rodzinę bez Boga? Łoże małżeńskie bez błogosławieństwa niebios! Dzieci niepoświęcone w kolebce przez religję! Grób bez modlitwy i nadziei, gorzki widok, jeszcze może opłakańszy, aniżeli widok duszy bez Boga — brzemieniu różnorodnymi nieszczęściami!

Rozpatrzmy spokojnie i poważnie drażliwy ten przedmiot. Przypatrzmy się zbliżka temu nowemu nieszczęściu! Opłakane ono, ale pełne dla nas nauki. Przygotuje nas do postąpienia o krok dalej w znajomości tego dziwnego zjawiska, nazwanego przez nas bolesnym dramatem niewiary wieku XIX.

¹⁾ Chateaubriand, *Génie du Christianisme*.

I.

Zobaczmy naprzód, skąd bierze początek rodzina, zgóry przyjmując za pewnik, że ani ze zmysłów, ani z rozumu, ani z interesu. Zmysły rozprzęgająby raczej rodzinę przy swej niestałości i znikomości służącego im za przynętę piękna. Umysł zaś to gwiazda samotna, której potrzebą jest raczej błyszczeć, aniżeli się łączyć; to częściej miecz, który rani, zamiast jednoczyć.

Rodzina idzie z czegoś, co jest szlachetniejsze od zmysłów, lepsze od rozumu, co jest czystsze, głębsze. Idzie ona z serca. Serce to jest szlachetnym budowniczym tego dostojnego przybytku, nazwanego rodziną.

Serce — to znaczy potrzeba kochania, potrzeba nie błyszczenia, ale zapomnienia o sobie, nie używania, ale poświęcenia, całkowitego się oddania, pod jednym tylko warunkiem, żeby już tak pozostało na zawsze.

I nie tylko że serce stwarza rodzinę, ale stwarza ją aktem najdoskonalszym ze wszystkich swych aktów; pod wpływem uczucia przewyższającego wszystkie inne swą podniosłością, głębokością i trwałością. Dziwna rzecz! zdawałoby się, że serce spragnione uczucia opisuje wkoło siebie pewien rodzaj kół współśrodkowych coraz ciaśniejszych, i że w miarę zacieśniania się koła — rośnie i wzmacnia się uczucie. Naprzód serce moje zatrzymuje się z uczuciem życzliwości na ogromnym tłumie ludzi. Potem rozpoznaje, witam niektórych w tym tłumie; oznaczające ich słowo: „znajomi” wskazuje, że jedynie umysł mój ma z nimi styczność. Oto teraz inni, mniej liczni, czulej kochani: to są moi przyjaciele. Widzicie, że z zacieśnianiem się koła wzrasta uczucie. Jeszcze bliżej mnie, stykając się z moją duszą, stanowiąc jakby część mego życia, stają matka moja, bracia i siostry. Czy to już wszystko? Nie. Koło zacieśnia się ostatecznie; serce wznosi się jeszcze wyżej, i przychodzi chwila, gdy na szczycie tej wzniosłej piramidy wyrzeka: *Ty tylko!* a wyrzekłszy to, zaraz dodaje: *Na zawsze!*

Otóż z tego najwyższego w sercu punktu, z tego uczucia ze wszystkich najbardziej Boskiego i najbardziej ludzkiego zarazem, bierze początek rodzina. Niestety! tak mało i tak źle kochamy dzisiaj; kochamy tak krótko i tak mało w świętej samotności zjednoczenia, że niejeden czytelnik uśmiechnie się pewnie z naiwności mojej teorii. Ale ujmą się za nią dusze wzniosłe, delikatne i serca czyste.

One wam powiedzą, że skoro się doszło do pewnej wysokości w tem stopniowaniu wielkich przywiązań, sam przez się i niezwykłe wydziera się z serca ten okrzyk: „Tyłko ty i na zawsze!” Słowa te stwarzają rodzinę.

One też stwarzają kapłaństwo, życie duchowne; one tworzą księdza, apostoła, dziewicę. Raz podczas modlitwy młodzieńca przeszła przed nim postać jakaś, piękniejsza od wszystkich ziemskich; a on wzruszony, ze łzami w oczach, wyrzekł: *Ty tylko i ty na wieki!*

Serce zatem stwarza rodzinę. Ono jest jej świętem a głębokim źródłem. A gdy się ją w tem świetle ogląda, gdy zapominając o ziemi i o tylu smutnych rzeczach, które poniżyły i zepsuły małżeństwo, widzi się, jak z serca człowieka, mocą aktu najprostszego i najśodszejszego, jakim jest oddanie siebie samego, bierze początek wszystko, co jest najlepszego tu na ziemi, prawdziwy spokój i jedyne jego szczęście, dziękujemy Bogu, że tak łaskawie obszedł się z ludźmi. Bo rozum mają nie wszyscy, pieniądze niektórzy tylko; ale serce mają wszyscy, oprócz niegodnych posiadania go.

W tym stanie rzeczy, ponieważ rodzinę stwarza serce, zdawałoby się, że nic prostszego, jak ją stworzyć. A jednak, jeśli spytacie czyto historii, czy doświadczenia, zobaczycie, że tak nie jest. Serce było zawsze bezsilne w rzeczy, zdającej się tak łatwą, prostą i słodką. Robiło cudowne usiłowania, miało szczytne porywy i przebłyski: nie wytrwało do końca. Mogło ukochać na chwilę; nie mogło kochać długo, zawsze, w świętości jedyne go związku. Potrafiło powiedzieć: „Kocham cię”; prawie nigdy nie zdołało wyrzec: „Ciebie tylko i zawsze ciebie!”

Nic może nie rzuciło smutniejszego cienia na życie człowieka. Wszystkie nasze wielkie cierpienia stąd pochodzą. To też człowiek długo nie chciał uwierzyć w tę bezsilność. Bronił się od niej w myśli. Ale trzeba było wkońcu ulec oczywistości. I wiecie, co zrobił, zmuszony uznać wbrew woli smutną słabość serca swego? Na pomoc zawodnemu uczuciu wezwał, nie powiem: siłę, ale — prawo, poparcie społeczeństwa, prawodawstwo swego kraju. Powiedział: „Słaby jestem; nie umiem kochać trwale, głęboko. O urzędniku, słuchaj z urzędu, co mówię temu szesnastoletniemu dziecku, tej dziewczicy, którą wybrałem z tysięcy: Ty jedna i na zawsze! Oto moja przyszłość. Weź ją pod opiekę prawa, pomóż mi jej dotrzymać”. Co za wyznanie! O! wolałbym, ażeby prawo nie

potrzebowało mieszać się do rzeczy tak delikatnej i poufnej. Ale ponieważ jest potrzebne, niechże przychodzi, niech bierze w opiekę tych dwoje młodych, którzy kochają się wzajem, chcą się kochać zawsze, a jednak, o wstydzie! nie czują się do tego zdolni.

Tak więc wmieszało się prawo, ale nie wystarczyło i ono. Było słabe i, dodam, nieczne. Zamiast strzec serca od jego niestałości, usankcjonowało słabość serca z jego woli. Były prawa, upoważniające do wielożeństwa, zezwalające na rozwód; uświęcały one wszystkie słabości i kaprysy serca, otwierały drzwi małżeńskie wszystkim bezecenstwom i wszelkiej brutalności. Tak iż nawet z poparciem prawa serce nie mogło stworzyć istotnej rodziny ani uczynić jej jedną, nierozzerwalną i czcigodną.

Wyżej wznieść się należało. I wszędzie też młodzi uciekali się do stóp ołtarza, skoro chcieli założyć rodzinę. Boga prosili o łaskę, ażeby mogli się kochać, kochać długo, zawsze; nosić w śmiertelnem sercu miłość, któraby nie czuła ciężaru czasu.

I otrzymali ją tam, ale z jakąż trudnością! Fałszywe religie osłabły, tak jak i prawa. Niektóre ołtarze zdradziły narówni z prawodawstwem. Nawet religja prawdziwa przed dojściem do całkowitej potęgi musiała robić ustępstwa sercu. Jakgdyby Bóg dla pokazania, jak trudnem zadaniem jest stworzyć rodzinę, chciał zachować dla prawdziwej religji, i to jeszcze religji w pełni czystości i mocy, zaszczyt podniesienia serca człowieka dosyć wysoko, ażeby mógł powiedzieć: *Ty jedna i na zawsze!*

I temu to staremu, powszechnemu doświadczeniu chcieliby dziś zadać kłam. Wypędzacie religję, a wyobrażacie sobie, że będziecie mogli stworzyć rodzinę! Rodzinę! Ognisko! miejsce, gdzie będzie można kochać się zawsze, gdzie po trudach, cierpieniach i rozczarowaniach życia będzie można dać odpocząć zdołałemu sercu, mieć szanowane łożo, szczęśliwą kolebkę! Ach! sami nawet poganie o ołtarz opierali ognisko; i trzeba dożyć było tak smutnych czasów jak nasze, ażeby komuś przyszło na myśl, że się można obejść bez Boga w tak straszliwym przedsięwzięciu! Ale też co widzimy? Jakie smutki i rozczarowania! Jakie ofiary ciągnięte do ołtarza i uwieńczane ciernistemi różami! Jakie niespodziane, czasem nawet krwawe katastrofy, których opowiadaniem nie chcę kłaść tych stronnici, zaledwie śmiać o nich wspomnieć!

Sądziłicie zapewne, że rodzina jest zanadto szczęśliwa, ognisko jej zbyt czyste, obyczaje zbyt święte! że nadużywano, nieprawdaz, szczęścia kochania się długo i bez chmur? więc chcieliście wygnać z rodziny Boga. Ale po wygnaniu Boga, wyrzuceniu za drzwi aniołów, opiekuńczych stróżów domowego ogniska, cóż wam pozostanie? Serce, powiadacie. Tak, pozostanie ono, ale na wasze ukaranie. Pozostanie ze swą słabością i burzami. A rodzina zniweczona, łożo małżeńskie zbezczeszczone najsmutniejszemi obyczajami, podeptane serce kobiety, puste kolebki dowiodą raz jeszcze, że niewiara na jedno tylko się zdała, wedle słów jednego z waszych: „Na opustoszenie nieba i odzieranie z uroku ziemi.”

II.

Świadectwo więc historii oraz doświadczenie sześciu tysięcy lat stwierdzają, że bez Boga serce nie ma siły utworzyć rodziny, nie może jej zapewnić jedności, nierozzerwalności i czci chrześcijańskiej. Teraz poszukajmy, jaka jest tego przyczyna, a na to potrzeba nam zbadać budowę rodziny, a raczej potrzeba zstąpić do serca i jego prawa rozpatrzyć; ponieważ bowiem z serca bierze początek rodzina, prawa, któremi się ono rządzi w miłości, są jej zasadniczymi prawami.

Pewien młody, światły i zdolny pisarz powiedział raz: „Pierwsze prawo miłości — to prawo postępu, wzrostu. Od pierwszej chwili swego istnienia miłość może żyć tylko pod warunkiem, że będzie wzrastać. Musi ona wzmacniać się, wznosić, nabierać sił tak przez swe radości jak i cierpienia, musi pogłębiać się przez szczęście, a jeszcze pewniej tu na ziemi przez próby i ofiary; iść naprzód jednym słowem¹⁾. W dniu, w którym przestaje postępować, w którym się zatrzymuje, zaczyna się zmniejszać, a skoro się tylko zmniejsza — umiera.

I to jest jedna z przyczyn, że miłość tak rzadką jest na ziemi. Właśnie ta jej wzniosłość stanowi jej słabość. Bo jakież stworzenie, bodaj najhojniej uposażone, zdoła wciąż podsycać płomień takiego uczucia? Wiem, że zamłodu pochlebia się sobie, że się zasługuje na podobną miłość obliczem i oczyma; w latach szesnastu, osiemnastu,

¹⁾ Henryk Perreyve.

w wieniec róż i marzeń, wyobraża się sobie, że się zawsze będzie rośło we wdzięki, w młodość ujmującą, w urodę. Czytając w starożytnych autorach te niewymownie piękne zdania o znikomości wszystkiego, dowiadując się od nich, że kwiaty opadają, róże więdną, a uczucia ludzkiego serca jeszcze są od róż nietrwałe, uważamy to za próżne frazesy, za szumne, lecz przesadne deklamacje. Jestem tak młodą i piękną! tak pewną, że będę zawsze kochana! Ale niestety, niedługiego trzeba czasu, czasem nawet niespełna roku, ażeby się przekonać, co warte owo „zawsze.” Nawet wtedy, kiedy ta piękność wzbudza jeszcze podziw świata, przestaje już ona przemawiać do duszy tego, który wczoraj przysięgał jej miłość wieczną.

Oto najtrudniejsze zadanie w małżeństwie. Wyobrażacie sobie może, iż najtrudniej jest powstrzymać gwałtowność przyływu uczucia; nie: najtrudniej zapobiec jego odpływowi. Zapewne, potrzeba powściągać miłość, naznaczyć jej nieprzekraczalne granice, uczynić ją niewinną i czystą, bo wszystko, co ją czyni czystsza, tem samem czyni ją trwalszą, głębszą i słodsza. A tego nie zdołacie dokonać bez Boga. Trudniej wszelakoż jeszcze podtrzymać jej wzrost, podsycać ustawicznie jej płomień.

Czytałem wszystkie dzieła waszych bezwyznaniowych moralistów; wszyscy byli zaniepokojeni tem prawem zaniżania, tym niebezpiecznym odpływem serca. Ale cóż na to poradzili? jakie podali lekarstwa?

Jeden powiada: „Jeżeli już nie kochasz, to dlatego że niedosyć się przyjrzałeś, niedosyć zgłębiłeś. Jest w duszy wiekuiste odmładzanie się. Czas, niszcząc jeden wieniec, splata wzamian inny; i od złotych włosów młodzieńca do siwizny starca piękność ulega przemianie, ale nie znika.” Bardzo to piękne. A jednakże boski przyływ trwa godzinę; potem następuje odpływ, który skoro raz się rozpoczął, nie ustaje już nigdy. Słyszę innych mówiących: „Źle czynicie, patrząc na jedną istotę tylko. Patrzcie na wszystkie. Starajcie się w nich widzieć ludzkość całą. Jedna istota stworzona ma cienie i plamy; ludzkość ich nie ma. Ludzkość jest piękna”. Sofistom tym nie uczynię tego nawet zaszczytu, abym miał ich zbijać.

Oto i wszystkie wasze lekarstwa. Oprócz nich jest jeszcze tylko wolna miłość. Ale czemuż jest ona, jeżeli nie smutnem przyznaniem tego, żeście zarówno niezdolni trzymać na wodzy miłość, jak ją podsycać? Wolna miłość to miłość rzucona na pastwę własnych swoich płochoci,

kaprysów i wstrętów. Wolna miłość to dziki potok, na którego poskromienie nie mamy siły, a który szerzy dookoła spustoszenie.

Ale nie, to jeszcze nie ostatni wyraz waszej bezsilności. Upadnięcie niżej; zejście aż do pogardzania miłością, aż do urągania sceptycyzmu i zepsucia. Zaczęliście od uwielbienia miłości, od stawiania jej na ołtarzach, a skończycie na tem, że będziecie szydzić z niej, jak z próżnego marzenia; że zdepczecie ją nogami, jak fałszywe bóstwo, i tem dokonacie ostatecznej zagłady rodziny, która nie może żyć bez miłości.

O, dla pokoju świata, dla szczęścia rodzinnego ogniska, nie odbierajmy rodzinie miłości; bo jeżeli nie będzie jej tam, będzie ona nazewnątrz; zepsuje świat zamiast go uszlachetnić. Ale miłości tej nie odbierajmy Boga; bo On tylko może ją jednocześnie podsycać i trzymać na wodzy. On strzeże ogniska, zabraniając nawet wejrzenia; a kiedy je tak urządził, poddał prawom pewnym, On jeden może mu wzrost zapewnić. Religja przyprowadza młodzieńca do stóp ołtarza, przyprowadza też i dziewicę, zgina jej kolana i te słowa w usta kładzie: „Mój Boże, jestem młoda, kochana, ale widzę swą nędzę, widzę, że jestem tylko wątłym kwiatem, którego nie można ukochać jedynie i na zawsze. O, Panie, otwórz dusze nasze wiekuistej miłości, otwierając oczy na wiekuiste piękno”.

I oto rozdziera się zasłona, i wskroś przemijające piękno rysów zachwycone oko spostrzega prawdziwą piękność: duszę stworzoną przez Boga, odkupioną przez Syna Bożego, zesłaną chwilowo na ziemię i noszącą już w wewnętrznym swym przybytku tego wielkiego Boga, który ją stworzył dla siebie. Kto określi, ile niespożytego pokarmu daje młodym sercom taki widok? Kto powie, ile z nich ustrzegł on od tych pospolitych skał, o które rozbija się owa niby wieczna miłość? A wtedy może przyjść starość, rysy twarzy mogą się zmienić, a oblicze stracić wdzięk, ale nie będzie to miało wpływu na duszę, która się doskonali z dniem każdym, której piękność przebłyскуje coraz żywiej, w miarę zbliżania się do wieczności. Przychodzi śmierć, i oto nad brzegiem grobu można powiedzieć, jak pewien szlachetny i pobożny starzec w tych czasach: „Nasze szczęście trwało lat czterdzieści siedem, a miłość nasza nigdy nie spadła do poziomu prostej przyjaźni.”

Miłość bezustannie wzrastająca jest więc pierwszym zasadniczym prawem rodziny, tak samo jak i serca. Wi-

Stwierdzenie to jest przy wyjątkach i wyjątkach

dzicie, że prawo to jest zanadto wzniosłe, zanadto szlachetne, za idealnie piękne, ażeby można było je urzeczywistnić bez Boga i przeciw Bogu.

Drugie prawo ma tę samą cechę, bo w sercu człowieka jest druga dążność, niemniej piękna, niemniej trudna do ziszczenia, bez której istnienie rodziny jest niepodobne. Wyjaśnimy zaraz myśl naszą: gdyby w rodzinie było tylko szczęście, była tylko radość i wzrastająca miłość, byłaby to już rzecz wielka, ale ziemską. Na szczęście, jest ofiara i ona to czyni rodzinę boską.

Przytoczę tu słowa sławnego pisarza: „Małżeństwo nie jest tylko umową; jest ono przedewszystkiem ofiarą i to ofiarą obustronną. Kobieta przynosi w ofierze to, co jej Bóg dał najcenniejszego, co było przedmiotem najstaranniejszej troskliwości jej matki i co się już odzyskać nie da: swoją pierwszą piękność, często zdrowie i nakoniec tę zdolność ukochania, którą posiada się raz tylko w życiu. Mężczyzna zaś przynosi swobodę młodości, te bezpowrotnie najszcześniejsze lata, tę zdolność poświęcenia się dla ukochanej, możebną tylko w początku życia, i to usiłowanie miłości, upiększenia i osłodzenia jej życia. Są to dwie czary: w jednej jest piękność, niewinność i czystość; w drugiej nienaruszona miłość, oddanie się na zawsze istocie słabszej od siebie; i trzeba, aby obie zarówno były pełne, jeżeli związek ma być całkowity i błogosławiony od Nieba¹⁾).

Taka jest rzeczywistość, tak doniosły akt, zawarty przez małżonków. Od tej chwili tysiące więzów przypomina im, że nie są wyłączną swoją własnością, że już oddali siebie. Mnóstwo zewnętrznych okoliczności rani ich razem, a często jedno przez drugie. I małżeństwo, rozpoczęte w cienistych gajach raj, kończy się często na krzyżu.

I to jest druga skała, o którą rozbija się miłość, chcąc się obejść bez Boga. O, nie chcę źle mówić o ludzkim sercu. Nic nad nie piękniejszego. Wzrusza je sam wyraz: ofiara; poświęcenie przejmuje je zachwytem. A jednakże to serce, to wielkie serce, jakże czasem jest małe! Któż się nie nuży cierpieniem? Kto po wstąpieniu na ten szczyt, gdzie się umiera z miłości, nie zapragnął zejść z niego? Nosimy wszyscy w sercu szkaradną ranę: niemożność poświęcenia się przez długi czas, nawet dla najbardziej ukochanych.

¹⁾ Ozanam, *De la Civilisation au V-e siècle*. Lekcja czternasta: Niewiasty chrześcijańskie.

Stąd pochodzą po kilku latach u małżonków te głuche kwasy i nieporozumienia, których już nawet nie umieją skryć przed ludźmi, to lodowate zimno i nakoniec łańcuch tak ciężki, że upadają pod jego ciężarem? Tak się kochali, a teraz nie mogą się znosić wzajem! Dlaczego? bo nie potrafili się poświęcić.

I wy macie nadzieję, że wyгнаwszy z rodziny Boga, będziecie się łatwiej poświęcali? Przypuszczam, że niektóre piękne dusze, niektóre serca czulsze pozostaną wierne sobie wzajem, jak te dwie białe kolumny, które pozostały nietknięte i połączone wśród ruin Forum; ale będą to tylko wyjątki, zaprawiające tem większą goryczą niedolę powszechną.

Tymczasem tam, gdzie świat nic nie poradzi i nie da nic prócz bezsilnych środków, niesmacznych żartów, religja daje siłę. Przed oczy tych, których związek błogosławi, stawia surowy ideał, ale zarazem ich woli dodaje hartu, aby go mogli osiągnąć. Bierze w swe ręce tę miłość w zaczątku i tworzy z niej trwałą rzeczywistość. Podnosi do godności Sakramentu owo uroczyste, wzniosłe a ulotne „tak” — i oto staje się ono z wolą Bożą żywym, tajemniczym, nieprzerwanym źródłem siły potrzebnej dla jego dotrzymania. Mogą już teraz ci młodzi wejść na twarde ścieżki życia; znajdą tam ciernie, smutki, ale nigdy ponad odwagę swoją. Nieustająca siła będzie ich podtrzymywała na wysokości ich obowiązków. Pokój, zgoda, miłość zapanują na zawsze pod ich dachem, bo choć będzie tam krzyż, będzie i łaska Boża.

Ach, jakże mocno żałuję was, którzy nie chcecie Boga w swojej miłości! Nie unikniecie ofiar, a nie potraficie ich dźwigać. Przepowiadam wam smutne dni, nieporozumienia, a może i krwawe tragedje czy też komedje, które codzień plamą karty dzienników. Tej Golgoty nie pozadzroszczą wam chrześcijańscy małżonkowie.

Czy to już wszystko? czyśmy ujrzeni w zupełności wielkie prawa rodziny i całą niemoc serca do zastosowania się do nich bez pomocy Bożej? O nie! Ojciec i matka, chociażby najściślej zjednoczeni, to jeszcze nie rodzina, bo to jeszcze nie całe serce. Na złączonym pniu ojca i matki ukazuje się niebawem kwiat: dziecię. Kwiat to, czy też cierni? W każdym razie jest to przedmiot najszlachetniejszej dumy, najczystszej radości; ale także dla ojca godnego tej nazwy, dla prawdziwej matki — przedmiot najboleśniejszego niepokoju!

Tak jest; ukochana ta istota przyjsiem swem na świat nietylko rozdziera łono matki, zasepia także czoło ojca, obarczając go ciężarem wielkiej odpowiedzialności.

Gdybyż jeszcze dosyć było czuwać nad całością jej zdrowia i życia wśród tych niebezpieczeństw! Ale ma ona duszę nieśmiertelną. Trzeba ją wychować, wpoić w nią godność, honor, czystość, uczucie, wiarę; trzeba ją natchnąć szacunkiem siebie samej, obok miłości dla Boga i ludzi.

A gdyby upadła, gdyby burze, tak liczne i gwałtowne w naszych smutnych czasach, ugięły tę słabą roślinkę, potrzeba mieć do niej przemówić, ostrzec ją i podnieść; gdyby zaś się oparła i poszła drogą hańby, trzeba płakać, jęczeć, rozedrzyć łono i wydobyć z niego krzyk, któryby doszedł aż do Boga i zbawił nieszczęśliwą.

I myślisz, że bez Boga podolasz tym strasznym obowiązkom! Ależ jeśli nie wierzysz w Boga, ani w nieśmiertelność, ani nawet w istnienie duszy, jeżeli twój syn dla ciebie jest tylko odrobiną materji, skupionej przypadkowo i przeznaczonej na pastwę nicości, jakże będziesz dbał dlań o wiekiste rzeczy?

Nie będziesz ojcem dusz twoich dzieci. Niestety nie będziesz nawet ojcem wcale! Wykręcisz się sofizmatem od obowiązku dania życia potomstwu, od tego trzeciego prawa serca i rodziny; odrzucisz, jako największy ciężar życia, zaszczyt ojcostwa.

Nie będziesz miał dzieci: albo będziesz miał tylko jedno, ażeby przekazać mu nazwisko i majątek: i to jedno będzie źle wychowane, ubóstwiane, psute, dlatego właśnie, że jedyne. Będzie to twój tyran w dzieciństwie, zuchwał towarzysz w młodości, a może twój wstyd i boleść twoja kiedyś!

Tak odpokutujesz tę zbrodnię, żeś chciał obejść się bez Boga. Nie utworzysz rodziny, albo jeżeli utworzysz, będzie ona twoją karą. I rodzina ta, wytykana palcem przez starców, będzie nauką dla przyszłych pokoleń, czego mają unikać dla swego szczęścia; jak te szczątki rozbitych okrętów, które umieszczano na niebezpiecznych wybrzeżach, na znak ostrzeżenia żeglarzy.

III.

Poco nam zresztą doświadczenia? zrobione już jest oddawna. Zaledwie rozszedł się po Francji podmuch niewiary, zaczęły się wszędzie rozluźniać węzły małżeńskie.

Ciosy, wymierzone w ołtarze, wstrząsnęły domowe ogniska, jak cięcie siekierą we wspólne korzenie wstrząsa drzewa bliźniące. Po wielkich panach XVII wieku, którzy uznając w zasadzie świętość związku małżeńskiego, w praktyce pogardzali nim do tego stopnia, że ośmielali się wyjednywać zaszczytne posady dla owoców swego cudzołóstwa; po sofistach wieku XVIII, którzy, posuwając się dalej, zaprzeczali samemu związkowi małżeńskiemu, i zniżając rodzinę ludzką do poziomu zwierzęcej, utrzymywali, że małżeństwo jest faktem przemijającym, rzeczą potrzeby i umowy, związane dla urodzenia dzieci i rozwiązujące się potem¹⁾; po tych dwóch już tak strasznych napaściach nadeszli prawodawcy, synowie sofistów, i ci dokonali ostatecznej ruiny.

Ze wstydem słyszy się, jak taki prawnik jak Cambacérés twierdzi, że „wola małżonków stanowi istotę małżeństwa, a zatem zmiana tej woli je rozwiązuje”²⁾;

jak deputowani, zdając sprawę z ustawy roku 1792, głosząc, że ułatwili bardzo rozwód z powodu natury małżeństwa, którego zasadniczą podstawą jest wolna i nieprzymuszona wola małżonków, i ponieważ swoboda osobista nie może być bezpowrotnie odjęta przez żadną umowę³⁾;

jak inni deputowani oświadczają: „niema wcale dzieci nieprawych, ponieważ żadne nie są prawe; wszystkimi sposobami należy popierać związki wynikające z uczucia”⁴⁾;

jak nareszcie prawa powołują się na motywy takie oto: „Zważywszy, jak jest niezbędne, ażeby Francuzi korzystać mogli z łatwości rozwodu, wynikającej ze swobody osobistej, którąby krępowała umowa stała; zważywszy, iż niektórzy małżonkowie, nie czekając, aż prawo określi sposób i skutki rozwodu, skorzystali z tego, iż uważa ono małżeństwo jak umowę cywilną tylko, — Zgromadzenie narodowe orzeka nagłość wniosku”⁵⁾.

Trzebaż wymowniejszego dowodu, że od czasu zagnieźdżenia się we Francji niewiary Francuzi nie czują się już na siłach do zachowywania świętych nakazów małżeństwa?

¹⁾ *Contrat social*, r. II. — ²⁾ *Premier Projet de Cambacérés*, Fenet, t. I. str. 4 i 150. — ³⁾ *Rapport sur la loi de 1793*, str. 17. —

⁴⁾ Zdanie deputowanego Chabota w rozprawie o tym przedmiocie. —

⁵⁾ Prawo z 20 września 1792. Proszę zauważyć te słowa: *cieszyć się łatwością rozwodu... korzystać, iż prawo uważa małżeństwo za umowę*. Jakgdyby prawo przyrzekało szczęście, dając rozwód!... Smutny to objaw ówczesnego stanu obyczajów.

Tak więc rozwód został uprawniony. Rzucono się doń skwapliwie. Było to to samo, co otworzyć drzwi więzienia. W samym Paryżu w ciągu dwudziestu siedmiu miesięcy tylko po ogłoszeniu prawa sądy wydały 5994 wyroków rozwodowych.

Prawda, że nasze obyczaje nie zniosły długo podobnego poniżenia. Francja z obrzydzeniem odrzuciła rozwód. Ale chociaż on został wykreślony z kodeksu, trwa do dziś dnia w jego duchu. Zniknął rozwód prawny; pozostał potajemny. Prasa domaga się go ustawicznie. A tymczasem zwiększają się wśród nas nietylko separacje łoża i stołu, nieznane prawie w dawnej Francji, obecnie zaś tak liczne i bardziej gorszące, niż u innych narodów — ale owe przemyślane małżeństwa, przeważnie w wielkich miastach, dzięki którym narodziny dzieci nieprawych mają się w Paryżu w stosunku jednego do trzech.

Podczas gdy prawodawcy, ulegając z jednej strony wpływowi sofistów, z drugiej — powodzi zepsucia, zbrukali wiek XIX zakatą rozwodu, wprowadzali zarazem wiedzeni tym samym duchem pewną nowość, zupełnie napozór niewinną, ale która miała wyrzucić zgubny wpływ na obyczaje.

Nie jestem ja z tych, którzy potępiają absolutnie *śluby cywilne*, to jest małżeństwo zawarte wobec Państwa, przed lub po odbyciu ceremonii religijnej. Uważam za rzecz słuszną, aby Państwo wiedziało o tak ważnej umowie i aby jego urzędnicy wciągnęli ją do akt, skoro mają czuwać nad jej dotrzymaniem. Ale trzeba było urządzić tę nowość *po chrześcijańsku*, a nie *rewolucyjnie*. Społeczeństwo nie powinno było orzekać, że *małżeństwo jest umową tylko cywilną*; ani mówić małżonkom: *Jesteście połączeni najzupełniej tylko mocą tego aktu* — co jest fałszem, bo dla katolików żadne to jeszcze połączenie. Należało szczególnie zabezpieczyć się, ażeby nigdy, w żadnym wypadku ślub cywilny nie był odłączany bez zgody stron obu od ślubu kościelnego; bo w przeciwnym razie byłby to zamach na swobodę sumienia jednej z nich i sidła zastawione na jej dobrą wiarę. Szczególnie nie należało dawać masom pochopu do prawnego cudzołóstwa, do małżeństwa bez ołtarza i religii; ani popierać powagą władzy tej zgubnej dążności do załatwienia bez Boga najważniejszych w życiu czynności.

W ten sposób osłabiono w mnóstwie umysłów prawdziwe pojęcie świętości małżeństwa, sprowadzając je do umowy, jak wszystkie umowy najmu lub sprzedaży, mogą-

ce być unieważniane z wolą stron; przygotowano jego rozprężenie. I zrobionoby więcej jeszcze złego, gdyby pomimo pozorów Francja nie była chrześcijańska aż do szpiku kości, i gdyby jej obyczaje nie były lepsze od jej ustaw.

Mała zmiana zaradziłaby tym niedogodnościom. Oto gdyby ślub cywilny odbywał się nie przed ślubem kościelnym, ale po nim. Młodzi małżonkowie, pobłogosławieni przez Boga, połączeni pod opiekuńczą tarczą religii, udawaliby się potem do mera, aby on uprawomocnił świeckie warunki ich związku. Mer nie powinienby załatwiać tej czynności pierwiej, ażeby się stawili przed ołtarzem przez się wybranym. Społeczeństwo miałoby z pewnością prawo tego wymagać, a ponieważ idzie o rzeczy tak ważne, dopuszczać do korzystania z umowy cywilnej tych tylko, którzy wzięli ślub kościelny. Gdyby zaś, posuwając do ostatecznych granic poszanowania wolności, zgadzało się łączyć cywilnie ludzi, nie mających żadnej religii, nie powinno się czynić tego inaczej, jak na zapewnienie piśmienne stron obu, że zamierzają założyć rodzinę bez pomocy Boga.

Taka reforma była już proponowana przez wybitnych prawników. Byłoby to godne urzędników i deputowanych naszych czasów, ażeby poparli ją swoją powagą i domagali się, gdzie należy, wprowadzenia jej w życie¹⁾.

IV.

Ale to zaledwie pierwsza rana rodziny, dotkniętej niewiarą. Poważni obserwatorowie wiele innych klęsk zaznaczają. Nietylko węzeł małżeński pod tym zabójczym wpływem rozluźnia się i rozrywa, z kolei zanika władza ojcowska. Jest ona głęboko zachwiana, jeżeli nie zupełnie podkopana. Wszyscy się na to skarżą, szukając środków zaradczych. Ale niezawsze widzę w ludziach, poruszających tę kwestję, tyle światła, ile chciałbym w nich go dostrzeżeć. Niektórzy nie na właściwym miejscu mieszczą tę ranę, a mało z nich zapatruje się na nią zupełnie słusznie.

Co zaś zaciemnia tę kwestję w niektórych umysłach, to okoliczność, że władza ojcowska w czasach obecnych jednocześnie przeistacza się i chyli do upadku.

¹⁾ Patrz Sauzet, *Le Mariage civil et le mariage religieux*. Znajdujemy tam w najpiękniejszej formie i z najwyższą logiką przedstawione wszystkie zarzuty przeciwko ślubom cywilnym, tak jak są teraz we Francji; również jak i potrzebę reformy, któraby podniosła charakter religijny małżeństwa w oczach prawa.

Nie ulega wątpliwości, że stosunek rodziców i dzieci w wieku XIX zmienił się i to na dobre. Dawna rodzina grecka i rzymska lub powiedzmy feudalna i arystokratyczna, gdzie ojciec jest wszystkim, nie tylko ojcem, ale panem i sędzią; gdzie jest jedyną osobą, jaką państwo zna i przez którą wywiera swój wpływ na żonę i dzieci; rodzina taka już nie istnieje. Rozwiązał ją podmuch demokratyczny. I gdyby tylko tak było, nie uskarżałbym się bardzo.

„Nie wiem — powiada de Tocqueville — czy, ogólnie biorąc, społeczeństwo traci na tej zmianie, ale myślę, że jednostka zyskuje na niej. Sądzę, że w miarę, jak obyczaje i prawa demokratyzują się, stosunki ojców z synami stają się bliższe i serdeczniejsze; mniej w nich formuł i władzy, więcej zaufania i miłości, i zdaje się, jakoby węzły przyrodzone zacieśniały się w miarę rozluźniania się społecznych”. Dodaje dalej: „Ażeby ocenić różnicę dwóch stanów społeczeństwa pod tym względem, dosyć jest przejrzeć domowe korespondencje, pozostałe po arystokracji. Styl ich jest zawsze poprawny, ceremonialny, sztywny i tak zimny, że uczucie serdeczne zaledwie może się przebić przez słowa. Tymczasem u narodów demokratycznych we wszystkich wyrazach, kreślonych przez synów do ojców, panuje coś swobodnego, zarazem poufalego i czulego, co wskazuje odrazu, że w łonie rodziny nowe nastały stosunki¹⁾”.

Oto jest zmiana, znaczna zmiana. Gdyby też była ona jedyną w ustroju rodziny XIX wieku, nie przestraszałbym się nią i nie w tę stronę obracałbym wzrok, szukając środków zaradczych. Na nieszczęście, w stosunkach ojców i synów nie tylko jest zmiana; władza ojcowska ulega nie tylko zmodyfikowaniu, ale i obniżeniu. Władza ta zanika. Zabija ją niewiara, i to w sposób podwójny.

Od trzech już stuleci niewiara bierze stronę synów przeciw ojcom, to jest niezależności przeciw władzy, kaprysu i lenistwa przeciw doświadczeniu; inaczej mówiąc: wielkich nadużyć przeciw małym. Niema deklamacji; niema konceptów, którychby sobie nie pozwolono przeciwko nadużyciom władzy ojcowskiej; a po przejściu pióra z rąk literatów w ręce pracodawców niema ograniczenia, któ-

¹⁾ De Tocqueville, *De la Démocratie en Amérique*, t. III, str. 315.

remby nie usiłowano tej władzy skrepić. Ostateczny zaś cios zadały jej dwa artykuły kodeksu, opiewające:

1) Zaprzeczenie ojcu prawa do rozporządzania swym majątkiem na korzyść dzieci, do rozdzielania go pomiędzy nie, wedle swego uznania, swego do nich przywiązania i doświadczenia.

2) Ogłoszenie prawa dzieci do mienia rodziców, prawa bezwzględного, nienaruszalnego i równego dla wszystkich.

Od tej pory, ponieważ dobra ojca należą do dzieci, ojciec jest już tylko dożywotnikiem, wkrótce kłopotem, a co gorsza, zawadą. Po dojściu do pewnego wieku, u ludu daje się mu uczuć, że żyje za długo, wyrzucają go bez ceremonii pod schody. W klasach wyższych zachowuje się więcej form, ale często myśli się nie lepiej.

Oto jest pierwsze następstwo. A cóż, jeżeli młodzieniec wejdzie na złą drogę, jeżeli robi długie, uprawia hazard i rozpustę, okrywa ojca wstydem! Co pozostaje ojcu? Oto cierpieć w milczeniu. Zapewne, może go ogłosić w dziennikach, że nie będzie płacił długów synalka, ale ten będzie śmiał się z tego tylko. Wiedząc, że nie może być wydziedziczony, będzie liczył lata, pozostające ojcu do życia, i zawczasu zastawi lichwiarzom swój spadek. W niewielu wypadkach ojciec z wielkim trudem i zapomocą wysokich protekcji będzie mógł wyprowadzić go za morze. Ostateczne to już lekarstwo. Po upływie kilku lat młodzieniec wraca, jeszcze gorszy niż przedtem. Ojcu pozostaje już tylko znosić wstyd i milczeć.

I zauważcie dziwaczną moc prawa! Odejmuje ono ojcu wszelką władzę, potrzebną mu do spełnienia jego obowiązków: zwraca zaś ją, skoro chodzi o zaspokojenie jego namiętności. Ten ojciec, nie mogący nic dać dzieciom, równie bezwłasnowolny wobec występku jednych z nich, jak wobec kalectwa i ubóstwa innych, ma wszelako swobodę pod jednym względem: oto może zrujnować najlepsze nawet dzieci. Może sprzedać majątność, oddać ją z rąk do rąk swej kucharce, przegrać na giełdzie lub roztrwonić w złych miejscach posag dzieci. Oto żona, córki w nędzy. Prawo milczy, nie ma nic do powiedzenia. Wszystko jest najzupełniej prawomocne.

Nie tylko więc w stosunku ojców do synów w wieku XIX zaszła zmiana, ale była to zmiana na gorsze. Ojcostwo zostało strącone z tronu; u maluczkich i biednych

z cynizmem, u możnych i bogatych z pozornym szacunkiem, ale stracone wszędzie. Dzieło to rewolucji, dokonane pod tchnieniem niewiary.

Miejmy jednak odwagę powiedzieć jedno: niczem są rany zadane ojcostwu wobec tych, jakie samo zadało sobie. Zrzucono je z tronu, ale ono pierwsze zeń zeszło.

Straciło tron, tracąc wiarę; samo siebie wyгнаło z tej wzniosłej świątyni, z tego królestwa dusz, zwanego rodziną.

Jeden z wolnomyslicieli powiada ze smutkiem: „Chcielibyśmy nieraz po bezużytecznych wysiłkach i utraconych złudzeniach utulić, ogrzać serce w rodzinie u domowego ogniska. Powracamy tam znużeni, ale czy znajdujemy wypoczynek? Bynajmniej, bo i o czymże będziemy mówili? O rzeczach obchodzących serce, o religji, o duszy, o Bogu? Nie. Spróbujcie rzec o tem słówko u swego stołu, w kółku rodzinnem: matka twoja potrząsa głową; żona ci przeczy; córka, milcząc, nie zgadza się z tobą. One są po jednej stronie, ty po drugiej”. Tak, w tem smutnem położeniu stawiacie się sami, wyrzekając się religji i nie spełniając obowiązków względem Boga. Wyłączacie się z rodziny.

W czasach, gdy ojcostwo nie było straciło jeszcze aureoli, wierzone, że mąż jest u ogniska domowego zarazem kapłanem, królem i prorokiem: kapłanem, ażeby łącznie ze swemi modłami i prośbami przedstawiał i ofiarował Bogu modły żony i dzieci; prorokiem, ażeby z nauk przeszłości, z obecnego biegu życia odgadywał tajemnice rzeczy przyszłych i odsłaniał je młodziej od siebie żonie i drobnym dzieciom; królem, ażeby wiódł je za sobą do wieczności. Oto, czem jest w wyrokach Bożych małżonek, ojciec. I to, że nim być przestał, jest niedolą rodzin naszych czasów, w których mężczyzna nie jest już kapłanem, ponieważ się nie modli; nie może być prorokiem, bo sam w nic nie wierząc, nie posiada klucza do zrozumienia wielu rzeczy; a nieuchronnem następstwem tego jest to, że sam pojmuje, iż nie może być królem: jakże bowiem mógłby wieść rodzinę, nie znając ani punktu wyjścia, ani celu podróży? I czemuż się dziwisz potem, że żona twoja zdumiona i zaniepokojona twą religijną nicością, czując, że w rzeczach duszy nie może ani cię pytać o radę, ani przedstawić ci do rozstrzygnięcia swych wątpliwości, w tem osamotnieniu sumienia, powiększającem ciężar jej macierzyństwa, wzmagającem szlachetną troskę o wieki przyszłości dzieci — szuka u stóp ołtarza kierunku, który w wielu rze-

czach w tobie znaleźćby powinna, ale tego dać jej nie możesz!

Szczerze też życzę, ażeby chrześcijańscy urzędnicy, prawnicy i posłowie starali się zwrócić ojcowi władzę, przynależną mu u wszystkich wolnych narodów. Jestem przekonany, że co do tego prawa nasze potrzebują poważnego przejrzenia. Ale jeszcze mocniej wierzę, iż nie przyda się to na nic, jeżeli ojciec nie odzyska prawa do szacunku, odzyskując wiarę. Zwróćcie mu wszystkie prawa, nawet prawo absolutnego przekazywania majątku: jeżeli się nie nawróci, jeśli wpierv nie uczci *władzy ojcowskiej w Niebie*, nie odzyska swej korony. I śmiem utrzymywać, że jeśliby odzyskał prawo zapisywania według swej woli, nie odzyskując wiary, byłby nietylko zdetronizowanym, ale i zohydzonym.

Nie zapominajmy, że bezbożni ojcowie wieku XVIII, nadużywając tego prawa, wywołali straszną reakcję przeciw powadze ojcowskiej, której głęboki ślad pozostał w naszym kodeksie, tak iż na początku tego wieku jeden z deputowanych wyrzec mógł oklaskiwany przez zgromadzenie narodowe: *Władza ojcowska już nie istnieje!*

V.

Ale kiedy ojciec wraz z utratą wiary odzierał się z władzy i uroku, nie będąc już i nie mogąc być, prócz chyba w rzeczach mniejszej wagi, głową i przewodnikiem żony i dzieci, w oczach małżonki zstępował on z piedestału i w inny jeszcze sposób. Dobrowolna bezdzietność małżeństw jest nietylko ruiną narodów, ale i głęboką raną ognisk domowych. Mężczyzna traci z jej powodu poszanowanie w miłości, powściągliwość, skromność, godność i urok. Rani swą towarzyszkę w najczulszą stronę. Upokarza ją. Poddaje ją poniżeniu, którego by nie zniosła bez rozkazu. Myśleć nie może o niem inaczej, jak z przestrawieniem i wstrętem. A tam, gdzie zaczęło się nadużycie, kończy się często miłość.

Nie są to zresztą jedyne skutki owego pogwałcenia zasadniczych praw małżeństwa. Podczas gdy ta rana poniża ostatecznie mężczyznę w oczach towarzyszki, poniża i ją, chociaż w inny sposób.

„Pod względem fizycznym lekarze myśliciele widzą tu dla kobiety źródło stanu chorobliwego, nie występującego

wcale w krajach, gdzie płodne małżeństwa otaczane są szacunkiem. Pod względem moralnym skutki bezdzietności są jeszcze opłakawsze. Kobieta, pozbawiona w najpiękniejszych latach swego istnienia funkcji, wyznaczonych jej przez naturę, jeżeli przytem nie jest zmuszona do ciężkiej pracy, skazana zostaje na bezczynność, której nie może znieść jej ruchliwa wyobraźnia; wynajduje więc sobie sztuczne i płache zatrudnienia poza obrębem domowego ogniska; oddaje się ponętom niedorzecznego zbytku¹⁾. Oto trzecia rana rodziny, żyjącej bez Boga. A nie mówię tu jeszcze o społecznych skutkach bezdzietności małżeństw, o wzrastającym wyludnieniu Francji i obniżeniu jej stanowiska wśród innych narodów. Na tę kwestję przyjdzie kolej później.

Zapewne więcej niż ktokolwiek współczuję smutnemu położeniu, które zgotowały głowom rodzin stosunki ekonomiczne tego wieku i prawne przepisy naszego kodeksu. Położenie to, nietylko smutne i bolesne, ale fałszywe i nieznane minionym wiekom, wytworzone zostało przez rewolucję bezbożną i opartą na urojeniach. Wypływają z niej trzy nasze nieszczęścia: osłabienie ojczyzny, złe życie wielu młodych małżeństw i zaniedbanie przez większą część ludzi obowiązków chrześcijańskich.

Mogą lekkomyślni lub fanatyczni moralisci nie brać w rachubę tego położenia; niemniej istnieje ono i w niem leży wielka kwestja religijna XIX wieku. Zwróciło to uwagę najpoważniejszych myślicieli. Żadna reforma moralna nie jest stanowczo możliwa, dopóki ta straszna kwestja rozstrzygnięta nie będzie.

Prawda, że religja wiele tu może, nie może wszelako wszystkiego. Nie można nakazać bohaterstwa dziesięciu milionom ludzi. To też Anglicy i Amerykanie, chociaż są głęboko wierzący, nie oglądali się na samą religję, ażeby rozwiązać to zadanie. Ojcowie nasi czynili tak samo. Stworzyli mnóstwo instytucji, któremi społeczeństwo przychodziło w pomoc religji. Podczas gdy ta nakazuje małżeństwom mieć dzieci, społeczeństwo powinno to im umożliwiać.

Prawa i instytucje te zniosła rewolucja bardziej jeszcze bezrozumna niż występna. Wprowadziła natomiast prawo spadkowe, będące przedmiotem zdumienia Anglii i Ameryki, „natchnione ślepą miłością swobody”²⁾, czy-

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, t. II: Rodzina, str. 322. —
²⁾ Edmond About, *Le Progrès*, 1864; str. 295.

niące wszystko dożywotniem³⁾), „zmuszające ogniska rodzinne do rozwiązywania się i zawiązywania się na nowo co lat dwadzieścia”⁴⁾), „w którym dzieci są dla ojca zawadą”⁵⁾), „w którym nie wiedzieć co zrobić z wdowami i starcami”⁶⁾), i które wydało wszystko zło, trapiące dziś rodzinę, a szczególnie bezdzietność małżeństw.

Rzecz dziwna i stwierdzająca to, co powiedziano wyżej, ta smutna rana, nieznana nawet w wieku XVIII, znana już była niegdyś ku końcowi cesarstwa rzymskiego; a była ona owocem niegodziwego systemu rządzenia i jeszcze niegodziwszego systemu podatkowego. Wróciła w naszych czasach jako skutek niedorzecznego prawa spadkowego. Można stąd wnosić z wszelką pewnością, że żadne usiłowania religji nie ulecą tej rany, dopóki prawo pozostanie w mocy.

Trzeba więc pomyśleć o tem na serjo. Bo wraz z dobrowolną bezdzietnością zjawiało się wiele innych złych następstw: u jednych zgubny zwyczaj małżeństwa dla pieniędzy i bezwstydne rachuby na bliską śmierć stryjów, ciotek, a czasem własnych rodziców, nazywane *nadziejami*; u innych wyrzeczenie się małżeństwa i wynikająca stąd coraz większa powaga, zażywana przez kobiety niezamężne; u wszystkich i wszędzie „zanik ducha rodzinnego, unicestwienie władzy ojcowskiej, periodyczne burzenie ognisk rodzinnych i zakładów przemysłowych, podpadających pod prawo podziału spadkowego; nieskończone rozdrabnianie się majątności i ruina jednostek”⁷⁾.

To też najznakomitsi ludzie zaczynają się niepokoić, bo straszna machina, ścierająca na proch wszystko, działać nie przestaje. Troplong, prawnik, były prezes senatu⁸⁾, Pinart, urzędnik, były minister spraw wewnętrznych⁹⁾, Le Play i inni szukają lekarstwa, i nie zaprzeczając potrzeby religji, owszem, przyznając jej znaczny udział, sądzą słusznie, że to lekarstwo ma się znaleźć w rozumnej reformie społecznej. Nie pragną ani powrotu prawa starszeństwa, ani dawnych przywilejów, bo to prowadzi do nadużycia jedynie: ale chcą przezornego rozszerzenia swobody w przekazywaniu majątności, usunięcia przymusowego podziału,

⁴⁾ Renan, *Questions contemporaines*, 1868. — ²⁾ Portalis, *Discussions du Code Napoléon dans le conseil d'Etat*, t. II, str. 126. —
³⁾ Renan. — ⁴⁾ Troplong, *Traité des donations*, t. I, str. 11. —
⁵⁾ Lanfrey, *Histoire de Napoléon I*, t. II, str. 128. — ⁶⁾ *Traité des donations*. — ⁷⁾ Mowa, wypowiedziana w r. 1865 po powrocie dworu cesarskiego z Douai.

znacznego zmodyfikowania praw spadkobierców i kosztów prawnych, słowem chcą reformy prawa, dotyczących własności i sposobów jej przekazywania. Zda nam się, że chrześcijańscy urzędnicy i prawnicy nie mogą się lepiej przysłużyć ojczyźnie, religii, rodzinom i duszom, jak zwracając właśnie w tym kierunku całe swe światło i całą gorliwość. Chodzi tu o przyszłość religii we Francji.

Ale żądając lepszego ustroju społeczeństwa, nie mamy chyba potrzeby oświadczać, że będzie on niewystarczającym; wszyscy ci znakomici ludzie już to wcześniej od nas czynili. W najlepszych nawet warunkach ekonomicznych i prawnych wychowanie licznej rodziny jest zawsze ciężkiem brzemieniem; tylko religia, tylko ułność w Bogu, poruczenie się Opatrzności, uznanie świętości ojcostwa mogą nakazać ludziom przyjęcie bez zastrzeżeń wszystkich skutków małżeństwa.

VI.

Ten to ogólnie anormalny stan, ta głucha dysharmonia pomiędzy małżonkami, te ciągle rozdźwięki sumień naprowadziły niektórych na myśl, że ponieważ mężczyźni nie mają już religii, lepiej byłoby dla harmonii dusz i spokoju domowego ogniska, aby i kobiety nie miały jej również. Dość wszakże jednego rzutu oka, aby dostrzec, że się tą drogą nie uda dość do celu, bo staje się tu nie wobec przesady społecznego, towarzyskiego lub wpojonego przez wychowanie, co nicby nie znaczyło, ale wobec wiekuistych praw natury ludzkiej. A z drugiej znowu strony oczywista jest rzeczą, że gdyby się i udało, doprowadziłoby tylko do ostatecznej ruiny.

Posłuchajmy Pisma Świętego, starej księgi Rodzaju, z której przemawia Bóg, a ludzkość uznaje ją i wciąż otacza. Ona nam powie, czym jest kobieta, na co została stworzona, i czy możebne jest, aby mogła żyć bez Boga i religii.

Gdy Bóg stworzył człowieka, powiada Pismo, spojrział nań, i przejęty współczuciem dla jego samotności, wymówił te słowa miłości pełne: „Niedobrze być człowiekowi samemu; uczynimy mu pomoc jemu podobną”, *Faciamus ei adjutorium simile sibi*.

Oto jest powołanie niewiasty. Stworzona została na pomocnicę mężczyzny. W czymże ma mu pomagać? Oto

w jego pracach i smutkach. Tak ciężko jest cierpieć samotnie! Ale i w jego radościach, w marzeniach o szczęściu. Nie używa się w całej pełni szczęścia, jeżeli się go używa samotnie. A ponieważ człowiek został stworzony nie dla ziemi; ponieważ Bóg dał mu niebiańskie nadzieje obok szczytnych porywów i pragnień; ponieważ ma przejść tylko przez ten smutny świat w drodze do nieba, kobieta dana mu została, ażeby go w tej drodze podtrzymywać, kierować i towarzyszyć. *Adjutorium simile sibi*.

Czuje się całą prawdę, powagę i piękno tego zapatrywania, kiedy się przypomina sobie wyrok, wydany nad kołębą człowieka: *Niech uprawia ziemię i panuje nad nią; niech rozkazuje zwierzętom ziemi, ptakom niebieskim i rybom w głębi wód*. Ale, mój Boże, a jeżeli człowiek zapomni o swym celu? jeżeli ta piękna ziemia, którą w pocie czoła uprawia i użyźnia, zasłoni przed jego wzrokiem niebo! jeżeli umysł jego zaćmi się i zmaterjalizuje pod wpływem życiowego trudu? Trzeba mu dać anioła wieczności, apostoła, ewangelistę, mistrza tkliwego, słodkiego a umiającego przekonywać, któryby w sercu, umyślnie na to stworzonym, zachował na zawsze zamięłowanie, potrzebę, żywe poczucie rzeczy boskich. *Adjutorium simile sibi*. „Gdy Bóg, umiłowawszy człowieka, najdoskonalsze ze swych stworzeń, postanowił dać mu dar pierwszy, dał mu w nieskończonej miłości niewiastę. Mężczyzna był panem raj, niewiasta jego aniołem”¹⁾.

Upadek, który sprawił tak wielki przewrót w całym porządku stworzenia, nie zmienił nic w tym planie. Choć kobieta zaraz na początku sprzeniewierzyła się swemu posłannictwu i tej słodkiej przewagi nad sercem męskim, otrzymanej od Boga, użyła na odwrócenie mężczyzny od Boga i wieczności — Bóg, karząc ją surowo, nie cofnął tego jej powołania. Pozostała i nadal *pomocą*, podporą mężczyzny. A kiedyżbo on więcej tego potrzebował? Oto ziemia staje się zimną, świat smętny; Bóg się ukrywa. A oto grzech, błąd, wszystkie nieszczęścia. Ach, niechże nie traci mężczyzna swej towarzyski, swojej podpory, jeszcze droższej w dniach smutku, jeszcze potrzebniejszej wśród ciemności! „Razem opuszczają wspaniałe siedlisko drżącym krokiem, z sercem ściśnionem, oczyma od łez przyćmionemi; razem przebyli wieki, postępując ręką w rękę, to stawiając opór burzom, to spotykając na morzu

¹⁾ Donoso Cortès, *Discours sur la Bible*.

życia łagodniejszy powiew losu. Dosiegając przeniewiercę różgą swej sprawiedliwości, zamykając przed nim bramy rozkosznego przybytku dlań zgotowanego, Bóg w swoim miłosierdziu chciał pozostawić winowajcy coś, coby mu przypominało szczęśliwą przeszłość: pozostawił mu kobietę, ażeby patrząc na nią, raj sobie przypominał¹⁾).

A ponieważ pierwsza wina okryła wstydem czoło kobiety, i mężczyzna, zbyt już jej nie ufając, nadużywał swej nad nią władzy, więził ją, usuwał na stronę lub uciemniał, tak że wobec takiego sponiewierania i nieufności nie mogła już spełniać wielkiego posłannictwa: Bóg, miłując ludzi, postanowił podnieść ją, naznaczyć jej czoło pięknoscią od utraconej większą, ażeby mogła odzyskać serce mężczyzny, poczuć swego wysokiego powołania, moc i środki do jego wypełnienia.

Jeżeli chcecie zdać sobie sprawę z tego wszystkiego, nie patrzcie na pierwotną Ewę, czystą, wdzieczną, stworzoną dla zachwycania serca człowieka i wznoszenia się z nim ku Bogu; ani nawet na Ewę, piękną także, upadłą, ale żałującą swego upadku, opłakującą go, pałającą chęcią zadosyćuczynienia i przodowania nadal w dobrem tak, jak przodowała w złem. Ażeby poznać matkę, małżonkę, córkę człowieczą, trzeba wznieść się wyżej, aż do tej niezrównanej Niewiasty, dziewczicy i matki zarazem — do Marji. Oto kobieta w całej podniosłej piękności swego powołania. Nosila w swoim łonie Boga; wydała na świat wiekuiste i nieskończone dobro. W Niej i przez Nią wszystkie kobiety wypełniły dane sobie posłannictwo podnoszenia, oczyszczania, pocieszania mężczyzny, odrywania go od ziemi i prowadzenia ku Niebu. Stąd to spływa od osiemnastu wieków na kobietę ten powszechny szacunek, ta czuła i wzniosła miłość, te pełne delikatności względy, które zdobią chrześcijańskie społeczeństwo; i stąd też bierze ona tę promienną czystość, tę aureolę skromności, tę poważną piękność, miłą swobodę, wielką cnotę i наконец to pragnienie zachwycenia serca mężczyzny, ażeby go podnieść ku niebu i towarzyszyć mu w tej drodze.

Piękne jest to rozrządzenie Boże! Iluż to mężczyzn utonęłoby w zabiegach doczesnych, zapomniawszy o wszystkim: o Bogu, o duszy, o swym przyszłym życiu, gdyby nie mieli koło siebie małżonki, córki, matki! Iluż to w ostat-

¹⁾ Donoso Cortès, *Discours sur la Bible*.

niej godzinie, przejrawszy jasno, powie Sędziemu swemu z wdziecznością: „Dobrze mi jest, że nie byłem sam!”

Oto subtelne, wysokie i błogie zadanie kobiety. Któż nie czuje, jakie zamieszanie w planie tak pięknym sprawiłaby niewiara, jakie uczyniłaby spustoszenie w takiej duszy? Jakto! miałyby ona zwarzyć ten kwiat, a swem palącym tchnieniem zatruć czystą atmosferę domowego ogniska! Miałyby poniżyć tego anioła!...

Ale kiedy niewiara wydrze Boga z jej duszy, kiedy nie będzie już miała ani modlitwy, ani wiekuistych nadziei, ani wiary w swe boskie posłannictwo, czyż będzie ta małżonka piękniejszą i czystsza, a ty szczęśliwszym? Czy ta dziewczyna będzie powabniejszą, ta matka więcej się poświęcającą i lepiej wychowującą swe dzieci?

Ale czyż nie czujecie, że skoro niewiara spustoszy serce kobiety, tobie, twoim dzieciom i całej rodzinie przyniesie poniżenie, zamęt, a kto wie, może i rozprzężenie i hańbę! Ślepi! sami wstrząsacie kolumnami gmachu: zginiecie też przygniczeni jego gruzami!

VII.

Tak jest, zginiecie pod jego gruzami! bo jeśli dary, udzielone kobiecie, są cudowne, jakże są one niebezpieczne! Mogą stanowić szczęście rodziny; ale nie odwracajcie ich od prawdziwego celu, szczególnie nie zwracajcie ich przeciw niej samej, bo ileż to wtedy przynieść jej mogą niepokoju, łez i hańby!

Spójrzmy na nie z tego punktu widzenia i poznamy ostatecznie opłakany stan rodziny bez Boga.

Jakiż to jest ten pierwszy dar, który Bóg uczynił niewieście?

Odpowiem poprostu: piękność. Ale uchwycimy dobrane prawdziwy charakter tej piękności. Została dana kobiecie, by jej ułatwić spełnienie jej boskiego posłannictwa, więc też ma boską cechę; wzrasta z cnotą, a znika z występkiem, jest nierozzerwanie związana z czystością.

Kobieta piękna i czysta jest tem piękniejsza, im jest skromniejsza, powściągliwsza i czystsza. Skromność jest nieodłączną częścią jej piękności, jej urokiem i tarczą. To też im kobieta jest skromniejsza, tem jest piękniejsza; i na odwrót, im piękniejszą się staje, tem mniej potrzebuje się kryć.

Dlatego też, skoro Chrystus na ziemi opromienił cnotę całym jej urokiem, kobieta stała się tysiąc razy piękniejsza, a jednocześnie rzecz godna uwagi, opadły mury, ją wiążące, i zazdrosne zasłony, skrywające ją przed ludzkim wzrokiem. Ukazała się wdzięczna, skromna, idealnie czysta, taka, jak ją wymalował Rafael, sto razy piękniejsza, niż ją wymarzył Fidjasz. Opadła nawet ta uświęcona zwyczajem zasłona, którą zalecał święty Paweł, i można było zastosować do młodej dziewczyny, do młodej kobiety, ukazującej się na naszych zebraniach, piękne słowa świętego Wincentego à Paulo: „Cnota będzie jej zasłoną”.

Ale jakżeż ta przedziwna piękność jest nietrwała. Nie w tem znaczeniu, żeby ulatywała za pierwszym podmuchem wiatru. Przeciwnie. Gdy dla mężczyzny wiek piękności przechodzi prędko, ustępując miejsca wiekowi siły — kobieta zatrzymuje się na nim, i czas wydaje się bezsilnym wobec jej wdzięku. Ale niech tylko dotknie ją występki, niech cień grzechu przemknie po jej rysach, już po wszystkim: twarz pozostaje młodą, rysy delikatnymi, ale nie szukaj już — piękności. Coś zwiędłego, a wkrótce odrażającego występuje na tej wykwintnej maseczce, wołając na mężczyznę: odejdz!

Bo i dlaczegóż widnieje ta piękność na czole kobiety, jeżeli nie dla zjednania jej serca mężczyzny? I pociąga to boskie połączenie piękności i cnoty, jeśli nie dla wzniesienia tego serca ku Bogu?

Duch Święty wyjaśnił ową tajemnicę słowami, pełnymi głębokiego znaczenia: „Będą piękne jako świątynie”. Dlaczego? Ażeby jak świątynie podnosić serca do Boga.

To jest dar pierwszy. Któż nie czuje, jak niebezpieczny on jest bez Boga i cnoty? Nim nadejdzie czas, w którym występki zożydzą piękność, jest chwila, gdy stanowi najniebezpieczniejszą jej ponętę.

„Wielu ludzi zginęło dla piękności niewieściej... bo rozmowa z nią jako ogień rozpala”¹⁾.

To, cośmy powiedzieli o piękności kobiety, trzeba rzec i o jej umyśle. Śliczny to statek, skrzydlaty i śmiały, ale potrzeba mu kotwicy. Inaczej uniosą go na rafy i mielizny tysiące wichrów, a szczególnie dwa: jego lekkość — i skoro raz zboczy z dobrej drogi — jego zuchwalstwo. Ale dajcie mu tę kotwicę, to jest moc, powagę, oparcie w zasadach pewnych i stałych, któreby nim kierowały; inaczej mó-

¹⁾ Ekl. 9, 9—11.

wić: dajcie mu Boga i religię, a nie znajdziecie nic wdzięczniejszego, delikatniejszego, subtelniejszego, przenikliwszego i bardziej intuicyjnego.

Porównywały czasem umysł męski i kobiecy; ale czyż można je ze sobą porównywać? Nie są one do siebie podobne w niczem. Rzekłbyś: dwa anioły z dwóch różnych chórów. Całkiem są odmienne i dlatego harmonizują ze sobą i wzajem się dopełniają. Mężczyzna rozważa rzecz każdą i myśl jego staje się światłem; kobieta ją odczuwa i myśl już staje się ciepłem, miłością. On ma dar uogólniania, odrywania pojęć; ona, przeciwnie, wszystko analizuje; przystosowuje i ożywia abstrakcje. Albowiem on myśli głową, a myśl jego schodzi do serca i tam się ogrzewa; ona myśli sercem, a myśl jej kochająca wstępuje do głowy i tam się rozświecila. To też ich sposoby obznajmiania drugich z prawdą tak są różne, jak odmienne drogi jankami dochodzą do jej poznania. Czego jeden naucza, druga wzbudza. Co jeden nakazuje, druga wyprasza. Jeden przekonywa, druga pociąga. Piękny zespół dwóch głosów połączonych w jedno. „Głos męski posiada dźwięki majorowe, głośniejsze; głos niewieści obejmuje tony minory, przytłumione, uroczyste; w ich braku słychaćby było tylko szorstkość i siłę pierwszego głosu”¹⁾.

Nie jedyne to zresztą różnice, które można zauważyć pomiędzy nimi. Dwa te, zarówno piękne umysły, poruszają się jakgdyby w różnych sferach. Co mnie uderza w moich studjach nad umysłem kobiecym, to jego względna niższość w rzeczach, które mężczyzna zna lub znać powinien; a wybitna i wysoka zdolność do tych, o których tamten zapomina albo może zapomnieć. Weźcie mężczyznę najszczodrzej obdarowanego, o duszy najdelikatniejszej. W ciągłej walce z potrzebami życia, pochłonięty prozą swego zawodu lub interesów, z konieczności coś musi zaniedbać: co? ideał, nieskończoność. Przygniata go teraźniejszość, uciska go rzeczywistość; i oto lot jego obniża się, a co gorsza, najdelikatniejsze władze nieużywane — zanikają. Kto mu je przywróci? Gdzie odnajdzie iskrę zapału, zawsze jednako żywe zamięłowanie rzeczy wiecznych? Gdzie? w umyśle kobiety. To właśnie, o czym mężczyzna tak prędko zapomina, kobieta najmocniej odczuwa i nie zapomina nigdy. Albo raczej: to jedynie odczuwa, ale odczuwa w sposób wyższy. Dołóżcie najwięk-

¹⁾ Gerbet, *De la mission des femmes*.

szych usiłowań, aby jakimś dziełu dać porządek, logikę, konsekwencję; uderzy to mężczyznę, kobieta nie spostrzeże tego nawet. Ale niech błysnie myśl wzniosła, czysta, tryskająca wprost z duszy, ogrzana ciepłem serca — kobieta chwytą ją wlot, pielęgnuje i w czyn wciela. Utrzymują dziś, że to jest wada kobiecego umysłu, jego niedobór. W każdym razie wada to prześliczna, i żałowałbym mocno, gdyby się kobieta z niej poprawiła. I szczęśliwy to niedobór, który nie uzbraja jej do walki z umysłem małżonka, ale owszem stawia ją w możliwości dopełniania go, a czasami i w niektórych rzeczach — poprawiania. Tam, gdzie wy widzicie wadę, ja witam harmonję, i przerażają mnie te nowoczesne próby naukowego kształcenia kobiet, te niedorzeczne zachcianki wdrażania ich umysłu do męskiej logiki, do jego wyrozumowanego poglądu na rzeczy i jego naukowych wywodów. Nie osiągniecie celu, a usiłując poprawić naturę, zepsujecie arcydzieło. Zamiast kobiet doskonałych, będziemy mieli chybionych mężczyzn.

O barbarzyńcy, chcący tak delikatny i skrzydlaty umysł obciążyć nauką ścisłą: algebrą, fizyką, ekonomją polityczną! Równa się to włożeniu ołowianej kuli w kielich kwiatu, stworzony do zbierania rosy niebieskiej.

Nie znaczy to, ażeby nie trzeba było kształcić umysłu kobiecego; kształcić go należy, ale nie obciążać, ani sprowadzać z drogi. Otwórzmy przed nim właściwe mu dziedziny: religję, literaturę, historję, sztukę, poezję, malarstwo, muzykę, bezgraniczne widnokreśli piękna, prawdy, dobra — niech wśród nich rozkwita. Ale matematyka, algebra, chemja, fizyka, prawo, agronomja, ekonomja polityczna! O, nie! Żadnej nauki, sam jej kwiat tylko, i to dotykany końcem palców!

Genjusz i zdrowy rozsądek Moljera maluje się jasno w tym pięknym wierszu:

I chcę, żeby kobieta miała o wszystkim pojęcie.

Tak, ale tylko *pojęcie*. I bądźcie ostrożni, aby nie przesadzić:

Prześlizgnijcie się, śmiertelnicy, nie stąpajcie mocno.

Bo jeżeli kobieta będzie uczoną, jakże zaradzić, aby tego nie znać było? A jeśli znać będzie choć trochę, trzeba się będzie pożegnać z jej urokiem i wpływem.

Zresztą przyznajcie, że usiłowania te są dla was środkiem, nie zaś celem. Daliście kobiecie do rąk książki dla-

tego jedynie, żeby zastąpić jej dzieci, których nie ma, i religję, którą jej chcecie wyrzucić. Kiedyście wygnali z jej duszy Boga, opustoszyli dom z kolebek, przeraziliście się jej próżnością i lekkomyślnością. Trzebaż było zastąpić czemś strzaskaną kotwicę religji. Spróbowaliście kotwicy nauki. Napróżno; żadna nauka nie zastąpi tego, coście jej z rąk wytrącili. Żadne książki nie zapełnią próżni, nawet wasze, szczególnie wasze. Co chcecie, aby począł umysł kobiety wśród waszego świata bez Boga, wobec ateistycznej nauki, wobec pochodzenia człowieka od małpy, skupień i rozprożeń cząsteczek materji według formułek matematycznych, wobec niepodzielnego panowania fizyki i chemji? Będzie się nim brzydziła. Odrzuci wasze księgi, gdzie nie znajdzie dla siebie pokarmu; rzuci wszyskie wasze nauki i wobec zamkniętego przed nią świata piękności idealnych rzuci się do drobiazgów. Płochosć napiętnuje ostatecznie jej życie. Poświęci odtąd swój rozum, poczucie piękna, przenikliwość, zdolność wymyślenia coraz nowych mód i codziennych dziwaczniejszych strojów, szukania lekarstwa na bezczynność w próżności lub intrygach miłosnych. A ponieważ mężczyzna, zstąpiwszy sam z wyżyn moralnych i sprowadziwszy z nich swą towarzyszkę, nie będzie już znajdował żadnej przyjemności w rozmowie z kobietą, a ona z nim tem mniej, w każdym zebraniu towarzyskiem utworzą się dwa oddzielne koła: w jednym z nich będzie mowa tylko o interesach, handlu, przemyśle, giełdzie, psach, koniach, polowaniu; w drugim tylko o gałgankach. A jak żadna doktryna nie rozejdzie się po Europie, zanim nie przejdzie przez serce Francji, gdzie się rozpłomienia, tak żadna myśl, powstała w umyśle mężczyzny, nie może się rozpowszechnić, póki nie przejdzie przez serce kobiety. To też nauczyciele ateizmu, materializmu i socjalizmu będą poszukiwali kobiet jako wspólniczek i apostołek. Znajdą je; bo oprócz skłonności do błahostek kobiety mają skłonność do przesady, a raz wykołajone, do zuchwalstwa. Znajdą je więc i to takie, które prześcigną ich samych. Rozlegną się po klubach przerażające okrzyki bezbożności; wydadzą je usta kobiece. Tłumy po bulwarach będą słuchały wykładów najbezwstydniejszego materializmu. Wygłaszać je będą kobiety. A gdy prawem logiki, rządzącej bądź co bądź światem, z tych doktryn obmierzłych zrodzą się katastrofy, będziemy na tych samych bulwarach spotykali zgraje okrwawione i rozczło-

chrane, straszniejsze stokroć od mężczyzn i zwierząt: zgraje kobiet!

Zarówno więc jak i piękność kobiety bez Boga, bez wiary, skromności, czystości staje się sidłem, zasadzką: jej umysł bez Boga staje się plagą.

Ale żeby dobrze ocenić wielkość darów, udzielonych kobiecie, ich zgodność z jej boskim posłannictwem, a także dziwny sposób, w jaki obracają się one przeciw niej samej, przeciw ludzkości i społeczeństwu, skoro się temu posłannictwu sprzeniewierzy; żeby to wszystko dobrze ocenić niedosyć jest zastanawiać się nad umysłem kobiety ani nad jej pięknnością. Żeby mieć zupełne o tym przedmiocie pojęcie, należy zbadać jej serce. Trzeci to dar i trzecia siła, jaką ma od Boga. Nie, żeby mężczyzna był go pozbawionym: ale u niego jest on tylko połową jego istoty, u kobiety całą. Przytoczę tu słowa pewnego chrześcijańskiego myśliciela: „Kobieta, we wszystkim od mężczyzny płytsza, głębsza jest w miłości”¹⁾. Znamy wszyscy to wzruszające określenie, wyrzeczone przez kobietę: „Miłość jest tylko epizodem w życiu mężczyzny; dla kobiety to całe jej życie”²⁾.

W istocie Bóg nie stworzył nic piękniejszego nad serce kobiety. Jest to dzieło doskonałe. Męskie serce to jego cień tylko. Czułość, słodycz, poświęcenie bez granic, delikatność i czystość, jasnowidzenie, światło, cierpliwa wierność i uparta odwaga — któregoż z tych darów nie posiada serce kobiece? ale trzeba, żeby Bóg był w niem obecny. To ogród, kwitnący w promieniach tego słońca jedynie.

Co mówię? nawet gdy Bóg jest obecny w sercu kobiety, gdy je uszlachetnia i napełnia cnotami, serce to jest jeszcze niespokojne i nienasycone. A wy chcecie wygnać z niego Boga! To biedne, opustoszone serce obróci się wtedy przeciw wam samym.

Powiadają, że natura nie znosi próżni. Tem bardziej serce, a szczególnie serce niewieście.

To też Bóg nie stworzył go próżnem i owszem zapełnił obficie: miłością córki dla rodziców, małżonki dla męża, matki dla dzieci, siostry dla braci, a ponad temi uczuciami jednoczącą je wszystkie miłością chrześcijanki do Boga. Za każdą przemianą w życiu kobiety nowe rozkwita uczucie, niby kwiat nowy. I rzecz podziwu godna: im większa jest miłość, tem większe, tem straszniejsze obowiązki idą

z nią w parze; a z przyrostem szczęścia w sercu życiu jej przybywa cnoty, poświęcenia i ofiary. Tak że gdy serce mieści w sobie wszystkie te uczucia, obowiązki i troski — jest ono wówczas jak okręt obciążony balastem. Może przejść przez życie bez obawy rozbicia.

Ale odbierzcie to wszystko, odejmijcie kotwicę sercu, jakości ją już odjęli umysłowi, uczynicie pustkę, a ujrzycie, co z tego wyniknie.

Opuszcza więc to opuszczone serce dom; bo cóż ma robić u ogniska, gdzie małżonek jest zawsze nieobecny i gdzie niema kolebek? Idzie w świat, ażeby się rozerwać, zabawić, a czasem w tajemnicy, nie śmiąc często przyznać się przed samem sobą, poszukać tych sideł, o których mówi św. Augustyn: „że tak miło dać się w nie złapać”.

A cóż spotyka? Serca również puste. O, bo tyle ich jest na tym świecie!

I gdybyż spotykało tylko takie! choć i te powiększałyby i jątrzyły jego ranę, ukazując mu swoje własne. Ale znajduje tam także, na swoją zgubę, owe tak dobrze nazwane eleganckie drapieżne zwierzęta; owe istoty znudzone i sceptyczne, które spostrzegłszy kwiat, krążą przez chwilę koło niego, zadają mu cios, pod którym pochyla się on na swej łądździe i więdną na zawsze; a po tym krótkim dramacie budząc się nazajutrz przy blasku słońca i śpiewie ptaków, wstają zadowolone i zapominają o wszystkim.

A cóż ma to biedne, opustoszałe serce na obronę od takich niebezpieczeństw?

Niestety! Bóg, który zna słabość kobiety, i społeczeństwo, które jest jej także świadome, dali jej oddawien dawna trzy tarcze: religję, skromność i prawo.

Religji wszakże już nie chcecie!

Co się stało ze skromnością po wygnaniu religji, wiedzą wszyscy. Bezczytność umysłu, próżność, pustka serca, moda obróciły ją wniwecz.

Co do prawa, dziwneby było, ażeby zdeptawszy ojcostwo, ustanowiwszy rozwód, zachowało swą surowość względem uwodziciela.

We wszystkich wolnych i szczęśliwych krajach: w Anglii, w Ameryce uwiedzenie jest zbrodnią. Honor kobiety, dziewicy jest pod ochroną prawa i pod opieką wszystkich uczciwych ludzi. To też nie myśli nikt o zniesławieniu dziewicy, tylko się z nią żeni. Czynią z niej małżonkę zamiast robić z niej ofiarę; ponieważ jedno jej słowo wy-

¹⁾ De Bonald. — ²⁾ Pani de Staël.

starcza, ażeby ściągnąć na głowę uwodziciela nieubłaganą karę.

Tak było i we Francji aż do roku 1791, kiedy to wyrok, pełen tej niedorzecznej i występnej czułościowości, cechującej nieudolnych uczniów Roussa, uwolnił mężczyznę od odpowiedzialności za uwiedzenie.

Cóż ujrano wówczas? Widok nieznany w całej Europie, tak iż mówi ona, że Francuzi utracili poczucie moralności. Nigdzie już honor kobiety i dziewicy nie był od napaści bezpieczny. Żeby zachować czystość naszych dziewczeczek, trzeba je zamykać w domu jak w klasztorze, nie pozwalając im stąpić nigdzie krokiem bez matek. Tak dochodzą wieku lat szesnastu, osiemnastu, niewinne jak dzieci, ale nieświadome, naiwne, nie wiedzące nic o życiu, niezdolne wybrać sobie męża; i dlatego to ich zamęczenie jest tak często bolesnym przełomem, napętlającym je zdziwieniem i przestachem, wywierającym zgubny wpływ na ich życie. Potem ujęte w więzy małżeństwa jak w sidła, zastawione ich prostocie i niedoświadczeniu, bywają nagle rzucone w towarzystwo, w którym rozluźnione obyczaje, niepowściągliwe rozmowy, liczne skandale, opinia publiczna bezsilna i pobłażliwa, ojcowska władza słaba a męzowska nie uznawana, narażają je na największe niebezpieczeństwa. A ponieważ i niezdrowa literatura okrywa chwałą uwodzicieli, ośmieszając zwodzonych mężów, nie pozostaje im w braku religii żaden ratunek.

Co do dziewicy ubogiej, mniej ochranianej przez zbyt często nieobecna matkę, ta, jeżeli odrzuci Boga, jest prawie z konieczności ofiarą skazaną na utratę czci. „A ponieważ opinia publiczna — robi bardzo słuszną uwagę Le Play — nie wypełnia pod tym względem zadania, które ma u narodów wolnych, i nie posiada dostatecznej wrażliwości ani energii, żeby zabezpieczyć biedne dziewczęta od pewnych moralnych tortur z najwstrętniejszą cechą, a mianowicie od uwodzicielstwa dyrektorów fabryk i innych przełożonych — zło w niektórych miastach przemysłowych doszło do tego stopnia, że ludzie, wiedząc, jaki wstyd robią cywilizacji takie obyczaje, i mając wolę przeciwdziałania, im, nie wiedząc, jak wziąć się do tego bez narażenia się na śmieszność¹⁾).

Straszne to zaiste rany, a jednakże nie dotarliśmy jeszcze do głębi otchłani. Kobieta, pozbawiona Boga i uwie-

dziona, staje się sama uwodzicielką. Potrzeba jej miłości wielkich i szlachetnych; odbierzcie je, a poszuka występnych. Jeżeli nie będzie czyniła dobra, będzie szerzyła zło. A skoro jej rozum, wdzięk, dar przekonywania, piękność, wytrwałość i serce wstąpią w służbę zła, dzieje się coś strasznego! Odkrywano czasem przede mną rzeczy, które przejmowały mnie zgrozą, i rozumiałem te słowa: „Zepsucie najlepszego — najgorsze”. O, nie psujcie się, rzeczy najlepsze, będziecie bowiem najgorszymi!

Tak! kobieta dlatego właśnie, że Bóg stworzył ją ręką delikatniejszą i czulszą a dla wysokiego celu, upada niżej od mężczyzny; dalej niż on posuwa próżność, egoizm, zamięłowanie świata, zapomnienie o Bogu, nienawiść dobra. Otwórzcie Pismo. Jakie tam pochwały dla kobiety, skoro jej serce należy do Boga! „To perła, do której podobnej niema na krańcach ziemi.” Ale jakie oburzenie, skoro się sprzeniewierzy powołaniu!

Pewien dyplomata mówił: „Na dzień każdego wydarzenia jest ręka kobiety.” Niestety, patrząc na wszystkie nieszczęścia, na wszystko, co zakrważyło świat i co go skaziło, powiem: Na dzień każdego upadku jest kobieta. *Initium et finis mulier.*

Pierwsza katastrofa rodzaju ludzkiego zaczyna się wkrótce po stworzeniu świata i kończy wygnaniem z raju ziemskiego. *Initium et finis mulier.*

Druga katastrofa zaczyna się wygnaniem z raju i kończy potopem. Cóż sprowadza tę straszną karę? Biblia powiada: córki ludzkie, uwodzające synów bożych. *Initium et finis mulier.*

Jeszcze świat nie oseczł z wód potopu, a co widzimy wszędzie? Kto zakłóca wiarę, pobożność, pokój u ogniska Abrahama? — Agar. Kto kusi i stara się zgubić Józefa? — Putyfarowa żona. Kto poniża i hańbi Samsona? — Dalila. Kto jest powodem, że Dawid zadaje kłam samemu sobie? Betsabea. Kto odziera ze czci Salomona? — Obce niewiasty. Kto czyni z Achaba bezbożnika, krzywoprzysięcę i mordercę? — Jezabel. Kto popycha Heroda do ścięcia św. Jana Chrzciciela? — Herodjada. A cóż gdybyśmy sięgnęli w nowsze czasy?... Tak bardzo kobieta potrzebuje Boga! Tak bardzo serce jej kochające, ale namiętne, tkliwe, ale zazdrosne, delikatne, wrażliwe, czułe, ale porywcze, silne, ale zarazem słabe, wielkie, ale i małe, dobre, ale i złe — potrzebuje ujarzmienia i przemiany rzeczywistą obecnością Boga, ażeby jej życie, rozum, ogień

¹⁾ *Réforme sociale*, t. I, str. 283.

i miłość, zwrócone na prawdziwą drogę ku istotnemu celowi, to jest ku podnoszeniu człowieka do Boga, dawały ziemi szczęście, a niebu cnoty.

Dla uchronienia kobiety od was i od niej samej od tych zimnych prądów obojętności w rzeczach religii, tak dla niej zgubnych, Bóg, ze względu na jej wysokie i delikatne posłannictwo, uczynił jej jeszcze jeden dar, większy nad wszystkie inne. Ale jak go nazwać? A jeżeli nie potrafię nazwać, jak zdołam go odmalować? Powiem po prostu z Tacytem, ze starymi Germanami, że jest w kobiecie coś boskiego: *Inesse in eis quid divinum*. Ale co? tego nie wiem. Czy to, że ponieważ jest słabszą od mężczyzny, należało, żeby była bliżej Boga, żeby tkwiła głębiej od niego w Bogu? Czy też to, że ponieważ jest powołana do spraw bardziej boskich, jako dziewica, małżonka, matka, a jest niezdolna sama przez się do wypełnienia tak wielkich zadań, trzeba było, ażeby przyrosła niejako do Boga i nie mogła się od Niego oderwać? A może potrzebne to było z powodu jej większych boleści? W każdym razie w najtajniejszej głębi duszy kobiety jest czulszy, delikatniejszy i wyraźniejszy zarazem odcisk ręki Bożej, który pozostaje, gdy wszystko jest zburzone, i którego nic nie może usunąć ani zatrzeć.

Dlatego to wszędzie, pod każdym niebem, we wszystkich religiach kobieta szuka Boga. A raczej nie szuka, ale czuje Go, cała jej istota Go przeczuwa. Kiedy mija to wielkie światło, dziewictwo, przychodzi macierzyństwo. Jako matka ma jeszcze silniejsze przeczucie Boga, aniżeli jako dziewica. Światłem jest dla niej dziecię u łona, mąż u boku; światłem jej młoda córka, piękna i czysta, syn dorosły, narażony na niebezpieczeństwo. Nigdy nie jest ciemno w sercu, gdzie świeci gwiazd tyle. Ma ona wszystkie światła, bo ma wszystkie miłości. Trzebaby jej wydrzeć serce, żeby nie przeczuwała Boga, duszy, dobra, piękna, prawdy, wszystkiego, co szlachetne, co boskie. Wiecie, czego potrzeba, ażeby ją rzucić w objęcia ateizmu? Trzeba, żeby nie była ani dziewicą, ani żoną, ani matką.

Oto jest owo *quid divinum*. O tę skałę roztrąca się zawsze wszystkie usiłowania ludzi, chcących ją pozbawić religii. *Huc usque venies, et non procedes amplius*¹⁾. Jakąż pociechą i nadzieją napęłnia się serce, kiedy wzrok, prześlizgnąwszy się ze smutkiem po tej powodzi niewiary,

¹⁾ Aż póty przyjdiesz, a dalej nie postąpisz, Job 38, 11.

gdzie w niepokoju i rozpacz miota się i ginie tylu młodzińców, tylu mężów, tak we wszystkim innym poważnych i rozumnych, a tak ślepych i występnych tutaj, zatrzyma się na tym jedynym punkcie świata, na tych sercach, gdzie niewiara nie ma przystępu, chyba tylko jako gość chwilowy; na tych duszach czułych i silnych, śmiałych i czystych, przechowujących wierzenia, które świat odtrącił, i cnoty niezbędne, ażeby mu je zwrócić! Tak jest! ojciec nie wytrwał, kapłan bywa bezsilny. Ale żeby zwyciężyć zło, żeby zatrzymać w biegu prąd niewiary, pozostaje nam, dzięki Bogu, kobieta chrześcijanka, córka, żona, matka. A raczej wam ona pozostaje, o mężowie niekonsekwentni, którzy sądzą, że można wygnać Boga z duszy ludzkiej i ze społeczeństwa, a zachować pokój, godność i szczęście! Pozostaje, ażeby was pocieszyć. Bo jakie są skutki niewiary? dokąd nas ona prowadzi? do jakich nieszczęść prywatnych? — to wam już powiedziałem. Do jakich klęsk publicznych? Pora już to zobaczyć; ażebyście w sercach waszych córek, żon i matek uszanowali wiarę, która jedynie może was podtrzymać, pocieszyć i ocalić w dniach smutku i niebezpieczeństwa.

Trzeba tylko, żeby kobieta, chcąc spełnić to wielkie posłannictwo, nie zapomniała nigdy o swoim boskim wzorze i zawsze była w oczach mężczyzny taką, jaką malują Najświętszą Pannę w jej promiennej czystości: z wieńcem gwiazd na czole, otoczoną aniołami, krajem szaty zaledwie dotykającą ziemi i depczącą stopą węża.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Spółeczeństwo bez Boga.

Rozumiecie to dobrze, że dla pełności bolesnego obrazu niewiary niedosyć wykazać spustoszenia, jakie czyni w duszy ludzkiej i rodzinie. Ze sfery jednostek i rodzin przedostaje się ona, musi się z konieczności przedostać do społeczeństwa, i wyradza tam największe rozprężenie. Największe naprzód dlatego, że nigdzie może Bóg nie jest potrzebniejszy; Bóg budowniczy społeczeństw, a zarazem klucz ich sklepień i cement je spajający. Powtóre, ponieważ niewiara, świadoma tego, nie szczędziła też ciosów. Niedosyć, że na podstawie filozofii zaprzeczyła boskiemu pochodzeniu społeczeństwa, postawiwszy natomiast jakąś umowę, która nigdy nie istniała i istnieć nie mogła. Niedosyć jeszcze, że wygnała w praktyce Boga ze stosunków społecznych i politycznych; że usunęła Jego imię z naszych kodeksów, które są jedynym w tym rodzaju okazem, gdzie człowiek występuje i rozkazuje człowiekowi w swoim własnym imieniu; że ogłosiła, iż prawo jest bezwyznaniowe i takie być powinno, co przestraszyłoby pogan, a nawet dzikich — niewiara posunęła się jeszcze dalej.

Zapra gnęła wygnać Boga z narodowych wierzeń i obyczajów, jednym słowem z duszy publicznego życia kraju. A następnie, nie zatrzymując się przed niczem, odłączywszy bogactwo od moralności, jak już odłączyła moralność od religii, dąży przez zaciemnienie i zajątrzenie kwestji ekonomji publicznej, kapitału, płacy, stosunków pracodawców i robotników, bogatych i ubogich do całkowitego rozprężenia społeczeństwa. Gdyby jej pozwolono, wyjąłowiłaby ziemię ojczyzny.

A tak wielkie już jest zaćmienie umysłów, że ludzie rozumni, nieposzlakowanej uczciwości, którzy wierzą w Boga i wstydziliby się zaprzeczać Jego istnieniu, dokładają

wszelkich starań, aby usunąć Jego działanie poza obręb społeczeństwa. Otwierają przed Nim naościę podwoje sumienia jednostek, ale zaledwie uchylają podwoje życia rodzinnego, a zamykają szczerlnie wszystkie wejścia do życia publicznego. To jest ograniczają działanie Boga, im jest potrzebniejsze.

Naszym obecnym celem nie jest zastanawianie się nad obowiązkami rządów względem religji ani nad tem, jakie powinny być stosunki Kościoła z państwem. Później, mówiąc o Kościele, napotkamy owe drażliwe i skomplikowane kwestje. Ta, do której mamy teraz przystąpić, jest obszerniejsza i głębsza zarazem. Dotyka najgłębszych podstaw, jakby wnętrzości społeczeństwa. Chcielibyśmy dowieść nawet ludziom, posuwającym zasadę swobody wyznań do najdalszych granic, nawet tym, którzy żądają zupełnego odłączenia Kościoła od Państwa, że wszystko to nie jest jeszcze tem, do czego dąży niewiara. Ona poprostu chce wygnać Boga ze społeczeństwa i utworzyć społeczność bez Boga. Jest to rzecz niemożliwa i potworna, której żaden wiek nigdy nie widział, a słońce nie będzie oświecało bezkarnie, bo po najmniejszych w tym celu pokuszeniach następował zawsze stan chorobliwy, konwulsje, śmiertelne dreszcze, pewne zwiastuny upadku. A nakoniec, tak samo jak po głębokich i głuchych grzmotach możemy sądzić o ilości elektryczności zawartej w chmurze, tak samo po zamieszanu w społeczeństwie poznajemy, o ile ono usunęło Boga z ustaw i życia publicznego.

To też nie będziemy się długo zatrzymywali na rzeczach zbyt oczywistych. Żądają dziś faktów, damy je. Położymy rękę na sercu nowożytnego społeczeństwa i dowiedzimy, że jest ciężko chore. Zostało ono zatrute niewiarą i umiera; stygną jego kończyny, to samo czeka wkrótce serce. Niema chwili do stracenia, jeżeli chcemy je uratować.

Incedo per ignes. Dotknę żywej, palącej kwestji tegoczesnej. Ta rana tak jest zaogniona, iż nie można jej dotknąć nawet ze współczuciem bez wywołania okrzyku bólu. To wiem. Jakiż jednak lekarz dałby się tem powstrzymać? Poco mówić, jeżeli nie mamy powiedzieć całej prawdy? A czegoż można więcej wymagać nad to, żeby była wypowiedziana z szacunkiem, szczerze, delikatnie i z miłością, tak jak starałem się mówić ją zawsze i nadal starać się będę?

Badając w tej kwestji dawnych filozofów, czy dlatego że umysł ich mniej niż nasz rozstrzelony, bardziej skupiony, był głębszy, czy że ludy, którym się przypatrywali, były więcej chore — widzimy ich wszystkich w podziw i jakby w zdumieniu nad tym niepojętym cudem, jakim jest życie narodu. Kto zdziałać jest mocen, ażeby naród istniał, utrzymywał się całe wieki wśród tylu powodów do upadku? W jaki sposób tysiączne koła tego olbrzymiego mechanizmu nie zużyją się wkońcu i nie zatlą? Oto trzy, dziesięć, trzydzieści milionów ludzi, czyli tyleż woli odrębnych od siebie, przeciwnych, wrogich sobie; w jaki sposób zlewa się to powoli w jedno? Jedność społeczna nie może istnieć bez poświęceń. Jak je otrzymać? Jak otrzymywać od wszystkich i zawsze, w okolicznościach tak nieraz ciężkich, „bo wspólność interesów jednostek tak jest mała — powiada Rousseau — że nie wyrównywa ich sprzeczności¹⁾”. A weźcie też w rachubę namiętności ludzkie. Jak ci, którzy nic nie posiadają, stokroć liczniejsi od posiadających, nie złupią tych ostatnich? Ci zaś znowu, dlaczego ze strachu i pychy nie zdepczą tamtych, nie okują ich w kajdany, jak dzikie zwierzęta, które budzą obawę?

W społeczeństwie są nietylko wielcy i maluczcy, bogaci i ubodzy, jest także władza i poddani, prawo rozkazywania i obowiązek posłuszeństwa. Obok kwestji społecznej jest też kwestja polityczna. Któż nie poczuje tu nowego niebezpieczeństwa, prawdopodobniejszego jeszcze i straszniejszego rozdwojenia? Oto władza; jedną ręką opiera się ona na prawie, drugą na sile: kto ją uchroni przed najstraszniejszą z pokus, przed szaleństwem pozwalania sobie na wszystko? Ale naprzeciw tej pychy u steru oto druga, niemniej groźna: lud, który sprzykrzywszy sobie posłuszeństwo, pracę i cierpienie, patrzy ku górze i naprzód z zazdrości, a potem grozi. Jak zapobiec, żeby się te dwa lwy nie pożarły? Kto natchnie serce zwierzchników pokorą, umiarkowaniem i poświęceniem, a podwładnych posłuszeństwem i poszanowaniem prawa? Kto ocali wolność, dzielność i honor? Kto? Filozofowie starożytni zatrzymują się wszyscy, jak już rzekłem, przejęci podziwem i grozą przed straszną doniosłością tego zagadnienia. Nie widzą tu żadnego innego wyjścia, tylko wszechmoc Boga. W ich przekonaniu potrzeba rozkazu Najwyż-

¹⁾ *Emile* t. III, str. 199.

szego Władcy, aby naród powstał. Żadne państwo nie istnieje, nie utrzymuje się bez rzeczywistej obecności Boga. „Prawdą to jest istotną — powiada prześlicznie Platon — że jeżeli Bóg nie przyczynił się do założenia grodu, jeżeli miał on tylko ludzki początek, nie uniknie największych nieszczęść. Starajmy się więc wszelkimi możliwymi sposobami naśladować pierwotne urządzenie; ufając temu, co w człowieku jest nieśmiertelne, winniśmy zakładać tak domy, jak państwa, dając im jako prawo wolę Najwyższego Rozumu. Bo jeżeli państwo jest zbudowane na występku i rządzone przez ludzi, depreczających sprawiedliwość, niema dlań ocalenia¹⁾”.

A zarówno, jak w ich pojęciu potrzebny jest rozkaz Bóstwa, aby państwo powstało, tak skoro się ono zachwieje w posadach, niezbędne jest powtórzenie tego rozkazu, aby państwo mogło istnieć dalej. „Łatwo jest ostatniemu z ludzi zachwiać państwem, ale na nowo je umocnić to dzieło trudne i nierychłe, chyba że bóstwo stanie na czele rządzących i obejmie ster²⁾”.

Przejęte tą wzniosłą zasadą najślawniejsze narody w starożytności, a szczególnie najpoważniejsze i najmądrzejsze, ażeby żyć długo, usiłowały przepoić ustawy religijnością. Im więcej religji mogły włożyć w prawa, ustawy, rządy i obyczaje, tem dłużej trwać miały nadzieję. „A jak najpobożniejsze miasta i narody — powiada Ksenofont — były zawsze najtrwalsze i najmądrzejsze, tak najpobożniejsze wieki były zawsze najgenialniejsze³⁾”.

Rzym nie inne miał pojęcie w tym ważnym przedmiocie. Sam sposób zakładania miast wedle obrządku etruskiego świadczy wymownie o ówczesnem przekonaniu, że porządek społeczny ma za podstawę porządek religijny. Trzeba było uroczyście oznaczyć miejsce na nowe miasto, po długich modłach i solennych ofiarach. Gdzie indziej znowu ci, którzy odjeżdżali dla założenia kolonji, brali ze sobą w drogę ogień święty z głównego ołtarza zegnanej przez się ojczyzny, aby go zawieźć na miejsce przyszłego zamieszkania.

Oto genjusz starożytności w swem religijnem pięknie, albo raczej rozum ludzki w całej pełni. W istocie społeczeństwo zasadniczo i koniecznie wspierać się musi na Bogu. W Nim to i tylko w Nim znajduje ideę władzy, spra-

¹⁾ *De Leg.* — ²⁾ *IV Pythiq.* — ³⁾ *Xenoph., Mem. Socr. I, IV, 16.*

wiedliwości i prawa; ideę swobody i odpowiedzialności człowieka; ideę wartości i nienaruszalności duszy, ideę posłuszeństwa, obowiązku, ofiary i cnoty. Poza Nim niema ani sprawiedliwości, ani patriotyzmu. Odejmijcie Boga, a społeczeństwo będzie już tylko kupą kamieni bez cementu, szalonym posągim, odrzucającym swą podstawę. Nie spodziewajcie się, aby cud powstrzymał go od zawalenia.

A nietylko bez Boga i religii prawa nie mają zasady, obowiązki znaczenia, ofiary racji i bytu, ale i namiętności nie mają hamulca. Pięknym jest gmachem naród; ale jakże jest kruchy, jeżeli Bóg nie trzyma na wodzy jego namiętności! Dwa cuda podziwiam na ziemi: jeden — to wyspa wśród oceanu; fale pędzą ku niej, cofają się, podnoszą, ryczą, a zawsze się zatrzymują w porę, by jej nie pochłonać. Drugi cud — to państwo wśród namiętności ludzkich: namiętności bogaczy i ubogich, poddanych i królów; pycha, zazdrość, ambicja, zbytek, chciwość i fale złe, mętne, które pędzą, wznoszą się, pienią; a naraz cichną i ustępują. Dlaczego? Bo jest Bóg, zamieszkały w sercach ludzkich, który niebieską nadzieją uciska ich namiętności i koi bóle, a buntom duszy człowieka przeciwstawia ziarno piasku, o które się roztrącają. *Huc usque venies, et non procedes amplius.*

Powiedziałem: koi bóle, bo nie widziano jeszcze społeczeństwa, któreby u podstawy i szczytu nie wymagało poświęcenia. Poświęca się rolnik, o świcie wyruszający użyźniać swoim znojem ziemię: inaczej nie byłoby chleba ani wina; nie byłoby życia fizycznego. Poświęca się górnik, zstępując do sztolni dla wydarcia skarbów ziemi: inaczej nie byłoby węgla ani kruszców — żelaza ni złota; nie byłoby życia przemysłowego. Poświęcają się urzędnicy poczty, telegrafu, kolei żelaznej, czuwając i podróżując, podczas gdy my spoczywamy; bez tego nie byłoby stosunków międzyludzkich. Poświęcają się sędzia, prawnik, urzędnik, badając nasze zatargi i spory, wyjaśniając je i rozstrzygając, dając nam światło, pomoc, bezpieczeństwo i opiekę. Poświęca się żołnierz, walcząc za nas i umierając. Poświęca się kapłan, wyrzekłszy się rodziny, mienia, ażebyśmy pośród tylu trudów, przeciwności, trosk, walk zaciętych z naturą i walk konkurencyjnych nie zapominali o niebie, prawdziwej naszej ojczyźnie, o Bogu, prawdziwym naszym celu. Oto jest społeczeństwo. Ze wzruszeniem rozważam jego wspaniałość i harmonijną piękność. Sokiem, ożywiającym to olbrzymie drzewo, jest poświęcenie; krwią,

poruszającą to szlachetne serce, jest krew ofiarna. I dlatego to potrzeba mu Boga, który jeden może natchnąć duchem ofiary, bo On jeden tylko może być jej nagrodą.

To też im istotniej przemieszkują Bóg w łonie jakiegoś społeczeństwa, im silniej opierają się na Nim jego prawa, ustawy, rząd, obyczaje publiczne i prywatne, tem gruntowniejszy jest tam pokój i porządek, tem wyżej wznosi się cywilizacja. Nie dlatego, żeby wówczas nie było już niedoli: społeczeństwo będzie zawsze niedoskonałe, ponieważ z niedoskonałych składa się istot; ale niema obawy, ażeby ta niedola przeszła w stan ostry, ani żeby niepowodzenia jednostek sprowadziły klęski społeczne. Religja, jak starożytny Orfeusz, obłaskawia złe popędy, te tygrysy duszy ludzkiej; jak legendowy Amfion usuwa kamienie, zastępuje je nowymi, przerabia fundamenta i w razie potrzeby odbudowywa gród czyli społeczeństwo. Wielkość wyników można porównać tylko z prostotą środków. Bez sporów i bez przymusu jasnym i potężnym słowem trafia do wszystkich dusz: do rozkazujących i do podległych im; do posiadających i do wyzutyk ze wszystkiego; do cierpiących dziś i mających cierpieć jutro. Na jej głos namiętność milknie przed obowiązkiem, wyższość duchowa zastępuje siłę materialną, i wolność może się ukazać. Miłość i poszanowanie, jak dwa anioły opiekuńcze, wchodzą i schodzą po drabinie społecznej i zbliżają ku sobie jej krańce. Ubogi nie zazdrości już bogatemu, który skłania się do niego czule. Lud nietylko jest posłuszny władzy, ale kocha ją, a miłość ta powraca ku niemu w postaci dobrodziejstw. Spokojny wewnątrz, swobodny i dumny na zewnątrz, doznający tylu tylko nędz społecznych, ile to jest nieuniknione przy słabości ludzkiej, znoszący je mężnie, podtrzymywany nadzieją, postępuje tem szybszym krokiem ku szczęściu, im bardziej zbliża się do doskonałości.

II.

Oto jest prawdziwy, naturalny, normalny stan społeczeństw. Religja jest ich podstawą, koniecznym kamieniem węgielnym. Poszukajcie innego, nie już równego, ale któryby mógł go zastąpić — nie znajdziecie.

Bo zauważcie, że zawsze były i mogą być tylko dwie filozofje społeczne:

Filozofja społeczna rozkoszy i filozofja społeczna ofiary.

Filozofja socjalna używania materialnego, które powinno być jak najspieszniej rozpowszechnione i rozdzielone pomiędzy wszystkich; i filozofja socjalna cnoty, cierpliwości, pobożnego poddania się porządkowi, ustanowionemu przez Boga, nim nadejdzie niechybny dzień nagrody.

Pomiędzy temi dwiema filozofjami nie może być środka, a dla zapewnienia panowania drugiej z nich, jedynie prawdziwej — pierwsza bowiem bogatych psuje, a ubogich jątrzy — nie było i nie będzie nigdy innego jak religja sposobu.

Jeżeli bowiem, pojmując, że podwalinami społeczeństwa są: ofiara i cnota, zamiast rodzącej je religji postawicie pobudki niższe: interes własny, obowiązek względem ludzi, uczucie honoru, które są także podniętą do cnot i ofiar, ale w stopniu nieskończenie niższym — wasze społeczeństwo umrze z wycieńczenia. Zgaśnie z anemji. A jeśli postępując konsekwentniej albo nieświadomie, wygnacie filozofję społeczną ofiary, która rządzi tylko przez religję, przyzywając natomiast filozofję społeczną używania materialnego — umrzecie już nie z wycieńczenia tylko: umrzecie okryci hańbiącymi ranami i trawieni gangreną. A ponieważ klasy ubogie teraz szczególnie nie zniosą bezkarnie widoku psucia się klas bogatych w rozkoszach materialnych, straszliwe konwulsje dokończą tego, co rozpoczyna anemja i gangrena. Bolesny ten widok nowożytnego społeczeństwa jest tak głęboko pouczający, że trzeba się nad nim zatrzymać.

Wejdźmy więc w szczegóły i rozpatrzmy pokolei objawy tej nieszczęśliwej choroby.

Wiek XVIII mierny był we wszystkim, ale szczególnie w zagadnieniach społecznych. Bo tam, gdzie potrzeba mieć tyle rozumu i zdrowego rozsądku, okazał tylko zapędy marzycielskiej czułości i po usunięciu z porządku społecznego głównej jego podstawy — religji usiłował ją zastąpić zasadą *własnego interesu*. Nie zaprzeczał jeszcze, co zrobiono później, że społeczeństwo, ażeby żyć, utrzymać w swem łonie porządek, dojść do swobody i zabezpieczyć swą wielkość, potrzebuje ciągłego i dobrowolnego poświęcenia dobra jednostek dobru ogółu. Ale ufając zanadto rozumowi ludzkiemu, doradzającemu w istocie to poświęcenie, olśniony widokiem kilku jednostek, które przestrzegały sprawiedliwości i dobra ogólnego przez samo poczucie obowiązku, nie dostrzegł, że większość ludzi jest wcale niedostępna dla pobudek tak oderwanych, i że zgubnem

złudzeniem jest chcieć ich prowadzić samą tylko zasadą dobrze zrozumianego interesu. Bo rzeczywiście, co innego jest wielka dusza, a co innego ta pospolita masa, stanowiąca ogół ludzkości. A nawet dla duszy wielkiej inna jest rzecz poświęcić się raz jeden w okolicznościach wyjątkowych, słuchając jedynie nakazu obowiązku, a inna poświęcać się bezustannie, w tysiącu okoliczności małych, ukrytych, nieznanych nikomu, i o których sami zapomnimy nazajutrz. Temu człowiekowi, pospolitemu bądź co bądź pod jakimś względem, tym tłumom pospolitym zawsze, żeby im dodać sił do ciągłego posłuszeństwa, ciągłej ofiary, przedstawicie co? Interes własny? to za mało. W tysiącu zdarzeń cierpieć, słuchać, pracować nie leży w interesie jednostki; a chociaż, biorąc rzecz głębiej, jest to zawsze jej dobrze rozumiany interes, bo porządek, będący wynikiem tego posłuszeństwa, przyniesie jej więcej korzyści, aniżeli kosztował ofiar — jest to rozumowanie za wysokie, za subtelne, za delikatne dla ogółu; nie uchwyli go nawet wiele wykształconych umysłów. Prévost-Paradol mówi dobrze: „Znosić dobrowolnie nierówność stanów, pracę ręczną, ubóstwo, ażeby oszczędzić sobie i całemu społeczeństwu klęsk anarchji, iść na śmierć na polu walki, żeby uchronić swych współobywateli i ich potomstwo od utraty ojczyzny — są to wysiłki rozumowania i czyny bohaterstwa ducha, do których rzadko jest zdolna natura ludzka. To też nie zdobywa się na nie, i ludzie, którzy są dobrymi obywatelami jedynie przez poczucie obowiązku, albo posłuszni prawu nie dla obawy przed niem, ale przez dobre zrozumienie interesów ogółu, są zbyt nieliczni, ażeby utrzymywać w społeczeństwie ład, uczciwość i tę względną ilość poświęcenia, bez której państwo istniećby nie mogło“).

Co najmniej więc rzec można, iż stawiając w miejsce religji obowiązek ludzki i interes osobisty, daje się niedostateczny pokarm społeczeństwu, które musi żyć posłuszeństwem, poddaniem się i ofiarą. Nie dziwcie się więc, że życie słabnie. I nie tylko że pokarm ten jest niedostateczny, ale niezdrowy, nie zaspokajający głodu; społeczeństwo odrzuci go wkrótce jako zwodniczy. Bo pocóż zawsze cierpieć, zawsze pracować, zawsze słuchać, jeżeli niema nieśmiertelnych nadziei? A skąd obowiązek, jeżeli niema sumienia? A skąd sumienie, jeżeli niema Boga?

¹⁾ La France nouvelle, str. 356.

Chrystus powiedział: *Beati qui lugent*. „Błogosławieni którzy płaczą”. Ale dodał: *Quoniam et ipsi consolabuntur*. „Albowiem oni będą pocieszeni.” Odrzucacie *consolabuntur*, a myślicie, że ludzie zatrzymają *beati*. Macie ich za zbyt głupich.

Niemą klęsk, którychby nie prowadziła za sobą ta doktryna. Poniża dusze, upadła charakter, paczy poczucie moralności, wpajając w każdego przekonanie, że jego interes jest jedynym prawem jego postępowania, i że może pozwolić sobie na wszystko, skoro tylko jest pewnym bezkarności; skupia wszystkie namiętności w ubóstwianiu swego „ja”, we wstrętnym szukaniu wszędzie swojej osoby. Posuwa się jeszcze dalej: ze społeczeństwa robi arenę, gdzie ścierają się interesy, ludzie już nie słuchają, ustępują tylko, a co smutniejsza, spekulują. Porównują zyski z posłuszeństwa z temi, które ma dać opór. W umysłach gnieździ się anarchja, w charakterach niskość, a do machiny państwowej zakrada się nieład już wtedy, kiedy siła utrzymuje jeszcze pozory porządku nazewnątrz. Społeczeństwo upada. I nie jest to uderzenie piorunu, nawet nie zamach miotły, uprzążającej nieczystości, ale ciemny i niski robak, który podgryza skrycie wszystkie korzenie, przygotowując wywrót.

Oto, do czego prowadzi zasada własnego interesu. Nie rozwodząc się nad tem dłużej, dość wymienić wiek XVIII, który ją utworzył. Jego przykład dowodnie wykazuje, jak dalece jest ona zgubna dla moralności i społeczeństwa.

III.

Trzeba więc było szukać innej pobudki, równie powszechnej, ale skuteczniejszej i szlachetniejszej od tej poziomej doktryny własnego interesu. Tym zaś wszechpotężnym motorem, który nasz wiek sądzi, że wynalazł, jest *honor*. Słuchajmy, co mówi de Vigny o tej cnocie tak pięknej i niezwykłej, kiedy ma za przybytek sumienie, zamieszkane przez Boga, a bez niego jest tylko bladym kwiatem, pozbawionym korzenia, choć nie bez zapachu. „W ogólnem rozbiciu wierzeń — powiada on — cóż nam pozostało świętego? Jakie szczątki, których mogłyby się jeszcze jąć ręce szlachetne? Oprócz upodobania w dobrobycie i błyskotliwym zbytku nie widać nic na powierzch-

ni tej toni. Zdawałoby się, iż egoizm wszystko pochłonał. Ci nawet, którzy usiłują ratować dusze i zanurzają się odważnie w fale, czują się bliscy zatonięcia. Iluż jeszcze ugina kolana?... Ludzie żyją i umierają bez myśli o Bogu. Wiek nasz wie, że tak jest, chciałby to odmienić, ale nie może. Spogląda na się ponuro. Z tych smutnych oznak niektórzy sądzą, żeśmy wpadli w stan, który przypomina czas upadku cesarstwa bizantyjskiego, a ludzie poważni zadawali sobie pytanie, czy charakter narodu nie jest na wieki zgubiony”.

Ale de Vigny nie traci odwagi. Spostrzegł środek zaradczy: „Tak, zdaje się, że ujrzałem na tem ciemnym morzu punkt, który musi być stałym”. A tym punktem stałym, tą wiarą, którą, zdaje mu się, wszyscy jeszcze zachowali, jest wiara w honor. „Nie widzę — powiada — żeby ta wiara osłabła, lub żeby ją coś podkopało. Kiedy wszystkie cnoty zdają się zstępować z nieba, aby nam podać rękę i wznieść nas w górę, honor zdaje się wychodzić z nas samych, dążąc ku niebiosom. Cnota to czysto ludzka, mogąca uchodzić za dziecko ziemi, cnota życia bez palmy niebieskiej po śmierci.

„Bądź co bądź cześć dla niej, acz w różny pojmowana sposób, nie ulega nigdy zaprzeczeniu. Religja to męska, bez symbolu i obrazu, bez dogmatów i obrzędów, której prawa nie są nigdzie spisane; jakże się to dzieje, że wszyscy ludzie odczuwają dostojną jej potęgę? Ludzie współcześni są sceptyczni i ironiczni względem wszystkiego prócz honoru. Każdy poważnieje, posłyszawszy ten wyraz. Niezłomna stałość podtrzymuje go przeciw wszystkim i przeciw samemu sobie na wspomnienie tego uczucia, które jest mu w piersi jakgdyby drugim sercem, gdzie przemieszkują Bóstwo...

„Honor to poważanie dla samego siebie i dla piękności swego życia, posunięte do gorącej namiętności... Zawsze i wszędzie chroni od skazy godność osobistą człowieka.

„Honor — to wstyd męski.

„Wstyd uchybienia honorowi jest wszystkim dla nas. Ta rzecz nieokreślona jest nam święta.

„Zważcie, co u nas znaczy to wyrażenie popularne, rozpowszechnione, rozstrzygające, a jednak tak proste: dać słowo honoru.

„Oby najczystsza z religij w swej nowej fazie nie próbowała wykreślić lub przytłumić tego poczucia honoru,

czuwającego w nas jak ostatnia lampa w spustoszonej świątyni! Ale raczej oby je sobie przyswoiła i połączyła ze swą wspaniałością, stawiając je jako jedno światło więcej na ołtarzu, który odnowić pragnie. Boskie to jest zadanie¹⁾.

„Ostatnia lampa w spustoszonej świątyni!” Oto, czem według de Vigny’ego jest dziś honor. O nie! najczystsza z religij nie pomyśli nigdy o przytłumieniu tego wzniosłego uczucia. Starożytność przeczuwała je zaledwie, ale rozkwitło ono dopiero w słońcu chrystjanizmu i taką pięknoscią nacechowało narody zrodzone u stóp Krzyża. Połączcie po dawnemu honor, cnotę, religję, a ocalicie i uszczęśliwicie świat. A jeżeli wygnacie religję, a z nią razem jej wierną towarzyszkę — cnotę, cóż wam pozostanie? Cóż znaczy honor, skoro już niema sumienia? Czem on jest dla tłumu pospolitych istot? A nawet dla dusz wykształconszych co znaczy on w niektórych materjach? Wiemy wszak wszyscy, ile można popełnić podłości, pozostając mimo to człowiekiem honoru.

W pewnej bardzo poczytnej książce występuje człowiek, nie mający ani religij, ani sumienia, ani Boga, zostaje mu tylko honor. Wielbił go, sądząc, że to wystarczy. Pisał: „Ponieważ nie mamy już szaleństwa krzyża, miejmy szal honoru”. Ale to szlachetne uczucie nie powstrzymuje go od uwiedzenia żony przyjaciela, ani od doprowadzenia swego dobroczyńcy do śmierci ze zgryzoty ani od poniżania duszy w ciągłej rozpuszcience, ani wreszcie od skończenia samobójstwem.

Nie, honor bez religij nie wystarcza. Jeżeli wygnacie religję, a z nią sumienie i cnotę, cóż wam pozostanie? Cień cnoty, błądy kwiat ziemi, jak te, które wschodzą na ruinach. Wiem, że cień rzeczy tak pięknej, jak cnota, jest jeszcze piękny; że jeżeli sam honor nie może zapobiec wszelkiemu złu, utrzymuje jednakże w duszach lepsze uczucia; że ponieważ społeczeństwo cnotą tylko żyć może, dobrze, jeśli w jej niedostatku posiada honor. Szanujmy go, jak ostatnią ostoję. Przechowujmy starannie te cziągodne szczątki naszego narodowego charakteru. Utrzymujmy w sobie honor „jako ostatnią lampę w spustoszonej świątyni”. Ale opłakujmy to spustoszenie, i chcąc pobożną ręką odbudować świątynię, „lamps zdobiącej przybytek” nie bierzmy za jedno z mocnemi filarami, na których spoczywa.

¹⁾ *Servitude et Grandeur militaires.*

Do tego wyniku dochodzi ze smutkiem przytaczany już przeze mnie publicysta. On też widzi już tylko jedną ucieczkę — honor, „albo lepiej: punkt honoru, ostatni i potężny szaniec społeczeństw”. „Jeżeli prawa, o ile zgadzają się z powszechnemi nakazami sumienia, ogólnie są szanowane, jeżeli żołnierz staje posłusznie pod swoją chorągwią i jest jej wierny, jeżeli kasjer szanuje kasę publiczną, jeżeli wogóle człowiek należycie wypełnia większość swych obowiązków społecznych, winniśmy to przedewszystkiem tak zwanemu punktowi honoru. Nie poszanowanie prawa Bożego, które przeszło oddawna w stan zagadnienia do rozwiązania, nie filozoficzne poświęcenie dla niepełnego obowiązku, a tem mniej dla oderwanej idei państwa, szarpanej i poniżanej przez tyle przewrotów, ale jedynie obawa publicznego zawstydzenia za niski postępek jest dla nas dostatecznym bodźcem do postępowania dobrze²⁾”.

Oto ostatnia ostoja. Smutnie i wymownie kreśli on jej urok: „Widzimy często nad brzegiem strumienia drzewo, mocno przez czas uszkodzone, pień jego głęboko rozdarty, tkanka drzewna zniszczona; wewnątrz zawiera tylko trochę próchna, ale kora drzewa jeszcze żyje, soki mogą w niej krążyć, i oto co rok drzewo okrywa się zielonością, jak za czasów młodych; stoi jeszcze dumnie i niejednej burzy może stawić czoło. Oto wierny obraz narodu, podtrzymywanego przez punkt honoru po utraceniu religij i cnoty²⁾”.

Uznaje on więc nowożytnie społeczeństwo za zgniłe wewnątrz, ale o korze jeszcze silnej. Wkrótce jednakże ogarnia go niepokój i przestrasz. Już i kora psuć się zaczyna. Honor czyli lepiej: punkt honoru jest w niebezpieczeństwie. Wymienia jego nieprzyjaciół. Są to ci, którzy przenoszą nad wszystko powodzenie, biją przed nim czołem bez względu na jego źródło, ci, którzy wszystko usprawiedliwiają celem, utrzymując, że cel uświęca środki. Skoro się dojdzie do tego przekonania, „punkt honoru, polegający na tem, aby nie poczytywać jako równie dobre wszystkich sposobów dojścia do celu, jest zagrożony zagładą. Przechodzi się wówczas w ten stan duszy, który przewybornie scharakteryzował Tucydides, malując z powodu rzezi w Korcyrze upadek Grecji i w nieśmiertelnym

²⁾ *La France nouvelle*, str. 358. — ²⁾ *Ibid.* str. 360.

dialogu Milończyków z Ateńczykami, zwycięskimi dnia tego i pogardzającymi jawnie i głośno sprawiedliwością¹⁾). Powoli zasady te przechodzą do życia prywatnego. Z początku tylko w życiu publicznym ośmielano się chwalić podstęp i gwałt pod nazwą zręczności, mówić, że siła jest miarą prawa, i bić czołem przed powodzeniem. Dla życia prywatnego czyniono zastrzeżenia, ale wkrótce logika bierze górę i zaczyna się chwalić każdą kradzież dosyć zręczną, aby pozostała bezkarną, jako nadzwyczaj zręczne prowadzenie interesu. Skoro tak staną rzeczy, to już koniec. „Ostatni to i najpewniejszy znak upadku — mówi on — kiedy punkt honoru, jedyna opora, pozostała nam, zaczyna chwiać się w naszych rękach, jak owa wąż trzcina, o której mówi Pismo święte²⁾).

Bo i cóż pozostaje, aby wnieść dusze aż do surowego poczucia obowiązku? Ma się już tylko bezbarwne pobudki do cnoty, małoważne i niskie powody do pracy, posłuszeństwa, cierpliwości. Społeczeństwo nie umiera jeszcze, ale cierpi, dźwiga się jak może, jak ci chorzy, którzy smutni i słabi błakają się z trudem w ostatnich promieniach jesienno-słonecznych.

IV.

Ale to nie wszystko. Ponieważ niepodobna gwałcić bezkarnie zasadniczych praw swej natury i ponieważ niepodobna czuć, że życie zanika, i nie cierpieć nad tem, niewytłumaczona jakaś niemoc zaczyna ogarniać społeczeństwo. Spytajcie, co mu jest — nie potrafi wam odpowiedzieć. Ciągłe mu się zachciewa zmiany pozycji, jak tym chorym, którym już niewiele pozostaje do życia. Stąd próżne wysiłki, a po nich długie odrętwienia. Poważni obserwatorowie są zaniepokojeni, a nawet ogół, ostrzeżony wzrastającym smutkiem dobrych obywateli, przeczuwa ogrom niebezpieczeństwa. Słuchajmy, co mówił jeden z tych rozumnych badaczy, słynny Jouffroy, już w roku 1834: „Kraj cierpi, a dowodem tego jest ten głuchy niepokój, ujawniający się wszędzie, to niezadowolenie, ze wszystkich stron się okazujące, choć powodu i przedmiotu nikt nie może określić.

¹⁾ Ibid. str. 361. — ²⁾ Ibid. str. 363.

„Mojem zdaniem, panowie, ta niezaspokojona potrzeba społeczeństwa, która woła i domaga się zaspokojenia — to potrzeba wcale nie materialna, lecz moralna.

„Chryścjanizm dał społeczeństwu porządek moralny, to jest całość prawd w każdym przedmiocie, najbliższym człowiekowi; według tych prawd zostało ono zorganizowane i tym porządkiem moralnym żyło.

„Trzy wieki przeszły nad tym chrześcijańskim porządkiem i zniosły go, a przynajmniej podkopały głęboko, zachwiały go w duszach, w sumieniach, w samem społeczeństwie.

„Próżnia, jaką to wytworzyło, widoczna jest wszędzie. Jest ona we wszystkich sercach, masy odczuwają ją niejasno, umysły wyższe — wyraźniej. Trzeba ją zapełnić. Bo jeżeli nie będzie zapełniona, upewniam was, że społeczeństwo się nie uspokoi, że nikt uspokoić go nie zdoła.

„Oto jest, panowie, głęboka i prawdziwa przyczyna niepokoju społeczeństwa, i dopóki się nie wynajdzie moralnego lekarstwa na tę chorobę moralną, dopóty będzie ono niespokojne i chore. Kto nie poda mu takiego lekarstwa, ten nie będzie go mógł opanować, nie uzyska nad nim trwałej przewagi. Nie będzie mógł uciszyć niepokoju, bo nie usunie jego przyczyny.

„Lud, który nie zdaje sobie sprawy ze swych potrzeb, ale odczuwa je jako niepokój i udręczenie, wyobraża sobie, że każdy przewrót materialny może mu dać to coś, do czego wzdycha. Dlatego jest chciwy wszelkich zmian form społecznych, myśląc, że zmiana wyjdzie mu na lepsze. Nie wie on, czego mu potrzeba, bo zmiany ministerjów, form społecznych, rządu, praw są to tylko zmiany materialne i nie mogą dokonać zmiany moralnej, której społeczeństwo potrzebuje¹⁾).

Trudno lepiej odmalować jedną z najboleśniejszych i najwybitniejszych cech społeczeństw nowożytnych, tę próżnię i stan chorobliwy, dręczący je wszystkie, i ową potrzebę znalezienia czegoś nieznanego, coby odpowiedziało niezaspokajającym już a nieprzepartym dążeniom. Stąd to pochodzi niepopularność rządów i dziwna ich nietrwałość. Upadają, ponieważ nie umiały, nie mogły usunąć niepokoju, dręczącego społeczeństwo. A społeczeń-

¹⁾ *Moniteur*, 19 marca 1834. W rozprawie nad ustawą o stowarzyszeniach.

stwo patrzy obojętnie na ich upadek, bo widziało je przy robocie i niczego się już po nich nie spodziewa. Skoro złożyły dowód swej nieudolności, pierwszy lepszy żołnierz wchodzi do pałacu, gdzie przebywa najwyższa władza, do sali, gdzie się zbiera wybrane przez naród Zgromadzenie, i zabiera klucze do kieszeni. Naród patrzy na to spokojnie: cóż go obchodzą ludzie bezsilni? Potem bez zapału i bez złudzeń, niestety, prawie bez nadziei, zgromadza się, ażeby utworzyć nowy rząd, któremu tak samo dozwoli upaść za lat kilka, skoro się przekona o jego niemocy. Ażeby żyć, ażeby trwać, trzeba by zadowolić tę potrzebę społeczeństw, zapełnić tę próżnię, uciszyć ten niepokój, a rządy współczesne ze swymi bezwyznaniowymi prawami nie są do tego zdolne.

W dialogu Głokona Sokrates dowodzi, że do rządzenia niedosyć znajomości rzeczy przyrodzonych, niedosyć nauki ludzkiej: potrzeba nauki Boskiej. U nas ona jedna jest w pogardzie; cóż się dziwić bezsilności rządów, zmieniających się z tak straszną szybkością!

Stąd także wypływa nadmierna centralizacja, która ciąży na nowożytnych społeczeństwach, przygniatając je. Skoro zabraknie spójni moralnej i religijnej, trzeba ją czymś zastąpić, a te czterdzieści milionów odrębnych woli, których nie wstrzyma już na wodzy wiara, potrzebuje żelaznego jarzma.

Ujawniło się to na wielką skalę w ciągu trzech ubiegłych stuleci, w których w miarę upadku religii wzrastał ucisk administracyjny. Niech mi będzie wolno przypomnieć przy tej sposobności piękną mowę Donoso Cortès'a o *dwóch wędzidlach*. Zaczyna od wykazania, że dwa tylko są rodzaje władzy: jedna wewnętrzna, druga zewnętrzna; władza religijna i władza polityczna; tłumaczy prawo, rządzące niemi, to jest, że skoro opada termometr władzy religijnej, termometr władzy politycznej natychmiast się wznosi i naodwrot. Potem z historią w ręku udowadnia to porównanie w biegu wszystkich stuleci. Wykazuje, że w starożytności byli tylko tyrani i niewolnicy, a to ponieważ termometr religijny stał na zerze, polityczny więc musiał się wzniesić do tyranji; przypatruje się następnie ludom chrześcijańskim, gdzie przeciwnie, w miarę podnoszenia się religijnego termometru rozkwitają wszystkie swobody; dochodzi wreszcie do czasów nowożytnych i udowadnia, jak przy ciągłym od trzech wieków obniżaniu się termometru religii termometr ucisku politycznego wznosi się usta-

wicznie. „Naprzód — powiada — władza królewska z feudalnej przechodzi w absolutną. Potem ukazują się stałe armje, czyli milion rąk dla obrony społeczeństwa. A ponieważ termometr religijny ciągle spadał, rządy powie-działy sobie: Mamy milion rąk, ale to nam już nie wystarcza; potrzebujemy jeszcze miliona oczu dla pilnowania społeczeństwa — i utworzyły policję. Nie dosyć na tem; zechciały mieć milion uszu i otrzymały je przez centralizację zarządu, zapomocą której najmniejsze poruszenie narodu dochodzi do wiadomości władzy.

„A ponieważ termometr religijny opadał jeszcze, polityczny musiał się wznosić w tym samym stosunku. Rządy powiedziały: Niedosyć nam, że mamy milion rąk do trzymania w karchach, milion oczu do strzeżenia, milion uszu do słuchania, trzeba nam móc być wszędzie naraz i jednocześnie. — I możność tę osiągnęły: wynaleziono telegraf”.

Taki jest stan Europy i świata. Połowa rodu ludzkiego stoi pod bronią, aby nie być pożartą przez drugą.

„A teraz — woła kończąc mówca — jedno z dwójga: albo reakcja religijna nastąpi, albo nie. Jeżeli nastąpi, zobaczycie wkrótce, jak w miarę podnoszenia się termometru religijności termometr polityczny zacznie opadać, spokojnie, naturalnie, sam przez się, bez żadnego udziału ze strony narodów, rządów lub pojedynczych ludzi, aż dopóki nie stanie na umiarkowanym stopniu swobód narodowych. Ale jeżeli przeciwnie, i rzecz to bardzo poważna, termometr religii będzie dalej opadał, to nie wiem, gdzie się zatrzymamy. Nie wiem i drżę, myśląc o tem. Jeżeli wtedy, kiedy wpływ religii był u szczytu, nie potrzeba było żadnego niemal rządu; teraz przy zupełnym jego braku jakież rodzaj rządu będzie wystarczający? Otwiera się pole dla olbrzymiej, bezgranicznej tyranji...”

Oto, co mówił Donoso Cortès. I miał po tysiącokroć słusność. Ja zaś nie potrafię wyrazić, jaką litością przejmują mnie owi krótkowzroczni politycy, którzy usuwając religję z praw, życia i dusz narodu, marzą o udarowaniu go wolnością. Nie, nie! Gdyby wpływ religii zmalał jeszcze, społeczeństwo dostałoby się pod najstraszniejszą tyranję. Ponieważ może ono istnieć tylko cnotą, pracą, ła-dem, zaparciem się, oszczędnością, ofiarnością, trzeba by było, ażeby władza sięgała aż do sumienia dla zniewolenia duszy do cnoty, aż do rodziny dla utrzymania w niej

dobrych obyczajów, aż do własności do nakazania oszczędności. Prawo, powstrzymując społeczeństwo od zguby, musiałoby obejmować władzę nad człowiekiem jeszcze w łonie matki.

Tak jest: chrześcijaństwo albo niewola, jarzmo religii albo jarzmo siły. Środka tu nie ma.

A ponieważ ta prywatna i publiczna tyranja, wynik nadmiernej i ciągle wzrastającej centralizacji, nie zapobiega nietrwałości rządów, które ustępują, bo nie mogą zaradzić chorobie społeczeństwa, kiedy tyranja nie ustaje, gdyż trzeba trzymać w karchach wole, nie znające już religijnego hamulca — społeczeństwo jest zarazem pod jarzmem i w ogniu rewolucji. Zmienia królów, ministrów, formy społeczne, lecz ucisk pozostaje. Monarchja czy rzeczpospolita to zawsze to samo, chociaż firma inna. Kiedy kto upadający pod zbyt wielkim ciężarem zmęczy jedno ramie, przerzuca go na drugie, ale ciężar pozostaje ciężarem.

Słowem, poza Bogiem i religją nie ma pobudki dość silnej, ażeby podnieść ducha całego narodu i utrzymywać go w surowym pełnieniu obowiązku, w posłuszeństwie, w pracy, poszanowaniu praw, w cierpliwości, poświęceniu, cnocie. Środki, któremi chcą zastąpić religję, są zbyt blache, bezsilne. Wytwarzają one narody anemiczne, wlokące się bez tchu i życia, niespokojne i chore, zawsze na łasce pierwszego lepszego despoty, który oszczędzi im trudu życia. Trzeba więc, żeby Bóg wszedł w prawa, w obyczaje publiczne i urządzenia społeczne. Inaczej pożegnajcie się z pokojem, ładem, trwałością rządów i swobodą ludów, bo nie ujrzyście ich nigdy. Nie powrócicie nigdy do zdrowia.

V.

Nie wyobrażajcie sobie tylko, żeśmy już doszli do dna przepaści, oczekującej społeczeństwa bez Boga. Stoimy zaledwo na jej skraju, bo tę próżnię, źródło tylu niedoli, trzeba czemś wypełnić. Ale czem? Po wygnaniu Boga pozostała już tylko materja; rzucają się też do niej ludzie zapamiętali. Ale to pociąga za sobą klęski nowego rodzaju. Z jednej strony ustępuje zewsząd tak potrzebna społeczeństwu filozofja ofiary, nie mając już punktu oparcia; z drugiej, w opuszczone przez nią łożysko wkraczają burzliwe fale filozofji używania. Powiedźcie, co poradzi przeciw temu nieszczęsnemu zalewowi interesu osobistego,

obowiązek czysto ludzki, honor? Niestety! nie mogły wyćmóc dostatecznego posłuszeństwa prawu, jakże potrafią ustrzec czystości obyczajów? Ujrzyście je zaprzęgające się same do wozu rozkoszy, a nauka ze swemi cudownemi odkryciami, z temi nieznanemi machinami, w których działaczami są ukryte siły natury, będzie go popychała, aby prędzej postępował naprzód. Wtedy wystąpią rany haniebne i gangrena dokończy tego, co zaczęła anemja.

Bo i dokąd, rzeczywiście, prowadzi nas ten ruch naukowy, będący zaszczytem naszego stulecia? Nauka odpowiada na to z chlubą: do bezgranicznego używania. Wytwarzać coraz więcej, ażeby coraz więcej używać, z ujarzmionej nareszcie przyrody wyciągnąć wszystek dobrobyt i ssać rozkosz, jaką będzie mogła dać ludzkości: oto dążność i wytknięty plan nowoczesnej nauki. A z tego, co już urzeczywistniła w przeszłym stuleciu, można wnioskować o tem, co będzie w przyszłości.

Ale jeżeli wypędzając ze świata Boga i cnotę, przywołacie rozkosz; jeżeli rozbudziecie wszystkie pożądliwości i usuniecie wszystkie hamulce; jeżeli napoić lud tem wszystkiem, co zniża duszę ku ziemi, pozbawiając go jednocześnie wszystkiego, coby go ku niebu mogło podnieść, czyż jesteście pewni, że nie zawiedziecie go prostą drogą do upadku? Wzniosłość myśli, piękność uczuć, bohaterska wielkość charakterów tworzy naród. Wolność, filozofja, nauki i religja uszlachetniają go. Tego przedewszystkiem szukaj, ojczyzno nasza, a wszystko inne będzie ci przydane!

Ale cóż czeka naród, który widzi przed sobą tylko to „inne”? Zaczyna go ogarniać jedyna namiętność, namiętność dobrobytu, „miękką, ale upartą i nienasyconą, mieszkającą się i niejako splatającą z niektórymi cnotami domowymi, z miłością dla rodziny, z przyzwoitością obyczajów, z poszanowaniem religijnych wierzeń, a nawet z regularnem, choć zwyczajowem tylko wykonywaniem obowiązków panującego wyznania, co wszystko, dopuszczając uczciwość, wyklucza bohaterstwo i wybornie się nada do wytwarzania porządných ludzi a nędznych obywateli¹⁾. Oto naprzód stan ogólny, stan mas i jakby tło narodu.

Ale u niektórych, a wręcz u wielu, namiętność ta nabiera siły. Tym nie wystarcza już dobrobyt; potrzeba im używania, rozkoszy. A ponieważ do tego konieczne

¹⁾ Tocqueville, *l'Ancien Régime et la Révolution*, str. 175.

jest bogactwo, owo pożądanie przyjemności wyradza nadmierną chciwość, nienasycone łaknienie złota. Nieumiarkowane i nieograniczone pragnienia rzucają się do wszystkiego, co przyobiecuje dać owo złoto, jedyny teraz szczyt, jedyna godność, jedyny cel życia. Gorączka awansu trawi urzędników; ale w tych urządach, których pragną, o które błagają tak pokornie, nęci ich nie wyniesienie i dostojęństwo, lecz jedynie złoto. Posady oceniane są wedle dochodów. A już okropne jest to, że w miarę wzrostu wynagrodzenia zmniejsza się niezależność. Z przyrostem pieniędzy uchodzi swoboda. Człowiek, oczekując czegoś zawsze, nie odważa się na nic. Powoli to poniżenie rozpowszechnia się jak zaraza, dosięga tych nawet, którzy nie zajmują żadnych urzędów, i widzimy ludzi, którzy dla swego osobistego mienia, dla swego wieku, godności i krzesła poselskiego, powinni być przywódcami kraju, a którzy nie odważają się oprzeć ministrowi w izbach, ani prefektowi w departamencie. Inni tymczasem, pobudzani tą samą miłością złota, rzucają się z całą namiętnością do gry na giełdzie, narażając dziedzictwo po przodkach, posagi córek, nawet chleb dzieci. Spokojni są zresztą przy tej całej gorączce, bo wiedzą, że dla ukrycia hańby mają Sekwanę albo Amerykę, gdzie pod fałszywym nazwiskiem będą mogli wznowić grę niecną i nieuczciwe spekulacje.

A ponieważ życie jest krótkie, ponieważ czas mimo naszego pośpiechu nas wyprzedza, to złoto, zaledwie zarobione, a nawet i nie zarobione jeszcze, wymienia się na uciechy. Niestłychany zbytek kazi rodziny. Widzimy same tylko rujnujące toalety, dziwaczne mody, cenne konie, bezcenne klejnoty, fantazje i kaprysy zaspokajane w jednej godzinie, któreby przez rok żywiły rodzinę. A chociaż złemi sposobami, a nawet czasem dobrymi, zarabia się niezmiernie dużo, marnotrawcy żyją zawsze w długach, nie mogąc podołać takim wydatkom. Pozostawiają więc u dostawców ogromne rachunki niezapłacone, których wkrótce nie ma się czem zapłacić. Mimo to nie zmniejszają skali życia, owszem, podnoszą ją, ażeby się odurzyć. Ale już się nie śmia żenić, nie chcą już mieć dzieci, a nadużycia bez nazwy kalają małżeństwa. Żadne domowe ognisko nie jest bezpieczne, żadne łóżko małżeńskie szanowane. Nie są trawieni jakąś wielką namiętnością, usiłują tylko zabić czas. Ktoś niedoświadczony objawiał raz radość, że cudzołóstwo znika już z obyczajów. „Przeciwnie — odpowiedział mu ktoś, znający lepiej życie — ist-

nieje ono zawsze i nawet potrosze wszędzie, ale tak bez hałasu, tak bez namiętności, że nie zwraca uwagi niczyjej. Cudzołóstwo jest dzisiaj we Francji instytucją nieomal”.

W tej bowiem szalonej pogoni za użyciem zmysły tępieją rychło i nadchodzi przesyt. Młodzian dwudziestoletni jest starym i rozczarowanym, wie wszystko o życiu i pogardza wszystkim. Cnota, szlachetność, miłość, przyjaźń, bezinteresowność, sława, myśl, sztuka, wszystko, co uszczęśliwia i uzacnia życie, odbiega; zimne samolubstwo przytłumia w nim wszystkie uczucia, a najczystsza z pomiędzy nich, prawdziwa miłość, jest tylko przedmiotem pośmiewiska. Wkrótce coś będzie znaczyło upokorzenie ojczyzny, jej straty, byle się na nich nie cierpiało. W napadniętej ojczyźnie widzi się tylko swój zagon. Zgodziliby się być Prusakami, byle nie tracić swych dochodów. I wiek, rozpoczęty w obojętności dla religii, grozi zakończeniem się w obojętności dla rodziny i ojczyzny.

Ale napróżno ludzie zagrzebują się w ziemi; szczęśliwi nie są. Co może dać ziemia nieskończonej duszy? Rodzaj szafu ogarnia człowieka. Dawajcie, dawajcie, jeszcze, wynajdujcie, wymyślajcie coraz coś nowego! O nuko, potężna czarodziejko, przyjdź, obdarz mię nowem upojeniem! A ty literaturo, wy teatry i romanse, nacóż się zdacie, jeżeli nie potraficie rozbudzić moich stępionych zmysłów! Wówczas to na ulicach i na łamach dzienników ukazują się dziwne ogłoszenia, zapowiadające zdumienie, osłupienie, niepojęte i niemożliwe czarodziejstwa, światła elektryczne, deszcze ogniste, śmiałe pozy, nigdy niewidziane nagości. Trzebaż zabawić tych przeżytych. Nadchodzą, biegną, pełni oczekiwania. Ale zdziwienia doznaje tylko naiwność dziecięca. Tłumy odchodzą niezaspokojone. Nuda nie ustąpiła, zmysły pozostały martwe. Szukajcie jeszcze, wynajdujcie! Rzymianie potrafili to lepiej od was: mieli cyrk, walki zwierząt, walki ludzi, obnażali dziewice i oddawali je na pożarcie lwom; szukajcież i wy, nie dajcie nam ginąć z nudów wśród naszego jałowego złota i tych mdłych uciech materialnych, które niczem już nie są dla nas. *Panem et circenses!* Był to ostatni okrzyk państwa rzymskiego, ginącego w błocie i krwi. Nasze to hasło dzisiaj.

I dlatego to, o zepsute społeczeństwo, słuchaj, co ci powiem: zmień kierunek swej drogi, obal swe bożyszczka z ciała i krwi, a na ich miejscu postaw nieskalane ołtarze, odepchnij ze zgrozą haniebną filozofję rozkoszy zmysło-

wych. Wzgardą okryj jej doktorów, mówców i nauczycieli. Wszystko, co ją rozpowszechnia: dzienniki, przeglądy, teatre, romanse — niech się stanie dla ciebie przedmiotem obrzydzenia! Odróź w sobie sumienie publiczne, niech ono z oburzeniem strąci w cień te niegodziwości. Inaczej, o ludzie, choćbyście nawet potroili szybkość kolei żelaznych, choćbyście wynaleźli skrzydła i szybowali z ich pomocą w powietrzu, choćbyście odkryciami w przyszłości mieli zaćmić to wszystko, co dziś stanowi waszą dumę — jeżeli nie przywrócicie w duszach czci Boga, jeżeli nie przywrócicie w nich modlitwy, poświęcenia, pogardy świata — zgubicie społeczeństwo, zepchniecie je do otchłani napół ze krwi a napół z błota, a choćbyście już mieli siwe włosy, nie ręczyłbym, czy sami jeszcze tego nie zobaczycie!

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Lud bez Boga.

Pomimo nędz, uderzających każdego, kto uważnie bada stan nowożytnych społeczeństw, jest jeszcze środek ratunku, który jednakże pod ślepymi ciosami niewiary może się stać największem niebezpieczeństwem.

Gdy wyższe klasy bez Boga ponizają się i wyczerpują, na widownię społeczną występują klasy niższe, nie wyczerpane bynajmniej, owszem, młode, gorące, pełne — jak zazwyczaj w młodości — nieokreślonych pragnień, daleko sięgających nadziei, zuchwałych marzeń, a liczbą i żywotnością zdolne odnowić krew wycieńczonego społeczeństwa. Ale na to trzeba było pozostawić im Boga. Odebraliście Go im i patrzcież, co się dzieje. Pozbawione tej boskiej wiary, która wskazywała im ich miejsca w hierarchji społecznej; pozbawione tej niebiańskiej nadziei, która kazała im cierpliwie oczekiwać wiekuistej nagrody; niedosyć oświecone, ażeby zrozumieć unoszący je ruch społeczny, a za mało moralne, teraz, kiedy nie są już religijnymi, ażeby uczcić go umiarkowaniem — zaczynają spoglądać na te bogate tłumy, przeciągające przed nimi w koronkach i brylantach, i dzika zawiść budzi się w ich sercach. Jeżeli życie jest tylko snem chwilowym, uczta pomiędzy dwiema nicościami, czemużby i one nie miały wziąć w niej udziału?

„Gorzka i coraz głośniejsza skarga wydziera się z ust poddanego wyrobnika, proletariusza, parjasa. Pryska wędzidło w ustach rodzaju ludzkiego. Sprzykrzył on już sobie drogę krzyżową, nie chce nią iść dalej”.

Dobrze; ale cóż począć? A ja dodam: czyjaż w tem wina?

Zbadajmy to straszne zagadnienie, a przypatrzwszy się dokładnie stanowi klas niższych i niezmiernemu przewrotowi społecznemu, który je wyprowadza na powierzch-

nie, przekonajmy się ostatecznie, że społeczeństwo nie może istnieć bez Boga.

Ruch, unoszący te klasy, jest już tak silny, że nie można go powstrzymać; ale może jeszcze nie jest tak bystry, aby nie można było nim pokierować. Tylko niema ani chwili czasu do stracenia. *Cavete, posteri, vestra res agitur!*

I.

Niema zapewne człowieka, któryby nie przyklasnął poniesionym do dziś dnia trudom i usiłowaniom dla polepszenia położenia ubogich i robotników i nie cieszył się z osiągniętych już skutków. Ale każdy też chyba widzi z boleścią, że nie wszystko zło zostało zażegnane; że jest jeszcze wiele nędzy bez żadnego innego w tej chwili lekarstwa, prócz wielkiej cierpliwości u cierpiących, a wielkiej miłości u szczęśliwszych.

Posłuchajmy naprzód pewnego angielskiego podróżnika, jak opisuje los naszych wieśniaków: „W tej części Francji (la Brie), jak i w wielu innych, ciężkie jest życie rolnika. Oracze śpią w oborze lub stajni w jednym łóżku, a raczej w rodzaju przegródek, na sienniku rzuconym na ziemi. Dotąd nie widziałem nic, coby mi tak wyraźnie przypominało niewolnictwo. Przybyłem na folwark o świcie; wszystkie ręce były przy pracy, a ta praca, rozpoczynająca się w lecie o czwartej rano, trwa aż do ósmej wieczorem. Nawet w niedzielę pracuje się do południa. Zapłata za te długie dni są dwa franki, a tu jest lepiej jeszcze, aniżeli w sąsiednich okolicach¹⁾).

„Taki stan rzeczy — kończy p. James Howard — zaczyna wywoływać skutki, których się można było spodziewać: nędza wygania codziennie do miast ludność wiejską”.

Ale i tam los ich wcale nie jest lepszy. Nic niepewniejszego, nic bardziej zawisłego od tysiąca okoliczności, nad dolę robotnika. Daje on sobie radę, jeżeli nigdy nie choruje ani on, ani społeczeństwo. Najmniejsza jego choroba własna, jego żony lub dzieci, najmniejszy przewrót polityczny, najmniejsze bezrobocie skazują go na nędzę. „Ludność miejska — mówi Thiers — nie tak ustawicznie ograniczana w środkach do życia, jak wiejska, ma chwile, w których jej zarobek się podwaja, i wtedy żyje we wzglę-

¹⁾ *Revue des Deux Mondes*, 1870, str. 379.

dnym dostatku. Ale zaledwie nieostrożny przemysł, który wyrwał sobie robotników, przepłacając ich, spostrzeże się, że wyprodukował nad miarę, zaraz się ogranicza i przestaje ich używać, a ci biedacy okropną i głęboką nędzą, o której nie ma pojęcia wieśniak, przypłacają tych kilka pięknych dni¹⁾).

Co się tyczy robotnicy, to jej położenie jest jeszcze gorsze.

Kiedy fabrykanci angielscy, ogromnie wzbogaceni dzięki nowym maszynom, przyszedli ze skargą do Pitta, mówiąc: „Nie możemy już! nie zarabiamy dostatecznie!” Ów wyrzekł straszne słowo, które zaciężyło na jego pamięci: „Weźcie dzieci”.

O, ileż jeszcze winniejsi są ci, którzy wzięli kobiety i zagrożonym nędzą dziewczętom z miast oraz zaślepionym wieśniakom otworzyli zgubną ucieczkę w wyniszczającej pracy i ciżbie fabrycznej! Kto powiada: „kobieta”, powiada: „dziecko”; w każdej, która ginie, ginie cała rodzina: może kilkoro dzieci, nadzieja przyszłych pokoleń.

Na to odpowiada zwarty szereg ekonomistów: „Ależ, panie, najwyższe potrzeby ekonomiczne, społeczne! Przemysł krępowany zatrzymałby się... W imię klas ubogich!” i t. d., i t. d.

Najwyższą potrzebą jest istnieć. A my giniemy widocznie. Ludność nie powiększa się ilościowo, a obniża jakościowo. Wieśniaczkę zabija praca, a robotnicę głód. Jakichże dzieci mamy się po nich spodziewać?

Szczególnie od czasu wynalezienia maszyn do szycia, do przędzenia, do haftu robotnica upada pod nadmiarem pracy, a ta praca nad siły nie daje jej nawet sposobu do życia. Dzień jej jest płatny dziesięć su. Dlaczego? Ponieważ maszyna wykonywa tę pracę za dziesięć su. Gdyby kobieta żądała jedenastu, wolanoby maszynę.

Jakże więc radzą sobie robotnice?

„Starają się z jednego dnia zrobić dwa, pracując do ośmnastu godzin na dobę, jak np. hafciarki w Wogezach...²⁾ Albo jak szwaczki londyńskie, które pracują w czasie nawału roboty po nocach, jedzą, nie przerywając roboty, i poprzestają na kilku godzinach snu w jakim kątku pracowni, nawet się nie rozbierając³⁾ Albo ileż wkońcu traci zdrowie z czuwania nocnego i przepracowania!

¹⁾ Thiers, *De la Propriété*, str. 364. — ²⁾ Victor Modeste, *Du Paupérisme en France*, str. 98. — ³⁾ *The Undercurrents overlooked*, t. I, str. 36, 38.

Cóż się wtedy z niemi dzieje?

Przedewszystkiem nie robią one wiele hałasu. Nie tworzą jak silni a stowarzyszeni robotnicy, malarze, cieśle, groźnych zbiegowisk i nie dyktują praw. Umierają z głodu lub suchoty, i oto wszystko.

Ale te, które nie chcą umierać w ten sposób?

Wychodzą wieczorem na ulicę.

Wszystko to jest ponure, bardzo ponure i nie rozjaśni się tak rychło. Zapewne, nie tracimy odwagi. Pracujemy. Łagódźmy te nędzy; ocierajmy łzy; polepszajmy los dziecka, kobiety. Starajmy się zaopatrywać potrzeby starego lub chorego robotnika; dla zdrowego zaś i zdolnego do pracy przygotowujemy na czas bezrobocia inne źródła zarobku, na przykład wielkie roboty państwowe. Odmienimy prawa, dotyczące się rolnictwa i przemysłu. Nie patrzymy spokojnie na ten nieludzki, niechrześcijański stan rzeczy, aby robotnicy i robotnice nie mieli z czego żyć. Są to okropności, które nie mają prawa istnieć. Zawsze będą na świecie ubodzy, ale nie powinno być nędzarzy.

Ale kiedy już usuniemy te nadużycia, kiedy poczynimy wszelkie możliwe reformy, bądźmy pewni, że umierając, my i dzieci nasze, pozostawimy za sobą mnóstwo nieuleczalnych nieszczęść. Ziemia jest uboga: uprawiana usilnie da trochę więcej bogactw, ale nigdy w stosunku do potrzeb. Bóg już ją tak stworzył, ponieważ pomieścił na niej człowieka, nie żeby używał, ale żeby wzrastał; żeby wzrastał w pracy, w porządku, w oszczędności, w cnocie, a nie poniżał się i nie zezwierzczał w używaniu.

Ale to właśnie powiększa okropność obecnego położenia klas ubogich. Ta nieuleczona nędza jest u nich nędzą niezrozumianą. Nietylko ciało tego ubogiego oddane jest na łup cierpienia, ale i duch jego przebywa w ciemnościach. Dlaczego jest ubogim? Dlaczego on, a nie kto inny? Dlaczego jest nagim? Dlaczego pracując cały dzień i część nocy, ma zaledwie kawałek chleba? Odpowiedz na to dawała dawniej religja. Nakazując bogatym położyć kres tej nędzy, tłumaczyła jednocześnie maluczkim, dlaczego są na świecie maluczcy, ubogim — dlaczego są ubodzy. Cierpiącym powiadała, dlaczego są tacy, którzy cierpią. Niełatwo to powiedzieć ani wytłumaczyć. Ona czyniła lepiej, bo kazała w to wierzyć. Ubogi, jak dawny Hiob, wznosił z barłogu oczy ku niebu i z poddaniem się, jeżeli nie z rezygnacją, mówił: *Scio, quia Redemptor meus vivat*. „Wiem, że Odkupiciel mój żyje”.

A kładąc spracowaną rękę na wyschłą pierś, na zbolale ciało, dodawał: *Et in carne mea videbo Dominum*. „Tak, ujrzę mojego Boga, ujrzę Go w tem samym mojem, wówczas przeobrażeniem ciele”. A gdy na starym pniu religji, jak wonny kwiat, rozkwitło chrześcijaństwo, wniosło ono do chaty ubogiego wizerunek Ukrzyżowanego z wychudłymi ramionami, z czołem uwieńczonem cierniem, z ciałem przykrytem łachmanem, ze zbolalem sercem, a litosnem i pełnem miłości wejrzeniem. Wtedy ubogi nietylko poddał się, ale i pogodził z wolą Bożą.

Oto dzieło chrześcijaństwa! Odrzucacie je. Uczynicie coś lepszego.

Ale śpieszcie! Wstańcie wszyscy do roboty, do nauczania i wyjaśniania wielkiej tajemnicy! Niema chwili do stracenia. Podzielcie się światłem, wy, którzy je posiadacie. Nie możecie pozostawić ubogiego w tych ciemnościach. Jest nagi, pracuje, cierpi. Dlaczego? Powiedzcie mu to śpiesznie. Bo wiecie, co się dzieje? Cierpienie jego niewytłumaczone, nierozumiane zmienia się w nienawiść. Przygląda się on społeczeństwu i zaciska pięści.

I zjawili się lekarze. Fałszywi, niestety! Jest ich mnóstwo od lat dwudziestu. Słuchałem ich uważnie. Otóż wyobraźcie sobie, co powiedzieli cierpiącemu ludowi! Jedno słowo, tylko jedno, ale słowo to w porządku społecznym jest tem, czem byłaby baryłka dynamitu pod filarami gmachu. Powiedzieli ubogiemu: „Masz prawo do szczęścia!”

Gorzkie szyderstwo! Temu pracującemu ludowi, któremu ciężko wyżyć, mówią: masz prawo do szczęścia!

Prawo do szczęścia! Uważajcie dobrze: niema nic innego w tych wszystkich doktrynach socjalistycznych, które zrzuciły tak wielkie spustoszenia w naszych klasach robotniczych w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Środki były rozmaite, cel ten sam.

Jedni powiedzieli ludowi: „Masz prawo do szczęścia, a wszystko złe pochodzi od władz: od władzy duchownej, władzy świeckiej, władzy właścicieli. Trzeba je wszystkie obalić, a najpierw tę, od której biorą początek wszystkie inne: władzę Boga. Sam rządź sobą. *Av-apyla*, bez rządu, i w niebie i na ziemi. Ideał twój to bezrząd, którym cię straszą. Będzie on twojem ocaleniem”.

Inni, ze szkoły politycznej, mówili mu: „Masz prawo do szczęścia, a jeżeli go nie posiadasz, to dlatego że żyjesz w odosobnieniu, i że zabija cię konkurencja. Połącz

wszystkie swe prace i wyroby, a ponieważ samo tylko państwo może je stosownie rozdzielić, znieś wszelką własność, wszelkie stany i powierz państwu rozdział wspólnych bogactw pomiędzy wszystkich. Winno ci ono szczęście i w ten sposób daje je tobie".

Wkońcu mistycy zapatrywali się na rzecz z innej strony; ci mówili: „Chryścjanizm wyzwolił ducha, to dobrze. Ale to tylko połowa zadania. Teraz potrzeba wyzwolić ciało. Raj ziemski nie jest za nami, lecz przed nami. Wszystkie namiętności są święte, wszystkie pożądania winny być zaspokojone". Socjaliści polityczni mówili tylko o wspólności dóbr; ci dodali do tego wspólność kobiet. Każdy wedle swego gustu i uzdolnienia.

Wszyscy zatem przyjmowali za zasadę, że celem człowieka jest szczęście doczesne, że ono polega na posiadaniu bogactw materialnych; że posiadanie to jest możliwe, ale stoi mu na przeszkodzie społeczeństwo, stare, zepsute społeczeństwo, opierające się wszystkiemu, co dobre; że zatem trzeba to społeczeństwo wyrzucić, aby odbudować je na nowo, obalając lub rozdzielać własność, znosząc lub przekształcając rodzinę i wyganiając religię: trzy największe przeszkody do powszechnego uszczęśliwienia.

Gdy ukazała się ta teoria, klasy bogate wydały okrzyk zgromy. Jakto! utrzymywać, że szczęście jest celem człowieka, kiedy z historii i doświadczenia sześciu tysięcy lat widzimy jasno, że chcąc nie chcąc człowiek musi cierpieć! Jakto! naruszać własność, tę tak świętą i nietykalną potrzebę serca ludzkiego! Targnąć się na rodzinę, na szczęście i urok życia! A wołając tak, chociaż sami niestety w tysiącny naruszali je sposób, mieli bogaci niezaprzeczoną słuszość.

W istocie wszystkie te teorie są wstrętne, zarówno ze stanowiska religii jak i moralności, a nadto są one zgubne dla wszelkiego porządku społecznego. A nie trzeba zaiste aż tylu przyczyn, ażeby spowodować katastrofę. Dosyć jednego tylko wyraźnego słowa. Oto ono. Powiedzieć cierpiącemu ludowi, że są sprawcy jego cierpienia. Powiedzieć mu, że ma prawo do szczęścia, a społeczeństwo mu go odmawia: rzuci się na nie i zetrze na miazgę. Powtarzam więc, że wszystko to jest niegodziwe i zasługuje tylko na najmocniejsze potępienie.

A jednak zastanówmy się trochę. Jeżeli niema ani Boga, ani duszy nieśmiertelnej, jeżeli doczesność jest wszystkim, a wieczność urojeniem jedynie, czyż nie naj-

większą mądrością jest powiedzieć sobie: Używajmy. „Rozkosz jest wszystkim — powiedział Wolter — kto ją uchwyci, zbawion jest". A zresztą cóż powiedzieli ludowi? Powiedzieli mu tylko, co mówicie sami sobie: „Człowiek jest nato, aby używał". Mieli więc słuszość? Znajdźcież w waszej moralności bez Boga jakąkolwiek zasadę, któraby im zaprzeczyła.

Tak jest, znajdźcie mi poza religią jeden jedyny powód, skłaniający tego człowieka, który wam czyści obuwie, nosi wodę, aby był zadowolony ze swego losu, aby niósł codzienne brzemie i zgodził się na nie! Patrzcie, ile tu będą warte wasze słabe racje obowiązku, honoru, własnego interesu.

— Ale, mój kochany, masz obowiązek słuchać i pracować.

— Aha, mam obowiązek pracować, a pan zapewne rozkazywać! Mam mrzeć głodem, aby pan używał! I dlaczegoż to? Ponieważ urodziłem się ubogim. Więc mój obowiązek wynika z przypadku! Niech więc przeklęty będzie przypadek! przeklęty i zniesiony!

— Ale, mój przyjacielu, zapominasz o honorze i opinii!

— Mój honor? honor czyszczenia pańskiego obuwia! Powiedzą: „Jakób dobrze czyści buty pana!" To mi dopiero zaszczyt!

— Ależ pomyśl przynajmniej o własnym interesie.

— A tak, interes! Bardzo dobrze! mam interes słuchać, jeżeli jestem sam jeden, ponieważ inaczej byłbym zgnieciony. Ale jeśli nas było więcej, jeśli byśmy się stowarzyszyli? Jest nas sześć milionów robotników, cztery miliony służących: czyż połączywszy się, nie moglibyśmy rozbić naszych oków o głowy tyranów? Wtedy, panowie, role byłyby zamienione: waszym „obowiązkiem" byłoby słuchać, waszym „zaszczytem" czyścić nam buty, waszym „dobrze zrozumianym interesem" byłoby mrzeć głodem, pracować i cierpieć!

Wiem, że inni biorą rzecz z wyższego stanowiska. Kładą w uszy ludu wielkie słowa prawa i woli narodu. Pożądanie prawa, posłuszeństwo woli narodu. Ale jeżeli nie wierzycie w Boga ani wy, ani lud, skądże obowiązująca siła prawa? A w braku sumienia i religii czemże jest wola narodu, jeżeli nie pogwałceniem kilku przez wszystkich? Nie jestem winien posłuszeństwa żadnemu a żadnemu człowiekowi, ponieważ jestem mu równy. A jeżeli

nie winienem nic jednemu, tom również nic nie winien dwom, trzem ani dziesięciu. Zero pomnożone przez dwa, trzy, dziesięć, sto, tysiąc pozostanie zawsze zerem. Wasza wola narodu jest więc tylko uciskiem mniejszości przez większość. Będziemy ją znosili, dopóki nie będziemy mogli jej zdeptać.

Jak można nie widzieć, że wszystkie te teorie, wprawiające lud w prawdziwe oszołomienie, są logicznym wynikiem tych wszystkich, które nasz wiek wychwalał, pieścił, głosił i w czyn wprowadzał. Człowiek przychodzi na świat dobrym; psuje go społeczeństwo. Człowiek rodzi się wolnym; okowy nakłada nań prawo. Człowiek rodzi się szczęśliwym; uciska go i udręcza religja. Ale któż to podtrzymuje społeczeństwo, te prawa, tę religję, które mnie dręczą i uciskają? Ludzie? Więc rozbijmy ich o bruk!

Słuchajcie i przyznajcie swój błąd. Powiedzieliście: „Człowiek jest wolnym”, nie mówiąc, pod jakimi warunkami może być wolnym. Powiedzieliście: „Ludzie są równi między sobą”, nie dodając, w jakich granicach. Powiedzieliście: „Ludzie są przeznaczeni do szczęścia”, nie dodając, gdzie, jak, kiedy to szczęście będzie możebne. Lud ten żąda więc od was owej wolności, równości, szczęścia. Jest on tylko logicznym. Jakże sobie z tem poradzić?

Powiedzieliście, że tłumaczenie chrześcijańskie jest fałszywe. Prosimy o wasze.

Jedno z dwojga:

Albo szczęście po śmierci zasłużone przez cnotę; albo szczęście już na tym świecie, ale w takim razie dla wszystkich. Jakiemże prawem moglibyście odmówić go ludowi?

Albo rozwiązanie chrześcijańskie: bogactwo spoczywa na pracy, praca na kapitale, kapitał na cnocie, a cnota na Bogu.

Albo rozwiązanie starożytne: bogactwo przez pracę, praca przez kapitał, a kapitał przez niewolnictwo.

Obaliliście niewolę i dobrzeście uczynili; ogłaszacie wolność i czynicie jeszcze lepiej. Ale usuwając Boga, usuwacie i cnotę; wolność bez cnoty zgubi was.

Nie żebym wierzył w ostateczny triumf rozsąlatych namiętności klas niższych. Bóg uczynił niezależnem od człowieka istnienie wszelkich instytucji, będących podwaliną świata; ale nie chciał, aby namiętności nasze były

za zło nieodpowiedzialne. Kto sieje wiatr, zbiera na pewno burzę.

Oto patrzcie, jak już co lat piętnaście za każdą klęską otchłani rozszerza się, i to z waszej winy. Cóż logiczniejszego nad to, że po wstrząśnięciu politycznem w roku 1830 mieliście rok 1848, wstrząśnienie społeczne; po 1848, pierwszym zamachu na odwieczne prawa społeczeństwa, mieliście rok 1870 i 1871, drugi zamach, który byłby jeszcze o wiele straszniejszy, gdyby nie wojna zewnętrzna. Przyczyniliśmy się do tego potrosze wszyscy.

Zbierzcie razem nędzę, poządlwość, pychę, utopję, niewiarę: z punktu ich zetknięcia powstanie zwierzę dra pieżne. Dołączcie do nich słabość dobrych, zniewieściaość bogatych, zgorszenie dawane przez klasy wyższe, brak zasad, bezbronność społeczeństwa, wszędzie zepsucie i pogardę Boga: zwierzę się stanie straszliwem i niezmogomem. Dlaczegoż miaoby się cofać? przed czem?

Nie, nigdy, w żadnym czasie, w najbardziej nawet barbarzyńskiej starożytności nie widziano tak nierozważnego, nierozsądnego i zgubnego postępowania, jak to, na które dziś patrzymy. Podczas gdy wszędzie klasy wyższe rozumieją, że mają obowiązek, a jeżeli już nie obowiązek, to dobrze zrozumiany interes w tem, aby wychowywać klasy niższe, umoralniać, wpajać w nie zasady religji, aby były uczciwe, czyste, wstrzemięźliwe, posłuszne, aby szanowały cudzą własność — tutaj, we Francji, klasy wyższe zdają się od pół wieku mieć jedną tylko myśl: wydrzeć z serca ludu wszelką religję, to znaczy wszelką moralność, wszelkie sumienie, wszelkie poczucie obowiązku, wszelki hamulec namiętności. I zdawałoby się, że im więcej cierpiały klasy ubogie, tem zawzięciej starano się je zdemoralizować. Mamy naprzykład sześćset tysięcy żołnierzy; o zabawieniu ich i zepsuciu myślano zawsze; co rok przysyłano ich sto tysięcy do Paryża, skąd po roku wychodzili zgangrenowani, zepsuci do szpiku kości. Ale jeżeli kapłan chciał zbliżyć się do nich, jeżeli biskup zamierzył utworzyć dla nich szkołę, dać im mszę w niedzielę, zaraz w prasie podnosiły się trwożne okrzyki, a u wyższych oficerów usiłowania te spotykały się z zimną, grzeczną, ale nieprzepartą opozycją. Mamy sześć milionów robotników; co robili pracodawcy, bogaci właściciele fabryk? Przedłużali w niedzielę pracę aż do południa, a otwierali pracownie i fabryki w poniedziałek za ledwie o dwunastęj, ażeby przeszkodzić robotnikowi słyszeć słowo Boże w nie-

dziele, a dopomóc mu psuć się w poniedziałek w szynku. Mamy pięćset tysięcy urzędników kolei żelaznych, biedaków, których straszna praca, czuwanie we dnie i w nocy wyklucza poniekąd ze społeczeństwa: czy dalsie im czas i sposoby, aby mogli zadosyćczynić choć głównym obowiązkiem religijnym? Kiedyż to urządzaliście uroczystości publiczne, zebrania wyborcze, zgromadzenia ludowe, targi, przeglądy? Zawsze w niedzielę, zawsze w godzinach nabożeństwa w kościołach, jakgdyby dla lepszego zaakcentowania przed ludem waszej pogardy dla rzeczy boskich.

A jednocześnie burżuazja, która nie zaniedbywała niczego, aby wydrzeć z serca ludu wszelką religję, a z nią wszelki hamulec moralny, wszelką rezygnację, wszelkie poddanie się swemu ciężkiemu losowi, jeszcze usilniej rozbudzała w nim wszystkie pożądliwości. Zamiast tych wstrzemięźliwych, prostych i surowych obyczajów, które u bogatego są jakby hołdem oddanym ubóstwu, znieważały jego nędzę wystawy zbytku, zepsucia, rozpusty. Czyż sądzicie, że ci wszyscy lokaje, ci woźnice, wyczekujący was zziębli całymi nocami na kozle, świadkowie przez szyby oświetlonych salonów waszych tańczących i półnagich cieni; że pokojowe, codzienne świadki waszego zbytku, beczynności i intryg, a często skandalów, w oczekiwaniu na was do późnej nocy, czytające wzięte z waszego stolika romanse, które was zepsuły; czy sądzicie, że robotnik, człowiek z ludu, powracający do swego lichego mieszkania, gdzie w nędzy czeka na niego żona, a którego wasz dwuznaczny zbytek obrzucił błotem po drodze; czyż sądzicie, że wszystkie te dusze nie przejmują się zawiścią, oburzeniem i gniewem! A jakież to słowa wychodzą często z ust bogatych rozpustników, słowa, będące mieszaniną bezbożności, zepsucia, pogardy ludu, nienawiści Boga, a które są słyszane i przyjmowane z gorzką radością przez nędzarzy! Nie, takie słowa, przykłady i postępowanie nie mogą być stracone. Schodzą do ludu, rozchodzą się po jego żyłach, jak trucizna, jak jad zabójczy, i sprowadzają straszliwe owrzodzenia.

Dzieje się dziś z własnością to samo, co w XVI wieku działo się z Kościołem. Pomimo ostrzeżeń Świętych dozwolono mnożyć się nadużyciom, i powstał protestantyzm. Dzisiaj nadużycia mnożą się we własności, w kapitale, w użytkowaniu bogactw. Chrześcijanie żyją jak poganie. Stąd socjalizm to protestantyzm w ekonomii politycznej.

II.

Zważcie teraz jedną jeszcze okoliczność, zwiększającą znacznie niebezpieczeństwo.

Obok tego ludu, dla zwrócenia jego uwagi na te zgorzelenia, dla nauczania, jak wyciągać z nich wnioski, są w szynkach, w klubach, apostołowie demagogji, tej dzikiej demagogji bez wiary, bez prawa, bez obyczajów, nie będącej doktryną, ale zepsuciem; głoszonej niekiedy przez podupadłych panków, niekiedy przez rozpustników lub oszustów, tej demokracji posiłkujących się sztyletem, która zjawiła się w 1793, powróciła w 1848, okazała całą pychę, dzikość, nienawiść społeczeństwa i religji w 1871 r. Ona żyje pod ziemią w kryjówkach tajnych towarzystw i czyha na lud, ażeby go *kszałcić*, jak utrzymuje, to jest wpajać w niego nienawiść wszelkiego porządku społecznego, tudzież wszelkiej religji.

I patrzcie, co się już dzieje w klubach i na zjazdach. Wszędzie chór złorzeczeń i przekleństw przeciwko Bogu i społeczeństwu, chór oskarżeń i mężobójczych pogroźek. Przedewszystkiem uchwalane są wszędzie postanowienia jak najbardziej wrogie dla religji, i jednocześnie najzgubniejsze zamachy na społeczeństwo.

A zauważcie, że to nie kilka zapalonych głów, nie kilka głosów przebrzmiałych bez echa. Imię robotnika dziś jest legjon. Policzył się on i zadrzał, dowiadując się o swej ilości. Spojrzał na swoje muskularne ręce i uśmiechnął się z politowaniem na widok słabych rąk bogacza; powitał z uniesieniem zapowiedź wielkiego przewrotu, jak upokorzony i ślepy Samson, który obracając koło, pocieszał się odrastaniem włosów i wraz z tem nadchodzącą godziną pomsty. Było ich sześć tysięcy w Genewie, tyleż w Bernie, delegowanych przez komitety Francji, Anglii, Włoch, Prus, nawet Rosji, ogłaszających powszechną rzeczpospolitą, depczących wszelkie uczucia narodowe i patriotyczne, zagłuszających dzikimi wraskami najłżejszą wzmiankę o nieśmiertelności duszy, religji, a jednocześnie orzekających zagładę wszelkiej władzy, armji, urzędów, żądających zniesienia rodziny, małżeństwa, własności — słowem, obejmujących tą samą nienawiścią religję i społeczeństwo. Nie chcieliście wierzyć, że porządek społeczny i polityczny ma za podstawę porządek religijny; albo jeżeliście to przyznawali, to tylko w sposób czysto literacki, cytując starożytność. Czy tyl-

ko nie będziecie musieli dowiedzieć się o tem własnym kosztem?

Ale czyż już tego nie wiemy? Wszak się już ukazała ta dzika i krwawa demagogja. Ukazała się już nie w klubach i na kongresach, ale na ulicach Paryża z fuzją w jednej ręce, a z niecąciami pożar bombami i naftą w drugiej. Podpaliła wielką stolicę z czterech rogów. Pomniki, muzea, biblioteki, arcydzieła genjuszu ludzkiego, domy prywatne i pałace — niczego nie oszczędziła, a jednocześnie mordowała zakładników, kapłanów i zakonników, arcybiskupa paryskiego, urzędników, oficerów, najszlachetniejsze ofiary. A niczem jeszcze to, czego dokonała, wobec tego, co zamierzała.

Wiecież jednak, co mię jeszcze może więcej przeraża, aniżeli zbrodnie tej dzikiej demagogji? Oto jej organizacja. Można było przypatrzeć się jej przy krwawym blasku pożarów. Nie sześć tysięcy ich jest, ani dziesięć, ani sto, jak to można było sobie wyobrazić, czytając sprawozdania z Berlina i Genewy. Mamy cyfrę pewną. Jest ich kilka milionów, zjednoczonych w *Międzynarodówkę*, podzielonych na grupy francuskie, niemieckie, angielskie, włoskie, hiszpańskie, amerykańskie i t. d. i dążących do utworzenia pomiędzy sobą społeczeństwa odrębnego zupełnie od społeczeństw, w których łonie przebywają. Podczas, gdy te ostatnie są od siebie oddzielone wyraźnymi granicami i zachowują właściwe sobie cechy, różny ustrój, wrogie sobie namiętności, słowem swoją historyczną odrębność — te niezliczone grupy, między które się dzieli prawie cała olbrzymia masa najmitów naszego Starego Świata, porozumiewają się ze sobą, łączą i tworzą oddzielny naród we wciąż rozszerzających się kadrach *Międzynarodowego stowarzyszenia robotników*. Co ich obchodzi naród, w którego łonie na świat przyszli! Uśmiechają się na stare i puste słowo: „ojczyzna”. Oni znają jedną tylko: to olbrzymie kosmopolityczne społeczeństwo, w które łączy ich i w którym utrzymuje wspólność złudzeń, cierpień, uraz, ambicji, żądz, nadziei; społeczeństwo powszechne i ukryte pod ziemią, ale zespolone, zgodne, jednolite, dążące do jasno określonego celu: upokorzenia, ujarzmienia, unicestwienia tego drugiego społeczeństwa, które żyje jawnie, w świetle słonecznym.

Posłuchajcie jego programu. Oto on, jak go ułożyła socjalna demokracja w Genewie, a przyjęła rada ogólna w Londynie w 1869 r.

Art. 1-szy. Związek ogłasza, że jest ateistyczny. *Żąda zniesienia wszelkich religij*, zastąpienia wiary przez naukę, a sprawiedliwości boskiej przez sprawiedliwość ludzką; *zniesienia małżeństwa* w znaczeniu instytucji politycznej, religijnej, prawnej i cywilnej.

2-gi. Chce przede wszystkim całkowitego i stanowczego *zniesienia klas*, równości politycznej, ekonomicznej i społecznej obu płci, a w tym celu żąda koniecznie *zniesienia prawa do spadkobrania*.

3-ci. Potępia wszelką działalność polityczną, której natychmiastowym i bezpośrednim celem nie jest zwycięstwo sprawy klas pracujących przeciw kapitałowi.

Oto dzika i krwawa utopja. Zaczynając od bezbożności, dochodzi do zniesienia małżeństwa, prawa do spadku, do „wywłaszczenia posiadaczy na rzecz ogółu” i do „uniwersalizacji pracy i kapitału.” Są to ich własne wyrażenia.

I któż to dokona tego dzieła? „Lud. Rewolucja społeczna.”

Jakież środkami? Wszelkimi możliwymi. „Skoro socjalna rewolucja — powiada *Egalité*, jeden z ich trzydziestu dwóch europejskich dzienników — wywłaszczy burżuazję na korzyść ogółu, jak ona niegdyś wywłaszczyła szlachtę i duchowieństwo, cóż się z nią stanie?

„Nie możemy powiedzieć na pewno. Ale prawdopodobnie nowy stan rzeczy da im nierównie cenniejsze dobro, pracę... a w razie niedoświadczenia... *kwity na zupełne*.”

„Ale powiecie: czyż uprzywilejowani dadzą się dobrowolnie ogołocić ze wszystkich przywilejów?

„Na to mamy tylko jedną odpowiedź: Lud wykona to, co zechce. Potrafi sam uzyskać to, czego mu będą odmawiali. Jeżeli mniejszość, rządząca nami dzisiaj, zechce spróbować walki, odpowiedzialność za jej zgubę spadnie na nią samą. Lud pójdzie swoją drogą, strącając pogardliwie do rynsztoku wszystko, co zechce stawić mu za-pory”.

Oto jest program, cel jego i środki. Mniejsza zresztą, gdzie się zaczyna akcja. Dzisiaj Paryż, jutro Rzym, pojutrze Londyn, Wiedeń lub Berlin. Odgłos świstawki zgromadzi ich dwieście lub trzysta tysięcy, roznamietnionych, dzikich, pijanych nienawiścią, pychą i winem, gotowych na wszystkie zbrodnie, a szczególnie na najohydniejsze. Istnieje bowiem logiczny związek pomiędzy bezbożnością a ostatecznymi krańcami tak rozkoszy, jak występku. I tak

samo jak bogate klasy, pozbawione Boga, wycieńczone, znudzone, marzą o nadzwyczajnych, nieziszczalnych przyjemnościach dla rozbudzenia stępiących zmysłów, klasy ubogie, dzikie, rozszalałe potrzebują dla zadowolenia się potwornych zbrodni. „Dogmaty istnienia Boga i nieśmiertelności duszy są to babskie brednie, które odrzuca rozum... — mówił jeden z przywódców demagogii — nam trzeba wielkich zbrodni krwawych, niesłychanych. Kiedyż już nie będę widział owej pospolitej moralności, owej cnoty, która mię nudzi!”

Oto, co się mówi i dokąd doszliśmy. A ponieważ w walce ze społeczeństwem lub choćby tylko z jedną jego klasą napotyka się religię, i rewolucja społeczna wie o tem, stąd do wszystkich jej nadużyć łączyła się zawsze nienawiść religii, posunięta do wysokiego stopnia. Zaraz na początku ogłosiła i zaprowadziła we wszystkich szkołach nauczanie bezwyznaniowe, bezcześciła, łupiła i zamykała kościoły, więziła i rozstrzeliwała księży i zakonników, jedynym słowem: dała się unieść posuniętej do ostatecznych granic bezbożności i nienawiści Boga.

A gdyby Opatrzność, postępując dzisiaj z nami jak ongi z cesarstwem rzymskim, któremu powoli i stopniowo ukazywała barbarzyńców — („sprawiedliwość Boska, która jest nierychliwą — powiada Bossuet, wspominając o pierwszych najazdach barbarzyńców — zadowoliła się wówczas wyznaczeniem przyszłych burzycieli Rzymu, ukazaniem mu różgi, którą miała go osiągnąć”¹⁾) — gdyby powtarzam, Opatrzność nie zamknęła w Paryżu tej hordy nowożytnych barbarzyńców, i gdyby się oni byli rozleli po wszystkich prowincjach, ujrzanoby już wówczas to, co nastąpić może za lat dwadzieścia: tępienie na wielką skalę, na przestrzeni całej Francji, kapłanów i zakonników jako też wybitniejszych osób świeckich.

O, nie odmawiam bynajmniej wielkości nowoczesnej cywilizacji; myślę, że nikt nie przyklaskiwał jej goręcej i szczerzej ode mnie; ale nie trzeba zamykać oczu, nie trzeba naśladować strusia, który goniony przez nieprzyjaciela, chowa głowę w piasek i, nie widząc już niebezpieczeństwa, wyobraża sobie, że ono minęło. Ja zaś, gdy myślę o stanie społeczeństwa europejskiego, przypominam sobie zawsze owo źródło, które Chateaubriand spotkał w sawannach amerykańskich: ocienia je wspinała palma,

¹⁾ Sur l'Apocalypse, II, 424.

powierzchnia wody wydaje się cichą i spokojną; ale skoro zajrzemy w głąb, spostrzegamy ukrytego na dnie wielkiego krokodyla, ostrzącego na nas zęby.

III.

A teraz pytam, jak zaradzicie temu stanowi rzeczy? Moja odpowiedź jest taka:

Jedno z dwojga: albo klasy wyższe szczerze, jawnie i odważnie powrócą do religii i przykładem życia oddadzą ludowi Boga, którego mu odebrały, albo też przejdą przez ogień.

Bo dwa tylko istnieją prawa na świecie: prawo zwierzęcości, mocą którego gatunki silniejsze pożerają słabsze, i prawo Bóstwa i religii, w którym wyższe istoty zstępują, zniżają się i łagodnie a czule wznoszą ku sobie słabsze. Albo więc powrócicie do tego prawa chrześcijańskiego, albo pogańskie prawo zwierzęcości odzyska swą moc. Tylko ponieważ już nie macie za sobą niewolników, a wyzwolone klasy ubogie są silniejsze od was i liczniejsze, będziecie pożarci.

Oddajmy sprawiedliwość wybitnym myślicielom XIX wieku. Widzę ich zaprzątniętych tem położeniem; ale muszę przyznać, że nie spostrzegam w ich myślach ani tej wzniosłości, ani tej głębokości i konsekwencji, których przesilenie wymaga.

Jedni, dobrzy z natury, ale krótkowidze, zajmują się wyłącznie materialną nędzą ludu. Wyobrażają sobie, że możemy wyjść z kłopotu, założywszy kilka domów dobroczynnych lub udzieliwszy przez biura zapomogi, i zmieniwszy trochę ustawy. Nie przeczę, że pod tym zwłaszcza względem jest dużo do roboty. Pójdę tu nawet tak daleko, jak mię tylko zaprowadzą, byle nie do krainy marzeń i niemożliwych utopij. Nie zapominajmy też, że zarówno życie człowieka jest krótkie, jak ziemia jest uboga; uprawiana z największą usilnością dawać będzie, jak to już mówiłem, nieco więcej, ale nigdy w stosunku do potrzeb. Dowiedziono matematycznie, iż wszystkie kapitały Francji, rozdzielone pomiędzy jej dzieci, przyniosłyby im po kilka centymów dziennie. Zatem mimo wszelkich z naszej strony wysiłków ubóstwo i nędza nie przestaną istnieć na ziemi i mogą być łagodzone tylko pracą, порядkiem, oszczędnością w klasach niższych, miłością bliźniego i rozumem w wyższych, to jest w jednych i drugich cnotą.

Czyż nie widzicie zresztą, że nędza ubogiego tkwi więcej jeszcze w jego duszy niż w ciele? Nigdy nie uczyniono dla niego tyle co dziś, i nigdy nie był mniej wdzięczny. Im więcej otrzymuje, tem mniej dziękuje, tem więcej wymaga. Dlaczego? Ponieważ wydarłszy mu z duszy Boga, odjęto wszelką miarę jego pragnieniom, wszelki hamulec jego żądom. Bo nietylko nagie poranione ciało tego męczennika potrzeba opatrzyć i leczyć: widzicie tylko połowę zadania, i to mniej ważną. Bardziej jeszcze chore jest jego serce. Nie zdziałacie nic, dopóki z niego nie usuniecie zawiści, pożądlivosti, gniewu, dopóki nie przywróćcie mu rezygnacji i nadziei. Ale bez Boga nie możecie się nawet kusić o to. Świat będzie zgubiony, skazany nieodwołalnie na gorzkie rozczarowania, na krwawe klęski, jeżeli nie zagasicie tych światel zwodniczych zapalonych na gospodarczym widnokręgu w zastępstwie światel niebieskich, i nie zwróćcie ubogiemu nadziei nieśmiertelnego zadosyćczynienia w życiu przyszłym.

Widzę innych myślicieli, lepiej pojmujących zagadnienie. Nie zaniedbując istotnej nędzy klas niższych, zajęci są szczególnie chorobliwym stanem ich umysłu. Mówią: „Dusza ludu potrzebuje światła. Potrzebuje ideału więcej jeszcze, aniżeli rzeczywistości, bo ma pociąg do zagrzebienia się w materji. Skąd jednak wziąć ten ideał? w jaki sposób wszczepić go ludowi? Przez oświatę. Tym sposobem, lecząc chwilową chorobę wieku, umocnicie na zawsze zdrowie rodzaju ludzkiego. Uleczycie mieszczaństwo i dacie podstawy ludowi.”

Otóż nie, o ile nie wezwiecie religji na pomoc. Dlaczego? Ponieważ lud zgorzkniały, chory, zawistny potrzebuje nietylko światła, ale pewnego, określonego światła: światła z nieba.

Przyznaję, że potrzebuje on też i światła ludzkiego: nauki. Dziś potrzebuje jej więcej, niż niegdyś. Lud religijny łatwiej może obejść się bez niej. Choć nie umie czytać ani pisać, dusza jego nie jest pozbawiona ideału. Ma światło, hamulec i kotwicę. Ma wielkie źródło ideału: religję. Ale lud bez Boga i nauki, bez boskiego i ludzkiego światła — to dzikie zwierzę. Zdolny on do największej łatwowierności; można go popchnąć do wszystkich zbrodni. Dlatego też pojmuję, że jeżeli w wiekach wiary i u narodów jeszcze chrześcijańskich mniej chodziło o naukę, dziś nie mamy chwili do stracenia. Odebraliście ludowi Boga, podnieście go przynajmniej do zrozumienia człowieczeń-

stwa, własnego interesu, poczucia honoru, do tych pozio- mych rzeczy, które nie potrafią stworzyć wielkiej duszy, spokojnego i czystego społeczeństwa, ale przynajmniej nie dadzą mu żyć i postępować na wzór bydła.

Szaleni jednak bylibyście, gdybyście wyobrażali sobie, że zakładając szkoły, szerząc oświatę, zaradzicie zupełnie złemu. Powtarzam raz jeszcze: lud potrzebuje światła obowiązku, światła pracy, cierpienia i dobrowolnej ofiary, światła poszanowania praw i przytłumienia żądz. Potrzebuje tego światła, padającego z wysoka, które mówi dziecku: „Pracuj i bądź posłuszne”; młodzieńcowi: „Bądź czysty”; człowiekowi dojrzałemu: „Bądź uczciwy”; starcowi: „Miej nadzieję.”

Odbierzcie mu to światło, dając natomiast wszystko inne: czyż umysł ludu będzie jaśniejszy, serce mniej zgorzkniałe, charakter mniej zawistny, lud cały uleglejszy? Owszem, ta właśnie nauka da mu możność czytywać dzieła marzycieli, utopistów, demagogów, bałamucić umysł w klubach i psuć duszę czytaniem złych dzienników. Zamiast ocalić ich i siebie razem z nimi, dacie jeszcze jeden oręż do ręki tym, którzy chcą wysadzić w powietrze społeczeństwo.

„No, to się skończy z nimi armatami!” Nie, nic się nie skończy bez Dziesięciorga przykazań, ale trzeba, abyście sami naprzód zaczęli je wprowadzać w czyn.

Ci, którzy sobie wyobrażają, że można się załatwić z pomocą armat, mówią: „Nie rządzi się zbuntowanym ludem, ale go się zmiata pociskami!” Ci wszyscy niech posłuchają innych słów tego samego genialnego człowieka, ale rozsądniejszych i lepszych: „Wiesz pan — mówił do Fontanesa Napoleon — co w świecie podziwiam najbardziej? to niezdolność siły do ugruntowania czego bądź. Dwie są tylko potęgi na świecie, miecz i rozum... Ten naostatku zawsze weźmie górę nad tamtym.

A tę prawdę szczególnie stwierdza się u narodów katolickich, gdy w nich nieustannie przebiega ożywczy prąd duchowości, honoru i swobody. Zwycięstwa miecza są tam zawsze przelotne.

Zresztą, jeżeli macie odwoływać się do miecza, to już nie będzie społeczeństwa, ale pojedynek pomiędzy warstwą wyższą a niższą. Przygotujcież się na wszystkie jego następstwa.

Świat zaznał już raz tego niebezpieczeństwa; ale wtedy powstał chrystjanizm i jak starożytny Orfeusz kazał

obu mieczom wrócić do pochew. „Chrystjanizm — mówi człowiek, którego słowa nie mogą być podejrzone o stronność¹⁾, — zgubił cesarzy, ale zbawił ludy... Otworzył drzwi lepiankom Chrystusowym pocieszycielom. Nie chodziło tu bynajmniej o możnych tego świata! Zajmująca bo też rzecz: ostatnie rżenie cesarstwa, zepsutego do szpiku kości! Ładny zabytek do zachowania, mumja Rzymu zabalsamowana dziewięciu wonnościami Nerona, spowita w całun Tyberjusza! Chodziło, panowie politycy, o ubogich, o słowo pokoju dla nich.

„I to uczyniło chrześcijaństwo. A co uczynili przez ciąg tylu lat ci, którzy je podkopali? Widzieli, że dlatego ubogi znosił ucisk bogacza, a słaby silnego, ponieważ mówił sobie: „Bogaty i silny będą mnie uciskali na ziemi; ale kiedy zechcą wejść do raju, ja będę u jego bram i oskarżę ich przed Bogiem.” Ta myśl dawała im cierpliwość.

„Przeciwnicy Chrystusa powiedzieli tedy ubogiemu: „Jesteś cierpliwy, bo czekasz dnia sprawiedliwości; ale tej sprawiedliwości niema wcale. Oczekujesz przyszłego życia, aby tam znaleźć odwet, ale tego przyszłego życia niema. Zbierasz łzy swoje i rodziny, jęki dzieci i łkania żony, aby je w godzinę śmierci złożyć u stóp Boga; oto wiedz, że Boga niema wcale.”

„Wtedy w istocie biedny przestał płakać, kazał zamilknąć żonie, a dzieciom iść za sobą i, wyprostowawszy się, świadomy swej siły, powiedział możnemu: „Ty, co mię uciskasz, człowiekiem jesteś tylko”; a kapłanowi: „Ty, coś mię pocieszał, kłamałeś!” Tego właśnie chcieli wrogowie Chrystusowi. Może sądzili, że uszczęśliwią ludzkość, wysyłając w ten sposób biednego na zdobycie wolności.

„Ale jeżeli ten ubogi, zrozumiałwszy raz dobrze, iż księża go zwodzą, bogacze grabią, że wszyscy ludzie mają równe prawa, że wszystkie dobra z tego są świata i że jego nędza jest nadużyciem; jeżeli ten ubogi, mający za całą wiarę w siebie, w siłę swych ramion, powie pewnego dnia: „Wojna bogatemu! i mnie się też należy szczęście na ziemi, ponieważ niema innego! i dla mnie ziemia, ponieważ niebo jest puste!” — wtedy, o wzniosli moralisci, którzyście go do tego doprowadzili, co mu powiecie, jeżeli będzie zwyciężony?”

A co powiecie nam, jeżeli on zwycięży?

¹⁾ Alfred de Musset, *La Confession d'un enfant du siècle*.

Dawniej pomiędzy temi dwoma światami, światem bogatym, chylącym się do upadku przez nadużycie rozkoszy, i światem ubogim, popychanym do dzikości przez zawiść bogactw — był Bóg, Ewangelja, Krzyż, aby je godzić i łączyć ze sobą. Nie chcecie ich teraz. Cóż pozostanie? miecz. Ale jeżeli miecz wypadnie z rąk waszych, zniewieściących w rozkoszach, jeżeli lud go uchwyci i wstrząśnie nim w dzikim gniewie, o wzniosli moralisci, raz jeszcze was pytam: co nam wtedy powiecie?

Przypuśćmy nawet, że w tym pojedynku bogatych i ubogich klas społeczeństwa pierwsze będą zawsze górą i zdołają z pomocą armat opanować zawsze rozruchy, wiecież, do czego doprowadzacie społeczeństwo? Cofacie je o osiemnaście wieków, powracacie do panowania przemocy i przygotowujecie nieuchronny powrót pogańskiego cesarstwa. „Będziemy się wówczas cieszyli w całej pełni — powiada pewien autor — tem, co historycy nazwali *pokojem rzymskim*, pewnym stanem perjodycznie wracającej gorączki, w której dzikość buntów jest przeplatana odrętwieniem służalstwa; poznamy przyjemność posiadania armii wiecznie wahającej się między wiernością a buntem, jedynej podpory i jedynej przeciwwagi, wciąż odnawiającej się a zawsze krótkotrwałej dyktatury; dla powstrzymania albo oszukania niecierpliwości naszego plebsu będziemy mieli jużto narodowe warsztaty i upiększenia wielkich miast, jużto porcje wydawane za kwitami; nasi bogacze będą uszczęśliwieni, jeżeli za cenę swej wolności, godności i ogromnych podatków będą mogli kupić zwodnicze pozory bezpieczeństwa z łaski; co czas jakiś przystaniemy, jako na zło konieczne, na powrót tych okresów anarchji, krótkich coprawda, ale okropnych, jakby stworzonych nato, ażeby zaszczepić u nas obyczaje Tai-Pingów; zresztą nic nam nie przeszkodzi pozwolić sobie na satysfakcję opozycji liberalnej dyletantów, którzy dla wynagrodzenia sobie brutalności prasy w czasach demagogicznej orgji będą zdobywali się na akademickie dowcipy, zagadkowe aluzje, głęboką ironję domyślników, i Francja będzie istniała jeszcze na mapie... aż dopóki Europa, niepokojona naszym przykładem, zmęczona naszymi szaleństwami, skuszona naszą słabością, nie uzna, że cierpliwość jej już się wyczerpała¹⁾).

¹⁾ *Lettres sur l'Association internationale*, par M. Dunoyer, ancien professeur d'économie politique à l'université de Berne. Te godne uwagi listy były drukowane w „Le Français”, maj 1871.

Słowem, cała choroba współczesnego społeczeństwa pochodzi z dwóch przyczyn: klasom bogatym brak Boga dla powstrzymania ich od upadku przez zbytek i nadużycie rozkoszy; klasom ubogim brak Boga dla uchronienia ich od zdziczenia przez zawiść i gniew. Ażeby wolność i szczęście powróciły społeczeństwu, ażeby rozproszyć się chmury, które się nad niem gromadzą, trzeba, iżby w niem warstwy ubogie i bogate zaprzestały walki, trzeba, iżby się pojednały i zjednoczyły. A pojednania tego i zjednoczenia nie było nigdy i nigdy nie będzie bez Boga.

Ale to wszystko jest zaledwie tylko połową prawdy. Wzniesmy się wyżej, obejmijmy wzrokiem szerszy widnokrąg, aby ujrzyć całą doniosłość niebezpieczeństwa.

IV.

Nikt już nie zaprzecza, że głównym zagadnieniem naszego wieku jest kwestja społeczna, tak jak kwestja polityczna była zagadnieniem wieku XVIII. „Demokracja napływa falami” — mówił Guizot w izbie deputowanych już trzydzieści lat temu. „Ten wiek będzie się nazywał wiekiem robotników” — mówił nie tak dawno Gladstone w angielskiej izbie lordów. Nikt, powtarzam, nie podaje już w wątpliwość faktu, że odbywa się dziś w Europie wielka rewolucja demokratyczna, a Francja jest głównym jej ogniskiem. Wszyscy to widzą, lecz wcale nie wszyscy jednakowo o tem sądzą. Jedni uważają ten ruch za rzecz nową i przypadkową, wmawiają w siebie, że będzie go można powstrzymać; drudzy przeciwnie, widząc, że jest najdawniejszym i najwytrwalszym ze wszystkich znanych w historii, uważają, że jest nieprzeparty. Przyznaję, że należę do tych drugich. Wierzę, że ruch emancypacyjny klas niższych bierze początek w najdalszych czasach historii chrześcijańskiej, trwa już ośmnaście wieków i postępuje wciąż naprzód, nie zatrzymując się ani na chwilę. Nie ludzie nim rządzą, ale on ich unosi; szczególnie podają mu się klasy niższe, nie rozumiejąc go. Jest on najzupełniej nieprzewidywalnym, bo jest najzupełniej naturalnym i logicznym.

Ale skoro z tego ruchu, którego prawomocność widzę tak jasno, przenoszę wzrok na społeczeństwo, w którego łonie lud występuje na widownię, ogarnia mnie przestach. Pod względem politycznym nic nie jest gotowe na jego przyjęcie; pod względem religijnym wszystko jest osła-

bione lub zburzone. Szukam tam, któreby mogły potok powstrzymać: niema ich, nie widzę nawet troski o ich zbudowanie.

Położenie jest podobne pod wielu względami do tego, które tak smutnie zaznaczyło koniec XVIII wieku. Ruch ówczesny nie był społeczny, był tylko polityczny, ale najzupełniej prawowity i z tego powodu nieprzewidywalny. Nikt nie widział tego jednakże. Nie słuchano tych, którzy to mówili; ci, którzy mieli jakieś przeczucia, odpychali je od siebie. Nie przedsięwzięto nic dla pokierowania tym ruchem lub powstrzymania go. Uniósł wszystko: władzę królewską, szlachtę, społeczeństwo.

Drzę, aby koniec XIX stulecia nie był dla nas jeszcze nieszczęśliwszy, bo z jednej strony ruch tegoczesny jako społeczny jest silniejszy, z drugiej — niewyznawana religja nie stanowi najslabszej bodaj tamy. Tocqueville mówi trafnie: „Jeżeli klasy niższe ruszą, zanim chrześcijaństwo zostanie odbudowane w umysłach, Europa ujrzy straszliwe, nie dające się niczem porównać, walki”. W istocie, chwila, przeżywana przez Francję teraz, dlatego jest tak ważna i straszna, że stanowi ona punkt styczny dwóch ruchów: jednego kończącego się, a drugiego poczynającego; niepożądane ich spotkanie może spowodować na świat wielkie klęski.

Pierwszy — to ten ruch przeczenia w rzeczach wiary, ruch burzący chrystjanizm. Rozpoczął się z Lutrem w 1517 roku, a jeszcze nie jest skończony, podobny do wielkiej trzyaktowej tragedji, dobiegającej obecnie końca, która pozostawia religję osłabioną, społeczeństwo zachwiane, władzę odartą z uroku, rodzinę w gruzach, a świat w niepokoju o to, co mu gotuje przyszłość.

Niema już katolicyzmu — powiedział Luter. — Był to pierwszy okrzyk, pierwszy akt tej straszliwej tragedji. Cały genjusz, dany mu od Boga, całą wymowę, humor, namiętność i wpływ swój cały poświęcił Luter na wyszydzenie Kościoła, na ośmieszenie papieża, biskupów, księży, zakonników, będąc przekonany, jak mówił, a może i jak wierzył istotnie, że na tych gruzach zdoła założyć panowanie Słowa Bożego w całej jego czystości, wznieść niepokalany gmach chrześcijaństwa.

Ale jest logika na świecie, jest pewna konsekwencja rzeczy, którym dziś czy jutro wszystko ulec musi. Jakto? ten stary Kościół katolicki, te liczne zastępy apostołów, dziewic, doktorów, ta jedność, świętość, płodność —

wszystko to błąd i kłamstwo? Czemże tedy jest Chrystjanizm? Czyż Chrystus, gdyby był Bogiem, nie powinien był czuwać nad swoim dziełem, bronić go, zapobiec, aby przesady nie skaziły jego piękności? Jeżeli nie uczynił tego, czemże jest i cóż można o Nim pomyśleć? Mówicie, że niema katolicyzmu, zatem niema i chrystjanizmu; niema Kościoła — niema więc i Chrystusa.

A jak znalazł się człowiek, obdarzony ogniem i wymową, z gminnym a potężnym śmiechem na ustach, który wydał pierwsze hasło, tak też zjawił się drugi, który dzieło pierwszego posunął dalej. W łonie najdowcipniejszego narodu na świecie, w kraju, gdzie śmieszność zabija pewniej niż siła, znalazł się człowiek, przewyższający wszystkich rozumem, który olbrzymiego talentu użył na wyszydzanie i ośmieszanie chrystjanizmu. Przez osiemdziesiąt lat Chrystus, posadzony na ławie oskarżonych, był wyśmiewany, wyszydzany przy oklaskach lekkomyślnego i zepsutego tłumu, i tak jak Luter przez pół wieku wszczepiał w Europie pogardę dla katolicyzmu, Wolter przez wiek cały wszczepiał jej pogardę dla chrystjanizmu.

Jakto! Chrystus jest tylko oszustem? ewangelja — wymysłem i oszukaństwem? Gdzież więc jest religja? Jakże Bóg mógł pozwolić na takie rzeczy! Więc cóż to jest Bóg? Precz z katolicyzmem! — powiada Luter w XVI wieku. Precz z chrystjanizmem! — odpowiada Wolter w w. XVIII. A wiek XIX dodaje: Precz z religją! Oto punkt, do któregośmy doszli, oto ostatnie słowo tragedji. Tragedji religijnej przynajmniej, bo śmiałe głosy, wysnuwając dalej logiczne następstwo z faktów, dodały: Precz z religją, zatem precz z rodziną, precz z własnością, precz ze społeczeństwem!

Wiek XVI ujrzał pierwszy akt tej groźnej tragedji, i cała Europa wstrząsnęła się w posadach.

Wiek XVIII ujrzał jej akt drugi i skapał się w potokach krwi.

Wiek XIX jest świadkiem trzeciego i oby nie przypłacił go życiem!

Ale w tej samej chwili, kiedy się kończy ten ruch przeczenia, burzący chrystjanizm, który pozostawia religję osłabioną, rodzinę podkopaną, społeczeństwo w gruzach, — rozpoczyna się ruch drugi, który, by się rozwijać bez niebezpieczeństwa, winien był zastać świat mocno ugruntowany w posadach. Ten rozpoczynający się ruch, ta no-

wa potęga, której imię jednych napełnia przestachem, drugich nadzieją, jest na ustach wszystkich — to demokracja. Nie mówię: demagogja prędko przemijająca. Mówię: demokracja, która bez względu na to, co o niej myśla, czy się nią cieszą, czy martwią, jest królową przyszłości. Ale do martwienia się nie widzę przyczyny, chyba tę jedną, że ukazuje się ona w chwili tak groźnej i ciemnej.

Czemże właściwie jest demokracja? To najwyższy kres tego niebezpiecznego, ale potrzebnego i godnego podziwu wznoszenia się, przez które chrystjanizm, dźwignawszy z ziemi lud, pozbawiony praw, okuty w kajdany, niewolniczy, uczynił naprzód z niewolnika poddanego, potem z poddanego człowieka wolnego, obywatela danej gminy, a z obywatela istotę coraz zdolniejszą do spełnienia wszelkich obowiązków publicznych. Któż bowiem zaprzeczy, że w chwili ukazania się chrześcijaństwa lud nie istniał? Trzy czwarte ludzkości było w kajdanach i poniżeniu niewoli. Pomału, łagodnie, nie zaprzeczając niczyim prawom, nie budząc żadnych dzikich chuci, chrystjanizm rozkuł kajdany niewolnika i, wznosząc go o stopień wyżej, uczynił zeń poddanego. Był to pierwszy krok, ale ile on kosztował! Ile czasu! Co najmniej trzysta do czterystu lat. Ile cierpliwości! Kilka razy świat się zatrzęsał w swych posadach. To wybuchał niewolnik, uważając, że chwila wyzwolenia nie nadchodzi zbyt długo; to brał za oręż pan, mniemając, że nadchodzi ona za szybko. Krew lała się nieraz, i to strumieniami. Na szczęście na straży stała religja. Władza jej była nieograniczona. Z wysokości przemawiała do bogatych i ubogich. I dzięki niej, dzięki głębokiej wszędzie wierze zrobiono szczęśliwie ten krok pierwszy.

Później, w XII i XIII wieku, uczyniono krok drugi. Poddany zamienił się w człowieka swobodnego, w obywatela swojej gminy. Tu także nie obeszło się bez strasznych wstrząśnień, bez krwawych rozruchów. Ale to było średniowiecze. Wiara tkwiła głęboko we krwi panów i ludu. Spotykano się u tego samego ołtarza, dzielono się tym samym chlebem, pito z tego samego kielicha. Niepodobna było, ażeby się nie porozumiano. Przeżyto krok drugi.

Dzisiaj robimy krok trzeci, a chociaż jest groźny, nie obawiałbym się go, gdyby czasy były inne. Bo na czemże ten trzeci krok polega? Na stopniowym podnoszeniu się mas pracujących do zupełniejszego wykształcenia, do grun-

towniejszej moralności, do powszechniejszego dobrobytu i, jako konieczny wynik tego wszystkiego, do szerszego wpływu politycznego. A cóż jest w tem wszystkim, co by nie było najzupełniej sprawiedliwe, co by nie wypływało naturalnie z Ewangelji? Któż chciałby odmówić ubogim nauki, robotnikom światła? A jeżeli wraz ze światłem dojdą do cnoty, któż mógłby odmówić im wpływu politycznego, prawa i obowiązku wchodzenia w sprawy swojego kraju? Ale w obecnym stanie rzeczy, wobec umysłowej ciemnoty ludu, rozjątrzenia serc, sumienia bez Boga, wobec rozpasanych i bez hamulca namiętności, cóż nad to niebezpieczniejszego? Piękna to rzecz — wolność, ale nie trzeba, aby przechodziła w swawolę. Nie trzeba, aby wolność stała się okropnym strychnicem z roku 1793. Nie trzeba nigdy mieć do wyboru braterstwa lub śmierci.

Ach! gdybyśmy po wielkiem przesileniu religijnem, którego ostatni kres rozwija się w naszych czasach, mieli ze sto lat nato, ażeby wypocząć, żeby ożywić przytłumione uczucie religijne, stracić w nicość ateizm w praktyce, gdyby ruch ludowy powstał niewcześniej, ażeby religja odbudowała swe tamy, ażeby miano czas oświecić demokrację, wzmocnić jej wiarę, naprostować obyczaje, naprzeciw jej ślepych, rozpasanych namiętności postawić znajomość praw i obowiązków — przyjdzie na świat demokracja odbyłoby się pokojowo i nie groziłoby niebezpieczeństwami.

Ale nadchodzi ona właśnie wtedy, kiedy wszystko leży w gruzach, kiedy poczucie Boga jest bardzo słabe, władza ugodzona w samo serce, rodzina rozprzęgnięta, społeczeństwo chore, religja zaledwie tlejąca, kiedy wszystkie tamy, mogące powstrzymać potok, są zburzone: to przerażające.

I dodam: oto nadchodzi z ateizmem na ustach, z nienawiścią w sercu, z umysłem przepojonym ideami bezbożnymi, buntowniczymi, zagrażającymi całości społeczeństwa. Jest czego zadrzeć! Szukam w swoich wspomnieniach historycznych i nie widzę żadnej epoki, przejmującej bardziej boleścią, politowaniem i przerażeniem.

Niech mi czytelnicy pozwolą na jedno wspomnienie, które mi pomoże przedstawić niebezpieczeństwo takim, jak je pojmuję. Słyszeliście pewnie o straszliwej powodzi, która zalała dolinę Loary w roku 1866. Otóż d. 27 września, na kilka godzin przed wielką klęską, byłem wraz z ogromnym tłumem na moście orleańskim. Loara

wzbierała z każdą godziną i wpadała pod arkady mostu, wyrzucając w górę płaty piany. Przepływała zagniewana, dumna; widok jej był wspaniały. Niespokojny o to, co się gotuje, spostrzegłem naczelnego inżyniera, który kierował robotami, i zbliżyłem się do niego, aby się dowiedzieć dokładnie, czego mamy się obawiać. — Boję się wszystkiego najgorszego — odpowiedział — ta noc może być straszna. Po chwili dodał: — Jest jednak coś, co by nas mogło uratować. Przybór Aljeru i wyższej Loary nie przypadnie razem. Przybór Aljeru, przynoszący nam 4,000 metrów sześciennych wody na sekundę, wyprzedza na dziesięć godzin przybór Loary, który ze swej strony przynosi nie mniej niż 5,000 metrów sześciennych. Tylko — ciągnął dalej z wyrazem zaniepokojenia — przybór Aljeru będzie trwał długo, i być może, iż pierwsze fale wyższej Loary zmieszają się z ostatnimi Aljeru. Nie potrwa to długo, wszystkiego trzy lub cztery godziny, ale godziny te będą straszne.

I rzeczywiście, podczas tych trzech czy czterech godzin tamy zostały przerwane w dwudziestu miejscach, a dolina stanęła pod wodą.

Wyborny to według mnie obraz położenia religijnego. Protestantyzm i jego dopływ, niewiara, kończą przepływać, ostatnie ich fale przechodzą właśnie, a w tejże chwili nadchodzą pierwsze fale demokracji. Początek jej splata się z końcem wieku XVIII. Oto, w czym leży niebezpieczeństwo. Ziemia drżała w ciągu stulecia parę razy. Czy to zdarzy się jeszcze? Czy wytrzymają tamy? Nie wiem, ale wiem, że źle to wybrana chwila na wypędzenie Boga ze świata. Nigdy bardziej nie potrzebowały Go społeczeństwa.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Czy prawda, że nauka wykazała niemożliwość stosunku między Bogiem a ludźmi?

Słyszę smutne głosy, które mi przyznają, że niewiara jest bolesna i zarazem jałowa. Prowadzi za sobą szereg niepokojów, smutków, zwiększających się coraz w miarę, jak postępujemy dalej na drodze życia.

— Ale z drugiej strony czyż nie widzicie, jakie zarzuty podnosi dzisiaj nauka przeciw religii?

— Wierzę w naukę — mówił mi świeżo pewien młodzieniec — jakże chcesz, księżę, abym wierzył w religię? Religja i nauka nie godzą się ze sobą.

— Dlaczegoż to? — spytałem.

— Dlaczego? Ponieważ zasadą i podstawą każdej religii jest z konieczności nadprzyrodzoność.

— Zapewne, każda religja ma za podstawę nadprzyrodzoność¹⁾. Każda uznaje działanie Boga, który zbliża się do człowieka i jako władca i przyjaciel wchodzi w jego sprawy. Bez tej interwencji Boga religja jest bezsilną mrzonką.

— Właśnie; dlatego też rozwije się ona w świetle nauki. Bo dla niej nadprzyrodzoność nie istnieje; nie ujrzała jej ani dotknęła nigdy, a uznaje tylko to, co widzi.

— Tak sądzisz? A jeżeli ja ci powiem przeciwnie, że właśnie w świetle nauki religja nowym zajaśnieje blaskiem. Jeżeli powiem, że nauka widziała nadprzyrodzoność, dotknęła jej ręką i przynosi obecnie zdumionemu

¹⁾ Nie bierzemy tutaj słowa *nadprzyrodzony* w znaczeniu teologicznym, ale w tem znaczeniu, jakie nadają mu dzisiaj wszyscy nieprzyjaciele religii. „Nadprzyrodzone jest niemożliwe”, to znaczy, że Bóg nie może mieszać się w sprawy ludzkie. Tak oni wszyscy pojmują ten wyraz. Walcząc z nimi, stajemy na tym samym gruncie i w tem znaczeniu używamy słowa *nadprzyrodzony*.

światu niespodziewany i niezbity tego dowód. Tak jest, oto najświetniejszy i najpiękniejszy wynik odkryć cudownych: wszystkie nauki, astronomja, geologja, filozofja, lingwistyka, historia, pod tą lub inną formą, wprost lub ubocznie, świadczą zgodnie o pewnej i częstej i nawet ciągłej interwencji Boga w sprawy tego świata. Rozwińmy ten wielki obraz. Pomimo niektórych pojedynczych przeciwdziałań zbliża się w nauce chwila, kiedy nie będzie można otworzyć jej ksiąg bez religijnego wzruszenia.

I.

Nauka godzi się na to, że pierwszy atom, pierwszy zaród, pierwszy ruch z konieczności pochodzą z przyczyny niematerialnej i że początek rzeczy jest niepojęty bez pierwotnego współdziału Boga.

Nie będziemy obecnie przyzywali tu ani astronomji, ani geologii, ani żadnej z gałęzi biologji. W ciągu dowodzenia podamy teksty Newtona, Keplera, Herschla, Arago, Cuviera, Kl. Bernarda, nawet Darwina. Wszystko tam jest jasne i niezbite.

Zostawmy też na uboczu piękne i nowe studia nad ruchem, ciepłem i ich przemianami. Będą one, wedle najważniejszych uczonych, nowym dowodem, że najdawniejszy początek wszechświatowego ruchu wyprzedza naszą epokę tylko o skończoną ilość czasu, że zatem miał początek, którego przyczyna była nazewnątrż wszechświata¹⁾.

Poprzestaśmy na umieszczeniu na czele tej dyskusji dowodu, zaczerpniętego z dzieła uczonego Cauchy. Dowód to pierwszego i koniecznego wdania się Boga, oparty na naukach matematycznych.

Cauchy stwierdza naprzód, że nie można przyjąć liczby aktualnie nieskończonej w absolutnem znaczeniu tego słowa, ani określać absolutnie nieskończonej serji momentalności czasu. Autor, wykazawszy niezbitemi rachunkami prawdziwość tego twierdzenia, a mając za sobą takich ma-

¹⁾ *Comptes rendus des séances de l'Académie des sciences*, t. X, 1866. Referat pana Dupré, dziekana wydziału nauk przyrodniczych w Rennes, o dążeniu każdego systemu materialnego do względnego lub absolutnego spoczynku. Patrz także *Les Sciences et la Philosophie* przez Th. H. Martina, dziekana wydziału nauk pięknych z Rennes, str. 308; *le Matérialisme et la Science*, przez Caro, str. 242, i uwagę B w końcu tomu.

tematyków, jak Poisson, Legendre, Lacroix, dodaje, że to zasadnicze twierdzenie można równie dobrze zastosować do serji liczb i przedmiotów, któreby istniały jedne po drugich, a nawet do szeregu wydarzeń, następujących kolejno po sobie. Tak, na przykład, ponieważ możemy stwierdzić, że w obecnej chwili istnieje tylko skończona liczba gwiazd, nie ulega wątpliwości, że liczba gwiazd, które niegdyś istniały, przypuszczając, że wiele z nich znikło, jest także skończona. To samo, co mówimy o liczbie gwiazd, odnosi się do liczby ludzi, którzy żyli na ziemi, do liczby obrotów ziemi po jej drodze, do liczby stanów, przez które przeszedł świat od początku. Istniał zatem pierwszy człowiek, była chwila, w której po raz pierwszy ukazała się w przestrzeni ziemia, w której zaczęła krążyć około słońca, w której świat cały wziął początek. Tak więc nauka zmusza nas do tego, czego nas uczy wiara, a mianowicie, że materia nie jest wieczna. Jeżeli nie przyjmujemy tego jako chrześcijaństwo, będziemy zmuszeni przyjąć jako arytmetycy, jako matematycy¹⁾. Cauchy dodaje, że i jako fizycy. Ale nie rozwija on tego twierdzenia. Tego nam zresztą aż nadto dosyć do uznania potrzeby i rzeczywistości wdania się Boga na początku.

II.

Na tem uczynionem dobrowolnie lub z konieczności pierwszym ustępstwie niewiara naukowa chciałaby się zatrzymać. Ale na próżno. Przyjawszy pierwszą interwencję Boga w stworzeniu materji, chcąc nie chcąc trzeba przyjąć i drugą. Po Stwórcy trzeba uznać Budowniczego.

Jedna nade wszystko nauka rzuca najwyższe światło na konieczność tej drugiej interwencji: jest nią astronomja, szczególnie odkąd Galileusz i Herschel wynaleźli teleskop, a Newton, Euler i Arago sporządzili mapę nieba. Rozejrzyjmy się w tem wspaniałem widowisku i nie obawiajmy się zatrzymać się przy niem dłużej. Tem niezbit-sze będą nasze wnioski.

Pierwszy znany teleskop, teleskop Galileusza, powiększał przedmioty siedm razy; Herschla zaś powiększa je

¹⁾ Cauchy, *Leçons de physique générale*. Wyciągi, ogłoszone w *Les Mondes*, przez ks. Moigno. *Impossibilité du nombre infini et ses conséquences*, Paryż, 1863.

sześć tysięcy pięćset razy. Kiedy go skierowano na sklepienie nieba, doznano olśnienia. Pokład gwiazd okazał się istotnie niezgłębiony, przytłaczający rozum i przewyższający wszystkie liczby, w których próbowano go zawrzeć. Herschlowie, brat i siostra, spróbowali tego jednakże, i oto do jakich doszli wyników.

Przekonali się naprzód, że zbiór wielkich gwiazd, stanowiących orszak naszego słońca, to tylko jedna z olbrzymich gromad, z których składa się droga mleczna, i że widziana z pewnej odległości gromada ta przedstawiałaby się jedynie jako plama nieco bielsza na tejże drodze mlecznej. Spróbowali zbadać tę białą plamę, i tylko ją jedną. Gołem okiem widać w niej na horyzoncie paryskim cztery tysiące sto czterdzieści sześć gwiazd. Ale oto mamy teleskop, i wiecież, ile ich dostrzegamy dzisiaj? W jednej tylko części konstelacji Bliźniat, gdzie najwprawniejsze oko rozróżnia sześć gwiazd, dobra luneta pokazuje ich więcej niż trzy tysiące. Cóż będzie z całym ogromem niebios! Cóż nawet z tą białą plamką, którą nazywamy naszym systemem słonecznym! Co do tego systemu oto najdokładniejsze wyrachowania nauki. Arago, Lalande, Delambre i Francoeur zgadzają się na ogólną liczbę mniej więcej siedmdziesięciu pięciu milionów widzialnych gwiazd. A pamiętajcie, że siedmdziesiąt pięć milionów gwiazd i planet stanowi jedną tylko gromadę drogi mlecznej; widziane zdala wyglądałyby tylko jak biała plamka, jak płatek piany w bezmiarze. „Mój Boże! jakże piękne są Twe Niebiosy! Kto zdoła przeliczyć zastęp słońc Twoich?”

Wszelako nauka nie poprzestaje na liczeniu gwiazd; waży je także. Te siedmdziesiąt pięć milionów gwiazd to nie siedmdziesiąt pięć złotych punkcików na lazurowej makacie. Waga ich jest dokładnie znana. Przypuśćmy, że są gdzieś szale dosyć duże, ażeby można pomieścić na nich ciała niebieskie; przekonano by się wtedy, że Saturn waży sto razy więcej, a Jowisz trzysta trzydzieści ośm razy więcej niż ziemia. Co do słońca, jest ono milion czterysta tysięcy razy większe od niej, a ponieważ Syrjusz jest znowu dwanaście razy większy od słońca, od ziemi zatem większy jest szesnaście milionów razy. Tak, ten błyszczący punkcik na niebie, który widzujemy wieczorami, jest szesnaście milionów razy większy od ziemi!

Z tego wnoszą, jakich trzeba odległości i niezmiernych przestrzeni, ażeby się te masy mogły poruszać. He-

zjod, chcąc nam dać wyobrażenie o wyniosłości firmamentu, przypuszcza, że spiżowe kowadło, upuszczone z nieba, spadałoby dziewięć dni i dziewięć nocy, zanimby dosięgło ziemi. Dziecinne wyobrażenie! Pociąg kurjerski, przebiegający pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, na przebycie drogi od słońca do ziemi potrzebowałby trzystu czterdziestu siedmiu lat. Tę olbrzymią odległość światło przebiega w ciągu ośmiu i pół minut. Wyrachujcie teraz na zasadzie tego niezmierną głębokość pokładu gwiazd. Otóż to światło, przebiegające siedmdziesiąt pięć tysięcy mil¹⁾ na sekundę, przebywające drogę od słońca w ośm minut, potrzebowałoby na przejście od Alfy z Centaura trzech lat i ośmiu miesięcy; od Węgi — dwunastu lat i pół; od Polarnej gwiazdy — trzydziestu jeden lat; od Kozy — siedmdziesięciu dwóch; prawda, że gwiazda polarna znajduje się o osiemnaście biljonów mil od ziemi, a Koza o siedmdziesiąt tryljonów. Od Alcjona wreszcie, najświeźszej z Plejad, światło przychodzi w pięćset lat. Zauważcie przytem, że głębokość niebios nie kończy się na Plejadach, owszem należą one do ich pokładów powierzchniowych. To też Herschel utrzymuje, że promień od jednej z tych teleskopowych konstelacji, wchodzących w skład drogi mlecznej, potrzebuje dwóch tysięcy lat, ażeby dojść do nas. Czy badanie naukowe zatrzymuje się chociażby tutaj? Nie. Siega ono aż do tych mgławic, przebywających na ostatnich wiadomych nam krańcach świata gwiazdowego. Ale tu odległość mąci już myśli. Światło — mówi Humboldt — mimo błyskawicznej szybkości potrzebuje dwóch milionów lat, ażeby przebyć niezmierną przestrzeń, oddzielającą nas od tych gwiazd. Od słońca przychodzi światło w ośm i pół minut, w dziesiątą część sekundy obiega kulę ziemską, a oto tu potrzebowałoby dwóch milionów lat! Wobec tego już się nie rozumuje, nie liczy. Jesteśmy przytłoczeni i pojmujemy całą trafność i delikatną ironię pytania, zadanego Abrahamowi przez Boga: „Zlicz gwiazdy, jeśli możesz!”

Ale to jeszcze nie wszystko. Najbardziej zadziwiający ze wszystkich wynalazków człowieka, podwójnie wzniósł i wielkością wyników i tem, że w odkryciu jego nie brał udziału teleskop ani żadne inne narzędzie, tylko sam czysty rozum ludzki, to prawo ruchu ciał niebieskich. Nic nie jest nieruchome w tych nieruchomych przestwo-

¹⁾ francuskich.

rach. Wszystko się porusza. Te miliony gwiazd krążą wszystkie w tym samym kierunku, w pewnym określonym porządku, w wymierzonych odległościach; wszystkie zakreślają najpiękniejszy ruch, obracając się naokoło siebie i jedne naokoło drugich, jak w starożytnym chórze. A cóż rzec o łagodności i harmonii tego tanecznego ruchu? Cóż szczególnie o jego szybkości? Ziemia krąży naokoło słońca z szybkością siedmiu mil na sekundę, czterystu dwudziestu mil na minutę, dwudziestu pięciu tysięcy dwustu mil na godzinę, sześciuset tysięcy mil na dobę. Jeszcze szybszy Merkury obraca się z szybkością miliona mil dziennie. Słońce tymczasem ze swym orszakiem planet zakreśla naokoło jakiegoś nieznanego środka krąg o tak wielkim promieniu, że wydaje się linią prostą, ruchem wspanialszym i powolniejszym, chociaż wynoszącym jeszcze dziesięć kilometrów na sekundę, trzydzieści sześć tysięcy kilometrów na godzinę, blisko miliona kilometrów na dzień¹⁾.

A na jakiejże to posadźce odbywa się ten taniec, powiedziałbym zawrotny, gdyby łagodność jego nie wyrównywała szybkości, na jakiej posadźce, powtarzam, tańczą te gwiazd miliony? Niema jej wcale. Tańczą w próżni. A nie zapominajcie o ich ciężarze. Słońce waży dwa nonyljony kilogramów, co wyraża się przez cyfrę 2 i trzydzieści zer:

2,000,000,000,000,000,000,000,000,000.

A masa Syrjusza waży dwanaście razy więcej. I wszystko to porusza się w próżni z szybkością, dla ziemi, sześciuset tysięcy mil na dobę!

A jakgdyby wielki Mistrz, który zorganizował te chóry, chciał przewyższyć sam siebie, między temi siedmdziesięciu pięciu milionami gwiazd naszego nieba, które są tylko częścią ogólnego ruchu, przechodzą komety o rozwanym warkoczu. Jest ich znanych siedmnaście milionów, posłusznych nieznanym prawom i przebiegających poprzez ten zgodny chór bez naruszenia jego porządku.

Newton odkrył rytm tego potężnego ruchu gwiazd i dzięki temu okrył się sławą. Ujrzał, co wprowadza w ruch gwiazdy, ale ten wielki, głęboko religijny mąż wzdręgnąłby się przed przypuszczeniem, że one porusza-

¹⁾ Arago, *Leçons d'astronomie*, str. 186 i n.

ją się same. Łatwo wyrzec: „Przyciąganie! przyciąganie!” Ale cóż to jest przyciąganie? Kto obdarzył gwiazdy tą siłą, która je pociąga ku sobie, a która w chwili, kiedy mogłaby się stać dla nich zgubną, jest równoważona siłą przeciwną? Kto dał im tę cudowną równowagę, rodzącą się nie z powszechnej nieruchomości, ale z wiekującego ruchu? Kto na koniec stworzył w łonie niezmiernych przestworów nie tylko owo arcydzieło piękności, ładu i potęgi, ale ów cud mechaniki, geometrii i rachunku, który zdumiewa rozważający go umysł? Niema wątpliwości: to Bóg — powiada Newton¹⁾.

I wszyscy genialni uczeni: Kopernik, Kepler, Galileusz, Kartezjusz, Leibniz, Euler, Clarke, Cauchy mówią to samo²⁾. Wszyscy żyli w prawdziwym uwielbieniu dla harmonii światów i tej wszechpotężnej ręki, która je rzuciła w przestrzeń i w niej utrzymuje.

A przekonania opierają nie na porywach uczucia, jak poeci, ale na cyfrach i twierdzeniach geometrycznych. Rozumowanie zaś ich jest tak proste, że dzieckoby je pojęło. Bo oto, jak sobie radzą:

Udowodniają przedewszystkiem, że materja z natury jest bezwładna, że zatem, jeżeli jakieś ciało jest w ruchu, to dlatego że zmusza je do tego jakieś *inne*, bo wszelki ruch materji jest z konieczności ruchem *udzielnym z zewnątrz*. A więc — powiadają — ponieważ w przestrzeni niebios panuje niezmierny ruch, unoszący w nieskończone pustynie miljarde słońc, których ciężar przytłacza wyobraźnię, jasne jest, że istnieje wszechmocny Motor tego ruchu.

Udowodniają dalej, że ten ruch niebios dowodzi rozwiązania zagadnień matematycznych, które kosztowały Eulera trzydzieści lat pracy, a o których siedmdziesięcioletni Newton mówił, że nie zdołał rozwiązać wszystkich. A więc — mówią — ten wszechmocny Dawca ruchu musiał też być wszechpotężnym Matematykiem, niedoścignionym Rachmistrzem.

Udowodniają na koniec, że ruch niebieski jest wynikiem dwóch harmonijnych sił: siły przyciągającej ciała do środka i siły odpychającej je od niego; że pierwsza, prawdziwa siła przyciągania, przyciąga ciało do jednego wspól-

¹⁾ Newton i Clarke, jego uczeń: „Przyciąganie jest skutkiem przyczyny niematerialnej”, *Philos. de Rohault*; tłumaczenie łacińskie Clarke’a, II, XI, 15. — ²⁾ *Comptes rendus hebdomadaires des séances de l’Académie des sciences*, t. XXI, Paryż, 1845.

nego środka, ale gdyby była tylko sama, rzuciłaby je wkońcu jedne na drugie w stos olbrzymi i nieruchomy; że druga zjawia się w porę, aby zapobiec temu niebezpieczeństwu, odpychając ciała w przestrzeń. Udowodniwszy, pytają, skąd bierze się ta druga siła, jeszcze od pierwszej dziwniejsza, istotny cud niebios? Niema dla niej innego wytłumaczenia prócz wiecznotrwałej i nad wszystkie światy wyższej Woli¹⁾.

I cóż odpowiecie na to wszystko, na tyle racji; na te poparte przez tak wysokie powagi liczne dowody, że jest Bóg, podtrzymujący gwiazdy swą ręką wszechmocną, że zatem wdaje się i zawsze się wdawał w sprawy człowieka? Co odpowiada pseudonauka, nauka bezbożna i materjaliistyczna?

Przeczytałem właśnie ich główne dzieła: *Siłę i materję* Büchnera, *Krążenie życia* Moleschotta, *Przedmowę do dzieła Darwina* przez Vogta, *Dawność człowieka* Haackla (mali to są jednakże ludzie wobec Kopernika, Keplera, Newtona, Galileusza, Eulera), przeczytałem, mówię, ich dzieła, i zmęczył mi głowę ten styl, ta niejasność i suchość, te szumne nowe wyrazy, to nieprzyzwyczajenie do ścisłego określenia i rozróżniania — wszystkie te braki w formie i treści, cechujące umysły, nie nawykłe do karność. Jestem zmęczony, ale więcej jeszcze zdziwiony, upokorzony niemal tem, co tam znalazłem.

Wiecie, w czym streszcza się ich całe dowodzenie? Zaledwie odważam się je wypisać: *oto, że gwiazdy utworzyły się same!*

To nie do uwierzenia, ale tak jest; przekonacie się o tem zaraz.

„Najwięcej uzasadnioną teorią filozofji przyrody — powiada Renan — jest to, że rozwój świata odbył się bez wdania się żadnej istoty z zewnątrz²⁾”. Littré mówi: „Nowa nauka tłumaczy świat przez przyczyny, tkwiące w nim samym³⁾”. Trzeci powiada: „Trzeba stać na bardzo niskim szczeblu istot rozumnych, ażeby szukać nazewnątrz przyczyn utworzenia się świata⁴⁾”.

Jakże to? — spytacie. Nic prostszego. Boć czemuż w gruncie jest świat w najwyższych nawet swoich zjawi-

¹⁾ *Oeuvres de Newton*, 1783, t. IV. List do Bentley’a. Patrz także Fulera: *Lettres à une princesse allemande* (list 68). — ²⁾ Renan, *Revue des deux Mondes*, 15 paźdz. 1863. — ³⁾ Littré, *Conservation, Révolution, Positivisme*, str. 26. *Paroles de Phil.*, str. 34. — ⁴⁾ About, *Progrès*, str. 13.

skach? „Wykwitem surowej materji”. „Mieszanią prostych atomów materji nieorganicznej¹⁾”. Jeżeli więc cofnięcie się jak najdalej wstecz, do początku, przed wszelkiem uorganizowaniem się materji, co znajdziecie? Atomy, nieorganiczne molekuly unoszące się w przestrzeni. Te atomy czuły potrzebę zmiany miejsca, ruchu, posuwania się naprzód, stawania się czemś²⁾. Parte tą potrzebą wprawiły się w ruch same, połączyły się z drugimi bez planu, bez cienia jakiej bądź celowości, ulegając poprostu prawu przyciągania, tkwiącemu w materji, i zczasem utworzyły gwiazdy i wszystkie światy. Oto cały system. Nie myślcie, abyście znaleźli co innego we wszystkich tych księgach.

Czytam to, odczytuję i nie wierzę samemu sobie. Mam ochotę pójść do autora tych systematów i powiedzieć mu: „Pomówmy, mój panie, otwarcie, bez próżnych frazesów. Czy wierzysz w to, co utrzymujesz? Czy wierzysz, że te niestworzone przez nikogo atomy krążyły sobie tak bez powodu w przestrzeni? Czy wierzysz, że krążyły tak przez całą wieczność? Jeżeli powiesz tak, to wytłumacz mi, proszę, co mogło je skłonić do utworzenia świata? Może powiesz: „Potrzeba ruchu i postępu”? Ale „jest chyba jasne, że fakt, któryby zwlekał całe wieki z urzeczywistnieniem się, musiałby zwlekać zawsze i z tej przyczyny nigdyby się nie stał³⁾”.

Kiedy tak rozmyślałem, w umyśle moim tworzył się obraz, od którego nie mogłem się uwolnić. Widziałem zegar, jeden z tych wspaniałych okazów, w których cuda mechanizmu doprowadzone zostały do najwyższego stopnia sztuki i doskonałości. W zegarze tym zamknięta była mrówka, która przebiegała wszystkie jego sprężyny. Gdyby posiadała rozum, jaka byłaby jej pierwsza myśl? Zwiedza oto żywo i ciekawie wszystkie sprężyny, koła, ciężary — całe to urządzenie, które przejmuje ją podziwem, i zapewne wyciąga wnioszek, że tak wspaniałe dzieło świadczy o potężnym i genialnym twórcy? Gdzież tam! odrzuca tę myśl. Uważa ją za niedosyć naukową. *Pierwszą zasadą mojej filozofji jest, powiada, że ten zegar utworzył się bez pomocy żadnej istoty z zewnątrz. — Nowym dogmatem nauki jest, że zegar wyjaśnia się przez przyczyny zawarte w nim samym.* Postawiwszy to sobie jako prawidło, pa-

¹⁾ Ibid, str. 17. — ²⁾ Renan, *Revue des deux Mondes*, 15 paźdz. 1863. — ³⁾ Martin, *Les Sciences et la philosophie*, str. 257.

trzy na wskazówkę. I cóż tak dziwnego, że się ona porusza? Czyż nie widzicie, że styka się z osią, obracaną przez koło? To koło, w szczególniejszy sposób ząbione, łączy się z drugim, które się również obraca. To zaś jest poruszane przez wahadło, które znowu wprawiają w ruch podnoszące się opadające wagi. Cóż nad to prostszego, i *trzeba stać bardzo nisko w szeregu istot inteligentnych, ażeby szukać przyczyn ruchu zegara nazewnątrz niego.* Co do składowych jego części, owych sprężyn, kół i ciężarków, jeszcze łatwiej dojść, skąd pochodzą. Bo czemuż wreszcie jest ten zegar? *Zbiorem prostych cząstek materji nieorganicznej.* Otóż te cząsteczki unosiły się w przestrzeni. Parte potrzebą ruchu, postępu połączyły się według swych stałych własności. Jedne cząsteczki mineralne utworzyły koła, sprężyny, wskazówki. Inne, roślinne, sznury i bloki. Inne znowu wagi. Wszystkie zaś bez planu, bez żadnego zamiaru, ulegając jedynie sile przyciągania, utworzyły to cudowne dzieło. *I trzeba stać bardzo nisko w szeregu istot rozumnych, ażeby poza zegarem szukać przyczyny jego bytu.*

Szczęśliwa mrówko, śpij w pokoju i bądź dumna ze swego genjuszu! Odnalazłaś naukowe wyjaśnienie zegara.

III.

Pobita na tym punkcie niewiara naukowa zwróciła się ku ziemi i, posilując się ciemniejszymi zjawiskami życia, spróbowała nowej walki. Z wyjątkiem kilku jej adeptów, oddanych materializmowi najkrańcowszemu, nie zaprzecza ona istnienia Stwórcy. Tylko, przyznając konieczność Jego wdania się dla stworzenia pierwszego zarodka, poprzestaje na tem i obywa się nadal bez Boga. Dla wytłumaczenia stopniowego zjawiania się stworzeń wystarcza jej działanie naoslep przyczyn drugorzędnych.

Ale i tu nauka przychodzi nam w pomoc, i doświadczalne najpewniejsze dane łączą się z najjaśniejszymi zasadami filozofji dla obalenia podobnej hipotezy.

Zgódźmy się na chwilę z naszymi przeciwnikami; przypuśćmy, że wszystkie istoty: rośliny, zwierzęta i człowiek pochodzą drogą stopniowych przekształceń od pierwszego zarodka, od pierwotnego typu. Nawet i w takim razie natura nie doszłaby do takich rezultatów, gdyby nią nie kierowała nieskończona mądrość.

Dlaczego? Ponieważ skutek powinien być ustosunkowany do przyczyny, a stosunku tego niema wcale pomiędzy grą ślepych sił a tym światem tak harmonijnym, gdzie jaśniej niedościgniona sztuka i gdzie we wszystkich twórcach przejawia się inteligencja.

Twierdzenie to, które jedna z tegoczesnych naukowych powag — Amerykanin¹⁾ Agassiz poparł mnóstwem naukowych dowodów, tak jest bijące w oczy, że zgadzają się na nie nawet najgorliwsi uczniowie Darwina, najzapaleńsi jego wielbiciele. Według Karola Lyella, „ten wielki łańcuch przemian, który sprawił rozwój świata organicznego, był zamierzony zgóry i szczegółowo kierowany”.

A Asa Gray przyznaje, że przemiany były prowadzone w pewnych korzystnych dla nich kierunkach. Owo zaś biedne echo, zwane Renanem, powtarza za nimi, „że wszystkie cząsteczki łączyły się, skupiały, według naprzód ułożonego planu, ażeby utworzyć ciała”.

Zgóry zamierzony. Co to znaczy? Według naprzód ułożonego planu. Przez kogo?

Prawda, Darwin nie zgadza się na te ustępstwa, utrzymując, „iż skoro już raz była jakaś forma macierzysta, do której utworzenia potrzebne było działanie Twórcy, wszystkie jej gatunki tworzyły się następnie bez wyższej interwencji lub jakiegokolwiek rozumnego planu²⁾”. Ale cóż zostaje w takim razie dla wytłumaczenia świata? Nieskończone błędzenie poomacku, inaczej mówiąc: przypadek.

Niedawno wobec wspaniałości świata gwiazd, powiadano nam, że powstał on sam przez się. Teraz wobec cudów ziemskiego świata utrzymują, że ojcem ich jest przypadek. Oto jest zasada naukowej niewiary, słabo zamaskowana szumnymi wyrażeniami technicznymi.

Ale komuż zdołacie wmówić, że świat mógł powstać przypadkiem, że to szczytne dzieło może być wynikiem działania sił ślepych, brutalnych, puszczonej samopas? Pomijam już niezmierną poezję natury, wynik jej najwspanialszej harmonji. Biorę jeden tylko szczegół, naprzykład oko. Któż uwierzy, ażeby ten delikatny i skomplikowany przyrząd, to arcydzieło mechaniki powstało tak sobie, pod działaniem ślepych sił? Darwiniści w pocie czoła usiłują wykazać nam, jak się oko formowało stopniowo. „Jeżeli — powiadają — będziemy śledzili krok za krokiem kolejno doskonalenie się oka w świecie zwierzęcym, dostrzeżemy

¹⁾ Z pochodzenia Szwajcar, zamieszkały później w Ameryce (przyp. tł.). — ²⁾ Darwin, *De l'Origine de espèces*, str. 507.

postęp stopniowy. I tak oko u zwierząt najniższych występuje jako prosta plamka barwnikowa, nie mogąca jeszcze odbijać obrazu przedmiotów zewnętrznych, a tylko w najlepszym razie wrażliwa na różnicę promieni światła. Naówczas przybywa jej nerw czucia. Później wewnątrz tej barwnikowej plamki rozwija się powoli pierwszy zarys soczewki. Ale brak jeszcze wszystkich przyrządów,łączonych w oku dla jego akomodacji i ruchu¹⁾, i t. d.

Ale naprzód, ta plamka pigmentu sama już jest cudem. Kto w tym ślepy, głuchy, niemym zarodku uczynił jedną cząstkę materji wrażliwą na światło? To niepojęte, i tak samo niepodobna tego wytłumaczyć, jak niepodobna wyjaśnić samego zjawienia się życia.

Potem, skąd wzięliście to historyczne następstwo różnych przyrządów oka? Wszystko to jest bezzasadne, fantastyczne. Przeciwnie, anatomja porównawcza stwierdza istnienie jednocześnie tych różnych stadiów rozwoju organu wzrokowego u rozmaitych klas zwierząt naszych czasów.

Natura nie robi prób, nie idzie poomacku, przynajmniej nie możecie tego dowieść, ale wedle tego wspaniałego i harmonijnego prawa, które wskazałem w drugim rozdziale tej pracy, wydaje raz wszystkie odcienie oka, od prostej plamy pigmentowej u stworzeń niższego rzędu, od pierwiastkowego zarysu soczewki u trochę wyższych, aż do oka człowieka i aż do oka orła. Najdoskonalszem bowiem nie jest wcale oko ludzkie, Bóg dał człowiekowi więcej, dając mu oko ducha.

Ale gdyby się nawet udało darwinistom wyjaśnić powstawanie oka zapomocą teorii nieskończonych kombinacji, co jest niemożliwe, oto inny organ, do którego już stanowczo nie można zastosować podobnego tłumaczenia. Bierzemy przykład ten od Klaudjusza Bernarda. „W jaki sposób — powiada ten znakomity fizjolog — sok żołądkowy, rozpuszczający wszystkie pokarmy, nie rozpuszcza samego żołądka, którego skład jest przecie ten sam, co i pokarmów, którymi się żywi? Długo nie umiano sobie tego wytłumaczyć. Obecnie wiemy już, że żołądek jest wysłany pewną powłoką czy też pokostem, nie podlegającym działaniu soku żołądkowego. Cóż innego na takie zabezpieczenie ścian żołądka mogłaby wymyślić najbardziej wydoskonalona sztuka? A jakie zdumiewające odkrycie, iż organ, wyrabiający tak niebezpieczny wytwór

¹⁾ Ernest Haeckel, str. 633, 634.

i używający go, jest uzbrojony właśnie taką opiekuńczą powłoką, która od początku musiała z nim razem współistnieć, bo inaczej zostałaby zniszczony, zanimby mógł wytworzyć sobie ten środek ochronny. Nie można więc tu przyjąć hipotezy długich prób i szczęśliwych trafów¹⁾.

Chcecie innego przykładu? Weźmijcie serce. Jest ono umieszczone wewnątrz i w centrum człowieka i opancerzone ze wszystkich stron, a podwójny ruch jego jest cudowny. Jednym wysyła ono do żył zdrowe i jasne ciałka krwi, które roznoszą życie wszędzie. A gdy się one wyczerpią i przygasną, przyjmuje je napowrót, zwraca im elektryczność, ciepło i znowu rozsyła je na wszystkie strony. Któż uwierzy, ażeby podobny cud powstał bez żadnego rozumnego planu, jako kaprys sił ślepych? ażeby wytworzył się powoli, stopniowo, przez trwające wieki próby? Cechą wybitną serca jest to, że od razu musiało być zupełnie doskonałe. Jest ono idealnie pięknym ustosunkowaniem wszystkich swych części, harmonią odpowiadających sobie szczegółów. Jest albo go nie ma. Najmniejsze obrażenie zabija je. I jedno to arcydzieło wystarcza dla zbitcia całego systemu.

Posuńmy się wszelako wyżej, do praw tych związków i uczuć, które stwarzają rodzinę, od których pochodzą ojcostwo i macierzyństwo. Napotykamy tu mnóstwo wzruszających i wzniosłych tajemnic. Zastanówmy się nad jedną z nich, najmniejszą; nad ową czarą na sercu matki, tak cudownie napełniającą się mlekiem z chwilą urodzenia dziecka. Niechże nam kto wyjaśni, przez jaki szereg prób, robionych naoslep, doszła natura do tego cudu! Czy za ledwie po niepowetowanych nieszczęściach spostrzegła ten brak? A jeżeli potrzebowała tysięcy lat, ażeby go uzupełnić, cóż się działo przez ten czas z dziećmi?

Moglibyśmy mnożyć przykłady, dotyczyć pokolei wszystkich warunków ziemskiego bytu, a zawsze dochodzilibyśmy do wniosku, że bez względu na to, jakich środków użył Bóg do wywołania stopniowo na świat roślin, zwierząt i ludzi — całość tego cudownego utworu i każdy jego szczegół świadczą o planie, który nieskończona Mądrość nakreśliła zawczasu, a wykonały Potęgą i Dobrocią. Wyznawali to głośno ludzie, których głos ma prawo być tu rozstrzygającym: Cuvier, Jussieu, Candolle, Jan Müller, Flourens, Brongniart, Agassiz. Wszyscy są zdania, że

¹⁾ Cl. Bernard, *Leçons sur les propriétés des tissus vivants*. Cytowany przez Paul Janeta w *Revue des Deux Mondes*, 15 lut. 1873.

„darwiniści błędzą, usiłując w przyrodzony sposób wyjaśnić zagadnienie, mające „nadprzyrodzoną Przyczynę“¹⁾.

Żeby więc wytłumaczyć początek rzeczy, nie wystarczy twórcza działalność Boga; potrzebna jest druga, organizacyjna która, po stworzeniu wszystkiego, wszystko uporządkowała.

IV.

Zresztą, przyjęliśmy hipotezę Darwina tylko chwilowo dla uwydatnienia naszego rozumowania, bo ze stanowiska naukowego jest ona niemożliwa do przyjęcia. Niepodobna było, aby życie przeszło z jednego królestwa do drugiego, nawet za przewodem Bożym — a to z tej prostej przyczyny, że przejścia tutaj nie ma.

Pomiędzy królestwami istnieją gwałtowne przeskoki, przepaście. Nadmieniałem to już w drugim rozdziale niniejszej pracy; teraz powinienem tego dowieść i tem uzasadnić naukowo potrzebę wdania się Boga.

Według hipotezy kosmogonicznej Laplace'a, Herschla, Arago, Ampère'a kula nasza była niegdyś ciałem gazowym. Skoro tak, zapytajmy nauki, w jaki sposób powstały na niej rośliny, zwierzęta i ludzie.

1. Rośliny. „Nam, naturalistom, tak niepodobna jest wiedzieć, skąd wzięły się na ziemi rośliny, jak znać początek wszechrzeczy“, mówi Bischof²⁾. Istotnie, roślina jest tworem nowym, ma wszystko to, co minerał, ale i coś nad to: centr organizacyjny, wewnętrzną siłę rozwoju, soki, odradzające nasienie. A Liebig pisze: „Zdanie, że natura posiada siłę twórczą, zdolną z niektórych materij w rozkładzie wyprowadzić różne rośliny, może być wynikiem tylko niedostatecznego badania“³⁾. — „Dla wyjaśnienia tej nowej istoty — powiada Becquerel — konieczne jest potrzebne działanie potęgi twórczej.“

Tyle co do roślin. Potrzeba było pierwszego wdania się Boga, aby stworzyć materję, drugiego, aby ją uporządkować; teraz niezbędne jest trzecie, aby po minerale nastąpiła nowa istota, roślina.

¹⁾ Brongniart, *Revue des cours scientifiques*, t. VII, str. 563. Paryż, 1870. Patrz także *Cours de physiologie comparée*. Leçons de M. Flourens, red. par. M. Ch. Roux, revues par les professeurs, I. 40, str. 174—180. Paryż 1856. — ²⁾ Przytoczony przez Hettingera w *Apologie du Christianisme*, t. I, str. 206. — ³⁾ Liebig, *Chemische Briefe*, str. 20.

2. Zwierzęta. Roślina w porównaniu z minerałem jest cudem, istotą nadprzyrodzoną. Jeszcze większym cudem w porównaniu z rośliną jest zwierzę. Posiada nie tylko wszystko to, co ma roślina, ale coś więcej: wewnętrzną zdolność ruchu, pojmowania dowolnych uczuć. A skąd bierze się ta zdolność? Nauka tegoczesna powiada z Flourensem: „Życie nie powstaje ze śmierci; życie rodzi się tylko z życia”. Mówiąc innymi słowami, niema przejścia pomiędzy światem nieorganicznym a organicznym. „Gdybym miał określić życie — pisze Klaudjusz Bernard — powiedziałbym: Życie to tworzenie. Każdy żyjący zarodek zawiera myśl, objawiającą się w jego rozwoju”. To jest, że przejście od rośliny do zwierzęcia nie jest dedukcją, ale transcendencją, tworzeniem, działaniem wyższej potęgi, powołującej do życia nową a wyższą istotę. Flourens, Klaudjusz Bernard, Cuvier, Liebig, Aleksander Humboldt i Quatrefages przyjmują ten pogląd po rozstrzygających doświadczeniach. Virchow mu nie przeczy¹⁾. A jeżeli taki, na przykład, Burmeister czepia się uparcie teorii samorodztwa, to dlatego, że jak sam naiwnie wyznaje, jest to jego ostatni argument, bo inaczej dla wyjaśnienia powstawania istot organicznych musiałby przyjąć działanie nadprzyrodzonej potęgi²⁾. Sam Bernard Cotta przyznaje, że „jest taka nierozwiązalna zagadka, która nawet pomimo naszej woli zmusza nas, abyśmy uznali nieskończoną potęgę Stwórcy; jest nią początek masy ziemskiej, jako też pierwsze zjawienie się na świecie istot organicznych”³⁾.

Tak więc, jak ukazanie się rośliny tak nieskończenie wyższej od minerału nie mogło nastąpić bez działania Boga, tak i powstanie zwierzęcia, nieskończenie wyższego od rośliny, potrzebowało nowego „stań się!” twórczej potęgi.

3. Człowiek. Czemże są dwie przepaście, o których mówiliśmy wyżej, w porównaniu z trzecią, oddzielającą zwierzę od człowieka? Wszak tu występuje istota w całym znaczeniu słowa nadprzyrodzona, istota nowa, całkiem niewspółmierna z tem, co ją poprzedziło, i nie mogąca być wyjaśniona inaczej, jak przez bezpośrednie działanie twórczej potęgi. Pozwólmy sobie zatrzymać się nad tem dłużej, gdyż właśnie z tego powodu skierowane są na tę kwestję wszystkie usiłowania materialistycznej nauki.

¹⁾ Hettinger, *Apologie du Christianisme*, t. I, str. 201. — ²⁾ Burmeister, *Geschichte der Schöpfung*, str. 304. — ³⁾ B. Cotta, *Gen.* t. II.

„Myśl, powiada Darwin, żeby tak różne pomiędzy sobą zwierzęta, jak małpa, słoń lub kolibr, mogły wieść swój ród od jednych i tych samych przodków, wyda się nową ludzom, którzy nie szli za postępem nowoczesnego przyrodoznawstwa¹⁾. A dalej: „Co się tyczy człowieka, ci, którzy utrzymują, że potrzebował on osobnego aktu stworzenia, zniżają swój poziom umysłowy do poziomu dzikich ludzi”²⁾.

Ponieważ więc człowiek nie był stworzony osobno, ale pochodzi od zwierząt, potrzeba, ażeby Darwin utworzył dla niego rodowód. Nie wprowadza go to bynajmniej w kłopot, a jeden z jego uczniów, Haeckel, uważa nawet za możebne ustanowić „z pewnością” dwadzieścia jeden stopni naszego drzewa genealogicznego. Naprzód małpa. „Przez uzębienie, budowę nozdrzy i pod innymi względami człowiek należy niezaprzeczenie do rzędu małp”³⁾.

To jest pierwszy stopień. Mamy i inne. Darwin dawniejsze zwierzęta workowate uważa za przodków małp. Workowate znowu pochodzą od pierwotnych jednootworowych (*monotreme*). Jednootworowe wyprowadzają się od ryb. Płuca człowieka to tylko przekształcony pęcherz pławny ryby. Przeszliśmy prawdopodobnie przez formę zbliżoną do ryb kostoszkieletowych (*ganoidei*), a przedtem jeszcze przez niższą od tamtej, istniejącą i teraz lancetnika (*amphioxus*). Wyżej jeszcze, a raczej niżej, łączymy się z pierwotnym konarem, który musiał zbliżać się do jednej z form żachw (*ascidiae*). Nakoniec na ostatnim stopniu tej linii wstępnej Haeckel stawia monery, które określa jako organizmy bez ogonów⁴⁾. A ponieważ prace Laplace'a, jako też Herschla, nie pozostawiły już wątpliwości co do pierwotnego istnienia masy ziemskiej w stanie gazu, a następnie rozżarzonego płynu — oto niektórzy posuwają się do twierdzenia, że mogliśmy mieć gazowatych przodków!

Oto jest ta doktryna. Narodziny jej wprawiły w zachwyt Taine'ów, Aboutów, Renanów — cały ten zaścianek nauki, który grozi obniżeniem naszego poziomu umysłowego, tak jak inny zaścianek obniżył już nasz poziom moralny. Dziwna rzecz! Oto ci ludzie, którzy wzdragają się

¹⁾ Darwin, *The Descent of Man*, str. 203. — ²⁾ Ibid., str. 386. — ³⁾ Ibid., str. 190. — ⁴⁾ Patrz wybrane artykuły ks. Lecomte'a, doktora *Revue Catholique de Louvain* o darwinizmie i początku człowieka, 1871 i 1872. Zacerpniemy wiele z tej umiejętnej i sumiennej pracy.

uznać siebie za współplemiennych z murzynami, nie posiadają się z radości na myśl, że w ich żyłach płynie krew małpia. Ale nie myślcie, ażeby nauka grała tu jaką rolę. Bardzo im też o nią chodzi! Nie chcą być braćmi murzyńska, ponieważ naucza tego religja, a uznają się za synów małpy, bo ona temu przeczy. W tem cały sekret.

Ale kiedy się tak radowali, prawdziwa nauka pracowała w cichości nad zebraniem dostatecznego szeregu przeciwnych dowodów drogą najpoważniejszych i niezbitych doświadczeń.

Otóż doświadczenia te dowiodły, że zarówno ze stanowiska anatomicznego i fizjologicznego, jak i umysłowego, moralnego, religijnego pomiędzy człowiekiem a małpą jest przepaść, „otchłań olbrzymia (*enormous gulf*), niezmierzona, nieskończona odległość (*a divergence immeasurable, practically infinite*)”, wedle wyrażenia pewnego darwinisty, zwyciężonego oczywistością¹⁾, że zatem powstanie człowieka wymagało osobnego wdania się twórczej potęgi.

Zresztą wszystkie te szaleństwa ducha ludzkiego i zboczenia chorych umysłów mniej w nas wzbudzają żalu, skoro wspomnimy, ile to pięknych prac im zawdzięczamy. Któż przedtem pomyślał o tak dokładnem przestudowaniu porównawczej anatomji ludzi i zwierząt? I któż przeczuwał całą głębię otchłani, wykopanej przez Boga między nimi pod względem budowy anatomicznej, i to aż do tych nawet organów, przez które zdają się najwięcej mieć między sobą podobieństwa. Napozór jedno i to samo. Przypatrzcie się bliżej, a poznacie całą różnicę.

I tak: człowiek stoi prosto, stopy jego spoczywają mocno i naturalnie na ziemi, wzniesiona głowa zwraca się ku niebu. I małpa tego próbuje. Zdawałoby się, że choć mniej dobrze chodzi od człowieka, zawsze jednak chodzi. A jednak nie. Małpa łązi, nie chodzi. Zbadajcie kręgosłup, stopy, szwy głowy jednego i drugiej: są to dwie zupełnie różne od siebie istoty. Dowiedli tego: Quatrefages w *Historji człowieka* i głębokiem *Sprawozdaniu o postępach antropologii*²⁾, Duvernoy w dokładnych i ciekawych *Studjach nad gorylem*³⁾, Gratiolet⁴⁾ i Alix⁵⁾ w *Anatomicznych*

¹⁾ Huxley, przytoczony przez ks. d'Argyll, *Primeval Man*, str. 50. — ²⁾ A. de Quatrefages, *Rapport sur les progrès de l'anthropologie*, str. 244. Paryż, 1869. — *Histoire de l'homme*, t. III, str. 31, 32. Paryż 1869. — ³⁾ Duvernoy, *Archives du Museum*, t. VIII, str. 173. — ⁴⁾ *Annales des sciences naturelles*, t. VIII, str. 347. — ⁵⁾ Ibid.

opisach szympansa, Bianconi w *Studjum nad człowiekiem-małpą*¹⁾, Godron w pięknej pracy *O gatunkach i rasach*²⁾. Jako potwierdzenie tego samego przytoczymy jeszcze wspomniałą pracę Owena: *Porównanie nogi człowieka i małpy*³⁾. Ta noga małpia to nawet nie noga, to ręka z wyraznym wielkim palcem, jak przystoi istocie łożącej. Dodajmy jeszcze Alixa uczone *Studjum nad ręką ludzką*⁴⁾, tym kompasem, który wedle słów Blainville'a okazuje geometrę i sam przez się wystarcza, ażeby między człowiekiem a zwierzęciem uznać nieprzebyty przedział.

Przed temi szczegółowemi i dokładnemi pracami zmuszeni byli złożyć broń Huxley, Schaaffhausen i sam nawet Büchner.

Ale nic ich bardziej nie zbiło z tropu i nie zmusiło do milczenia, jak prace Bischofa, a szczególnie Aëby'ego, z zakresu kranjologii. Aëby mianowicie, nader biegły anatom, postanowił przeprowadzić wyczerpujące porównanie między czaszką ludzką a małpą⁵⁾. Dzieło jego zawiera setki i tysiące pomiarów jednych i drugich. Badania te doprowadziły do wniosku, że czaszka człowieka i czaszka małpy napozór tylko są do siebie podobne; naukowo zaś niema pomiędzy niemi nic wspólnego. Co więcej, niejake podobieństwo jest tylko w początku, przy narodzeniu; znika zaś w miarę rozwoju. Rozwój obu czaszek odbywa się stale w kierunku odwrotnym. A i w tej pierwszej chwili „przedział między człowiekiem a małpą jest zawsze bez porównania większy niż między małpą a resztą zwierząt”.

Czy to więc badamy ogólną budowę ciała, kręgosłup, miednicę, szwy głowy, czy rozpatrujemy rękę, nogę, czaszkę — zawsze przychodzimy do tego wniosku, że ze stanowiska anatomji pomiędzy człowiekiem a małpą leży otchłań. Aëby wyraził to w obrazowy sposób: „Nauczylismy się uważać typ ludzki jako samotną wyspę, nie połączoną niczem z sąsiednim lądem ssących”⁶⁾.

Darwin nie odpowiedział ani słówkiem na te pierwsze rozprawy.

¹⁾ Bianconi, *L'Uomo-scimmia*, str. 49. Bologna, 1864. — ²⁾ Godron, *De l'Espèce et des Races*, t. II, str. 119. Paryż, 1859. — ³⁾ Owen, *On the Classification and geographical Distribution of the Mammalia*, 1859. — ⁴⁾ Alix, *Recherches sur la disposition des lignes papillaires de la main et du pied*, w *Annales des Sciences naturelles, Zoologie et Paléontologie*, t. VIII, str. 346. Paryż, 1867. — ⁵⁾ Aëby, *Les Formes du crâne de l'homme et des singes*, Lipsk, 1867. — ⁶⁾ Ibid. str. 91.

A przecież ten zarzut, uczyniony jego teorii, najmniej jeszcze przedstawia trudności. Cóż znaczy otchłani anatomiczna wobec otchłani fizjologicznej? Pomińmy tyle zasadniczych różnic, weźmiemy jedną tylko, ale która wystarcza w zupełności do wytworzenia pojęcia o niezgłębionej przepaści pomiędzy najdoskonalszą małpą i najniższym stojącym człowiekiem. Jest nią dar mowy artykułowanej. Już jest co najmniej sześć tysięcy lat, od kiedy człowiek „wzniósł się ponad małpę”¹⁾. Dlaczegoż ta tak długo pozostaje w zacołaniu? Dlaczegoż owe wielkie małpy, „pełne inteligencji i uczucia”, od których pochodzeniem tak się szczyli About²⁾, nie pomyślały o utworzeniu sobie mowy, któraby malowała ich uczucia i pojęcia? Wiedziecie, co na to odpowiadają wyznawcy Darwina? „Jeżeli wielkie małpy nie przemówiły dotychczas, to dlatego, iż nie poczuły tego potrzeby”³⁾. Nie są więc podobne do nas, gdy my potrzebujemy wypowiadać wszystkie swe uczucia i prócz języka ogólnego umiemy wytworzyć każdy sobie odrębny, odpowiadający nastrojowi duchowemu chwili.

Napróżno darwińscy dla odparowania ciosów, zadanych przez fizjologię i anatomję, odwołują się do geologii. Wyparci ze świata żyjących chronią się w świat wykopalisk, w czasy przedhistoryczne. Przed kilku laty poruszyła ich wielce znaleziona w Neanderthalu czaszka, zwięzła formą jakoby przypominająca typ małpy. Ale naprzód odcisk gipsowy, zdjęty z jej wnętrza, doprowadził do zupełnie innych wniosków⁴⁾. Przytem dzięki odkryciu mnóstwa czaszek kopalnych, szczególnie w Cro-Magnon (we Francji) i w Strangenas (w Szwecji), stwierdzono, że w tych dawnych czasach rasa ludzka nie tylko nie zbliżała się do małp, ale przeciwnie, plemiona, zamieszkujące dawniej Europę, przewyższały o wiele niejedno z dziś istniejących; że tedy, wedle słów Aëby’ego, „darwińscy nie mogą na poparcie swej hipotezy przytoczyć ani jednego faktu ze znanej nam dotychczas historii ludzkości”⁵⁾.

Już to braku odwagi nie możemy zarzucić darwinistom. Dają jej nadewszystko wybitny dowód, usiłując wykazać w zwierzętach wszystkie władze umysłowe, moralne i religijne, które dotychczas przywykliśmy uważać za

wyłączne cechy człowieka. Wymagała tego całość ich systemu; dla niej musieli dowieść razem z p. About, iż owe „pełne inteligencji i uczucia duże małpy i ludzie mają władze jednakowej natury, różne tylko co do stopnia”¹⁾. Ale jakże przeprowadzić podobne założenie? Wychodzimy już tutaj z dziedziny nauki, a wkraczamy w dziedzinę kuglarstwa. Bo, oto, albo tak poniżają oni władze umysłowe, że nie możemy się dziwić, że znajdują je u zwierząt, ponieważ posiadają je nawet maszyny. „Wszystko, co w jakikolwiek sposób zaznacza związek pomiędzy rzeczami i ich pojęciami — rozumuje. Jeżeli więc narzędzie mechaniczne spełnia czynność rozumną, nie widzę, dlaczego nie mielibyśmy mu przyznać zdolności rozumowania”²⁾. Albo też odmawiają stanowczo człowiekowi władz, których u zwierząt odnaleźć nie mogą. „Wola zwierzęcia — twierdzi Haeckel — jak i wola człowieka nie jest nigdy wolna. Nauka odrzuca stanowczo to tak rozpowszechnione mniemanie o wolności naszej woli”³⁾. Innym znów razem tak patrzyć się różnicy pomiędzy niemi a człowiekiem. Darwinowska umysłowa władza zwierząt, że nie można już dowieść, że „Skąd możemy wiedzieć, czy stary pies, mający dobrą pamięć i do pewnego stopnia żywą wyobraźnię, nie rozpamiętywa nigdy przyjemności, jakich doznawał na polowaniu?”⁴⁾. Dopatrują się w nich poczucia obowiązku, zarodków moralności, a nawet cnót nabytych⁵⁾. „Kiedy psy gończe nie gonią, a wyżły nie stają do zwierzęt, uchybiają swemu obowiązkowi i postępują źle”⁶⁾. Pies, według Vogta, obawia się rzeczy nadprzyrodzonych⁷⁾. W innym znów miejscu uczony ten upewnia, że koń posiada w wysokim stopniu pierwiastki idei religijnej⁸⁾. Brannbach utrzymuje, że pies ma dużo religii⁹⁾. Darwin miał psa, który wierzył w duchy¹⁰⁾.

Śmiech bierze, gdy się słucha tych teorii, i trudno brać je na serio; wówczas ich twórcy, unosząc się gniewem, oświadczają bez wahania, że ci, którzy nie podziwiają ich poglądów, stoją pod względem umysłowym daleko niżej od psów. Warto przeczytać to znakomite dowodzenie. „Niektóre twierdzenia naszych przeciwników — powiada

¹⁾ Renan, *Vie de Jésus*. Wstęp. — ²⁾ About, *Progrès*, str. 17. — ³⁾ Dally, *L'Ordre des primates et le transformisme*, str. 21. — ⁴⁾ *Congrès international d'anthropologie*, tenu à Paris en 1867, str. 359. Paryż, 1868. — ⁵⁾ Aëby, *Conclusion*.

¹⁾ About, *Progrès*, str. 17. — ²⁾ Huxley, cytowany przez Saint-Georges Mivarta w *Revue contemporaine*, styczeń 1872. — ³⁾ *Revue catholique de Louvain*, 1871. — ⁴⁾ Darwin, *The Descent*. — ⁵⁾ Ibid., str. 42, 52, 76 i n. — ⁶⁾ Id., *ibid.*, str. 32. — ⁷⁾ Vogt, t. I, str. 294. — ⁸⁾ Vogt, t. I. — ⁹⁾ W przytoczeniu Darwina, *The Descent*, t. I, str. 67. — ¹⁰⁾ Ibid.

Haeckel — dowodzą zdumiewającego braku jasnych i zdrowych pojęć, jako też braku związku w procesie myślenia — stawiając tem samem swych twórców *niżej od psów, koni i słoń* najmyślniejszych. Zwierzęta te bowiem *przeważnie nie są krępowane mnóstwem zasad i przesądów, krzywiących od młodości proces myślenia u olbrzymiej większości ludzi; tak iż często u zwierząt znajdujemy sąd o rzeczach naturalniejszy i sprawiedliwszy, aniżeli nawet u uczonych*¹⁾.

Ponieważ więc „te zwierzęta *przeważnie* nie są skrepowane mnóstwem przesądów i zasad”, nie zawadziłoby objaśnić nas, które mianowicie zrzuciły z siebie owo upokarzające jarzmo, a które, niestety, jeszcze je znoszą. Ale znakomity uczony nie pomyślał o tem, aby nam wyświetlić tę kwestję; a gdybyśmy go spytali sami, uznałby nas może za zbyt ciekawych.

Prawda, że nie wszyscy darwińscy posuwają się do takich nedorzecznosci. Uchodzi to tylko w Berlinie. Ale wówczas rzeczywistość zmusza ich do wyznań, któremi zbijają sami siebie. Przyznają, że między człowiekiem inteligentnym a niższymi od niego zwierzętami jest olbrzymia przepaść, przestrzeń niezmierzona, nieskończona — i oto, jak z nią sobie radzą. „Tak samo, jak umysł przenikliwy, widząc na ziemi uprawne rośliny i zwierzęta domowe, nie wiedząc nawet o istnieniu człowieka, wynioskowałby z nich o obecności i działaniu jakiejś rozumnej, wyższej od nich istoty, która kierowała ich udoskonaleniem; tak samo, widząc z jednej strony zwierzęta, z drugiej człowieka, musimy wniesić, że *istoty rozumne, wyższe od człowieka, musiały kierować działaniem przyczyn przyrodzonych*, ażeby sprowadzić to przejście od pierwszych do drugiego, które inaczej nie mogłoby się uskuteczyć”²⁾.

Jeżeli tak jest, wnosi bardzo słusznie uczony redaktor *Revue catholique de Louvain*, ponieważ znamy Boga, a nikt z nas, nawet i sam Wallace, nie zna tych przypuszczalnych istot, które miały kierować hodowlą naszych kosmatych przodków i wytworzyć z nich ludzi, czyż nie daleko prostszą i naukowo lepiej uzasadnioną rzeczą będzie przypuścić, że człowiek jest bezpośrednim tworem Boga? To chyba jasne jak słońce.

¹⁾ Haeckel, *Men. Morphologie*, t. II, str. 436, Berlin, 1866. —

²⁾ Wallace, *Contributions to the theory of natural selection; a series of essays*, Londyn, 1870.

V.

Mamy już tedy naukowe dowody, że Bóg kilka razy wdawał się czynnie w sprawy tego świata. Po pierwsze stworzył materję; po wtóre uporządkował ją według zawczasu nakreślonego planu; po trzecie stworzył rośliny; po czwarte — zwierzęta, a po piąte — człowieka. Dowodzą tego nie tylko księgi święte, ale także astronomja, geologia, fizjologia, anatomja i fizyka.

Jeżeli zaś Bóg kilka razy brał czynny udział w stworzeniu i uporządkowaniu świata, może wdawać się i nadal w bieg jego wypadków.

Le Play robi tę uwagę niektórym uczonym, którzy odrzucają interwencję, o której mówiliśmy, przyjmując ją w dwóch jedynie wypadkach. „Jeżeli, mówi, ma to być przeciwne rozumowi, aby Bóg stworzył świat przez szereg następujących po sobie aktów, nie wiem, w czem miałoby mu lepiej dogadzać przypuszczenie dwukrotnego aktu stworzenia — raz materji nieorganicznej, a drugi raz pierwszego żyjącego zarodka. Jeżeli nie ubliża to Bogu, że po tylu wiekach czysto mineralnych zjawisk, które zaznacza geologia, stworzył ten zaród życia — to dla czegożby ubliżać Mu miało kierowanie temi nieustannymi przemianami, których ślady odnajdujemy na ziemi i na niebie? Argumenty niedowiarzków sprzeciwiają się nawet prawu harmonji i konsekwencji, nieodłącznemu w umyśle naszym od Wszechpotęgi: rozum, dostrzegłszy jednorazowe wdanie się Boga, z konieczności wyprowadza z niego wniosek bezustannej Jego interwencji. Ta to zasada tworzy główną podstawę wszystkich wyznań. Prawdą więc jest, że badanie otaczającego nas świata skłania umysł raczej ku religji, aniżeli ku niedowiarstwu”¹⁾.

Ale nauka objaśnia wzajemny stosunek Boga i człowieka i w inny sposób, jeszcze godniejszy uwagi od tego prawa konsekwencji. Przypomnijmy sobie ten tak wychwalany w wieku XVIII system niewzruszoności praw natury, które miały być do tego stopnia nieugięte, że wmieszanie się wolnej woli musiałyby pociągnąć za sobą zagładę całego gmachu. Z jego pomocą filozofowie mieli nadzieję wykluczyć Boga od wszelkiego mieszania się do spraw tego świata. Otóż nauka nowoczesna rozproszyła to ciasne i fałszywe pojęcie o świecie i dąży do ukazania nam planu

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, t. I, str. 53.

stworzenia w nowym świetle, które będzie zarazem światłem religijnym.

Zobaczmyż, czy zrobiła ona jakie odkrycia w rozległych dziedzinach stworzonego świata. Zrobiła ich aż trzy, wykazujące jego prawdziwą piękność.

Pierwsze, że świat jest całokształtem sił, oddziałujących nieustannie jedno na drugie wedle praw ogólnych i stałych.

Drugie, że siły te są podporządkowane jedne drugiemu, tak iż silniejsze na każdym kroku znoszą, miarkują lub zawieszają czynność sił słabszych.

Trzecie nakoniec, że duch krąży swobodnie wśród tego zbiorowiska sił, rządzących materją. Miarkuje, zawiesza lub znosi jedne zapomocą drugich i staje wobec nich wszystkich jako pan i władca.

Oto jest ogół praw natury, a stanowią one najwyższe jej piękno. Bo wyobraźmy sobie, że duch jest niewolnikiem tych praw, czyżby następstwem tego nie musiał być jego bezwład? A znowu gdyby mógł je dowolnie naruszać, czyż tem następstwem nie byłby bezład? Tymczasem są one niewzruszone, my zaś jesteśmy wolni, a swoboda ta wzrasta wraz z naszym genjuszem. I to właśnie jest cudowne.

Prawem, na przykład, jest przyciąganie do środka ziemi wszystkich ciał, które się na niej znajdują. Nie przeszkadza nam ono wszakże rzucić kamienia w górę. A kiedy on wznosi się, ulegając nadanemu sobie rozpędowi, przyciąganie do środka ziemi nie przestaje istnieć, jest tylko poprostu zwalczone i przewyciężone chwilowo przez siłę odeń silniejszą. Balon, obciążony załogą z dziesięciu osób i prócz tego balastem z kamieni, powinienby leżeć na ziemi. Tymczasem wznosi się w górę i to do znacznych wysokości. Dlaczego? Dlatego że człowiek użył tu swej wolnej woli i rozumu i siłę przyciągania przeciwstawił inną, potężniejszą od niej, która unosi balon w górne przestrzory. A kiedy my codziennie i po sto razy na dzień tak czynimy, dlaczegoż nie miałby czynić tego Bóg? Oto dziecko umiera. Jest chore, a lekarz nie może rozpoznać jego cierpienia. Matka modli się, składa ręce dziecka do modlitwy. Wieczorem przychodzi lekarz. Niedostrzeżony wpierw objaw zwraca jego uwagę. Zastosowuje lekarstwo; dziecko powraca do zdrowia. Czy było tu jakie na-

ruszenie praw natury? Bynajmniej. A czy nie mogło tu być wdania się Boga? Dlaczegożby nie?

Inny przykład. Jestem muzykiem, poetą, mówcą. Przemawiam, śpiewam. Czyż niezmiennie prawa, rządzące słowami i muzyką, krępują wyraz moich uczuć i myśli? Moich, tak jest, bo jestem nędznym twórcą, nędznym artystą. Ale spójrzcie na mistrza; jego te same prawa wspierają, unoszą. Porusza się pośród nich swobodny i natchniony. Wyciska łzy, wzbudza dreszcz trwogi, wprawia duszę w zachwyt i, jak słusznie ktoś powiedział o słowiku, potrzebuje tylko zmienić ton, aby radosne pienie zmieniło się w hymn boleści. Stały to obraz Boga! Znając wszystkie siły, gra on na nich, jak na strunach olbrzymiego instrumentu, z mistrzostwem twórcy instrumentu, i zsyła nam wedle swojej woli nadzieję, ból lub radość, aby nas zachęcić do dobrego, albo też zmieniając nagle ton, gdy Go o to prosimy, kładzie kres cierpieniu i darzy dusze nasze pokojem i szczęściem.

A wszystko to bez naruszenia któregośkolwiek z praw natury, działając tylko jednemi na drugie, „zmieniając ton”, jak to my sami czynimy.

Oto plan świata, poznany przez nas z pomocą nauki, i szlachetna rola wyznaczona w nim dla ducha. A im duch jest potężniejszy, im lepiej potrafi miarkować, zawieszać, ustosunkowywać ogólne prawa, tem się bardziej wyzwala z zależności od nich i wyzwala nas razem z sobą. Człowiek dziki ociera się codziennie o te potężne siły, zapomocą których stworzyliśmy cuda, nie przeczuwając ich zupełnie. A i my sami ileż to czasu patrzyliśmy bezmyślnie na wrzącą wodę, dopóki przenikliwy wzrok genjuszu nie odkrył w niej siły i jej nie ujarzmił? Tak się rzecz miała z piorunochronami, z telefonami i z tylu innymi siłami przyrody, których my ślepi nie potrafiliśmy się dopatrzeć. Teraz staracie się kierować tym balonem, o którym wyżej wspominałem, usiłujecie użyć go jako środka komunikacyjnego. I słusznie. Nie siły tu brak; olbrzymi magazyn przyrody ma jej pod dostatkiem. Brak wam tylko genjuszu, któryby potrafił ją znaleźć. I znajdziecie wkońcu tę siłę i wiele innych, a ponieważ dzięki drukowi żaden wynalazek nie ginie, zbliżają się czasy, w których ogólne prawa coraz mniej będą krępowały ludzkość. Wówczas sprawdzi się orzeczenie Bacona, że mało nauki oddala od religji, a wiele nauki zwraca ku niej. W istocie człowiek,

uwolniwszy się z pomocą genjuszu od mnóstwa praw, rządzących światem, nie będzie się już dziwił, że Bóg nie podlegał nigdy żadnemu z nich, a znosząc się sam z wszelką łatwością pomimo oddalenia ze swymi ukochanymi, rozumie, że Bóg to czyni także, że prawu przeciwstawia prawo, siłę — siłę, jak i my sami, a potężniejszy od nas i mędrszy, posługuje się wszystkimi temi siłami jako swem narzędziem.

Prawda, że czasem, w rzadkich wypadkach, to wdać się Boże przybiera, aby zwrócić naszą uwagę, inny charakter, inny zresztą dla nas, nie dla niego. Prawa natury, niewzruszone zazwyczaj i co do wszystkiego, czasem i pod pewnym jakimś względem ulegają istotnie zmianie. Ale i tu następuje pytanie: dlaczego mielibyśmy odmawiać Bogu władzy, której sami używamy codziennie? Zaszczepicie szlachetną płonkę w drzewo dzikie, nie rodzące owocu, i oto ku swemu własnemu zdumieniu pokrywa się ono nim pierwszy raz w życiu. Ten kwiat prosty i biały z natury i ta róża, którą Bóg stworzył różową, przybierają najrozmaitsze barwy i wonie. A cóż rzec o zwierzętach zwróconych z przyrodzonej swej drogi? o tych gatunkach nowych, niesłychanych, cudownych, z których tak jesteście dumni! Ale nadewszystko cóż rzec o ważniejszych nierównie cudach chemii, fizyki, biologii? Komuż przyszłoby na myśl, aby człowiek wynalazł sposób usuwania bólu, odejmowania całych członków, rozcinania najstraszniejszych wrzodów tak, aby chory nie poczuł nawet tego? Któżby uwierzył, aby człowiekowi osłabionemu, wycieńczonemu chorobą, cierpiącemu na brak krwi, można było wlać krew obcą, krew człowieka zdrowego, i przywrócić go przez to do życia? „Małe cuda zapewne — mówi pewien znakomity krytyk — ale, uwzględniwszy stosunek, czyż wielkie robią się inaczej? Jak jedne, tak i drugie naruszają pozorny porządek przyrodzony, ale czy naruszają porządek istotny? Czy łańcuch przyczyn i skutków zostaje przerwany dlatego, że nasi ogrodnicy szczepią, krzyżują, wytwarzają nowe odmiany? Wcale nie. Dlaczegoż więc nie mielibyśmy uwierzyć, że w wyższym zakresie, w ogólniejszym biegu rzeczy mogą się wydarzyć innego rodzaju naruszenia, nagłe uzdrowienia, zdumiewające przemiany, niezwykle objawy woli lub jasnowidzenia bez obalenia zwyczajnego porządku? Wszystko zależy od rodzaju potęgi, jaką przypisujemy Sprawcy tych faktów, Temu, któ-

ry kierując wszystkim, tak samo jest mocen utworzyć wyjątek, jak i prawo¹⁾).

Nie pisaliście sami: „Kto wie, czy nauka, mistrzyni życia, nie zmieni jego warunków, czy wszechwiedna biologja nie da nam nowego życia?“²⁾ To znaczy: Któż wie, czy nauka nie sprawi cuda?

Dozwalacie więc czynić cuda nauce, wzbraniacie Bogu!

VI.

Jest więc rzeczą pewną, że Bóg może wdawać się w sprawy ludzkie. Może, ponieważ to czynił. Czynił to kilka czy kilkanaście razy, może więc czynić to zawsze. Może to skutecznie bez naruszenia praw natury, kombinując tylko jedno z drugimi, jak to i my czynimy. Może również w tym celu naruszać pozornie owe prawa, jak to czynią ludzie, chcąc wywołać zjawisko niezwykle, nie piękniejsze od zwykłych, ale jako rzadkie, zwracające na siebie wzrok i uwagę. Oto wyniki nasze, a sądząc z przeszłości o przyszłości, zbliżamy się do czasu, kiedy nauka rzuci nowe i rozstrzygające światło na kwestję stosunku Boga z człowiekiem.

Zauważcie, żem się powoływał tylko na nauki przyrodnicze, a wszak tyle innych równie ważnych nauk składa dzisiaj takie same świadectwa!

Człowiek został stworzony, przemówił. Skądże nauczył się mówić? Czy sam przez się? Tego nie przypuszczał ani Platon w starożytności, ani Rousseau w nowszych czasach, a zarówno Humboldt w imię lingwistyki, jak i de Bonald w imię filozofji wykazują, że tutaj zaszło wdanie się Boże.

Człowiek jest stworzony, mówi; zostaje ojcem. Skądże wzięła się dusza jego dziecka? Skąd biorą się dusze tylu dzieci, przychodzących na świat codziennie? Czy według was z materji? A może z drugich dusz? A może wyobrażacie sobie, że były stworzone wszystkie jednocześnie, ale pozostawały gdzieś na składzie, bez myśli, bez

¹⁾ Vitet, *La Science et la Foi*. — ²⁾ Renan, *Revue des Deux Mondes*, 1861.

uczuc, bez pamięci? I tu więc trzeba przyjąć bezpośrednie i ciągłe działanie Boga.

Człowiek umiera. Jeśli nie jesteście pogrążeni w przepaściach materializmu, wierzycie, że będzie osądzony i wedle swych zasług wynagrodzony lub ukarany. Ale i nato interwencja Boga jest również potrzebna.

Idąc zaś dalej, wszak pomiędzy tą kolebką, potrzebującą bądź co bądź boskiego działania, a grobem, gdzie zarówno z Platonem, jak z Chrystusem trzeba przyjąć także interwencję Bożą, człowiek żyje? Ale czemuż jest życie? Czyż nie bezustannem tworzeniem? Czyż nie popadlibyśmy w każdej chwili napowrót w nicość, z której wyszliśmy, gdyby ręka, która nas z niej wywiodła, przestała nas choć na chwilę utrzymywać? Czytajcie Bossueta, Leibniza, Malebranche'a, Fénelona, Kartezjusza, a dowiecie się, czy świat mógłby istnieć bodaj godzinę bez ciągłego Boskiego kierownictwa.

Nie robię nacisku; pozostaję w granicach nauk ścisłych i filozofii ludzkiej. A cóż byłoby, gdybym zajął w dziedzinie historii? Wykazałem odrębność człowieka od istot niższych, względem których jest on jakoby „wyspą samotną, zupełnie oddzieloną od sąsiedniego ładu ssących”. Gdybym chciał, czyżbym nie mógł udowodnić tego samego twierdzenia względnie do Jezusa Chrystusa w porównaniu z innymi ludźmi? Jak roślina jest cudem w porównaniu z kamieniem; jak zwierzę w porównaniu z rośliną jest także cudem; jak człowiek na koniec jest cudem jeszcze większym w porównaniu ze zwierzęciem: czyżby tak samo nie można udowodnić, że Chrystus w porównaniu z całą ludzkością jest cudem? Życie Jego i doktryna nie przyszły nam drogą dedukcji. Stanowi ono ogromny przeskok. Jego nauka, życie, cnoty, wznoszą się ponad Jego czasy, i wszystkie czasy, ponad Jego naród i wszystkie narody: nikt ich nigdy nie prześcignął; co mówię! nikt im nawet nie dorównał. Literalnie Chrystus jest jak samotna wyspa, zupełnie oddzielona od sąsiedniego ładu ludzkości.

Ale nie będziemy kładli nacisku na ten ważny i uroczysty fakt w historii świata, na to odrodzenie ludzkości równie nadprzyrodzone, jak niem był jej początek. Poświęćmy temu niebawem tom cały. Tymczasem zadowolimy się faktami, które nauka stwierdziła, wszyscy prawdziwi uczeni przyjęli. Rzucają one jasne światło na wielkie zagadnienie religii, na święty związek Boga z człowiekiem.

Oto więc ostatnie słowo, stanowczy wynik wszystkich naszych cudownych odkryć:

Bóg zawsze wielki;

Człowiek zawsze, niestety, słaby i ułomny;

Pomiędzy jednym zaś i drugim wciąż powtarzające się stwierdzone przez naukę działanie Boga, które nas zmusza, jak mówi Le Play, do uwierzenia „w Jego stałą interwencję”.

A ta stała interwencja Boga — to właśnie religja, którą określiliśmy jako spotkanie Boga i człowieka, ich uścisk wzajemny.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Czy prawda, że narody nowoczesne odrzucają religię, a odrzuciwszy ją, stają się większymi i szczęśliwszymi?

Niema więc w naukach ścisłych nic, coby się sprzeciwiało religii; ale jakże się rzecz ma z historią? Czyż nie widzimy, jak nowoczesne wielkie narody coraz bardziej zaniedbują praktyk religijnych? A nawet czy nie są one tem większe, im się zupełniej wyzwoliły z pod jarzma? A co się tyczy Francji, a nawet Europy, czyż upadek wiary nie idzie w parze z najbujniejszym rozwojem umysłu, i czy cywilizacja nie najszybciej wzrasta tam, gdzie nie jest krępowana i przygniatana balastem pojęć i praktyk religijnych?

Tak mówi wielu, a zarzut ten, chociaż zasadzający się na błędnem zrozumieniu rzeczy, zastanawia mnóstwo osób.

„Prawda — przyznaje Le Play — że pewne narody, wysoko stojące pod względem dobrobytu i potęgi, a szczególnie Francja, zaniedbały od początku XVIII stulecia religii; ale osłabienie najpotrzebniejszych czynników moralnych i nieład w społeczeństwie nie omieszkaly ostrzec, że schodzą z dróg cywilizacyjnych. Ludy zaś, uznane dziś za stojące najwyżej, nie przechodziły przez to wszystko i przewyższają inne wiarą silną i niewzruszoną¹⁾).

Spróbujmy wyjaśnić gruntownie te dwa podstawowe założenia, dodając w ten sposób nowy, bardziej jeszcze uderzający dowód do tych wszystkich, jakieśmy już przytoczyli na poparcie naszego twierdzenia, że społeczeństwa nie mogą się obyć bez religii. Przez wzgląd na tych, którzy nie wierzą, nie trzeba im pozostawić wątpliwości ani pozoru do niej.

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, t. I, str. 74.

I.

Zgodzicie się zapewne ze mną, że Anglicy i Amerykanie północni są to dwa wielkie narody; oba wolne, potężne i handlowe pokrywają ocean flagami, a kulę ziemską kolonjami. Jeden z niewielkiej wyspy rozszerzył panowanie na obszar większy od państwa Aleksandra i Cezara i liczy sto siedmdziesiąt cztery miliony poddanych¹⁾; drugi, młody jeszcze, pacholę niemal, pozwala już teraz z cudów, otaczających jego kolebkę, wnioskować o tem, czem będzie w wieku dojrzałym. Oba silne i swobodne, bogate i mężne, śmiałe i roztropne — jednym słowem, gdyby nie Francja, największe narody naszych czasów.

Jakiż jest charakter tych dwóch narodów? Nikt mi nie zaprzeczy, że oba są głęboko religijne.

Anglja zaznała chwilowo niewiary, ale zdrowy rozsądek wskazał jej niezwłocznie, że religja jest podstawą społeczeństw — że zapewnia im bezpieczeństwo i wielkość — zawróciła tedy, krocząc znów na czele ludów, których chluba jest religijność. Tylko, niestety, udzieliła przedtem jadu niewiary innym narodom, na podobieństwo tych chorych, którzy wracają do zdrowia, zaraziwszy wprzód innych swem cierpieniem. Posłuchajmy tutaj Le Playa: „Wszyscy oświeceni ludzie w Anglii widzą w religji chrześcijańskiej zasadę nowożytnej cywilizacji, źródło pomyślności powszechnej i podstawę wolności. Żaden autor, dbający o opinię współobywateli, nie wyraża przeciwnego zdania; patrzano by na niego jak na burzyciela społeczeństwa. Wszyscy, którzyby ośmielili się wystąpić w tej materji, byłiby wykluczeni, za wspólną zgodą rodzin, z każdego uczciwego towarzystwa.

„Politycy, uczeni, autorowie, artyści oraz wyżsi dostojnicy rządowi, wojskowi, administracyjni, wielcy rolnicy i przemysłowcy, słowem wszyscy, którzy chcą kierować opinią publiczną, głoszą te zasady skwapliwie przy każdej sposobności.

„Każdy, postawiony wysoko w społeczeństwie prawem dziedzictwa lub własną zasługą, wie, że daremnieby usiłował przekazać dalszym pokoleniom swojego rodu chęć do pracy, dobre obyczaje i wynikający z tego dobrobyt, jeżeli nie wszczepi dzieciom przekazanych przez przodków dobrych tradycyji, których podstawą są zasady religijne. Wszyscy tam pojmują, że przy najlepszym na-

¹⁾ W r. 1874; dziś 475 milionów (przyp. tłum.).

wet usposobieniu niższych warstw narodu porządek społeczny tylko w takim razie jest zapewniony, jeżeli klasy rządzące czerpią pobudki postępowania i kierunek wykonywanej przez się władzy w silnych przekonaniach religijnych¹⁾).

Przekonania te, tak ugruntowane w umysłach, harmonizują zresztą najzupełniej z zamiłowaniem swobody, z dzielnością umysłową i fizyczną, które cechują naród angielski. Nie uważa on religji za nieprzyjaciółkę nauki ani wolności, i to daje jej ostatecznie niezachwiane stanowisko w tym kraju. Posłuchajmy dalej Le Playa: „Anglicy, pomimo że uważają stale religję za podstawę swej narodowości, cenią wysoko korzyści, wynikające ze znajomości prawd naukowych i z wolnego roztrząsania zasad. Rozumieją oni, że siła społeczeństwa nie zależy od jednej tylko mocy wiary, bo narody niższe o wiele od innych były nieraz religijniejsze. Siłę tę mierzą przede wszystkim ilością swobody, którą wierzenia narodu znoszą bez osłabnięcia. Wykonywanie praktyk religijnych łącznie z nieustannem kształceniem umysłu przyzwyczajają do podziału rzeczy na podlegające i nie podlegające dyskusji. Umysł, przyzwyczajając się w ten sposób do wiary w życie przyszłe bez podawania w wątpliwość prawd, które nam objawiła Mądrość Przedwieczna, rozwija się i potężnieje.

„Taki widok przedstawia nam od dwóch wieków w Anglii potężny stan trzeci. Czerpiąc natchnienia zarówno z Pisma Świętego, jak i z nauki, z jednakową pilnością uczęszcza on do swych świątyń jak do warsztatów i pracowni, a przestrzegając z przekonania praw religji i moralności, wytrwałą pracą zmienia obraz kuli ziemskiej. I kiedy Francja, osłabiona niewiarą, marnuje siły w krwawych rozterkach i pracą pokojową nie sięga prawie poza zakres zdobyty w wieku XVII, Anglja ogarnia cały świat swemi fabrykami, przedsiębiorstwami swych kupców i kolonistów²⁾).

Proszę tu czytelnika o zwrócenie uwagi, że te piękne słowa są wynikiem najdokładniejszych i najbezbiasniejszych badań. Droga doświadczenia i sumiennej obserwacji powracamy do pierwotnych zapastrykań wszystkich wielkich umysłów, do tego, co orzekli Platon, Arystoteles, Ciceron i Plutarch, cała starożytność grecka i rzymska;

¹⁾ Le Play, *La Réforme sociale*, t. I, str. 74. — ²⁾ Ibid.

do tego, co wyznawał naród żydowski, czego naucza chrześcijaństwo. Religja podnosi narody; Bóg stwarza ludy. Najreligijniejsze z nich będą zawsze najwolniejszymi, najczystszymi — słowem: największymi. Jeśli chcemy więcej dowodów, zwróćmy się do Ameryki.

II.

Tu przykład jest jeszcze bardziej uderzający, właśnie dlatego, że to naród młodszy, świeżo osiadły, rozrzucony na ogromnej przestrzeni, bez silnej politycznej spójni — że to nie stara monarchja, ale młoda rzeczpospolita. Powiedziano, iż Anglja jest dziełem mnichów, a Francja biskupów; Amerykę stworzyli wyznawcy. Dała jej początek religja, ale religja prześladowana i szukająca schronienia. To też pierwszym jej aktem było oddanie religji pod opiekę wolności; nie tej wolności, która gardzi wszelką religją, ale tej szczytnej wolności, która szanuje wszystkie sumienia. A oddawszy starą religję pod straż wolności, oddała młoda swoją wolność pod straż religji. I z tego to podwójnego a świętego przymierza powstała Ameryka.

Istotnie religja nie tylko była przyczyną powstania narodu amerykańskiego, ale jest nadto warunkiem jego bytu, bo umożliwia jego wolność. „Podczas gdy prawo pozwala mu czynić wszystko — powiada Tocqueville — religja wzbrania mu ważyć się na wszystko i wszystko przedsiębrać¹⁾).

I to właśnie utrzymuje społeczeństwo przy życiu, bo jak słusznie dodaje ten sam autor, „jakżeby społeczeństwo mogło istnieć, gdyby więzy moralne nie zacieśniały się w miarę rozluźniania się więzów politycznych? I co począć z narodem, który nie jest poddany nikomu, jeżeli nie jest poddany Bogu?²⁾).

To też, stąpiwszy na ląd amerykański, czujemy, że mamy przed sobą naród wolny i wierzący, i dlatego tylko wolny, dlatego wyzwolony z tysiąca więzów, które nas krępują w Europie, że jest wierzący. Składnikami atmosfery, którą oddycha tam dusza, jest wolność i wiara; i jak natychmiastowe zatrucie byłoby następstwem pozbawienia nas tlenu, grobem wolności w Ameryce byłoby pozbawie-

¹⁾ De Tocqueville, *De la Démocratie en Amérique*, t. II, str. 217. — ²⁾ Ibid., t. II, str. 221.

nie jej religii. Wszędzie też napotykamy tam religię: w prywatnych rozmowach i w dokumentach urzędowych, w życiu rodzinnym i państwowym; nie podawana w wątpliwość, nie budząca zawiści, nie krępowana niczem, jest ona przeciwnie pożądana przez wszystkich, jako najkonieczniejsza dla oddechu składowa część powietrza, jako niezbędny warunek życia.

Tocqueville, który tak wiele poczynił spostrzeżeń nad Ameryką i przebiegł ją we wszystkich kierunkach, pozostawił w tym względzie bardzo pouczające dane. Mamy w jego notatkach z podróży żywcem uchwycone zdania i uczucia ludzi i najznakomitszych i mało znanych, urzędników, adwokatów, kupców, żołnierzy, ojców rodzin, nawet młodzieńców: wszystkie głosy brzmią jednoznacznie, skoro idzie o stwierdzenie, że niema społeczeństwa bez religii.

Nic też dziwnego, że te wielkie myśli, te silne przekonania ogółu znajdują oddźwięk w dokumentach urzędowych. Od Washingtona, który podpisując konstytucję amerykańską, uświęcił w niej jednocześnie podwójną zasadę wolnej wiary i wierzącej wolności; od Franklina, który chciał, aby posiedzenia kongresu rozpoczynały się modlitwą, czego przestrzegano odtąd zawsze — aż do Abrahama Lincolna i Williama Johnsona, którzy w tej straszonej przełomowej dobie, jaką przeżyły Stany Zjednoczone, dali słyszeć zadziwionej Europie słowa dla niej tak nowe, bo głęboko chrześcijańskie — wszyscy prawodawcy i wszyscy mężowie stanu mówią tak samo; a jest rzeczą jasną, że ten religijny nastrój, to słowo publiczne, zwracające się do Boga z błaganiem o przebaczenie, z prośbą o pomoc, z dziękczynieniem, nie utrzymałoby się na ustach przedstawicieli narodu, tych jego prezydentów zmieniających się tak często, gdyby nie tkwiło głęboko i nie znajdowało oddźwięku w gorąco wierzącej duszy ludu.

Życie chrześcijańskie tych ludów ma jeszcze jedną znamioną cechę, świadczącą o ich szczerzej i silniej wierze. Jest nią święcenie niedzieli¹⁾. Oba te ludy tak czynne i ruchliwe, dla których czas to pieniądz, zaprzestają posłusznie i uległe pracować, skoro dzwony ogłoszą dzień Pański. Nie słychać huku młotów, turkotu kół; niema

¹⁾ Patrz godne uwagi artykuły, ogłoszone w r. 1869 w *Correspondent* p. t. „O stanie chrześcijaństwa w Ameryce”. Pod osłoną bezimienności ukrywa się jeden z najznakomitszych umysłów współczesnych.

poczty, pociągów zaledwie kilka. Winiarnie, bilardy, kawiarnie — wszystko zamknięte. Jakaż to tajemnicza siła powstrzymuje tych ludzi, trawionych przez sześć dni gorączką pracy? Czyż nieprawda, że musi nią być jakaś wielka idea, wyższa nad wszystkie ziemskie uczucia i interesy? Tak, tą siłą jest przekonanie, że bez wiary niema społeczeństwa, że jeżeli coś może się bez niej obejść, to chyba tylko despotyzm, ale nigdy swoboda. Jakażby to była radość dla sceptyka, gdyby taki lud stał niżej od wszystkich innych! Ale nie: on jest najswobodniejszy, najbardziej przemysłowy, najczynniejszy i najpotężniejszy. Zaiste dowód to, że wielkie narody nie są na drodze odstępstwa od wiary i że nie to jest warunkiem ich wielkości.

Jeśli kto zarzucił mi tutaj, że Ameryka jak również i Anglja odszczepiły się od Kościoła — to pomijając, że mógłbym spytać, kto stworzył Anglję, a zatem i Amerykę, jej córkę, kto dał Anglji wszystkie te instytucje, którym ona zawdzięcza spokój i wolność: sąd przysięgłych, parlament, uniwersytety, swobody narodowe, co wszystko powstało przed odszczepieniem i przetrwało je bez zmiany — zauważę tylko, że nie zajmuję się tu porównaniem narodów katolickich z protestanckimi. Przyjdzie czas i na tę ważną kwestję; nie mam zamiaru jej przemilczać. Teraz chodzi nam tylko o to, czy wielkie narody nowożytne są religijne czy też nie, i czy bezreligijność przyczynia się do ich wielkości. Otóż Anglja i Ameryka (a mógłbym tu dodać i Niemcy — delikatność każe mi o nich zamilczeć) — Anglja i Ameryka są to dwa bardzo wielkie narody i oba bardzo religijne, co wystarcza na stwierdzenie mojego założenia. Poprzestaję na tem. Śpieszno mi przejść do Francji, do tego nadzwyczajnego narodu, który Bóg nato, zdaje się, stworzył, aby dawać przezeń nauki światu; a nigdy chyba nie dał bardziej bijącej w oczy i skuteczniejszej, jak dowiódłszy naprzód przez wielkość Francji, a dziś przez jej nieszczęścia, jak bardzo najhojniej nawet uposażone narody potrzebują Boga i religii. Pozwólcie mi zająć się szczegółami i wybaczyć, jeżeli się nad nimi zatrzymam dłużej; o mojej ojczyźnie mówić będę.

III.

Długaby to była i bolesna historia, gdybyśmy zechcieli opowiedzieć, jak uczucia religijne były u nas pod-

kopywane i tłumione. Trzech stuleci trzeba było, aby zburzyć ustrój religijny Francji. Trzech stuleci, a jakich wysiłków! Dusza Francji napastowana była ze wszystkich stron naraz. Nie szczędzono niczego, by wygładzić z jej pamięci chrzest, a dokazano tego zaledwie w połowie. „Mam umysł bardzo niedowierzający, a duszę nadzwyczaj religijną” mówił jeden młodzieniec współczesny. Czyż to nie obraz dzisiejszej Francji? Na szczęście dopowiada on: „Ponieważ umysł z natury swojej poddaje się duszy, jest prawdopodobne, iż kiedyś zostanę chrześcijaninem”. Nim to nastąpi z Francją, zobaczmy, czy wzrastała ona w potęgę w miarę, jak traciła wiarę? Któż ośmieli się utrzymywać coś podobnego? Owszem, któż nie czuje, jak głęboko dziś jest podminowane społeczeństwo francuskie, i kto nie widzi, że dlatego jest takie, że brak mu Boga. Podobne jest ono do lokomotywy, pędzącej po pochyłości bez hamulca i steru, zawsze jeszcze wspaniale pięknej, ale pięknnością straszną, bo właśnie ta piękność pcha ją do przepaści.

„Żaden naród nie istniał nigdy bez zasad religijnych” mówi Rousseau. Ale gdyby i istniał kiedy taki naród, jedyny w swoim rodzaju, któryby mógł utrzymać swój byt zaszczytnie, zerwawszy to pierwotne przymierze, źródło swojej siły — to nigdy Francja. Dlaczego? Sam tego nie wiem. Może dlatego, iż Bóg chciał w niej mieć dzieło doskonałe, a nie masz takiego bez promienia z góry. A może, ponieważ stworzył ją do jakiegoś wielkiego posłannictwa moralnego i religijnego, którego ona nie może spełnić bez ścisłego z Nim zjednoczenia. Bądź co bądź, jeżeli to jest tajemnicą, niemniej jest faktem. I chętniebym powtórzył o Francji to, co już mówiłem o kobiecie: „Nie psujcie się, rzeczy najlepsze, bo staniecie się najgorszymi!”

Poczucie tego istniało w chwili narodzin Francji, poczucie niejasne, ale niemniej głębokie. Żaden naród nie ma podobnej genezy; a okoliczności, towarzyszące jego wystąpieniu na widowie, jedynemu w rocznikach świata, wzbudziły we współczesnych świadkach przecucie, że przygotowuje się coś wielkiego i wielkiego religijnie. Świat był w zupełnym rozprężeniu. Z jednej strony stare rasy rzymskie chyliły się do upadku przez swoje zepsucie, ponieważ gangrena wdała się już była we wszystkie ich rany, a śmierć ich była nieuchronna. Z drugiej strony nadchodziły młode plemiona barbarzyńskie, gorące, dzikie, o umyśle zaćmionym błędami, o sercu hardem i pijanem

pychą, o rękach zakrwawionych. Przerazenie ogarnęło wszystkie dusze. A Kościół, stojący w środku między tymi przedstawicielami zwyrodniałymi świata rzymskiego a dzikimi świata barbarzyńskiego, szukał smutnie wzrokiem, nie ktoby mu podał pomoc, ale z jakich żywiołów mógłby zacząć odbudowywać się na nowo.

I w tej to chwili ukazuje się Francja. Rodzi się na polu bitwy, jak przystało żołnierzowi, i z aktu wiary, z wejrzenia ku niebu, jak przystało apostołowi; schyla koronę głowę pod błogosławiącą ręką bezbronnego starca, jakby na znak, że powołana jest zastąpić brutalną siłę prawem; a ta wiara chrześcijańska zstępuje na nią z natchnienia kobiety, małżonki, matki i dostaje się ludowi poprzez duszę jego wodza i króla. Złączyły się więc tu najsympatyczniejsze cechy. Świat był olśniony tem wdzięcznem i dumnem zjawiskiem. A chociaż odtąd Francja, jak człowiek w różnych epokach swojego wieku, zmieniała oblicze i postawę, nigdy późniejsza jej piękność nie przewyższała, nie dorównała może nawet tej pierwszej.

A jakże odpowiednią dla wielkiego i z wielkiem posłannictwem narodu była ta ziemia, na której osiedlił się Kłodowusz ze swoim ludem! Najuczeńszy geograf starożytności, Grek Strabon, przejęty był podziwem na jej widok i powiedział, że ujrawszy ją, trzeba wierzyć w opatrność bogów, w świetne przeznaczenie ludu, który ją bierze sobie za siedzisko. W istocie, położona w środku i jakgdyby w sercu Europy, w bezpośrednim sąsiedztwie wszystkich wielkich narodów, a jednak odosobniona i zabezpieczona od nich wodami i górami, z drugiej strony otwarta na Atlantyk i morze Śródziemne, a więc połączona z całym światem, Francja ma pozycję wyjątkową i jakby umyślnie dla niej przez Boga wybraną. Podziw zaś nasz i wdzięczność wzmożą się jeszcze, kiedy po rozpatrzeniu tych zewnętrznych warunków naszego kraju zwrócimy oczy na jego wewnętrzne ukształtowanie, na przerzynające go w różnych kierunkach góry, dostatecznie wysokie dla uregulowania systemu wód, nie tyle przecież, aby przeszkadzały komunikacji; na jego urodzajne doliny, wydające kwiaty i owoce rozmaitych klimatów; na wzgórza pokryte winnicami, na wspaniałe rzeki; na tę tak piękną i harmonijną przyrodę. Im dłużej przypatrujemy się tej niepospolitej całości, tem bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że Bóg stworzył Francję tak piękną dla szczególnego jakiegoś celu.

Ale jeżeli przygotowywał tak starannie to, co ośmiele się nazwać ciałem Francji, tę jej widzialną budowę, jaśniejącą wyższą pięknoscia, o ileż z większym staraniem tworzył Bóg jej duszę. Wziął do tego, jako wielki mistrz, najpiękniejsze materiały, łączył je powoli ze sobą i rozkazał czasowi, temu wielkiemu czynnikowi doskonałości, stopić je w harmonijną całość. Rozpatrzcie pojedyncze rysy Francji i wnioskuje z nich o jej duszy.

Naprzód kropla krwi galijskiej. Wesołość, żywość, złośliwość, lekkość, szyderczość, tak dobrze nazwane solą galijską, skrowronkiem galijskim. Sól — wiecie, rzecz ostra, gryząca. Skowronek — ptaszę zwawę, wesołą, wzlatującą ze śpiewem w górę.

Pierwiastek to żywiołowy, niezgładzalny. Cała Francja jest zaprawiona tą solą galijską w najróżnorodniejszych odcieniach. Jest sól pikardzka i normandzka, sól paryska i orleańska, burgundzka, gaskońska i marsylska. I trudno orzec, który z tych rozmaitych odcieni jest przyjemniejszy i wykwinniejszy.

Pierwiastek żywiołowy, jak już powiedziałem, ale i niebezpieczny, który przechodzi łatwo w nadużycie i mógłby stać się szkodliwym, gdyby woda chrztu nie złagodziła jego ostrza. Na szczęście religja stała tu na straży. Sól galijska, miarkowana przez nią i idąca ręką z chrześcijańską miłością bliźniego, pozostała długo nieszkodliwą. Wydała ona coś, co jest charakterystycznie francuskim, co się zaczyna uśmiechem a kończy łzą.

Drugim pierwiastkiem był pierwiastek rzymski. To znaczy: gruntowność, rozsądek, prawość, jasność, którym zawdzięczamy nasz język i nasze prawa, naszych wielkich pisarzy i wielkich polityków; ten niezrównany język francuski, który słyszeliśmy kilka miesięcy temu w Rzymie z ust Niemców, Rosjan, Anglików, Amerykanów, nawet ludzi ze Wschodu, tak rozpowszechniony, że jeden z biskupów amerykańskich mógł powiedzieć na początku soboru, iż gdyby porozumienie się po łacinie nastęczało jakie trudności, zostawałby jeszcze język francuski.

A jakgdyby Bóg chciał, aby nie brakło uroku żadnego, na owo tło figlarnej żywości i powagi rzymskiej już od najwcześniejszych czasów padł promyk Grecji. Kolonie focejskie, osiedlając się na południu Galji, od Marsylii, Nimes, Montpellier sięgając do Lugdunu, Grenoble, Dijonu, przynoszą ze sobą jakby podmuch Wschodu. Mogą już teraz ginać wdzięcznej pamięci Ateny, nie zagina całe.

Francja przejmie po nich w spadku i przechowa światu ten kwiat ducha, ów attycyzm, gust, owo coś wykwinnego i doskonałego w rzeczach ducha, co je charakteryzowało.

A kiedy tak z genjuszu Galji, Rzymu i Grecji, stopionych w jedno, rodził się genjusz francuski, nadchodzi Kłodowusz, a przez niego Germanja przynosi nam w dani piękność swoją. Od niej to pomiędzy innymi darami mamy namiętną miłość swobody. Połóżcie rękę na pierś Francji, poczujecie bijące w niej wiecznie serce Germanina, którego kolebką i szkołą były lasy. Od niej również mamy na usługi tej naszej wolności szpadę, ów dawny topór Franka, szpadę jak błyskawica szybką a niezawodną, która przeszła w bagnę, broń rdzennie francuską, dotąd pomimo naszych klęsk nie mającą równej. Zapewne były jeszcze równie mocne, ale nie było równie pięknego. Na tym drogim nam orężu Kalwarja wycisnęła swe piętno.

A czy już nic poza tem? Kropla krwi galijskiej, kropla greckiej i rzymskiej, kropla krwi Franków, złane w naszych żyłach w jedno i sprawiające serc naszych bicie, czy to już cała krew Francji? O, nie! Kto nam dał te dary nad wszystkie dary: dobroć, która jest ich koroną, i rycerską wspaniałomyślność, która jest znamienym rysem naszego charakteru? Kto nam dał i miłość ku maluczkiemu, słabemu, zwyciężonemu, ofiarom przemocy, i żywe poczucie sprawiedliwości, i drażliwość honoru? Kto dał żyłom naszym tę krew, która burzy się na widok zdradzonego prawa, pokrzywdzonej słabości, znieważonego honoru? To chrystjanizm, to krzyż kalwaryjski, to miłość Tego, który umarł z miłości ku ludziom i stworzył na Golgocie źródło poświęcenia aż do zaparcia się siebie. Wszystkie narody piły z tego źródła, ale my więcej od innych; piliśmy z niego aż do upojenia, tak że się wokoło nas uśmiechały mądre narody.

Zwrócono uwagę, jak łatwo chrześcijaństwo przyjęło się w narodzie francuskim. Złożyło się na to wiele przyczyn. Naprzód pierwiastki składowe charakteru narodowego były prawie wszystkie głęboko religijne. Były to jakby warstwy religijnych pierwiastków, układające się jedno na drugim. Powtóre wszystkie uczucia, które rozwija religja: niepodległość ducha, wspaniałomyślność, miłość honoru, cześć dla kobiet, spoczywały już w zarodku na dnie naszej duszy, tak iż przyjście chrześcijaństwa by-

ło tylko jakgdyby zarzewiem, rzuconem na przygotowane już drzewo.

Wprawdzie były i takie strony w pierwotnej naszej naturze, które sprzeciwiały się zespoleniu z Kościołem; ale to właśnie uczyniło je tem głębszem i trwalszem. To Chateaubriand, zdaje się, powiedział, że aby związek był trwały, potrzeba wielkich różnic w charakterze przy wielkiej harmonji serc. A gdzież znaleźć większe różnice w charakterze, jak pomiędzy Kościołem a Francją? Ona tak żywa i gorąca, tak często zmienna, a zawsze tak ruchliwa, przerzucająca się z ostateczności w ostateczność z pośpiechem zdumiewającym ją samą; on, przeciwnie, tak poważny, powolny, tak cierpliwy, prawie że nieruchomy, chociaż nieruchomym nie jest, nie śpieszy się nigdy, bo jest obrazem Boga, który ma wieki na usługi swoje. On poczyną zawsze jako mający władzę i nakazuje posłuszeństwo, podczas gdy ona szaleje za wolnością. Ale przy tych różnicach charakterów jaka zgodność serc! U obu ten sam zapal do piękna, prawdy, dobra; ta sama pogarda dla wszystkiego, co niskie, brzydkie, pospolite, ziemskie, dla wszystkiego, co się sprzedaje, kupuje, płaci; ta sama wzniosłość duszy, to samo wylanie, ta sama żarliwość w rozpowszechnieniu po świecie sprawiedliwości, prawdy, oświaty, cywilizacji. To też jak tylko Kościół i Francja spotkały się ze sobą, wnet się poznały i połączyły w uścisku, czternaście wieków zmiennych kolei losu, rewolucyj bez liku, niesłychanych wysiłków bezbożności nie zdołało naruszyć tego związku czternastokroć wiekowego.

Pod wpływem tego związku, który dla obu stron był dobrodziejstwem, duch Francji powstawał, wzrastał i dojrzewał. Nie czas tu i nie miejsce opisywać trzynastą stuleci, w ciągu których duch francuskiego narodu obudził się, doszedł do samowiedzy, utworzył sobie język z okruszyn wszystkich języków, ukształcił smak, nauczył się łączyć naiwność z siłą, prostotę z wzniosłością, największą delikatność z najwyższą powagą, aż wreszcie dosięgnąwszy dojrzałości, po różnych próbach i nieudolnych a jednak wspaniałych wysiłkach, mógł dać światu największy wiek rozwoju umysłowego, jaki kiedy istniał.

Tak jest, największy wiek ludzkości, chwila, w której umysł ludzki dosięgnął na ziemi najwyższego szczytu prawdy i piękna. Śpieszę ustąpić głosowi lepszemu od siebie znawcy, więcej mającemu powagi i kompetencji. Oto, co mówi Cousin: „Francja, nie troszcząca się o swoją sła-

wę, nie domyśla się bodaj, że liczy w swoich rocznikach największy może wiek ludzkości, wiek, z którego łona wyszli ludzie znamienitsi we wszystkich gałęziach”. A przytoczywszy imiona wojowników, administratorów i polityków, dodaje: „Jakiż przytem inny wiek, przynajmniej w czasach nowszych, widział naraz tylu pierwszorzędných poetów? Nie mamy wprawdzie Homera, Dantego, ani nawet Tassa lub Miliona. Epopeja w swej pierwotnej prostocie jest nam niedostępna. Ale zato w zakresie dramaturgów mało kto nam wyrówna.. Odważę się wypowiedzieć myśl swoją: według mnie Eschylus, Sofokles i Eurypides razem wzięci nie przewyższają jednego Corneille'a. Jest on wzniosły na swój całkiem nowy sposób, nieznan starożytnym i nowożytnym pisarzom, którzy go poprzedzili”. A cóż rzec o Racinie? „Jest on sobą, nawet kiedy naśladuje i zostawia starożytnych daleko za sobą. Skąd zaczerpnął on ową uroczą delikatność, ów wdzięk, ową czystość w słabości nawet, ów smutek, czasem głębokość, ów cudny język, jakby żywcem wyjęty z serca kobiecego?...” Co się tyczy Molière'a, „jeżeli nie ma tak szerokich pomysłów jak Arystofanes, ma coś jeszcze może lepszego: ma charaktery. Koloryt jego nie jest tak świetny, ale rysunek wyrazistszy. A czyż którykolwiek ze starożytnych i nowoczesnych bajkopisarzy dorówna naszemu Lafontaine'owi? Pisarz to najprostszy i najwyszukańszy zarazem.

„Dosyć to wielcy chyba poeci, a mamy ich jeszcze więcej: mam tu na myśli owe wykwintne lub wzniosłe umysły, które podniosły prozę do wysokości poezji. Może tylko jedna Grecja w czasach swego rozkwitu przedstawia taką różnorodność godnych podziwu prozaików. Z największą prawdą można powiedzieć, że proza francuska nie ma rywalki w nowożytnej Europie, a w starożytności przewyższa nawet prozę łacińską przynajmniej co do różnorodności i bogactwa; dorównywa jej tylko proza grecka z najpiękniejszych czasów, od Herodota do Demostenesa. Nie przekładamy Demostenesa nad Pascala i trudnoby nam było uznać wyższość samego nawet Platona nad Bossuetem. Platon i Bossuet to w naszym przekonaniu dwaj najwięksi z pomiędzy dawnych i nowych mistrzów słowa, różniący się wybitnie pomiędzy sobą, ale mający także jedną wspólną cechę: obaj posługują się przeważnie mową ludu, a chwilami wznoszą się bez trudu aż do poezji, niemniej od homerycznej wspaniałej; obaj są delikatni i sub-

telni, a częstokroć wspaniali i wzniosli. Zapewne Platon ma niezrównany wdzięk, wzniosłą pogodę i jakby uśmiech boskiej mądrości. Ale Bossuet ma za sobą patos, w którym mu dorównywa jeden tylko wielki Corneille¹⁾).

Tacy to są nasi pisarze. Nietylko są równi największym poetom i prozaikom starożytności, ale nawet górują nad nimi formą, a przede wszystkim pod względem myśli i rozumu wyższego, pewniejszego, bez wad i cieni, bez przy mieszkli błędów; zapożyczają oni od starożytnych wszystko, co w nich jest pięknem najwyższym i jeszcze je udoskonalają. Poznajemy tu już i witamy ów sympatyczny genjusz Francji, otwierający się szeroko na przyjęcie wielkich natchnień wszystkich wieków i narodów, asymilujący Latynów, Greków, Wschód, Włochów, Hiszpanów; przyswajający, jeżeli się tak można wyrazić, swojej duszy dusze Homera, Wirgiljusza, Tacyta, Sofoklesa, Eschylosa, Biblii; chrystjanizujący, że tak rzeknę, arcydzieła starożytności: Fedrę, Andromakę, Galateę; a zawsze oryginalny, nawet gdy naśladuje, bo zawsze będący sobą i zawsze chrześcijański. Wieki następne inne umysłu francuskiego przywiodą przejawy, inny język, inne rodzaje utworów; ale nic nie dorówna tym, i trzeba będzie przyznać, że silna i łagodna, acz surowa szkoła Kościoła nietylko nie przytłumiła ducha francuskiego, ale owszem nadała mu polot nowy, a życie umysłowe nigdy nie było u nas bujniejsze, silniejsze, powszechniejsze, nigdy nie przenikało tak głęboko we wszystkie sfery ludzkiej działalności, oryginalności, a szczególnie i nade wszystko wielkości, jak wówczas, kiedy Kościół i Francja były silnie zespolone.

A jednocześnie, kiedy się duch Francji podnosi i uszlachetnia pod wpływem chrześcijaństwa, zaczyna się budzić jej serce. Nie potrzebowało ono wszelako na to tak długiego czasu, zbudziło się odrazu ze wszystkimi cechami, z których najpiękniejszą jest wspaniałość. Ta wspaniałość, powiedzmy mimochodem, nie dała Francji stać się narodem zdobywczym lub choćby nawet narodem kolonizacyjnym. Nie umie ona uciskać ludów. Nie potrafiłaby nigdy trzymać Indyj pod swoją stopą przez trzy stulecia ani też wysysać krwi Irlandji. Skoro los wojny daje jej w ręce lud słabszy od niej albo pozostający poza nią na drodze postępu, idzie do niego, krzewi w nim cywilizację, poczem wraca, pozostawiając mu wolność.

¹⁾ Cousin, *Du Vrai, du Bien et du Beau*; lekcja X.

Wada to jest, przyznaję, i wada, której Francuzi poczynają się już niestety wstydzic; ale wada ta wypływa z cnoty, a ta cnota tak była wysokiej ceny, że nasi ojcowie poświęciliby wszystko i wszystko przetrwali, byle nie narażać się na jej utratę.

Któż wypowie piękność serca Francji? Zaledwie się narodziło, stało się sercem całej Europy, najczulszym i najwrażliwszym punktem na ziemi, gdzie znalazło oddźwięk każde cierpienie, każdy okrzyk bólesci. Posłuchajcie, co mówi w tym względzie pewien Hiszpan¹⁾: „Rozejrzyjcie się wokoło, zobaczcie, gdzie w tej chwili jest najwięcej i największych klęsk i nieszczęść; lud angielski, jeżeli to nie będzie w Anglii, nie wyjdzie ze swego obojętnego spokoju; ale choćby te klęski nie dotyczyły Francji, choćby odbywały się na antypodach, między ludem francuskim a cierpiącymi powstaje wnet jakgdyby prąd elektryczny i zrywa się on jak jeden mąż, pełen współczucia i żądny pomocy nieszczęśliwym”.

Takie jest serce Francji. Ma ono jakąś tkliwość we wzniosłości, *flexible nescio quid* poety, dar pięknych łez i wielkich dzieł. Któż zliczy, ile z takiego serca przez czternaście wieków wybuchło wzniosłych natchnień, cudownych i bohaterskich porywów, dzieł nacechowanych dobrocią i wspaniałością? Jak myśliwy z jedną nogą w strzemienu nasłuchuje, skąd wiatr wieje, tak Francja, przez czternaście stuleci stojąc w pogotowiu w środku Europy, nasłuchiwała, skąd idzie skarga na niesprawiedliwość i wołanie o ratunek. Raz powoływała swoich rycerzy do pełnienia po wsiach i miastach służby honoru i cnoty. Innym razem, wzmagając się na duchu wobec groźniejszego niebezpieczeństwa, budziła cały Zachód i, stając na czele krucjat, ratowała Europę i cywilizację. A za krzyżowcami wysłała zastępy apostołów i siostr miłosierdzia, aby goili rany i oświecali dusze, koili bóle i rozkrzewiali cnoty. Ale i w zwykłych okolicznościach ileż to przez ten czas wydała Francja serc zacnych, dusz słodkich, delikatnych i wzniosłych, anielskich dziewic, świętych matek! ilu doskonałych ludzi! urzędników surowych i nieskazitelnych, odważnych żołnierzy, świątobliwych biskupów, kapłanów, zakonników! ilu świętych! Szczególnie świętych; żaden naród nie wydał ich tylu, co Francja; świętość bowiem stanowi szczyt cnoty, tak jak ta jest najprzedniej-

¹⁾ Donoso Cortès, *Oeuvres complètes*, t. I, str. 255.

szym kwiatem serca. Kto chce naprawdę poznać serce Francji, powinien wziąć spis jej świętych, zliczyć ich, zbadać ich charakter. Ale któżby ich mógł przeliczyć? Pełno ich wszędzie; następują po sobie bez przerwy i bezliku; w najmniejszych wioskach i miasteczkach, we wszelkich klasach społeczeństwa, w wioskach i klasztorach, w arystokracji i w duchowieństwie, równie jak u ludu; jedni jaśnieją pojedynczo, oświecając i napawając wonią swych cnót i miasta i wsie, krzewiąc w nich i utrzymując wzniosłość uczuć, pogardę świata, świętą moc duszy; inni łączą się w gromady, w zastępy, tworząc owo wojsko ducha, zakony, stałe armie cnoty i ofiary, których nie znał Rzym, ani Ateny, ani Sparta; które wychodzą z łona Kościoła, ale nigdzie nie są liczniejsze, żywotniejsze, ani bardziej świetlane, niż w narodzie francuskim.

Śpieszę wyjaśnić, iż nie miałem bynajmniej zamiaru powiedzieć przez to, aby inne chrześcijańskie narody Europy: Anglija, Hiszpanja, Włochy, Niemcy, nie miały także świętych. Mają ich one również, mają całe liczne i wspaniałe zastępy. Wielkie to i wzniosłe współzawodnictwo owych czasów. Ale to serce Francji tak jest gorące, tak wrażliwe i delikatne, iż wszelkie natchnienie serc innych musi przejść przez nie, aby otrzymać całą swą pełnię i gorącość. Tu przyjdą rycerze z Alkantary, z Kalatrawy, aby w regule francuskiej poczerpnąć szlachetność, ową cechę istotnych rycerzy. Do tego serca podążą wielcy założyciele zakonów wszystkich krajów i wieków: zarówno święty Maurus i święty Franciszek z Asyżu — z Włoch, jak i święty Kolumban z Irlandji; święci Brunon i Norbert z nad Renu, jak i święty Dominik, a później święty Ignacy z Hiszpanji. Oprócz tego daru serca, polegającego na wykończaniu i udoskonalaniu natchnień, gdzie indziej powstałych, w tym wspaniałym rozkwicie świętości ma Francja jeszcze jeden sobie właściwy. W jej przeważnie łonie powstają zakony *dobroczynne*. Hiszpanja wydała większe święte kontemplacyjne; Włochy — świętsze samotnice; Niemcy — dziewice poetyczniejsze i uczeńsze. My mamy siostry miłosierdzia. Powstają one z naszego serca, pod tysiącem nazw i habitów, a zawsze te same, a wszędzie łatwe do rozpoznania — przedmiot zazdrości innych narodów, które nie mogąc naśladować, zapożyczają ich od nas — dają wszędzie, ku wiekuistej chwale imienia francuskiego, dowody pojętnego i dzielnego umysłu, nieustraszonego serca, pogody ducha, czystości, słodyczy

w sile, wesołości w ofierze, słowem wszystkich naszych przymiotów, uszlachetnionych jeszcze i upięknionych przejściem przez serca dziewicze. To samo, co o zakonach, powiem i o świętych. Nie mamy świętego Franciszka z Asyżu, noszącego stygmaty miłości, ani seraficznej świętej Teresy, ani surowego Franciszka Borgji, ani zdumiewającego Pawła od Krzyża; mamy świętego Wincentego à Paulo, w którym się objawiła cała nasza dusza.

Cóż dziwnego, że Francja, mając takie serce, instynktowo niejako przyswajała sobie wszystkie sprawy, od których zawiśła cywilizacja i los rodzaju ludzkiego? że brała zawsze udział we wszystkim, co wielkie, szlachetne, użyteczne, piękne? Cóż dziwnego szczególnie, że nie pozostaliśmy nigdy obojętni na cierpienia Kościoła, który jest samą słabością? Kościoła, który jest więcej, niż niewiastą, który jest matką? Cóż dziwnego, że za każdą uczynioną mu zniewagę, za każdą zdradę, odstępstwo, ujmował się miecz francuski i podnosił sztandar francuski? Tak, powtarzam raz jeszcze, ku wiekuistej naszej czci i nauce — myśmy to mieczem Kłodoweusza wygnali barbarzyńców, mieczem Karola Martela rozgromili hordy Saracenów; my przez Pepina i Karola Wielkiego złożyliśmy u stóp papieży tarczę i sztandar niezależności i władzy świeckiej; przez trzy pokolenia krzyżowców, od Godfryda de Bouillon do świętego Ludwika, trzymaliśmy straż dokoła zagrożonego chrześcijaństwa; mieczem potężniejszym jeszcze, mieczem genjuszu i wiary w rękę Bossueta powstrzymaliśmy postępy protestantyzmu; a chociaż nie zdołaliśmy utrzymać władzy świeckiej Piusa IX, potrafiliśmy za niego cierpieć i ginąć w osobach Lamoricière'a, Pimodana, Charette'a i żuawów. Może gangrena opanować serce Francji, ale przynajmniej serce to biło i przez czternaście wieków było najszlachetniejszym sercem na świecie.

Grecy sądzili, że piękno fizyczne zwykło towarzyszyć pięknu moralnemu, będąc jakgdyby jego odbiciem. W miarę też kształtowania się ducha i serca Francji tworzyło się jej piękne ciało. Szeregi królów odważnych, rozumnych, miłych, ukochanych tak, jak żadni inni władcy, a u ich boku zastępy mądrych i przezornych ministrów, prawdziwych polityków, rozpoczynają dzieło zjednoczenia Francji i prowadzą je bez pośpiechu, lecz i bez opieszałości. Wiedzą oni, że czas to potężny czynnik, nie śpieszą też, wyczekują, wchodzą w układy, korzystają z okoliczności, więcej starając się o ujmowanie sobie plemion, niż o ich zdobywanie,

aż do czasu, w którym samą siłą swych uczuć monarchicznych Francja dosięgła najpiękniejszej, jakiej można było żądać, jedności narodowej.

A w tem tak wielkiem i potężnem dziele nie zapominają królowie ani ministrowie, że największym triumfem jedności jest różnaitość. Zadowolając się więc ożywieniem całego kraju jednym duchem, umieją szanować różnicę charakteru, zwyczajów, a nawet ustroju każdej dzielnicy, naśladowując w tem Boga, który dając ziemi jedno niebo i jedno słońce, chciał, by każdy kraj miał jakgdyby osobne, sobie tylko właściwe słońce i niebo. I oto widzimy, jak powoli i stopniowo gromadzą się około wspólnego środka i jednoczą nierozdzielnie liczne prowincje, acz różniące się między sobą, ale równie piękne, równie obfitujące w pomniki religijne i historyczne, tworząc wiecznie żywe ogniska wszystkich wewnętrznych odcieni francuskiego ducha i serca.

„A ponieważ różnaitość sama przez się jest wesoła, charakter i ogólna fizjognomja narodu francuskiego są najweselsze ze wszystkich. Obejrzyjcie galerje portretów angielskich, a przekonacie się, że wszystkie są jednakowe: surowe, wspaniałe i smutne; przyczyna tego leży w tem, że wielkość, to jest jedność, bez piękna, to jest bez różnaitości, będzie zawsze smutnie surową i smutnie wspaniałą. Anglik nawet w swoich ucztach jest poważny, przeciwnie, Francuz śmieje się nawet w boju¹⁾).

Taka jest Francja; taki zamieszkujący ją szlachetny naród. Powiadam: szlachetny, bo jest to wyraz, który, gdy mówimy o nim, nasuwa się ciągle: szlachetny umysł, szlachetne serce, szlachetna odwaga. Posłuchajmy Bossueta: „Trzeba przyznać — powiada on — że królowie nasi oprócz tego, że byli bardzo religijni, mieli jeszcze *szlachetność*, która jednała im cześć świata całego i wynosiła ich ponad innych monarchów. Kiedy cesarze z bronią w ręku dochodzili praw swoich i bronili ogólnych interesów głów koronowanych, nasi królowie mieli daleko pewnością ochronę w *szlachetniejszym* ustroju państwa i większem dostojęństwie swojej korony²⁾).

Szlachetny jest zaiste naród, łączący wspaniałomyślność z delikatnością, a łagodność z siłą; naród rozumny, kochający, pracowity, żądny postępu, uszlachetniający posłuszeństwo właściwą miarą wolności, a religijność —

¹⁾ Donoso Cortès, *Oeuvres complètes*, t. I, str. 256. — ²⁾ *Discours sur l'unité de l'Eglise*, cz. II.

właściwą miarą rozumu; syn starszy Kościoła i głęboko katolicki, nie na modłę mnicha, jak Hiszpan, ani artysty, jak Włoch: ale żołnierza, apostoła i siostry miłosierdzia. A kiedy nań patrzę i szukam w historii postaci typowej, która by najlepiej odzwierciedlała jego ducha, znajduję dwie, pomiędzy którymi waham się, nie mogąc uczynić wyboru: Ludwika Świętego i Joannę d'Arc. Ta czysta, gorąca, uduchowiona, bohaterska, najrzadsza z istot, które kiedykolwiek władały mieczem, ów wspaniałomyślny, nieustraszony, kochający, sprawiedliwy, najrzadszy z mężów, którzy kiedykolwiek piastowali berło; ta umiera za ojczyznę na stosie; a gdyby nie mogła jej ocalić, umarłaby z bólesci; ów broni swojego narodu mieczem, jednoczy go sprawiedliwością, uswięca swą cnotą, pociąga za sobą aż za morza, na walki godne go, bo podjęte w obronie Boga i cywilizacji; oboje oderwani od świata, dążący do niebios, niedorównani w miłości dla Boga i ludzi, w szlachetnej sumienności i bohaterstwie duszy; słowem — dwie najpiękniejsze i najdoskonalsze postacie, będące szlachetnem odbiciem charakteru narodowego.

Ale te myśli budzą inne, rozjaśniające tajnie wyższych jego przeznaczeń. Oto Francja nietylko została stworzona przez Boga i przez Kościół, ale dla Boga i dla Kościoła; poto, ażeby była na ziemi rycerzem Bożym, Chrystusowym żołnierzem, według wymownych słów Szekspira. Tu jest przyczyna, racja bytu jej ducha i charakteru, jej serca i miecza. To rozjaśnia i tłumaczy wszystko. A ponieważ wszystko, co wielkie, było przeczone i przepowiedziane; dowodem Rzym, którego zadaniem było przez jedność materialną przygotować jedność moralną świata, a który miał to instynktowne przeczucie, że jest z woli bogów miastem wiecznem; dowodem barbarzyńcy, którzy sami głosili, że są narzędziami pomsty Bożej, że coś gnało ich i popychało do Rzymu — więc i nad kolebką nowonarodzonej Francji rozległy się mnogie głosy prorocze. Czytajcie listy współczesnych papieży: Anastazego, Wirgiljusza, Grzegorza Wielkiego, a zobaczycie, że duchem zdają się oni odgadywać wspaniałą przyszłość Francji. A w najstarszych galijskich mszałach modlitwy na pomazanie królów, na pasowanie rycerzy zdają się tchnąć pewnym proroczym instynktem, przewidującym zawczasu wysokie posłannictwo Francji. Nie przesadził Bossuet, utrzymując, że „Bóg odebrał Rzymianom straż Kościoła, a powierzył ją Frankom, których namaścił na mężnych opiekunów, nie-

zwycięzonych obrońców tej czulej matki, tudzież ubogich¹⁾; ani de Maistre, wykazując „religijne i moralne przodownictwo w Europie, dane Francji przez Boga²⁾”; ani o. Lacordaire, głosząc w kościele Notre-Dame „posłannictwo religijne narodu francuskiego”. O, zapewne wiele mieliśmy chwil wahania, zaślepienia, obłędu; popełniliśmy omyłek i win wiele; ale czyż nie spełniliśmy tego posłannictwa? czyśmy nie byli wierni tej straży honoru? Czyż naród nasz każdego czasu nie wydawał ludzi, w których przebywała i żyła chrześcijańska dusza Francji, od Klodoweusza, który, słuchając opowieści o męce Zbawiciela, sięgnął do miecza ze słowami: „Czemuż nie było tam mnie i moich Franków!” do Karola Wielkiego, tego opiekuna papieża i założyciela świeckiej jego władzy; od Godfryda de Bouillon i Piotra Pustelnika do Ludwika Świętego, „pokornego żołnierza Chrystusowego”. A później, kiedy przysłyły chwile słabości, a za niemi nieszcześcia, jeżeli ponosiliśmy straszliwe kary, czyż nie byliśmy wybawieni w cudowny sposób? Czyż niedosyć samej Joanny d'Arc na dowód naszego boskiego posłannictwa? Czy przez czternaście wieków, od chrzcielnicy w Reims do krucjat, od krucjat do rusztowania Ludwika XVI, od przytułku danego Piusowi VII pod sklepieniami Notre-Dame do chwalebnego powrotu do Rzymu Piusa IX i do otwarcia soboru watykańskiego, nie byliśmy ludem wybranym, narodem apostołskim, żołnierzem Boga na ziemi? A nawet czyż to posłannictwo było kiedy jawniejsze i bardziej uderzające, niż właśnie w czasach, kiedy Francja, ulegając zaślepieniu i zepsuciu, niepomna swego powołania, nie chciała go już wypełniać, a mimo to wypełniała je jakby mimowoli?

O, mój kraju, zbyt smutne to czasy na takie wspomnienia. Niebo zasnutę groźnemi chmurami. Piszę to w Orleanie osaczonym i bombardowanym, a z moich okien widzę wszystkie jego wyjścia zamknięte przez pruskich żołnierzy. Ale Bóg widzi, żem przeto nie przeoczył twej piękności, nie zapomniał twojego posłannictwa ani przyszłości twojej. Zawsze ty dla mnie arcydziełem Boga, a twoje rany, które całuję z uczuciem synowskim, zwiększyły tylko moją ku tobie miłość, do podziwu dodając współczucie. A jeżeli do tych wszystkich wiekuistych

¹⁾ *Sermon sur l'unité de l'Eglise*, cz. II. — ²⁾ *Considérations sur la France*, str. 3; *Du Pape*, str. 6.

uczuc duszy mojej dla ciebie, o ojczyzno moja, przylączyło się jakieś nowe, to pewnego rodzaju gorzka rozkosz w rozpamiętywaniu twojej wielkości wobec barbarzyńców, którzy depczą po tobie, ale nie są ciebie warci!

IV.

Arcydzieło może być zniszczone przez barbarzyńców. Rzecz to często widywana i nie zadziwiająca nikogo. Tak ongi znikły owe boskie marmury Fidjasza, Praksytelesa: Wenus z Milo, Wenus Medycejska, Herkules Farnezyjski, Apollo Belwederski, Laokoon, których szczątki z taką czcią zbierała cywilizowana Europa XVI wieku. Ale co zdumiewa i przeraża, to fakt, że arcydzieło od tych wszystkich piękniejszych, Francję mogły pchnąć do zguby ręce jej własnych dzieci; że znaleźli się Francuzi, którzy całemi wiekami nie szczędzili usiłowań, aby sprowadzić na manowce jej umysł potężny, zepsuć jej serce, spodlić charakter, podkopać życie i okryć hańbą jej imię; że ten szczytny wynalazek, druk, ten szlachetny organ, prasa, były od trzech wieków w ich ręku młotem, którym pracowali bez wytchnienia i upamiętania, aż dopóki nie starli w proch boskiego jej wizerunku. Ani Prusacy w XIX, ani Anglicy w XV wieku nie potrafiliby zmóc Francji: jeżeli zginie, waszą to będzie winą, bezbożnicy, materjaliści, pozitywiści wszelakich odcieni, o których bezceństwach nie mogę pomyśleć wobec tylu klęsk bez gniewu, do jakiego nigdy nie sądziłbym, żem jest zdolny.

Nic nie mogło ich powstrzymać: ani miłość synowska, ani poszanowanie przeszłości, ani troska o teraźniejszość i o przyszłość. Oto już trzy wieki, jak się z szatańską sprysięgli wściekłością przeciw temu arcydziełu.

I czegoż nie próbowali, aby wydrzeć Francji wiarę jej, starą wiarę katolicką, zniweczyć jej czternastowiekowe z Kościołem śluby! Niedosć, że wygwizdali chrystjanizm, wyszydili go, ośmieszyli, ażeby doprowadzić każdego Francuza do wstydu miana chrześcijanina; niedosć, że tamowali swobodę Kościoła, zaprzeczali mu jego praw najświętszych, krępowali go w jego najniezbędniejszych zewnętrznych stosunkach; ale jeszcze dołożyli wszelkich usiłowań, aby usunąć religję z naszych praw i instytucyj tak dalece, że próżno szukać w naszych statutach imienia Bożego, i że to Francja wypowiedziała owo dzięk,

a raczej nawet dzikim ludom nieznane: „Prawo jest i powinno być bezwyznaniowe”; dołożyli wszelkich starań, aby wygnać religię z myśli i zwyczajów Francji, wmówić jej, że wielki naród jej nie potrzebuje, że religja jest zawadą w dyplomacji, i że sumienie i polityka nie mają ze sobą nic wspólnego, aż dopóki istotnie nie doprowadzili naszej ojczyzny do tego, że obozwładniona obojętnością, zaślepiona zwątpieniem i ateizmem socjalnym zgodziła się na powierzenie kierunku swych praw bezbożnym dyplomatom i ministrom, straciła jasny pogląd na sprawy świata oraz świadomość swego posłannictwa, zachowując o niem zaledwie mętne i niejasne pojęcie i wspomnienie.

A jednakże Opatrzność dopuściła, że w czasach niezbyt odległych to przeznaczenie Francji mogło być wyjaśnić na nowo i utożsamie się niejako z naszą narodową wielkością. Odwieczna nasza współzawodniczka Anglja przyjęła protestantyzm. Tem więc samem katolickiej Francji przypadło w udziale przodownictwo wśród narodów chrześcijańskich. Jakaż to sposobność do ujęcia w ręce rządów świata, o które z nią się zawsze współubiegała Anglja! I cóż łatwiejszego nad wybór drogi, do tego celu wiodącej! Należało tylko zgromadzić wokoło siebie wszystkie kraje katolickie: Hiszpanję, Portugalję, Niderlandy, Bawarję, Szwajcarję, państwa włoskie, podtrzymać Irlandję; bronić, a później powołać do życia Polskę; oprzeć się na Austrii i wspólnymi siłami zbrojnie ochronić papieństwo; poczem obozwładnić protestantyzm pod względem politycznym i szanując swobodę sumienia jednostek, paraliżować wpływ państw; następnie na czele ludów katolickich sięgnąć poza morza, szerząc wiarę w Indjach, Australji, Afryce, obu Amerykach, Chinach i Japonji, i pchnąć świat cały na drogi prawdziwej cywilizacji, która nie jest czem innem, jak panowaniem Ewangelji w społeczeństwach. Cóż, powtarzam, prostszego nad to, cóż piękniejszego, godniejszego duszy Francji, chwalebniejszego dla Europy, potrzebniejszego dla świata? I czy nie oczywista, że gdyby Francja wykonywała ten plan wytrwale i konsekwentnie, gdyby obróciła na to wszystkie siły, których użyła na poniżenie domu austriackiego, i ten zapal, z jakim szerzy rewolucję w świecie, postać ziemi byłaby zupełnie zmieniona na jakie tysiąc lat, a ona sama wzniósłaby się do wysokości, na której nie zdołałaby jej zaskodzić bezsilna zawisć wrogów. Zamiast tego jakież dziś jest nasze położenie? Z jednej strony protestancka Anglja

opanowała wszystkie morza, i jej to sztandar spotka podróżny wszędzie niemal, gdzie noga ludzka może stąpać. Z drugiej strony ukazały się na widnokręgu, jak krwawy meteor, Prusy, zawdzięczające swój wzrost naszym omyłkom a ośmielone naszą nieudolnością. Mają one pięćdziesiąt milionów ludzi wyćwiczonych i niezdenewrowanych i podając rękę Rosji, która ma sześćdziesiąt milionów mieszkańców, gotują Zachodowi najazd barbarzyńców, któremu nic się nie oprze. Dążą do posiadania Holandji i osiągną je wbrew Anglji. Poczem będzie już gotowa obroż, mająca na celu opasanie i zduszenie narodów katolickich. Przypuśćmy, że Anglja, uwzględniająca swój interes jedynie, znajdzie go kiedy w związku z Prusami — będzie to hasłem zagłady dla ludów katolickich. Wtedy Francja będzie patrzała smutnie i bezradnie na klęski, którym zapobiec nie będzie w jej mocy; przypomni sobie tych polityków głupich, nieudolnych, płytkich, obłąkanych niewiarą i bezbożnością; okryje imiona ich wżgardą i złorzeczeniem; ale już będzie za późno, chyba, że Bóg przyjdzie na pomoc, i dowiodłszy tylu nieszczęściami, że nie wolno jej bezkarnie schodzić ze wskazanej przez Niego drogi, odmieni oblicze świata, zsyłając jakąś cudowną i niespodziewaną pomoc swojemu Kościołowi, którego nigdy nie opuszcza.

Ale przypuściwszy nawet ową pomoc cudowną, której źródło może nietrudno byłoby wskazać, cóż się stanie z Francją, jeżeli będzie obstawała przy bezreligijności? Weźmy mapę kuli ziemskiej, zwróćmy uwagę na zmiany zaszłe w rozmieszczeniu rasy ludzkiej na jej obszarach od początku naszego stulecia. Dwie potęgi współzawodniczące z sobą, ale stanowiące jedność pod względem pochodzenia, języka, praw i obyczajów, Anglja i Stany Zjednoczone, opanowały całą kulę ziemską z wyjątkiem Europy, albo raczej same tylko na niej istnieją, tak że poza wodami, oblewającemi naszą część świata, imię nasze zaledwie jest wspomniane. Wobec tego przypomnijmy sobie, że niegdyś ludzie zadawali sobie pytanie, czy nasza rasa i nasz język nie otrzymają pierwszeństwa przed wszystkimi innymi, i czy cywilizacja reszty świata nie będzie miała cechy francuskiej. Dziś szala już się przeważyla, i dwie przynajmniej części świata, Ameryka i Australja, należą bezpowrotnie do rasy anglo-saskiej.

Ale ta przewaga Anglo-Sasów poza granicami Europy to tylko słaby obraz tego, co nas czeka w niedalekiej

przyszłości. Nie upłynie chyba wiek jeden, a Stany Zjednoczone, które będą naówczas liczyły przeszło sto milionów mieszkańców, opanują Meksyk, Brazylię i inne państwa Ameryki Południowej i podzielią się z Anglią panowaniem nad Oceanją, Australją, Nowo-Zelandją, a może i Chinami¹⁾.

Otóż w tej rasie, świat pokrywającej, w dwóch tych narodach krwią i prawami tworzących jedność, w Anglii i Ameryce, rozszerzy się najbardziej katolicyzm. *Mens agit molem*. Jest to coraz widoczniejsze. Przypuśćmy, że rzeczy pójdą dalej tym trybem, co jest bardzo prawdopodobne; że oficjalnie czy też nieoficjalnie Anglija przyjmuje katolicyzm; że Ameryka, mająca w roku 1800 dzieśnię katedr biskupich, a obecnie osmdziesiąt, przy końcu stulecia będzie ich miała dwieście, bo to jest też wielce możliwe: wtedy zmieni się postać rzeczy w świecie religijnym; przesilenie minie; Kościół stanie znowu na czele ludzkości. Ale w tych wszystkich bardzo możliwych kombinacjach gdzież będzie miejsce Francji? Jeżeli ona będzie coraz mniej wierząca, coraz bezbożniejsza i bardziej materialistyczna, jakąż odegra rolę wówczas, kiedy Anglija i Ameryka na wszystkich lądach i morzach podniosą sztandar wiary, wolności i cywilizacji? Oto będzie marnie dogorywała w Europie. Utrata panowania słuszną będzie karą za to, że nie chciała szerzyć na ziemi Królestwa Boga, i będzie żyła z dnia na dzień wśród starych narodów Europy, tracąc coraz więcej na sile i znaczeniu. Do tego doprowadzą nas nasze błędy, a gdybyśmy mieli wyższe poczucie naszego wielkiego posłannictwa religijnego i moralnego, naszego zaszczytnego, piętnastowiekowego powołania, nie przyszłoby do tego nigdy.

Naprawdę pocieszali się tem, że jeśli wielkie zagadnienia polityczne świata i Europy będą odtąd załatwiane bez naszego współudziału, jeżeli utracimy głos rozstrzygający w rzeczach dotyczących się religii, pozostaniemy niemniej nowożytnymi Atenami, śródowiskiem wysokiego rozumu i smaku, jakim była w starożytności Grecja: najwykwintniejszym miejscem w świecie. Zaprawdę, byliśmy tem wszystkiem, ale czy i nadal będziemy, jeżeli będziemy trwali we wstępie do wszelkiej religii, jeżeli wygnamy Boga z naszych umysłów i serc tak, jakśmy Go już z naszych praw i urządzeń wygnali? Cechami naszego

¹⁾ Prévost Paradol, *La France nouvelle*, str. 362.

umysłu były właśnie: podniosłość, szlachetność, a przede wszystkim wielkość, złączona z prostotą; tym rzadkim i rzadko w parze chodzącym przymiotom zawdzięczamy wśród ludów współczesnych pierwszeństwo, o którego zachowanie więcej dbać byliśmy winni. Tymczasem nie staraliśmy się o to wcale; po pokoleniu filozofów, usiłujących odebrać pierwiastek chrześcijański duchowi Francji, co już było pierwszym poniżeniem, niepodobna bowiem odłączać ducha chrześcijańskiego od genjuszu i piękności Bossueta, Fénelona, Pascala, Kartezjusza; są one w nich tak jednolite, że lepiej nie kusić się nawet o dokonanie pomiędzy nimi rozdziału; po tem więc pierwszym pokoleniu, przynoszącem nam poniżenie pierwsze, przyszła chmara wstrętnych, małych sofistów i przedsięwzięła godne siebie zadanie zmaterializowania naszego ducha, co jest jednoznaczne z jego zupełną zagładą. Bo jeśli, jak utrzymujecie, niema wcale Boga, duszy, ducha żyjącego i nieśmiertelnego, w cóż się obróca: prawda, rozum, cnota, poezja, zapal i piękno? Wszystkie rzeczy duchowe nikną, a zniknięcie ich — to śmierć dla umysłu francuskiego. Czyż nie one to bowiem stanowią jego oryginalność i wyższość? Czy chemia, fizyka i inne nauki przyrodnicze i ścisłe, których nie lekceważę bynajmniej i gdzie mieliśmy i mamy wielu ludzi niepospolitych, czy to jednak one są właściwem nam polem, gdzie nasz genjusz rozkwita i góruje? Wygnajcie Boga ze świata umysłowego, zmaterializujcie ten świat, a zostanie nam w nim stanowisko najpospolitsze, takie, jak każdego przeciętnego narodu. Odbierzcie Boga, duszę, ducha naszemu genjuszowi, tak podniosłemu, szlachetnemu i wysoce uduchowionemu we wszystkim, w filozofii, w poezji, w wymowie, sztukach pięknych — cóż pozostanie? nic wcale. A raczej pozostaną dwie rzeczy, które nigdy nie przynosiły nam chluby, owszem przynosiły nam raczej ujmę, po wygnaniu zaś Boga, zatem bez lekarstwa i hamulca, będą naszą hańbą.

Niema na świecie nic doskonałego, i największe genjusze mają słabe strony; genjusz francuski ma stron tych dwie: płochość i skłonność do rozwiązłości. Tak, ta strona płocha, figlarna, śmiejąca się, zarazem czuła i szydercza, a tak łatwo przechodząca w swawolę i rozpamiętanie — oto pierwsze nasze niebezpieczeństwo. Chrystjanizm powstrzymywał ją, miarkował, karmił, i dzięki temu w ciągu całych wieków średnich nie wybujała w zło istotne. Ale w XVI wieku przy osłabieniu tego wielkiego hamulca roz-

lała się pierwszą błotnistą falą, która zmieniła się w formalną powódź w wieku XVIII. Wówczas to ukazały się dzieła, do których czytania nie śmie się przyznać nikt uczciwy: taka *Dziewica* Woltera, *Wojna bogów* Parney'ego, bezecenstwa Pigault-Lebruna i wiele dzieł podobnych, dla których trzeba by utworzyć tajną bibliotekę, jak owo tajemne muzeum w Neapolu, mieszczące odkopane nieprzyzwoite klejnoty dam rzymskich. Myślę, iż żaden naród nie skalał papieru taką ilością błota, jak Francuzi, i że nigdzie niema takich książek, jak nasze z XVIII i XIX w., takich powieści, poezyj, tragedji, feljetonów, tchnących zepsuciem, rozpustą i bezbożnością. Niedawno porządkowałem i oczyszczałem z tych śmieci bibliotekę po zmarłym starcu. Jeszcze jestem przejęty zgrozą. We francuskim księgozbiorniku tak jak w niektórych ulicach trzeba stawiać kroki jak najostrożniej, aby nie zetknąć się z kałem.

Do tego dołączcie lekkomyślność francuską, którą niewiara wzmacnia jeszcze. Jakaż bowiem wartość mieć mogą wszystkie poważne zagadnienia dla ludzi, odrzucających duszę i Boga? Co po historii ludzi, którzy nie uznają wolnej woli i wszędzie widzą tylko panowanie praw fatalistycznych? Umysłem, grzęznącym w błocie, naco się przyda poezja? Dajcie im dziennik dla zabicia kilku godzin dnia, i to dziennik nie zanadto poważny! jak w pewnej chwili historii naszego narodu z wydelikacjonnych i zniechęcających dłoni naszych wypadł ciężki miecz ojców, tak wobec wzrastającej płytkości naszego umysłu ciężkie i wspaniałe foljały musiały ustąpić poważnym jeszcze *in quarto*, a te szlachetnym *in octavo*, których panowanie jest już zresztą na schyłku, bo nawet coraz mniejsze i lżejsze formaty, cieszące się takim powodzeniem w naszym stuleciu, zdają się nam ciężać coraz bardziej. I oto zjawia się oderwany świstek, dziennik przynęcający czytelników lekkim feljetonem. Ale co mówię! wszak już do przeszłości należą i te czasy, kiedy poważny dziennik, poświęcony polityce, udzielał miejsca lżejszym wiadomościom w feljetonie jedynie, czyniąc to ustępstwo przez wzgląd na rozrywkę swoich czytelników. Dzisiaj cały dziennik jest feljetonem. Próżno w nim szukać polityki, artykułów poważniejszych, wiadomości naukowych; nic, tylko plotki uliczne, tłuste historyjki, zakulisowe anegdoty. Taki dziś jest umysłowy pokarm tego narodu, któremu pod względem darów umysłowych nie dorównał, oprócz Grecji, żaden inny naród. Pomału umysł rozprasza się, karłowacieje.

Nie może zdobyć się na najmniejszy wysiłek, nuży go wszelkie natężenie uwagi. Gaśnie.

Dokończmy dzieła: Wygnajmy z ducha narodu Boga, a z Nim podniosłość, szlachetność, powagę, głębię, siłę, to jest moralną wielkość i piękność; zostawmy tylko płochotę i lekkomyślność, dwie pokrewne sobie właściwości, a ujrzymy, co się stanie z umysłem francuskim. Będziemy jeszcze Grecją, ale nie z czasów Peryklesa; będziemy Grecją współczesną Ciceronowi, w której Rzym zaopatrywał się w gramatyków, nauczycieli i historyków, płacąc im złotem i pogardą. Nie mogąc zapomnieć o minionej wielkości, będziemy nużyli świat powtarzaniem imion Bossueta, Pascala, Corneille'a, Kartezjusza; ale te wielkie imiona uwydatnią jeszcze bardziej naszą wobec nich nikłość. Niewiara wytworzy z nas tylko dowcipnych gawędziarzy lub wesołych gorszycieli i ojczyznę Bossueta i Corneille'a sprowadzi do szaczytnej roli Figara Europy.

Czemże są wszakże te wszystkie zamachy, skierowane przeciw genjuszowi Francji, przeciw jej szlachetnemu i światłemu umysłowi, wobec podjętych z tak zatrwającą zgodą i wytrwałością usiłowań zepsucia i zgangrenowania jej serca. Widzieliśmy już, czym jest serce Francji, widzieliśmy jego wyjątkowo piękne strony dodatnie. Ale ma i ono strony słabe. Jedną z nich jest wysoce szlachetna, ale też i wysoce niebezpieczna, jeżeli boski wpływ religji nie będzie jej ustawicznie miarkował, prowadził, poskramiał i przeobrażał. To ta, co dała początek ryccerskości, tkliwej czci dla kobiety, która się stała w wiekach średnich przedmiotem kultu; bo Kościół pojął genjalnym zmysłem praktycznym, że Francji zagraża zagłada nie przez egoizm, ale przez miłość występłą, którą naród łatwo można znieprawić; zatem trzeba miłość uświęcić, postawić niewiastę na ołtarzu niejako i zapalić w sercach cześć dla ideału. Tam także bierze początek w naszych obyczajach czasów nowszych francuska kurtuazja, zwana inaczej galanterją, owo szczególniejsze i czysto francuskie połączenie szacunku i uprzedzającej grzeczności, delikatności i nadszkalowania, i będącej w obyczajach tem, czem w świecie umysłowym Grecji był attycyzm. Ale nie obniżajcie poziomu religijnego, bo od średniowiecznej ryccerskości, od kurtuazji i galanterji wieku XVII jeden krok tylko do ryzykownej płochoty i niebezpiecznych miłostek XVIII stulecia, a dalej do wolnej miłości, rządzącej się

miłość jako
stanu!
(feminizm)

kaprysem i upodobaniem przelotnem, a wiodącej do wszelkich bezceństw i klęsk najsmutniejszych.

Otóż tej to stronie serca Francji, stronie najdelikatniejszej, najbogatszej i najidealniejszej, ale też i najmniejbezpieczniejszej wypowiedziano zaciętą wojnę. Nie szczędzono niczego, aby ją zepsuć, poniżyć i zbezczęścić. Zjawili się sofisci, którzy postawili sobie za zadanie uwolnić nasze serce od wszystkich więzów, wszystkich tam boskich, od hamulców rozumu i sumienia; rozkiełznać jego namiętności i, aby je tem łatwiej znieprawić, zetrzeć zeń chrysto chrztu, którem je Kościół oczyścił. Być może, że poza Renem można zaprzeczać platonicznie istnieniu Boga i wyprowadzać stąd wniosek, że niema duszy, niema wolnej woli ani też odpowiedzialności za postępek, słowem, że niema dobra ani zła, bez szkody dla jednostki ustroju społecznego. Ale nigdy we Francji. Takie idee nie mogą pozostać w umysłach w stanie abstrakcji; muszą pociągać za sobą zepsucie obyczajów. Niema, powiadacie, Boga, niema duszy. Więc musicie przyjąć i nieuchronną tego konsekwencję. Niema Boga: zatem prawda jest urojeniem, nieśmiertelność mrzonką, cnota niedorzecznością. To produkt pewnych organizmów, „jak cukier lub witrjol”. Możecie sobie wytwarzać cnotę, ofiarę, jeżeli wam to sprawia przyjemność. Ja wytwarzam rozkosz, użycie.

To też, kiedy wolnomyślicielstwo zrywało tak wszystkie tamy i wszelkie wędzidła w sercu Francji, spójrzcie, co porabiała przez ten czas jego córa, niezależna moralność. Córa? powinienbym raczej rzec: jego matka. Co tworzyła? i jak nazwać jej tworzywo? Pióro moje nie skała się jego imieniem, powiem tylko, że z chwilą, kiedy zaczyna się panowanie tego, co się pod niem kryje, wracamy do czasów cesarstwa bizantyjskiego. Istoty, które kryjąc się dotąd pod ziemią, czatowały w cieniu na swe ofiary, podniosły naraz głowę, ukazały się na ulicach otoczone skandalicznym rozgłosem i powodzeniem, przejeżdżając się po Paryżu rozparte zuchwale w zbytłownych powozach i obryzgując wszystko błotem. Były to narodziny półświatka, a zaledwie się on narodził, zaczął dyktować prawa wielkiemu światu. Narzucał mu swe obyczaje, mody, wyzywające kostjумы, zuchwale zachowanie się, nawet swój język prostaczy. Rujnował go; jak pijawka ssal jego bogactwo, cześć i krew. Poczem zwracał mu, na podobieństwo morza wyrzucającego topielców po rozbiciu się statku, jego synów wyniszczonych, spodłonych, wyłysiałych,

z oczyma zapadłemi i zwiędłą twarzą, niezdolnych do odzucia uczciwej miłości, nie mogących być ojcami albo dających potomkom życie rachityczne, zakażone fatalnym jadem zwyrodniającym rasę francuską. Ach! wyście sądzili, że można odjąć sercu, francuskiemu sercu hamulec wiary i zatrzymać je potem na pochyłości! Nie, zatrzyma się ono dopiero w kałuży!

A całe to gorszące zepsucie, grasujące w Paryżu, prasa szerzyła po wszystkich prowincjach, po całym świecie nawet. Za jej pośrednictwem Paryż zatrzymał lubieżnością świat cały. Cała Europa zbiegała się doń i powracała do siebie zepsuta, naprzekór szlachetnemu posłannictwu Francji, które ona przez ciąg czternastu wieków spełniała tak godnie.

W teatrach lepiej niż gdzie indziej można było obserwować szerzenie się tego zepsucia. Nie widywało się już tam owych wspaniałych dramatów cnoty i miłości, gdzie wchodziły w grę najszlachetniejsze namiętności, w których celowaliśmy niegdyś za przewodem Corneille'a i Racine'a, ani nawet tych wesołych i delikatnych, szlachetnych jeszcze, chociaż niedość chrześcijańskich komedij Molière'a. Nic dla duszy, nic dla umysłu. Gromadzono się, aby się przyglądać nawpół obnażonym kobietom, i im ich więcej było na scenie, im bardziej były obnażone, tem większem powodzeniem cieszył się teatr.

Tak to się rozprzegały obyczaje Francji, psuła się jej krew najzaczniejsza. A tymczasem pierwiastek rozkładu pod inną formą przedostawał się do rodzin. Niesłychany zbytek psuł je i rujnował. Wszystko zdawało się sprzyśnięte na ich zgubę, wszystko dążyć do zakażenia ostatków tej niezepsutej krwi, co jeszcze ożywiała serce Francji, a przechowywała się w prowincjonalnych zakątkach i w łonie zacnych rodzin; wszystko, począwszy od najkrzykliwszych mód, obrażających jeszcze bardziej dobry smak aniżeli moralność, od nieskromnego obnażenia, znieważającego pierś najczystszych dziewic, do wyuzdanych tańców, odbywanych pod okiem zaślepionych matek i występnych ojców.

Kto wypowie stopień rozprzżenia moralnego, do którego doszliśmy? Kiedy czytam ówczesnych pisarzy i powieściopisarzy, jedna rzecz uderza mnie i przeraża przede wszystkim. Anglja, Ameryka, Niemcy posiadają mnóstwo powieści z życia rodzinnego, czystych, delikatnych, mających za przedmiot domowe ognisko i drobiazgi życia

*niezepsutej,
wzrostu jej,
wartości ciele-
wicie!*

codziennego, ale drobiazgi opromienione uczuciem. Z Francją rzecz się ma wręcz przeciwnie. Nie ma ona powieści, któraby nie była osnuta na wiarołomstwie, nie malowała jakiegoś gorszącego skandalu. Potrzeba jej zakazanej miłości i krwi. Powiadają powszechnie, że literatura jest obrazem społeczeństwa. Czyżby więc ci malarze obyczajów, studjujący towarzystwo francuskie, widzieli w niem same tylko intrygi, samo zepsucie i wiarołomstwo? Czy też może tylko wiedzą, że niczem innem nie zajmą czytelników? Prawdą jest, w każdym razie, że Francja zatraciła moralność i cnotę, zatraciła je coraz bardziej, i bliska jest ta chwila, kiedy to zło, zgangrenowawszy serca czyto jednostki, czy społeczeństwa, zagraża już życiu u samych jego podstaw.

Jestże jakie lekarstwo na tę toczącą serce Francji gangrenę? Tak, było jedno, cudownie przystosowane tak do jego stron pięknych i wielkich, jak i do jego stron słabych. Ale odrzucacie je. Francja miała religję, której pierwszym symbolem była dziewica, nadziemsko czysta; do jej serca przynosiły nasze córki serca swoje i czerpały zeń skromność, wdzięk ujmujący, który je upiększał, napełniał urokiem nasze domy i zdobił nawet ulice.

Drugim symbolem tej religji był krzyż, który uczył dojrzałych mężów nie panować, ale służyć, poskramiać siebie, być wpogotowiu do ofiary, i nadawał im podniosłość myśli, delikatność uczuć, srom męski i łagodną powagę, które były ozdobą, bezpieczeństwem i zaszczytem rodzinnego ogniska.

Ostatnim wreszcie wyrazem tej religji była miłość, miłość bezinteresowna, pełna poświęcenia, dana nam z Nieba, ażeby nauczyć nas kochać i szerokim strumieniem ogarnąć całą ludzkość.

Ale wy tę religję odrzucacie! I zdaje się wam, że z waszą pospolitą moralnością bez podstaw i bez sankcji zdolacie zachować te wszystkie cnoty! Myślicie, że zachowacie wstyd chrześcijański, że zachowacie młodzieńca w czystości a małżeństwa w jedności, szczęściu, błogosławieństwie Bożem, małżeństwa nieskalane, płodne, złączone miłością wciąż wzmagającą się a pełną delikatności, szcunku i poświęcenia, jaką daje chrystjanizm! Sądzicie, że zachowacie czystość dziewic, godność niewiasty, świętość małżeństwa!

Albo może wyobrażacie sobie, że wzgardziwszy tem wszystkim, podeptawszy te swoje najcenniejsze dobra, pozostaniecie mimo to zawsze wielkim narodem?

O, nie! dobre obyczaje tworzą wielkie narody; czyste ogniska tworzą silną rasę. A ogniskami czystymi, płodnymi są tylko te, które się wspierają o ołtarz. Wspomnijcie na wiek XVIII. Wówczas, wedle czyjegoś silnego wyrażenia, „Sardanapal nocował w sypialni Ludwika Świętego, Stambuł nawiedził Wersal i czuł się jak u siebie”. A w kilka lat potem Francja pogrążała się w otchłań!

Utraciecie tedy wszystkie te skarby, a nie śmiałybym ręczyć, czy z ogólnego rozbicia uratujecie bodaj tradycyjne narodowe męstwo! Nie cofam nic z tego, co powiedziałem o szpadzie francuskiej. Nawet po tylu klęskach pozostaje ona najpierwszą w świecie. Ale nie należy jej dawać w ręce bezbożne, rozpustne, sprzedajne. Czyż myślicie, że skoro zaszczeplicie gangrenę w sercu, będzie ono jak przedtem podatnym gruntem dla męstwa? Ależ męstwo i cześć to najbardziej boskie przymioty serca! Świadczą one o gruncie szlachetnym i wzniosłym. Starożytni mówili, że ojczyzna — to ołtarze i ogniska. Ale wy ołtarzy nie macie; okrywacie je pogardą i zniewagą! Macie tylko ogniska, i to ogniska smutne, ponure, skalane może, bez kolebek. Za cóż mielibyście ginąć? Zostaje wam tylko interes własny i przyjemność, a nikt nie kładzie życia w ich obronie.

Nie zapomnę nigdy widoku, jaki mieliśmy w Orleanie 15 sierpnia roku 1870 i dni następnych. Zwołano tam rezerwistów wszystkich pułków, wszystkie milicje z sąsiednich departamentów, aby spróbować utworzyć z nich armję, któraby mogła naprawić pierwsze klęski. Ulice były pełne żołdactwa brutalnego, pijanego, bluźniącego Bogu i znieważającego Jego kapłanów. Pamiętam, jakby to było wczoraj, gdy cały pułk przeprowadzał szyderskimi okrzykami siwowłosowego kapłana. Tysiąc pięciuset zbrojnych urało jednemu starcowi. A kiedy jeden z przechodniów, oburzony taką podłością, zrobił uwagę dowódcy, ten odpowiedział tylko ruchem ramion, oznaczającym, że nic na to nie poradzi. Wówczas wydało mi się, że mam przed oczyma los, a raczej nieszczęście Francji.

Takiego samego, tylko silniejszego jeszcze, doznałem wrażenia w dniu 13 października, we dwa dni po bitwie pod Orleanem i wzięciu tego miasta. Wyszedłem był dla zwiedzenia pola bitwy i zobaczenia, czy nie znajduje się

w pobliskich winnicach jaki ranny, potrzebujący pomocy. Kopano właśnie dwa wielkie groby pomiędzy Chapelle-Vieille i Fleury, jeden dla żołnierzy francuskich, drugi dla nieprzyjacielskich. Znoszono i zwożono trupy w promieniu dwu i trzymilowym, bo armja francuska, cofając się pod Orlean, zajmowała dużą przestrzeń. Przed pogrzebem składano tymczasowo nad brzegiem dolów w stosy tych poległych o twarzach surowych, noszących wyraźne ślady wzruszeń przedśmiertnych. Szczególnie rysy tych, których kula trafiła w serce, powodując śmierć natychmiastową, wyrażały dumę, gniew i zapał. Pamiętam ogromny kontrast, jaki tworzył z nimi młody pospolitak z Cher, szczupły, delikatny, o twarzy dziwnie i wysoce pięknej, ugodzony w piersi, z szeroko otwartymi oczyma i ustami, jakgdyby miał zaraz przemówić. Leżał na młodym Bawarze, łagodnym i jasnowłosym, który zdawał się spać. Obu złączyła w objęciu śmierć, wielka rozjemczyni ludzkich niesnasek. Niedaleko stamtąd doznałem wzmiankowanego wrażenia. W ustronnem miejscu, pod mostem kolejowym, natrafiłem na tornister obok porzuconego karabinu. Wiatr przewracał kartki wyglądającego zeszytu. Wziąłem go do ręki. Na wstępie były tam bezbożne i nieskromne koszarowe piosnki, skreślone opłakaną kaligrafią i ortografią. Dalej ta sama ręka pomieściła skandaliczne opowiadanie, najsprośniejsze, jakie można sobie wyobrazić. Biedny chłopiec, poszedł do boju z tem bezceństwem w tornistrze! Jeżeli zginął, to był jego wiatyk. Zalany łzami wracałem do miasta zbombardowanego przedwczoraj przez Prusaków. Zdawało mi się, że wracam z pogrzebu Francji. Ale w duszy mojej nie sam tylko był smutek; łączyło się z nim oburzenie. A myśląc o tych wszystkich, którzy od lat dwustu nie szczędzili usiłowań, aby zepsuć Francję, i doprowadzili nas do tych nieszczęść, przypomniałem sobie sławne słowa A. Musseta:

„Czy spisz zadowolony, Wolterze?”

Ale chociaż serce Francji tak ciężko jest chore, większe jeszcze niebezpieczeństwo zagraża jej charakterowi. Trzeba mieć odwagę wyznać, że charakter zajmuje ostatnie miejsce w rzędzie wspaniałych darów naszej ojczyzny. Jest ona z natury ruchliwa, wrażliwa, rządząca się uczuciem, czemu zawdzięcza pierwszorzędną piękność; powodzenie napęłnia nas otuchą i czyni niezwyciężonymi, ale przeciwności odejmują nam energję; przechodzimy kolej-

no od gorącego zapału do zniechęcenia; wzbudzamy podziw świata to wspaniałością zwycięstw, to znów doniosłością i ogromem klęsk i nieszczęść. W życiu obywatelskiem to samo dziwne przerzucanie się od krańcowej niepodległości do ostatecznego służalstwa. Dziś, do zbytku zazdrośni o naszą wolność, wyganiamy królów za łada powodem, a nazajutrz korzimy się ze drżeniem przed pierwszym lepszym, który odważy się przemówić do nas z batem w rękę. Jedyne to kraj chrześcijański, w którym mógł panować swojego czasu terror, jedyny w którym jest on zawsze możliwy; a w tych dniach szał niewiedomości, co bardziej podziwiać: podłość rządzących — czy też podłość rządzonych? Jakże dobrze znała nasza stara religja katolicka duszę Francji, jak wytrwale i konsekwentnie pracowała nad urobieniem i umocnieniem naszego charakteru! Ona to rycerzom naszym dała hasło: *Potius mori quam foedari*; sędziów nauczyła: „wydawać wyroki, a nie wyświadczać przysługi”; a politykom włożyła w usta te słowa: „Dusza moja należy do Boga; serce do króla; ciało moje jest w mocy złych ludzi; niech robią z niem, co się im podoba”. Dzięki też tej surowej i hartującej karności chrześcijańskiej kraj nasz wydawał zawsze na podziw światu największe charaktery, najpiękniejsze dusze, najsilniejsze przekonania, słowem: najpiękniejsze typy tego francuskiego charakteru, z natury lekkiego, niestałego, wrażliwego, unoszącego się łatwo zapałem i równie łatwo upadającego na duchu, ale który przez wiarę, sumienie, honor i stałość zasad wznosił się do tego, co nazywamy wielkością charakteru.

Oto, co działała religja, a zburzyła niewiara. Może-cie spać spokojnie; z tego wszystkiego nie pozostało nic, albo tak dobrze jak nic. Przeszliśmy przez trudne do pojęcia klęski. Z uwagą, jak to mam w zwyczaju, patrzałem wokoło. Przerażony byłem przygnębieniem dusz, upadkiem charakterów. Niema już ludzi! Dlaczego? Ponieważ niema zasad. U większości próżno szukać duchowego podkładu. Są rozumni, wykształceni; wiedzą wszystko, o wszystkim potrafią mówić; ale ich wyobrażenia o moralności, pojęcia o najważniejszych zagadnieniach, o rzeczach wiekuistych są nieokreślone, chwiejne, czasem dziwnie płytkie. Duszom ich brak kotwicy. Nie opierają się na żadnym absolucie. Cóż dziwnego, że są oddane na wolę fal i wichrów? Na czemżeby się wsparły wobec burzy? To też zabrakło nam jednocześnie wszystkich sił: siły po-

sła, któryby głosował niepodległe i według sumienia; siły prefekta, podprefekta, mera, posłusznych z obowiązku, ale którychby posłuszeństwo nie przekraczało granicy czci i sumienia; siły autora, szanującego swoje pióro. Francja nie ma tego wszystkiego, bo nie ma już tej świętej, najpotrzebniejszej ze wszystkich siły, siły moralnej, opartej na niezachwianem przekonaniu; siły, która powiada:

„Boga się boję, Abnerze, i niczego więcej”.

Zniszczcie doostatka tę siłę moralną; podepczcie wszelkie zasady jako urojenia; usuńcie z dusz resztki przekonań, które się jeszcze zachowały; ale nie mówcie potem, żeście zazdrośni o wielkość Francji. Póki nie znała was, bezbożnicy, materjaliści, kroczyła na czele ludzkości, budziła w niej uwielbienie i zazdrość. Dzisiaj wam to zawdzięcza, że już tylko ogromem klęsk i głębią niedoli jest dla niej przedmiotem podziwu.

Tak to pod palcem tchnieniem politycznego i społecznego ateizmu słabnie i gaśnie umysł, serce, charakter, ciało nawet. Tak jest, nawet ciało Francji, tak silne, zdrowe i kształtne. Nietylko zmniejsza się skala wzrostu narodu, tak że co lat piętnaście trzeba ją zniżyć dla armii; nietylko blednieje krew, tak że w pewnych okolicach, w wielkich miastach, w Paryżu możnaby sądzić, że jesteśmy wśród tłumu widm; ale oto i ludność zmniejsza się stopniowo, jak wypalony olej w lampie. Korzenie naszego życia podgryza zło nieznane naszym ojcom, które występuje tylko u ludów upadających. Czyżby nadeszła dla nas owa doba państwa rzymskiego, kiedy nie było prawie małżeństw, kiedy trzeba było praw, aby zmusić młodzieńca do wyboru towarzyski życia; kiedy szczególnymi łaskami i przywilejami, pensjami nawet potrzeba było zachęcać rodziny, aby miały dzieci? Faktem jest, że według najświeższych statystycznych danych Francja, co do przyrostu ludności zajmuje ostatnie miejsce w szeregu państw europejskich. Kiedy na przykład w Prusiech przyrost ten od roku 1817 do 1864 wynosi 82%, we Francji dochodzi zaledwie do 25%. Różnica staje się jeszcze znacniejszą, kiedy porównamy Francję z Rosją, Anglią lub Stanami Zjednoczonymi. Ubiegłych lat kilka ludność stoi w tej samej mierze, ale chociaż liczba pozostaje niezmienną, traci ona na jakości. Giniemy widocznie. O Francjo, wybaczk kochającemu cię synowi, ale jakże mógłbym nie zapłakać nad tobą! Oto Rosja czyni zdobycze w górnej

Azji, a wkrótce może zapanuje nad Dalekim Wschodem. Oto Anglia pokrywa kwitnącemi kolonjami Oceanję, Australję, Indję. Oto Ameryka, zapełniwszy obszary obu lądów, weźmie wkrótce przewagę na wszystkich morzach, ty zaś, moja wielka ojczyzno, nie będziesz może miała dosyć rąk do uprawy własnej ziemi!

Ale w tym smutku i niepokoju na widok słabnięcia i wycieńczania się ciała Francji pod mroźnym podmuchem niewiary, materjalizmu i bezwyznaniowości, nietyłem mam na myśli jej ziemię, krew i siłę i liczbę jej dzieci, ile jej ciało społeczne, organizację tego drogiego mi narodu, tak niegdyś zjednoczonego, tak żywotnego i wolnego, a dziś tak wzburzonego, niezgodnego, tak mocno chorego, a wstrząsanego wciąż nowemi przewrotami, jak owe dusze potępieńców Danta, któremi miotają wiekuiste wichry. Utraciliśmy starą konstytucję, a niezdolni jesteśmy do utworzenia nowej. Dawna miała zapewne usterki, ale dzięki niej Francja, chociaż głęboko przywiązana do swych królów, była zawsze ziemią swobody. Obecnie tyleśmy już razy pracowali nad odbudowaniem tego starego gmachu swobody na nowych a trwałych podstawach, a czyż osiągnęliśmy pożądany skutek? Zważcie, jakiej to już nie próbowaliśmy konstytucji w obecnym stuleciu, a któraż się z nich utrzymała? Co piętnaście lat szukamy sobie nowej, a skoro ją posiadamy, nie otaczamy jej czcią, nie uważamy za rzecz świętą i nietykalną, nie podlegającą naganie i krytyce, chyba bardzo ostrożnej i pełnej szacunku; nie naśladujemy starożytnych, którzy uważali ją za daną z Nieba i pomieszczali w świątyni, aby to odosobnienie, tajemniczość i opromienienie blaskiem religji czyniło ją tem czcigodniejszą; nie obchodzimy się z nią jak z drzewem, którego korzeni nie obnaża nikt oprócz dzieci albo szaleńców; przeciwnie, zaledwie powstanie, poddajemy ją krytyce, wynajdujemy jej słabe strony, obieramy ją za cel dowcipów, za przedmiot żartu i szyderstwa, tak że po upływie lat piętnastu niema potrzeby jej obalać: upada sama, zdyskredytowana, odarta z uroku, wzgardzona, ośmieszona. Co piętnaście lat mamy „rewolucję pogardy”. A wówczas, kiedy w zaślepieniu pracujemy nad tem dziełem zniszczenia, w pyle wzbijającym się z tych szczątków społecznej budowy kryje się i czai stronnictwo, pragnące przywłaszczyć sobie władzę, nim będzie mogło kraść własność. Biedna moja ojczyzno! z kimże cię porównam? Jesteś podobna do owej niewiasty starożytnej, płaczącej

i jęczącej, ponieważ czuła bijących się w swem łonie dwóch swoich synów.

Podwójcie usiłowań, bezwyznaniowcy, ateusze, materialiści: wszak Francja niedosyć jeszcze poniżona! W sercu robotników miejskich i rolników wiejskich, w sercach wszystkich, którzy cierpią, zagaście wszelkie zasady, a rozplamienie wszystkie pożądliwości, zdejmcie wszelkie hamulce, rozkiełznajcie wszystkie namiętności, a nie będzie potrzeba barbarzyńców, żeby unicestwić Francję i świat od niej oswobodzić. Rozszarpie się ona własnymi rękoma.

Albo raczej nie! — występki nie uchronią jej od barbarzyńców, a jeżeli niewiara weźmie w niej górę, to zamieniwszy jej umysł, znieprawiający serce, podkopawszy charakter, rozerwawszy jedność narodową, zgótuje wiele innych nieszczęść. Na podobieństwo strąconego archanioła Miliona, zachowującego jeszcze wiele pięknych śladów dawnej wielkości i świetności, Francja bezbożna, zmaterializowana zachowa najcharakterystyczniejszą swą cechę, ducha propagandy, prozelityzmu. Ona, która w wiekach średnich szerzyła po całym świecie swoje instytucje polityczne, społeczne i religijne, w XVI i XVII stuleciu swój język, obyczaje, sztukę, a obecnie swoje prawodawstwo, wyciskając, gdzie się tylko zjawi, piętno swoje, zepsuta będzie szerzyła swe zepsucie. Z uwiedzionej stanie się uwodzicielką. I straszna to będzie rzecz, kiedy ten jej umysł, wdzięk, to serce, ten język i gorliwość jej zaprzęgną się w służbę zła. Sięgnie ona do wszechnic niemieckich po systematy filozoficzne najśmielsze, najobrzydliwsze i najbardziej upadające, rozjaśni je i uprzystępni, wydobędzie z ciężkich i wielkich woluminów, gdzieby pozostały nieznanne, i rozrzuci po całym świecie, aby zagaścić światło wszędzie. Zgromadzi najrozpasańsze mody, najniemoralniejsze książki i powieści. Tych, niestety, nie będzie potrzebowała zapożyczać u innych; wysnuje je sama z siebie. A jeżeli jej twórczość w tym kierunku nie będzie dosyć płodna, wyda na nowo wszystkie utwory XVIII wieku; wydrukuje je w lotnych świstkach kilkunastu groszowych, ozdobi sprośnymi ilustracjami i zaleje niemi świat. Jak niegdyś misjonarzy cnoty, będzie miała misjonarzy zepsucia. Poprzez morza i góry poda rękę wszystkim burzycielom porządku społecznego; zbudzi drzemających; w najustronniejszych dolinach rozdmucha płomień rewolucji i krwawą jej pochodnię wzniesie ponad światem. Tem jej nowem apostołstwem przerażą się królowie; zdrowe jeszcze

narody usuną się od niej, jak od zapowietrzonej. Oddziełają się od niej kordonem sanitarnym. I przyjdzie czas, kiedy czyto z woli Boga, który pomnąc na dawną Francję i nie chcąc jej opuszczać, zesła kary dla jej upamiętania, czy też przez zawiść, nienawiść, obawę królów i narodów, którzy będą usiłowali zgasić to niebezpieczne ognisko, Francja opustoszona, zmniejszona, rozdarta rękoma własnych dzieci, zostanie zdziesiątkowana i zdeptana przez obcych, a kiedy jej ostateczną zagładę te wszystkie klęski spowodują, od czego uchowaj nas, Boże, zwiedzający jej ruiny pielgrzym nie będzie miał dosyć łez, ażeby oplakać jej niedolę.

Jako siedzi samo miasto pełne ludu!...¹⁾

Komu cię przyrównam, albo komu cię przypodobam, córko jerozolimską?...

Klaskali nad tobą rękoma wszyscy mijający drogą, świstali i chwiali głową swoją nad córką jerozolimską, mówiąc: I onoż to jest miasto doskonałej piękności, wesele wszystkiej ziemi?²⁾

Wspomniawszy wszakże, że to przez bezbożność i występki upadła ta królowa narodów, ów pielgrzym zaduma się nad ruinami i wyda mu się, że słyszy głosy, które trwożyły Jerozolimę w przeddzień jej upadku: „Bogowie odchodzą”. I przywiedzie swe dzieci i wnuki, aby zrozumiały naukę, jaką mieszczą te szczątki, a wskazując im zwaliska Luwru, Tuilerjów, łuki mostów Sekwany, wyrzecz: „Patrzcie, żył tu niegdyś wielki naród, ale stracił żywot, ponieważ chciał żyć bez Boga!”

V.

Ale nie kończmy na tak smutnych przepowiedniach. Nie, bezbożni, bezwyznaniowcy, materialiści, wyście nie opanowali duszy Francji pomimo umiejętnych i konsekwentnych napaści. Staraliście się dotrzeć do jej rdzenia; nie posiadliście jej wszelako. Wymyka się wam, ucieka z waszych ciasnych widnokręgów, z jaskiń, w których chcieliście ją zamknąć i gdzie jej duszno; wznosi się naprzekór wam w sfery pogodne, gdzie przemieszkuje wielkość i światło.

Rozpatrzmy naprzód umysł Francji, ten umysł szlachetny, światły i logiczny. Nie, nie zmienił się on, nie uszczuplił, nie przygaś; jaśnieje dziś blaskiem szczegó-

¹⁾ Treny Jerem. 1, 1. — ²⁾ Tamże 2; 13, 15.

nym, wyższym zaiste od blasku wieku XVIII, równym w pewnej mierze blaskowi XVII wieku, a pod niektórymi względami nawet wyższym. Zapewne język XIX w. mniej ma poprawności, mniej surowej wielkości, ale jest zato barwniejszy, bogatszy i dźwięczniejszy, ma więcej pojemności i giętkości. Bo też barbarzyństwem jest chcieć unieruchomić język. Żyje on, rozwija się, a jeżeli traci jedne powaby, nabywa zato inne. Czyż nie widzicie, że te wybitne piękności, które zapoczątkował wiek XVI, a przytłumił chwilowo zbyt puryzm XVII, rozkwitły w XIX w., nadały naszemu językowi blask szczególniejszy? A ileż darów zupełnie nowych, nieznanych poprzednim wiekom! Weźmy, na przykład, poezję liryczną. Czyż wiek XVII może pod tym względem porównać się z nami? Prawda, że ma Racine'a. Ale u niego poezja liryczna to tylko do datek; a zresztą jest on jedyny, bo nie zaliczę nigdy do liryki ód Boila, my zaś mamy co najmniej trzech pierwszorzędnych liryków. Ale nie tu jeszcze nasza stanowcza i wybitna wyższość. Stanowi ją poezja nastrojowa. Pod tym względem przeszłość nie daje nam wyższych ani równych. Wiek XVII nie przeczuwał nawet tego rodzaju, w którym my stworzyliśmy arcydzieło. Takie na przykład, że wymienię tu jedno tylko, *Le Lac* będzie żyło, póki żyć będzie język francuski, i przejdzie do potomności w jednym co najmniej rzędzie z najpiękniejszymi utworami wieku XVII. A w iluż to innych rodzajach znaleźliśmy nowe drogi! W historii, na przykład, tak w wieku XVII bladej i ogólnikowej, wyjąwszy Bossueta, bo ten posiadał genjusz, który staje za wszystko. Poprzestanę na tem, ponieważ nie mam obecnie zamiaru przeprowadzać wyczerpującego porównania pomiędzy umysłowością Francji XVII a XIX wieku; a przytem, to co powiedziałem, wystarcza, by dowiedzieć, że bezbożność, materializm i bezwyznaniowość nie opanowały jeszcze do tego stopnia umysłu francuskiego, aby go spospolitować, poniżyć i zagaścić.

Chcę tylko zwrócić uwagę na cechę znamionną tego umysłu w naszym stuleciu. Tam tylko zachował jeszcze pewną wielkość, gdzie pozostał religijnym. Jest o tyle wielki o ile chrześcijański. Bo powiedzcie, proszę, jacyż to są ci nasi wielcy filozofowie, którzy w przyszłości będą uosobieniem naszego genjuszu filozoficznego? Bezspornie de Maistre, a może i Bonald: autor *Wieczorów Petersburskich*¹⁾ i autor *Pierwotnego prawodawstwa*²⁾. Nie ośmie-

¹⁾ *Soirées de Saint Pétersbourg*. — ²⁾ *La Législation primitive*.

łam się zaliczać do nich Cousina, wielkiego prozaika, ale mianem filozofa, bez oryginalności, bez gruntowności, bez pomysłowości, o którego z pewnością nie upomni się ateizm ani materializm. Zato chętnie zaliczyłbym do nich religijnego Maine'a de Biran, który może najwyżej podniósł sztandar myśli filozoficznej w naszym wieku. A któż jest naszym wielkim prozaikiem? Chateaubriand, autor *Genjuszu Chrześcijaństwa*, *śpiewak Męczenników*¹⁾. Jeden tylko mógłby z nim współzawodniczyć: autor *Studjum nad obojętnością religijną*²⁾. Przejdźmy kolejno do poetów. Znam wszystkie wady Lamartine'a, ale cóż w nim za cudowna wzniosłość duszy! Zaczekajmy, aż wiatr postrąca z tego szlachetnego drzewa wiele martwych liści, parę poronionych płodów, a pozostanie mała wiązanka wyborowych kwiatów i owoców przejętych duchem religijnym. To samo będzie z Wiktorem Hugo; tylko, że potężne drzewo będzie potrzebowało silniejszego wiatru. W każdym razie z jego i Lamartine'a utworów pozostaną te tylko, które tchną duchem chrześcijańskim. A jeśli, jak przypuszczam, niektóre poezje Alfreda de Musset przejdą do potomności, to właśnie te, które są głosem zranionego orła, malują przerażający smutek opustoszałego serca i złorzeczą tym, co ze świata wygnali Boga. Weźmy teraz mówców. Czy wiek XIX ma wielkich? Tak jest, a na ich czele Berryera, równego największym nietylko tego wieku, ale wszystkich czasów; jednego z tych niewielu, co na tym biednym świecie, gdzie się wszyscy jakamy, mówili dobrze; potem Lacordaire'a, mniejszego od poprzedzającego, bo nie mającego jego prostoty ani patetyczności, ale zawsze jeszcze bardzo wielkiego, a który byłby jeszcze większy, gdyby był nic nie napisał, bo jego pióro ustępuje o wiele jego słowu. Ci oto pozostaną nam z pomiędzy mówców, którzy już nas opuścili. A jeszczeż czy pozostaną wszyscy? Przynajmniej służyć będą oni przyszłemu wiekowi jako świadectwo wysoce duchowego, religijnego i chrześcijańskiego charakteru myśli wieku XIX. Wszystko, co pozostanie z tego wieku, będzie nosiło tajemnicze piętno namaszczenia religijnego. Wszystko inne, na czem zostawił plugawe ślady robak ateizmu i materializmu, pójdzie do kosza, do zlewu. Tak, pomrzecie, ateusze, jużście nawet pomarli! Szukam pomiędzy wami imienia przeznaczonego

¹⁾ Chateaubriand, *Génie du Christianisme*, — *Les Martyrs*. — ²⁾ Lamennais, *Essai sur l'indifférence*.

do chwały, skroni poślubionej nieśmiertelnym wawrzynom, ale ich nie widzę, i wy mi ich wskazać nie potraficie.

Wielkie umysły, wymienione wyżej, są chyba wystarczającym dowodem, że dusza Francji jest jeszcze głęboko religijna; a o ileż ten dowód nabiera siły, kiedy badamy jej serce! To wielkie serce dręczone, tłumione, gorszone i psute przez was wymyka się wam także. Prawda, że z waszej łaski niema już dla niego miejsca w polityce; że bezsilne jęczy nad uciśnionymi ludami, oburza się nad niedolą papieżstwa prześladowanego, znieważanego i więzionego. Biję wszelako zawsze silnie w piersiach Francji; jest zdolne wzruszyć zapałem całą izbę poselską, wyrwać wahającemu się i opornemu ministrowi słynny okrzyk: „Nigdy, nigdy!” A zwyciężone i obezwładnione w życiu politycznym i społecznym, wygnane niemal z ojczyzny, urzędowej przynajmniej, wynagradza ono sobie w życiu prywatnym mnóstwem najbardziej wzruszających i szczytnych pomysłów. Serce Francji stworzyło w XIX stuleciu siostrzyczki ubogich i w przeciagu lat dwudziestu urządziło sto przeszło przytułków dla opuszczonych starców. Ono to, przejąwszy od XVII wieku cudowną instytucję sióstr miłosierdzia świętego Wincentego à Paulo; rozwinęło ją i rozszerzyło nad wszelkie spodziewanie; pomnożyło liczbę tych aniołów odpowiednio do ilości ludzkich cierpień; rozsiało z nimi pociechę i nadzieję po miastach i miasteczkach, po szpitalach, więzieniach, fabrykach, warsztatach, aż na polach bitew, wszędzie, gdzie tylko są łyzy do otarcia, rany do opatrzenia, ból do ukojenia, zmarli do grzebania. A ponieważ i tych dziewic niedosyć mu jeszcze było, oprócz że na ten sam wzór stworzyło mnóstwo innych mniej dobroczynnych i czystych sług ubogich, wprowadziło jeszcze w wykonanie śmiały pomysł XVII stulecia, trafiło do młodzieży kształcącej się w szkołach i zakonach, do kobiet żyjących w świecie i poruciło im służbę ubóstwu. Prawda, że wygnaliście je, oczerniwszy naprzód. Podpisując reorganizację wolnomularstwa, podpisaliście tem samem ich skasowanie, nie zdoławszy wszelako zdziwić ich ani zniechęcić, a tem mniej unicestwić. Oprócz zaś tych dwóch armij miłosierdzia, to jest zastępu czystych i męskich dziewcząt i pomocniczego zastępu młodych ludzi i kobiet światowych, serce Francji tworzyło jednocześnie trzecią armję, armję misjonarzy i apostołów. I tutaj jeszcze Francja XIX wieku bierze prym nad Francją wieku XVII i nad każdym innym narodem. Wszyscy zgadzają się na

jedno, że misjonarz francuski przewyższa wszystkich innych, że jest ze wszystkich innych najweselszy, najżywszy, najodważniejszy, najczystszy, że posiada największy dar przekonywania; jest to postać, która przynosi nam największy zaszczyt, a wy jej nie spostrzeżliście nawet i nie uznaliście za godną uwagi. A jednak ci młodzieńcy razem z wiarą zanoszą do wszystkich części świata, na dalekie morza Indyj, Chin, Japonji imię Francji, jej genjusz, charakter, serce, rdzeń i kwiat Francji, to, co w niej jest najpiękniejszego i najszlachetniejszego. Ale wy tego nie widzicie. Widzicie tylko rany; one są waszem dziełem i nad jatrzeniem pracujecie; nie spostrzegacie płomieni, wychodzących z tego wielkiego, zranionego przez was serca, które umrzeć nie chce i nie może.

Nie zanikł więc jeszcze w zupełności żaden z pięknych przymiotów Francji. Pomimo tak silnych i długotrwałych natarć nie utraciła ona ani szlachetnej wzniosłości umysłu, ani szlachetnej inicjatywy serca, a zawdzięcza to pierwiastkowi religijnemu, wchodzącemu w skład jej narodowego charakteru, i którego nic jej wydrzeć nie mogło. Tak samo rzecz się ma z jej siłą, żywotnością, z jej energją męską. Krew, która w jej żyłach pozostała jeszcze czystą, to krew chrześcijańska. Przypatrzcie się, naprzykład, które prowincje są jeszcze najżywotniejsze, w których małżeństwa są jeszcze dietne, a ogół ludności cieszy się dobrem zdrowiem. To właśnie te, do których najmniej przenikła niewiara. Które również dały zagrożonej ojczyźnie najliczniejsze zastępy ochotnika? których synowie okazali się najodważniejsi i najchętniej kładli życie w ofierze? Skąd pochodzili ci wszyscy szlachetni młodzieńcy, żuawi Charette'a, ochotnicy Cathelineau, bretońscy i południowi strzelcy, którzy, oddawszy w osobie swoich przywódców miecz na usługi Kościoła, niemniej ochotnie ofiarowali go zagrożonej Francji? a któż zgadnie, ile to w szereгах samej nawet armji myśl o Bogu, religijne uczucie wzbudziło bohaterskich poświęceń w szlachetnych sercach generałów, oficerów, szeregowców. Iluż tu z nich, gotując się do boju, przychodziło do nas, by pojednać i połączyć się z Bogiem, i szli potem spokojnie z radością i dumą na pole bitwy, skąd potem chwalebnie niejednego szczątki unosiliśmy z żalem! A ciż wszyscy szlachetni młodzieńcy, ci wodzowie, którzy nie pomnąc na siebie ani na swe rodziny, zamknęli się w Paryżu, przeistaczając go w obozo-

wisko, i obrali za hasło: „Z Bożą pomocą za ojczyznę!“,
czyż w ich piersiach nie biło serce Francji!

Prawda, że powodzenie nie uwieńczyło ich usiłowań,
ale bo też ciosy padały zwysoka. Stało się z nimi, jak
z owymi, dółtem Praksytelesa unieśmiertelnionymi syna-
mi Nioby, na których ręka bóstw wypuściła chmurę strzał:
napróżno kryją się w objęcia zbolalej matki, muszą zginąć
i uznać, że pomimo młodości i męstwa nikt się nie osto-
i przed gniewem bogów. Tak jest i z Francją w tych smut-
nych czasach. Zostaliśmy nie pokonani, lecz ukarani. Cóż
to za niesłychane zaślepienie na początku tej wojny! Jaki
szereg klęsk niepojętych. Wszystko, co tylko może nas
uratować, nie udaje się; co tylko przedsięwzięte jest prze-
ciwko nam, udaje się najdoskonalej. Czyż którykolwiek
naród, pozbawiony wojska, powstał kiedy jednoznacznie,
przejęty szczytniejszym zapałem? Ale czyż smutniejsze
niepowodzenie spotkało kiedy równie bohaterskie wysiłki?
O moja ojczyzno, nie za miecz chwycić ci dziś trzeba, ale
ugiąć kolana, bić się w piersi, uznać, że Pan jest sprawie-
dliwy i że nie można opuszczać Go bezkarnie.

Uzna to Francja; nieszczęście odrodzi ją powtórny
chrztem łez. I odnajdzie w piękniejszym niż kiedy blasku
swoją światłą umysł, swe szlachetne serce, dzielną i dumną
szpadę, odzyska poczucie wysokiego religijnego i moralne-
go posłannictwa i z pomocą Bożą, z Jego błogosławień-
stwem znajdzie siłę, aby je godnie wypełnić w tych wiel-
kich zmianach, które się gotują i zmieniają oblicze świata.
Ujrzą to jeszcze na własne oczy, zanim umrą, a jeżeli nie,
przynajmniej zejdą do grobu z niezachwianą tego
pewnością.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

O prawdzie i piękności religji.

A zatem jest religja! Jest łącznik, drabina Jakóbo-
wa pomiędzy tą smutną ziemią a promiennem niebem.
Człowiek wstępuje, a Bóg po niej schodzi; i jakżeby się
spotkać nie mieli?

Widzieliśmy, że szczytne to spotkanie, tak prawdopo-
dobne i naturalne ze względu na naturę Boga i człowieka,
jest także metafizycznie i naukowo możebne; że nie sprze-
ciwiają się temu spotkaniu i połączeniu ani prawa ogólne,
rządzące światem, ani odkrycia nowoczesnej nauki.

A idąc dalej, przyjęliśmy za pewnik potrzebę tego
związku. Bez niego ludzkość jest kreacją niedokończoną.
Bez niego jednostka nie ma wielkości; rodzina — miłości;
społeczeństwo — czystości, trwałości, spokoju; życie —
widnokręgów szerszych, nadziemskich. Religja to nietylko
podstawa i klucz sklepienia świata; z woli Bożej jest ona
jego urokiem i nadzieją.

Ale jeżeli ten święty stosunek Boga z człowiekiem jest
możliwy i niezbędny, musi on istnieć; inaczej być nie może.
Trzeba się więc przekonać o jego istnieniu, zbadać, w jaki
sposób zjawił się na świecie, jak dochodził stopniowo do
coraz większej doskonałości.

Mimo bowiem że religja jest tak dawna jak świat, mi-
mo że powstała

W dniu, kiedy dni powstały,

nie odrazu była doskonałą. Zapewne, była od początku
rzeczywistą obecnością Boga w łonie ludzkości, istotnym
Jego związkiem z człowiekiem. To podstawa jej bytu. Ale
ta obecność zarysowywała się z biegiem czasu coraz wy-
raźniej; węzeł ten się zaciesniał. Miłość ta, jak każde
prawdziwe uczucie, ulegała prawu rozwoju. Stawała się
tkliwszą, serdeczniejszą i głębszą. A ponieważ było to

uczucie wzajemne, ten jego rozwój był z nieba i z ziemi zarazem: Bóg go obiecywał, dawał, urzeczywistniał z jednej strony, z drugiej ludzkość go przeczuwała, pragnęła, marzyła o nim — pragnęła czasami aż do dziwactwa, marzyła aż do zapamiętania się.

Ale jak wypowiedzieć to wszystko? jakimi słowami? jakim sercem? Zaniechajmy przynajmniej wszelkich praw, zbyt zimnych na to. Dajmy pokój bezpożytecznym dowodom. Nie przekonają one tego, kto by patrzył obojętnie na wspańnię i szerokie widnokręgi religii: na ten jej odwieczny początek, równy wiekiem początkom ludzkości; na tę ciągłość, ten stopniowy rozwój i ten ustrój cudowny, tak zadziwiająco zgodny ze wzniosłą, kochającą, duchową stroną istoty ludzkiej. Do dowodów wrócimy później, kiedy plan tego dzieła zniewoli nas do szczegółowego zbadania rozmaitych stron religii. Teraz zastanowi się jedynie nad jej harmonijną całością.

I.

Jak odmalować ową pierwszą chwilę istnienia świata, religijną a dziewiczą chwilę, w której człowiek, powstając do życia, powstał zarazem do czci, dziękczynienia i miłości.

Chociaż krótki jest tekst Pisma, mówiący o tej pierwszej uroczystej a wzniosłej chwili narodzin rodzaju ludzkiego, niemniej widzimy z niego jasno to, co odgaduje rozum, a przeczuwa serce: że religia rozpoczyna się z pierwszym tchnieniem człowieka, i że zapoczątkował ją Bóg. On przemówił pierwszy. Stwórca stał się nauczycielem stworzenia, które nie miało ani ojca, ani matki, ani też doświadczenia; i w pierwszym zaraz objawieniu otworzył mu źródło religii, rodziny, społeczeństwa i wiedzy.

Powiedziałem, że Bóg dał początek. Ale trudno mi pojąć, jak zdołał uprzedzić w sercu Adama okrzyk wdzięczności i czci... W każdym razie, niezwłocznie po jego stworzeniu ukazał mu się Bóg w cieniu raju ziemskiego. Ukazał się pod postacią ludzką, która jest ideałem ziemskiej piękności. Mówił do Adama i patrzył na niego; a spojrzeniem tem i słowami budził w sercu jego zachwyt i miłość. „Widzisz — mówił do niego — widzisz tę ziemię, te niebiosy, te niezmierzone przestwory! Wszystko to uczyniłem dla ciebie. Bądź panem dzieł moich. Królestwem twojem ziemia cała. Z każdego drzewa rajskiego

jedz dowoli, ale z drzewa wiadomości złego i dobrego nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz¹⁾).

Pierwsze to słowa Boga do człowieka. Jest w nich jednocześnie dar i rozkaz; dar, ponieważ Bóg jest ojcem; rozkaz, ponieważ jest i królem. Dar jest niezmierny: *de-dit universa* — by pobudzić człowieka do wdzięczności, ale ma granice, aby mu dać poznać jego podległe stanowisko i obowiązek czci i posłuszeństwa. W niewielu słowach cała to, jak widzimy, architektura religii. Rozwinęła się następnie, ale nie zmieniła bynajmniej.

Po tem pierwszym objawieniu następuje zaraz drugie. Adam obejmuje w posiadanie swoje państwo. Robi przegląd natury, tego długiego szeregu stworzeń, które go poprzedziły, których jest panem i królem, ponieważ streszcza je wszystkie w sobie. Patrzy na nie, nie przelotnie tylko i powierzchownie. Przenika wejrzeniem aż do ich wnętrza. Światłym swym rozumem odgaduje właściwe ich imiona. Otwiera usta... Pierwszy przemówił Stwórca; teraz mówi Adam. Mówi, ponieważ słyszał już mowę. Nie szuka słów, nie jaka się. Język jego jest bogaty i głęboki. Żaden z najgenialniejszych jego synów w przyszłości nie mówił piękniejszym. „I nazwał Adam imionami ich wszelkie zwierzęta i wszystkie ptactwo powietrzne... i wszelkie bestje ziemne²⁾”). To drugie objawienie — to objawienie mowy, a w niem klucz wszelakiej wiedzy i już przepowiednia społeczeństwa. Bo i nacóż dana Adamowi mowa? Nie żeby przemawiał do zwierząt; dosyć na to znaku, spojrzenia; tem mniej do Boga: serce przemawia do Niego bez słów, w milczeniu i to jest najlepsza mowa. Więc nacóż to drugie objawienie? Widzę tu istotny cel Boga: rodzinę i społeczeństwo.

Przed oczyma Adama przesunął się długi szereg stworzeń. Nie znalazł wśród nich istoty podobnej sobie; ale też jej nie pragnął. Król niezmierzonego świata, a raczej kapłan tej dziewiczej świątyni, samotnik poświęcony Bogu, stworzony do modlitwy, miłości, do opiewania chwały swego Stwórcy, nie przypuszczał, aby można było mieć w sercu inne uczucie. Miłość Boża wystarczała mu; nie znał miłości ludzkiej, tych rozlicznych odcieni uczucia, które tak słodko zapełniają życie. Nagle... Bóg musiał nań tkliwsze rzucić wejrzenie, bo oto Adam omdlewa w za-

¹⁾ Rodz. 2, 15—16. — ²⁾ Rodz. 2, 19.

chwycie. Ciało jego ślania się ku ziemi, a dusza jednoczy się miłości z Bogiem. W tym stanie najwyższego napięcia władz umysłu i serca widzi Adam, jak Bóg pochyla się nad nim i bok mu otwiera; widzi jak tworzy przepiękną postać, która nie jest już jego ciałem, a mimo to jest jego ciałem; wpatruje się w tę istotę, tak różną od niego a tak do niego podobną; i w jego sercu rodzi się miłość ludzka, rodzą te wszystkie uczucia szlachetne, czyste i wzniosłe, chociaż niższego rzędu, które społem z miłością Bożą odtąd mają zdobić, osładzać, uszlachetniać jego życie. Zachwycony tym widokiem już nie mówi — śpiewa; a ten śpiew boski — to zarazem objawienie porządku, który powinien panować w uczuciach człowieczego serca. „To teraz kość z kości moich, i ciało z ciała mego; tę będą zwać Mężyną, bo z męża wzięta jest. Przetoż opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednym ciele”¹⁾).

Tak więc samotnik ten poznał w swej ekstazie co to ojcostwo, poznał tę szlachetną i wysoką miłość, która czyni ojcem.

Poznał też i tę drugą miłość, niemniej głęboką, niemniej wielką, ale tkliwszą, delikatniejszą, skorszą do zaparcia się siebie i silniejszą, miłość, która czyni matką.

A ponad niemi przeczuł jeszcze trzecią miłość, przed którą błędą dwie pierwsze.

Cała więc hierarchja uczuć przesunęła się w ten sposób przed jego sercem dziewczęciem w zachwyceniu.

A przesunęła się przed niem dlatego w chwili najwyższego w niem napięcia miłości Bożej, aby go nauczyć, że te uczucia nie są ani najpierwsze, ani najwyższe, ani najśłodsze, ponieważ miłość Boga poprzedziła je w niem i już go tak wysoko podniosła; ale że nie są też wcale miłości tej przeciwne ani wrogie, że współzawodniczą z nią, ponieważ zaznał on ich rozkoszy podczas tej boskiej ekstazy, i że jeżeli chce zachować im na zawsze tę ich piękność, świeżość, woń oraz tę czystą rozkosz, jaką w nich znalazł, powinien obie te miłości przechowywać zawsze w wątłym przybytku swego śmiertelnego serca w tym porządku, w jakim otrzymał je od Boga, to jest tak, aby miłość Boża zawsze dominowała nad miłością ludzką i ją uświęcała.

Takie były pierwsze objawienia Boże, dane człowiekowi. Dotykały, jak wiemy, trzech punktów: obowiązku czci,

¹⁾ Rodz. 2, 23—24.

posłuszeństwa, dziękczynienia i podległości względem Boga; małżeństwa, jego jedności, nierozzerwalności, świętości i podporządkowania uczuć ludzkich miłości Bożej; nakolic mowy. Ludzkość w kolebce otrzymała zatem od Boga zasadnicze prawa religji, wiekuiste prawa miłości i zawarte w stanowczych, matematycznie pewnych prawidłach danej mu mowy prawo myśli.

Cudowny ten początek świata jest rzeczywiście godny Boga i godny człowieka; rodzi się tu w objęciu Boga, z ciałem ukształtowanym bożemi rękoma, z duszą będącą tchnieniem bożem, z boskim słowem na ustach, z sercem przepełnionem wszystkimi uczuciami. Pomijam boskość tej opowieści; biorę ją jako ludzką hipotezę jedynie, stawiam obok niej także ludzką hipotezę nowożytnych materialistów, tę ziemię, która bierze się niewiadomo skąd; to samorodztwo; ten muł wilgotny, który ogrzany promieniami słońca, wydaje bez ojca i matki, i bez pierwiastkowego nasienia istoty żyjące; te żyjątka, owady, robaki, które mnożąc się, rosnąc, podlegając przemianom, dają początek wszystkim stworzeniom, a nawet samemu człowiekowi; te nietoperze, które przechodzą w orły, te orangutany, które stają się ludźmi, ci ludzie, którzy przez całe stulecia wydają niewyraźne dźwięki, żywią się żółędziami, aż wkońcu tworzą sobie język, wymyślają moralność, rodzinę, społeczeństwo; a wobec tych wszystkich niemożliwych i niedorzecznych, a nawet wstyd nam czyniących tajemnic, które nauka przyjmuje bez wahania, powiadam sobie: Jeżeli już mają być tajemnice, to wolę swoje. I bierz mnie chętnie napisać rzecz, o której rozmyślał Pascal, chcąc jej dać tytuł: „Łatwiej jest wierzyć, aniżeli nie wierzyć”.

II.

Oto tedy początek religji i forma jej pierwotna. Mowa rozpoczyna wielkie dzieło zjednoczenia Boga z ludzkością. I nie dziw: słodka to rzecz — mowa. Jednoczy ona ściśle dusze; bierze na swe lekkie skrzydła mój umysł i przenosi go w umysł mego przyjaciela. A raczej z serca wychodząc, niesie serce do serca. To też, skoro poczuemy do kogoś sympatię, czyż pierwszym naszym pragnieniem, pierwszą dążnością nie jest mówić z nim, łączyć się w poufnej rozmowie z jego sercem? Było to też i pierwszą potrzebą Adama, skoro tylko obudził się na sercu Bożem

do życia, i pozostało wiekuistym pragnieniem ludzkości, mimo że grzech te święte stosunki przerwał i utrudnił. Przez czterdzieści wieków słyszymy wciąż wołanie ludzkości: „Mów do nas, Panie!” Nie wystarcza jej widok niebios, ani wspomnienie pierwotnego objawienia. Chce mieć coś bardziej określonego i tkliwszego zarazem. Chce słyszeć Boga. Prawda, że czasem, czując się winną w Jego obliczu, woła: „Niech Pan do nas nie mówi, byśmy snąć nie pomarli”¹⁾. Ale i wówczas, nie mogąc wyrzec się tego szczęścia, dodaje natychmiast: „Niech mówi przynajmniej Mojżesz lub który z proroków”. Najczęściej zresztą słucha tylko swego serca. Otwórzcie poezje Homera albo księgi Buddy, Wedy lub też Zend-Awestę, otwórzcie Platona, Sofoklesa lub Wirgiljusza, wszystkie pomniki ludzkiej myśli, pojedynczej lub zbiorowej, gdzie tylko drga tętno duszy ludzkiej, wszędzie znajdziecie okrzyk: Przemów, o Panie!

A grzech pierworodny, o którym Wolter mówi, że jest podstawą teologii wszystkich ludów, jak nie wygładził w sercu ludzkości potrzeby mówić do Boga i słyszeć Go mówiącego, tak nie przeszkodził Bogu zniżać się do ludzkości i udzielać jej odpowiedzi. Co chwila powstaje człowiek, naznaczony piętnem Bożem, zwiastun słowa Pana. Po Adamie — Noe; po Noem — Abraham; po Abrahamie — Mojżesz; po nim — Dawid; potem wielcy prorocy: Izajasz, Jeremjasz, Daniel, Ezechjel. Rozmowa ta nie doznaje przerwy. Ziemia spogląda w Niebo i woła: Przemów! Niebo patrzy na ziemię i mówi: Słuchaj! Dzieje się tu na wielką skalę i w formie społecznej to, co dzieje się w duszach o każdej godzinie dnia i nocy. Krzyżują się tam bezustanku dwa słowa. Jak w pięknej rozmowie po Zmartwychwstaniu Bóg mówi duszy: „Marjo!” A dusza mówi Bogu: „Mistrzu”.

Dziwi mnie mocno, że niektórzy ludzie sądzą, jakoby ta święta rozmowa była przeciwna naturze. Cóż jest tam jej przeciwnego? Czy że dusza woła do Boga? czy może to, że Bóg jej odpowiadać raczy? A może to, że ten Bóg, przemawiający do każdej duszy w skrytości jej serca, zwraca się publicznie do całej ludzkości? Czy może znowu to, że wybiera ludzi, naznacza ich swem piętnem i czyni z nich posłów swoich, echem swego głosu? Otóż, nie powtarzając tego, cośmy już powiedzieli, i zatrzymując się tyl-

¹⁾ Wyjście 20, 91.

ko na tym ostatnim punkcie, niedosyć wyjaśnionym, odpowiemy, że mamy tu nowy dowód głębokiej zgodności Objawienia z naturą ludzką. W jaki bowiem sposób odbywa się umysłowy i naukowy postęp ludzkości? Czy każdy musi osobiście przeprowadzać badanie, dochodzić własną pracą niewzruszonych praw przyrody? Czy każdy za siebie jest zmuszony badać niebo, gwiazdy, ziemię, morze i sam sobie tworzyć astronomję, fizykę, chemję, geografję? Gdyby tak było, musielibyśmy na zawsze pozostać w ciemności. Postęp przychodzi nam inaczej. W jaki sposób? Przez odkrycia i naukę umysłów wyższych. Wstaje Galileusz, i świat dowiadyuje się raz na zawsze o obrotowym ruchu ziemi. Ukazuje się Newton, i skarbnica ludzkiej wiedzy wzbogaca się o nowy rozdział: przyciąganie. Nadchodzi Gutenberg i składa w ręce człowieka niezrównane narzędzie, nadające myśli szybkość błyskawicy i trwałość spiżu. Przy każdym kroku ludzkości naprzód zjawia się człowiek wyższy, pierwszorzędny geniusz, któremu powierzono zawołać na ludzkość: „Naprzód!”

Do tego ogólnego planu stosuje się i zsyłanie proroków, cudotwórców. To tylko rozszerzenie powszechnego prawa, rządzącego postępem ludzkości. Homer, Eschylus, Pascal, Tacyt, Dante, Shakespeare, Newton, Galileusz, Kepler, Platon, Euler są wysłaniami boskimi dla umysłowego i naukowego postępu ludzkości. Mojżesz, Dawid, Izajasz, Jeremjasz, Daniel, Ezechjel — to wysłańcy Boga dla jej religijnego postępu. Pierwsi z nich niezależniejsi, są bardziej ludźmi; otrzymali oni od Boga wielki dar, ale posługują się nim o własnych siłach; drugimi kieruje Bóg bezpośrednio i kładzie im w usta słowa, które mają powtórzyć ludzkości. W tym cudownym planie widnieją względy delikatności i poszanowania zarazem. Bo jeżeli jest godnem Boga wspomagać ludzkość w jej umysłowym, naukowym i społecznym postępie, o ileż godniejszym Jego dobroci i Jego świętego ojcostwa wspierać jej postępek religijny! A jeżeli w pierwszym razie ukrył swój współudział, aby pozostawić ludzkości chwałę jej odkryć, to w drugim należało, aby zaakcentował go, aby jawnie rządził religijnem życiem ludzkości i osobiście niem kierował, odkrywając przed nią jej przyszłe koleje ziemskie i pozagrobowe — jak dobry ojciec, który powierza obranym przez siebie mistrzom kształcenie swego dziecka w naukach i sztukach, ale sobie pozostawia zadanie kształcenia jego duszy, wzbo-

gacania go własnym doświadczeniem i przygotowywania go do życia, roztaczając przed nim przeszłość i przyszłość.

Tak ubiegły pierwsze cztery tysiące lat życia ludzkości. Tak się utworzyła z tej czterdziestowiekowej rozmowy owa niezrównana księga, Biblija, księga jedyna w swoim rodzaju, napoły boska, napoły ludzka, zapełniona wołaniem duszy i odpowiedziami Boga, w którą każdy wiek wpisał kartę swoją; gdzie każda wątpliwość znalazła wyświeślenie, każdy występki karę, każda cnota nagrodę, każda boleść pociechę, która poto była otwarta lat cztery tysiące, aby ludzkość zapisywała w niej swe smutki, pragnienia, radości, obawy, nadzieje, a Bóg swe wskazania ku wiekiustemu oświeceniu synów ziemi. Mnóstwo ludzi wzięło w niej udział; ale ponieważ byli oni tylko głosem błagającej ludzkości albo echem odpowiedzi Boga, poprzez wszelkie różnice epok, charakterów, genjuszu, odnajduje się w nich jedną siłę, jedną prawdę, jedną miłość, jedną ludzkość i jednego Boga. A podwójny i dziwny duch wieje z tej księgi: jeden wzruszony, niespokojny, smutny, błagalny, drugi wzniosły, prosty, czysty, nadziemski, świadcząc niezbicie zarówno o obecności w niej człowieka, jak i obecności Boga.

Zjawiska tego nie znajdujemy ani u Homera, ani u Pindara, ani u Eschylosa, ani u Platona, ani u Wirgiljusza. Wieje z nich duch czysto ludzki.

Prawda, że ponad temi arcydziełami genjuszu indywidualnego są jeszcze święte księgi narodów: Wedy, Zend-Awesta, Ramajana, Mahabharata, księgi Buddy. Nowoczesna nauka bada je z ciekawością i ma słuszość, a wiara nie powinna obawiać się ani jej towarzyszyć w tej pracy, ani podzielać jej podziwu. W istocie księgi te są święte. Nie przypominają w niczem dzieł powyżej wymienionych autorów; i na czele każdej z nich umieściłbym chętnie napis Ash-Nagara: „Książ tych nie napisał człowiek sam”. Są w nich istotnie okrzyki wiary duszy ludzkiej, jej smutki, nadzieje, prośby, jej wieczne skargi; ale, jako odpowiedź na nie, są i prawdziwe słowa Boga. Pod przejrystą zasłoną parafrazy czysto ludzkiej kryją się w nich szczątki objawienia patriarchów i Mojżesza. Wiele rzeczywistych słów Bożych, wyrzeczonych do pierwszych ojców rodu ludzkiego, które po długim błakaniu się w pamięci pokoleń ocalone z rozbicia przybiły tu do brzegu i już pozostały. Niejedna z tych stroniec przechowuje okruchy strzaskanego diamentu, rozpięchłe tony melodii boskiej, która roz-

brzmiewała nad kolebką ludzkości. Wiedziała o tem sta-
rożytność i dlatego otaczała te księgi czcią religijną. Jeżeli zaś uwierzyła i zawartym w nich fałszywym objawieniom, to dlatego że były zmieszane z prawdziwymi, i wiara to w te ostatnie usposobiła ją przyjaźnie do przyjęcia tamtych. Tak to ludzkość miała zawsze wstręt do religji, któraby była jałowym monologiem jedynie! tak zawsze wierzyła, że kiedy woła do Boga, niepodobna, ażeby Bóg jej nie odpowiedział!

Spostrzegam dziwne niezrozumienie rzeczy u wydawców i komentatorów tych ksiąg świętych. Porównyując je z Biblią, są przejęci podziwem i mówią: „Jak można nie zauważyć analogji objawienia i natchnienia w tych wszystkich wielkich księgach: w Wedach, Zend-Aweście, księgach Buddy, księgach homerycznych, w Biblii, Ewangelji, Koranie, które jeden z naszych historyków tak trafnie nazwał: „Biblią ludzkości”? Czy podobna, by tyle wspólnych im wszystkim pięknych myśli, szlachetnych i czystych uczuć, tyle wybornych prawideł moralności mogło pochodzić z tak nierównych źródeł, jak natura Boska i natura ludzka? Poczóż więc objawienie i natchnienie nadprzyrodzone, jeżeli przyrodzony rozum i sumienie w tylu rzeczach mówią to samo?”

Pisarze ci przypuszczają, że w Piśmie świętem przemawia sam Bóg, a we wszystkich innych księgach sama tylko dusza ludzka. Błąd to podwójny. Dusza ludzka przemawia tyleż w Ewangelji, co i w Wedach, tyleż w Biblii, co i w Zend-Aweście. Dusza, która w księgach Buddy błaga, płacze, jęczy, spodziewa się, kocha, tęskni do Boga — to ta sama, którą słyszycie w Piśmie świętem. Skądże wam to przyszło, że w Piśmie jest tylko sam Bóg, tylko „objawienie i natchnienie nadprzyrodzone”? Jest tam również i dusza; i dlatego to powiadacie słusznie, że „mowa we wszystkich tych księgach mało się różni w tylu rzeczach”. Tylko w Biblii jest dusza i Bóg, a zatem niema w niej błędu. I dlatego mowa, „w tylu rzeczach tak mało różna”, w tylu innych różni się stanowczo i zasadniczo.

Nie idzie zatem wszelako, iżby Bóg był tak całkowicie nieobecny w księgach narodów, jak wam się zdaje. Skądże wam znowu przyszło, że w księgach tych jest tylko „naturalny rozum i sumienie”? To znów błąd zasadniczy. Jest w tych księgach słowo Boże, chociaż rozbite, rozproszone, zagrzebane, czasem zmienione do niepoznania, jak szczątki strzaskanego przez burzę okrętu, które morze wyrzuciło na brzeg i tam pozostawiło potra-

skane, zagrzebane w ziemi, pokryte rdzą. Jest — ale można je poznać i wyróżnić tylko oczyma wiary. I dlatego pomimo tych szacownych szczątków, zrozumiałych dla jednej tylko wiary, zbiór owych ksiąg świętych jest „Biblią ludzkości” jedynie, kiedy dziewicza i nienaruszona księga Pisma świętego jest Biblią Boga.

To też zważcie, jak różne są ich losy. Kiedy żadna z tych świętych ksiąg nie zdołała nigdy przekroczyć granic narodu, w którego łonie powstała, jako echo pierwotnego objawienia i jako zadośćuczynienie potrzebie każdego z nich usłyszenia słowa Bożego; kiedy każda z ksiąg owych poza obrębem swojego ludu jest tylko przedmiotem badań archeologicznych — Biblią od sześciu tysięcy lat jest czystym ziarnem, żywiącym narody. Niema dla niej żyda, ani katolika, ani protestanta, ani odszczepieńca. Wszyscy, którzy ją znają, otaczają ją czcią najwyższą; kto jej raz zakosztował, pić z niej będzie na wieki. Rzym otwiera ją na soborach, a Ameryka na kongresach. Anglja ładuje nią okręty, Szwajcarja zapelnia hotele. Znajdziesz ją w tornistrze żołnierza pruskiego, idącego pod Sadowę, i pod głową rosyjskiego szeregowca, poległego pod Sebastopolem. Misjonarz francuski, ukryty w nędznej lepiance, całuje z miłością jej karty, by być gotowym na śmierć męczeńską; i z pierwszych kart Genyzy, z pierwszych zdań Ewangelji pozna Murzyn, Kafr, Hotentot Boga, Stwórcę świata, i Jego Boskiego Syna, Zbawcę ludzi. Każda dusza odnajduje w tych cudownych wyrazach siebie, a razem z sobą odnajduje i swojego Boga. Bo są tam oni oboje, nie oddzieleni, ani obcy sobie, ale znający się, kochający, rozmawiający z sobą, jednoczący się ściśle w niebieskiej rozmowie: „*Mów, Panie, bo słucha sługa twój*”, — „*Słuchaj, córko, a patrz*”.

Oto całe Pismo święte. Oto religja w pierwiastkowej formie. Oto pierwsze nawiedzenie człowieka przez Boga, pierwszy krok Jego, odpowiadający ludzkiemu pragnieniu, pierwszy triumf w wielkiej tajemnicy zjednoczenia Jego z ludzkością. A ponieważ Bóg nie cofa swoich darów, a koniec nie niszczy początku, skarb ten pozostanie nam na wieki.

III.

Ale chociaż słodkie jest słowo, chociaż ściśle jednoczy dusze, nie mogło wystarczyć na długo ani Bogu ani człowiekowi. Był to tylko przedsmak, pierwszy krok, któ-

ry pociąga za sobą drugi. Słodkie jest słowo, ale szczęściem jest jeno łącznie z obecnością. Słodkie ono jest nawet w nieobecności, w smutnej dla kochających się rozłące. Wówczas jest połowiczną niejako obecnością; krzepi serce i pociesza je w braku obecności całkowitej. Ale któż się nią zadowolił kiedy? Zaprawdę, nie może być trwałą miłość, podtrzymywana tylko oddalonym słowem, nie rozgrzewana i nie podsycana obecnością przedmiotu ukochania; nie może być trwałą między osobami znającymi się, coś więc dopiero między takimi, które się nigdy nie widziały?

To też od samego początku Bóg żywił zamiar zamieszkania pomiędzy nami. A ludzkość od samego początku odczuwała szczególną potrzebę Boga, któryby wśród niej zamieszkiwał, któregoby mogła oglądać i dotykać.

Powiecie, że to bałwochwalstwo, a bałwochwalstwo jest błędem i występkiem!... W istocie, ale każdy błąd jest tylko niepoznana prawda; a w każdym występku jest jakaś cząstka dobra, która go podtrzymuje i umozębnia. Zło absolutne nie istnieje. Na dnie pogaństwa spoczywała wielka prawda; pod szaleństwami bałwochwalstwa kryło się szlachetne pragnienie, potrzeba, mająca siedlisko w najtajniejszych zakątkach ludzkiej duszy.

Pragnieniem tem i potrzebą jest potrzeba istotnej obecności istot ukochanych. Nie wystarczają nam ich słowa. Chcemy je oglądać naszymi oczyma, dotykać rękoma, przyciskać je do serca. Bez tego stygnie każda przyjaźń, gaśnie wszelka miłość. Dlaczego? Pomińmy to tymczasem; zatrzymamy się nad tą kwestją później, kiedy będziemy rozważali dogmat wcielenia. Zaznaczamy tu tylko, jako fakt pewny, tę niezwykłą i wiekuistą potrzebę natury ludzkiej.

Potrzebę tę mogę coprawda zmusić do milczenia, uwięzić w sercu; mogę złożyć ją na ołtarzu w ofierze całopalnej. Ale gdy zapominając stworzeń, wyrzekam się ziemi i zwracam ku Niebu serce wolne od miłości ludzkiej, to i tam szukam rąk, których mógłbym dotykać, nóg, które okrywałbym pocałunkami, serca, które przycisnąłbym do swego serca, istoty ukochanej, którą mógłbym uściśnieniem przyciągnąć do piersi. Ta potrzeba dręczyła ludzkość. Wzywała ona Boga z nieba; a ponieważ godzina jeszcze nie wybiła, ponieważ Bóg zazdrosny i obrażony zamknął się w swej świętości i sprawiedliwości i nie czynił zadość błaganiom ludzkości występnej, człowiek,

nie mogąc obyc się bez obecności Bożej, przyzwał sobie fałszywych bogów z wnętrzości ziemi, z łona mórza, z wyżyn Olimpu. I przyszli bogowie pod wszelkimi postaciami. Uosobili w marmurze wszystkie formy ludzkiej piękności, a także i wszystkie pokusy zła. Ludzkość oddawała im cześć boską, dotykała ich i patrzyła na nich. Pod temi kamiennymi postaciami czciła ona najpiękniejsze pomysły swego serca; przyodziła tych bogów w swoje kształty, posadziła ich u swych ognisk, zaludniła nimi góry, lasy, źródła, wyobraziła w nich sobie opiekunów i niejako współuczestników swoich uczuć i dóbr. Ale napróżno mnożyła ich liczbę; napróżno Fidjasz i Praksyteles umieli tchnąć życie w marmury; nic nie mogło ukoić owej dręczącej sumienie i serce ludzkości potrzeby.

A czemuże były święte księgi narodów i zawarte w nich dzieje? O czemuże innem traktowały one, jeśli nie o przychodzeniu bogów między ludzi, o ich ciągłej obecności i nieustannych wcieleniach?

Tak zaś głęboka była ta potrzeba, że nie oparł się jej nawet naród żydowski. I jemu trzeba było bóstw widzialnych. Napróżno, aby go ustrzec od bałwochwalstwa, wzbronione mu były sztuki piękne, to jest to, co po cnocie najpiękniejsze na ziemi. Nic nie pomogło. I czemuże innem jest historia żydów, jeśli nie ciągłym szeregiem obietnic i upadków? Przechodzą oni wciąż od Jehowy do bożyszcz i od bożyszcz do Jehowy. A jednakże Bóg przyszedł był im na pomoc. Jeżeli nie obdarzył ich jeszcze swoją przystępną dla zmysłów obecnością, dał im przynajmniej jej symbol, podobieństwo, którego pierwowzór ukazany był Mojżeszowi. Była niem Arka Przymierza. W niej przemieszczał wśród swego ludu; duchem przebywał na cherubinach: *I niemasz innego narodu tak wielkiego, któryby miał bogi tak przybliżające się do niego, jako Pan Bóg nasz przytomny jest na wszystkie prośby nasze.*

Daremne środki! za szczupły pokarm dla głodu i pragnienia ludzkości! Ani Arka nie wystarczała żydom, ani bałwany poganom. Trzeba było, aby Bóg zstąpił i zamieszkał między nami, pełen łaski i prawdy.

Przyszedł nareszcie. Dnia pewnego, w pośrodku świata i w pośrodku czasów, w czterdzięci wieków po stworzeniu świata, na łonie wielkiej materialnej jedności, utworzonej przez naród rzymski, powstała jedność religijna. *Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.* — *Widzieliśmy go* — powiada apostoł Jan święty — *sły-*

szeliśmy go, dotykaliśmy się go rękoma, spoczywaliśmy na jego sercu.

Tak więc, o mój Boże, spełniły się wszystkie marzenia! niedorzeczne marzenia narodów... wzniosłe marzenia dusz! Ale te niedorzeczne narody pragnęły Ciebie, o Panie! Te wzniosłe dusze przeczuwały Ciebie! Tak, byłeś przedmiotem ich nadziei, i nie mogłeś ich zawieść!

A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami. — Małuczcy je widzieli, a ubodzy dotykali się go. Pozwalał dziatkom siadać sobie na kolana i nie odtrącał nawet grzeszników. Nie kreślimy tu jeszcze szczytnych scen zbliżania się ludzkości do Chrystusa. Zresztą, któż potrafi wypowiedzieć całą ich nieskończoną piękność, pokorę, czystość, tklivość? Niekiedy ludzkość, jak owa biedna niewiasta, próbuje ucałować kraj jego szaty. Niekiedy, czerpiąc śmiałość w miłości i żalu, oblewa łzami i pokrywa pocałunkami czyste i święte nogi Syna Bożego, uświecając się sama tem dotknięciem. To znowu czerpiąc jeszcze większą odwagę w swojej niewinności, miłości, w uroczystości danej chwili, sięga aż do Jego serca, kładzie głowę na Jego piersi i usypia tam w zachwyceniu.

Trwało to trzy lata. Potem Jezus, aby ostatecznie wzruszyć i pociągnąć ku sobie wszystkie serca, wstępuje na Kalwarię w aureoli piękności, której nie przeczuwali ani Homer ani Fidjasz, bo składały się na nią cierpienia, boskość i miłość.

A kiedy tam umierał, aby dać ludzkości miarę swego uczucia, też ludzkość omdlewała u stóp Jego krzyża w osobie Marji; cierpiała Jego ranami w osobie Magdaleny; wpatrywała się miłośnie w Jego bok przebity w osobie świętego Jana; zdejmowała Go z krzyża i przed pogrzebaniem okrywała zwłoki pocałunkami.

To było drugie spotkanie Boga z ludzkością, druga uroczysta i wzniosła chwila, w której Bóg zstąpił do ludzkości i z nią się połączył.

IV.

Wszystkie dzieła Boże są doskonałe i niema w nich żadnej przywary. Stosuje się to tem bardziej do Wcielenia, które jest Jego arcydziełem. Mimo to spotykam tam trzy, nie przywary, nie wady, ale trzy granice, wskazujące, że nie jest ono jeszcze ostatniem słowem Jego związku z ludzkością.

Pierwszą jest granica czasu. Jako tylko trzy lata, jeden dzień, jedna godzina! Trzy lata dla wszystkich, jeden dzień dla Magdaleny, jedna godzina dla świętego Jana! Poto więc ludzkość wzywała Boga przez czterdzieści stuleci, aby cieszyć się Nim tylko przez te krótkie i bolesne trzy lata! Oblubieniec dusz miałby tak rychło opuścić swe oblubienice i na zawsze je osierocić! Nie! Klnę się wam na miłość Boga i ludzkości, że to niepodobna! Miłość domaga się nietylko obecności ukochanej osoby, ale obecności trwałej, wiekuistej. Na podobieństwo uczniów w Emmaus miłość powiada: „Zostań z nami, Panie.” Tak, pozostań z nami, pozostań na zawsze, nie rozłączajmy się nigdy!

Druga granica to granica przestrzeni. Gdzież to upłynęły owe trzy lata? W ukrytym zakątku, w kraiku, mającym zaledwie dwadzieścia mil obwodu. Jakże mogłem twierdzić, że ludzkość oglądała Go trzy lata! Sześćdziesiąt wieków gorących pragnień utęsknienia, i zaledwieby małej części jej danem Go było widzieć! I zaledwie po jego odejściu miałyby się o Nim dowiedzieć! Nie, nie, to niepodobna! Te zapory czasu i przestrzeni zniknąć muszą przed podwójną miłością Boga i ludzi! Przeczuję już Eucharystję! odgaduję Ją, zanim otworzę Ewangelię; tę Eucharystję, o której św. Augustyn powiedział, że jest wiekuistością Wcielenia. Ludzkość bywa często zawiedziona w snach i marzeniach, ale tutaj omyłona nie będzie: Chrystus pozostanie z nią do skończenia wieków. Wszystko jedno synu Adamowemu, do jakiej krainy zagnąją cię losy, oświeconej czy barbarzyńskiej, wszystko jedno, gdzie twe smutne serce będzie szukało ukojenia, we wspaniałej świątyni, lub też w ubogim wiejskim kościółku, wszędzie znajdziesz przed ołtarzem zawsze gorejącą lampkę, która obwieszcza ludzkości wiekuistą obecność Boga.

Wymieniłem trzy granice, wskazujące nam, że Wcielenie to jeszcze nie ostatni wyraz połączenia Boga z ludzkością; ale jakże potrafię opisać tę trzecią granicę? Słodko nam jest widzieć naszych ukochanych, słyszeć ich, dotykać, spoczywać na ich sercu, ale jakże często to niezupełne szczęście zaprawne bywa goryczą. Bo wszakże właściwie duszę tę kochamy, a oto nie możemy jej dotknąć. Na obliczu, na czole, w oczach i na ustach dostrzegamy jej odbłask, i dlatego to tak pożądamy obecności drogiej nam istoty; ale zawsze i to tylko nieuchwytny odbłask. Chce nam się zwyciężyć tę cielesną zaporę, uchylić zasłony, która kryje przed nami duszę.

Z autorem książki *O naśladowaniu* wdychamy: „O, gdybym mógł połączyć się duszą z duszą! opuścić ciało moje i sięgnąć do duszy!” Ziemia nas nuży i niecierpliwi, a pragnienia nasze wznoszą się do Nieba.

Ale czy słusznie powiedziałem, że nie możemy dotknąć duszy? Owszem zdarza się to nawet i na naszym smutnym świecie; bywają chwile, w których czujemy, że nasze dusze się stykają; że czas, przestrzeń, śmierć nawet sama nie potrafią ich rozłączyć; że mogłaby nawet ustać zewnętrzna obecność, nie bez bólu wprawdzie, ale bez szkody dla zjednoczenia dusz.

W dwojaki zatem sposób mogą dusze z sobą przebywać, dwa są rodzaje obecności. Jedna słaba, niezupełna, idąca — jakże wolno i boleśnie — z zewnątrz do wnętrza; druga podniosła i święta, którą przeczuwamy najczęściej tylko, bardzo rzadko jej doświadczając. Przeczuję zawsze ten szlachetny i lepszy rodzaj obecności, a nawet w najpiękniejszych chwilach mojego życia sam go, chociaż przelotnie, doświadczyłem. Przeczuję, że dusze mogą jednoczyć się niezależnie od ciał, pomimo nich i wyżej od nich zawierać związki niebiańskie, dla których ciało stanowi tylko zawadę. Otóż to obcowanie duszy z duszą, to zlanie się dwóch istnień w jedno, które my tu przeczuwamy zaledwo w ogólnych zarysach, a poznamy w całej pełni dopiero w niebie, Bóg je skutecznie tu na ziemi, łącząc się z ludzkością w Sakramencie Ołtarza. Eucharystja bowiem nie jest niczem innym, tylko obcowaniem wnętrza z wnętrzem, bezpośrednim dusz połączeniem.

Pan Jezus kilka razy wspomina o tej podwójnej obecności. Naprzód powiada uczniom swoim: *Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wielu proroków i królów żądało widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli.* Było to tylko obcowanie zewnętrzne, z zewnątrz do wnętrza, nie wewnętrzne; obecność Wcielenia, nie Eucharystji. Była ona przyjemna dla zmysłów, ale niedość podniosła dla dusz. Podsycala uczucie tkliwe, słodkie dla serca, niedoskonałe wszelako, zanadto ludzkie, niedość boskie. To też Ten, który powiedział najpierw: „*Błogosławieni, którzy widzą, co wy widzicie*”, teraz mówi: *Pożyteczno wam, abym ja odszedł.* Ale nie obawiajmy się Jego nieobecności. Słuchajmy oto, co mówi Paweł święty: *I my znaliśmy Chrystusa w ciele; ale, dzięki Panu, znamy Go teraz lepiej.* Słuchajcie samego Pana Jezusa; cóż mówi, spotkawszy Magdalenę po zmartwychwstaniu:

Nie tykaj się mnie. Pozostaw te zewnętrzne stosunki tym, którzy nie są pewni jeszcze swojej ani mojej miłości: wątpięmu Tomaszowi, chwiejnym apostołom. Ty wierzysz, bo kochasz, wznies się zatem wyżej: *Nie tykaj się mnie.* Czemże jest dotykanie, patrzenie, słuchanie? Usiłowaniem dojścia do duszy, wejścia z zewnątrz do wnętrza. Ale jest coś nad to lepszego. Jest obecność wewnętrzna, cudowne boskie obcowanie duszy z duszą.

Któż wypowie całą czułość i mistrzostwo, z jakim Chrystus urzeczywistnił ten związek? *Jezus* — powiada Jan święty — *umiłował swych, którzy byli na świecie, do końca je umiłował.* Kończąc więc ostatnią wieczerzę, po której zaraz miał pójść na męki, wziął chleb w ręce i, patrząc na uczniów swoich, rzekł im: *Pożądaniem pożył tej Paschy z wami.* Potem wzniosłszy oczy w niebo, błogosławił chleb i dawał im: *Bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje, które za was będzie wydane. To już nie: Błogosławione oczy, które widzą to, co wy widzicie.* To już nie owo przenikanie z zewnątrz do wnętrza. Nadeszła chwila wielkiego połączenia, zjednoczenia duszy z duszą: *Bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje. Kto pożywa mego ciała, a pije krew, we mnie mieszka, a ja w nim.*

Potem biorąc kielich, błogosławi go: *Bierzcie i pijcie. Ta jest krew moja, która za wielu będzie wylana, na odpuszczenie grzechów.* Jestem zdumiony; mój ludzki rozum jest zarazem zachwycony i nieufny. Jakże to może być, o Panie! A Jezus dodaje: *Czyńcie to na pamiątkę moją! Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto pożywa mego ciała i pije moją krew, we mnie mieszka, a ja w nim.*

Oto ta obecność z wnętrza do wnętrza, ta spójnia dusz, której ciało jest tu na ziemi nieodzownym lub nieodłącznym pośrednikiem. I tu ono tworzy ten związek, ale jest to ciało zupełnie duchowe, które osłaniają postacie chleba i wina, jedynie dla uprzedzenia zmysłów moich, że tam jest Bóg. Przenikam wiarą tę zasłonę, widzę przez nią ciało i krew mojego Boga, ale niedosyć mi na tem. Duszę Jego mieć pragnę. „Obym mógł połączyć się duszą z duszą! wyjść z ciała i dosięgnąć duszy!” I Kościół odpowiada mi na to: „Z ciałem i krwią Jezusa daje ci Pan duszę i Bóstwo Jego!” Zamknijcie się, oczy moje; wyteż swe siły, duszo moja, uczuj tajemne zetknięcie z duszą Jego. Dusza z duszą, serce z sercem, bez pośrednictwa, bez przyszłości! Ty we mnie, a ja w Tobie! Oto tajemnica Eucharystyczna. Kto raz w życiu przyjął komunję, nie ma nic do pozazdrośczenia współczesnym Chrystusa.

Nie oglądał Go swemi oczyma, nie dotykał rękoma. Ale też nie potrzebuje tego. Opadły ostatnie zapory. *Ty we mnie, a ja w Tobie.* Jest to urzeczywistnienie tego Boskiego związku, o którym tyle marzyliśmy. Możemy zapomnieć, jeżeli się patrzyło oczyma tylko, a dotykało rękoma. Ale kiedy serce zetknęło się z sercem, kiedy dusza przemieszkiwała w duszy, nie zapomina się tego nigdy.

V.

Komunja jest aktem przemijającym. Stanowiłoby to jej wadę, gdyby ona mogła ją mieć. Ale co mówię: wadę! Wszak wszystko, co najlepsze w naszym życiu, jest krótkotrwałe. Gdzież są moje najgłębsze uczucia radości, najżywsze porywy? Cieszyłem się nimi krótką chwilę i już ich nie mam. Są to tylko przelotne błyskawice, rozjaśniające jednak nam życie.

Przytem przelotny akt Komunii ma skutek nieśmiertelny. Bóg bowiem, łącząc się z naturą ludzką, uszlachetnia, ją, dodając do jej piękności swą doskonałość, na przeciwieństwo człowieka, który odziera z uroku wszystko, czego się dotknie. *Żywię już nie ja, ale żywie we mnie Chrystus.* A także: *Jeżeli mnie kto miłuje, będzie chował moję... i do Niego przyjdziemy, a mieszkanie u Niego uczynimy.* Stałe zamieszkanie Boga w duszy, a duszy w Bogu — oto nieśmiertelny owoc świętej Eucharystji.

„Akt przemija — mówi Bossuet — niezawsze trwamy w tem świętem zjednoczeniu. Ale trwamy w niem pragnieniem i z prawa niejako. To też Chrystus powiada: Kto mnie pożywa, we mnie mieszka, a ja w nim. A przemieszkuję w nas nie tylko chwilowo; szczęście to trwalszy ma skutek! Kto mnie pożywa, cieszy się mną, mieszka we mnie. I związek ten jest obustronny: mieszka we mnie, a ja w Nim¹⁾).

Do tego dążył zarówno Bóg, jak człowiek. Człowiek pragnął połączenia się z Bogiem, a Bóg — połączenia się ze stworzeniem. I oto połączyli się — religja wypowiedziała swoje ostatnie słowo.

To było jej celem od początku, i każdy jej krok dążył do umożliwienia i utwierdzenia tej istotnej obecności Boga w sercach ludzkich. Daje nam tę obecność chrzest i wszystkie sakramenta, jako też modlitwa, krzyż

¹⁾ Bossuet, *Méditations sur l'Evangile*, dzień 24.

i Ewangelja; wszystko, co nam przychodzi z Nieba, wprowadza ten błogosławiony związek. Ale Eucharystja wnosi weń kwiat tliwości, balsamiczną woń miłości, pewność posiadania. Pożywamy, pijemy chwilę tylko; dusza przelotnie się napawa u tego źródła, ale po tym akcie Bóg pozostaje w duszy, a dusza w Bogu.

Związek to tak istotny, że nie różni się niczem w treści od niebieskiego. Jedna jest tylko między nimi różnica: tutaj łączymy się z Bogiem ukrytym pod zasłoną. I dlatego właśnie nie jest to jeszcze ostatni stopień zjednoczenia, dlatego dusza nie może na nim poprzestać.

O quando lucescet... dies!

Oto krok, który nam jeszcze pozostaje do zrobienia. Posłuchajmy jeszcze Bossueta: „W Eucharystji posiadam samego Pana niebios, Tego, który jest szczęściem błogosławionych. Ta sama treść, ta sama istota; pozostaje tylko podnieść zasłonę. Zdejm ją, o Panie! rozprosz ten obłok, a pozostanie mi właśnie ta treść, będąca mojem uszczęśliwieniem. I czyż tej treści nie posiadam już w Twojem ciele? A w ciele Chrystusa czyż nie mam jego duszy, Jego całej osoby; w osobie zaś Jego — Tego, który przebywa w niej cielesnie i w całej pełni, to jest Słowa Ojca; a w Słowie czyż nie posiadam zarazem Ojca? I czyż nie wyrzekł on prawdy, kiedy powiedział: *Kto mnie widzi, widzi i Ojca*. Posiadam tedy wszystko. I czegoż mam więcej pragnąć, jeżeli nie tego, abym mógł widzieć to, co posiadam, rozedrzeć zasłonę, ujrzyć jasno i naocznie to, co wiem dobrze, iż mam, ale czego nie mogę oglądać?”¹⁾

Tak, to jest ten ostatni i najwyższy krok naprzód. To jest ostateczne pragnienie serca, ostatnie słowo natchnionej księgi: *A duch i oblubienica mówią: przyjdź... Panie Jezu*. A Chrystus odpowiada: *Oto przychodzę rychło*. A święty Jan i z nim ludzkość cała powtarza: *Przyjdź, Panie Jezu! Amen, przyjdź, Panie, ale już bez zasłony*.

Zatrzymajmy się tu nieco i z wyżyn, do których doszliśmy, rzućmy porównawczo okiem na religję i religję. Wzrastająca stopniowo piękność pierwszej daje nam skalę do oceny drugich i podziału ich według ich wartości.

Na najniższym szczeblu stoją ci, którzy nie uznają stosunku Boga z człowiekiem nawet przez wymianę sło-

¹⁾ Bossuet, ibid.

wa; raczą oni przyzwalać, ażeby człowiek mówił do Boga, ale nie wierzą, aby Bóg mógł mu odpowiadać. Tacy nie mają żadnego z pierwiastków religijności, nawet najprostszego; stoi ona u nich niżej zera. To też ten jej stopień nie osiągnął nigdy wpływu społecznego. Rzuca się również w oczy jego bezsilność w oddziaływaniu na obyczaje. Jeżeli ludzie z takimi przekonaniami są uczciwi, to nie dlatego, że mają religję, ale pomimo iż jej nie mają.

Wyżej nieco stoją ludzie, uznający, że człowiek może mówić do Boga, może wzywać Boga na pomoc, a Bóg może mu odpowiadać, może udzielać mu tej pomocy. To jest najniższy stopień religji. Poniżej tego nie istnieje ona. Mimo to, ponieważ ci ludzie mają pierwszy, zasadniczy pierwiastek religji, wierzenia ich wzniosły się tu i owdzie do godności wyznania narodowego. Pierwsze tu miejsce zajmuje nauka Mahometa. Z tem wszystkim, ponieważ w niej pierwiastek religijny jest minimalny, nie uzyskała ona nigdzie wpływu na serce człowieka. Nie podnosi go ono aż do Boga, który sam tak mało się zniża. Minimum miłości w sercu Boga to minimum ofiarności i cnoty w sercu człowieka.

O wiele już wyżej stoją ci, którzy nietylko wierzą w ten święty stosunek Boga z człowiekiem, ale także w obecność Jego na ziemi, w Jego istotne między nami przebywanie. Mówię o protestantach. Tylko że ta obecność Boża zaledwie może być nazwana obecnością. Pozbawiona ona jest trwania, pośpieszna, przelotna, nie rozciąga się na wszystkich: zjawisko raczej, niżli obecność. Przyjmują oni zasadę, a cofają się przed jej dalszemi wynikami, na których wyprowadzenie dosyć zdrowego rozsądku. Zatrzymują się wpół drogi, nie śmiąc żądać od miłości wszystkich jej owoców. To też i przez pół tylko podnoszą serce ludzkie, czynią je prawem, uczciwem, ale nigdy wzniosłem. Nie mają też ani apostołów, ani dzievic, ani męczenników. Nie dlatego, żeby nie posiadali cnot; muszą je mieć, mając takie pierwiastki religijne, jak słowo Boże w Piśmie Świętem i obecność Jego przez Wcielenie. Ale ich cnota jest jak ich dogmaty. Zatrzymuje się wpół drogi. Jakżeby mogło być inaczej? Bóg ich nie jest szczytnym w miłości ku ludziom, skądżeby ludzie mieli być szczytni w miłości ku Bogu?

Nakoniec, ponad religją przyrodzoną, która nie przypuszcza żadnego istotnego stosunku między Bogiem i człowiekiem, ponad mahometanizmem, przyjmującym ten stosunek, ale tylko przez słowo; ponad protestantyzmem,

przyjmującym oprócz słowa wzajemną obecność, rzeczywiste, chociaż przelotne przebywanie Boga między ludźmi; ponad temi wszystkimi zarysami religji stoi religja katolicka, jedyna zupełna religja, bo ona jedyna dokonywa zjednoczenia Boga z człowiekiem w sposób godny jednego i drugiego, z niedorównaną nigdy wielkością. Przez nią Bóg schodzi rzeczywiście do człowieka, człowiek zaś wznosi się do Boga; w niej związek ten jest istotny, żywy, ścisły, przewyższający wszystkie związki, jakie człowiek może zawrzeć lub nawet wymarzyć na ziemi. Śmiałość tej niebieskiej religji jest istotnie boska; ukazując nam w Bogu miłość najszczytniejszą, wzbudza ją w nas także; czcząc w niebie Boga bez miary szczerdrego w darach swej ku nam miłości, uczy nas nie znać tu na ziemi miary w ofiarach naszych dla Niego. To najwyższy stopień piękności duchowej na ziemi i zjednoczenia Boga i dusz. To ostatnie słowo religji.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

O cudownych skutkach religji, a w szczególności o boskiem działaniu cierpienia.

Uzupełnijmy to, cośmy zamierzeli powiedzieć o religji z ogólnego stanowiska, rozpatrując jej skutki cudowne. Pozostawiając na stronie te, które były już dostatecznie omówione w toku tego tomu (dłuższe rozprawy jużby ich nie rozjaśniły), przejdziemy odrazu do najwyższego, a przynajmniej najbardziej wzruszającego. Przedsięwzięłem napisanie tego rozdziału dla ludzi cierpiących. Bo wszak w gruncie rzeczy religja nie jest sprawą wyłącznie rozumu i nauki. Niezawsze siedzimy wpośród książek, przy biurku lub w pracowni. Niekiedy choroba powala nas na łożo. Przychodzi schyłek życia, smutna i odarta ze złudzeń starość. Niekiedy znów musimy czuwać przy łożu cierpiącej żony, umierającego dziecka. Ileż to razy w życiu oddałoby się chętnie cały swój rozum, całą naukę za odrobinę pociechy! Co powie nam wówczas religja? Bo jeżeli nic nie powie, na nic się nie przyda, to cóż nam po niej? Przyznaję, że nie rozumiałbym Boga, któryby wiele wymagał, nie dając nic wzamian; chciał mieć ode mnie hołdy, uwielbienia, nie ocierając wzamian łez moich; od którego nie odchodziłbym nietylko lepszym, ale także uspokojonym i pocieszonym. I ze wszystkich religij tę uznaję zawsze za jedyną prawdziwą, która zdoła mi wytłumaczyć przyczynę moich łez, a przede wszystkim potrafi je otrzeć.

Religja, która ma tylu nieprzyjaciół, ma i trzech nieśmiertelnych sprzymierzeńców, którzy nie dadzą jej nigdy zaginać. Pierwszy z nich to sama wielkość człowieka, której szlachetne porywy i boskie pragnienia ona jedna może zaspokoić. Wykazaliśmy to już w poprzedzających rozdziałach, nie mamy więc potrzeby do tego powracać. Drugi — to nasza ułomność, strona ciemna, burzliwa, ujemna ludzkiej natury, którą też jedna religja

może uszlachetnić, uzdrowić i podnieść. I to także było już dowodnie wykazane. Nakoniec trzecim, najpotężniejszym niestety i najbardziej niepożytnym — to cierpienie.

Im dalej postępuję na drodze życia, tem bardziej widzę, że każda dusza cierpi, i tem bardziej czuję, że dla jakiejś tajemniczej przyczyny dobrze jest dla niej, że cierpi. Cierpienie zbawiło świat pogański; było ono dla niego rodzajem wewnętrznego chrystjanizmu, przygotowaniem do Ewangelji. Ono to i dzisiaj zbawia ludzi światowych, nie pozwalając im zaślepić się ostatecznie, ugrzęznąć całkowicie w sprawach ziemskich. Ono zmiekcza ich serca, utrzymuje w nich łagodność i dobroć; ono mówi im w skrytości o Bogu, wtedy kiedy się już nikt na to nie waży. I stąd to owa zadziwiająca łatwość powrotu ich do wiary na łożu śmierci. „O człowiecze! snem tylko jesteś przelotnym, bolesnem marzeniem; istniejesz jedynie przez nieszczęście; znacysz coś tylko przez smutek twojej duszy i wiekuistą melancholję twojej myśli¹⁾”. Owa to „wiekuista melancholja” wytwarza religję wiekuiistą. Chcąc wykorzenić tę drugą, zniszczcie wprzód pierwszą. Dopóki będą łzy na świecie, zawsze oczy zwilżone zwracać się będą ku Niebu.

Chciałbym więc teraz rozważyć boleść. Skąd ona? naco się zda? Czy poza religją jest na nią jaki balsam? A sama religja czy go posiada? Bo jeżeli to prawda, że ona i ona jedyna uśmierza skutecznie boleść: byłby to nowy, może najwyższy, a zaiste najbardziej przemawiający do przekonania dowód jej prawdy, jej niepożytej, wiekuiestej trwałości.

Tylko tych, którzy nie znają cierpienia, proszę, aby tego rozdziału nie czytali. Nie zrozumieliby go albo zmusili mię do rozpraw, odbiegających od przedmiotu. Piszę to jedynie dla cierpiących.

I.

Poco istnieje cierpienie? Oto jest pierwszy okrzyk duszy. Człowiek, ugodzony ciosem niedoli, dotknięty chorobą, śmiercią ojca, matki, dziecka, ma tylko jedno pytanie. Dlaczego? Milczy z okiem wlepionem w jeden punkt, jakgdyby chciał przeniknąć wejrzeniem otchłani, która pochłonęła jego szczęście. Niekiedy podnosi głowę, patrzy

¹⁾ Chateaubriand.

ślugałnie na przyjaciół i powtarza ten sam wyraz, bo jego boleść nie może zdobyć się na inny: Dlaczego? powiedzcie, dlaczego?

Dlaczego? niestety! Któż to wie? Nikt nie potrafi dać na to odpowiedzi, ani nauka, ani filozofja. Nawet przyjaźń, serce — milczy bezsilnie. Przyjaciele Hioba, wobec jego wielkich boleści, milczeli przez dni siedem, nie śmiejąc przemówić i nie wiedząc, coby mieli rzec, aby go pocieszyć. Wirgiljusz zaś, malując zburzenie Troi, przedstawia nam niewiasty siedzące na brzegu morza, milczące i zrozpaczone, z załzawionymi oczyma, wlepionymi w fale. Takim jest człowiek pod brzemieniem niedoli.

Kiedy te wielkie obrazy po raz pierwszy stanęły w mej wyobraźni, a byłem wtedy bardzo jeszcze młody, przypominam sobie, że ich nie rozumiałem. To długie milczenie wydawało mi się nieprawdopodobnem. Potem sam go zaznałem. I dziś znam już gorzyc niemożności otwarcia ust wobec wielkich nieszczęść, poczucia, że nie mogę ich ani złagodzić, ani pocieszyć.

To też, jeżeli istnieje gdziekolwiek moc, umiejająca pocieszać, niechże przyjdzie, niech położy dłoń kojącą na głowę cierpiącego, niech szepnie mu do ucha jedno z tych słów, których nie znajduje nawet przyjaźń. Jeżeli może, niech odpowie na te pytania boleści, na które nie umie odpowiedzieć ziemia, ani nawet najbardziej kochające serce.

Poco cierpienie? cierpienie pod Bogiem dobrym? Spytałem niegdyś o to pewnego starca i nie zapomnę nigdy wyrazu jego odpowiedzi. „Właśnie też dlatego, mój synu, że jest dobrym”. Wówczas omal że się nie oburzyłem. Dziś mnie to nie oburza i powiadam: być może.

Inaczej bowiem byłbyś okrutny, o Boże! Stworzyłeś człowieka; jest on twojem dzieckiem; kochasz go: bo na-cóżbyś go stwarzał? Nadto, jesteś wielkim, niezmierzonym, nieskończonym. Człowiek jest słabością, przelotnem tchnieniem tylko, i Tybyś się miał pastwić nad nim! Ja nie skrzywdziłbym dziecka. Za silnym na to. Wstydby mi było nadużywać mej siły. Cóż za bluźnierstwo przypuszczać, że Ty, o Boże, mógłbyś nadużyć Twojej, uderzając nas bez celu, bez przyczyny, wydając nas obojętnie na łup sił ślepych, które nas druzgoczą! O mój Boże! czyś Ty stworzył choć jedną duszę do czego innego, jak nie do szczęścia? A jeśli ręka Twoja godzi w nią boleśnie, winniśmy uznać na klęczkach, że czynisz to przez

dobroć, z jakimś tajemniczym celem, który zrozumiemy kiedyś.

Widzę już, jak ludzie światowi oburzają się na to. Wyda się im to niepojętym paradoksem, aby utrapienia i bólesci tego świata pochodziły z dobroci Bożej. Zastanówmy się jednak nad tem.

Czy nie można rozmyślnie i dobrowolnie narazić czule ukochanej osoby na cierpienie, na tem większe niż raz cierpienie, im mocniej ją miłujemy? W tem leży jądro kwestji.

Oto dziecię igra nad brzegiem przepaści. Wychyla się za kwiatem lub motylem, traci równowagę, już ma upaść. Nagle porywają je gwałtownie jakieś ręce, i to tem gwałtowniej, im silniej miłują. Dziecko płacze, cierpi. Skądże na nie przyszło to cierpienie? Oczywiście z kochającego serca matki.

Tu znowu drugie dziecię bawi się nożem, skaleczy się niechybnie. Na szczęście nadchodzi ojciec, wyrывa mu przemocą nóż, karze nawet, aby nie czyniło tego na przyszłość. Dziecię płacze i w duchu oskarża ojca, ale czasem przekona się, że on miał słuszość.

Jeszcze jeden przykład. Matka dziecka chorego podaje je sama pod nóż chirurga. Dziecię płacze, odpycha lekarza, ma nawet ochotę bić matkę. Czyż powiemy, że ona jest okrutna? Powie to może dziecię pod wpływem cierpienia, my zaś, sięgając głębiej, współczujemy coprawda z dzieckiem, ale daleko więcej z jego matką. Wiemy, że ona jest tu godniejszą litości.

Zastosujcie teraz do Boga to, co jest tak piękne i zrozumiałe, gdy płynie z ojcowskiego serca na ziemi, a pojmiecie wszystko! Zapewne, jeżeli nie wierzycie w Boga, jeżeli nie wiecie, że jesteśmy przez Niego stworzeni, że dążymy do Niego; jeżeli uważacie świat jako szranki, gdzie się ocierają ślepe siły, wówczas boleść nie ma żadnego znaczenia. Jesteś złamany, zmiażdżony; cóż ci mam powiedzieć? Pocóż narażałeś się na tę chorobę? Naco było pozostawiać dziecko pod kołami wozu? Pozostaje ci przełknąć w milczeniu boleść, nie uprzykrzając się jękami ani pustym niebiosom, ani ludziom, którzy ci nic nie poradzą. Karą życia bez Boga jest cierpienie bez pociechy.

Ale opuście te ciemne otchłanie, wyjdźcie na światło religji i rozumu. Uwierzcie w Boga; w Boga mądrego, potężnego i dobrego; w Boga, który stworzył ludzi dla

siebie i umieścił ich na chwilę w czasie, aby zasłużyli na wieczność — aby ich umysł, serce, osobistość były ich własne, były dziełem ich rąk; w Boga, który, gdy Jego dzieci, ludzie, pracują nad tem wielkim dziełem, czuwa nad nimi, pomaga, oddala od nich niebezpieczeństwa, podnosi ich i umacnia, ażeby przeszli przez ziemię, nie zatrzymując się na niej, poprzez świat — nie zasklepiając się w nim i nie psując; uwierzcie w tego Boga — a wnet w świetle boskiem, które będzie wam początkiem pociechy, zaczniecie rozpoznawać, skąd pochodzi boleść i dlaczego Bóg na nią zezwala.

Bóg stworzył ten świat i stworzył go umyślnie za ciasnym dla nas. To też nie możemy się w nim poruszać bez cierpienia, gdyż znajdujemy na każdym kroku zapory i granice, z którymi zetknięcie się ból sprawia. Powiadam, że Bóg umyślnie tak urządził, aby te granice wzbudzały w nas tęsknotę ku czemuś lepszemu — ale zaiste nie wiem, czy mógłby nawet uczynić inaczej. Gdy będziemy kiedyś w nieskończoności, dusze nasze będą się w niej poruszały swobodnie, nieskrępowane niczem. Nie napotkamy nigdzie granic, zapór, ani kresu. Wówczas będziemy szczęśliwi. Ale ten biedny świat musi być z natury rzeczy za ciasnym dla nas, czyby go Bóg był urządził tak czy owak. Dusze nasze, znalazłszy się na nim, nie mogą nie cierpieć, nie odczuwać ciasnoty tego Prokustowego łoża nie mogą rozwijać skrzydeł bez potrącania wszędzie o zawady, ani się poruszać bez skaleczenia. Taka jest ta ziemia, miejsce naszej próby, abyśmy nie mogąc znaleźć na niej spoczynku, wzdychali do szerszych przestrzeni i wybiegali marzeniem ku nieskończonym widnokręgom.

A teraz przypuście, że jakaś istota kurczy swe skrzydła, zamiast je rozwijać; że zamiast wzbijać się pod niebiosą, przypada dobrowolnie do ziemi; że nie odczuwa ciasnoty tego łoża Prokustowego; przypuście, że wielki orzeł górski, zamknięty w ciasnej klatce, zadowolony jest z nowej siedziby i podziwiał kraty więzienia, dlatego że są złote lub srebrne, albo też barwnie pomalowane; przypuście wreszcie, że istota nieśmiertelna nie czyni użytku z nadprzyrodzonych władz swojej duszy, zamyka się w obrębie tego świata, czuje się na nim szczęśliwą, zasklepia się w nim, poniża i już jest bliska upadku i zguby ostatecznej; i powiedzcie, dlaczego Bóg nie miał się w to wdąć? Dlaczego nie miał zacieśnić tych zapomnianych granic, ażeby się dały znowu uczuć —

uczynić je dotkliwemi, ażeby zmusić do wzniesienia ducha? Dlaczego by nie miał wyrwać noża z rąk tego dziecka, nie unieść go gwałtownie ojcowską ręką z nad brzegu przepaści, do której wpadnie za chwilę, nie oddać go, gdy jest chore, w ręce lekarza? A gdyby to uczynił, czyż człowiek, ogłuszony narazie boleścią i zaślepiony łzami, nie powiedziałby mu potem: „Dobrze uczyniłeś, Ojczel!”

Oto jest wytłumaczenie boleści, podstawa i główna zasada jej boskiego działania. Na zapytanie duszy cierpiącej religja daje nam jedną tylko, ale czułą i pocieszającą odpowiedź: Człowiecze, jesteś stworzony dla Boga. Gdybyś więc miał być dosyć odwagi, ażeby przejść przez ten smutny świat, nie grzęznąć w nim, a serce dosyć silne, miłość dosyć gorącą, ażeby wznosić się do Boga poprzez zasłonę stworzeń, cierpienie nie istniałoby wcale. Jest ono stworzone jedynie dla zrównoważenia usterek twojej miłości.

W istocie, na początku pod drzewami Edenu istniała tylko miłość i ona sama wystarczała. Spełniała wówczas to samo zadanie, które dzisiaj pełni cierpienie, i spełniała je daleko lepiej. Cierpienie oświeca, oczyszcza, odrywa od rzeczy przemijających; cierpienie podnosi w górę serce. Ale i miłość czyni to samo, a o ileż szybciej i wspanialej. Gdyby więc nie była ona osłabła w rajskim ogrodzie, gdybyśmy zamiast słabej iskierki przechowali w całości płomień miłości pierwotnej — boleść nie istniałaby, ponieważ nie byłaby potrzebna. Bóg w swojej nieprzebranej dobroci dodał nam to nadziemskie skrzydło, gdyśmy się pogrążyli w materji.

Oto jest to, co musimy przypuścić. To albo rozpacz. To albo druzgoczący nas straszny fatalizm.

Tak jest, musimy w cierpieniu zrobić wybór: albo zimna i nieubłagana ręka fatalizmu, który miażdży nas bez litości, skoro wpadniemy pod jego koła; albo tkliwa i ojcowska ręka Boga, która dotyka nas z poszanowaniem i miłością, ażeby nas ulepszyć. Bóg dobry albo Bóg tyran: innego wyboru niema.

Ja już wybrałem. Nigdy nie przypuszczę, o mój Boże, ażebyś miał być obojętnym, ślepym, niesprawiedliwym lub okrutnym. Całuję karzącą Twą rękę, i chociaż cierpiąc nie rozumiem ciosu, który we mnie ugodził, jedno tylko chcę mieć na ustach słowo: „Łaski, Tyś dobry! Łaski, Tyś wielki i mądry!”

Ale nie powinniśmy poprzestać na tej ogólnej zasadzie; trzeba nam wnikać w szczegóły, śledzić okiem

i sercem rękę Bożą, która dotykając człowieka boleśnie, wyrzywa go z pośród niebezpieczeństw i podnosi stopniowo do cnoty, do coraz wyższej piękności ducha.

II.

Taki jest prawdziwy plan rzeczy, o duszo moja. Ziemia jest ciasna, za ciasna dla duszy nieśmiertelnej. Rani mnie i kaleczy. Jak więzień wlokę, idąc, swoje kajdany. Moje z dniem każdym ociężalsze kroki, coraz bardziej utrudnione ruchy, pochylona lub drżąca głowa — powtarzają mi codzień już same, bez wdania się Boga, że nie jestem stworzony dla ziemi.

Lepiej jeszcze dowodzi mi tego towarzysz mojej podróży, człowiek. Zawodzi mnie lub zdradza na każdym kroku. Jeśli wesprę się na nim, łamię się jak trzcina i kaleczy mnie. Nawet najlepsi, nawet niestety ci, którym daję słodkie miano przyjaciół, nie są mi wierniejsi. Zabiera mi ich śmierć, albo oni sami nużą się mojami wadami lub odstręczają moimi smutkami. Iluż to z nich przyłgnęło duszą do mojej duszy, a śmierć oderwała ich ode mnie gwałtownie! Iluż zaufało mi, przygarnęło się radośnie do mego serca, ale znalazło tam tyle chłodu, egoizmu może, że musiało odejść z rozczarowaniem! A ilu innych szukałem w chwili, gdy potrzebowałem oprzeć zboliałą głowę na przyjaznym ramieniu, i nie znalazłem ich! O, jakże człowiek jest niezdolny do głębokich uczuć przyjaźni, i jak prawdziwe są słowa mędrca: „Nie masz nic rzadszego, niż prawdziwy przyjaciel!”

I gdybyż jeszcze jedna tylko przyjaźń nas zawodziła! Zdradzeni przez nią, znękani życiem, szukamy pociechy. Mówimy sobie: poszukajmy czegoś innego, znajźmy inne przywiązanie, czulsze, głębsze, nie tak samolubne, jedyne, i zapomnijmy o tamtych. I upatruje sobie człowiek istotę stworzoną, zdaje się, przez Boga do szlachetnej roli kochania i pocieszenia. Różni się ona bardzo od mężczyzny, nie ma ani jego siły, ani ambicji: co go upewnia, że nie wejdzie mu w drogę jako współzawodniczka. Różna od niego, ale tem mu droższa, nie posiada w równej mierze nic z tego, co posiada mężczyzna, ale wszystko to, czego mu niedostaje. Bóg z cudowną sztuką utworzył jej serce; cierpienie ją pociąga, poświęcenie przykuwa do siebie — a jako uwieńczenie wszystkich darów otrzymała od Pana intuicję, która pozwala jej wszystko rozumieć, ażeby mo-

gła wszystko pocieszyć. Mężczyzna widzi tę istotę, stworzoną dla niego przez Boga. Przenika go dreszcz radości, i odchodzi od ołtarza, gdzie jej oddał rękę, jakby odmłodzony, jakby odnowiony. Ale niestety! marzenie o szczęściu pierzcha wkrótce jak sen, z winy jego czy też kobiety? Czy może z winy obojga? może Bóg chciał, żeby to marzenie pozostało marzeniem tylko tu na ziemi, by skierować nasz wzrok ku Niebu, gdzie ono stanie się rzeczywistością? Bądź co bądź trwa krótko i źle. Nie dotrzymuje swoich obietnic nawet u najlepszych, najserdeczniej związanych. Cóż rzec o innych? Co powiedzieć o ogniskach, gdzie są tylko wygasłe popioły? A co o tych, w których płomień nie zabłysł nigdy, i o tych nie tak już nieszczęśliwych, gdzie jaśniał płomień żywy i gorący, ale został zdmuchnięty nielitościwym tchnieniem śmierci?

Odwracamy się od opustoszałej rodziny, jak się wróciliśmy od zagasłej przyjaźni. Rzucamy się w wir interesów, w życie czynniejsze i głośniejsze, aby się ogłuszyć. Ale zaledwie tknęliśmy się rzeczy publicznych, a już nas prześladowuje niechęć lub zawiść, policzkując oszczerstwem. Zdawało się nam, że znamy już dostatecznie ludzi; teraz znajomość owa wzbogaca się jeszcze. Cofamy się zbolali, rozczarowani, zniechęceni do wszystkiego.

Jak podróżny wstępujący na górę, który, potraciwszy w drodze wszystkich swoich towarzyszy, rzuca wzrokiem ze szczytu, dokąd doszedł sam jeden, i widzi wdołę na przebytej drodze drzewa obalone burzą — tak my, doszedłszy do kresu życia, patrzymy naokoło siebie i widzimy, że pozostaliśmy sami. Zdala poza sobą spostrzegamy zniweczone marzenia, zerwane przyjaźnie, zagasłą miłość, tyle lepszych uczuć, które poginęły nam bezpowrotnie w drodze — i ze smutkiem w sercu dożywamy ostatnich dni naszego istnienia, które byłyby tak nędzne, gdyby nie Bóg. I znużeni wszystkim, nawet nadzieją, nie licząc już na nic, ani nawet na uczucia serca, wiedząc, że każda czara jest próżna, a każdy napój gorzki — wołamy wkońcu: O Boże, Boże!

Pytacie się: naco jest potrzebne cierpienie? Oto naco: ziemia zasnuwa się przed nami mgłą, a rozświećla się Niebo!

Tak jest, oto przyczyna boleści według poważnej i wysokiej nauki naszej świętej wiary. Stworzeni dla Boga, zagrzebujemy się w rzeczach doczesnych. Ścielemy sobie na ziemi zdala od mrozów i wichrów gniazdko, gdzie pragnęlibyśmy zasnąć w pomyślności, gdzie zdaje się nam,

że nie zestarzejemy się nigdy, gdzie brakuje nam tylko nieśmiertelności. Otóż na to gniazdko, w którym zapomniamy o wieczności, ażeby nas upamiętać i oświecić, Bóg zsyła co czas jakiś cierpienie.

Ale któż potrafi opisać, jakim jest Bóg, gdy Go zmuszamy do użycia tego środka? Z jaką delikatnością zastosowuje ciosy dla potrzeb! Najczęściej dotyka zaledwie bolesnego jakiegoś miejsca. Zawodzi nas jakieś marzenie, rozwiewa się złudzenie. Tu znów przyjaciel zapomina, kochające serce ostyga. Mimowoli wznosimy wzrok wyżej. Mówimy: o mój Boże, Ty tylko nie przemijasz!

Kiedy indziej znowu Bóg uderza mocniej. Pada w gruzy czyjeś mienie, karjera lub tron. Świat widzi tylko tumany pyłu, podnoszące się z tej ruiny, ale dusza dotknięta ciosem widzi coś innego jeszcze. Dostrzega nieznane dotąd światło. Przed jej oczyma otwiera się niebo i wynagradza jej straconą pomyślność ziemską. Królowa angielska mówiła: „Dzięki Ci, Boże, żeś mi odebrał trzy królestwa, jeżeli to miało mnie uczynić lepszą.” A Bosuet mówił o niej: „Dziękowała Bogu; czy za to, że uczynił ją królową? Przeciwnie, za to, że uczynił ją nieszczęśliwą!”

Jeżeli boleść jest jeszcze większa (bo utracić tron to jeszcze nie największe nieszczęście — znam daleko cięższe), wówczas światło zwiększa się, można powiedzieć, w stosunku do wielkości cierpienia. Jest ono czasem do tego stopnia żywe, że wywołuje na ustach cierpiących słowa tak prawie piękne, uniesienia tak czyste, jak u Świętych. „O, ileż światła kryją w sobie te żałobne szaty!” — mówiła młoda wdowa, która w dwudziestym roku życia utraciła największe szczęście, o jakim można zamarzyć. Oto jeszcze jej słowa: „Nie można sobie wyobrazić, co cierpię; troski, próżnia, ciemność zapełniają dla mnie ziemię! tę ziemię, którą niegdyś uważałam za tak cudną, której zbytne umiłowanie wyrzucało mi sumienie! A teraz, o jakże kocham śmierć!” Zwróćcie uwagę na te ostatnie słowa. Są te same, które spotykamy tak często w ustach Świętych, na ostatnich szczeblach ich udoskonalenia. W jednej chwili jednym rzutem skrzydeł boleść uniosła tę młodą wdowę, to dwudziestoletnie dziecko, na wyżyny oderwania się od wszystkiego; dla osiągnięcia tych wyżyn święta Teresa lub Joanna de Chantal potrzebowały czterdziestu lat nieustannej pracy.

Niekiedy ciosy mnożą się. Bóg przemawia głośnie nad naszymi głowami. Jest to jakgdyby głos grzmotu,

zwiastującego pioruny. Ale tu szczególniej któż wypowie tkliwość Bożą? Matka, oddająca dziecko pod nóż chirurga, okrywa je pieśczętami, obsypuje pocałunkami przed operacją, podczas niej i po niej. Słaby to obraz tego, co zachodzi w duszach ludzkich. Kiedy miecz wszedł aż po rękojeść, wywiązuje się często takie światło i ciepło, taka jakaś nadprzyrodzona i nieznana radość współcześnie z nadzwyczajną boleścią, że najbardziej nawet od Boga oddalona dusza poznaje Jego rękę i całuje ją. Przytoczę przykład, którego sam byłem świadkiem:

Znałem przed kilku laty pewnego wysokiego urzędnika, cieszącego się wielkiem poważaniem i wpływem ogromnym. Był bogaty, szczęśliwy; miał wszystko prócz wiary. Miał za żonę kobietę pobożną i niepospolitą i dwie śliczne córki, którym dał jak najlepsze wychowanie. Panienki te w wieku lat osiemnastu i szesnastu do uroku miłej powierzchowności i młodości łączyły wdzięk pobożności, skromności i niewinności serca, wpojonych im przez matkę. Spotykałem go często w towarzystwie córek. Dumny był z nich tą szlachetną dumą ojca, który odradza się w godnych siebie dzieciach. Dnia pewnego starsza z dwóch sióstr uczuła nagle gwałtowny ból głowy i w przeciągu dni kilku umarła jak święta — zabił ją tyfus. Młodsza, którą czem prędzej, ale widocznie za późno, oddalono, padła ofiarą tej samej choroby na wsi i wkrótce połączyła się z siostrą. Biedny ojciec przebył cały tydzień w tym wiejskim domu, niemy, zrozpaczony, wpatrzony w łóżko, na którym wyzionęła ducha jego ostatnia pociecha. Wyszedł stamtąd zupełnie przeistoczony i oświecony. Cóż to jest ten świat i co wart? Co warte godności, zaszczyty, urzędy, wpływy? Wszystko to teraz wstrętne mu było. Co warte są istoty stworzone, jeżeli czystość, cnoty i wdzięki nie obroniły od śmierci jego ukochanych dzieci? Zrozumiał, iż takie ciosy nie mogą być dziełem przypadku, bo w takim razie pozostałoby nam chyba rozbić o mur głowę. Zrozumiał, że nie mogły pochodzić z woli Boga nieczulej i obojętnej, bo dla takiego Boga nie miałby dosyć nienawiści. Przyszedł do przekonania, że Bóg mógł tak postąpić jedynie przez miłość, w sposób, którego teraz wprawdzie nie mógł on jeszcze zrozumieć, ale zrozumie później. I wszystko stało się mu jasnym.

Pozostał jeszcze długie lata na świecie, służąc godnie ojczyźnie, nie opuszczając urzędowania, na którym doszedł do najwyższych godności; dobry chrześcijanin przytem, wprawiał świat w podziw mocą swojej wiary i niewzru-

szonością nadziei. Służył biednym, rozdawał im posagi swoich dzieci. Umarł już; a gdy opuścił ten świat i odnalazł tam dwie córki przemienione i promienne — wszyscy troje zrozumieli w uścisku, który już nie będzie miał końca, dlaczego Bóg rozdzielił ich na chwilę, i jak nagradzając i biorąc do swojej chwały dzieci, dał ojcu okupić za cenę przemijającego rozłączenia niezmierzone szczęście życia na wieki w jednym z niemi świetle i jednej miłości.

Oto pierwsza usługa, którą cierpienie oddaje ludziom. Zrozumiej to, duszo moja, i skorzystaj z tego: pierwszym darem, który Bóg dobroci złożył w krwawe szpony cierpienia, to — promień światła.

III.

Ale na tej smutnej ziemi poza niebezpieczeństwem zagrożenia w rzeczach doczesnych, widzialnych, istnieje jeszcze inne: istnieje niebezpieczeństwo zepsucia się, zatracenia w zetknięciu ze złem piękna duszy. Ponieważ zaś Bóg jest tem, czem jest, czyli nieskończoną sprawiedliwością, przeto najmniejsze nawet zło nie może skazić duszy, nie wywołując zarazem kary. Już stary Homer powiedział, że cierpienie idzie za zbrodnią krokiem powolnym, ale pewnym. Popełniasz czyn występny: dajesz Bogu powód do ukarania cię. Popełniasz występki dziesięć, jest to dziesięć przyczyn kary. Cóż będzie, jeżeli tych karygodnych czynów będzie sto, tysiąc? jeżeli uczynisz ze swego życia nieprzerwane pasmo występków?

Zdarza się, że w chwili kiedy okręt wychodzi na morze, tworzy się w jego spodzie ledwie widoczna szpara. Woda przesącza się nią z początku powoli, kroplami; ale jeśli się tego nie spostrzeże i nie pośpieszy zapobiec, po jakimś czasie okręt idzie na dno oceanu.

Wierny to obraz niebezpieczeństwa grożącego duszom. Prawie wszystkie pogrążyłyby się powoli i niechybnie w otchłaniach Boskiej sprawiedliwości, gdyby nie było gdzieś zbawczej potęgi, oczyszczającej mocy, któraby służyła za przeciwwagę ogromowi ich win. I dlatego ludzie pojmowali zawsze, że najstraszniejszą rzeczą dla grzesznej i niepokutującej duszy jest brak wszelkiego cierpienia, pomyślność bez jednej chmurki. Są powodzenia, które przerażają; spogląda się na nie ze drżeniem.

I oto widzicie drugi cel boleści, drugie jej wzniosłe posłannictwo. Skoro człowiek upadł, skoro w zetknięciu z grzechem stracił czystość duszy i upodobanie w dobrem,

a z niemi skrzydło, które go unosiło ku górze — Bóg powierza go cierpieniu. Stoi ono obok grzechu, ażeby wyrwać go z ludzkiego serca drogą ekspiacji. Cierpienie bierze występny człowieka i zanurza go dla oczyszczenia w swym ogniu. Tak pod działaniem płomieni złoto wydziela z siebie wszelką obcą domieszkę i wychodzi z próby jasne i czyste.

Nie sędzę, aby jakikolwiek umysł poważny, obdarzony poczuciem złego i dobrego miał chęć oskarżania tu sprawiedliwości boskiej. Dla mnie sprawiedliwość wydaje się konieczną atrybucją nie tylko Jego świętości, ale i Jego dobroci. Pociąga mnie miasto odpychać. Bóg, który nie umie karać, to Bóg, który się nami nie zajmuje. Nie odczuwam ciężaru Jego ręki, ale nie mogę ucałować Jego kolan. Cóż nam po miłości powierzchownej, której nie można ani zranić ani obrazić! I cóż nas obchodzi niebo, równie obojętne na nasze zniewagi, jak i na modły nasze!

Nie utrzymuję wcale, ażeby te ciosy nie były straszliwe; zaraz powiemy, jak je można łagodzić; teraz chcemy tylko wykazać, jak się je tłumaczy i jak w widokach Boga mają one zadanie użyteczne, ważne i święte. W tym celu zauważcie, z jak głęboką sztuką utworzył Bóg boleść.

A raczej czy to On ją stworzył, przynajmniej taką, jaka istnieje obecnie? Bóg tak dobrze nie stworzył boleści, jak nie stworzył śmierci. Obie urodziły się jednocześnie; obie są nieszczęsnymi córami grzechu, brzydkimi jak on sam, a zadaniem ich jest pokazanie człowiekowi, że nie może wykraczać bezkarnie przeciwko wiekiestemu porządkowi rzeczy, oraz zmuszenie go drogą nieprzewidzianą, ale wzniosłą do poddania się temuż. W smutnej chwili ukazania się cierpienia na świecie nieskończona miłość wzięła je sobie za środek rehabilitacji dusz; podobna w tem do owych wielkich mistrzów, którzy z gruzów i ruin budują wspaniałe świątynie. Bóg zniewolony był karać, ale pragnął przebaczać, a znajdując szczęście w posługiwaniu się złem na korzyść dobra, z miłości swej i sprawiedliwości utworzył karę, któraby była zarazem środkiem rehabilitacji. Wzniósł rusztowanie, mogące się zmienić w ołtarz: utworzył cierpienie.

I patrzcie, jak się wziął do tego, by zmusić niemal człowieka do przeistaczania swej kary w zadośćuczynienie. Powiedział sobie: trzema drogami dąży człowiek do zguby. Psuje się uczynkami, na które składają się pycha, pożydlwość i bunt: to też zmuszę go niekiedy pomimo jego woli do pokory, posłuszeństwa i ofiary. I z tych to trzech

żywiółów, w tajemniczy sposób złączonych ze sobą, utworzył boleść.

Spójrzcie na człowieka chorego, umierającego. W jakimże jest stanie? Przedewszystkiem w stanie upokorzenia. Gdzież się podział ten żywy i świetny umysł, ta płynna wymowa, ta znajomość interesów? Albo ta niegdyś tak piękna kobieta; przeraża nas dziś ona. Wszystkie dary przyrodzone znikły, wszystko jest w upokorzeniu. To jest pierwszy stan. Odpowiada on pierwszemu z pierwiastków grzechu — pysze. Patrzcie następnie, jakie bierne posłuszeństwo! Wczoraj jeszcze nie słuchało się nikogo, nawet Boga, dzisiaj trzeba słuchać wszystkich, swego nawet lokaja. A jakie cierpienia! Gdzież ta krew tak niegdyś wrząca rozkoszą? Dzisiaj krąży ona, niestety, to za powolnie, to za prędko, ale zawsze w posłuszeństwie, upokorzeniu i boleści. Uzyskajcie od takiego chorego akt wewnętrznego zgodzenia się z wolą Bożą, akt rezygnacji i miłości, a pojmiecie, jak prędko nastąpi rehabilitacja.

I dlatego dusze nie giną. Bóg czasem pogrąża je w cierpieniu, powołuje, chcą czy nie chcą, do zadośćuczynienia, i jeśli tylko poddadzą się z uległością Jego wyrokowi, cierpienie dobrowolnie przyjęte odrodzi je i zbawi. Wystarczy na zmazanie w nich ogromu nieprawości.

A jeżeli łatwo dostrzec z samego jej ustroju metafizycznego, że boleść jest dziełem mądrości, jeszcze łatwiej poznać, że jest ona dziełem miłości. Jakże ona jest przystosowana do każdej duszy! Powiedziałbyś, że jakaś niewidzialna i serdeczna ręka skierowywała je właśnie w te miejsca, gdzie potrzeba naprawy i rozbudzenia życia. Z jak rozumnym uporem powraca zawsze w dziedzinę serca! A jak cudowne wywiera skutki! Działa prawie jak sakrament, *ex opere operato*, własną mocą. Ten oto człowiek gwałtowny, despota, egoista jakże stał się pod potknięciem cierpienia przystępnym! sam do ciebie wyciąga rękę; dziękuje ci za najmniejszą grzeczność. Ileż to pokory powstało z boleści!

To oschłe i nieczułe serce wzywa cię samo, prosi o trochę uczucia. Miłość odradza się w niem wraz ze łzami.

Ten młodzieniec, tak zuchwały względem Boga, tak nieprzystępny dla wszelkiego wyższego światła, póki był pod wpływem namiętności, czuje, jak pod tchnieniem cierpienia ucisza się te namiętności, niby wiatr po burzy. Ognisko zła gaśnie, nieczyste marzenia rozpraszają się. Wszystko, co było hańbą jego duszy i, jeśli był chrześcijaninem, doprowadzało go do rozpacz, zmniejsza się

i znika prawie zupełnie w zetknięciu z cierpieniem. Tak to boleść przekuwa niejako duszę na swem boskiem kowadlu.

A cóżby to było, o mój Boże, gdyby dusza z nią współdziałała! gdyby pojmowała tę pracę, składała dzięki za każde uderzenie dłota lub młota, gdyby nie była niemą, martwą, przygnębianą, ślepą, ale pojmującą, żywą, gorącą! gdyby rozumiała, co w niej sprawia Boski pracownik, i radowała się tem!

O duszo moja, poznaj całą niedolę swoich win, ustawicznych upadków, swojej ciemnoty, próżności i samowoli i obmyj się z nich łzami. Nie śmiem ci mówić, ażebyś przyzywała cierpienie, ale nie odtrącaj go, skoro przyjdzie! To przyjaciel. Zrozumiej je, zrozumiej ten drugi chrzest, z którego możesz wyjść tak piękną!

A ty, matko, chrzcij dziecko swem cierpieniem. Gdy wydajesz je na świat w boleściach; gdy podczas bezsennych nocy usypiasz w objęciu te biedne istotki, płaczące, nie wiedząc dlaczego (a dowiedzą się o tem dosyć prędko!) — kapitalizuj te cierpienia. Umieszczaj je na procencie na ich korzyść. Niech wchodzą w epokę walk i niebezpieczeństw bogate skarbem łez macierzyńskich, jej cierpienie dobrowolnie przyjętych i odważnie za nie ofiarowanych.

Bo Bóg uczynił jeszcze i tę drugą rzecz cudowną, że cierpienie przyjęte dobrowolnie jest bez ceny. Nietylko oczyszcza naszą duszę, ale rozszerza swoje dobroczynne działanie na wszystkie dusze nam drogie. To jak te wonności Aarona, które po namaszczeniu i poświęceniu jego głowy spływały po jego brodzie i nasycaly zapachem aż do frendzli jego szaty. Przeczytajcie w księdze Genezy tę cudowną rozmowę Boga z Abrahamem o nowych dziesięciu sprawiedliwych, którzy mogli byli posłużyć za przeciwwagę dla tysięcy występnych — przeczytajcie i pojmijcie całą odradzającą własność cierpienia.

Wiecie, dlaczego ten człowiek, który nie modli się nigdy, nie oddaje Bogu czci żadnej, zasmuca Go, a może i znieważa — dlaczego on żyje, dlaczego nie dotyka go kara niebios? Oto dlatego, że wokoło niego jego działki modlą się, jego żona płacze, i te kochające go istoty gromadzą wszystkie swoje cierpienia, zasługi, cnoty i niewinności na jednej szali jako przeciwwagę tych nieprawości, które on kładzie na drugiej.

A jeśli narody istnieją, jeśli te niezmierne warsztaty grzechu nie upadają pod ciężarem swoich nieprawości, to dlatego, że mają w swoim łonie dobrowolne zadosyćuczynienia ludzi cierpiących i poświęcających się przez miłość.

A jeżeli czasem, gdy hańba i zbrodnia zbyt nagromadzi się w żyłach narodów, nagromadzą się i nieszczęścia; jeśli ludy są już na drodze do zguby i zatrzymują się na niej — to, poszukawszy dobrze, zawsze znajdziecie, że było tam bodaj kilka wielkich dusz, które się dobrowolnie poświęciły; były jakieś niezasłużone cierpienia, znoszone szlachetnie, święcie i wzniosłe, kilka kropel krwi czystej, która popłynęła z miłości, ażeby obmyć fale krwi niegodnej. Ale dosyć tych uwag ogólnych; pośpieszmy spojrzeć na zajmującą nas kwestję z innego stanowiska.

IV.

Słyszę, jak mówi poeta:

O boleści! ty czynisz człowieka człowiekiem!

A drugi, bratni mu genjusz, dodaje:

Nic tak nie czyni nas wielkimi, jak wielkie cierpienie.

I odgaduję trzecią i najwyższą przyczynę cierpienia. Jest ono nietylko światłem wpośród ciemności i złudzeń życia, nietylko lekarstwem na zepsucie: ożywia ono i uświęca duszę; powiedziałbym prawie, że stwarza je na nowo; przynajmniej daje im piękno i wzruszającą wielkość, których nie potrafiłaby im dać sama cnota.

Prawda, że na tej smutnej ziemi bez cierpienia nie było nigdy ani wielkiego czynu, ani wielkiej duszy. Aby stać się wielkim nie wystarczał nigdy genjusz, sława, cnota. Zawsze potrzeba nato było cierpienia.

Daremnie ktoś złączył na głowie wszystkie korony — ludzkość z uznaniem jego wielkości czekała, aż otrzyma chrzest cierpienia.

Nawet cnota, cnota szczęśliwa, nie jest największą rzeczą na ziemi. Aby nią być, trzeba jej zawsze tego czegoś niezrównanego i niewykończanego, co dać tylko może nieszczęście.

Zdawałoby się też w cudownej pracowni, gdzie się tworzą wielkie dusze, genjusz, sława, cnota mogą tylko szkicować zarysy. Ostateczne wykończenie, które należy do Mistrza, jest dziełem cierpienia.

Dlaczego? To tajemnica, powiadają. Prawda, ale może ta tajemnica nie jest tak niezgłębiona, jakby się to zdawać mogło.

Jesteśmy istoty małe, bo ograniczone. A im chętniej poddajemy się tym granicom, im bardziej zamykamy się w nich, tem mniejsi jesteśmy. Ażeby stać się wielkim, trzeba z nich wyjść, trzeba je przełamać, wydostać się nadludzkim wysiłkiem poza to nędzne koło. Ale nato potrzeba cierpieć.

Jest z tem jak z owem kołem z żarzących węgli, którem dzieci indyjskie otaczają owad niebezpieczny. Próbuje on je przekroczyć, ale coła się przed bólem, pozostaje na miejscu i kończy tam życie. Dusze pospolite czynią tak samo. Wielkie dusze wydostają się z koła poprzez ogień cierpienia.

Weźcie pisarza. Kiedyż to przychodzi mu wzniosłe myśli: czy w miękkości, w beczynności, kiedy pozostaje w granicach swojej natury? czy też wówczas, kiedy się z nich wydostaje bolesnym wysiłkiem? „Ukończyłem tę ciężką pracę w milczeniu siedemnastonocnego czuwania. I oto teraz, kiedy dokonałem dzieła, pytam siebie w modlitewnym skupieniu ducha i drżący jeszcze od cierpień, jakich doznałem: czy głos mój będzie wysłuchany?” W takich to bólach rodzą się wielkie dzieła.

A poeta gdzie znajduje nieśmiertelne dźwięki? Któżby o tem nie wiedział! Nigdy dusza nie śpiewa piękniej, niż w boleści.

I za każdą raną
Ton jej staje się wznioślejszym.

A im krwawszą jest rana, tem bardziej przejmującym jest jęk.

Najpiękniejszymi śpiewami są śpiewy rozpaczny,
A niektóre z nich są nieśmiertelne, chociaż są samem łkaniem.

To samo dzieje się z wielkimi charakterami, z głębokimi duszami, z dobrymi sercami. Potrzebują cierpienia. U tych, którzy go nie doznali, życie przechodzi jakby tylko po wierzchu dusz. Uczucia ich nie mają siły, serce czułości, umysł szerszych widnokręgów. Wszystko w nich jest powierzchowne, umysł pospolity, dobroć płytka.

Słowem, pod każdym względem tylko cierpienie wnika w duszę dość głęboko, ażeby ją rozszerzyć. Są w nas miejsca bardzo wyniosłe, gdzie drzemie życie; ukryte głębie,

zawierające skarby, do których sięgnąć dusza nie ma dosyć energii. Potrzeba na to gromu boleści. A nawet ośmielałem się utrzymywać, że są strony serca, które nie istnieją, zarodki zaledwie niejasne, które aby stać się, potrzebują dotknięcia cierpienia.

Wiecie, jak to bywa, kiedy usłyszemy piękną muzykę. Z początku jesteśmy nią kołysani, zachwyceni i wzruszeni. Potem nagle za jakimś dźwiękiem, za jakimś potężniejszym akordem czujemy się porwani. Dosięgły one nieznanych głębi naszej duszy. To samo, acz rzadziej, umie sprawić wymowa. Nagła błyskawica, grom — i oto wszyscy są uniesieni, mówca i słuchacze. Porwał ich ten okrzyk, którego sam mówca nie przewidywał w sobie.

Otóż to, co czynią genjusz, wymowa, muzyka, czyni boleść; ma taką samą jak one moc przenikania do najtajniejszych głębin istoty ludzkiej i wynoszenia jej ponad nią samą. Jak trzeba uderzenia, aby z krzemienia wykrzesać iskłę: tak trzeba ciosu boleści, by wykrzesać z duszy światło, wielkość, bohaterstwo, poświęcenie — tysiące ukrytych skarbów. W tym złomie marmuru tkwi posąg, ale potrzeba go stamtąd wydobyć. W tym kawałku kwarcu tkwi szmaragd zdolny załsnąć tysiącem płomieni. Ale trzeba skruszyć tę powłokę kamienną, a do tego musimy użyć młota i dłota. Człowiek próbuje, ale ponieważ nigdy prawie nie ma tyle odwagi, aby uderzać z potrzebną siłą, Bóg zsyła na niego cierpienie, by mu dopomóc w tem wielkiem dziele.

I dlatego to Święci, bohaterowie, genjusze, wszystkie dusze wielkie były po wsze czasy umiłowanemi dziećmi cierpienia. Tylko na zbolale czoło kładziono wieńce wawrzynu. Przypomnijcie sobie Homera, Miliona, Tassa, Dantego, Camoensa. Podniosłość uczucia dała im wieczną sławę, a tej podniosłości, jako też głębokości pojęć nigdyby nie osiągnęli, gdyby nie cierpienie.

A żołnierze, bohaterowie! Cierpienie stwarza — żołnierza. Nigdy dusza nie okazuje się w bardziej wzruszającej i prawdziwszej piękności niż w obliczu śmierci, w tej uroczystej chwili, kiedy niebezpieczeństwo wywołuje zupełne zaparcie się siebie. Zadaniem żołnierza jest zapomnieć o sobie i poświęcać się aż do śmierci. I to jest najwyższe piękno duszy, innego niema prawie wcale. Przypatrzcie się dobrze, a przekonacie się, że prawdziwie wzniosłym bywa człowiek tylko wobec cierpienia i śmierci.

Dlatego to Święci są najwznioślejszymi z ludzi. Grom boleści trafia w nich i podnosi na wyżyny nie jednorazowe tylko przypadkiem, na polu bitwy: żyją oni w cierpieniu

z własnej woli i z woli Bożej, i z niem współdziałają. Cierpienie odrywa ich ustawicznie od rzeczy stworzonych i od własnego „ja”. I to życie zaparcia się i poświęcenia, które czerpią z najwyższym wysiłkiem aż z głębi własnej duszy, czyni z nich jakby nieustanną całopalną ofiarę. Największy to widok, jaki ziemia może przedstawić niebu.

„Wiecie, czego nam zazdroszą aniołowie, mówi święty Franciszek Salezy: oto niczego innego, tylko możliwości cierpienia dla Boga, bo oni nigdy dla Niego nie cierpieli.” Co mogą oni ofiarować Bogu i umiłowanym przez się istotom? Hołdy, modlitwy? I my to możemy, a nadto my mamy do złożenia na ofiarę cierpienia przyjęte dobrowolnie i znoszone z miłością.

I nietylko aniołowie zazdroszą nam tej wielkości, tej wzruszającej piękności. Bóg na łonie swojej chwały jest przejęty podziwem dla tego, czego człowiek dokonywa na łonie boleści. Pozazdrościł mu tej wzniosłej zdolności zaparcia się siebie, cierpienia i umierania dla ukochanych. I zdaje się, że gdyby Bóg nie był zdołał umrzeć dla człowieka, który dlań cierpiał i umierał, człowiek miałby pewien rodzaj piękności i wielkości, którego brakłoby Bogu. Dlatego to dnia pewnego otworzyły się niebiosy, i Syn Boży zstąpił na krzyż w bezmiarze boleści, aby pomimo wszelkich możliwych ofiar człowieka dla Boga, widział on zawsze swego Stwórcę w chwale ofiary wyższej nad swoją.

Wielkość zatem i piękność dusz ludzkich stopniują się według skali cierpienia. Przypomina to piramidę. Na jej szczycie stoją ci, na których czole błyszczy geniusz, cnota i cierpienie, a najpierwszym między nimi jest Ten, który pod temi trzema względami jest pierwotnym pomiędzy synami ludzkimi. Niżej stoją cierpienia mniejsze, a z niemi i płytsze uczucia, pospolitsze istnienie. Im niżej tem więcej śmiechu; im wyżej — tem więcej powagi, tego uczucia nierozłącznego ze wszystkim co wielkie, a z powagą więcej prawdziwego piękna, piękna cnoty, miłości i cierpienia, którego urok jest niewysłowny. Cierpienie to coś tak wielkiego, że dodaje piękności. Serce i twarz pięknieją zarówno w cierpieniu.

V.

Zatrzymajmy się chwilę na tym świetlanym szczycie. Więc cierpienie dotyka nietylko tych, którzy zapominają o Bogu na tym biednym świecie, ani tych, którzy ulegają zepsuciu. Sprawiedliwi cierpią także; dobrzy są doświad-

czani także. Cierpią, aby byli jeszcze sprawiedliwsi; znoszą krzyże, aby się udoskonalili. Otośmy u jądra kwestji. Rozejrzyjmy się bez pośpiechu, a zrozumiemy życie w smutnem, lecz żywem świetle cierpienia.

Kiedyż zrozumiemy, że człowiek winien być swoim własnym rzeźbiarzem; że Bóg zesłał go na ziemię w stanie zarodkowym dlatego właśnie, ażeby stworzył sam siebie; ażeby z tej bryły zimnej, nieforemnej, bez charakteru, bez piękna wykuł własną pracą piękny i harmonijny posąg? A nadewszystko, kiedy pojmiemy, że jako pomocnika w tej pracy dał mu Bóg cierpienie? Nie byłś ani pięknym, ani wielkim, ani świętym, o człowiecze, aleś nim został. Dlaczego? Boś cierpiał.

Spójrzcie, jakimi ludzic przychodzą na świat. Wszyscy w stanie zarodkowym, niektórzy w potwornym. U najlepszych pierwsze soki są cierpkie i surowe, grunt jałowy i oschły. Wiek dziecinny nie zna litości, wyrzekł wielki jeden obserwator. Młodzieniec ma mało serca. Jest w nim krew uniesienia, ogień, który bierze za serce, ale to zupełnie co innego; bezpośrednio po największem uniesieniu, który bierzemy za miłość, a nawet w samem jego trwaniu, z jednego jakiegoś ruchu, z jednego rozkazującego, pogardliwego lub egoistycznego słowa poznajemy, że serce tam jeszcze się nie zbudziło. Albo posłuchajmy przemawiającego człowieka, jeszcze młodego. O młodzieńcze! masz wdzięk, rozum, wyobraźnię, zapał, naukę. A jednak nie mówisz dobrze. Cóż ci brakuje? — Nie cierpieaś.

Potrzeba wiele czasu, wielu prób i cierpień znoszonych z wielką uległością, aby dać sercu urok, duszy wzniosłość i piękno moralne. Niektóre, i to najpiękniejsze struny, nie wydają wcale dźwięku w człowieku, dopóki nie zostaną zwilżone łzami. Dlatego to cierpienia spływają na nas tak obficie. Nadchodząca fala nie czeka na ustąpienie poprzedniej. Boleści ducha i serca, najróżnorodniejsze cierpienia i choroby, nieustająca gorycz napływają ciągle i zapełniają życie. Dziwi nas to i pytamy: dlaczego?

Tak, dlaczego szczęście zawsze uchodzi, a cierpienie nie ma nigdy końca?

Oto dlatego, ażeby nas oszlifować, zetrzeć z nas wszystkie chropowatości, wyczyścić nas powolnym a delikatnem dotknięciem ryłca.

Jednym przypadają w udziale gromy boleści na podobieństwo tych potężnych ciosów młota, jakimi Michał

Anioł obrabiał marmur, z którego miał wyjść posąg Mojżesza; innym ustawiczne, drobiazgowo, delikatne działanie koła szlifiernego, które nadaje diamentom piękno, blask i ogień. Ale w jednych i w drugich równie mądre działanie cierpienia, które dopomaga im doskonalić się i upiększać.

A ma tam ono tyle do zrobienia! Niech was to więc nie dziwi, że musi powracać często. Wraca też nieustannie w te same miejsca, szczególnie w miejsca słabe. Jeśli jesteś łagodny: ono musi ci dać siłę. Silny jesteś: czyż nie chcesz z jego pomocą stać się łagodnym? Oto osoba o sercu kochającym: cierpienie ją nauczy, jak się w ciągłej ofierze i zaparciu siebie zdobywa miłość, ani zbyt miękką, ani zanedo to ziemską, ale wzniosłą, szlachetną, czynną, skuteczną i wytrwałą. Inna znowu ma charakter wielki i stały, ale egoizm jej nie zna miary: jakże nie ma tu pośpieszyć cierpienie? Trzeba, aby łzy zrosiły tę tklivość słabnącą i zanikającą miłość. O wy, dusze dumne i egoistyczne, które jesteście tak pełne swojego „ja”, zaczekajcie na cierpienie; ono zmusi i nauczy was kochać. A wy, serca kochające, oczekujcie go również, ale i obawiajcie się. Dla was będzie ono tak dojmującym! Nie da wam rozpuścić się w miękkich czułościowościach. Tklivość wasza będzie musiała przemienić się w szlachetność i cnotę.

Niedosyć rozumiemy głębokie działanie boleści. Inaczej uwielbialibyśmy niewidzialną i kochającą rękę, która kieruje rylcem. Ilekroć wejrzymy, nie łudząc się, w siebie, rozpoznajemy z podziwem, jak trafnie wymierza cierpienie swe ciosy.

A nie tylko dotyka ono duszy tam, gdzie są braki, cienie, wady, aby zastąpić je przymiotami, których brak; często skierowuje swój rylce do najpiękniejszych stron naszych, do cnót najczęściej przez nas nabytych. Dlaczego? Ażeby zapewnić im przez próbę wzrost, zetrzeć rdzę wszelką. Jesteś dobry, cierpliwy, i dlatego właśnie spadną na ciebie różnego rodzaju przykrości. Masz serce kochające: będziesz zmuszony żyć z samolubami. Twoja największa cnota będzie nieuznana, najlepsze uczucie nie będzie miało do kogo się zwrócić. Byłeś stworzony do cichego, rodzinnego życia, a będziesz może żył samotny lub stracił wczesnie towarzyszkę życia. Dusza twoja jest zdolna do wszystkich uczuć ojcostwa, a nie będziesz miał nigdy dzieci. Jeśli masz w duszy drażliwsze miejsce, cierpienie skieruje ku niemu ostrze; znajdzie je, choćbyś je

przed wszystkimi utaił. A może go i sam nie znasz, ale ono ci je pokaże. Bo cierpienie — to narzędzie tylko, a kieruje nim ktoś, kto wszystko widzi.

Chcę wam dać jeszcze inne przykłady. Czy zauważyliście, jak umiejętnie cierpienie przystosowuje się do dusz? Razem z nimi podnosi się i zniża; stosownie do ich potrzeb czyni się delikatnym i grubym. Jeśli nie umiesz odczuć subtelnych udręczeń duszy, Bóg zesła ci twarde wysiłki fizyczne. Nie umiałbyś odczuć szlachetnych trosk honoru, Bóg ci zesła pospolite troski majątkowe. Nie odczułbyś świętych cierpień serca, Bóg da tobie oschłe niepokoję umysłu. Nie traćcie szlachetności, bo skoro cierpienia wyższego rzędu nie będą na was działały, duszom waszym będą dane cierpienia poziome.

A przeciwnie, patrzcie, jak cierpienie wznosi się i niejako uduchawia, w miarę jak dusze oswobadzają się z materji. Któż pojmie i wypowie wzniosłe, nieznane tłumowi cierpienia, które są udziałem genjuszów, poetów, umysłów wyjątkowych? A jak odmalować niewidzialne a wzniosłe męczeństwo, zsyłane przez Boga sercom macierzyńskim, zachwyconym sercom dziewic i Świętych?

Życie jest tygłem, gdzie się dusze kształtują dla Nieba, a w tym tygłu każda ma ogień, jakiego jej potrzeba. Wy, którzy to rozumiecie i pożąacie wzniosłości i świętości, pozwólcie działać cierpieniu. Ten, który nim kieruje, wie lepiej od was, gdzie należy zwrócić ostrze rylca.

To prowadzi mnie do rozważenia cierpienia z jeszcze bardziej zajmującego punktu widzenia, tu bowiem widno krąg się rozszerza w miarę, jak się wnosimy wyżej.

VI.

A oto coś, co zwracało często moją uwagę i zrazu mnie dziwiło, a następnie przejęło zachwytem.

Każde życie rozpoczyna się szczęściem, a kończy smutkiem. Szczęście rozbłyska z jutrenką życia i znika z nią razem; potem nadchodzi smutek i nie ma już końca. Dlaczego? Wszak zdawałoby się, że powinno się działać wręcz przeciwnie; z początku, kiedym jeszcze nie zaczął działać, kiedym nie uczynił nic i na nic nie zasłużyłem, otrzymuję wszystkie dary i wszystkie radości. Przy końcu, kiedym już pracował, modlił się, kochał, kiedym uległ woli Bożej — wszystkie smutki i opuszczenia.

Dlaczegoż Bóg umieszcza na początku
To wszystko, co jest w życiu najlepszego?

Powiedz mi to, o mój Boże, aby smutek nie zasępił moich ostatnich dni, a serce nie pękło z bólu w starości mrocznej i ponurej, bez pociechy i nadziei, bo bez światła!

Widzieliśmy, że jesteśmy tu nato, ażeby tworzyć siebie samych, aby upiększać własną duszę. Otóż to jej piękno nie dosięga nigdy na ziemi swego kresu, musi ciągle wzrastać. „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec mój Niebieski doskonałym jest.” Trzeba wciąż postępować ze światła w światło, z cnoty w cnotę, nigdy się nie zatrzymując. A w szczęściu zatrzymujemy się, zapóźniamy i zapominamy. Dlatego to zaczynamy od szczęścia, ale nie możemy trwać w niem. Trzeba, żeby Bóg nas z niego wygnał. *Egredere, egredere!* — Naprzód, naprzód! rzućcie to, co was powstrzymuje; nie ustawajcie w drodze! Bóg tak dał nakazał nam postępować ciągle naprzód, wedle słów Bossueta, że nawet nie pozwolił się nam zatrzymać w nieukończoności.

I dlatego skoro chcemy zatrzymać się tu na ziemi, skoro zapominamy się w szczęściu, płomień boleści wybuchy na Boże skinienie pod naszymi stopami i zmusza nas do odejścia.

Takie są dzieje ludzkości, takie każdej pojedynczej duszy.

Spójrzcie oto na ten świat: rozpoczął się rajem ziemskim. Ale ileż to trwało? Człowiek nie wytrzymał długo takiego szczęścia. Potrzeba mu było zostać wygnanym z raju, ażeby we łzach odnaleźć wygasłą miłość i piękno stracone.

Spójrzcie na chrześcijaństwo: ono się także rozpoczęło pewnego rodzaju Edenem. Ale oto, co wyrzekł wkrótce jego Boski założyciel: *Pożytecznie wam, abym ja odszedł.* A potem te słowa pełne znaczenia: *Bo jeśli nie odejdę, pocieszyciel nie przyjdzie do was.* Znaczy to, że jeśli szczęście będzie trwało ciągle, szczęście słodkiego obcowania Mistrza z uczniami, Duch nie znajdzie pomiędzy nich; Duch czyli wielkość, cnota, święty ogień żarliwości, ofiary, poświęcenia. *Spiritus non veniet.*

To samo dzieje się z każdym życiem. Dziecko przychodzi na świat tak, jakby w raju; pieszczą je, miłują, otaczają troskliwością. Ale to nie trwa długo — nie może trwać. Musi skosztować goryczy, napić się wody z poto-

ku, bo inaczej nie osiągnęłoby dojrzałości. Strzeż się więc, matko, abyś pieszcząc go, nie rozpieściła.

Przychodzi małżeństwo, nowe życie. Ono ma także swoją godzinę szczęścia i zachwyty. Ale gdyby ta godzina trwała całe życie, cóżby się stało z duszą? Ludzie zapominaliby o rodzicach, przyjaciółach, o swem powołaniu, o biednych; zatrzymywaliby się wśród drogi. A tymczasem trzeba iść naprzód bezustanku. *Egredere, egredere.* Potrzeba się rozstać nie z miłością, ale ze szczęściem, jakie ona daje; poznać jego ograniczoność i nieudolność. Trzeba pogłębić swoje serce bardziej jeszcze boleścią, niż radością. *Bo jeśli ja nie odejdę, pocieszyciel nie przyjdzie do was.* Trzeba dążyć do cnót miłości, piękniejszych stokroć i lepszych nad jej radości, starać się posiąść ducha, ogień, cnotę dla cnoty samej, ofiarność i poświęcenie.

I życie zakonne ten sam przedstawia widok. Rozpoczyna się słodkim nowiciatem. Któż wyrazi szczęście duszy Bogu poślubionej! Ale i ono przemija. Oschłości, opuszczenia, ciemności nie omieszkają się zjawić. Światło, pociechy duszne uchodzą jedne po drugich. Dusza czuje się osamotnioną, czerpie siły jedynie w wierze i miłości. Pod jej stopami rozżarza się coraz gorętszy płomień boleści, nie dający jej zatrzymywać się w drodze.

Takie są dzieje wszystkich dusz i każdego życia. Na początku chwila szczęścia, przelotnego upojenia, niby kropła słodczy na brzegu kielicha. A potem za każdym krokiem zmniejsza się źródło radości, a przybiera potok cierpień. Z każdym dniem ciało staje się ociężalsze, brzemień cięższe, serce bardziej zboleć. Chcielibyśmy powstrzymać przynajmniej wzbieranie bólów, skoro nie zdolaliśmy powstrzymać uchodzącego szczęścia. Niepodobna; zaledwie zostało rozwiane jedno marzenie, rozwiewa się drugie. Zaledwie zasypaliśmy jeden grób, a już musimy kopać drugi. Daremnie wołamy z poetą:

Uderzaj dalej, boleści, jeżeli znajdziesz miejsce!

Miejsca tego nie brak nigdy; cierpienie zawsze je znajdzie. Znekawszy ciało, nęka umysł; znekawszy umysł, rani serce. Zraniwszy serce, ponawia ciosy. Gąbka, spoczywająca na dnie morskiem, raz nasycona wodą staje się niezdadną do jej przyjmowania dalej. Nie tak serce, ono ma nieskończoną zdolność cierpienia. Tak dochodzi człowiek do kresu. Wszystkie jego marzenia rozwiane; cały jego do-

robek rozproszony; dzieła w ruinie; ukochani w grobie. Cóż mu pozostaje? Mało braknie, ażeby nie oddał się ostatecznej rozpacz. O zaślepienie ludzkie! Pytasz, człowiecze, co ci pozostaje? Oto ty sam, twoje serce i dusza. Ogień boleści trawił wszystko oprócz duszy twojej. Kiedy przygasł płomień stosu Joanny d'Arc, ze szlachetnej ofiary nie pozostało nic prócz serca. Życie to także ogień. U jego kresu pozostaje tylko serce, oczyszczone, uszlachetnione, przemienione przez cierpienie, godne nieba, dla którego było stworzone i dokąd może teraz powrócić.

Do tego dążyło cierpienie. Widzicie więc, że działanie cierpienia zastępuje miłość. Jej zadaniem było to, co spełniło cierpienie. Miłość oświeca, oczyszcza, uszlachetnia, miłość podnosi i uświęca; a jeśli obecnie tego wszystkiego dokonywa cierpienie, to dlatego tylko, że miłość nie jest dosyć silna, ażeby sama jedna podołała zadaniu.

Ale jak wielka jej potęga w towarzystwie cierpienia! A jak słabe jest cierpienie bez miłości! Miłość to jego kierownik i regulator, ona jedna zna całą jego siłę i zażył jej potrafi. Już mała miłość z wielkim cierpieniem wiele może dokazać cudów. A jeśli jeszcze miłość dorównywa w sile cierpieniu, jakże wtenczas szybko człowiek wznosi się na wyżyny! Dojrzewa w jednej godzinie, dusza jego wyrwa się ku niebiosom, a Bóg wysyła aniołów, ażeby Mu ją przywieśli.

VII.

A teraz sięgnijmy wyżej, posłuchajmy ostatniego słowa religji o bolesnej i nieprzeniknionej tajemnicy cierpienia. Kto stworzył cierpienie? Kto mu nadał moc oświecania, oczyszczania, uszlachetniania i uświęcania dusz? Kto zsyła na dusze cierpienie, jak na pola deszcz i słońce? Kto posługuje się niem, jak genialny rzeźbiarz młotem, by nadać duszom kształt jak najpiękniejszy? Kto? Bóg! I dlaczegóż to Bóg chce je mieć pięknymi, pięknymi miłością i cierpieniem, jeśli nie dlatego, że je kocha? O dusze, słuchajcie, to ostatnie słowo, słowo najszczytniejsze i jedyne, które może was pocieszyć. Bo są krzyże tak ciężkie, że wszystko, co już było powiedziane, nie wystarcza, by je móc podźwignąć. Nieskończone boleści potrzebują pomocy nieskończonych.

Wiedzieć, że Bóg nie tylko jest dobry, mądry, wielki i miłośniwy: On nas kocha; miłość Jego dla nas jest jak

On sam nieskończona, a cechami jej są: namiętność i zazdrość; i to tak dalece, że przy niej wszystkie uczucia ziemskie są tylko bladymi cieniami, martwymi liśćmi, spadłymi z drzew. I jakżeby mogło być inaczej? Czyż serce Boga jest sercem martwym, nie umiającym kochać? Czyż jest ono jednym z tych serc połowicznych, pozbawionych ognia miłości, których słabe isierki powracają do nich, niezdolne dosięgnąć i rozżarzyć serc innych? Lub też byłoby ono z liczby tych serc bezsilnych, które wprawdzie kochają i nawet gorąco, ale nie umiają mocy swych uczuć w czyn wprowadzić? Kochając, czy jęczy ono i ubolewa, że nie umie ich wyrazić nawet w słowach? Bóg jest ojcem; Bóg jest matką. Otóż przedstawcie sobie ojca wszechmogącego, matkę, którejby potęgą dorównywała jej miłości. Czy dobrze zastanowiliście się nad słowami: miłość nieskończona? Miłość skończona już jest rzeczą szczytną. „Wszystko może”, powiada autor *Naśladowania*¹⁾; jakąż więc być musi miłość nieskończona! Zważcie dobrze wyrażenie: nieskończona; to znaczy: niewyczerpana, niezwyknięta; nieskończona — czyli niezmordowana w dawaniu, a nienasycona w otrzymywaniu. *Będiesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, ze wszystkich sił twoich, ze wszystkiej duszy twojej.* Oto, czego wymaga On od nas, a wymaga, ponieważ sam daje. „Wiedzieć, że wasz Bóg jest Bogiem zazdrosnym.” Oto, co woła do nas z Synaju i Kalwarii, w tych dwóch momentach, w których się najbardziej zbliżył do ludzkości; oto, co napisał gromem i błyskawicą, łzami i krwią, ażeby dusze musiały to wiedzieć i nie mogły o tem zapomnieć.

Z tego stanowiska spójrzcie na drogi Boskie i usiłujcie je pojąć. Bóg kocha dusze; jest zazdrosny o ich piękno. Dlatego tylko umieścił je na chwilę w doczesności, ażeby mogły osiąść tę wielkość, to wykończenie, które daje tworom jedna jedyna wolna wola. Jakże troskliwie i z jaką miłością czuwa nad ich życiem i krzepi je w tym krótkim, ale ciężkim trudzie życiowym! Jakże troskliwie wymierza im radość i boleść, miłość i cierpienie i jak umiejętnie je ustosunkowuje, by je uczynić jak najpiękniejszymi: na podobieństwo wielkiego artysty, który łączy mistrzowsko światła i cienie dla jak największej doskonałości swego obrazu! „Jeżeli Bóg chce całej twojej duszy — pisał o. Lacordaire do młodzieńca, nie mogącego się dźwignąć po doznanych gorzkim zawodzie — cóż w tem dziw-

¹⁾ O naśladowaniu; ks. III, rozdz. V.

nego, że odbiera jej wszystko to, co by mogło stać się w tem przeszkodą? Pismo św. uczy nas, że jest On Bogiem zazdrosnym. Nie dziw więc, że ci odjął szczęście tej słodkiej i dozwolonej miłości, niewysłowioną pociechę czystego uczucia, którego wolno człowiekowi skosztować na ziemi; On chce, ażebyś umiłował Jego wyłącznie." I dodaje te piękne słowa: „Kiedy Bóg spuszcza na nas różgę, czyni to dlatego, ażebyśmy nie szukali innej głowy nad zakrwawioną głowę naszego Zbawcy; innych oczu, innych ust, niż Jego oczy i usta; innych ramion do oparcia się, niż Jego ubiczowane ramiona, innych rąk i nóg do całowania, niż Jego ręce i nogi przebite gwoździemi dla naszej miłości; innych ran do pielęgnowania, tylko Jego Boskie, a wiecznie otwarte rany. Czyż miłość nie jest miłością, drogi przyjacielu! Uskarżasz się, że nie jesteś kochany; a oto Bóg dał twemu sercu miłość czystą, niezmierzoną i niewycięzoną. Chciałbyś pokalać ją doczesnem uczuciem, ale On tego nie chce i dlatego cię dotyka boleśnie. Odkrywa przed tobą znikomość świata. Krzyżuje ciebie, ażebyś ukochał i naśladował krzyż Chrystusowy. Celem Jego jest posiąść miłość wszystkich ludzi, i ku temu też zdążają wszystkie drogi Jego Opatrzności."

Tak, wszystko zmierza do tego celu, zarówno rozwiane marzenia, jak i druzgoczące gromy. Wszystkiem kieruje miłość zazdrosna, która koniecznie chce odwzajemnienia. Jedyne rozwiązaniem zagadki cierpienia i śmierci jest bezgraniczna miłość, która pracuje nad pięknnością dusz albo zrywa więzy, stojące na przeszkodzie ich z nią połączeniu. I śmierci nie możnaby sobie wyjaśnić inaczej.

Niekiedy miłość ta wyczekuje na dusze długo i cierpliwie — pozwala im dojrzeć pod działaniem boleści. Zrywa je dopiero wówczas, kiedy utracą cały kwas i cierpkość. Jak piękną bywa śmierć niektórych starców! Ale też jak dobrym jest Bóg, który na nich tak długo oczekiwał!

Niekiedy znowu Pan zabiera ze świata dusze prawe zaraz po zjawieniu się ich na nim. Żałujemy ich — oskarżamy Boga o okrucieństwo, a tymczasem tu właśnie miłość Jego dla nas ujawniła się w całej tkliwości i delikatności. Pismo święte uczy nas, że w tych przedwczesnych zgonach, które starożytni, wiedzeni instynktem, otaczali czcią i zazdrością, mamy wskroś łzy, które nam wyciskają, widzieć i podziwiać albo miłość nieskończoną, która zerwała owoc przedwcześnie dojrzały: *Stawszy się za*

krótki czas doskonałym, przeżył czasów wiele; albo miłość opatrzna, która chciała oszczędzić wątłej roślince zbyt gwałtownej burzy: Pochwycon jest, aby złość nie odmieniła umysłu jego. Mówimy: ależ ona była tak czysta! — właśnie też dlatego zniewoliła sobie serce Boga. Aleśmy ją tak kochali! Prawda, ale ktoś kochał ją jak wy i przed wami; ktoś był więcej niż wy jej ojcem, jej matką, jej małżonkiem, ktoś, kto uczynił dla niej wszystko, co byście uczynili sami, gdybyście obok miłości posiadali wszechwiedzę Bożą i wszechmoc. „My nieszczęśliwi, mówi wspomniany autor, zapominamy zawsze, że jest ktoś, mający większe od nas prawo do przedmiotów naszego ukochania, ktoś, kto się nazywa w Piśmie św. „Bogiem zazdrosnym". Zapominamy w swych umiłowaniach o Tym, który kocha więcej, niż wszystkie stworzenia pospółu; który chociaż nieśmiertelny z natury, umrzeć chciał za nie, ażeby im odjąć wszelkie prawo skargi na Jego wyroki. Podnieście oczy do przybytków bezgranicznej miłości, tam zrozumiecie tajemnicę łez waszych, widząc na łonie Bózem dusze ukochanych, których oplakujecie. Tam pojmiecie przyczyny tego porządku rzeczy, który wam się wydaje okrutnym; ujrzyście, że wolna od zmas piękność duszy chrześcijańskiej pociąga ją nieprzeparcie ku Temu, z którym zjednoczył ją chrzest. A skoro potem zwróćcie oczy na ten padoł łez, który wam z każdym dniem staje się bardziej obcym, przekonacie się może, iż więcej waszym ukochanym oszczędzono cierpień, niżli ujęto radości, i będziecie składali dzięki dziś jeszcze niezrozumiałej dla was prawicy, która, ile razy zwróci się ku sługom i wybranym swoim, zawsze im błogosławi. Jest to chwała religii, że te pojęcia tak szczytne, a tak słodkie uczyniła zrozumiałemi i uprzedniła nietylko umysłom genialnym, ale i sercom prostaczków. Co może wobec tego mądrość ludzka, choćby najwyższa? Jak wytłumaczy boleść, cierpienie dusz najpiękniejszych, najzacniejszych rodzin, ludzi najgodniejszych, zdawałoby się, szczęścia, bo całe życie myśleli o szczęściu drugich? Niech nam wytłumaczy ze swego stanowiska przyczyny tego niepojętego zjawiska, które może odjąć odwagę najcnotliwszym. A nade wszystko, niech wykazawszy nam źródło łez naszych, otrze je, co właśnie czyni religja, i co nam jest najpotrzebniejsze. A jedna religja to czyni i, jak ujrzymy niebawem, czyni w sposób boski.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Jak religja, tłumacząc nam cierpienie, dopomaga zarazem je znosić.

Może powiecie na to: „Jeżeli tak, jakże można w cierpieniu płakać? Jeśli boleść oświeca, oczyszcza, uszlachetnia, przemienia, jeśli jest wielką pracownicą życia, której zadaniem jest urabianie serc ludzkich, hartowanie ich w swym ogniu i unoszenie na swych skrzydłach ku niebu, to płacz w cierpieniu jest bezrozumem i słabością, buntem i grzechem”.

Nie, grzechem jest tylko szemranie.

Przyznaję, o Panie, że człowiek jest w szale,

Jeżeli śmie narzekać;

To też nie narzekam; nie przeklinam wcale:

Dozwól mi tylko płakać.

Religja nie wzbrania łez — zezwala na nie, omal że nie nakazuje, w każdym razie uświęca je, a uświęcając osładza. Uczy nas w żalu zwracać wzrok ku Niebiosom, nie zapominając o ziemi; koi nasze cierpienia jeszcze umiejętniej, niż je tłumaczy.

W pokoju więc i pełni nadziei rozważmy ten drugi stopień Boskiej nauki cierpienia. Któż bo nie potrzebuje tego? Kto tak mało jeszcze zna życie, że nie kryje żadnej rany w sercu? Kto z nas w tych smutnych czasach nie nosi żałoby po kimś ukochanym? Niechże religja nauczy nas płakać.

I.

Skąd też ludzie mogli wnieść, że religja wzbrania łez? Dusza po wsze czasy najreligijniejsza, idealny pierwowzór życia prawdziwie niebiańskiego, jak to musza przyznać ci nawet, którzy nie uznają jego boskości — Jezus płakał. Upadał pod ciosami cierpienia. Oblany po-

tem i łzami powiedział w ogrodzie Oliwnym: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci”, i anioł przyszedł Mu pomóc spełnić kielich goryczy. Na krzyżu szukał pociechy, potrzebował jej, chociaż niestety nie znalazł, ktoby Go pocieszył. Łzy Jego nad grobem Łazarza są jeszcze piękniejsze, bo pochodzą z serca. Ale czemużby były te łzy, gdyby Jezus nie miał władzy przywrócenia życia przyjacielowi? Ta święta boleść, to boskie wzruszenie będą wiekuiącą pociechą wszystkich cierpiących. Ludzkość spamiętała te łzy drogocenne, otoczyła je czcią i uwielbieniem, bo one ją uczą, że płacz w nieszczęściu nie obraża Boga, który sam cierpiał i płakał.

Prawda, że znaleźli się fałszywi mistycy, którzy posunęli się aż do zabrania łez w boleści. Ale Kościół potępił ich naukę, a ludzkość ze wstrętem odwróciła się od nich, kierując wzrok pełen miłości na prawdziwych bohaterów, którzy są jej wzorami; ci nie spotwarzyli natury ludzkiej pod pozorem uczczenia Boga.

Naprzód u stóp krzyża Marja, Matka boleści, najczystsza, najświętsza, najwznioślejsza pomiędzy istotami stworzonymi, tu słaba, leżąca w omdleniu na ziemi według jednych, stojąca według drugich, ale wedle zgodnego wszystkich świadectwa zalana łzami i upadająca pod brzemieniem boleści.

Stabat mater *dolorosa*

Juxta cruce[m] *lacymosa*.

Po Mistrzu, po Jego i naszej Matce, idą wszyscy Święci. Czy przypatrzyliście się kiedy ich autentycznym wizerunkom? Twarze ich mają wyraz rzewny, w oczach widnieją łzy; a czytając ich życie, przekonywamy się, że nigdy rodzice, dzieci, małżonkowie nie zachowywali się w cierpieniu bardziej po ludzku, niż oni. Kto na przykład nie zna łez świętego Augustyna przy łożu śmierci świętej Moniki? jęków i wymownych skarg świętego Bernarda po śmierci brata? rozdzierającego żalu świętej Elżbiety węgierskiej, kiedy jej został wydarty ukochany mąż? Czytajcie autorów współczesnych świętemu Ludwikowi, a zobaczycie, z jakimi ostrożnościami oznajmiano mu śmierć matki, i jak pomimo najdoskonalszej rezygnacji tego wielkiego świętego, otoczenie lękało się o jego życie wobec jego żalu. Przypomnijcie sobie również list i łzy świętego Franciszka Salezego po śmierci matki i świętą Joannę Chantal, której ogrom boleści gorszył obecnych.

Fałszywi mistycy, o których wspomniałem, nie tylko że potępił uczuciowość i tkliwość, ale nadto, potrzebując przykładów, zadali kłam historii. Potworzyli fałszywych świętych, okropnych, wynaturzonych: świętych kamienionych, martwych, bez serca i uczucia. Zdawało im się, że dodają im tem wielkości. Postąpili jak ci szaleńcy, którzy pod pozorem wywyższenia wiary zaprzeczają istnienia rozumu i depcą umysł ludzki. Czyż nie wiedzieli oni, że tem, co stanowi główny czar dusz pobożnych, co najbardziej pociąga ludzkość do Świętych, jest właśnie to połączenie Boskiego z ludzkim, siły ze słabością, tkliwości z odwagą? I ich cierpienia objawiają się płaczem, jękami, omdleniem fizycznym; ale są to jęki bez szemrania, płacz bez buntu, przygnębienie natury ludzkiej, połączone z najdoskonalszem poddaniem się woli Bożej.

Pierwiastek boski potęguje w nich to co ludzkie. Przynajmniej nie spotkałem nigdy w historii i nie spotykam boleści tak silnych, jak te, które znajduję w żywotach Świętych; i jeśli podziwiam ich siłę, to dlatego że wprzód podziwiałem ich tkliwość.

Nie potępia więc łez religja i nigdy ich nie potępiała. Potępiłaby raczej obojętność, a przynajmniej dziwiłoby ją, gdyby przecięte życie nie wywołało łzy żadnej. Widziałaby w tem siłę, która nie z niej idzie; nie poznałaby serca, które usiłowała kształcić; miłości, której piękność odkryła światu. Odwróciła się zaniepokojona, nie widząc w rysach chrześcijanina wyrazu oblicza Chrystusowego nad grobem Łazarza; nie odnajdując na twarzy chrześcijanki śladu łez Marii, stojącej pod krzyżem. „Błogosławieni, którzy płaczą”, mówi natura, a podobnie i religja.

Płaczcie więc, dajcie folgę łzom. Oto życie wasze złamane. Oto odjęta wam jest lepsza połowa waszej duszy. Oto owoce waszej miłości gasną wam w objęciu, jak kwiaty zwarzone, przez pierwsze przymrozki. Płaczcie, nie szukajcie pocieszenia. *Et noluit consolari quia non sunt*. Człowiek pocieszyć was nie może, a Bóg nie chce. Bo nie chce On takich dusz, które się prędko pocieszają, które po stracie ukochanej osoby odwracają się i usiłują zapomnieć. Owszem, płaczcie, nie zapominajcie nigdy! „Łzy — powiada św. Augustyn — świadczą o cierpieniu, świadczą o miłości. To krew serca, spływająca potokami”¹⁾. W wierze więc, nadziei i miłości ofiarujcie krew tę u stóp krzyża.

¹⁾ Testantur lacrimae dolorem; testantur amorem. Erumpunt quasi rivuli sanguinis cordis. S. August. Homil. XXVII.

II.

Dusza oświecona religją płacze więc w smutku, ale płacząc korzy się przed Stworzycielem. Mówi doń: „Tak chciałeś, Panie, tak więc jest dobrze. Rozum mój nie może tego pojąć; cała natura się wzdyga. Jeśli to być może, niech ten kielich będzie oddalony ode mnie. Wszakże, o Panie, bądź wola Twoja, a nie moja”.

Prawda, że początkowo tylko ze drżeniem wymawiamy owo: „Bądź wola Twoja”. Ale im dłużej je powtarzamy, tem głębiej wnika w nasze serce balsam pociechy. Dusza umacnia się, podnosi stopniowo; mówi sobie: Bóg jest dobry, wszystko robi przez dobroć. Potem zaczyna mówić: Bóg jest miłością; wszystko czyni przez miłość. A jeśli zbolałemu sercu trudno jeszcze zdobyć się na wyznanie tak niezachwianej wiary, mówi przynajmniej, jak pewna złamana smutkiem wdowa: „Tak, mój Boże i Panie! mam nadzieję i jestem przekonana, że wszystko, co czynisz, jest dobre”. Pierwszą więc pociechą religijną duszy jest zrozumienie nieskończonej dobroci Bożej śród mgły otaczającej nas i pod uderzającymi w nas gromami nie-szczęścia pewność Jego miłości.

Kiedy owa młoda wdowa, do której powrócimy jeszcze, upadała pod ciężarem krzyża, zacny i pobożny ksiądz Gerbet, jej duchowny przewodnik, ułożył dla jej pokrzepienia wyznanie wiary, które nazwał *Credo cierpienia*. Ułóżcie każdy swoje *Credo* cierpienia, zastosowane do krzyża, jaki dźwigacie. *Credo* wiary jest tylko jedno; cierpienie mnóstwo ich mieć może. Ale jakkolwiek je ułożycie, nie wykreślajcie z niego myśli następnych:

„Wierzę, mój Boże, że jesteś dobry; wierzę z całych sił duszy, całą mocą rozumu mojego, żeś jest samą dobrocią!

„Wierzę, mój Boże, że jesteś nie tylko dobry, czuły, łaskawy, przebaczący, miłosierny; wierzę, że jesteś samą miłością; wierzę, że wszystkie Twe myśli i czyny pochodzą z Twego serca, czerpiąc w Twojej miłości swój początek i dokończenie!

„O Boże mój! kocham ojca, matkę, braci, siostry, męża, dzieci moje; wszystkich ich kocham serdecznie, głęboko; ale wierzę, o Panie, że ty kochasz mnie stokroć więcej. Wierzę w to z całego serca!

„O Boże mój! nie chciałabym skrzywdzić mojego dziecięcia. Jakże mogłabym myśleć, że Ty chciałbyś mnie skrzywdzić. Wprawdzie je ukarałam, niekiedy nawet ude-

rzyłam. Odbierałam mu przedmioty, w których sobie podobano, zabraniałam rozrywek sprawiających mu przyjemność, nie zważając na płacz jego. Ale czyż nie czyniłam tego dla dobra jego? Tobą się świadczę, o Boże, że nigdy postępowaniem mojem nie kierowała chęć zaszkodzenia mu albo dowiedzenia mu mej nad nim władzy; wzdygam się na tę myśl samą; zawsze pragnęłam tylko jego dobra. Dla tego celu gotowa jestem cierpieć i umierać. A przecież moje serce, Panie, to tylko słaby cień Twojego! Całuję więc swój krzyż, mówiąc sobie: Zesłała mi go dobroć i miłość Boża. Nie widzę tego dzisiaj; natura moja wzdyga się ze wstrętem przed cierpieniem; ale wierzę w to mocno. Zamykam oczy i złamana, zboleła tulę się do Jego ojcowskiego serca.

„Z niecierpliwością, lecz w pokoju czekam, o Panie, wielkiego dnia światła. W ów dzień mgła się rozwieje, dowiem się, dlaczego zabrałeś mi ojca, matkę, dlaczego pozbawiłeś mnie małżonka, dlaczego z gniazdka, które usłałam dla mych piskląt, zabrałeś mi jedno, dwoje, troje. Dowiem się, dlaczego trzeba było, ażebym była niezrozumiana, zdradzona, spotwarzona może. Dowiem się, dlaczego choroba przykuła mnie na długie lata do łoża. Wszystkiego się dowiem, o Panie!... Ale wszakże już wiem wszystko! To samo słowo, które oświeca wieczność światłości, oświeca i nasze ziemskie ciemności: Bóg jest dobrocią, Bóg jest miłością; wszystko, co czyni, czyni przez dobroć, przez miłosierdzie.

„Kiedyś, o Panie, połączysz wszystkich, których tu rozdzieliłeś. Otrzesz łzy, ukoisz boleści nasze. Czekam, wierzę i kocham”¹⁾.

III.

Trzeba jednak przyznać, że są nieszczęścia, które wprowadzają w pomieszanie umysł i podkopują wiarę, tak iż wiara zdaje się najbardziej nie dopuszczać pocieszenia. Umiera nam ukochana istota, która przez całe życie nie zwróciła jednej myśli do Boga. Śmierć zabiera dziecko, młodzieńca w chwili największego rozbujania jego namiętności. Całe życie nie zapomnę jęków jednej matki na wieść o samobójstwie syna. Straszna boleść dla matki,

¹⁾ Patrz w *Récit d'une soeur, Credo cierpienia*, które ułożył ks. Gerbet. Wszystkie w niem słowa wyjęte są z Pisma świętego.

jeszcze straszniejsza dla chrześcijanki. Ale i tam religja nie zawodzi cierpiących i rzuca promień nadziei w najgrubsze ciemności, nie pozwalając nam zwątpić zupełnie.

Kto może wypowiedzieć miłosierdzie Boga nad Jego ukochanym dziećciem? Kto może wiedzieć, co zachodzi między Bogiem a duszą w cieniach ostatniej godziny, kiedy uszy człowieka są już zamknięte na wszelki głos ziemski? Kto powie, co się dzieje w chwili, kiedy dusza błąka się na ustach, jak lekkie tchnienie już nie z tej ziemi, ale jeszcze nie z Nieba, w chwili, kiedy Bóg się zbliża, ażeby duszę tę przyjąć? Czyż matka odtrąci dziecko, chociażby niewdzięczne? Czy nie spróbuje wszelkimi sposobami zwrócić go ku sobie? Czyż cofnie się przed zrobieniem pierwszego kroku? Czy nie posunie się w tem aż do przesady? Czy nie wytrwa do końca, usiłując je uratować nawet wbrew jego woli? A wszakże Bóg jest więcej, aniżeli matką.

Spójrzcie, co uczynił, ażeby zatrącić dusz uniemożliwić prawie. Niedosyć, że otoczył nas łaską, o której powiedziano, że nas uprzedza, towarzyszy nam, postępuje za nami, otacza nas i ogarnia; niedosyć, że ustanowił siedem sakramentów, siedem strumieni światła i siły dla całego naszego życia i każdego w niem okresu; nie wystarczało to widocznie dla uspokojenia Jego ojcowskiego serca, bo oto patrzcie i uwielbiajcie cudowny pomysł Jego miłości.

Jesteś na wyspie bezludnej, sam jeden; nie jesteś ochrzczony. Niema tam kapłana ani żadnego chrześcijanina, któryby ci udzielił sakramentu odrodzenia. Masz umrzeć. Byłżebyś zgubiony? Nie; czynisz z głębi serca akt pragnienia, akt miłości, i oto jesteś ochrzczony, odrodzony, zbawiony. Kto nas tego uczy? Kościół.

Jesteś chory; czujesz już nad sobą lodowaty powiew śmierci. Przypominasz sobie wszystkie swoje grzechy, słabości, występki, które sumienie wyrzuca ci teraz głośno. Kapłan, któryby wysłuchał twej spowiedzi, ofiarował ją Bogu i rozgrzeszył cię w Jego imieniu, nie przybywa. Cóż masz począć? Z głębi serca dobywasz westchnienie, łzę, akt żalu, jeden jedyny akt miłości, i oto jesteś rozgrzeszony, oczyszczony — grzechy twoje są ci odpuszczone.

Jesteś w kościele w czasie, kiedy ofiara Mszy świętej nie odprawia się, a żaden kapłan nie daje Komunii św. A jednak pragniesz i łakniesz Boga. Mówisz: *Jako spragniony jeleń wzdycha do źródła wód żywych, tak dusza*

*moja wzdycha do Ciebie Panie!*¹⁾ Czyż masz być pozbawiony szczęścia Komunii świętej? Nie; z głębi serca wysyłasz akt miłości i oto jesteś z Nim zjednoczony. Naucza Kościół, że ta Komunia pragnienia może być istotną, iż w skutkach dorównywa rzeczywistej Komunii, a nawet niekiedy ją przewyższa.

Widzimy więc, że Bóg udzielił sercu ludzkiemu mocy sakramentalnej niejako. Może ono chrzcić, rozgrzeszać, jednoczyć się z Bogiem o własnej sile; sprawia więc skutki sakramentów i zastępuje je, kiedy nie możemy ich otrzymać. Samo w sobie jest całą religią. Cóż tedy utrzymujecie niekiedy, że my potępiamy wszystkich? Sami widzicie, że nie możemy nikogo potępić. Oto umiera człowiek; bluźnił przed chwilą. Nie przyjął księdza, odtrącił krucyfiks. Był to jego ostatni czyn, ostatnie słowo, poczem zapadł w te ostatnie przedśmiertne majaczenia i ciemności, w których my nie możemy już konającemu towarzyszyć. Pomoc religii już stracona dla jego duszy. Ale pozostało mu serce. A czegoż trzeba, aby uzyskać przebaczenie i zbawienie? Proste go aktu miłości, żalu, pragnienia, jednej myśli: „Boże, kocham Cię!” Ludzie, nieświadomi prawdy, płaczą i rozpaczają dokoła tego łoża śmierci, a może tymczasem aniołowie z pieniem radości zabierają duszę do Nieba. Zbawił ją ósmy sakrament²⁾.

Człowiek odbiera sobie życie: strasza to zbrodnia. Kościół odwraca się ze zgrozą od krwawych zwłok i ma słuszość. Ale czy naucza, że ta dusza jest bez ratunku zgubiona? Bynajmniej; któż bowiem może wiedzieć, co się działo w tej zbolelej duszy w ostatniej chwili? Kto wie, co ujrzała ona przy błysku wystrzału, i jakie on jej przyniósł objawienie? Powiecie, że mało miała czasu. Cóż tu czas znaczy? Jednego wejrzenia, jednego słowa, jednego porywu uczuć dosyć, ażeby opuściła ten świat oczyszczona.

Posłuchajcie, co wam opowiem:

W jednym z klasztorów Nawiedzenia była za czasów matki Chantal pokorna i świątobliwa zakonnica, odznaczająca się niegdyś u dworu pięknnością, a następnie w zakonnym życiu nieustannymi modłami i pokutą; nazywała się Marja-Dioniza de Martignat. Miała ona raz następujące objawienie:

Księżę Karol-Amadeusz Nemours, którego znała niegdyś na dworze sabaudzkim, padł trupem, przebity szpadą

¹⁾ Psalm 41. — ²⁾ Wyrażenia powyższego nie należy brać w ścisłym znaczeniu. Przyp. tłum.

w pojedynku ze swoim szwagrem, księciem de Beaufort, co okryło żalobą całą Sabaudję. Otóż tego samego dnia, którego odbył się ten smutny pojedynek, blisko na tydzień przedtem, zanim wiadomość o tem przyszła do klasztoru, siostra Martignat padła we łzach do kolan przełożonej, mówiąc: „Wielebna matko, przychodzę ci oznajmić, że księżę Nemours pojedynekował się i został zabity na miejscu; ale nie lękaj się: w tej błyskawicznej chwili, kiedy przesyłała go szpada, zdążył wznieść duszę ku Bogu i przebłagać Jego sprawiedliwość. Jest teraz w czyszcisku, ale niestety jakże głęboko, jak głęboko! Któż go wyratuje?”

A kiedy przełożona wątpiła o zbawieniu tej duszy, siostra Martignat odparła: „Miał on wprowadzić tylko jedno mgnienie oka, ażeby współdziałać z łaską boską, ale skorzystał z niego. Nietyle też mię wzrusza stan niewymownych cierpień, w jakich ujrzałam tę duszę, ile mię przejmuje podziwem błogosławiona chwila łaski, która go zbawiła. Przedstawia się ona moim oczom jak upust nieskończonej Bożej dobroci, miłosierdzia i miłości. Schodził on ze świata w grzechu śmiertelnym, zasługującym na piekło. Drogocenna chwila łaski została mu udzielona nie z powodu jego własnego odwołania się do Boga, ale jako wynik Świętych obcowania, na skutek modłów za niego zanoszonych. Bóg wszechmocny dał się łaskawie przebłagać jakiejś pobożnej duszy, wysłuchał jej modlitwy i zawiesił zwykle prawo świętej sprawiedliwości”.

Trudno oderwać się od tej teologii, tak jest cudowna; przytoczymy więc dalsze słowa siostry: „Bóg użył wrodzonego każdemu instynktu wzywania Go w niebezpieczeństwie życia, jako swego Najwyższego Dawcy, ażeby zlać na duszę księcia działanie rozgrzeszającej łaski. Łaska Boża działa prędzej, niż możemy sobie wyobrazić — jedno mgnienie oka. A chwila, której dusza potrzebuje na akt współdziałania z łaską Bożą, nie dłuższa jest od tej, w której tę łaskę otrzymuje, co jej daje poznać z własnego doświadczenia, że jest stworzona na obraz i podobieństwo Boże.”

Od dnia tego święta zakonnica poświęciła się w zupełności umniejszeniu cierpień „swego biednego księcia”, jak go nazywała, ofiarując za niego umartwienia i modlitwy, prosząc wszystkich o modły, urządzając na nie prawdziwą kwestę. Przed śmiercią miała pociechę pewności, że dzięki jej zadośćuczynieniu dusza ta przybliżyła się nieco do przybytków wiekuistej światłości. O prawdziwości zaś tego objawienia nie powątpiewał nikt: ani spowiednik, ani biskup, ani przełożona, ani też ona sama.

O, jakże mało znamy serce Boga! Kiedy umiera człowiek, ten człowiek, którego On sam stworzył, którym opiekował się całe życie, którego karał, hamował, zachęcał i oświecał, ażeby go utrzymać na drodze dobrej, a który Go mimo to nie słuchał — wówczas podejmuje z nim ostatnią walkę, walkę miłości, walkę matki wpadającej w rozpacz, w szal prawie z gniewu i miłości, kiedy widzi, że traci dziecko. Ten Bóg dobroci zstępuje ku człowiekowi, ten zaniepokojony ojciec pochyla się nad łóżem konającego syna. Przypomina, ażeby go pozyskać, wszystko, czego użył dotychczas: światła, łaski, kary, dobrodziejstwa:

Napełniłem cię niemi, chcę cię jeszcze przytłoczyć ich ogromem.

Jeżeli chory podda się na pierwsze wezwanie, ludzie widzą zwycięstwo, i religja raduje się z nawrócenia grzesznika. Ale jeżeli się opiera i w tym stanie przechodzi w cienie przedśmiertne, walka przedłuża się poza naszą świadomością, nadzieja ratunku dlań nie jest jeszcze stracona. Kiedy już mgłą śmiertelną zachodzą oczy chorego, kiedy stygną już nogi, kiedy, by się przekonać, że jeszcze nie skonał, do jego serca trzeba przyłożyć rękę: gdyby ta ręka była wrażliwsza, odczułaby tę ostatnią walkę. Chodzi tu o jedno jedyne słowo, mniej nawet, o westchnienie, o jeden zwrot ku Bogu. Bóg z uporem miłości usiłuje je pozyskać i musi często otrzymywać jako niedorównany zapasnik.

Spytacie może, skąd to wiem, skąd wzięłem historję walk takich? Z waszego własnego serca. Jeśli jesteś ojcem, matką, czy nie takbyś postąpił? A serce Boga miałożby być od waszych serc gorsze? Miałoby On mniej czynić dla swych dzieci, niż wy dla swoich? To nie zgadza się nawet ze zdrowym rozsądkiem! I tak oto Boska nasza religja nie pozostawia bez pociechy żadnej boleści; każda koi balsamem nadziei.

IV.

Ale ostatnim wyrazem religji nie jest wiara ani nadzieja. Ostatnie jej i najwyższe słowo to — miłość. „A teraz — powiada apostoł — trwają wiara, nadzieja, miłość: to troje, a z tych większa jest miłość”.

Ukoivszy boleść drogocennym balsamem wiary i nadziei, sięgnęła ona wyżej. Wiedząc, że wszystko można

zrobić z człowiekiem, odwoławszy się do jego serca, pokuśiła się o przeistoczenie cierpienia miłością.

Spróbowała nas nauczyć kochać cierpienie. Największe to może jej dzieło na świecie owo zastosowanie miłości do cierpienia, uczynienie boleści przedmiotem umiłowania; i zmuszeni jesteśmy uznać, że jeśli to nie jest tylko nie dającym się urzeczywistnić marzeniem, jest najzupełniejszem, radykalnem i niebieskiem rozwiązaniem zagadnienia boleści.

Im więcej zastanawiam się nad tem, tem bardziej jestem zdziwiony, jak nieudolni byli ludzie po wszystkie czasy wobec tego zagadnienia. Od sześciu tysięcy lat Prometeuszowy sęp cierpienia rozdziera nam piersi, wygryza serca, a cóż uczyniono przeciw niemu? Do czego się sprowadzają wszelkie wysiłki, przeciwstawiane cierpieniu? Albo go ludzie nie uznają, co jest szaleństwem, albo usiłują je usunąć, co jest niedościgłem marzeniem; albo starają się rozerwać i zapomnieć, co dodaje boleść do boleści, grób do grobu, grzebią po raz drugi najdroższe nam istoty. I oto wszystko!

— Nie można sobie wyobrazić — mówił mi niedawno pewien zdolny inżynier, dotknięty wśród najświetniejszej kariery ciężką niemocą — jak płaskie i nędzne są słowa pociechy, któremi ludzie raczą mnie codziennie. Powiadają: „Podrózuj; jedź do Włoch, na Wschód.”

„O czemże? Nie mam trzydziestu tysięcy franków dochodu, żeby prowadzić takie życie.”

„No, to weź się do nauki, studjij fizykę, chemję; będziesz miał rozrywkę.”

„Ale mam już lat czterdzieści; praca moja w innym dotychczas szła kierunku. Nie posiadam nawet początków tych nauk. Zresztą do tego celu musiałbym mieć pracownię, narzędzia, a nie mam na nie środków.”

„No, to kup sobie mikroskop i zabawiaj się przyglądaniem owadom; to cię zajmie.”

„Dajcie wy mi spokój z temi wszystkimi pociechami! Smutno mi, cierpię; życie mi obrzydło; nie możecie mi nic ulżyć.”

— Oto wierne sprawozdanie — ciągnął dalej — z moich codziennych rozmów; oto perswazje, któremi mi głowę suszą. I któż to tak mnie pociesza? Oto ludzie zdrowi jak dęby, każdy z nich ma pięćdziesiąt tysięcy franków dochodu.

A przecież ten człowiek był dotknięty tylko upadkiem sił, niemocą, która mu przerwała karierę. Cóżby to było, gdyby był stracił ukochaną żonę lub dziecko?

Już za czasów Joba znani byli ci uciążliwi pocieszyciele, *consolatores onerosi*. I my ich znamy i możemy przewidzieć zawsze zgóry, co nam powiedzą. Nie potrafią zdołać się na nic innego jak to, cośmy teraz przytoczyli. To też wskażcie mi, kogo pocieszyli, jakie łzy otarli. Świat pełen jest ludzi, którzy mają tyle rozumu, że nie spodziewają się usunąć cierpienia, a nie mają tyle światła wiary, aby je zrozumieć, więc też chylą w milczeniu głowę pod jego ciosami i żyją w przygnębieniu i rozpacz. Pewien współczesny lekarz powiedział, że dwie trzecie ludności umiera teraz ze zgryzoty. Miałem tego sam liczne dowody. Jakżeby mogło być inaczej? Wszędzie wokoło, na prawo i na lewo, wysoko i nisko cierpienie, a pociechy żadnej; ponad nami zaś Niebo spiżowe.

I dlatego to widząc, jak religja uczy człowieka znosić cierpienie, przyjmować je z wiarą, poddaniem się, nadzieją; widząc, jak idzie dalej jeszcze, jak przywiódłszy dusze na te pierwsze stopnie, podnosi nawet najpokorniejsze na stopień najwyższy i tyle im użycza światła, że poczynają kochać boleść — twierdzą, że jest w tem ręka Boża, i kto wie, może nic nie jest większym nad to dowodem boskości religji.

Mówcie sobie dowoli, że niepodobna jest kochać cierpienia, że to przesada i egzaltacja. Ja wam oświadczam, że to są fakty, fakty stwierdzone doświadczeniem, fakty, w które obfituje żywot każdego Świętego, a nawet, chociaż w stopniu różnym, życie wszystkich, najpokorniejszych nawet chrześcijan; i dodam, że są to fakty najzupełniej zgodne z logiką.

Jakto! kochać cierpienie? Dlaczegożby nie, jeśli ono nam czyni dobrze? jeżeli trapiąc ciało, śmiertelną powłokę, rozświeca duszę naszą? jeżeli oczyszcza ją i przeobraża, jeżeli daje jej istotną wielkość i nieśmiertelną piękność! Gdyby bryła marmuru, kuta ręką Michała Anioła, mogła być rozumieć, co się z nią dzieje, czyż nie byłaby przejęta radością za każdym uderzeniem dłota, które ją przeistaczało?

A złoto, które dobywamy zanieczyszczone, pomieszane z ziemią, brzydkie na wejrzenie, gdyby było żywe, czyż nie wdychałoby do ognia, który je oczyszcza? Powiedzia-

łoby zapewne: *Mam być chrztem ochrzczone: a jakom jest ściśnion, aż się wykona?*

Takie oto są dzieje pierwszych bohaterów religji. Choćbyście szukali najusilniej, nie znajdziecie ani jednego, któryby nie kochał cierpienia; nie w niem samem i dla niego, ale dla jego skutków. Cierpienie oczyszcza i odradza; a te czyste dusze, które jęczały nad swoją podległością grzechowi, z radością przyjmowały cierpienie, uwalniające je z pod tego jarzma. Cierpieć jest upokorzeniem, i te dusze pokorne radowały się na myśl, że będą kiedyś rozciągnięte na łożu boleści, że twarz ich straci cały blask i piękność, a rysy kształtność, że ciało ich ulegnie największemu z upokorzeń. Cierpienie, śmierć — to rozdział ze wszystkimi rzeczami stworzonymi, zniweczenie wszystkich marzeń, złudzeń, wszystkich grzechów; to koniec czasu, a początek wieczności; rozdarcie zasłony, która Boga przed nami ukrywa. Jakże Święci, żyjący w Nim tylko i dla Niego, nie mieliby być przejęci radością? Jakże nie mieliby witać w cierpieniu zbawcy, śmierci oswobodzicielki? Jakże nie mieliby wołać: *Cupio dissolvi et esse cum Christo!*

Tak działa religja na swoich wyznawców. Opromienia cierpienie takim światłem, że muszą je pokochać; rozkoszują się niem; w niem dopiero żyją. Spoglądają na krzyż z miłością, mówiąc mu: *O bona crux! crux amata!*

Prawda, że mówię tu tylko o cierpieniu fizycznym, które udręcza nasze ciało, obezwładnia członki. O takim tylko mówię, że religja skłania nas do jego umiłowania. Ale czyż już i to nie jest cudownym skutkiem wobec tego, że wy, ludzie, z całą swoją mądrością tego świata nie potraficie wlać we mnie rezygnacji, miłości dla cierpienia, choćby nawet zrozumienia, że można je kochać?

Nie wiem, czy mogę ośmielić się mówić o umiłowaniu cierpienia, kiedy chodzi o ból moralny, o straty serca, o rozłąkę z ukochanymi. Boję się, ażebym tem przypuszczaniem nie znieważył natury ludzkiej. A jednak uczucie to, według nas nieprawdopodobne, odnajduję w duszy kobiety, która cierpiała bez miary; a ponieważ prowadzi to do jądra zajmującej nas kwestji, czytelnicy wybaczą, że na większą chwałę Boga i religji opowiem pokrótce, jak w niej najstraszniejsza z boleści została ukojona i niemal przeobrażona w szczęście.

V.

Nie wiem, czy jest coś bardziej wzruszającego we współczesnej literaturze poufnej, jak *Opowiadanie siostry*¹⁾.

Dwoje młodych spotyka się w Rzymie. Poznają się i unoszą w dalszą drogę: on nagle rozbudzoną miłość, ona zaród uczucia, które miało się rozwinąć i w krótkim czasie stać się szczytnem. Posłuchajcie zwierzeń jego albo lepiej słów ich obojga, bo jedne warte drugich, a ręka przyjazna połączyła je bez ich wiedzy w tem samym opowiadaniu. Jaka siła uczucia i zarazem jaka czystość! Ile miłości, a przytem ile wiary! Nigdy chyba dwa kochające serca nie złożyły z większą ufnością w ręce Boga łączącego je węzła.

„Przysięgam ci, pisze Albert: że kiedy jestem przy Tobie, to, co czuję, zdaje mi się być zapowiedzią przyszłego życia. Jakżeby uczucia tego rodzaju nie miały istnieć poza grobem? Nie wierzę, aby można było kochać niewinnie i głęboko, Ciebie kochać jednym słowem, a nie być przejętym religią i wiarą w nieśmiertelność”²⁾.

A Aleksandra te kreśli słowa: „Mama zaprosiła księcia Łopuchina na taras. Poszłam za nimi, starając się iść jak najpowolniej, bo myślałam sobie: może on zaraz nadejdzie. Tak się też stało. Z radości, że go widzę, nie mogłam wymówić słowa. Ponieważ jednak to milczenie mówiło więcej, niż chciałam, o ile sobie przypominam, odezwałam się pierwsza. I cały ten wieczór taka byłam szczęśliwa! O mój Boże! Ty który jesteś samą miłością! Czyż ta miłość, która sprawia, że nie widzi się żadnej niedoskonałości w ukochanej osobie, ten zachwyt, ta radość bez granic, nie są przedsmakiem tego uczucia, jakim pozwolisz nam kiedyś ukochać naszych najdroższych na wieki?”³⁾.

I trochę dalej: „Większą część wieczorów spędzaliśmy na górnym tarasie. Czarowne to było. Dwie zatoki, wybrzeże, Wezuwusz wyrzucający ogniste strumienie, niebo roziskrzane gwiazdami, powietrze balsamiczne, a przy tem wszystkim miłość, miłość z Imieniem Bożem na ustach i w sercu!”

¹⁾ M-me Craven, née de la Ferronnays, *Récit d'une soeur*. —

²⁾ Ibid., t. I, str. 49. — ³⁾ Ibid., str. 54.

Albert zaś pisał: „Chciałbym powstrzymać czas w biegu. Każdy upływający dzień jest tak piękny. Nigdy nie rozumiałem nieszczęścia lepiej niż teraz, kiedy mam duszę upojoną szczęściem. Czyż podobna, aby kwiat tak piękny miał zwiędnąć? Nie, musi on trwać zawsze! takie szczęście musi przeżyć grób; tak więc już tu na ziemi mam początek nieba!”¹⁾

I znowu w tym dwuśpiwiew harmonijnym odzywa się głos kobiety: „Raz wieczorem w Castellamare przypatrzyliśmy się z balkonu zachodowi słońca. Mamy nie było w pokoju. Byliśmy jakgdyby sami na świecie, z Bogiem tylko. Albert wpatrzony z zachwytem w słońce, mówił mi: Ach, gdybyśmy mogli pójść za niem! Podziwiałam jego zapał, ale go nie odczuwałam w tym samym stopniu. Myślałam więcej o nim — on więcej o niebie. Ja przez niego uwielbiałam niebo; on wznosił się tam o własnej sile. Po takiej jak ta chwili cały wieczór był dla mnie jakby uświęcony. Z jakimże spokojnem uczuciem szczęścia szłam się ubierać, aby ukazać się trochę ładniejszą oczom tego, który mnie czynił lepszą!”²⁾

Wszystko jest w tym samym tonie i trzebaby przytać chyba wszystko. Nigdy nad życiem dwojga młodych nie świeciła jaśniejsza jutrenka: „Szliśmy z nim i jego siostrami koło Villa Réale. Rodzice ich zamykali pochód. Stanowiliśmy już jakby jedną rodzinę. Oświecał nas wspaniale piękny księżyc i gwiazdy; patrzyliśmy w nie, uwielbiając Boga, przejęci uczuciem miłości i przyjaźni jedni dla drugich”³⁾.

I z tego rajskiego szczęścia wtrącenie zostali po jednastu zaledwie dniach małżeńskiego pożycia w dręczący niepokój, który po czterech latach zakończył się najstraszniejszą boleścią. Ale religja, która opromieniła ich szczęście, nie zawiodła ich w godzinie niedoli. W cierpieniu zjednoczyła ich jeszcze ściślej i trwalej. W tej samej chwili, kiedy on przez śmierć świętą przechodził do prawdziwego żywota, ona, urodzona w błędach, aktem wolnej i czystej woli przechodziła na łono prawdziwej wiary; jej pierwsza Komunja zesłała się z jego ostatnią; i jedna Hostja, rozdzielona na dwoje, złączyła ich w Bogu na wieki. W tydzień potem pisała osierocona: „Nie rozdzielaj, Panie, tego, coś złączył. Wybacz mi zuchwalstwo, że ośmielę się zawołać: Pomnij, żeśmy zawsze pamiętali o Tobie!”

¹⁾ Ibid., str. 69. — ²⁾ Ibid., str. 81. — ³⁾ Ibid., str. 89.

Pomnij, że nie napisaliśmy do siebie listu, żeby nie wymienić Twego Imienia i nie wezwać błogosławieństwa. Pomnij, że wiele modłów zanosiliśmy do Ciebie pospół. Pomnij, żeśmy zawsze pragnęli, aby nasza miłość była wieczna¹⁾).

I tak religja podtrzymywała ją aż do końca. A jakkolwiek szczytna była jej rola w tej miłości i tej boleści, w tem złączeniu dwóch dusz i ich rozłące: szczytniejszą może jeszcze w niesieniu pociechy osamotnionej. Religja nie dała jej ani umrzeć z boleści, ani boleści umrzeć w niej. Ustrzegła ją od tego wielkiego nieszczęścia, którem jest zapomnienie, oszaleńczenie się, szukanie nazewną próżnej i niezaszczytnej pociechy. Otoczyła w jej oczach zmarłego małżonka aureolą, wskutek czego jej związek z nim stał się odtąd ściślej niż był za życia. A ponieważ tem, nad czem cierpiała najbardziej, było rozłączenie się z ukochanym: znalazła ukojenie, odzyskując go w nowej, nieśmiertelnej miłości. Wkrótce na dawne życie zaczęła zapatrywać się, jak na słaby przeblask jutrenki, na nieudolną zapowiedź przyszłego połączenia.

„Pomyśl sobie — mówiła raz do jednej z sióstr zmarłego męża — że wszystko, co nam jest miłe tu na ziemi, jest tylko cieniem, złudzeniem tego, co jest rzeczywistością w niebie. A czyż nie najmiłszą na ziemi rzeczą jest kochać? Nietrudno więc pojąć, że kochać samą Miłość jest to szczyt szczęścia; dlatego też największem szczęściem jest kochać Chrystusa, byleśmy tylko umieli tak Go kochać, jak miłujemy tutaj drogie nam osoby. Nie byłabym się nigdy pocieszyła, gdybym nie dowiedziała się, że można taką miłością kochać Boga, i że ta miłość będzie trwała wiecznie.”

A kiedy siostra rzekła: „Jesteś bardzo szczęśliwa, że możesz tak kochać Boga!” — odparła: „Jakżeby mogła Go nie kochać! Jakżeby mogła myśleć o Nim bez zachwyty i wdzięczności, i jakaż w tem moja zasługa, choćby tylko wiary, kiedy po mojem szczęściu ziemskim, tak upragnionem, posiadanem w takim upojeniu, a utraconem w tak bezdennej rozpacz, dusza moja tak jest dziś przemieniona i szczęśliwa, że wobec tego niczem zupełnie jest wszystko, czego zaznałam lub co mogłam sobie wyobrazić...”

¹⁾ Ibid., str. 430.

Zdziwiona temi słowami siostra spytała: „A gdyby ofiarowano ci takie życie z Albertem, o jakim marzyłaś dawniej, i to na długie lata?” — „Nie przyjąłabym go!”¹⁾ — odpowiedziała bez wahania.

Innym znowu razem, kiedy ta sama siostra, widząc ją krzątającą się swobodnie w tym samym pokoju, gdzie tyle przecierpiała, napomknęła o bolesnej przeszłości, odpowiedziała jej słowami zdumiewającymi dla tych, którzy znali jej głęboką i niezmienną miłość dla zmarłego: „Prawda, były to ciężkie, straszliwe i smutne czasy, ale dziś, za łaską Boga, wesoło opłakuję mego Alberta”²⁾).

Wesoło opłakuję! Oto prawdziwie Boskie słowo. Podźwignąć ciężko zboląłą duszę z najgłębszej rozpacz; wznieść ją łagodnie i stopniowo do dobrowolnego poddania się cierpieniu, a od poddania się do ukojenia serca w nadziemskiej nadziei, potem zaś aż do radości, i to radości bez zapomnienia o drogiej istocie, a raczej do radości wzrastającej wciąż w miłości — i wszystko to bez zadania gwałtu naturze ludzkiej, bez nagłego powstrzymania łez, bez znieważenia w nas uczucia — oto największy triumf. Ale święcić taki triumf może tylko religja, i tylko jedna religja Chrystusowa go święci.

VI.

Nie chciałem tu wymawiać imienia Chrystusowego. Nie chodzi mi jeszcze bowiem o religję objawioną, o chrześcijaństwo; mówię tu tylko o religji w ogólności. Ale chrześcijaństwo jest do tego stopnia religją w całym znaczeniu tego słowa, religją powszechną i wiekiustą, religją serc ludzkich i serca Bożego, że kiedy się mówi o religji, dochodzi się z konieczności do chrześcijaństwa, a tem bardziej wtedy, kiedy się mówi o cierpieniu i o tem, co je łagodzi.

Rzecz dziwna! wszystkie religje wielbiły szczęście; jedno tylko chrześcijaństwo otoczyło czcią cierpienie. Bóstwa pogańskie przedstawiały się ludzkości uwieńczone kwiatami, otoczone amorkami, śmieszkami: to też pytam siebie, co one miały do powiedzenia nędzarzowi na jego barłogu, niewolnikowi w jego więzieniu, wdowie, sierocie, wszystkim tym, którzy tu na ziemi cierpią i płaczą. Taki

¹⁾ *Récit d'une soeur*, t. II, str. 405. — ²⁾ Ibid., str. 409.

przewrót w pojęciach musiała sprawić religia, która powiedziała: „Patrzcie, oto Bóg prawdziwy. Wisi na szubienicy, ręce i nogi ma przebite, czoło uwieńczone cierniem, serce przebite włócznią; ciało Jego nie ma innej purpury nad purpurę krwi Jego własnej. Dawne bóstwa były to bóstwa rozkoszy. Precz z nimi! Ludzkość ich nie potrzebuje. Oto prawdziwy Bóg, to Bóg boleści!”

Słyszając tę dziwną mowę, zdumiona ludzkość patrzy, nie wie z początku, sen li to, czy jawa? „Jakto, powiada, jeśli to jest Bóg prawdziwy, jak mógł cierpieć? jak mógł umrzeć? Dlaczego nie spiorunował katów? Dlaczego poddał się cierpieniu? Nie przez bezsilność, bo jest Bogiem. Nie z musu, bo jest Bogiem. Z miłości zatem. Cierpiał więc z miłości dla ludzi!”

Zachwyciło to ludzkie serca. I nie przestaje ich utrzymywać w tym zachwycie.

Sofiści podnieśli zarzuty; utrzymywali, że to rzecz niemożliwa i niewłaściwa. Bóg nie mógł cierpieć i umierać za człowieka. Ale matka, tuląca dziecko do łona, wejrząwszy na krzyż, odparła: „Cóż w tem nieprawdopodobnego? Dla nakarmienia mego dziecka daję mleko moich piersi; dla ocalenia go oddałabym całą krew swoją.” A młodzieniec w czystym szczęściu pierwszej miłości i dziewica, której przyświeca ideał poświęcenia, wejrząwszy na krzyż, odparli sofistom: „Jak możecie dziwić się upokorzeniu i cierpieniom Chrystusa? Chyba nie kochaliście nigdy. My nie cofnęlibyśmy się przed poniżeniem i śmiercią dla dowiedzenia naszej miłości.” Osiemnaście już stuleci ludzkość odpiera zarzuty sofistów tym okrzykiem serca. Miłością odpowiada na miłość.

A ludzkość cała, wejrząwszy na krzyż Mistrza, uczuła ulgę w niesieniu swoich krzyżów. Katowany niewolnik pomyślał sobie: „On cierpiał biczowanie”. Nędzarz, cierpiący głód, powiedział: „On pragnał, a dano Mu żółć i ocet tylko.” Król, nie na tronie, ale na rusztowaniu, na wspomnienie, że i On był wiązany, wyciągnął ręce do katów, tłumiąc głos oburzenia krwi pokoleń królewskich. Genjusz w chwili śmierci kazał sobie podać krucyfiks, a na zrobiającą uwagę, że nie może już do niego przemawiać, odparł: „Prawda, ale mogę nań patrzeć.”

Nawet niedowiarek, ujrząwszy krucyfiks w chwili, kiedy w szale zazdrości i gniewu miał zamordować śpiącą, którą podejrzewał o niewierność, uspokoił się, rzucił nóż i, całując na kłęczkach Ukrzyżowanego, wyrzekł: „Prze-

bacz mi, Jezu! Urodziłem się w wieku niewiary i mam dużo do odpokutowania. Biedny Synu Boży, zapominany przez ludzi, nie nauczono mnie kochać Ciebie. Nie szukałem Ciebie nigdy w świątyniach, ale dzięki Bogu, muszę jeszcze zadrzeć, znajdując Cię w takiej chwili. Pomnij, że był nieszczęśliwy, który nie odważył się umrzeć ze swojej boleści, widząc Ciebie przybitego do krzyża! Wybawiłeś od grzechu bezbożnika; pocieszyłbyś go, gdyby wierzył w Ciebie.”

Niejeden pseudomędrzec utrzymuje, że to wszystko nie trafia mu do przekonania, że cudze cierpienia nie zmniejszyły jego własnych, że słaba to dla niego pociecha wiedzieć, iż Chrystus więcej wycierpiał. Żałuję mocno takich i mogę im odpowiedzieć tylko przytoczeniem dalszego ciągu tej modlitwy pod krzyżem

Najwerniejszego dziecka wieku niewiary.

Oto ona: „Wybacz tym, którzy Ci bluźnią! Nie oglądali snąć Ciebie, gdy byli zrozpaczeni! Wybacz, Jezu, szczęśliwym tego świata, którym się zdaje, że nie będą nigdy potrzebowali Ciebie! Przebacz im, pycha ich znieważa Ciebie, ale prędzej czy później omyje ich chrzest łez; miej więc litość nad nimi. Dosyć są oni nieszczęśliwi, że sądzą się być bezpieczni od burz wszelkich i że do nawrócenia potrzeba im surowej szkoły niedoli. Nasza mądrość i niedowiarstwo — to grzechotki w rękę starych dzieci; przebacz nam, że mamy się za niewierzących, Ty, któryś się uśmiechał na Kalwarji. Ze wszystkich naszych nędz doczesnych najgorszą jest ta, że staramy się zapomnieć o Tobie. Ale Ty wiesz, że to wszystko jest złudzeniem, które rozwiewa jedno Twoje wejrzenie. Wszakże sam byłeś człowiekiem! Bogiem uczyniło Ciebie cierpienie; narzędzie męki podniosło Cię ku niebu i przeniosło na łono Ojca pełnego chwały; i nas także ono wiedzie do Ciebie, jak Ciebie zawiodło na łono Ojca; dopiero uwieńczeni cierpieniem upadamy na twarz przed Twym wizerunkiem; tylko skrwawionemi rękoma obejmujemy Twe przebite nogi. Poniosłeś męczeństwo, ażeby Cię „kochali nieszczęśliwi.”

„Wszakże sam byłeś człowiekiem! Bogiem uczyniło Cię cierpienie!” Jedyny to dysonans w tym pięknym okrzyku. Powinien był powiedzieć: „Byłeś człowiekiem i Bogiem, i jako człowiek i jako Bóg bosko piękny; ale cierpienie podniosło jeszcze tę piękność. Gdyby tego było po-

trzeba, cierpienie namaściłoby Cię powtórnie na króla ludzkości."

Ujrzymy dalej tę królewską piękność Syna człowieka; ujrzymy ją, jak się będzie wznosiła w miarę boleści, jak za zbliżeniem się śmierci wyraz jego Boskiego oblicza stawać się będzie coraz słodszy, tkliwszy, cieplejszy i bardziej pociągający. Jakże pięknym jest Jezus w świetle boleści! Naśladujmy Go; udoskonalajmy się cierpieniem.

On powiedział: „Nikt duszy nie bierze ode mnie, ale ja kładę ją sam od siebie". Naśladujmy Go. Cierpmy i umieramy nie z musu, jako niewolnicy, ale z wolnej woli, z własnego wyboru. A którzy ujrzą nas na łożu śmierci, niech wyrzeką tak, jak o Nim: „Ofiarowan jest, iż sam chciał."

On powiedział: „Większej nad tę miłości żaden nie ma: aby kto duszę swą położył za przyjaciół swoje". Naśladujmy Go, mówiąc i czyniąc tak samo. Niech nasze cierpienia, choroby, śmierć będą nie tylko aktem wolnej woli, ale i aktem miłości. Nie umieramy ani z wyczerpania, ani ze starości, ani z choroby; umieramy z miłości. Niech nasze życie idzie na pożytek naszym dzieciom, rodzicom, przyjaciołom, krajowi, ludzkości, Bogu, a tem, co je wytoczy po kropki, niech będzie miłość!

On powiedział: „Umieram za wasze grzechy, za grzechy ludzkości. Na jednej szali gromadzą się nieprawości ludzkie; na drugiej dla zrównoważenia kładę krew swoją." Naśladujmy Go; połączmy tam także naszą. Uczmy się u stóp krzyża, że ponad wszystkie zasługi wyżej wspomniane, ponad zasługę śmierci w ofierze miłości — większą zasługą jest umrzeć za odkupienie innych, cierpieć na wzór Chrystusa, dokładając swoją krew na szalę przeznaczeń świata!

Oto, co uznała ludzkość, oto, jakich dosięgnęła wyżyn idąc śladem Ukrzyżowanego. Niedosyć już jej było przyjąć i ukochać cierpienie; pożądała go, nie mogła się go doczekać. Chrześcijanie i chrześcijanki biczowali swe ciało, wytaczali krew swoją dobrowolnie. W nocy, gdzie wszystko jest pogrążone w spoczynku, na wspomnienie, że Jezus był biczowany, wstawali, aby na swoich obnażonych ramionach ryc krwawe stygmaty pokuty. I cóż tu wobec tego mówić o pocieszce w cierpieniu, kiedy go oni pragną na wzór Zbawiciela, wdychając do niego; kiedy im go nigdy niedosyć; kiedy dusze trawione są dziwnem pożada-

niem boleści. Powiecie, że to szaleństwo — niech i tak będzie, ale nie możecie zaprzeczyć jego rzeczywistości. A jeżeli wszystkie ludzkie usiłowania były wobec tego ponurego zagadnienia bezsilne, jakże nie uwielbiać religii, która sama jedna potrafiła nie tylko wzbudzić poddanie się cierpieniu, ale ukochanie jego w duszach nawet maluczkich, a w duszach bohaterskich potrafiła sprawić ten cud, że pragną cierpienia, szukają go, że są przejęte szczęściem wpośród bólu pokuty.

O Chryste pocieszycielu, kiedy już wymówiłem Twoje imię, nie będę wzbraniał sercu wznieść się do Ciebie. Nie szukałem Cię jeszcze, a oto już Cię znajduję! Poznaję Cię po tem, że wszystkie łzy osychają u stóp Twoich, wszystkie cierpienia są ukojone i pocieszone Twym Boskiem dotknięciem.

Mój Boże! Czyż może być większy dowód Twojej rzeczywistej pośród nas obecności, niż to, że uczymy się kochać cierpienie? że biedne ludzkie istoty, uwieńczone cierniem, o zbolących członkach i złamanem sercu, przepełnione są radością i szczęściem wśród swoich doświadczeń? *Nader obfituje weselem w każdym utrapieniu mojem.*

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Nieśmiertelność i połączenie wiekuiste. Miłość poza grobem.

Streśćmy to, cośmy powiedzieli w poprzednich rozdziałach. W cierpieniu kryje się zarazem tajemnica i potrzeba.

Tajemnica dla rozumu: poco istnieje cierpienie?

Potrzeba serca: jak mu ulżyć?

Wszystko jest bezsilne wobec tej tajemnicy i tej potrzeby — wszystko, oprócz religii. Filozofja uznaje swoją niemoc; lepiej jeszcze uznają ją sami cierpiący. Jedna religja coś tu może. W jej świetle straszliwe widmo przestaje nas przerażać. Nie tyran to już ani wróg — owszem, pomocnik o nadziemskiej mocy. Oświeca, oczyszcza, uszlachetnia; umacnia cnotę; przetrwawia swym ogniem serce, czyniąc je godnem Boga. Strwożona niem dusza zbliża się doń, przypatruje mu się, styka się z niem, przyjmuje jego ciosy, naprzód z poddaniem się, wkońcu z miłością — a nawet kiedy jest wyjątkowo dzielna — z upragnieniem. I zamiast ratować się ucieczką, zamykać oczy, cierpieć ze wstrętem i bez zasługi — przyjmuje je dobrowolnie, chętnie, i przeistacza się w niem przez miłość. Jest to pierwsze zwycięstwo religji, ale bynajmniej nie ostatnie.

Religja, która wie, skąd się bierze cierpienie i dlaczego bywa na nas zsyłane, wie także, jak się kończy, i mówi to tak dokładnie i stanowczo, że pociesza nas ostatecznie. Wie ona, że to życie jest początkiem tylko, zna jego koniec i cel. Wie i twierdzi stanowczo, że żaden szlachetny poryw naszej duszy nie będzie zawiedziony, że poza grobem znajdziemy światło nieskończone, miłość bez granic, wiekuiste a szczęśliwe życie. Śmierć to tylko ciemny tunel, poza którym odnajdziemy światło daleko piękniejsze.

Tak, religja upewnia nas o nieśmiertelności, to jest o zupełnem nasyceniu duszy, o wiekuistym połączeniu,

o miłości poza grobem. I tem pociesza ostatecznie nie-
szczęśliwych.

Zatrzymajmy się nieco, o duszo moja, na tych samotnych wyżynach! Dobrze tu jest. Ziemia wydaje się stąd maluczką, ale niebo rozciąga się w całym blasku. Życie jest jak stroma góra Righi w Szwajcarji. Wchodzi się na nią w pocie czoła, ale skoro już raz jesteśmy na wierzchołku, spostrzegamy nad sobą niebo, u stóp zaś niezmierzony krajobraz alpejski.

I.

Są dusze tak szczęśliwe, że uważają śmierć za największy dowód nieśmiertelności. U grobu ukochanych są do tego stopnia przejęte uczuciem wiary w nieśmiertelność i pełne nadziei, że wołają z poetą:

Czyż u grobu można wątpić?

Szczęśne to dusze! Każda nowa strata rozświetla im niebo. Koniec ich życia jest pełen otuchy; wiedzą, że lepsza częśćka ich samych wyprzedziła ich w drodze do nieba, i że się tam niebawem połączą.

Ale są inne biedne bardzo i godne litości, na które śmierć wywiera przeciwne działanie. Smutek przysłania w ich sercu nadzieję nieśmiertelności. Ogarnia ich noc; serce przeszywa bolesne zwątpienie, że może to już koniec. Ciężka to próba, a źródłem jej ogrom ich miłości: gdyby mniej kochały, nie byłyby zwątpiły.

Otóż tutaj właśnie religja okazuje swą wzniosłość. Uspokaja zatrwożoną duszę, uchyla przed nią tajemniczą zasłonę i pozwala jej przebić wzrokiem pełnym nadziei pomrokę grobu. Dopomaga jej odnaleźć pewność, drżmiącą w głębi jej własnej istoty. Bo nie na kamieniu ani na pergaminie wyrył Bóg dogmat nieśmiertelności; złożył go w wywodach rozumu i w przeczuciach serca. Chciał, abyśmy nie mogli go odrzucić bez zaprzeczenia sobie samym.

Dusza jest, a zatem i będzie. To najprostszy, a zarazem niezłomny argument, który Bóg wyrył w sercu ludzkim. Niema nań odpowiedzi. A dowód, że kiedy kto nie chce duszy w przyszłości, zaprzecza jej w czasie obecnym. Ale jak tego dopiąć? Trzeba być bardzo sprytnym, aby

potrafić sobie wmówić, że się nie ma duszy. Nie każdy zdobędzie się na to. I jak ów chory, gdy starano się wmówić, że tylko ten umiera, kto chce śmierci, odpowiedział: „Lękam się, ażebym się nie zapomniał” — ogromna większość ludzi za każdym zapomnieniem się przekonywa się ze zdziwieniem, że ma jeszcze wiarę w swoją duszę.

I nie tylko że dusza jest, ale chce być; chce być coraz bardziej. Więcej światła — woła — więcej miłości, więcej życia! Jest to wołanie dusz wszystkich. I toby się miało skończyć nicością! Ten głód i pragnienie, stanowiące istotę duszy, miałyby być niepotrzebne, bez celu i przyczyny, przeciwne zdrowemu rozsądkowi? miałyby być wiekuistym szyderstwem? Pragniesz wiekuistej światłości: będziesz miał wiekuiste ciemności! Łakniesz i pragniesz życia: śmierć i nicość dane ci będą! Mówisz: „Zawsze!” Odpowiedzą ci: „Nigdy!” Ależ to niedorzeczność!

„Koniec — głupie słowo! — pisał niegdyś Goethe. — Dlaczego koniec? Koniec i nic — to słowa jednoznaczne.” Jeżeli wszystko, co stworzone, ma zginąć, pocóż w takim razie chwalebne dzieło stworzenia? Nie, to, co jest, nie może mieć końca, tylko odrodzenie.

Zresztą, to wzrastające życie jest nie tylko potrzebą, ale i rzeczywistością. Niektóre dusze potężnieją, wzrastają istotnie. W jaki zaś sposób zachodzi w nich ten postęp? Oto siła cierpienia i miłości. A więc cierpienie i miłość naprawdę istnieją! Oczyszczają duszę, dają jej wielkość; dają jej niezaprzeczoną piękność. I pocóż to wszystko, jeżeli niema nieśmiertelności? Marzenia moje rozwiąły się; ukochani pomarli; wszystkie pragnienia pozostały nieziszczone; pocieszała mnie jedynie ta myśl, że przynajmniej zostało mi dzięki cierpieniu serce oczyszczone, większe, piękniejsze i godniejsze oczekującego mnie Boga, w którym odnajduję wszystko, com był stracił. A wy mi powiadacie, że to serce z całą moją istotą ulegnie nicości!

Oto od lat dwudziestu, trzydziestu pracuję nad oczyszczeniem, uszlachetnieniem swego serca; usiłuję oderwać je od wszelkich rzeczy niskich, próżnych i znikomych; a kiedy właśnie zaczynam odnosić owoce tego trudu, śmierć ma je zabrać i obrócić wniwecz! Nie, to niepodobna! Z całym przeświadczeniem twierdzę, że się mylicie. Nie dla śmierci wzrastają dusze, nie dla nicości zdołają się cnotami!

A jeżeli nadzieja nieśmiertelności tak żywo we mnie przemawia przy każdym wejściu w głąb serca, gdzie

znajduję cierpienie, miłość, cnotę, cóż dopiero, kiedy wznosząc oczy ku niebu, wspomnę o Bogu!

Bo o tem, że On jest, nie wątpiłem nigdy. Żadna burza młodości nie przyćmiła mi czoła zwątpieniem, a przynajmniej żadna nie zostawiła trwalszych śladów. Każdy smutek mówił mi Jego imię, każda zmarszczka dowodziła mi Jego wielkości. Zbielałe włosy i rozwiane marzenia są mi najlepszą ewangelją, nie dopuszczają zwątpienia.

Bóg zatem jest; On jest stwórcą, ojcem, kocha dusze, stworzył je przez miłość, bo dla czegoż innego by to uczynił? Przez wiele lat zrzędu błogosławił im, otaczał je opieką, żywił, a potem miałby je naraz odrzucić w nicość i nie wspomnieć więcej o nich! Miłość Jego miałaby być mniejsza, niż miłość tej matki, którą Pismo święte chwali, że nie chciała być pocieszona, gdyż niema już jej dzieci! *Quia non sunt!*

I niedość na tem; jeśli na słońcu i nieprzeliczonych światach w przestworzu żywe istoty modlą się, cierpią i kochają, miałyby również unicestwiać ich dusze, skoro dojdą do doskonałości!

Wszystkie te z tchnienia Jego serca zrodzone dzieci miałyby być przez Niego samego i na zawsze unicestwione? A On miałby przez resztę wieczności cieszyć się szczęściem, że już nie ma dzieci, czuwać nad pustymi cmentarzami, jak grabarz bez zajęcia! Jakiegoż to Boga wyobrażacie sobie!

A jeśli powiecie, że będzie nadal bezustanku tworzył, za jakiegoż mistrza Go macie, kiedy ostatecznie tworzyłby tylko nato, żeby niszczyć! Wielkie dzieło Boga miałyby więc mieć tylko zaczątki, próby, zarysy, nic zupełnego i skończonego! Byłby to koncert z samych przygrywek, dramat, przerywany gwałtownie i kończący się okropnością! To być nie może. *Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących.*

Tak. *Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących.* Wierzę w to niezachwianie. *Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu mojem.* W Nim znajdę wszystko, czego szukam. Tak długo szukałem czystego, nieprzyćmionego niczem światła i nie znalazłem go! Zgłębiłem wszystkie zagadnienia i nie rozwiązałem żadnego; mając lat sześćdziesiąt, większą otoczony jestem ciemnością niż lat temu czterdzieści, bo wiem, że człowiek nic nie wie; ale nie tracę odwagi, łaknę zawsze wiedzy i z radością witam ziemię, która mnie nasyci. *Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja.*

Szukałem miłości i nie znalazłem jej również. Mówię tu nie tylko o miłości stworzeń. Ach, co do niej, to była ona oczywiście tylko początkiem i zarysem. Zaledwie przytknąłem usta do czary, a już mi ją odebrano. O Bożej miłości. Ileż jej skosztowałem? A jednakże ileż pragnień wre we mnie! ale i jakież cienie stoją przede mną! A jaka odległość między Nim a mną! jaka między nami zasłona! Zasłona ta musi się rozedrzeć! Nie będę omackiem szukał Boga mojego, jak ślepiec albo jak człowiek w ciemnościach. Ujrzę Go na własne oczy. A widząc Go, będę się nasycił miłością wiekiustą: *Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja.*

Pragnąłem życia. W ciągu lat kilku czułem, jak się wzmagalo we mnie. Rosłem, wzmacniałem się. Potem ustało to nagle; doszedłem do szczytu; zatrzymujemy się na nim tak krótko, schodzimy zeń śpiesznie do grobu. I oto czułem, że mi zaczęło ubywać życia, jak ubywa oliwy w niepodsyconej lampie. Teraz oto jestem słaby, złamany, pochylony ku ziemi. Czyżby to miał być koniec? O, nie! *Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących.* Znajdę w Nim życie, o jakim marzyłem, życie nieskończone, wieczne. *Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja.*

Takimi oto myślami religja podtrzymuje dusze, umacnia je i podnosi; w taki to sposób pomaga im przebyć samotną drogę starości i kołysze je łagodnie do snu śmierci. W miarę jak zstępują w cień, powstaje nad nimi wielka światłość. Kiedy chrześcijanin nie spostrzega już ziemi, religja staje u jego wezgłowia i ukazuje mu niebo. Uprzedza go miłościwie o jego ostatniej godzinie. Dotyka jego strudzonych życiem członków, ażeby je przygotować do walki ostatniej, i z boską powagą do słów pociechy i nadziei dodaje pobudki żalu. A kiedy przypomnienie grzechów uczyniło go pokornym, cierpliwym, uległym woli Bożej, ona daje mu siłę, wkładając w jego ręce wizerunek Boga, który za nas cierpiał i umarł. Tak uzbrojonego wiedzie na spotkanie śmierci, uczy go witać ją jako oswobodzicielkę. Chwila jeszcze, a będą ziszczone wszystkie sny jego. Będzie się napawał u niewyczerpanych źródeł światła i miłości. Oto, co mówi religja tej niespokojnej duszy, która tyle pragnęła, tyle cierpiała, a tak mało posiadała. Umierający czuje już przedsmak wieczności. Zaczyna przed nim świtać jutrzienka dnia niezachodzącego; czoło jego ma już jakgdyby jej odbłask. Tchnienie nieśmiertel-

ności unosi się nad posłaniem, gdzie kona w pokoju. I kiedy oczy kochających szukają go jeszcze na ziemi, on już uleciał do nieba.

II.

Ale jakkolwiek wysoka jest ta pociecha i nadzieja, dawana przez religję umierającym i sierotom, nie mogła ona wystarczyć. Zbyt jest boska, za mało ludzka. Niedosyć bierze w rachubę to serce z ciała, które Bóg nam dał i które chce mieć też nieśmiertelnem. Do tego więc pierwszego słowa religja dodaje drugie, niemniej piękne.

W tej ziemi błogosławionej, ku której dążę, znajdę nie tylko mego Boga. *Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących.* Tak jest, znajdę Go otoczonego wszystkimi, którzy żyją: *Bo nie jest Bóg Bogiem umarłych, ale żywych.* Jeżeli żyje ja, dlaczegożby nie mieli żyć wszyscy moi? Jeżeli moja wzrastająca wiara, miłość i piękność ducha zwyciężyły nic, dlaczegożby oni również zwyciężyć jej nie mieli? Jeżeli ja zachowam własny rozum, sumienie, swobodę, oraz odrębną osobowość, oni także będą mieli swoją. Poznam ich. Dokończę życia, przyjaźni, miłości, ojcostwa, które zaledwie rozpocząłem. Wzmogę je. Jako syn cofnę się wstecz długiego szeregu mych przodków; poznam ich wszystkich. Jako ojciec, ujrzę cały szereg mego potomstwa aż do czasu, kiedy moja krew wygaśnie z woli Bożej lub z mojej własnej winy. Odnajdę swoich przyjaciół, wszystkich, których kochałem. Razem będziemy się litovali nad tą odrobiną uczucia, któreśmy niegdyś poczytywali nad tą miłością. To moja niezachwiana wiara. To drugie życie, życie rodzinne, życie przyjaźni, miłości, życie społeczne będzie miało swoje uzupełnienie tak, jak i tamto. To mój drugi akt wiary, tak silny jak pierwszy: *Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu mojem.*

Tymczasem w niektórych duszach, i to wierzących, spotykam dziwne pod tym względem wątpliwości. Czy spotkamy się w niebie? Jedna z nich mówiła: „Szczęśliwe ptaki: odlatują razem. My prawie zawsze odchodzimy samotnie. Żyło się we dwoje — odchodzi się pojedynczo. Wielki to smutek dla serc kochających. Wierzę, mam nadzieję, poruczam się z ufnością Bogu. Wiem, że przez śmierć przejdę do żywota. Ale niestety! może w tym żywocie nie będę miała tych, których kochałam!”

A matka, która utraciła siedemnastoletnią córkę i była chwilowo oddalona od młodszej, chorej ciężko, mówiła mi: — O, gdybym była pewna, że zobaczę moją córkę! — Chöre maleństwo? — spytałem, sądząc, że o niej myśli. — Nie, tamta! — Jakto! wątpisz pani? — Nie wątpiłam, póki byłam szczęśliwa; teraz wątpię. Widzę, że to tylko pobożne przypuszczenie. Kościół nie orzeka nic, Ewangelja milczy, a niektóre książki uczą nawet, że nie poznamy się w niebie. To mi rozdziera serce.

W taki oto sposób fałszywi mistycy mrozą duszę i nie chcący swojemi głupimi doktrynami kopią przepaść pomiędzy najszlachetniejszymi instynktami serca ludzkiego a religją. A ponieważ ostateczności stykają się zazwyczaj, ich to pobożne ręce kończą dzieło bezbożników. Ci odrzucają nieśmiertelność, tamci głoszą ją, ale wstrętą.

Skąd oni wzięli to wyobrażenie, że nie poznamy się w niebie? Gdzie znaleźli, że kontemplacja Boga zatrzesz wszelkie wspomnienia? Zawsze ta sama historia szkolenia natury ludzkiej pod pozorem wywyższania łaski; jak-gdyby głębokie, niezwykłe instynkty serca nie były z natury rzeczy najwyższem światłem tu i wszędzie! Czyż wszystko, co świadczy o nieśmiertelności duszy, nie świadczy zarazem o nieśmiertelności wspomnienia, o nieśmiertelności miłości, o nieśmiertelności związku z tymi, których kochamy? Czyż ostatniem słowem nieśmiertelności, świadectwem jej najważniejszym nie są słowa: Chcę zawsze kochać tych, których kocham? A więc oni żyć będą. Tak jest, jeżeli jest Bóg, jeżeli świat ma jakieś znaczenie, jeżeli dzieło stworzenia nie jest szyderstwem, olbrzymią igraszką bez celu — to właśnie to jest ostatnie słowo nieśmiertelności, dowód jej najistotniejszy i najwyższy.

Słuchajcie głosów ludzkiego serca.

„O śmierci! — mówił pewien szlachetnego umysłu człowiek — mógłbym ci oddać wszystko inne; przyjaciół ci moich nie oddam.”

Drugi znowu: „Nie, nie sędę, aby można kochać niewinnie i głęboko, nie będąc przejętym religją i wiarą w nieśmiertelność. Zdaje mi się, że odczuwam zapowiedź przyszłego życia. Jakżeby takie uczucia nie miały istnieć poza grobem?”

A oto głos poety — nie trzeba lekceważyć poetów, gdyż oni miewają intuicje:

Gdzie żyją? jaka gwiazda na ich głowy
Zlewa trwalsze i łagodniejsze światło?

Czyż utracili swe słodkie imiona?
Nie odpowiedzą na nasze wołanie?

O nie, mój Boże! Jeśli chwala Nieba
Wygnała z dusz ich wspomnienie o ziemi,
Byłbys nam w sercu zatarł pamięć o nich;
Czyżbyśmy próżno ich opłakiwali?

Młodzi zaś małżonkowie, przechadzając się nad brzegami Adriatyku, mówią: „Czyż to nie bolesne kochać tylko, póki tego życia? Czyż nie pragniesz wiekuistej miłości?”

Oto jest prawda. Choćby Kościół milczał, choćby nie mówiła Ewangelja — cóż z tego? Serce mówi, a jest ono nieomylnie w tych rzeczach, bo one leżą w dziedzinie, która wyłącznie do niego należy. Wszystko mógłbym ci oddać, o śmierci! tylko nie tych, których kocham!

III.

Prawda, że czytamy w Ewangelji, iż Chrystus zapytany przez saduceuszów o tajemnice przyszłego życia, a szczególnie o los tych, którzy kilka razy zawierali małżeństwo, odpowiada: „Albowiem w zmartwychwstaniu ani się żenią, ani zamaż idą.” Ale cóż to znaczy? To tylko, że już nie będą małżonkami w znaczeniu ziemskim, ale wiekuistymi oblubieńcami.

Spytacie może: „Cóż będzie z ich miłością?” Będzie ona podobna do miłości brata dla siostry albo matki dla dziecka:

Każdy ma w niej część swoją i każdy posiada ją w całości.

Lub też, jeżeli wolicie, podobna będzie do miłości Jezusa dla dusz. Każda jest oblubienicą, a jeden tylko jest oblubieniec.

To mówi Ewangelja; nie zaprzecza wcale temu przeżuciu ludzkiego serca, owszem potwierdza je na tych nawet stronicach, gdzie ta doktryna występuje słabo; bo na niektórych jaśnieje ona. Czemże innym jest Ewangelja, jeśli nie opowiadaniem o śmierci i zmartwychwstaniu Zba-

wiciela, który umiłował swych, umiłował ich aż do końca, aż poza grób? który w swoim połączeniu z Ojcem, w swym przemienieniu po śmierci nie zapomniał o żadnym ze swych umiłowanych, owszem, powracał wielokrotnie, aby im to powtórzyć z większą jeszcze tkliwością aniżeli za życia i z prawdziwie wzruszającymi względami delikatności i odcieniami przywiązania. Miał Matkę; cóż z Nią uczynił? Czyliż nie króluje po prawicy Jego, wszystko mogąca nad Jego Sercem, daleko jeszcze więcej, aniżeli za życia na ziemi? Któż ośmielił się powiedzieć, że Ona w niebie nie poznaje swego Syna i nie jest poznawana przez Niego?

Miał uczniów, apostołów dwunastu; czy zapomniał o nich? Czyż nie powiedział im przed rozstaniem: *Niech się nie trwoży serce wasze, albowiem idę gotować wam miejsce. Dlaczego? Iżbyście, gdzie ja jestem, i wy byli¹⁾*. Boskie to słowa! znaczą tyleż, co i powyższe: „Wszystko mogę ci oddać, śmierci, tylko nie moich ukochanych.”

A gdy Piotr pytał Go niespokojnie: *Panie, dokądże idziesz?* — odrzekł mu Zbawiciel: *Dokąd ja idę, nie możesz teraz za mną iść; ale potem pójdziesz. A więc się połączą. A Piotr cóż odpowiada: Czemu nie mogę za Tobą iść teraz? duszę moją za Ciebie położę²⁾*, jakgdyby mówił: „Czy to śmierć stanowi przeszkodę? Umrę więc, ażeby nie rozłączyć się z Tobą.”

A co im mówi jeszcze? *Zasiadziecie na dwunastu stolicach i będziecie sędzić dzieci Izraela³⁾*. Może kto powie, że na tych dwunastu stolicach nie będą się znali wzajem? albo nie będą znali tych, których będą sądzili? albo może ci, którzy będą sądzeni, nie będą znali sędziów swoich?

A pod jakąż przenośnią przedstawia nam Chrystus niebo? Jako ucztę. *Kto zwycięży, dane mu będzie zasiąść u mojego stołu w Królestwie mojem⁴⁾*. Będą się znali współbiednicy, czy nie? A jeśli nie, przedstawmy sobie ten cień uczty z milczącymi cieniami, które nie znają się wzajemnie. Zaiste, byłoby to nader miłe!

IV.

Po wysłuchaniu Ewangelji posłuchajcie głosu Kościoła. Po tysiąc razy pod wszystkimi formami i z zupełną pewnością twierdzi on, że się w niebie zobaczymy, roz-

¹⁾ Jan, 14, 1—3. — ²⁾ Jan, 13, 37. — ³⁾ Mat., 30, 29. — ⁴⁾ Ap. 2, 7 i Łuk. 22, 30.

poznamy i będziemy się kochali. Chce on, abyśmy w modlitwie prosili Boga o to szczęście. Jakichże to świętych czci Kościół? Czy są to cienie blade, bezbarwne, bezosobowe, nie znające się wzajem, nie pamiętające o ziemi, zatopione jedynie w kontemplacji? Przeciwnie; są to istoty czynne, żyjące, które zachowały swą osobowość i odrębną fizjognomję, które kochają się wzajem, interesują się nami, wdają się w sprawy ziemskie, przypatrują się walkom naszym, zwycięstwom i z nich się radują. A Kościół, obchodząc święto każdego i każdej z nich, czy nie prosi Boga, aby nam dał w wiecznej szczęśliwości weselić się z obcowania z nimi? *Da nobis in aeterna beatitudine de eorum societate gaudere*. Oto jego prośba; a jeżeli jest mowa o szczęściu z obcowania z nimi, to można chyba stąd wnosić, że będziemy ich znali i sami znani od nich będziemy. Niedosyć na tem; trzeba, aby nie pozostało żadnej wątpliwości: o co więc prosi jeszcze Kościół? O szczęście widzenia ich: *Da, quaesumus, Domine Deus noster, ut sicut Tuorum commemoratione Sanctorum temporali gratulamur affectu, ita perpetuo laetemur aspectu*. Dosyć to chyba jasne. Szczęściem naszym będzie widzieć ich i być przez nich widzianymi, a nie pograżonymi tylko obok siebie w najwyższej kontemplacji. Zobaczymy się, poznamy, będziemy się kochali. Mówi to Kościół i powtarza po sto razy na rok, a raczej codziennie, w dzień każdego świętego.

A oto coś bardziej jeszcze pocieszającego. Jest we mszale modlitwa za zmarłych rodziców, którą odprawiający mszę kapłan może odmawiać za swego ojca lub matkę, gdy ich utraci: *Pro patre et matre sacerdotis*. O cóż Kościół w niej prosi? Czy tylko o wieczne szczęście dla rodziców, a dla syna o nadzieję, że są w niebie, i że on tam będzie kiedyś? Nie, niedość na tem; trzeba, żeby dziecko i ojciec, matka oraz dziecko mogli wieść dalej w niebie słodkie życie rodzinne. Dla zupełnego ich szczęścia trzeba, ażeby się widzieli. „Boże, który nam rozkazałeś czcić ojca i matkę, zmiłuj się nad duszą ojca mego (lub: matki mojej), odpuść ich grzechy i daj mi ich oglądać w szczęściu wiecznej światłości”. *Meque eos in aeternae claritatis gaudio fac videre*.

To samo, co o ojcu, matce, dziecku, mówi Kościół i o małżonkach. Twierdzi, że ich wzajemna miłość będzie trwała dalej w niebie, w formie wyższej i z większą siłą. W tem to subtelnem i wzniosłem pojęciu bierze źródło wstręt jego do powtórnych ślubów, którym odmawia uroczystych modlitw, nie zezwala na welon, ani na wieniec

i wogóle nie toleruje żadnego objawu radości. Czegóż trzeba więcej? I to właśnie w chwili najuroczystszych tajemnic Kościół zanosi takie modlitwy.

V.

Po tych wszystkich uroczystych zapewnieniach niema już może potrzeby przyzywać świadectwa tradycji. Uczynię to jednakże, chociaż pokrótce. Ujrzyście przesuujące się przed sobą największe genjusze i najszlachetniejsze serca i odczuwanie raz jeszcze, jaka jest harmonja między Bogiem a człowiekiem; między nieomylną nauką religji a niemniej pewną intuicją ludzkiego serca.

A będę ich przytaczał według porządku chronologicznego jedynie:

Tertuljan. Oto naprzód jeden z najpotężniejszych umysłów chrześcijaństwa, genjusz posępny, serce surowe i mało dostępne uczuciu. I dlatego, jak również dlatego, że zbliża się do czasów apostołskich, świadectwo jego ma podwójną wartość: „W życiu wiecznem Bóg tak nie rozłączy tego, co sam zjednoczył, jak nie zezwala na ich rozłączenie w życiu doczesnem. Żona będzie zawsze towarzyszką męża, a mąż będzie zawsze posiadał to, co w niej jest najlepszem i najwięcej wartem — serce. Nie tracą chyba nic na tem, że ustana stosunki niższego rzędu. Czyż najczystszy związek nie jest najlepszym?¹⁾”

Święty Cyprian: Słuchajcie jego słów przemiłych: „Ponieważ przebywamy świat ten smutny jako obcy przechodnie, wdychajmyż więc do dnia, który nas doprowadzi do ojczyzny, powróci nas niebu. Czyż wygnaniowci nie śpieszno wrócić do kraju? A człowiek, który wsiada na okręt, aby wrócić do swoich poprzez morza, czyż nie przyzywa pomyślnego wiatru, aby móc prędzej uściskać tych, do których dąży? Niebo jest naszą ojczyzną, a ojcowie nasi wyprzedzili nas w podróży do niej. Śpieszmy więc, biegnijmy, ażeby ich powitać. Wielka liczba drogich osób czeka w niebie na nas; wygląda nas mnóstwo praociów, braci i dzieci, którzy pewni już swego zbawienia niepokoją się o nasze. Śpieszmy zobaczyć ich, uściskać! Cóż to za radość dla nich i dla nas!²⁾”

Święty Atanazy. Ten wielki i głęboki teolog pozostawił w tym przedmiocie jedno słowo tylko, ale jasne

¹⁾ *De Monog.* cap. X. — ²⁾ *De Immortal.*, in fine.

jak diament. Jeden traktat jego nosi tytuł: *Zapytania kosmiczne, na które każdy chrześcijanin winien umieć odpowiedzieć*. Otóż czytamy w odpowiedzi na XXII pytanie: „Dusze sprawiedliwych daje Bóg w niebie wielkie dobro — oto poznają się nawzajem¹⁾”.

Święty Ambroży. Ten słodki a tkliwy genjusz nie mógł wahać się w podobnej kwestji. Ujawnia swoje przekonanie w przepięknej prośbie do swego zmarłego brata: „O, mój bracie, ponieważ mnie poprzedziłeś, przygotujże mi miejsce w tem wspólnem nam wszystkim mieszkaniu, którego teraz nadewszystko pożądam. I tak, jak tutaj wszystko nam było wspólne, nie znajmy w niebie podziału. Błagam, nie daj długo czekać temu, któremu tak pilno połączyć się z tobą. Zaczekaj na idącego; wspomóż śpieszącego, a jeśli znajdziesz, że się opóźniam zanadto, wezwij mnie. Jakążbym miał pociechę, bracie mój, gdyby nie nadzieja rychłego z tobą połączenia? Tak, pocieszam się nadzieją, że nasze rozłączenie nie będzie długie, i że otrzymasz łaskę prędkiego przyzwania do siebie tego, który tak bardzo tęskni za tobą²⁾”.

Święty Augustyn. Wszystkie jego dzieła pełne są tej prawdy. Przytoczymy z nich dwa tylko ustępy: jeden o Nebridiusie, świeżo zmarłym, a według starożytnego wyrażenia spoczywającym na łonie Abrahamowem:

„Jakie bądź jest to łono Abrahamowe, tam on żyje, mój Nebridius, mój słodki przyjaciel. Żyje w krainie błogosławionych, o którą tyle mnie zapytywał, mnie, który tak mało miałem światła, aby mu odpowiedzieć. Nie przybliża już ucha do ust moich, ale przybliża usta do Ciebie, Boże, który jesteś źródłem życia, i w wiekuistym szczęściu napawa się niem dowoli, wedle ogromu pragnienia swego. A mimo to nie obawiam się, aby w upojeniu zapomniał o mnie, bo z Ciebie pije, o Panie, który mnie nigdy nie zapomina³⁾”.

Drugi ustęp dotyczy jego matki: „Nie — mówił raz do swego ludu — umarli nie wracają. Bo gdyby ta możność była im dana, widziałbym każdej nocy moją pobożną matkę, która za życia nie mogła być zdaleka ode mnie i podążała ze mną w najdalsze strony, przez lądy i morza, byle mnie nie opuszczać. Bo nie daj Boże, aby wszedłszy do szczęśliwszego żywota, stała się mniej kochającą i nie

¹⁾ *Quaestiones ad Antiochum*. — ²⁾ *De Excessu fratris sui*, lib. I, n. 78. — ³⁾ *Confess.*

przyszła mię pocieszyć, gdy cierpię, ona, która kochała mnie więcej, niżbym potrafił wypowiedzieć!"

Niepodobna, aby stała się mniej kochającą, wszedłszy do szczęśliwego żywota! Oto niezachwiana pewność i boska podstawa tej drogiej wiary, że spotkamy się kiedyś, ażeby się miłować w dalszym ciągu.

Święty Jan Złotousty. Ten wzniosły mówca usiłuje pocieszyć młodą wdowę, która utraciła męża po pięciu latach najściślejszego i najbardziej chrześcijańskiego związku. Cóż jej powiada? Czy powiada: „Pociesz się, nie zobaczycie się już nigdy. Będziecie żyli w tem samem niebie, ale tak zatopieni w Bogu, że nie poznacie się nawet.” Nie, słuchajcie, co do niej pisze: „Jeżeli pragniesz zobaczyć w niebie twego męża, jeżeli chcesz z nim wspólnie się radować, powinnaś jaśnieć taką czystością życia, jaką jego życie jaśniało. Będziesz z nim razem nie przez pięć lat, jak na ziemi, ani nawet przez dwadzieścia, sto, tysiąc, ale przez całą wieczność. Zobaczysz go przyobleczonego już nie w tę piękność cielesną, jaką miał odchodząc, ale w piękność, której blask przewyższy blask promieni słońca... Po życiu, zapełnionem temi samymi cnotami, będziesz przyjęta do tego samego przybytku i będziesz mogła być z nim na wieki wieków złączona nie węzłem ziemskiego małżeństwa, ale innym, lepszym. Pierwszy łączy tylko ciała, gdy drugi, czystszy, słodszy i świętszy, łączy duszę z duszą¹⁾).

Tośmy właśnie utrzymywali wyżej. Nie będą już małżonkami w znaczeniu ziemskim, ale będą się wiekuiście miłowali. Ziemski węzeł małżeństwa opadnie; pozostanie wyższy, piękniejszy.

Święty Teodor Studyta. Surowy ten mnich, żyjący w ósmym stuleciu, za pojawieniem się współczesnej mu wstrętnej doktryny fałszywych mistyków wołał z oburzeniem: „Bezrozumne, bezbożne twierdzenie! Nie, nie można o tem wątpić: brat pozna brata, ojciec dzieci, żona męża, przyjaciel przyjaciela. Poznamy się, ażeby obecność Boża w nas była jeszcze radośniejsza przez jedno więcej dobrodziejstwo, dodane do tylu innych, przez spotkanie się wszystkich, którzy się kochali.”

Do pewnej zaś wdowy pisał: „Bóg, który cię stworzył i w twojej młodości połączył cię z zacnym człowiekiem, potrafi cię połączyć z nim na nowo w dniu zmartwychwsta-

¹⁾ *Ad Viduam juniorem.*

nia. Uważaj więc jego nieobecność jako podróż. Czyż nie zgodziłabyś się na nią, gdyby ją nakazał król jaki? A Ten, który ją nakazał, jest prawdziwym, jedynym królem świata. Mówię ci to, bo wiem, że znowu odzyszczesz swego małżonka w dniu Pańskim!¹⁾

Święta Teresa. Mniej jeszcze znaleźć na ustach istot, gorejących miłością Bożą, te porywy serca i widzieć, że ta miłość rozszerza je miasto zacieśniać. Dnia pewnego święta Teresa była przygnębiona smutkiem, cierpiącą, wyčerpaną, jak się to czasem zdarza nawet najsilniejszym. Cóż uczyni Pan, żeby ją pocieszyć? Mówi nam to sama: „Kilka ledwie chwil przeszło, kiedy zachwycenie uniosło mię nieprzepartą siłą ponad mnie samą. Przeniesiona zostałam w duchu do Nieba, a pierwszymi osobami, które tam zobaczyłam, byli moi rodzice²⁾”. Dostrzeża ich z ziemi, poznaje mimo niezmiernej przestrzeni, jaka się rozciąga między rajem a naszym sercem. A miałyby ich nie zobaczyć, kiedy już zniknie ta przestrzeń?

Święty Franciszek Ksawery. Czytajcie, co pisze do św. Ignacego: „Mówisz, uniesiony przyjaźnią dla mnie, że pragnąłbyś gorąco zobaczyć mnie jeszcze raz przed śmiercią. Tylko jeden Bóg, który widzi serca nasze, wie, jak żywe i głębokie wrażenie wywarł na moją duszę ten słodki dowód twojej dla mnie miłości. Ilekroć go sobie przypominę, a trafia się to często, oczy moje mimowoli zachodzą łzami; a na myśl, że mógłbym cię jeszcze raz uściskać, nie mogę powstrzymać tych łez. Niestety! być może, iż nie ujrzymy się na ziemi inaczej, jak w listach; ale zato w niebie oglądać się będziemy twarzą w twarz! Jakże się też uścisiemy wówczas!³⁾).

Święty Franciszek Salezy. Wszystkie dzieła świętego biskupa genewskiego, jak łatwo można się domyślić, są pełne tej pocieszającej nauki, że spotkamy się w niebie i że uzupełnimy tam przyjaźń, rodzinę, jedność, któreśmy na tym świecie zaledwie nieudolnie zapoczątkowali.

Do pewnej pani, która straciła męża, pisze: „Niezdługo pojdziemy za nim do nieba, miejsca naszego odpoczynku. Tam to uzupełnimy i będziemy wiekuiście zachowywali dobre i chrześcijańskie przyjaźnie, któreśmy tu ledwie zaczęli. Główna to myśl, której wymagają od nas zgąśli przyjaciele...⁴⁾

¹⁾ *Epist. I, ep. XXIX.* — ²⁾ Żywot, przez nią samą napisany, rozdz. XXXVIII. — ³⁾ List XCIII. — ⁴⁾ *Edit. Migne, t. V, str. 407.*

Do swej krewnej, która straciła ojca, kreśli słowa nadziei: „Nie smućmy się, moja córko; wkrótce się połączymy wszyscy. Ciągłe i bezustanku zbliżamy się do kraju, gdzie są nasi zmarli. Myślmy tylko o tem, abyśmy szli dobrze i naśladowali wszystko dobro, jakieśmy w nich widzieli”¹⁾).

Matkę po stracie dziecka pociesza: „Pozostań w pokoju, droga córko, i wznos serce do nieba, gdzie jest twój dzielny mały święty. Rychło go ujrzysz. Społeczność nasza, rozproszona przez śmierć, zbierze się znowu w niebie”²⁾).

Fénelon. Możliwe się obawiać, że wielki arcybiskup kambrezyjski, obalamucony i zaślepiony swoimi mrzonkami o czystej miłości, miał fałszywy pogląd na tę kwestję. Ustrzegła go od tego wrodzona tkliwość jego serca. Wszak to on napisał: „Bierze chętnie życzyć, ażeby wszyscy przyjaciele czekali na siebie, by umrzeć razem.”

To też zobaczcie, jak on pociesza umiłowanych, kiedy ich serce jest zbolełe. Nietylko wierzy, że ludzie zobaczą się kiedyś, i że rozdział spowodowany śmiercią ustanie: ale zaprzecza śmierci mocy rozdzielania w tem nawet życiu istot kochających się wzajem. Nigdy nie są bardziej złączone, jak wtedy, kiedy śmierć uniemożliwi obecność widzialną. „Nie — pisze do księżny de Beauvilliers — zmysły tylko i wyobrażenia straciły swój przedmiot. Ten, którego nie możemy już oglądać, przebywa z nami więcej niż kiedy. Znajdujemy go zawsze we wspólnem dusz naszych ognisku. Widzi nas stamtąd; wyjednywa nam tam prawdziwą pomoc; lepiej zna od nas nasze ułomności, sam żadnych już nie mając; wyprasza nam środki potrzebne do naszego uzdrowienia. Ja, który tyle lat byłem pozbawiony widzenia go, teraz otwieram przed nim serce, widzę go w duchu przed Bogiem; a chociaż go gorzko opłakałem, nie mogę wierzyć, abym go utracił. O jakże jest rzeczywiste to duchowe obcowanie!”

A do wdowy po księciu de Chevreuse: „Łączmy się sercem z tym, którego opłakujemy: stając się niewidzialnym dla naszych oczu, niemniej nie oddalił się od nas. Widzi nas, kocha, przejęty jest współczuciem dla naszych potrzeb. Przybiwszy szczęśliwie sam do portu, modli się za nas, którym grozi jeszcze rozbicie. Przemawia do nas w głębi naszej duszy: „Śpieszcie się połączyć z nami.” Czyste duchy widzą, słyszą, kochają zawsze swych praw-

¹⁾ Ibid., str. 938. — ²⁾ Ibid., str. 895.

dziwych przyjaciół we wspólnem ognisku dusz naszych. Przyjaźń ich jest nieśmiertelna tak jak jej źródło. Niedowiarkowie, którzy siebie jedynie kochają, powinni by rozpaczać, że tracą na wieki swoich przyjaciół; ale przyjaźń w Bogu przemienia obcowanie widome w obcowanie czystej wiary; płacze, ale pociesza swą boleść nadzieją, że odnajdzie swoich przyjaciół w krainie prawdy i na łonie samejże miłości”¹⁾).

Poprzestańmy na tem; moglibyśmy do nieskończoności mnożyć teksty; nie pomnożylibyśmy światła. Jest ono tu w tym stopniu natężenia, po którym już nie wzrasta. A więc serce ludzkie nie omyliło się; to, o czem marzyło, religja naucza tego. A więc religja nie myli się; to, czego naucza, serce człowieka o tem marzy, przeczuwa, pragnie, wierzy w to gorąco. Oba światła: to, które przychodzi z góry, i to, które przychodzi — nie śmiem powiedzieć z dołu — z serca człowieka, zgadzają się z sobą. Oba mówią, ku ostatecznemu pocieszeniu człowieka, że ziemia jest tylko początkiem, i że w niebie wykończymy to, cośmy tu na ziemi zaledwie naszkicowali; że nasz umysł będzie się tam napawał światłem, a nasze serce miłością; i to nie pojedynczo, z osobna, ale w społeczeństwie, w rodzinie, przyjaźni. Będzie to samo życie, jakie tu prowadzimy, tylko nie będzie w niem grzechu, a będzie zato Bóg.

Chcecież powziąć wyobrażenie o tem pięknem życiu niebieskiem? Przypomnijcie sobie św. Augustyna i św. Monikę u okna w Ostji i ich tam rozmowę pewnego wieczora. Przed sobą mają wielkie, samotne ogrody, niebo włoskie. Tybr zawsze tak smutny i melancholijny, nieskończoność morza przed oczyma, nieskończoność niebios w sercach. Myślą i modlitwą wznoszą się powoli ponad te rozległe przestrzenie, ponad gwiazdy, ponad własne dusze i wszystkie stworzenie, aż do Boga. Sięgają do Niego, dotykają Go, *ictu oculi, ictu cordis*, zachwytem serca, i przynajmniej przez chwilę dusze ich toną w wizji wieczności. Ale nie wznoszą się tam osobno. Syn nie zapomina w zachwycie o matce; matka w swem szczęściu pamięta o synu; wznoszą się społem; ręce ich spotykają się, ściskają i dzieląc się w ten sposób swemi uczuciami, podwajają swoje szczęście. Oto wierny obraz nieba, jeśli dołączymy jeszcze do tego wieczną trwałość: oczyma i sercem w Bogu, a dłońmi w dłoni w naszych ukochanych!

¹⁾ Lettres.

EPILOG.

DROGI ŚWIATŁOŚCI.

MISTRZ.

Błogosławieni, którzy wierzą!

UCZEN.

O tak, błogosławieni, którzy wierzą! Ale powiedz mi, Mistrzu, co począć, aby uwierzyć? Oto już lat dziesięć, dwadzieścia jak szukam wiary, nie mogąc jej znaleźć. Gdzie ona jest? Czy znasz drogę do niej? Czy jest gdzieś witająca jutrenka, miejsce ochłody, światłości i pokoju?

MISTRZ.

Tak, jest takie miejsce. Znam drogę do niego. Wskażę ci ją. Duszo ukochana! nabierz odwagi. Kto poczyna sobie przykrzyć ciemność, już do niej nie należy. A kto wzdycha do utraconej światłości, jest już jej prawie go-dzien.

UCZEN.

Mów prędko. A jeżeli masz w ręku dobrodziejstwo wiary, zlej je na moją duszę, bo wiele wycierpiałem. Od lat wielu toczy mnie zwątpienie. Wiele czytałem, wiele rozprawałem i nie doszedłem do niczego. Tyle jest sprzecznych ze sobą religij, a w każdej z nich takie ciemności i tyle tajemnic, że się prawie wyrzekłem nadziei znalezienia kiedykolwiek prawdy.

MISTRZ.

Jakże cię żałuję, żeś był przez czas tak długi pastwą zwątpienia! Ale ileż nadziei budzi we mnie to, że nad tem

cierpisz, i jakże mi jest jasne, że jeżeli jeszcze nie doszedł do prawdy, to dlatego tylko, żeś zmylił drogę! Uzależniasz jakby religję od rozumu, od nauki, od długotrwałych i głębokich dociekań. Zastanów się wszakże. Gdyby religia była kwestją rozumu i nauki, to chociaż, jak mówią, pełne są ich dziś ulice, ilużby musiało być z niej wydziedziczonych? Cóżby się stało z maluczkimi i ubogimi? A z młodymi, którzy umierają w kwiecie wieku, zanim doszli do pełnego rozwoju sił umysłowych; a także z nieprzejrzanymi zastępami kobiet, którym Bóg dał wprawdzie równą męskiej inteligencję, a czasem i genjusz, ale którym dał nadto o wiele więcej: podniosłość serca, majestat macierzyństwa, anielską czystość dziewictwa — które otwierają nam oczy i zamykają je, i których życie tak jest wypełnione wspieraniem i pocieszaniem naszego, że nie można od nich wymagać skupienia i całkowitego oddania się, koniecznych przy poszukiwaniu prawdy? Społeczność Boga i dusz miałaby zatem swą arystokrację! Ci, którzy już wszystko posiadają: rozum, czas, majątek, posiadaliby bardziej od innych Boga, posiadaliby Go łatwiej i zupełniej! Maluczcy, ubodzy, pracujący nie mogliby wznieść się do Niego! Przepuszczenie podobne przejmuje wstrętem. Bóg winien nam być dać krótki, prosty, łatwy, dla wszystkich dostępny sposób zawierania z Nim tego niebieskiego związku, zwane-go religią.

UCZEN.

Zapewne. Ale jakież jest ten łatwy i prosty sposób?

MISTRZ.

Jest ich kilka, i bardzo prostych i łatwo dostępnych; albowiem Bóg, który chce, aby wszyscy ludzie znaleźli prawdę, nie szczędził im sposobów jej poznania. Ale przystąpmy odrazu do najpiękniejszego i najniezawodniejszego. Czy pamiętasz, com ci rzekł o głównej istocie religii?

UCZEN.

Tak jest; i myśl ta nadzwyczaj mi się podobała. Uważałem zawsze religję za przymuszony hołd, za cześć narzuconą ludziom przez Boga, który niewiele się o nią troszczy. Widziałem w niej tylko obowiązek, pozbawiony godności, piękności, uroku. Myśl twoja uśmiecha mi się. Wydaje mi się być oczywistą. Religia jest spotkaniem Boga i człowieka, spotkaniem ich serc. Bóg i człowiek to dwie istoty,

albo lepiej jeszcze dwie miłości, które dążą do siebie wzajem. Spotykają się w religii; ona zadowalnia święty pociąg, który mają jeden do drugiego. Proste to i wzniosłe zarazem.

MISTRZ.

A więc, jeżeli tak jest, jeżeli religja jest stosunkiem Boga i człowieka poprzez serca, czy nie spostrzegasz prawdziwej drogi, jaka doń prowadzi? Jeżeli chcesz trafić do tej świątyni, pozostaw rozum, weź z sobą tylko serce. Pozostaw geniusz, naukę, weź z sobą tylko miłość. Kołacząc do drzwi, nie mów: „Chcę widzieć” — ale: „Chcę kochać.”

Tak jest, jeżeli pragniesz odnowić z Bogiem ten słodki i głęboki obowiązek religii, rzuć jałowe zarzuty; uczyni coś prostszego i zarazem słodsze: usiłuj kochać.

Kropla miłości w sercu wytwarza więcej światła, aniżeli przeczytanie setek tomów. Wystarcza ona do rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości, do rozproszenia wszelkich mroków. Bo wiesz, jaki jest przywilej miłości? Otaacza przedmiot ukochania jasnością, przy której wszystko błędnie. Kocham: wszystko gaśnie, wszystko traci urok; jedno już tylko wzbudza we mnie zachwyt — przedmiot mojej miłości.

A rozpraszając mroki i cienie, miłość przenika zarazem tajemnice. Przeczuwa je, odgaduje. Dziwisz się, że Bóg tak wielki zniża się ku tak małemu człowiekowi; że ma sobie za szczęście z nim przebywać; że urodził się w żłobie; że umarł na krzyżu. Rozum może się w istocie dziwić, ale nie serce, bo ono czuje, że zdoła uczynić to samo, skoro kocha. Miłość jest zarazem wzniosłym oświecicielem i wszechmocnym robotnikiem.

UCZEN.

Znaczy to, że gdybym kochał, mógłbym uwierzyć.

MISTRZ.

Właśnie.

UCZEN.

Ale jakże kochać Boga? Jest On tak wysoko, tak daleko, tak jest niedostępny! Przyznam ci się, że słowo to w ustach chrześcijan wydawało mi się zawsze próżnym dźwiękiem.

MISTRZ.

Kiedys poznasz jego rzeczywistość i słodycz. Tymczasem kochaj wszystko, co znasz z Boga, wszystko, co z Niego w tobie pozostało; bo nie przypuszczam, ażebyś był tak nieszczęśliwy, iżby nic Bożego nie pozostało w gruzach twojej duszy. On jest prawdą; kochaj prawdę. Jest sprawiedliwością; kochaj sprawiedliwość. Jest czystością; kochaj czystość. A skoro raz staniesz na tej pochyłości, to bez trudu, bez wysiłków, samem tylko prawem ciężkości zsuniesz się w objęcia religii.

A trzeba ci tu powiedzieć słówko jaśniejsze i zarazem praktyczniejsze. Nie możesz kochać Boga, ponieważ jest za wysoko, za daleko, zanadto wielki: kochaj człowieka, Jego dziecko, nadewszystko tego, który nie jest ani wysoko, ani daleko, który nie jest wielkim. Kochaj służącego, który ci czyści obuwie, odźwiernego, który ci podaje klucz od mieszkania; stróża, który zamyka ulicę przed twoim progami. Nie możesz zbliżyć ust do pełnych chwały nóg Boga: kładź je na upokorzonych lub zbolących rękach ubogiego. Powiedz sobie: „Szukam prawdy, nie znajduję jej. Będę czynił dobro. Będę się starał czynić go jak najwięcej. A wtedy jedno z dwojga: Albo Bóg jest, więc wynagrodzi mnie, ześle na mnie światło. Albo Go niema...”

UCZEN.

Ależ nie, to niepodobna. Bóg jest, koniecznie, niezaprzeczenie. Inaczej dobro byłoby urojeniem, cnota snem, sumienie oszukaństwem! Łotry tylko byliby w posiadaniu prawdy!

MISTRZ.

Dobrze mówisz, synu; lubię ten dreszcz oburzenia duszy twojej. Tak, Bóg jest! I skoro będziesz czynił dobrze, stanie się z tobą to, co niegdyś ze sławnym Donoso Cortès, hiszpańskim posłem we Francji, który z młodości obojętnej i bez religii wznosił się nagle do światła tak niewzruszonej wiary, że stał się jej apostołem. Zapytany, w jaki sposób odegnał te wszystkie wątpliwości, które tak długo zaciemniały jego potężny umysł, odpowiedział: „Nie wiem; pamiętam tylko jedno: oto nigdy nie zobaczyłem ubogiego, nie pomyślałszy przytem, że jest mi równym i bratem.”

Albo jeżeli chcesz drugiego przykładu, stanie się z tobą, jak ze świętym Wincentym à Paulo. Kiedy się

w młodości zachwiała jego wiara, instynkt, który Bóg dał nam wszystkim, ażebyśmy mogli znaleźć światło, popchnął go do miłosierdzia. Jakgdyby powiedział sobie: Wszystko w wierze jest ciemnością, tajemnicą. Trójca jest tajemnicą; Wcielenie jest tajemnicą; Odkupienie jest tajemnicą. Ale nie jest tajemnicą ubogi, dziecko bez opieki, chory trawiony gorączką. Nie jest tajemnicą to, że należy cieszyć płaczących, karmić głodnych, odziewać nagich; i nie tajemnicą, ale światłem olśniewającym jest miłosierdzie, ofiara, zapomnienie o sobie: poświęcenie. Wiara jest tajemnicą, ale nie jest tajemnicą miłość. Rzucę się więc w światłość miłości, ażeby przejrzeć ciemności wiary. W taki oto sposób, święty Wincenty à Paulo pokonał wątpliwości, w taki ty sam je pokonasz.

Kochaj zatem Boga. Usiłuj dosięgnąć do Jego ust błogosławionych, a przynajmniej do nóg i rąk przebitych dla nas; a jeżeli nie możesz tam dosięgnąć, całuj stopy ubogich, małych, opuszczonych; bo miłość, która jest treścią religii, która stanowi jej piękno i nienaruszoność, jest z konieczności drogą i drogą do niej.

UCZEN.

Ten więc jest ów niezawodny twój sposób. Kochać Boga, kochać wszystko, co z Niego mamy: prawdę, sprawiedliwość, czystość, cnotę; kochać człowieka, który jest tworem Boga, a najbardziej małego, uboższego nędzarza; kochać go to znaczy szanować go, wspierać, opiekować się nim, pocieszać go, słowem: czynić mu dobrze. I utrzymujesz, że ten, któryby tak postępował, doszedłby niezawodnie do prawdy?

MISTRZ.

Tak, niezawodnie, według tych pięknych słów: „Uczynki rodzą miłość, a miłość rodzi wiarę.” A postępując tak, nie tylko dojdiesz do religii w ogólności, ale jeżeli jest taka, którą Bóg objawił, dojdiesz do niej niechybnie. Bo jeżeli Bóg ją utworzył, jakąż musi być ona? Oczywiście taką, w której Bóg najbardziej kocha człowieka, w której człowiek najbardziej kocha Boga, w której Bóg i człowiek łączą się węzłem ścisłym. Im więcej zatem będziesz kochał, tem pewniej i rychlej będziesz popchnięty w objęcia prawdy.

UCZEN.

Zatem twój wielki sposób doprowadzenia dusz do wiary, to proste zalecenie im: Czynicie dobrze?

MISTRZ.

Tak; czy ci się to wydaje dziwnem?

UCZEN.

Przeciwnie, zachwycą mnie to, i wyznaję, że jeślibym mógł być przekonany, że ta jest droga do wiary, skłoniłoby mnie to stanowczo prawie, ażebym został chrześcijaninem. Bo cóż nad to piękniejszego i pełniejszego pociechy? Czynić dobrze! rozstaczać naokoło siebie atmosferę cnoty! A w miarę jak życie upływa, jak dzień zbliża się ku schyłkowi, wspominając czas, który już nie wróci, móc powiedzieć sobie: „Miałem w życiu wiele smutków i zawodów; popełniłem może wiele błędów, ale zdaje mi się, że przynajmniej nie przeszedł przez nie bez uczynienia odrobiny dobra!” A za nadejściem wieczora życia widzieć u swego śmiertelnego łoża dzieci i wnuki, błogosławić im po raz ostatni i móc pomyśleć: „Nie pozostawiam im tyle mienia, ani niestety tyle szczęścia, ileby im życzyło moje ojcowskie serce; ale nikt im nie odbierze tej pociechy, że będą zawsze mogły powiedzieć: „Nasz ojciec był zacnym człowiekiem!” Myśli te mnie rozrzewniają, poruszają we mnie to, co jest najpodnioślejszem, najszlachetniejszym, najgłębszem. Zaprawdę niczem jest zdrowie, niczem majątek, niczem wiedza ani też sława. Jedna jest tylko na świecie rzecz godna zabiegów człowieka, godna jego wielkości: oto usiłowanie, by żyć i umierać jako człowiek zacny. Ale jesteś pewnym, że tego dosyć, ażeby dojść do prawdy?

MISTRZ.

Najzupełniej pewnym. Trzeba tylko dobrze pojąć znaczenie tych słów: „czynić dobrze”. Oto człowiek dobry, prawy, uczciwy; miłuje on ludzi, wspomaga nieszczęśliwych. Cóż czyni? Stwarza sobie skrzydło, które go uniesie ku światłu. Ale jednocześnie popełnia niesprawiedliwość; obmawia współzawodnika lub szkodzi mu podstępnie; nienawidzi nieprzyjaciela; korzysta z niewinności lub słabości; coż czyni? przywiązuje sobie kulę do nogi, ciężar, który uniemożliwia mu wzlot w górę. Czyż tego nie czujesz?

Każdy bowiem, który źle czyni, powiada Jezus, *nie nawidzi światłości, ani idzie na światłość*. Nie jest ani godzin tego zbliżenia, ani do niego zdolny; potrzeba, ażeby się wyrzekł zła, przynajmniej chęcią, a czynił dobrze tak wewnątrz, jak i nazewnątrz. *Biada wam... obłudnicy, iż oczyszczacie, co jest zewnątrz kubka i misy, a wewnątrz pełni jesteście drapiestwa i plugastwa*. Jesteś dobry, uczciwy, prawy, pobłażliwy: to już wiele, ażeby dojść do Boga. Oto brzegi naczyń przygotowane. Idźże dalej. Czy serce jest czyste? Prawda jest jako rosa: chcąc ją mieć czystą, należy zbierać w czyste naczynie. Zrozumiej wielkie słowa, które śpiewamy co niedziela: *Natus ex Maria Virgine*. Bóg rodzi się w duszach tylko tak, jak się narodził przed wieki. Jest płodem serc czystych.

UCZEN.

Rozumiem to. Ale, Mistrzu, drzę rozumiejąc.

MISTRZ.

A jednakże i Platon powiedział to samo:

Czegoż trzeba, ażeby oglądać Boga? Być czystym i umrzeć.

Wzdychasz do światła. Nie stawiajże na jego drodze grubej, nieprzejrzystej zapory. Inaczej światło, gdy nadejdzie, natrafi na zaporę i odbije się od niej. Przygotuj dlań czysty kryształ, piękne szkło przejrzyste. Światło przyjdzie, przeniknie je i pozostanie, rozświetlając wszystko. Wielką przeszkodą dla dusz w widzeniu Boga są zmysły. Oto owa zaporę. Owe zmysły grube, ciemne obciążają i psują duszę; trzeba je poskramiać, umartwiać, uduchowiać, wyaniać, ażeby oswobodzić duszę. Nim nadejdzie śmierć, która zdejmie zasłonę, trzeba przyzywać na pomoc czystość, która uczyni ją przezroczystą.

UCZEN.

„Być czystym i umrzeć.” Gdzie Platon znalazł tak boskie słowa? Mogłyby jaśnieć na stronicach Ewangelji.

MISTRZ.

Braknie tam jednakże jednego słowa, ale tylko jednego, ażeby zdanie było zupełne. „Być czystym i umrzeć” — nie, to jeszcze nie jest boska ścieżka do światłości.

Trzeba było powiedzieć: „Być czystym, pokornym i umrzeć!” Nietylko bowiem ciało obciąża i zaciemnia duszę; obciąża się ona sama, nadymając pychę. Traci siły, wynosząc się, wywyższając grzesznie. Nadto, czyniąc z siebie punkt środkowy wszystkiego, traci poczucie proporcji; widzi jedynie siebie samą; wzrok jej nie jest mocen uchwycić harmonji. Nakoniec — i to stanowi główne przekleństwo pychy — izolując się sama w sobie, nie otrzymuje już prawie nic z góry. Na podobieństwo ludzi zabezpieczonych niepalną odzieżą, którzy przechodzą bezkarnie przez ogień, dusza taka żyje wpośród Bożej światłości, nie oświecając się nią. Nauka tegoczesna odkryła sposób *izolowania* ciał niektórych; przestają być przewodnikami światła, ciepła, elektryczności. Pycha sprawia w duszy ten straszliwy skutek. Zmysły odejmują duszy przejrzystość, pycha ją *izoluje*. Oboje sprawiają, że jest niedostępna wyższemu światłu.

Któż pojmie całą piękność czystości! Jest ona światłem ciała, jak pokora jest światłem ducha. Pokora, czystość, miłość — zaprawdę to są trzy Gracje. Nie można ich rozdzielić. Złączone są z sobą w sposób boski. Jedna wiedzie do drugiej. „Kto czyni miłosierdzie, dochodzi do światłości.” Oto miłość bliźniego prowadzi do prawdy. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.” Oto znowu czystość prowadzi do światłości. Chcesz widzieć je w połączeniu? „Jakże jest pięknym w światłości czysty zastęp bojących się Boga!” Oto pokora, czystość i miłość, które się łączą, by zanieść duszę w objęcia Boga.

UCZEN.

Zaczynam rozumieć twoją teorię. Ponieważ religja jest węzłem, łączącym Boga i człowieka, wszystko, co zbliża do Boga: miłość, uczciwość, czystość, pokora — z konieczności musi zbliżać do religji i, jeśli jest jaka, objawiona przez Boga, musi nieomylnie do niej prowadzić. Pojmuję nawet, że to jest najpewniejsza droga. Bo cóżby tu mogło ludzi? Chcę wygnać zło; chcę czynić dobrze. Kto może się mylić, tak zamierzając? Za zasadę mego życia biorę czynienie dobrze, wierne, stałe, bezinteresowne, odważne wykonywanie obowiązku. Oczywiście tu jest prawda. Oto droga, prowadząca niechybnie do Boga. Niepodobna, aby On nie stał u jej kresu.

MISTRZ.

Tak, niepodobna, ażeby skoro człowiek przez cnotę stanie u jednego końca tej drogi, Bóg z prawdą nie był u drugiego. Wspomnij na marnotrawnego syna. Jak tylko uczynił pierwszy krok na tej drodze, ojciec był już na drugim jej końcu, i to oddawna.

UCZEN.

Rozumiem to doskonale. Ale powiedz, czyliż istotnie niema nic więcej do zrobienia, ażeby dojść do wiary? Jakto, żadnych studjów? Bóg dał nam ducha, rozum, pojęcie; dał je nam dla prawdy, ją mając na celu, ażebyśmy mogli ją znaleźć, nią się cieszyć; a nie stosujesz ich! pozostawiasz je bezczynnymi! Nie powierzasz im żadnej roli w szukaniu prawdy! Przyznaję, że mię to dziwi i boli.

MISTRZ.

Miej cierpliwość! Przyjdzie kolej i na naukę, na badanie. Umysł wejdzie wkrótce na scenę i odegra ważną rolę. Ale godzina jego jeszcze nie nadeszła. Religja jest spotkaniem Boga i człowieka, spotkaniem ich przez serce. Serce więc występuje pierwsze; miłość przygotowuje warunki spotkania, nastraja duszę według Boga, ażeby mogła odczuć Jego obecność i dążyła do Niego z radością; bo wiesz, że społeczność jest możliwa tylko pomiędzy podobnymi sobie istotami. Uczyniliśmy to już, ale ta pierwsza czynność nie jest jeszcze skończona.

Do miłości, która czyni dobrze, rodzi w nas czystość i pokorę, która przygotowuje duszę, trzeba dołączyć modlitwę, która ściąga Bożą iskrę i roznieca płomień. Tego nauczał i sam doświadczył Maine de Biran w tych ciężkich latach, kiedy wracał powoli do światła. W notatniku swoim, gdzie co wieczór zapisywał bolesne swe uczucia i wrażenia, takie naprzykład wskazuje środki powrotu do prawdziwego życia: „Naprzód pragnąć, czuć swoje braki, swą nędzę, zależność i usiłować wznieść się wyżej. Powtórnie modlić się, ażeby zstąpił duch mądrości, czyli żeby przyszło królestwo Boże; modlić się, oczy mieć zwrócone ku źródłu, z którego przychodzi nam światło. W ten sposób dochodzimy do posiadania nieskończonego, niewyczerpanego skarbu.” „Któż mi da — mówił jeszcze — skrzydła modlitwy?... Ach, jakże potrzebuję się modlić!”

A zarazem potem: „Dzień pokoju, rozsądku i względnego szczęścia — skutek modlitwy.”

Te są słowa wielkiego filozofa, największego może filozofa naszego wieku. Rozum wskazał mu, że dla dojścia do światła modlitwa więcej jeszcze może, aniżeli rozum. Po miłości najsilniejszy to środek. Zresztą modlitwa jest trudną dla tych tylko, którzy nie kochają. Skoro kochamy, nietrudno nam powiedzieć z Oblubienicą Pieśni: *Osculetur me osculo oris sui*. — „Przybliż, usta Twoje do ust moich, Panie”, ażebym wyszedł z mej samotności i powrócił do słodkiego obcowania wiary; albo z Samarytanką: *Domine da mihi bibere* — „Panie, daj mi pić”, ażebym nie potrzebował już przychodzić samotnie w skwar południowy do tej studni Jakóbowej, tak oddalonej i tak rzadko obfitującej w wodę. Oto jest modlitwa. Chcesz powrócić do religji, do tego słodkiego związku Boga i człowieka, słusznie więc usiłujesz zbliżyć do Niego swe serce; ale niedosyć na tem: trzeba, ażeby On także przyszedł, ażeby pochylił się nad tobą jak ojciec, a o to musisz Go prosić. Od tak już dawna wzgardziłeś tym związkiem: czyż nie możesz ukłęknać i prosić Boga, ażeby go wrócił?

UCZEN.

Tak, zapewne; ale do modlitwy potrzeba wiary, a jeśli, ażeby uwierzyć, trzeba się modlić, czyż nie jest to błędne koło?

MISTRZ.

Ach tak, jest to błędne koło. Świat jest pełen takich kół błędnych. Ale posłuchaj, jak Bóg pozwala wybrnąć z tego tu koła. Przyznaję, że ażeby móc się modlić, trzeba wiary, przynajmniej zaczątków wiary. Zaczątki wiary to smutek w niedowiarstwie, to twój niepokój, twoja próżnia; zaczątki wiary to twoja niepewność, owo „może”, które ci co chwila podszeptuje znękanе serce: „Może jest prawdziwa religja? Może znalazłbym, gdybym dobrze szukał, drogę do niej?” Czyż nie możesz wtedy ukłęknać i powiedzieć: „Mój Boże, wybaw mię ze zwątpienia! Ty, któryś mię stworzył, ześlij na mnie światło i połóż koniec memu smutkowi i ogromowi moich męczarni!”

A jeśli tego jeszcze nadto, jeśli to uznanie Boga za trudne byłoby dla twego niedowiarstwa, zmów modlitwę, której Fénelon z tak tkliwą słodyczą uczył tych, którzy

wątpili za jego czasów. „Jeżeli to prawda, że jest ponad człowiekiem jakaś Istota potężniejsza i lepsza od niego, od której on jest zależny, zaklinam tę Istotę na jej dobroć, ażeby użyła swej potęgi ku memu wspomózeniu. Widzi Ona moje szczere pragnienie, moja nieufność w sobie samym, moje uciekanie się do Niej. O Istoto nieskończenie doskonała, jeżeli prawdą jest, że istniejesz i że słyszysz wołanie mego serca, ukazać się mi! podnieść zasłonę, zakrywającą Twe oblicze! uszyść mnie od niebezpieczeństwa niepoznania Ciebie, błagania się zdala od Ciebie i uwodzenia się memi myślami i w szukaniu Ciebie! O prawdo, o mądrości, o dobroci naszej! Wywyższa! jeżeli prawdę dla siebie, nie znieś, ażebym naśmiewała, i że uczyniłaś go, i żebyś Ty nie posiadała dzieła rąk Twoich. Otwórz mi oczy; ukazać się Twojemu stworzeniu!”

UCZEŃ.

Dziwna rzecz! to prawie te same wyrażenia, co w tchnącym tymże duchem wołaniu serca biednego Alfreda Musseta: smutnego i zbolatego

Jeśli nasz ucisk śmiertelny
Do ciebie dotrzeć jest w stanie,
Jeżeli jest nieśmiertelny
I słyszysz nasze wołanie. —

Ach, skrusz sklepienie tych ciemnic,
Co kryją niebo przed nami!
Usuń zasłony tajemnic,
Ukaż się, Panie nad panami!

MISTRZ.

Ale nie; dajmy pokój tym „może”, tym „jeżeli”, tym przypuszczeniom, wymyślonym przez ludzi na pokrycie ich powrotu do wiary. Bóg jest; nie wątpmy o tem. Żyje w nas, nie potrzebujemy Go daleko szukać. Mówmy Mu więc poprostu: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie, bądź wola Twoja jako w niebie, bądź tak i na ziemi; chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wódz nas na pokuszenie, ale Amen.” Odwołuję się do twojej bezstronności; kto tej modlitwy zmówić nie może?

UCZEŃ.

Ach, każdy! Ja zaś nie znam nic nad nią piękniejszego, bardziej podnoszącego duszę i głębszego przy całej swojej prostocie. Otwiera przede mną, niezmiernie widnokreśli. Przyznam ci się nawet, że oddawna mówię ją w głębi serca. Wzruszała mnie zawsze; jeszcze mnie jednak nie oświeciła.

MISTRZ.

Mów ją i nadal. Chrystus powiedział: *Kończcie, a będzie wam otworzono!* Kończcie, a nie otworzono ci. Kończ jeszcze, a nadewszystko kończ mocniej. A gdyś zakończył, przysłuchuj się, czy nie otwierają. Wielu kończ i odchodzi. Kiedy Mistrz przychodzi drzwi otworzyć, już ich nie ma. Powiedziawszy: *Mów, Panie, bo słucha sługa Twój!* trzeba słuchać, a iżby słuchać, potrzeba się uciszyć. Proste to zaprawdę, ale ważne.

Czy zastanowiłeś się kiedy nad tem, w jakich okolicznościach Chrystus przyszedł na świat? Przyszedł wśród najzupełniejszej ciszy. Umilkły najpierw głosy Proroków, święte głosy, rozlegające się od wieków, przygotowujące świat do przyjęcia Zbawiciela. One zamilkły pierwsze. Następnie uspokoił się i ucichł powoli zgłęb zdobywców, którzy od wieków byli plagą ziemi i napełniali ją zamieszaniem i przerażeniem. „August zamyka świątynię Janusa, i Chrystus przychodzi na świat.” Niedosyć jeszcze było tej ciszy. Bóg czeka jeszcze, aż cienie nocy uciszą wrzawę dnia i zamęt spraw ludzkich, i wówczas to wśród zupełnego milczenia: milczenia Proroków, milczenia zdobywców, milczenia spraw ludzkich, milczenia nawet natury — usłyszano głos. Rozlegał się on nad kolebką i ogłosił: *Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!*

UCZEŃ.

Rozumiem dobrze to milczenie. Jeżeli Bóg raczy do nas przemawiać, słuszna jest, abyśmy Go słuchali w skupieniu. Ale przyznaję, że mi to milczenie przeraża; bo jakże je osiągnąć? Znasz nasze życie, życie współczesne. Interesy nas pochłaniają, troski gnębią. Uszy nasze pełne są tysiąca odgłosów potrzebnych lub niepotrzebnych. Potrzebaby samotności, a gdzie ją znaleźć? życie nasze nie

należy już do nas, ale do całego świata; gna naprzód całą siłą pary. Ulituj się nad niem; ruch nowoczesny takim je uczynił. Nie wymagaż ode mnie niepodobieństwa.

MISTRZ.

Nie przerażaj się tak i zrozumiej mnie. Nie wymagam od ciebie ani milczenia spraw ludzkich, ani milczenia badań naukowych, ani wyrzeczenia się stosunków z ludźmi. Wszystko to jest uprawnione i jako takie nie przeszkadzało nigdy wzniesieniu się duszy do Boga. Ciszę tu potrzebną łatwo bardzo osiągnąć. Czy wiesz, co czynił Kartezjusz, ażeby dojść do prawdy?

UCZEN.

Wiem doskonale. Spostrzegł on, że mu zapełniono umysł mnóstwem pojęć, nie dowiodłszy mu ich dostateczności, i nie wiedząc jakie odrzucić, a jakie zatrzymać, postanowił usunąć je czasowo wszystkie; zmazać wszystko, według jego własnego wyrażenia, a potem w tej ciszy i samotności odbudować cały gmach tej prawdy, wypróbowując każdy kamień z osobna.

MISTRZ.

I ty uczyni tak samo. Odrzuciłeś już wszystkie pojęcia religijne pod pozorem, że nie były dostatecznie dowiedzione; odrzucić tak samo wszystkie zarzuty przeciw religji, próżne cienie i widma trapiące cię. Zmaż wszystko. Nie chcesz przyjąć nic przemawiającego na korzyść istnienia Boga, co by nie było dostatecznie dowiedzione; proszę cię więc, nie przyjmuj również nic Mu przeciwnego, co by nie było również dobrze dowiedzione.

UCZEN.

Ależ zdaje mi się, że sama uczciwość tego wymaga!

MISTRZ.

Zapewne, ale postępuje się uczciwie względem wszystkich, tylko nie względem Boga. O swoim przyjacielu — co mówię? — o pierwszym lepszym nie uwierzono by w to, w co się wierzy, kiedy rzecz tyczy się Boga. Pomysły najniedorzeczniejsze, nauki najpotworniejsze,

opowiadania najdziwaczniejsze, z którychby się śmiało, gdyby pogłoski przypisały je naszemu służącemu lub odźwiernemu, przyjmują się bez wahania, jeżeli idzie o religję. Przynajmniej gdyby szło o ludzi, staranoby się je sprawdzić, ale gdy idzie o Boga, nikt o tem nie myśli. Na podstawie jakiegoś opowiadania, jakiegoś zasłyszanego słówka, przyjmuje się za pewne, za dowiedzione najbardziej oburzające rzeczy. Żyje się z tem przekonaniem lat dwadzieścia, trzydzieści, a nie przyjdzie nam na myśl przeczytać coś o tem lub się kogoś zapytać. Zresztą, czyż kto czuje potrzebę badania kwestyj tyczących się religji? Każdy sądzi, że wie wszystko.

Jesteś młody i prawy. Nie możesz wiedzieć, do jakiego stopnia dochodzi teraz ten obłęd, jakie fałszywe pojęcia świtaają w umysłach, jakie błędne ogniki prowadzą na manowce wyobraźni, jakie śmieszne, a nieraz wstrętne widmo jest brane, często nawet z najlepszą w świecie wiarą, za religję. Wróciliśmy do tych pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których największą przeszkodą do nawracania się pogan była ich najzupełniejsza nieznajomość religji i najniedorzeczniejsze pojęcia, jakie sobie o niej wytwarzali, i w których pierwszy promień światła, padający na duszę prawą, na umysł takiego Justyna, Klemensa Aleksandryjskiego, Augustyna, przejmował ich podziwem i zawstydzeniem. „Jakże mi wstyd było — pisał Augustyn — mego zuchwalstwa i bezbożności, gdy przypuszczałem, że Kościół naucza rzeczy tak śmiesznych, a ja sam się nigdy nie starałem w tem oświecić! Nieszczęsny, szcekałem od lat tylu nie przeciw religji katolickiej, która nic takiego nie mówi, ale przeciwko urojeniom swojej występnej wyobraźni.”

I z nami tak się dzieje. W dziennikach, w przeglądach, w codziennych rozmowach szceka się przeciw urojeniom. Ileż to razy świadkiem tego byłem! Iluż to ludzi szlachetnych i rozumnych mówiło mi: „Jakże chcesz, abyśmy uwierzyli w takie rzeczy?” A kiedy im odpowiadałem: „Ależ religja bynajmniej tego nie naucza, mówi tylko to i to” — byli niepomniernie zadziwieni, i kilku ich nawróciłem tem prostym wyjaśnieniem.

Widzisz więc, jakiej ciszy od ciebie wymagam: oto najzupełniejszego uciszenia uprzedzeń względem religji. Przekreśl wszystkie. Powiedz sobie: Nie przyjmę nic przeciw Bogu, przeciw religji, co by nie było zgłębione, sprawdzone i poparte dowodami. I jak Kartezjusz po dotarciu do głębi znalazł stały, jasny punkt, na którym się oparł,

ażeby odbudować cały gmach prawdy, ty także po usunięciu zwodniczych cieniów dostrzeżesz punkty stałe i jasne. Stań naprzeciwko nich odważnie i szczerze. Jest Bóg. Możesz o tym wątpić? Czyż to nie jest punktem świetlanym w twoim umyśle, w twoim sercu, w twoim sumieniu? Jest dusza. Czyż o tym wątpisz? Między Bogiem a duszą jest harmonja i wzajemny pociąg, oczywisty, niezaprzeczony związek. Badaj tę harmonję, zgłębiaj ten pociąg. Spytaj siebie: „Czy ja rzeczywiście wątpię o Bogu? Czy naprawdę wątpię o mojej duszy? Czy wątpię o ich stosunku do siebie? Dlaczegoż więc nie żyję zgodnie z tą wiarą?” Oto czego od ciebie wymagam przede wszystkim. Czyż to nie jest rozsądne i sprawiedliwe? Czy nie możesz mi tego przyobiecować?

UCZEN.

Nie będę miał w tem trudności ani zasługi. Dzięki Bogu, te prawdy nie przyćmiły się nigdy w mojej duszy. Jaśnieją w niej tak słodkimi i tak czystym światłem, że myśl, iż mogłyby zgasnąć, napęlnia mnie przestachem. Byłaby to noc bez jednej gwiazdy. Ale przyznam ci, że z wyjątkiem tych świetlnych punktów wszędzie zresztą panuje mrok. W którą bądź zwrócę się stronę, wszędzie napotykam tysiące trudności. Czy zgadzasz się, abym zaczął ich przegląd?

MISTRZ.

I owszem, zachęcam cię do tego. Ale powiedz mi na przód, czy gdyby ludzie badali religję Chrystusa i Kościół w usposobieniu, w którym cię teraz widzę; gdyby mieli umysł pokorny, serce czyste, duszę w ciszy i skupieniu; gdyby na tak przygotowanym tle jaśniały takie gwiazdy, jak Bóg, dusza i wzajemny ich stosunek — to chociażbyś tam widział chmury i cienie, czy nie uwierzyłbyś w bliski wschód słońca i piękno dnia?

UCZEN.

Owszem, Mistrzu.

MISTRZ.

A czy nie czujesz, że stan, do jakiego starałem się doprowadzić ciebie, jest stanem rzetelnym i potrzebnym,

i że skoro chodzi o rzecz tak wielkiej wagi jak religja, dusza nie powinna się cofać przed żadną ofiarą, ażeby stan ten osiągnąć, gdyż inaczej obrażałaby Boga i uchylałaby sobie samej?

UCZEN.

Oczywiście.

MISTRZ.

Rozpocznijże studia nad religją. A chociaż już jesteś u progu światłości, i czuję, jak rozluźniają się i słabną wszystkie więzy, które cię krępują, pozwól, abym ci dał niektóre rady co do tej ważnej sprawy. Bo niedosyć jest mieć założenie; trzeba jeszcze nie zbaczać z drogi. Otóż na to potrzebna jest pewna metoda.

UCZEN.

Mów, Mistrzu. Słowa twoje dodają mi odwagi. Zdaje mi się, że dostrzegam światło. Ale cierpiałem tak długo, że nie śmiem teraz poić się nadzieją.

MISTRZ.

Przypominasz sobie, co ci rzekłem: religja nie jest ani filozofją, ani algebrą, niedosyć więc badać ją rozumem, trzeba ją jednocześnie zgłębiać sercem, sumieniem, słowem — całą duszą. To pierwszy warunek, ażeby to badanie przyniosło korzyść. Ale i tego niedosyć; trzeba uczynić krok drugi. A oto jaki. Ponieważ religja jest największą rzeczą na ziemi, chcąc ją zrozumieć, trzeba ją badać tem, co jest w duszy największego?

UCZEN.

Rozumiem, Mistrzu, dobrze, warunek pierwszy: poznać, badać religję całą swoją duszą. Ale co pojmujesz przez badanie religji tem, co mamy w duszy największego?

MISTRZ.

Słuchaj dobrze, bo nie powiedziałem ci jeszcze nic równie ważnego. Czy zauważyłeś, że wszystkie wielkie dusze są wierzące? Same przez się dążą do Boga. Skoro tylko napotkają religję, Chrystusa, chrześcijaństwo, poj-

mują to wszystko instynktownie i znajdują w tem odpoczynek.

UCZEN.

Jakto! pomiędzy tymi, którzy oddalają się od Jezusa i nie zachowują zasad chrześcijańskich, nie miałyby być dusz wielkich?

MISTRZ.

Nie to chciałem powiedzieć; uchowaj mię Boże, ażebym tylu szlachetnym sercom wyrządzał tak niezasłużoną zniewagę! Ale czy wiesz, przez co oddalają się one od Jezusa i chrystjanizmu? czy przez to, co w nich jest szlachetne i wielkie? Bynajmniej. Przez to, co mają w sobie czystego, wzniosłego i głębokiego? Nie, po tysiąc razy nie! Przez cóż więc? Przez to, co w nich jest małe, ciasne, powierzchowne, niespokojne i mętne. A oddalając się, cierpią. Pokazuje to, że dusza ludzka tem, co jest w niej wielkie, dąży do Boga, do Chrystusa, do religii i do chrześcijaństwa. Oddala się od nich jedynie przez to, co jest w niej małe i nędzne.

UCZEN.

Jakże to, Mistrzu?

MISTRZ.

Osądź to sam. Przypomnij sobie, co ci się niejednokrotnie przytrafiło w chwilach, których niezawsze można uniknąć, kiedy potrzeba religii budziła się w twojej duszy. Zdarzało się to w smutku, po doznaniem rozczarowania: zobojeźniał przyjaciel, umarła ukochana osoba. Albo w jednej z tych chwil, kiedy serce czuje próżnię, smutek, samo nie wiedząc dlaczego. Wtedy to niebo rozwidniało się nad tobą; Bóg się do ciebie przybliżał. I mówiłeś sobie: „Dlaczegoż zapomniałem o Bogu? Możeby do Niego powrócić?...” Potem potrzasałeś głową ze słowami: „Później... zobaczymy.” Wówczas i w wielu innych podobnych chwilach czułeś się jakgdyby w mocy dwóch przeciwnych prądów, z których pierwszy pociągał cię do Boga, do Chrystusa, do religii, a drugi oddalał cię od nich. Rozpatrzyć teraz uważnie i bezstronnie oba te prądy. Dostrzeżesz, że nie z tego samego wypływają źródła i nie w tych samych sferach duszy płyną. Jeden krąży po powierzchni, w tej

pełnej zgiełku sferze, gdzie się rozstrzygają zagadnienia doczesne; drugi płynie spokojnie w tej cichej sferze dusznej, gdzie się rozstrzygają zagadnienia wieczności. Otóż, który z tych dwóch prądów, powierzchowny czy głębszy, prowadzi do wiary, a który popycha do niewiary? Zbierz swoje wspomnienia i sam rozstrzygaj.

Któremu z nich przypiszesz wrażenie namiętne i zmienne? A któremu myśli wypielegnowane w milczeniu, w samotności, w modlitwie? Któremu dowcip lekki, szyderczy, zbywający wszystko drwiącem słówkiem, żarciem? A któremu głęboką rozważę, badającą istotę rzeczy, wartość argumentów, doniosłość wyników? Któremu zamiłowanie przyjemności, pieniędzy, dobrobytu, niezależności, życia bez trosk i trudów? A któremu umiłowanie cnoty, opór grzechowi, posłuszeństwo obowiązkom? Któremu szukanie swojej korzyści, zadowolenia miłości własnej, próżnej chwały? A któremu uległość względem Boga, skromność przed ludźmi, zaparcie się siebie, dobrą i czystą wolę, szukającą cnoty i prawdy? Któremu upodobanie w złem? A któremu czystość?...

UCZEN.

Nie kończ, Mistrzu. Oszczędź mnie. Prąd, odpychający moją duszę od Boga, jest powierzchowny, niespokojny i mętny; prąd, unoszący mię ku Niemu, jest głęboki, spokojny i czysty. Z nim chcę podążać, ale racz mi jeszcze dopomóc. Chcę poświęcić poznaniu prawdziwej religii swój umysł, serce, sumienie, całą duszę, i chcę użyć do tego samych tylko wzniosłych stron tej duszy. Ale kieruj mną, bo nie wiem dobrze, jak mam to uczynić. Co, na przykład, rozumiesz przez wielkie strony umysłu? Bo przypuszczam, że od umysłu należy rozpocząć.

MISTRZ.

Umysł nasz, jak się przekonasz niebawem, ma stronę małą i wielką, i zależnie od tego, którą z nich stosujemy do Boga, nauki i religii, dochodzimy lub nie dochodzimy do wiary. Oto dwóch ludzi, obaj bardzo inteligentni; jeden z nich, za ukazaniem mu Chrystusa powiada, że nie dostrzega w Nim żadnych cech prawdy; drugi tymczasem za pierwszem do Niego zbliżeniem czuje, jak wszystkie jego wątpliwości w mgłę się rozwiewają; zważ, jaki jest proces umysłowy u obojgu. Jeden zastanawia się nad drobiazgowymi trudnościami w szczegółach, nad różnicami

tekstów, nad sprzecznościami dat, nad niepodobieństwami metafizycznymi; drugi sięga do dowodów, tkwiących na dnie duszy, do intuicji serca i do wielkich rezultatów życia. Jeżeli, na przykład, chodzi o to, czy Chrystus jest Bogiem? — pierwszy poddaje krytyce tekst, warjant, hebrajskie znaczenie słowa: Syn Boży, jakąś trudność genealogiczną; drugi, wznosząc się ponad te drobiazgowy szczegóły, nie chcąc czynić swojej wiary zależną od omyłki kopisty lub nieporozumienia chronologicznego, staje wobec ludu żydowskiego i jego zadziwiającej historii, wobec Pisma świętego i jego proroczego posłannictwa, wobec niezrównanej postaci Chrystusa, wobec Kościoła i jego cudownej niepożytości; wobec Boga, któryby nie mógł dopuścić, ażeby kłamstwo mogło nawrócić, przeistoczyć, uświęcić świat, i woła: „Ten ci jest zaprawdę Syn Boży!” Jeżeli chodzi o Wcielenie i Odkupienie, pierwszy zatrzymuje się nad drobnostkowymi trudnościami płytkiej metafizyki, wikła się w dociekaniach, *w jaki się to działo sposób*; drugi wznosi się wyżej, aż do świetlanych przyczyn tak wielkich tajemnic i mówi sobie: „Cóż w tem dziwnego, że Bóg poniżył się i upokorzył dla swoich dzieci, że umarł, ażeby je zbawić, kiedy każda dobra matka to samoby uczyniła?” Znaczy to, że jeden stara się poznać Chrystusa tylko małą stroną swojego umysłu, stroną powierzchowną i małostkową; drugi używa do tego strony wielkiej, głębokiej, intuicyjnej. To też kiedy jeden z nich, uwikłany w mało ważne kwestje lichej logiki, egzegezy i wiedzy ówczesnej, odchodzi smutny, odnosząc za całą korzyść swego badania większe tylko ciemności; drugi, zapatrujący się na rzecz z wyższego punktu widzenia, uczuwa rychło, że przyczyny powątpiewania mają moc tylko nad powierzchowną stroną człowieka, przyczyny zaś, skłaniające do wiary, poruszają i przekonywają człowieka wewnętrznego, i zachwycony wynikami tego badania czerpie z niego światło życia i pogodę śmierci. Chcesz może drugiego przykładu?

UCZEŃ.

Tak, bo przyznaję, że te uwagi przejmują mnie zachwytem.

MISTRZ.

Mówmy zawsze tylko o rozumie. Zapewne zauważyłeś, iż umysł ludzki ma dwie odrębne strony: jedną, która pra-

gnie widzieć, drugą, która chce wierzyć. Chcemy widzieć, widzieć jasno, całkowicie, widzieć bez żadnej zasłony: to jedna strona duszy. Potem w innych chwilach, to, co jest nie powiem ciemnem, ale ukrytem, tajemniczem, pociąga nas i zachwyca. Oto, dlaczego religia, utworzona dla duszy człowieka, ma olśniewające blaski tajemnicze i głębokie. Widzimy i wierzymy. Patrzymy i zdajemy się na Boga. Zupełne to szczęście, w zupełnej prawdzie. Jeżeli więc chcemy jedynie widzieć, jeżeli uznajemy to tylko, czego możemy dotknąć ręką, jeżeli poza tem, co widzimy, nie odczuwamy tego, co można tylko przeczuć, jeżeli nie przypuszczamy nawet istnienia tych ukrytych głębi, w których więcej się jeszcze zgaduje, aniżeli się widzi — nie dojdziemy do niczego. Ale czyż tylko w religii nie dojdziemy do niczego? I w filozofii, w estetyce, w przyjaźni, w prawdzie, w dobrem, w pięknie, w wiedzy ludzkiej zarówno jak w wiedzy Bożej. I za to, żeśmy zanadto chcieli widzieć, albo raczej chcieli jedynie *widzieć*, utracimy nie tylko wielkie światło, ale i całe szczęście wiary. Czytałem gdzieś historję niewidomego, pielęgowanego przez nieodstępną a kochającą siostrę. Był prawie szczęśliwy ze swojej ślepoty. Mówił, że na tym świecie, gdzie niema zupełnego szczęścia, jedną z najsubtelniejszych jego form jest być ślepym i kochanym. Mieć zawsze przy sobie żonę, córkę, siostrę, istotę drogą, która ciebie nie odstępuje, ponieważ nie możesz się bez niej obejść; móc ciągle mierzyć jej przywiązanie do siebie ilością obecności, jaką nas darzy, i mówić sobie: „Ponieważ poświęca mi cały swój czas, a zatem posiadam jej serce w całości”; stwierdzić wierność jednej duszy w zaćmieniu całego świata; czuć się tem więcej kochanym, im się bardziej jest kaleką; w ciemności i przez ciemność stać się gwiazdą, około której krąży ten anioł: — mało jest, powiadał, radości, tej równych. Takie najwyższe szczęście jest właśnie udziałem chrześcijanina. Niebo jego daje ogrom światła; widzi on tyleż i tak daleko, jak każdy inny. Ale skoro zagaśnie światło, nadchodzi nie noc, ale inny jaśniejszy dzień. Chrześcijanin zamyka oczy i oddaje się, powierza się Bogu. Dusza szuka Go poomacku i znajduje tak, jak wtedy kiedy miała oczy otwarte. Nie widzi Go, ale Go czuje. Podtrzymuje ją jakaś niewidzialna ręka. To Jego ręka. Jakieś serce bije przy jej sercu — to Jego serce. Nacóż jej widzieć, skoro się go dotyka? Czyż to nie największe szczęście? Nie oddałoby się tych cieniów za wszystką światłość.

Widzę, wiem, czuję!

Niema ślepoty tam, gdzie jest pewność. Pewność jest tam, gdzie jest miłość. To raj w pomroce.

UCZEŃ.

A więc, Mistrzu, lepiej jest nie widzieć. Zamykam oczy; wierzę.

MISTRZ.

Nie, trzeba widzieć i wierzyć. Trzeba badać i ufać. Trzeba chwilami otwierać oczy, ażeby dobrze widzieć, a w innych chwilach trzeba je zamykać, ażeby widzieć lepiej. Słowem: ponieważ religja, utworzona dla duszy człowieka, jest zarazem cała światłością i cała tajemnicą: trzeba ją poznawać całym umysłem, całą jego wielką i wzniosłą stroną.

UCZEŃ.

Nie zapomnę nigdy tego, coś mi powiedział, i rozumiem teraz jasno, dlaczego tylu ludzi nie dochodzi do poznania religji. Używają do tego małej strony swego umysłu, nigdy wielkiej: strony mędrkującej, powierzchownej i drobiazgowej, nigdy strony głębokiej i intuicyjnej. Ale przypomniałeś mi, że trzeba szukać prawdy całą duszą, zatem sercem tyleż, co i umysłem. Otóż pragnąłbym wiedzieć, czy i serce ma także stronę wielką i małą? i w jaki sposób mamy szukać prawdy wielką jego stroną?

MISTRZ.

Serce jest jak umysł; ma dwa bieguny: jeden ciasny, szukający siebie, samolubny, miłujący pozornie, nie znający naprawdę miłości. Cóż chcesz, aby człowiek o takim sercu rozumiał z Boga, z Chrystusa, z Wcielenia, z Odkupienia? Zamknięty w ciasnym kole uczuć ziemskich, nie pojmując miłości inaczej, tylko jako radość albo rozrywkę; prędko rozzarowany, bo miłość tak pojęta rychło rodzi obrzydzenie; uśmiecha się, słysząc o miłości Boga; nie wierzy w nią, i jakże miałby w nią wierzyć, kiedy już nie wierzy w żadną miłość ziemską, bo może ich wszystkich nadużył! Często nawet oburza się, szczególnie jeśli jeszcze nie upadł

tak nisko, jeśli uszanował w swej duszy to wielkie uczucie; to serce czułe, ale czułością czysto ludzką, woła wówczas, że chcecie znieść rodzinę, zgładzić rodzinne przywiązanie i szczęście domowe — i ta miłość Boża, stanowiąca urok i szczęście serc wielkich, wydaje mu się przeciwnikiem i wrogiem. Dlaczego? Ponieważ zapatruje się na miłość z ciasnego punktu widzenia, ponieważ zatrzymuje się na powierzchni serca. O, gdyby zstąpił głębiej, w te tajniki, gdzie jest jej prawdziwe siedlisko; gdyby zrozumiał niezmierzoną wielkość i szczytną piękność serca człowieczego; gdyby pojął, że napróżno szuka ono zadowolenia na ziemi; że rozbija się i rani bezustanku o niedoskonałe uczucia, jak więzień o ściany swego więzienia; gdyby, gardząc miłością, która jest tylko rozkoszą, zrozumiał miłość, która jest katuszą, katuszą płynącą z jej własnej wzniosłości, niemocnej oddać się w takim stopniu, w jakim tego pragnie, i cierpiącej nad tą niemocą — wówczas wzniosłby się do pojęcia miłości nieskończonej, źródła wszelkich miłości i zarazem ich dopełnienia, ich ostoji, puklerza, zadatku wiekuistego życia, i znalazłby w swoim sercu dla zrozumienia Boga, który jest cały miłością, „przyczyny, których nie zna rozum.” Bóg dałby się uczuć jego sercu. Poznałby intuicyjnie, a raczej doświadczałnie, piękność wiary, słodycz nadziei, świętość miłości i ze stosunków, które mu Bóg dał z ukochanymi na ziemi, wzniosłby się bez trudu do pojęcia swoich stosunków z Bogiem, to jest całej religji. Czemże jest światło umysłu wobec tego światła? Co znaczy widzieć Boga wobec odczucia Go sercem? Można wątpić, kiedy się widziało; ale nigdy, kiedy się odczuło. Bóg, drogi przyjacielu, uczynił z serca człowieka Ewangelię. Wyrzył na niem wszystkie tajemnice. Uczynił z nas samych, przez naszą własną naturę Tróję, Wcielenie; a w całej głębi ojcostwa ukrył w nas stworzenie, opatrność, odkupienie, ofiarę i krzyż. Spełniamy sami te wszystkie tajemnice względem naszych dzieci, ażebyśmy sami je w sobie nosząc, uwierzyli im tem łatwiej w Boga. Ale nato trzeba miłość pozorną, która szuka siebie i żyje zadowoleniem i szczęściem osobistym, zastąpić miłością prawdziwą, która czyni z siebie ofiarę, miłość małą — miłością wielką.

UCZEŃ.

A więc nie trzeba zaprzestać kochać, ażeby dojść do poznania Boga?

MISTRZ.

Przeciwnie. Im więcej będziesz kochał, byle tylko w czystości, w zaparciu się siebie, w poświęceniu, tem więcej serce twoje czuć będzie Boga. Bo Bóg jest miłością. Ma przeciw sobie tych jedynie, którzy nie kochają albo kochają źle.

UCZEN.

To jest samolubów.

MISTRZ.

Właśnie. Wszystkie wielkie serca są z Nim, tak jak wszystkie wielkie umysły. A także wszystkie wielkie sumienia. Bo nie potrzebuję ci mówić, że jest także sumienie małe i wielkie, albo jeżeli wolisz, sumienie ma stronę wielką i małą, i wszyscy ci, którzy zbliżają się do Boga wielką stroną swego sumienia, znajdują bez zawodu światło i pokój.

UCZEN.

Mistrzu, zaczynam rozumieć, co chcesz powiedzieć. Ale dokończ, coś rozpoczął, i wskaż mi oznaki, po których można rozpoznać sumienie małe i odróżnić je od wielkiego.

MISTRZ.

Pamiętasz opowiadanie o tym młodzieńcu, którego Pan Jezus spotkał? Spojrzał nań Pan z miłością, a kiedy młodzieniec pytał go: *Nauczycielu dobry, co dobrego mam czynić, abym miał żywot wieczny? — który mu rzekł: Co mnie pytasz o dobrym? Jeden ci jest dobry Bóg. A jeśli chcesz wniknąć do żywota, chowaj przykazania. Rzekł Mu: Które? A Jezus rzekł: Nie będziesz mężobójstwa czynił. Nie będziesz cudzołożył. Nie będziesz czynił kradzieży. Nie będziesz fałszywego świadectwa mówił. Czcij ojca twego i matkę swoją, a będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie. Gdyby ów młodzieniec miał to, co nazywam sumieniem wielkiem, gdyby miał sumienie poważne i głębokie, które poprzez literę sięga do istoty rzeczy, uczułby, że wypełnia owe przykazania nader niedokładnie; że prześlizgiwał się tylko po ich powierzchni, deptając ich ducha, ich rzetelne znaczenie i sam ich kwiat, i upadłby do nóg Chrystusowych, błagając Go o łaskę żalu za grze-*

chy. Zamiast tego, zaślepiony tem, co nazywam małym sumieniem, sumieniem łatwym i łatwo dającym się zadowolić, nie sięgającym głęboko, trzymającym się litery prawa, mówi: *Wszystkiemu tego strzegł od młodości mojej: czegoż mi jeszcze niedostawa?* I odchodzi zadowolony z siebie, ale zostawia zasmuconego Pana. Obraz to wielu ludzi, których cnoty, że ośmielę się tak wyrazić, oddalają ich od Chrystusa; ludzi uczciwych obyczajów, prawych w interesach, względnych w stosunkach z bliźnimi, miłujących rodzinę, ale którzy nigdy nie zrozumieli ani praw, jakie Bóg ma do nich, ani ogromu swoich grzechów, ani jak dalece potrzebują Zbawiciela. Jakże tacy ludzie mogliby przyjść do Chrystusa? Zanadto są zadowoleni z siebie. Nie pragną wcale świętości, jaką On przynosi. Nie potrzebują Jego łaski. Dopatrują się w Chrystusie piękności duchowej, ale niezdolni są zrozumieć w Nim Boskiego pokutnika. Przeszkadza im w tem sumienie, sumienie zadowolone, powierzchowne, które nazywam sumieniem małym. Ale dajcie mi człowieka, czującego ciężar grzechu, brzydzącego się złem, wzdychającego do lepszego życia i gotowego do wszelkich ofiar, byle znaleźć pokój, łaskę, przebaczenie, cnotę — a ręczę za niego. Potrzeba go tylko zbliżyć do Chrystusa, a odda Mu się niezwłocznie i bezpowrotnie. Widzisz, młodzieńcze, ludzie gubią siebie dziś tem, że umieją tylko te słowa: *Boże, dziękuję Tobie, że nie jestem jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy. Poszczę dwakroć w tydzień i daję dziesięcinę ze wszystkiego, co mam. Umieją mówić: Jestem uczciwym człowiekiem. Nie umieją rzec: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!*

UCZEN.

To jest: idą do Boga z sumieniem małym, powierzchownym, łatwo się zadowalającym, które z tej przyczyny staje się często sumieniem fałszywym. Nie umieją wznieść się do Boga świętości tem delikatnem i głębokiem sumieniem, które zawsze drży, czy jest dosyć czyste, aby Go znaleźć. O Boże, który znasz mój smutek, moje gorące pragnienie prawdy, moje usiłowania bolesne i bezowocne, daj mi wielkie sumienie, wielkie serce i wielki umysł! albo raczej, ponieważ to jest wszystko we mnie, daj, abym zwrócił ku Tobie wszystkie wielkie strony mojej duszy! Niestety, jakże się dzisiaj wstydzę, że sobie czasem wyobrażałem, iż jestem za wielki, abym mógł wierzyć. Owszem,

za mały byłem. Tak jest, małym było wszystko, co mnie oddalało od Boga, od Chrystusa, od religii, a próżne wyobrażenie o mojej wielkości było najmniejsze ze wszystkiego. Przyjm, Boże, to wyznanie jako pierwszy dowód mojego do Ciebie powrotu; przyjm i drugie, które mnie jeszcze więcej upokarza. Wszakże wyobraziłem był sobie, że chcąc Tobie się oddać, Tobie, który jesteś samą wielkością i źródłem wielkości wszelkiej, trzebaby obciąć skrzydła albo swobodzie mojej myśli, albo tkliwości uczuć, albo sile charakteru, albo najszlachetniejszym dążeniom duszy mojej! Dzięki Ci, Panie, czuję łuski, opadające mi z oczu. Tylko to, co mam małego, jest przeciw Tobie; wszystko, co we mnie jest wielkie, trzyma stronę Twoją. Oddaję Ci tę wielką stronę mojej duszy. Albowiem przez nią, o Boże, wracam do światła. W niem chcę odpoczywać, żyć i umierać.

MISTRZ.

Niech Bóg błogosławi ten poryw twej duszy i niech cię nieustannie wspiera w drodze, jaka nam jeszcze pozostaje. Ujrzałeś, że człowiek potrzebuje religii. Potrzebuje jej człowiek, potrzebuje Bóg. Nie można pojąć ani jednego ani drugiego bez łączącego ich węzła. Zadałmy sobie teraz pytanie: jaka jest ta religja? W tym celu, skracając sobie drogę, przystąpmy bez zwłoki do najważniejszego zagadnienia: stańmy wobec Jezusa Chrystusa. Czy Chrystus jest Bogiem? Bo jeżeli Nim jest, nie pozostaje nam nic innego, tylko ukorzyć się i uwielbić Go.

UCZEN.

Tak, Mistrzu, najważniejszym zagadnieniem jest to, czy Chrystus jest Bogiem. Przyznaję, że trwoży mnie ono. Dopomóż mi je rozwiązać. Nigdy nie było nad nie ważniejszego.

MISTRZ.

Tak, zaiste, nigdy nie było ani ważniejszego, ani potrzebniejszego, ani straszniejszego, ani bardziej wzruszającego, ani bardziej obfitującego w najróżnorodniejsze widoki i harmonje, ani godniejszego dusz wielkich. Ale, Boga dzięki, nigdy też nie było łatwiejszego. Gotujże umysł i serce! Widzieliśmy pierwsze promienie jutrzenki; ujrzymy teraz wschód słońca.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa autora	1
Wstęp	3
Prolog	43
ROZDZIAŁ I.	
O prawdziwej naturze człowieka	47
ROZDZIAŁ II.	
O prawdziwej naturze Boga	67
ROZDZIAŁ III.	
O prawdziwej istocie religji	90
ROZDZIAŁ IV.	
Człowiek bez religji i Boga	107
ROZDZIAŁ V.	
Rodzina bez Boga	129
ROZDZIAŁ VI.	
Spółeczeństwo bez Boga	162
ROZDZIAŁ VII.	
Lud bez Boga	183
ROZDZIAŁ VIII.	
Czy prawda, że nauka wykazała niemożliwość stosunku między Bogiem a ludźmi?	208
ROZDZIAŁ IX.	
Czy prawda, że narody nowoczesne odrzucają religję, a odrzuciwszy ją, stają się większymi i szczęśliwszymi?	236
ROZDZIAŁ X.	
O prawdzie i piękności religji	277
Wiara i niewiara.	25

ROZDZIAŁ XI.

O cudownych skutkach religji, a w szczególności o boskiem działaniu cierpienia 297

ROZDZIAŁ XII.

Jak religja, tłumacząc nam cierpienie, dopomaga zarazem je znosić 324

ROZDZIAŁ XIII.

Nieśmiertelność i połączenie wiekuiste. — Miłość poza grobem 344

EPILOG.

Drogi światłości. — Jak można odzyskać utraconą wiarę . 360

Ks. Biskup Bougaud

JEZUS CHRYSTUS

Wyd. II. Cena zł 12.—

Życie Jezusa Chrystusa, skreślone przez księdza biskupa Bougauda, nosi na sobie wszystkie wartości, jakich domaga się współczesna krytyka literacka. Świetne charakterystyki osób, wypadków, gry uczuć, konfliktów między starym światem a zjawiającym się na widowni nowym Mistrzem, barwne odmalowanie tła historycznego i topograficznego nadaje książce zabarwienie powieści, nie wysnutej z fantazji, ale tej rzeczywistej a najwspanialszej, jaka rozegrała się ongiś nad brzegami jeziora Genezaret i w murach Jerozolimy.

Przegląd Powszechny

KOŚCIÓŁ

Wyd. II. Cena zł 8.50

W rozprawianiu się z przeciwnikiem nie znajdziesz w tej książce ironji ani sarkazmu, ani owej pewności siebie i pychy ze zdobytej nad przedmiotem władzy, którą spotykamy u niektórych uczonych — ale zawsze szczerą chęć przysłużenia się prawdziwie i wyrozumiałość człowieka kochającego swój wiek i swoje społeczeństwo mimo jego błędy.

Wiadomości dla Duchowieństwa

ŻYCIE CHRZEŚCIJAŃSKIE

Wydanie II. Cena zł 6.—

Uderza w tem dziele żywe odczucie prawd wieczystych, a pewne zwłaszcza rozdziały mogą stać się doskonałą zachętą wiary dla tych dusz, które zwątpiły o zbawieniu własnem i stoją na uboczu życia w Kościele.

Kurjer Warszawski

KSIEGARNIA

POZNAŃ WARSZAWA
Plac Wolności 1. Al. Jerozolimska

- | | | | |
|--|------|--|------|
| | zt | | zt |
| Adamski, St. X. Akcja Katolicka a duchowieństwo. (K.A.K.) | 2.— | Kowalski, K. X. Prof. Dr. Filozofja Augusta hr. Cieszkowskiego w świetle zasad filozofji św. Tomasza z Akwinu | 14.— |
| Akcja Katolicka. Zbiór kazań wydanych z polecenia J. E. X. Kard. Prymasa Hłonda | 8.— | Kubina, T. X. Bp. Akcja Katolicka a akcja społeczna | 3.50 |
| Batifol, P. Badania z zakresu historii i teologii pozytywnej | 2.— | Maeder, R. X. Katolikiem jestem! (K. A. K.) | 4.— |
| Benson, R. H. Chrystus w życiu Kościoła | 2.— | Maeder, R. X. Niech żyje Chrystus wśród nas, Król nasz i Pan | 4.20 |
| Benson, R. H. Paradoxy katolicyzmu | 2.— | Okoniewski, St. X. Bp. Pismo św. w dziełach X. Piotra Skargi | 15.— |
| Bross, St. X. Dr. Akcja Katolicka a Polska. (K. A. K.) | 1.50 | Peillaube. Wtajemniczenie w filozofję św. Tomasza z Akwinu | 12.— |
| Bross, St. X. Dr. Akcja Katolicka na I Krajowym Kongresie Eucharystycznym. (K. A. K.) | 3.50 | Pichenot, A. X. Bp. Ewangelja Eucharystji | 9.— |
| Bross, St. X. Dr. Akcja Katolicka według orzeczeń Stolicy Apostolskiej. 2 tomy | 12.— | Przewodnik po literaturze religijnej i pokrewnych dziedzinach filozofji i nauk społecznych. Wydawnictwo zbiorowe pod redakcją O. J. Woronieckiego | 18.— |
| Bross, St. X. Dr. Pius XI o Akcji Katolickiej | 2.— | Serre, J. Naścieżaj. Próba metody pogodzenia powszechnego i całkowitego poznania | 4.— |
| Calvet, J. O twórczości i krytyce katolickiej | 6.— | Sieniawski, M. X. Problem istnienia Boga | 2.— |
| Cathrein, W. X. Katolicki pogląd na świat | 12.— | Szydełski, X. Dr. Początki chrześcijaństwa. Studium historyczno-krytyczne | 3.— |
| Foerster, Fr. W. Religja a kształcenie charakteru. Dociekania psychologiczne i pedagogiczne wskazania | 14.— | Szymański, A. X. Dr. Akcja Katolicka a działalność gospodarczo-społeczna. (K. A. K.) | 2.— |
| Gabryl, Fr. X. Dr. Polska filozofja religijna w wieku XIX. | 7.— | Zacchi, A. O. P. Spirytizm i życie pozagrobowe | 8.— |
| Grabski, St. Rzym czy Moskwa? | 2.80 | Zychliński, Al. X. Prof. Teologia. Jej istota, przymioty i rozwój według św. Tomasza z Akwinu | 3.20 |
| Gratry, A. Credo w rozważaniu filozoficznym | 2.— | | |
| Guerri, X. Kodeks Akcji Katolickiej. (K. A. K.) | 6.50 | | |
| Halban, L. Dr. Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach | 4.— | | |